

ANNE

BISHOP

ZAPISANE
W KARTACH

INNI - tom PIĄTY

ANNE
BISHOP

ZAPISANE
W KARTACH

INNI - tom PIĄTY

Przełożyła
EMILIA SKOWROŃSKA



initium
wytwórczość

KRAKÓW 2017

Tytuł oryginału: ETCHED IN BONE

Copyright © ANNE BISHOP, 2017

All rights reserved

www.annebishop.com

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO INITIUM

Tłumaczenie z języka angielskiego: EMILIA SKOWROŃSKA

Redakcja: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ, ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Projekt okładki, skład i łamanie: Patryk Lubas

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografie użyte na okładce: Horn Andrey/498070342/Shutterstock

chagpg/146457145/Depositphotos

Wydanie I

ISBN 978-83-62577-61-3



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: info@initium.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Podziękowania

Prolog

Plan Lakeside

Dziedziniec w Lakeside

Krótką historia świata

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Dla Anne Sowards i Jennifer Jackson

i dla Ruth „the Ruthie” Stuart.

Zostaniesz zapamiętana na zawsze.

Podziękowania



Dziękuję Blairowi Boone za to, że nadal jest moim pierwszym czytelnikiem, oraz za wszystkie informacje o zwierzętach, broniach i wiele innych wiadomości, które przенiosłam i dopasowałam do świata Innych; Debrze Dixon za bycie drugą czytelniczką; Dorannie Durgin za prowadzenie mojej strony internetowej i informacje na temat budowli dla koni; Adrienne Roehrich za prowadzenie oficjalnego funpage'a na Facebooku; Nadine Fallacaro za informacje medyczne; Jennifer Crow za podnoszenie mnie na duchu; Anne Sowards i Jennifer Jackson za informacje zwrotne, które pomagają mi pisać lepsze historie; Pat Feidner za to, że zawsze mnie wspierała i zachęcała do działania.

Chciałabym szczególnie podziękować osobom, które użyczyły swoich imion i nazwisk postaciom z tej książki, wiedząc, że będzie to jedyny łącznik pomiędzy rzeczywistością a fikcją. Są to: Bobbie Barber, Elizabeth Bennefeld, Blair Boone, Kelley Burch, Douglas Burke, Starr Corcoran, Jennifer Crow, Lorna MacDonald Czarnota, Julie Czerneda, Roger Czerneda, Merri Lee Debany, Michael Debany, Mary Claire Eamer, Sarah Jane Elliott, Sarah Esposito, Chris Fallacaro, Dan

Fallacaro, Mike Fallacaro, Nadine Fallacaro, James Alan Gardner, Mantovani „Monty” Gay, Julie Green, Lois Gresh, Ann Hergott, Lara Herrera, Robert Herrera, Danielle Hilborn, Heather Houghton, Pamela Ireland, Lorne Kates, Allison King, Jana Paniccia, Jennifer Margaret Seely, Denby „Skip” Stowe, Ruth Stuart i John Wulf.

Prolog



Koniec lipca

Gdy zebrali się na dzikich terenach między dwoma Wielkimi Jeziorami Tala i Etu, ich kroki wypełniły ziemię głuchą ciszą.

Byli Starszymi, pierwotnymi postaciami *terra indigena*, strzegącymi dzikich, pierwotnych części świata. Mniejsze formy tubylców ziemi – zmiennokształtni, tacy jak Wilki, Niedźwiedzie i Pantery – znały ich jako kły i pazury Namid.

Ludzie – błyskawicznie rozprzestrzeniające się dwunożne drapieżniki – rozpoczęli wojnę z *terra indigena*, zaczęli zabijać mniejszych zmiennokształtnych, którzy zamieszkiwali dzikie tereny graniczące z Cel-Romanią, znajdującą się po

drugiej stronie terytorium Oceanu. A tu, w Thaisii, wybito tyle Wilczej Straży, że na niektórych obszarach już w ogóle nie było słycać jej pieśni.

Gdy ludzie w Thaisii i Cel-Romanii świętowali swoje zwycięstwo nad mniejszymi formami *terra indigena*, Żywioly oraz kły i pazury Namid odpowiadały na wezwanie do wojny. Najpierw zniszczyły najeźdźców, a potem rozpoczęły proces dzielenia i zmniejszania ludzkich stad, tak by znajdowały się w tych dwóch częściach świata.

Teraz jednak pojawił się problem.

Część z nas będzie musiała pilnować ludzi, powiedział najstarszy samiec. Nawet tak niewielki kontakt może nam zaszkodzić. Zapadła cisza, gdy zaczęli rozważać przejęcie zadania, które przez tyle lat wykonywali mniejsi zmiennokształtni. A potem padło pytanie: *Ilu ludzi zatrzymamy?*

Zabić ich wszystkich! warknął inny samiec. *To właśnie zrobiliby z nami ludzie!*

Zabiłbyś słodką krew? spytała zszokowana samica.

Zapadło ciężkie milczenie, wszyscy zaczęli się zastanawiać nad odpowiedzią.

Słodka krew, wyjący nie-Wilk, zmieniła sytuację na Dziedzińcu w Lakeside – zmieniła nawet część żyjących tam *terra indigena*. Nie była taka jak wrodzy ludzie. Nie była ofiarą. Ona i jej podobni byli cudownymi i przerażającymi stworzeniami Namid.

Nie, nie można było zabić słodkiej krwi nie-Wilka, zwanej Dziewczyną Kijem od Miotły w opowieściach, które krążyły po dziczy i rozbawiały nawet najniebezpieczniejsze formy Starszych.

Zgodzili się co do tego, że wybicie wszystkich ludzi w Thaisii nie było dobrym rozwiązaniem, i zastanawiali się nad dalszymi posunięciami jeszcze długo po zachodzie słońca.

Skoro mamy zachować przy życiu część ludzi, to których mamy wybrać? spytał wreszcie najstarszy samiec.

To była zupełnie inna kwestia. Bardzo złożona i skomplikowana. Wielu z mniejszych zmiennokształtnych, którzy przetrwali ataki, wycofało się z zamieszkałych przez ludzi terenów i zostawiło ich na łaskę i niełaskę Starszych.

Niektórzy zaczęli unikać wszelkiego kontaktu z ludźmi i wrócili do dziczy, inni postanowili osiąść w odzyskanych miastach – w których znajdowały się ludzkie budynki i sprzęty, ale już bez lokatorów i właścicieli.

Jednakże strzegący pierwotnych terenów Starsi z reguły trzymali się z dala od takich miejsc, chyba że trafiali do nich pod postacią kłów i pazurów Namid. Nie nawiązywali kontaktów z ludźmi, tak jak robili to mniejsi zmiennokształtni. Z opowieści wiedzieli, że istnieją różne gatunki dwunożnych drapieżników, jednak nie mieli pojęcia, co sprawiało, że jeden człowiek szanuje ziemię i wyznaczone

granice, natomiast inny zabija i porzuca mięso albo odbiera domy upierzonym czy futrzastym stworzeniom. Ludzie z LPiNW wypowiedzieli wojnę *terra indigena*. Czy istniały inne wrogie gatunki, których Starsi jeszcze nie poznali?

Czy jeśli ludzie powrócą do odzyskanych miast, zaczną walczyć ze zmiennokształtnymi, próbującymi dostosować te miejsca do *terra indigena*, którzy nie chcieli całkowicie porzucić ludzkiej postaci? Ale przecież tubylcy ziemi przyjmowali nie tylko postać innego drapieżnika, lecz i jego cechy. Czy istniały ludzkie cechy, których nie powinny przyjmować *terra indigena*? Dokąd mogli się udać Starsi, żeby przyjrzeć się ludziom i ustalić, do czego nie wolno dopuścić w odzyskanych miastach?

Naraz wszyscy Starsi odwrócili się i popatrzyli w stronę Lakeside.

Ten Dziedziniec nie został porzucony, mieszka tam ludzkie stado, powiedziała najstarsza samica.

Mieszkali tam również Wilk i wyjący nie-Wilk, który intrygował tak wielu Starszych. Wzięcie udziału w wydarzeniach, o których opowieści będą potem krążyć po dzikiej krainie, było warte ryzyka skażenia ludźmi.

Ciekawość przepełniała wszystkich, ale tylko jeden samiec i jedna samica mieli się udać na ten niewielki, zajęty przez ludzi obszar. Byli w Lakeside już wcześniej – pod postacią kłów i pazurów Namid wałęsali się po zamglonych ulicach i polowali na ludzkie ofiary.

Zadowoleni z podjętej decyzji, Starsi wrócili na swoje dzikie tereny, a wybrana para wyruszyła w podróż do Lakeside na rozpoznanie ludzkiego stada.

NAMID – ŚWIAT

KONTYNENTY I TERYTORIA (jak dotąd)

Afrikah

Australis

Brytania/Dzika Brytania

Celtycko-Romańska Wspólnota Narodów/Cel-Romania

Felidae

Kościste Wyspy

Burzowe Wyspy

Thaisia

Tokhar-Chin

Zelande

WODY

Wielkie Jeziora: Największe, Tala, Honon, Etu i Tahki

Pozostałe jeziora: Jeziora Piór/Jeziora Palczaste

Rzeka: Talulaha/Wodospad Talulaha

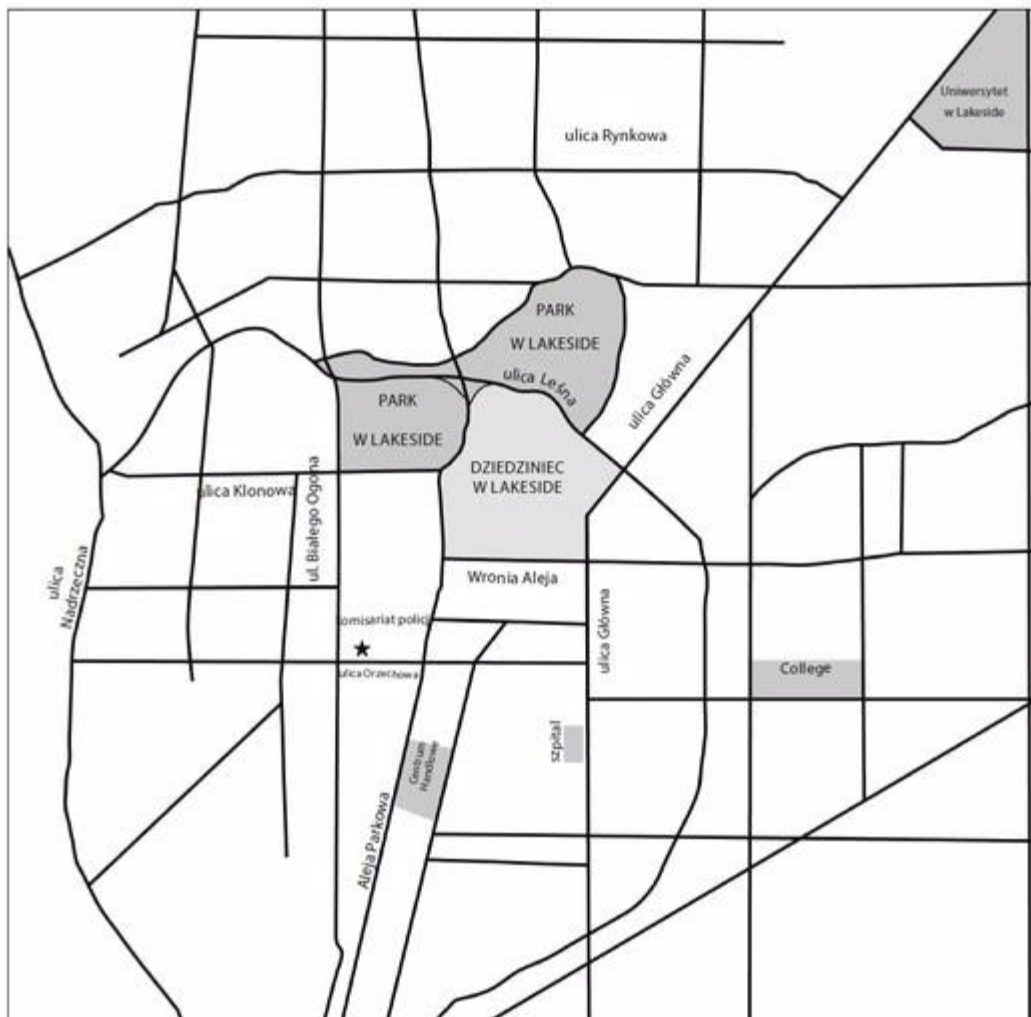
GÓRY

Addirondak, Skaliste

MIASTA I WIOSKI

Przystań Przewoźników, Centrum Północ-Wschód (Dyspozytornia),
Georgette, Laketown, Podunk, Sparkletown, Talulah Falls, Toland, Orzechowy
Gaj, Pole Pszenicy, Bennett, Wioska Wytrzymałych, Złota Preria, Shikago,
Sweetwater

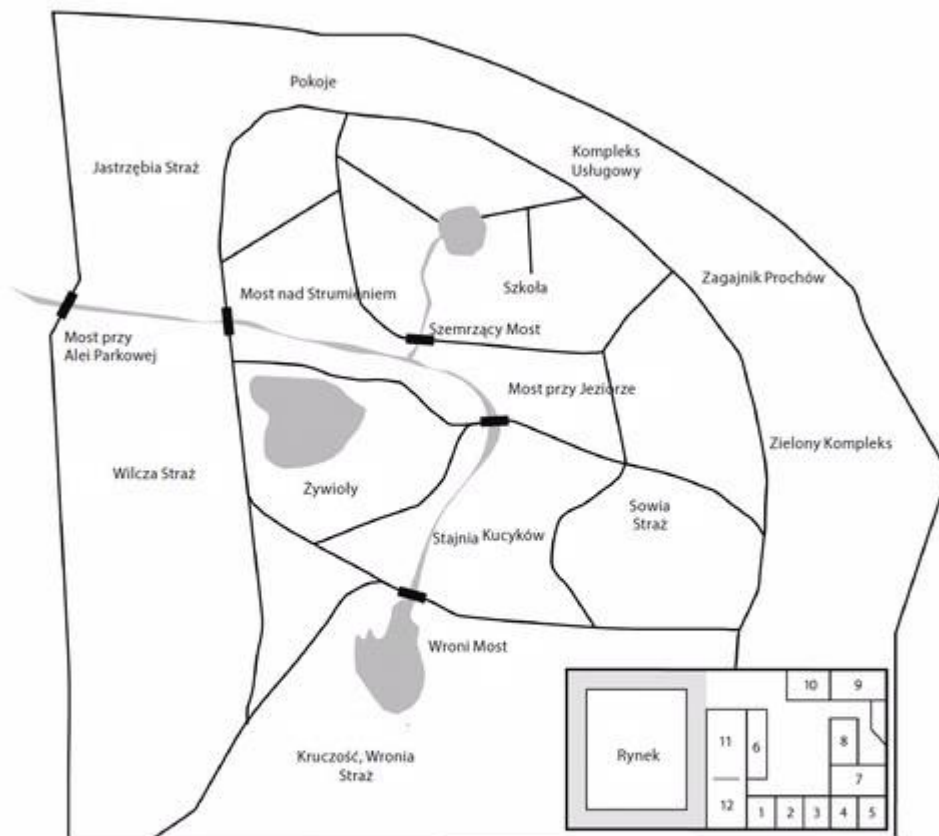
Plan Lakeside



© 2012 Anne Bishop

Autorka zaznaczyła tylko elementy występujące w powieści.

Dziedziniec w Lakeside



© 2012 Anne Bishop

- | | |
|--|-------------------------------------|
| 1. Pracownia krawiecka/
mieszkania służbowe | 7. Galeria i pracownia
Henry'ego |
| 2. Coś na Ząb | 8. Biuro łącznika |
| 3. Zabójczo Dobre Lektury | 9. Konsulat |
| 4. Siup i Łup | 10. Trzy P |
| 5. Świetlica | 11. Parking dla pracowników |
| 6. Garaże | 12. Parking dla klientów |

Krótką historia świata



Dawno, dawno temu Namid zrodziła wszelkie istoty żywe – w tym te nazywane ludźmi. Podarowała ludziom żyzne obszary samej siebie i wodę zdatną do picia, a znając ich delikatną naturę, jak również naturę innych swoich dzieci, odizolowała ich, by mieli szansę przeżyć i rozwijać się. Ludzie dobrze wykorzystali tę szansę. Nauczyli się budować domy i krzesać ogień. Nauczyli się uprawiać ziemię i wznosić miasta. Zbudowali też łodzie i zaczęli łowić ryby w Morzu Śródziemnym i Morzu Czarnym. Rozmnażali się i rozprzestrzeniaли po swojej części świata, aż natrafili na dzikie miejsca. To wtedy odkryli, że resztę świata zasiedlają inne dzieci Namid. Jednak Inni nie dostrzegli w ludziach zdobywców. Dostrzegli w nich nowy rodzaj mięsa.

Tak zaczęły się wojny o dzikie miejsca. Czasami ludzie wygrywali i rozprzestrzeniaли się nieco bardziej, częściej jednak znikwały całe fragmenty ich cywilizacji, a ci, którzy ocalili, trzęśli się ze strachu, słysząc wycie wilków. Zdarzało się też, że ktoś za bardzo oddalił się od domu, a rano znajdowano go martwego, pozbawionego krwi.

Mijały wieki. Ludzie zbudowali większe statki i przepłynęli Atlantyck. Kiedy natrafili na dziewiczy ląd, na wybrzeżu zbudowali osadę. Wówczas odkryli, że i to miejsce zajęte jest przez *terra indigena*, czyli tubylców ziemi. Innych.

Terra indigena rządzący kontynentem nazywanym Thaisią poczuli gniew, gdy ludzie zaczęli wycinać drzewa i orać ziemię, która nie należała do nich. Zjedli więc osadników i nauczyli się przybierać ich kształt, tak jak wcześniej wielokrotnie nauczyli się przybierać kształt innego mięsa.

Druga fala osadników znalazła opuszczoną osadę i ponownie spróbowała ją zasiedlić.

Ich również zjedli Inni.

Na czele trzeciej fali osadników stał człowiek, który był mądrzejszy niż jego poprzednicy. Zaproponował Innym ciepłe koce, materiał na ubrania i interesujące błyszczące przedmioty – w zamian za zgodę na zajęcie osady i uprawę okolicznej ziemi. Inni uznali, że to uczciwa wymiana, i opuścili tereny użyczone ludziom. Otrzymali więcej prezentów w zamian za prawo do polowań i połowu ryb. Taki układ zadowalał obie strony, choć jedna z trudem tolerowała nowe sąsiedztwo, a druga ogradzała swe osady i żyła w ciągłym strachu.

Płynęły lata, osadników przybywało. Wielu umierało, ale wielu wiodło się całkiem dobrze. Osady rozrastały się w wioski, te w miasteczka, a te z kolei w miasta. Stopniowo ludzie rozprzestrzenili się po całej Thaisii na ziemiach użyczonych im przez Innych.

Mijały wieki. Ludzie byli bystrzy, ale Inni również. Ludzie wynaleźli elektryczność i kanalizację. Inni kontrolowali wszystkie rzeki, które zasilają generatory, i wszystkie jeziora, które dostarczały wody pitnej. Ludzie wynaleźli silniki parowe i centralne ogrzewanie. Inni kontrolowali zasoby paliwa potrzebnego do pracy silników i ogrzewania domów. Ludzie wynajdowali i produkowali różne rzeczy. Inni kontrolowali surowce, a zatem decydowali o tym, co można, a czego nie można produkować w ich części świata.

Oczywiście zdarzały się konflikty i niektóre ludzkie miasta znów pochłonął las. Wreszcie ludzie pojęli, że to *terra indigena* rządzi Thaisią i tylko koniec świata może to zmienić.

Obecnie sytuacja kształtuje się następująco: na ogromnych terenach należących do Innych rozrzucone są niewielkie ludzkie osady. W większych miastach znajdują się ogrodzone parki nazywane Dziedzińcami, gdzie mieszkają Inni, których zadaniem jest obserwowanie ludzi i pilnowanie przestrzegania umów, jakie zawarli z *terra indigena*. Po jednej stronie wciąż panuje niechętna tolerancja – a po drugiej strach. Ale jeśli ludzie będą ostrożni, przetrwają. Przynajmniej niektórzy z nich.

Rozdział 1



Środa, 1 sierpnia

Chcąc jak najszybciej dołączyć do Wilków i pobiegać we wczesnoporannym słońcu, Simon Wilcza Straż, dowódca Dziedzińca w Lakeside, pędził w stronę przyjaciół, którzy chowali się za drzewami i krzakami, by z ukrycia obserwować wybrukowaną drogę otaczającą Dziedziniec. Tak naprawdę obserwowali jednak nie drogę, a mężczyznę, który jechał nią powoli.

To Kowalski, warknął Blair. Było to ciche warknięcie, ale człowiek natychmiast zaczął się rozglądać, jakby jego małe uszy były w stanie złowić ten dźwięk.

Na rowerze, dodał Nathan.

Pozwoliliśmy mu na jazdę po wybrukowanych drogach, rzekł Simon, trochę zmartwiony faktem, że tak bardzo się martwią poczynaniami dobrze im znanego człowieka.

Karl Kowalski był jednym z ludzkich policjantów, którzy współpracowali bezpośrednio z *terra indigena*, żeby zminimalizować ryzyko wystąpienia

konfliktów między ludźmi a Innymi. Z tego względu przyklepiono mu łatkę miłośnika Wilków i był skonfliktowany z innymi ludźmi. Ostatni incydent miał miejsce w zeszłym tygodniu, gdy jakiś samochód „przez przypadek” gwałtownie skręcił z drogi i niemal potracił Kowalskiego, gdy ten jeździł na rowerze. Ponieważ *terra indigena* odebrali to jako groźbę skierowaną do członka ich ludzkiego stada, Simon, Vladimir Sanguinati i Henry Niedźwiedzia Straż – członkowie Stowarzyszenia Przedsiębiorców Dziedzińca – postanowili pozwolić ludzkiemu stadu jeździć na rowerze po wybrukowanych drogach.

Simon był przekonany, że wszystkie Wilki zostały poinformowane o decyzji Stowarzyszenia Przedsiębiorców – zwłaszcza Nathan, który trzymał straż w biurze łącznika, i Blair, kontroler stada na Dziedzińcu – jednak po raz pierwszy człowiek odważył się jeździć po drodze, na której nadal wisiała tabliczka ostrzegawcza „Intruzi będą zjadani”.

Simonie, chodzi o rower, warknięcie Blaira nie było już tak ciche.

Kowalski zaczął pedałowac trochę szybciej.

Ach. Rower. Teraz Simon już rozumiał, o co chodziło Wilkom – dlaczego tak się ekscytowały tą sytuacją. Ludzie jeździli na rowerach do Zielonego Kompleksu i do kilku innych miejsc na Dziedzińcu – te dwukołowe pojazdy bardzo intrygowały Wilki. Teraz jednak nie chodziło o transport z miejsca w miejsce. To musiało być coś innego.

Zabawa w ganianego? spytała z nadzieją Jane, chodzące ciało Wilczej Straży.

Mogli się umówić, że Kowalski jest ofiarą, rzekł Nathan.

A czy on umie się w to bawić? spytał Blair.

Jest policjantem, odparł Nathan. *Cały czas gania innych ludzi.*

To jeszcze nie oznacza, że rozumie zasady naszej zabawy. Zdaniem Simona Nathan nie miał pojęcia o pracy policji – miał jedynie jakieś nadzieje w tym względzie. Mimo wszystko mogli spróbować zaproponować zabawę. Jeśli Kowalski się nie zgodzi, to po prostu sobie pobiegają. Ale... ten rower. Simon naprawdę miał ochotę poganiać za rowerem. *Dowiedzmy się.*

Wybiegły na drogę – Simon i Blair na prowadzeniu. Szybko dogoniły swoją udawaną zwierzynę. Czy jednak uda im się pobawić?

Kowalski odwrócił się i wytrzeszczył oczy – zaczął pedałowac jeszcze szybciej.

Tak!

Nie łapiemy, tylko gonimy, zastrzegł Simon.

Szybki jest! Jane przyśpieszyła i wysunęła się przed samców; po kilku sekundach znalazła się tuż za rowerem.

Tylko nie łap za koła! wydyszał Nathan. *Jeśli twój kiel wkręci się w szprychy, możesz złamać sobie szczękę albo jeszcze gorzej.*

Uważałam, gdy oficer Karl opowiadał szczeniakom o niebezpieczeństwach płynących z gryzienia kół, warknęła Jane, wyraźnie urażona tym niepotrzebnym pouczeniem. Przyśpieszyła jeszcze bardziej – była już w idealnej pozycji, żeby podgryźć łydkę Kowalskiego.

Ten spojrział na nią i ponownie przyśpieszył. Zamiast jechać przez most, dzięki czemu trafiłby do części zamieszkałej przez Jastrzębie, skręcił w drogę biegnącą wzdłuż jeziora Żywiółów, tak by wrócić do Zielonego Kompleksu.

Wilki biegły, ale wciąż utrzymywały ten sam dystans, nawet gdy Kowalski zwolnił, jadąc pod górkę. Na zmianę goniły rower i zmuszały swoją ofiarę do ucieczki, do nieustannego pedałowania. Gdy dotarli do skrzyżowania z główną drogą Dziedzińca, Kowalski skręcił w lewo, na Zielony Kompleks, zamiast w prawo – w stronę targu.

Kiedy ofiara opadła z sił, większość stada zwolniła, a potem zawróciła do kompleksu Wilczej Straży. Nathan ruszył na targ i do biura łącznika, gdzie miał obserwować dostawców i pilnować Meg Corbyn, łączniczki z ludźmi. Simon i Blair biegli za Kowalskim aż do Zielonego Kompleksu. Następnie Blair udał się do Kompleksu Usługowego, a Simon pobiegł do wody przez część wspólną, stanowiącą otwarty środek jedyne go kompleksu wspólnego dla wszystkich gatunków. Napił się, a potem przybrał ludzką postać i wsadził głowę do wody. Po chwili wyprostował się i odrzucił ciemne włosy z twarzy, rozpryskując wodę wokół. Schłodził ramiona i pierś. Wyszczrzył zęby, gdy Kowalski zostawił rower i ostrożnie zbliżył się do Wilka.

– To była świetna zabawa w ganianego! – rzekł radośnie Simon. – Muszę przyznać, że umiesz grać rolę zwierzyny.

– Naprawdę?

– Tak. – Simon przekrzywił głowę, dziwiąc się nieufności człowieka. Przecież świetnie się bawili, prawda? – Chcesz trochę wody? – zaproponował.

– Dziękuję. – Kowalski ochlapał twarz i kark, a potem ramiona. Ale nie wziął nawet łyka.

Przez chwilę Simon się nad tym zastanawiał. Ludzie byli mądrymi, ekspansywnymi drapieźnikami, które ostatnio po raz kolejny udowodniły *terra indigena*, że nigdy nie będzie można im w pełni zaufać – oni nie ufali nawet sobie samym. Pod względem fizycznym byli jednak o wiele słabsi niż inne drapieźniki. Weźmy na przykład to niepicie. Przecież w wodzie nie było nic złego. Ktoś spuścił już tę wczorajszą i wykorzystał ją do podlania drzewa i innych roślin, a potem dołatł świeżej – do picia i chlapania się. Ludzie pili wodę pompowaną ze studni, ale tylko ze szklanki, wiadra albo innego małego pojemnika, ale nie mogli pić tej samej wody ze wspólnego zewnętrznego zbiornika? Jakim cudem przetrwali tak długo jako gatunek?

– A czy ktoś nie umie grać roli ofiary? – spytał Kowalski i wytarł twarz

dłonią.

– Stado samic. Za każdym razem, gdy zapraszamy je do zabawy, zatrzymują rowery i pytają, czy mogą nam w czymś pomóc. – Simon rozłożył ramiona w geście sugerującym, że kompletnie tego nie rozumie. Potem wskazał na Kowalskiego. – Ale ty sam zainicjowałeś zabawę i mieliśmy świetną przebieżkę.

Kowalski prychnął cicho.

– No cóż, ja też.

– Ponieważ samice nie potrafią pedałować tak szybko i długo jak ty, może mogłyby się bawić ze szczeniakami. Dzięki temu szczenięta mogłyby się nauczyć biegać w stadzie bez ryzyka, że zostaną kopnięte czy zranione przez prawdziwą ofiarę.

Przyglądali się sobie przez chwilę.

– Porozmawiam z Ruthie – obiecał w końcu Kowalski.

Usłyszeli szczęk szkła i obaj spojrzeli w stronę letniego pokoju pod mieszkaniem Meg Corbyn.

– Musi być później, niż myślałem – rzekł Kowalski. – Lepiej wróć do domu i umyj się przed pracą.

Simon patrzył, jak mężczyzna idzie w stronę roweru – i letniego pokoju. Przez chwilę wydawało mu się, że Kowalski chce wejść do środka i porozmawiać z Meg, i poczuł, jak jego kły wydłużają się do długości kłów wilka, wargi się podnoszą, a z gardła dobywa się ciche warknięcie. Ale Kowalski tylko uniósł dłoń i powiedział:

– Cześć, Meg.

A potem odjechał.

Simon ruszył, ale gwałtownie się zatrzymał, uświadomiwszy sobie, że jest nagi w ludzkiej postaci. Wcześniej nie miało to dla niego żadnego znaczenia – aż do czasu, gdy na Dziedzińcu zamieszkała Meg. Ludzie reagowali w różny sposób na widok nagich innych przedstawicieli swojego gatunku, nawet jeśli ubranie nie było konieczne dla ochrony czy ciepła. Meg świetnie dopasowała się do swoich zmiennokształtnych futrzastych czy pierzastych przyjaciół, ale była inna niż oni – była inna niż on – i może to dlatego ich przyjaźń różniła się od jej pozostałych relacji – czy to z ludźmi, czy z *terra indigena*.

Przez większość nocy spał z nią, przybrawszy postać Wilka. Mieli osobne mieszkania, ale były one połączone letnim pokojem i tylnym korytarzem. Coraz częściej zachowywali się, jakby mieszkali razem. Nie połączyli się jednak w parę w sposób, w jaki połączyli się Kowalski i Ruthie. Ale z drugiej strony *terra indigena* parzyli się tylko raz w roku, gdy samice miały ruję. Meg krwawiła tak jak ludzkie samice – co miesiąc, nie wykazywała jednak żadnego zainteresowania łączeniem się w pary. Ale...

Kilka tygodni temu poprosiła go, żeby popływał z nią nago. Żeby oboje byli

nadzy, w ludzkiej postaci. Bardzo zdenerwował ją fakt, że siedzi z nim naga w wodzie; wyglądała na przerażoną, gdy pocałował bliznę z prawej strony jej szczęki – bliznę, dzięki której ocalała Wilczą Straż w Lakeside oraz wiele innych Wilków w Rejonie Północno-Wschodnim i poza nim.

Już wcześniej ją całował – raz czy dwa w czoło. Kiedy jednak musnął ustami tę bliznę, poczuł, że coś się w nim zmienia, a w ciągu kolejnych dni zaczął instynktownie rozumieć, że nie jest taki sam jak reszta Wilczej Straży. Już nie.

Może nie tylko przez wzgląd na Meg poprosił ją po pocałunku, żeby rozpoczęli Wilczą zabawę, mimo że oboje wyglądali jak ludzie. Wtedy już się nie bała. A od tej pory... No cóż, nie umknął mu fakt, że podczas takich upałów, jak teraz, ludzie nie nosili niemal żadnej odzieży w swoich norach i w ich pobliżu – i nikt nic sobie z tego nie robił.

– Na górze jest bardzo gorąco – rzekła Meg cicho, wiedziała jednak, że ją słyszy. Jego uszy może i wyglądały na ludzkie, nadal jednak był Wilkiem. – Zniosłam tu trochę jedzenia na śniadanie.

– Wezmę szybki prysznic i dołączę do ciebie.

Szybko wszedł do środka i po schodach do łazienki w swoim mieszkaniu. Mycie ciała i włosów trwało krótko, ale stał pod prysznicem, żeby nacieszyć się spływającą po ciele chłodną wodą. Jednocześnie zaczął rozmyślać o tym, jaką komplikacją była w jego życiu Meg Corbyn.

Przywiózł ją do Dziedzińca i zaproponował pracę w charakterze łącznika, jeszcze zanim się zorientował, że jest wieszczką krwi, *cassandra sangue* – rasą ludzkich samic, które widziały przyszłość, gdy nacinano ich skórę. Uciekła od mężczyzny, który był jej właścicielem i wykorzystywał ją, a Simon i reszta *terra indigena* z Lakeside przyjęli ją do siebie.

Brzmiało prosto, ale wcale takie nie było. W Meg nic nie było proste. Była niczym kamień wrzucony do stawu – fale, które powstały na powierzchni wody, zmieniły niemal wszystko, łącznie z *terra indigena*, którzy się z nią zaprzyjaźnili. Ze względu na Meg mieszkańcy Dziedzińca zaczęli wchodzić w bezprecedensowe interakcje z ludźmi – działo się tak po raz pierwszy od wielu wieków. Ze względu na Meg *terra indigena* w całej Thaisii starali się ocalić pozostałe wieszczki krwi, porzucone niczym niechciane szczenięta przez ludzi, którzy kiedyś byli ich właścicielami. Ze względu na Meg na Dziedzińcu w Lakeside zamieszkało stado ludzi, dzięki którym *terra indigena*, pobierający ludzką edukację, nabierali doświadczenia i mogli ćwiczyć swoje umiejętności na ludziach bez ponoszenia odpowiedzialności za swoje błędy.

To właśnie przez Meg zaczął odnosić wrażenie, że w jakiejś niewielkiej części stał się człowiekiem i nie da już się tego cofnąć.

Przez te wszystkie lata dużo ludzkich samic chciało przejść na dziką stronę i uprawiać seks z którymś z przedstawicieli *terra indigena*. A wielu *terra indigena*

zastanawiało się, jak to jest uprawiać seks w ludzkiej postaci. Ciekawość jednak kończyła się na zaspokojeniu swoich potrzeb w ciągu jednej nocy – potem każdy szedł swoją drogą. Albo – jak w przypadku Sanguinatic – pożądanie było wykorzystywane w charakterze wabika, żeby nasycić się krwią wybranej ofiary.

Uprawianie seksu a bycie z kimś w parze to jednak dwie różne rzeczy. Taki związek to już poważna sprawa. Chodziło o stado, o rodzinę. Niektóre gatunki *terra indigena* łączyły się w pary na całe życie, inne – nie. Nawet wśród tych pierwszych zdarzało się, że związek się rozpadał. Ojciec Simona, Elliot, nigdy nie mówił o tym, dlaczego jego samica go porzuciła. A Daphne, siostra Simona, w ogóle nie opowiadała o swojej parze ani o tym, dlaczego przybyła do Lakeside sama tuż przed tym, jak na świat przyszedł jej szczeniak.

Nie, takie związki nie zawsze mogły przetrwać, a gdy się rozpadały, konsekwencje były niewielkie. Po rozstaniu się pary dominującej mógł nastąpić rozpad stada. Niektórzy mogli przyłączyć się do stad zamieszkujących nawet inne części kontynentu. Rozpad związku z reguły nie zagrażał istnieniu gatunku – a przecież mogło się to wydarzyć, jeśli przyjaźń Simona i Meg stałaby się czymś więcej, ale nie przetrwała fizycznego aktu parzenia się. Wiedział o tym. Wiedzieli o tym również Tess, Vlad i Henry. Oraz część ludzi. Podejrzywał jednak, że Meg nie miała o tym pojęcia. Nie był pewien, czy okaże się na tyle silna i udźwignie jeszcze to – już i tak proszono ją o zbyt wiele.

Zranili ją ludzie, którzy ją uwięzili i wykorzystali. Skrzywdzili ją tak, że od tej pory bała się ludzkich samców. Owszem, od czasu do czasu Simon zastanawiał się, czy uprawianie seksu z Meg byłoby w jakiś sposób wyjątkowe, nie chciał jednak ryzykować zerwania łączącej ich więzi. Musiał być bardzo ostrożny – ze względu na Meg, na siebie, na wszystkich. Ile z tego, co ludzkie, zechcą zachować *terra indigena*? Starsi zadali to pytanie, nie określając, czy chodzi o populację ludzi, o ich wynalazki, czy o jakieś nieuchwytnie cechy, które były przyswajane razem z fizyczną postacią, jeśli przybrało się ją na dłuższy czas.

Zakręcił wodę, wytarł się, a następnie założył parę przyciętych dżinsowych spodni.

Gdy Starsi zapytali o to po raz pierwszy, pomyślał, że czekają na odpowiedź w postaci słów. Kiedy jednak wybuchła wojna w Celtycko-Romańskiej Wspólnocie Narodów po drugiej stronie Atlantyku, a Starsi podjęli decyzję o zmniejszeniu i oddzieleniu ludzkich stad w Thaisii, Simon zrozumiał, że odpowiedź będzie zależała od tego, czego dowiedzieli się oni o wydarzeniach na Dziedzińcu i w jego okolicach.



Meg rozstawiała naczynia na małym stoliku w letnim pokoju, ale myślami nadal była przy Simonie i Karlu Kowalskim, którzy stali przy wodzie i rozmawiali.

Simon wyglądał na szczęśliwego. Karl stał tyłem do okien pokoju, nie mogła więc dostrzec jego twarzy, jego sylwetka wskazywała jednak na to, że jest spięty. Dlaczego jednak miałby się denerwować czymś, co Simonowi zdawało się sprawiać taką radość? Z drugiej strony – Wilki i ludzie rzadko podchodzili do spraw w taki sam sposób.

Ich ciała pokazywały przeciwne emocje, ale Meg zauważyła też kilka podobieństw. W przeciwieństwie do Henry'ego Niedźwiedziej Straży, wielkiego i umięśnionego nawet w ludzkiej postaci, Simon i Karl mieli silne i szczupłe mięśnie myśliwych, którzy ganiłi za ofiarą – choć Karl pewnie rzadko musiał ganiać za ludźmi, których chciał aresztować. Obaj mieli ciemne włosy, ale włosy Karla były krótsze niż Simona. Prawdziwa różnica – widoczna niemal od razu – dotyczyła jednak ich oczu. Karl miał piwne, a Simon – bursztynowe, w postaci zarówno wilczej, jak i ludzkiej.

Gdy Karl odszedł, uwagę Meg przykuły pewne części ciała Simona, których z reguły nie pokazywał. Nie potrafiła stwierdzić, co czuła, patrząc na nie. Owszem, była przerażona, ale też trochę ciekawa. Ona i Simon się przyjaźnili, uwielbiała Sama, jego siostrzeńca. Co więcej, zostali partnerami, którzy próbowali ocalić Dziedziniec – i miasto Lakeside. Zaangażowali się również w pomoc dla *cassandra sangue*, starających się przetrwać w tym przepęlnym doznaniem światła.

Czytała wiele opowieści o parach – ludzi coś do siebie przyciągało, kłócili się ze sobą, dochodziło między nimi do nieporozumień, uprawiali seks albo zrywali, jeszcze zanim ich związek zdążył się rozwinąć. Jednak to były ludzkie pary, a nie wieszczka krwi i Wilk. Jej ciało wciąż pamiętało krzywdy, jakie spotkały ją w kompleksie, jednak jej umysł już dawno je wyparł. Po tych przeżyciach o wiele łatwiej było jej przebywać z Simonem, gdy miał wilczą postać. W głębi duszy wiedziała, że Simon nigdy nie skrzywdziłby jej, tak jak tamci mężczyźni w kompleksie, ale to w towarzystwie Wilka czuła się bezpieczniej – mimo jego kłów i pazurów.

Mimo wszystko teraz, gdy zobaczyła go bez ubrań... Owszem, to było przerażające, ale coś w niej zatrzepotało; zaczęła się zastanawiać, jakby to było, gdyby...

– Jesteś zdenerwowana.

Niemal przewróciła szklankę wody. Nie słyszała, jak Simon wszedł do pokoju.

– Wcale nie. – A jednak. Jego męskie ciało, które widziała w całej okazałości – poza przerażającymi, ukrytymi w spodniach fragmentami – bardzo ją rozpraszało. A potem zorientowała się, że ma na sobie tylko cienką bawełnianą sukienkę i majtki. Gdy ubierała się po porannym prysznicu, nie miało to większego znaczenia.

„Sama się o to prosiła”. Nie pamiętała, czy przeczytała to zdanie w jakiejś

książce, czy było to wspomnienie – wizja ze starego proroctwa. Wiedziała jednak, że właśnie taką wymówkę podawał mężczyzna, zmuszając ją do uprawiania z nim seksu.

Nie zastanawiała się nad tym, co na sobie miała, ale skoro ona zwróciła uwagę na ciało Simona, to może on zwrócił uwagę na nią? Tak jakby...

„Sama się o to prosiła”.

Nie! Ludzki samiec może pomyślałby w ten sposób, ale nie Simon, nawet w ludzkiej postaci. Jej mózg doskonale zdawał sobie z tego sprawę – o wiele łatwiej byłoby, gdyby zrozumiało to również jej ciało.

– Oczywiście, że tak. – Podszedł bliżej i zmrużył bursztynowe oczy. Wcześniej jednak Meg zdążyła dostrzec czerwone błyski, co oznaczało, że był zły. – Pachniesz zdenerwowaniem. I trochę chciwą, ale głównie zdenerwowaniem. – Warknął, obnażając zdecydowanie mało ludzkie kły. – Czy Kowalski cię zdenerwował?

– Nie. – Czują, że cała się trzęsie, jednak jej odpowiedź zabrzmiała stanowczo i ostatecznie. Ostatnie, czego pragnęła, to by Simon zezłościł się na kogoś z jej ludzkich przyjaciół. – Myślałam o czymś smutnym.

Przestał warczeć i przekrzywił głowę – teraz wyglądał bardziej na zdumionego niż złego.

– Dlaczego miałabyś myśleć o czymś smutnym?

Zacząła się w niego wpatrywać. Nie chciała mu powiedzieć, o czym myślała – a tak z pewnością brzmiałoby jego kolejne pytanie – wzruszyła więc ramionami i zmieniła temat na taki, który z pewnością go zainteresuje: jedzenie.

– Nie mogłam zdecydować, co zrobić na śniadanie, więc przyniosłam dużo różnych rzeczy, łącznie z tym. – Podniosła mały pojemniczek i łyżeczkę, ale nagle się zawahała.

– Co to jest?

– Jogurt. – Przełknęła porcję białej zawiesiny i zaczęła się zastanawiać, dlaczego zdaniem Merri Lee i Ruth jogurty są smaczne. Może to kwestia gustu? – Spróbuj. – Wyciągnęła łyżeczkę z kolejną porcją w stronę Simona, zastanawiając się, jak zareaguje.

Przechylił się i zaczął ją wąchać. A potem zjadł.

Meg wstrzymała oddech, niepewna, czy Simon przełknie czy wypluje jogurt.

Przełknął. A potem spojrzał na pozostałe pokarmy, które przyniosła.

– Dlaczego miałabyś jeść to coś, skoro możesz jeść plastry mięsa bizona?

Meg nie lubiła bizoniego mięsa.

– Merri Lee i Ruth mówią, że jogurt jest dobry dla wnętrzości, zwłaszcza dla wnętrzości dziewczyny.

– Cieszę się, że nie jestem dziewczyną – mruknął Simon, a następnie nałożył sobie na talerz kilka plastrów mięsa, rozglądając się za odpowiednimi dodatkami.

Meg wmusiła w siebie jeszcze jedną łyżeczkę jogurtu, a potem zamknęła pojemniczek. Wystarczy. Dzisiaj już dostatecznie zadbała o swoje wnętrze. Zjadła połowę jagód i podsunęła miskę Simonowi. Miała nadzieję, że odmówi, on jednak z radością przyjął swoją część, przez co Meg musiała się zadowolić plasterkiem ostrego sera.

– Prawie nic nie jesz – zauważył kilka minut później.

– Na razie mi wystarczy. – To była prawda; przed pracą chciała jeszcze zajrzeć do Czegoś na Ząb i sprawdzić, co Nadine Fallacaro i Tess przygotowały do baru na Dziedzińcu.

Zabrali resztę jedzenia do jej mieszkania, a następnie pozmywali. Później Simon poszedł do siebie, żeby przebrać się do pracy.

Meg przyglądała się ubraniom wiszącym w szafie, rozważając, które z nich nadają się dla łączniczki i jednocześnie są na tyle praktyczne, żeby mogła założyć je w upalny, parny dzień. Ostatecznie wybrała ciemnozielone szorty, brzoskwińową koszulkę z krótkim rękawem i wygodne sandały.

Upewniła się, że schowała do plecaka książkę, którą aktualnie czytała, a potem zamknęła drzwi do mieszkania i zeszła na dół, żeby poczekać na Simona.



Porucznik Crispin James Montgomery odwrócił głowę, by spojrzeć na Grega O'Sullivan, agenta Biura Śledczego, który siedział z tyłu radiowozu. Gdy O'Sullivan popatrzył znacząco na trzeciego mężczyznę w samochodzie, Monty zerknął na swego partnera, oficera Karla Kowalskiego, który wioził ich na spotkanie z nowym p.o. burmistrza i komisarzem policji.

Kowalski był pełnym wigoru mężczyzną pod trzydziestkę. Jako policjant bardzo zaangażowany w swoją pracę, starał się pomagać ludziom z Lakeside w nawiązaniu dobrych relacji z *terra indigena* – miał przez to problemy z właścicielem, od którego wynajmował mieszkanie; poróżnił się też ze swoimi rodzicami i bratem.

Ale po wybiciu ludzi w kilku miastach na Środkowym i Północnym Zachodzie w odwecie za rzeź Wilczej Straży na tych samych terenach, po burzach, które przeszły nad Thaisią i Lakeside, po tym, jak ludzie na krótko zobaczyli przerażających *terra indigena*, którzy żyli na dzikich obszarach i rządili nimi, Monty zastanawiał się, czy zdaniem Kowalskiego nadal istnieje szansa na to, że ludzie przetrwają wściekłość Żywiołów i *terra indigena*, znanych jako kły i pazury Namid.

Zastanawiał się również, co zrobi, jeśli Kowalski i Michael Debany, drugi policjant w ekipie, zechcą pracować w innym zespole albo nawet przenieść się na inny komisariat w Lakeside.

– Wszystko w porządku? – spytał Monty, choć wiedział, że pytanie o to

siedzącego w samochodzie O'Sullivanana nie ma większego sensu. Agent robił, co mógł, żeby zachęcić do dialogu Simona Wilczą Straż i pozostałych członków Stowarzyszenia Przedsiębiorców Dziedzińca, nikt jednak nie znał go na tyle dobrze, żeby uważać go za przyjaciela.

Kowalski zatrzymał się za autobusem, do którego właśnie wsiadali pasażerowie. Czemu go nie ominie? Jeśli będą czekać za autobusem na każdym przystanku, spóźnią się na zebranie.

Kątem oka Monty zobaczył, jak O'Sullivan zakrywa dłonią swój zegarek, co oznaczało jedno: możemy się spóźnić.

Monty i O'Sullivan byli swoimi fizycznymi przeciwieństwami. Greg O'Sullivan był po trzydziestce, miał zielone, bystre oczy i krótkie włosy, które zaczęły mu się przerzedzać na czubku głowy. W pracy był gorliwy i wykonywał wszystkie polecenia niczym surowy, zawzięty wojownik. Monty był najstarszy ze wszystkich mężczyzn, choć wciąż przed czterdziestką. Miał ciemną karnację, brązowe oczy i krótkie, kręcone, siwiejące już włosy – poza tym nie wszystkie zmarszczki na jego twarzy były mimiczne. Już nie.

– Dzisiaj rano urządziłem sobie przejażdżkę rowerową po Dziedzińcu, a skończyłem, bawiąc się w ganiego z Wilkami – powiedział Kowalski. – Zostałem wyznaczony do odegrania roli ofiary.

O'Sullivan pochylił się do przodu.

– Wszystko w porządku? – upewnił się.

Kowalski spojrział we wsteczne lusterko i ominął autobus, który zatrzymał się na kolejnym przystanku.

– No cóż, nie planowałem aż tak intensywnych ćwiczeń przy tej pogodzie. Wilki nie zrobiły mi krzywdy, jeśli o to pytasz. Nawet nie próbowały. Dla nich to była zabawa; widocznie w jakiś sposób zasygnalizowałem, że mam na nią ochotę. Ale, na bogów, gdy zobaczyłem je na rynku... Nie chodzi o to, że zapomniałem, jakie są wielkie, ale naprawdę nie miałem pojęcia, jakie wrażenie robią ich gabaryty, gdy polują. Kiedy zobaczyłem, że biegną w moją stronę, instynkt podpowiedział mi, żeby uciekać. Oczywiście mi się nie udało.

– A wiesz, w jaki sposób zaprosiłeś je do zabawy? – spytał cicho Monty.

Kowalski na chwilę skupił się na prowadzeniu.

– Simon powiedział, że zamiast przyjąć zaproszenie do zabawy, dziewczyny zatrzymują się i pytają, w czym mogą pomóc – pewnie więc chodziło o to, że zamiast przystanąć, ruszyłem do przodu.

– Instynkt drapieżnika – rzekł O'Sullivan. – Gdy coś biegnie, drapieżnik zaczyna to gonić.

– Wcześniej nigdy nie gonili żadnego z nas, a przecież cały czas jeździmy rowerami do ogrodu warzywnego w Zielonym Kompleksie. – Światło zmieniło się na żółte. Kowalski zahamował, zamiast przyspieszyć. – Z początku myślałem, że

Wilki, które mnie gonią, nie słyszały o tym, że otrzymaliśmy pozwolenie na jazdę na rowerze po brukowanych ulicach. Potem jednak rozpoznałem Nathana i chyba Simona. Przy drogach nadal stoją tabliczki z ostrzeżeniem „Intruzi będą zjadani”, więc gdy zobaczyłem, że Wilki pędzą w moją stronę... – Wypuścił powietrze i wcisnął pedał gazu, gdy ponownie zapaliło się zielone światło. – To tylko zabawa. Zdaniem Simona wszyscy świetnie się bawiliśmy. Owszem, Wilki na pewno miały niezły ubaw.

– A ty? – spytał Monty.

– Patrzymy na te same rzeczy, ale nie widzimy tych samych rzeczy. Uświadomiłem sobie, jak łatwo jest wysłać jeden niewłaściwy sygnał i wszystko spieprzyć.

Monty wyjrzał przez okno i zaczął się zastanawiać, jaki sygnał wyślą nowy burmistrz i komisarz policji.



Meg otworzyła biuro łącznika i spojrzała na zegarek. Nathan się spóźniał, ale Jake Wronia Straż był już na swoim posterunku, czyli na wysokim murku, oddzielającym obszar dostaw i teren za studium Henry’ego.

Wyglądało na to, że przez kolejną minutę miała biuro tylko dla siebie.

Czuła mrowienie w rękach. Nie klucie, poprzedzające potrzebę nacięcia skóry i wypowiedzenia proroctwa, ale coś łagodniejszego, bardziej wspomnienie niż trwoga.

Otworzyła szufladę i podniosła wieko drewnianej skrzynki, którą zrobił dla niej Henry. Popatrzyła na koszulki kart do przepowiadania przyszłości, których nauczyła się używać do poznawania proroctw, by już nie nacinać skóry srebrną brzytwą. Może dziś wreszcie wyjmie z pudełka wszystkie karty i zacznie odrzucać te, które nie będą potrzebne do utworzenia talii kart Pionierki.

Zaczęła niepewnie tasować karty. Nie żeby to miało dla niej jakieś znaczenie – gdy zadawano pytanie, czuła mrowienie w dłoniach i na podstawie intensywności tego odczucia wybierała właściwe karty.

Zamknęła oczy, tak by nie widzieć koszulek. Dotknęła kart koniuszkami palców i szepnęła:

– Jakie znaczenie dla Lakeside będzie mieć spotkanie z nowym burmistrzem?

Nic. Nic się nie wydarzyło. Przejechała palcami po kartach, ale zniknęło nawet delikatne mrowienie. Potem jednak pojawiło się pieczenie w opuszkach palców prawej dłoni. Zaczęła rozsuwać karty, aż dotarła do tej, która wywoływała to uczucie. Wzięła ją i otworzyła oczy – знаła odpowiedź, jeszcze zanim spojrzała na obrazek. Karta pochodziła z dziecięcej talii i została wmieszana w karty proroctw. Obrazki z dziecięcych kart były bardzo przydatne, choć odpowiedzi,

które układała na ich podstawie, z reguły były niepożądane.

Co oznacza dla Lakeside nowy burmistrz? Wielki znak zapytania. Przyszłość nieznana. Przyszłość Lakeside była nieznana, odkąd mieszkający tu *terra indigena* uświadomili sobie, że odpowiedź Starszych na działania ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko będzie bardzo, bardzo ostra.

Dzisiaj jednak Meg miała nadzieję na inną odpowiedź.

Odłożyła kartę i już miała zamknąć skrzynkę, gdy do głowy przyszło jej kolejne pytanie. Lakeside było miastem kierowanym przez ludzi, ale Dziedziniec należał do *terra indigena*. W obliczu ostatnich wydarzeń pojawienie się wrogich stosunków między ludźmi a Innymi mogło mieć straszliwe konsekwencje.

Zamknęła oczy i ponownie położyła palce na kartach. Gdy po raz pierwszy przepowiadała z nich przyszłość, postanowiła, że z trzech wyciągniętych kart pierwsza będzie symbolizować podmiot, druga – akcję, a trzecia – skutek. Nie wiedziała, czy tak właśnie ludzie przepowiadają przyszłość z kart, wyglądało jednak na to, że jej się to udawało.

– Co się stanie z moimi przyjaciółmi z Dziedzińca? – Zaczęła powtarzać to pytanie i szukać obrazków, z których mogłaby wyczytać odpowiedź. Wybrała trzy karty, wywołujące największe mrowienie w palcach, zaniósła je do wielkiego drewnianego stołu do sortowania i zaczęła odwracać w kolejności, w jakiej je wybrała.

Na pierwszej znajdowały się trzy obrazki: pociąg, autobus i samochód. Na drugiej – wybuch. Na trzeciej... znak zapytania. Przyszłość nieznana.

Niedobrze.

Wyjęła z szuflady notes, otworzyła go na czystej stronie, a potem spisała pytania i wyciągnięte w odpowiedzi karty.

Nie miała ochoty odkładać kart na miejsce, dopóki ich komuś nie pokaże, ale też nie miała ochoty pokazywać ich nikomu ze Stowarzyszenia Przedsiębiorców. Może powie o tym któremuś ze swych ludzkich przyjaciół? Po drugiej stronie ulicy, w dwurodzinnym domu na Wroniej Alei, mieszkała Ruth Stuart, a Merri Lee wprowadzała się do mieszkania w jednym z sąsiednich kamiennych budynków. Budynek ten został ostatnio zakupiony przez Dziedziniec w celu zapewnienia pracownikom miejsca do życia, jeśli zostaliby oni wyrzuceni z mieszkań wynajmowanych od innych ludzi.

Sapnęła, usłyszawszy pukanie do drzwi oddzielających sortownię od zaplecza. Uspokoila się, widząc Twylę Montgomery – czekała, aż ktoś ją wpuści. Sortownia była z reguły niedostępna dla ludzi – poza kilkoma wyjątkami – a ponieważ na targ przychodziło ostatnio tyle różnych osób, granic strzegły warczenia i odsłonięte kły.

– Dzień dobry, pani Twylo – rzekła Meg.

Usłyszała jakiś hałas z pomieszczenia z przodu. Najwyraźniej w czasie, gdy

układała karty, do pracy przyszedł Nathan.

– Dzień dobry, pani Meg. – Twyla przeszła przez pokój; postawiła na stole kubek termiczny i pojemnik. – I dzień dobry panu, panie Nathanie. Dzisiaj będzie bardzo parno i wszystko będzie się lepić. Nie zazdroszczę panu noszenia futra, choć jest przepiękne.

Zapadła cisza. Po chwili Nathan odpowiedział cichym „arrrroo” i wrócił na swoje posłanie pod jednym z wielkich okien.

Meg się uśmiechnęła. Twyla Montgomery była matką porucznika Montgomery’ego – chudą kobietą o ciemnej skórze, która z wiekiem coraz bardziej zwisała, brązowych, przeważnie łagodnych oczach i krótkich kręconych włosach, już bardziej siwych niż czarnych. Była również bardzo rozsądna i nie dawała sobie w kaszę dmuchać – dzięki czemu Wilki wołały obserwować ją z bezpiecznej odległości.

– Do Czegoś na Ząb przyszedł pan Simon; narzekał na jogurt, dziewczęce wnętrzości i na to, że nie lubi pani bizoniny – rzekła Twyla. – Pomyślałam sobie, że może dopadła go jakaś choroba mózgu i zaczął gadać bzdury, ale pani Tess powiedziała, że pewnie zjadła pani za mało na śniadanie, więc przygotowała kanapkę z jajkiem i jeszcze coś. – Chwila ciszy. A później: – Dziewczyno, czy ty sobie odmawiasz jedzenia?

– Nie, proszę pani. Zjadłam mało w domu, bo planowałam kupić coś w drodze do pracy. – Ponieważ Twyla nie odrywała od niej wzroku, Meg dodała: – I naprawdę nie lubię bizoniego mięsa.

– Kiedyś spróbowałam kawałek i mi też nie zasmakowało. Podejrzewam jednak, że gdybym miała do wyboru zjeść bizoninę albo chodzić głodna, to bym ją zjadła – i ty też.

Meg pokiwała głową.

– W obliczu takiego wyboru pewnie nawet Simon polubiłby jogurt.

Twyla zaczęła się śmiać.

– Tak sądzisz?

Meg wyobraziła sobie, że ktoś podaje jej talerz z zamoczonymi w jogurcie zawijasami z bizona. Wzdrygnęła się i zaczęła rozważać, czy można zrobić sałatkę ze zwykłej trawy.

Twyla popukała palcami w trzy karty leżące na stole.

– O co w tym chodzi? A może nie możesz mi tego zdradzić?

– To karty do przepowiadania przyszłości, ale ja nazywam je kartami proroctw. Próbuję odkryć, czy niektóre z *cassandra sangue* mogą wykorzystać je do wypowiedania proroctw zamiast nacinania swojej skóry. Tysiąc razy. Powiedziano, że tyle właśnie razy może się skaleczyć wieszczka krwi, zanim zginie lub oszaleje. – Ponieważ większość wieszczek nie dożywała trzydziestych piątych urodzin, dwudziestoczteroletnia Meg odczuwała ogromną motywację, żeby znaleźć

alternatywę dla brzytwy.

– I co te karty ci mówią? – spytała Twyla.

– Nie wiem. Spytałam, co się stanie z moimi przyjaciółmi z Dziedzińca. I w odpowiedzi wyciągnęłam właśnie te karty. – Meg poczekała, aż starsza kobieta stanie przy stole obok niej. Potem powiodła palcem od jednej karty do drugiej. – Podmiot, akcja, skutek.

Twyla zmarszczyła czoło, patrząc na pierwszy obrazek – pociąg, autobus i samochód.

– Jakaś podróż? Albo transport?

– Możliwe, że jedno i drugie. Ta karta oznacza podmiot, ale może też oznaczać, że któraś z tych form transportu ktoś, albo coś, przyjedzie do Lakeside. Wybuch, czyli karta akcji, może oznaczać prawdziwy wybuch bomby albo na przykład wybuch ostrego konfliktu między grupami ludzi. Może więc grupa podróżujących do Lakeside sprowadzi na Dziedziniec jakieś problemy. Nieźle wychodzi mi już wybieranie kart, zawierających odpowiedzi, ale razem z Merri Lee nadal pracujemy nad opracowaniem prawidłowego sposobu ich interpretacji.

Gdy patrzyła, jak Twyla przygląda się kartom, zaczęła jej mrowieć skóra między łopatkami.

– A co oznacza znak zapytania? – spytała zmartwiona kobieta.

– Przyszłość nieznana. Taką samą odpowiedź wylosowałam, kiedy dziś rano spytałam o przyszłość miasta Lakeside. – Meg przyjrzała się Twyli. – Pani wie, co oznaczają te karty, prawda?

– Mam pewien pomysł, ale to nie jest nic, czym chciałabym się dzielić. Jeszcze nie teraz.

Twyla ruszyła na zaplecze.

– Dziękuję za jedzenie! – zawołała za nią Meg.

Kobieta odwróciła się, żeby na nią popatrzeć.

– Bardzo proszę. I nie żałuj sobie jedzenia. Nie ma takiej potrzeby.

Gdy Meg usłyszała, jak drzwi na zaplecze się zamykają, zaczęła się drapać po plecach. Lubiła Twylę Montgomery – nawet Inni obdarzyli starszą kobietę zaufaniem, a w przypadku kogoś, kogo znali tak krótko, była to rzadkość. To właśnie dlatego Meg czuła się teraz tak niepewnie.

Miała nadzieję, że pani Twyla podzieli się z nią swymi obawami, zanim wydarzy się coś złego.



Twyla czyściła blaty stołów w konsulacie – w należącym do Elliota Wilczej Straży budynku na Dziedzińcu. Elliot był twarzą Dziedzińca, *terra indigena*, który rozmawiał z burmistrzem i członkami rady miasta, brał udział w wydarzeniach politycznych i udzielał wywiadów prasie. Szybko jednak zrozumiała, że

prawdziwym liderem Dziedzińca jest Simon.

– Nigdy jeszcze żaden człowiek nie wycierał tych stołów tak długo – rzekł Elliot za jej plecami.

Podskoczyła i odwróciła się w stronę Wilka. Nie usłyszała, jak zszedł na dół ze swego gabinetu na piętrze.

Na pierwszy rzut oka wyglądał na prezesa dużej i dobrze prosperującej firmy: nosił drogie garnitury, przycinał włosy u fryzjera, który prawdopodobnie brał za to więcej, niż ona zarabiała przez tydzień, a jego umięśnione i szczupłe ciało świadczyło o tym, że wiele godzin spędzał na siłowni. Tak, wyglądał jak prezes, a politycy i inni prezesi mogli sądzić, że również myśli tak jak oni. Ale miał bursztynowe oczy Wilka i nawet jeśli ludzie czasem nie brali pod uwagę tego, kim był, on z pewnością cały czas o tym pamiętał.

– Widzę, że w ogóle poświęcali mało czasu na sprzątanie. Dlatego teraz tyle mi to zajmuje – odparła.

Zaczął się jej przyglądać. Przyzwyczaiła się do tego. Wrony, które pracowały na rynku, zawsze miały do niej mnóstwo pytań, a gdy wybierała się do sklepu na zakupy, przynajmniej jedna z nich szła z nią i wypytywała o wybór konkretnych produktów. Wilki starały się ją poznać, starały się poznać wszystkich ludzi, którzy mieli dostęp do sklepów na Dziedzińcu, zauważyła jednak, że ją, Nadine Fallacaro i Katherine Debany, matkę oficera Debany'ego, obserwowali uważniej niż młodsze kobiety należące do stada Meg Corbyn.

Przecież w stadzie Wilków też było tak, że starsze samice uczyły młodsze, prawda?

– Podejź tutaj – rzekł Elliot. A kiedy nie ruszyła się z miejsca, dodał: – Proszę.

Zaprowadził ją do stojących pod ścianą szafek na dokumenty i wskazał stos teczek na niewielkim stoliku pod ostatnią szafką.

– Wiesz, jak to posegregować?

Wzięła jedną z teczek, spojrzała na tytuł na okładce i znalazła właściwą szufladę. Potem podeszła do kolejnej szuflady. I kolejnej. Po chwili wszystko zamknęła, odwróciła się i spojrzała na Elliota.

– Co to jest? – zapytała.

– To ludzki sposób segregowania dokumentów.

– To pan tak twierdzi.

W jego oczach pojawiły się czerwone błyski.

– Co to oznacza?

– Że ten, kto to zrobił, miał własny system znajdowania różnych dokumentów i nikt inny nie znał tego systemu – albo ten ktoś był głupcem i po prostu wsadzał różne akta do szuflad z nadzieją, że nikt nigdy nie każe mu niczego znaleźć. – Twyla zrobiła krok do przodu, żeby rzucić teczkę na stos; a Elliot patrzył

na nią tak, jakby miał ochotę rozerwać ją na strzępy.

– Możesz to naprawić? – spytał. Sprawiał wrażenie, jakby miał problemy z wypowiedaniem niektórych słów, co było dziwne, bo jeszcze pięć minut wcześniej mówił całkiem wyraźnie. – Umiesz pracować w takim miejscu?

Na Dziedzińcu każdy miał jakąś pracę. A w stadzie Wilków każdy miał jakąś pozycję. Wprawdzie nie wszyscy ludzie, którzy mogli otrzymywać część zysków Dziedzińca, dostawali jakieś zadania, jednak wiadomo było, że Inni oczekiwali, by nowo przybyli wykazali się jakimiś przydatnymi umiejętnościami – wtedy zyskiwali akceptację stada.

Twyla zaczęła się zastanawiać. Owszem, byłaby to jakaś odmiana po myciu podłóg i szorowaniu toalet – ale przecież to też ktoś musiał robić. Podejrzała, że do Elliota przychodziło niewielu gości, byłaby to więc praca spokojniejsza niż w sklepie na rynku, a jej przydałoby się trochę spokoju, skoro popołudniami miała pomagać w opiece nad dziećmi.

– Nie umiem pisać na maszynie i nie znam się na komputerach – powiedziała wreszcie. – Jedyne, co mogę robić, to odbierać telefony i segregować dokumenty. Ale tylko rano, gdy dzieci są na lekcjach. Przyjechałam do Lakeside, żeby pomóc Crispinowi w opiece nad Lizzy – i ta praca jest dla mnie najważniejsza.

– Oczywiście. Dbamy o nasze młode – odrzekł Elliot, tym razem spokojnie i wyraźnie. A po chwili dodał: – Sam to mój wnuk.

Twyla się uśmiechnęła.

– To miły chłopiec. – Widywała Sama w okolicach rynku; czasami bawił się z innymi dziećmi, jednak najczęściej spędzał czas z Meg Corbyn i młodym Wilkiem o imieniu Jedynek. Gdy za pierwszym razem zobaczyła jego szare oczy, pomyślała, że jest ludzkim dzieckiem o dziwnym kolorze włosów – były złotosiwe. Wzięła go za młodszego brata albo kuzyna Meg. A potem zobaczyła Meg ze szczeniakiem o identycznym umaszczeniu.

– Sierra napisała, że umie obsługiwać komputer i pisać na maszynie – zauważył Elliot. – Może ona mogłaby...

– Nie. – Stanowczość w jej głosie zaskoczyła ją bardziej niż Elliota. Miała jednak czas, by zastanowić się nad kartami prorocत्व, które wylosowała Meg. Nie wiedziała, w jaki sposób ktoś inny mógłby zinterpretować te karty, jednak stwierdziła, że prorocत्व dotyczy jej rodziny. Poczula wściekłość i zawód, dowiedziawszy się, że Sierra okłamała Crispina, mówiąc, że nie miała jak się skontaktować z ich bratem, Cyrusem. Gdyby powiedziała prawdę, Crispin i tak nie pokryłby kosztów biletu na pociąg dla brata, tak jak zrobił w przypadku matki, siostry i dzieci, ale z pewnością zadzwoniłby do niego i kazał wyjechać z Toland, zanim nadeszła burza.

Popatrzyła na Elliota. Nie był prawdziwym przywódcą, ale miał określoną pozycję na Dziedzińcu i wśród Wilków. Nie mogła prosić Crispina, żeby

potwierdził to, co podejrzewała. Jako policjant miał możliwość ustalenia pewnych informacji, gdyby jednak dowiedział się, że młodsza siostra kontaktowała się z Cyrusem, pokłóciliby się.

– Moja Sierra to dobra dziewczyna. Mądra i miła, potrafi ciężko pracować i kocha swoje dzieci. I przeważnie można jej ufać. Ale, panie Elliot, wszyscy mamy swoje słabości, a jej słabością jest brat Cyrus. Potrafi ją ogłupić i przekonać do robienia rzeczy, których normalnie by nie robiła, bo wie, że są złe. – Twyla rozejrzała się po konsulacie. – To jak gabinet osoby sprawującej władzę. Niektóre sprawy należą do codzienności i się nie liczą, a do niektórych nie powinien się wtrącać nikt poza panem. Gdyby Sierra tu pracowała, a Cyrus pojawiłby się i zaczął ją namawiać do zdradzenia mu informacji, które mógłby potem sprzedać, przez jakiś czas by się opierała, ostatecznie jednak dałaby mu to, o co prosi. A potem jeszcze usprawiedliwiłaby jego zachowanie. I w ten sposób wszyscy wpadlibyśmy w poważne tarapaty.

– Ale przecież Cyrusa tu nie ma – zauważył Elliot.

– Myślę, że może już być w drodze. – Kobieta podeszła do jednego z biurk i zapisała numer telefonu do Zabójczo Dobrych Lektur. Oderwała karteczkę i wręczyła ją Elliotowi. – Sierra powiedziała mi i Crispinowi, że Cyrus nie zostawił do siebie żadnego kontaktu. Wydaje mi się, że skłamała. Że odkąd tu jesteśmy, zadzwoniła do niego już kilka razy. Nie umiem powiedzieć, czy dzwoniła bez pozwolenia. Gdy jednak pod nieobecność panów Simona i Vlada nakryłam ją, jak rozmawia z aparatu przy kasie, zdenerwowała się i powiedziała, że tylko zamawiała pizzę. Ale tamtego dnia dzieci wcale nie jadły pizzy na lunch. – Zawahała się. – Policja ma swoje sposoby na sprawdzenie numerów, pod które dzwoniono z konkretnego telefonu, nie mogę jednak poprosić o to Crispina. Nawet jeśli się mylę i od czasu naszego przybycia do Lakeside Sierra nie kontaktowała się z Cyrusem, to przed naszym wyjazdem okłamała Crispina, co z pewnością doprowadziłoby do napięcia między nimi.

Cyrusowi zawsze udawało się skłócić swoje rodzeństwo, nawet jeśli Crispin stawał w obronie siostry.

– Z telefonu w księgarni dość często się dzwoni – rzekł Elliot.

– Bardzo prawdopodobne, że dzwoniono również do Toland. Pan Simon i pan Vlad z pewnością by się nie zorientowali.

– W porządku. – Złożył kartkę i schował ją do kieszeni. – Skoro twoja młoda się do tego nie nadaje, to może przychodzi ci do głowy ktoś inny?

– Katherine Debany – odparła Twyla bez wahania. – Pracowała jako osobista asystentka. Prawdopodobnie umie prowadzić takie biuro lepiej niż my wszystkie razem wzięte. Wiem, że przez kilka popołudni w tygodniu pracowała dla Pete’a Denby’ego.

Elliot nie pytał, dlaczego tak wykwalifikowana pracownica była bez pracy,

a Twyla nie śpieszyła z wyjaśnieniami. Obie z Katherine zostały zwolnione, ponieważ nie chciały przyłączyć się do ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko.

– Powiedz Katherine, żeby do mnie przyszła. – Ruszył w stronę schodów. Postawił stopę na pierwszym, gdy zadzwonił telefon. Spojrzał na Twylę.

– Chce pan, żebym odebrała?

– Tak. – Podjął wspinaczkę. – Dziękuję.

Uśmiechnęła się i podniosła słuchawkę.

– Konsulat Dziedzińca, mówi Twyla. W czym mogę pomóc?

Rozdział 2



Środa, 1 sierpnia

Monty siedział przy stole konferencyjnym i zastanawiał się, czy kogokolwiek dziwiła jego obecność na spotkaniu, w którym udział brali również burmistrz Lakeside, komisarz policji, agent Biura Śledczego i kapitan Douglas Burke. Przecież był tylko porucznikiem i dowodził dwuosobowym zespołem.

Bezskutecznie próbował uwierzyć w to, że praca jego zespołu nie ma nic wspólnego z jego obecnością na zebraniu.

– Dziękuję, że odłożyli panowie na chwilę swoje ważne obowiązki i zgodzili się ze mną porozmawiać.

Walter Chen, nowy burmistrz, uśmiechnął się do każdego po kolei. Był to łagodny uśmiech, pasujący do niskiego wzrostu mężczyzny i jego cichego głosu. Kąciki piwnych oczu znaczyły głębokie zmarszczki, czarne włosy były dokładnie zaczesane do tyłu.

– Doceniamy możliwość spotkania się z panem – odparł Greg O’Sullivan. A potem kiwnął głową do mężczyzny, którego Monty nie kojarzył.

– Zna pan komisarza Alvareza? – spytał Chen, nieco zaskoczony.

– Nie pracowaliśmy w tym samym okręgu w Dyspozytorni, ale agent O’Sullivan jest związany z gubernatorem Hanniganem, a ja mam przyjemność należeć do grona jego przyjaciół – odparł Alvarez. Był przystojnym, roslym mężczyzną po pięćdziesiątce, miał błyszczące czarne oczy i gęste, ciemne, falujące włosy.

Monty spojrział na Burke’a. Zastanawiał się, co jego kapitan wie na temat tego mężczyzny.

– Proszę usiąść – powiedział Chen. – Może kawy? Herbaty? Mamy czarną i zieloną. Zielona przyjechała aż z Tokhar-Chin i jest sprzedawana na ryneczku nieopodal mojego domu.

Nikt nie zamówił nic do picia. Wszyscy czekali, aż burmistrz zacznie rozmowę.

On jednak zwlekał. Po chwili ponownie się uśmiechnął.

Greg O’Sullivan pochylił się do przodu.

– Czy mogę zadać panu pytanie?

– Proszę. – W głosie Chena zabrzmiała ulga.

– Dlaczego pan i komisarz Alvarez zostaliście wyznaczeni na te stanowiska?

Alvarez spojrział na Chena, potem popatrzył po twarzach pozostałych mężczyzn przy stoliku.

– Jestem świeżą krwią, mam być wsparciem dla gubernatora. Z całą pewnością nie będą z tego faktu zadowoleni dyrektorzy komisariatów w Lakeside, ponieważ w normalnej sytuacji miejsce Kurta Wallace’a, który musiał mimowolnie podać się do dymisji, zająłby właśnie któryś z nich. Teraz jednak nie mamy do czynienia z normalną sytuacją. To miasto ma ogromne znaczenie dla całego Rejonu Północno-Wschodniego i ludzki rząd nie może sobie pozwolić na popełnienie kolejnych błędów. Ja nie wspierałem ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko. Mam to w aktach. Mam nadzieję, że w kolejnych tygodniach wyjdzie nam to na korzyść.

– W jakim sensie? – spytał Burke.

Alvarez się uśmiechnął.

– Zyskamy w oczach *terra indigena* na Dziedzińcu Lakeside i poza nim.

– Ja też nie wspierałem ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko – dorzucił Chen. – Kilka firm w mojej dzielnicy zostało zniszczonych przez ich zwolenników, doszło do kilku bójek, wskutek których kupcy przestali przyjeżdżać na rynki.

Nowy komisarz policji, który wspierał gubernatora i nie wspierał LPiNW, i nowy burmistrz, który miał w swoim otoczeniu ludzi nękanych czy nawet pobitych przez ruch. Tak samo było w przypadku niektórych sklepów na rynku. Piekarnia i kawiarnia Nadine Fallacaro została doszczętnie spalona. Gdyby Meg Corbyn nie odczuła przemożnej potrzeby nacięcia skóry i gdyby nie zinterpretowano poprawnie jej ostrzeżenia, Nadine zginęłaby w płomieniach.

– Tak więc przybycie burmistrza Chen i mnie to dodatkowe korzyści – rzekł Alvarez, patrząc na Burke’a. – Burmistrz ma rodzinę w Tokhar-Chin, a ja w Felidae. Możemy otrzymywać wiadomości z tych miejsc i – mam nadzieję – pomóc w rozwoju i kontynuacji handlu z tymi częściami świata. Tak jak pan, kapitanie Burke, ma rodzinę w Brittanii, co okazało się bardzo pożyteczne.

– Nie miałem wieści od kuzyna Shamusa od początku lipca, ale to między innymi dzięki jego pomocy udzielonej *terra indigena* nasze statki nadal mogą pływać między Thaisią a Brittanią.

Alvarez powiódł wzrokiem po twarzach Burke’a, Monty’ego i O’Sullivana.

– Krążą plotki, że wasza trójka spotkała Żywioł, który rządzi oceanem Atlantyckim.

– Owszem. – O’Sullivan się wzdrygnął. – Ona, przynajmniej miałem wrażenie, że to samica, pozwoli statkom z Thaisii płynąć do Felidae, Brittanii, Burzowych Wysp i Afrikah. Jeśli jednak spróbujemy udać się po to, co zostało z Celtycko-Romańskiej Wspólnoty Narodów, zniszczy każdy statek z Thaisii, który wpłynie na jej wody. Dotyczy to również statków rybackich.

– Tokhar-Chin? – spytał Chen.

– Żywioł, który strzeże Pacyfiku, decyduje o tym, komu wolno wpłynąć na wody między Thaisią a Tokhar-Chin, nie mamy jednak powodu, by sądzić, że istnieje konflikt między mieszkającymi tam ludźmi a *terra indigena*.

Chen skinął głową.

– No dobrze. Czyli żyjemy w tekturowym domu, tak? Mamy miasto, które wciąż jest zarządzane przez ludzi, i teren przez nich kontrolowany, nawet jeśli został wydzierżawiony od *terra indigena*.

– Którzy mogą odmówić odnowienia umowy dzierżawy i eksmitować żyjących tu ludzi – dodał Burke. – Inni na Zachodnim Wybrzeżu tak właśnie postąpili, gdy pojawiły się problemy w Jerzy; tutaj mogą postąpić tak samo.

– Ale z pewnością nie wszyscy na raz – rzekł Burke. – Przecież granice miasta nie zostały wytyczone podczas zawierania jednej umowy. Gdy przybyło tu więcej osób, stopniowo dodawano sąsiadujące obszary. Kiedy pojawiły się konflikty między Innymi i ludźmi, sprawdziłem dzierżawę terenów w mojej okolicy. Byłem przerażony faktem, jak mało lat zostało do zawarcia kolejnej umowy i... – przerwał. Po chwili podjął, ale kolejne słowa wypowiadał z wyraźnym trudem: – Lakeside to miasto składające się z sąsiadujących ze sobą terenów, a na nich często mieszkają rodziny pochodzące z określonych części świata. Większość rodzin z mojej dzielnicy pochodziła z Tokhar-Chin. Są tam też ludzie z Felidae i Afrikah. Wydaje mi się, że ci, którzy przybyli z Brittanii, zamieszkują tereny, na których żyją potomkowie obywateli Celtycko-Romańskiej Wspólnoty Narodów.

– To chyba prawda – odparł Burke.

– Gdy zobaczyłem, ile miasto płaci za dzierżawę tych terenów – ta informacja nie była tajna, ale też trudno było ją znaleźć – zacząłem się zastanawiać, czy urzędnicy nie będą chcieli zrezygnować z dzierżawy jednej części, żeby mieć dostatecznie dużo pieniędzy na dzierżawę pozostałych, ważniejszych terenów.

Monty patrzył z uwagą na Chena. Burke zaklął pod nosem.

– Na bogów na górze i na dole! – O’Sullivan oparł się na krześle. – Czy ktoś naprawdę to rozważa?

– Nie wiem – odparł łagodnie Chen. – Wtedy byłem jedynym człowiekiem zasiadającym w radzie miejskiej i nie miałem żadnego wpływu na bieg wydarzeń. A teraz? – Pytanie zawisło w powietrzu.

Burke nachylił się do przodu.

– Przy tym krańcu jeziora Etu znajdują się cztery łatwo dostępne obszary: miasto Lakeside, miasto Talulah Falls, wieś na Wielkiej Wyspie i mieszana społeczność w Osiedlu Nadrzecznym. Z tych czterech miejsc Lakeside jest jedynym, które znajduje się pod kontrolą ludzi. Jest również jedynym, w którym ludzie mogą robić z ziemią niemal wszystko: mogą zakładać farmy, otwierać fabryki albo wyrzynać się na ulicach. Tak przynajmniej było do tej pory. Dopóki nie skonfliktowaliśmy się z Innymi, którzy mieli pilnować, żebyśmy nie popełnili jakichś głupstw, reszta *terra indigena* się do tego nie wtrącała. To jednak się zmieniło. Ludzie zadarli z pilnującymi ich *terra indigena*, Inni zostali zaatakowani – część z nich zabito, co rozwścieczyło mieszkańców dzikich terenów – *terra indigena*, których nikt nigdy nie chciał oglądać. Teraz stoją oni na naszym progu i pilnują, żebyśmy nigdy nie zapomnieli tego, co zrobiliśmy.

– W ciemności kryje się niebezpieczeństwo – dodał O’Sullivan. – Działania ruchu LPiNW wymazały granicę między ziemiami kontrolowanymi przez ludzi a terenami dzikimi i nie da się tego cofnąć.

Alvarez się zamyślił.

– Nie będziemy bezpieczni w ciemnościach – powiedział po chwili. – Czy to oznacza, że sugerujesz wprowadzenie godziny policyjnej o zachodzie słońca?

– Wydaje mi się, że w granicach miasta ludzie chodzący do kina, teatru czy na kolację nie znajdują się w większym niebezpieczeństwie niż wcześniej, gdy jedyne drapieżniki, które biegały po ulicach, nie tylko wyglądały jak ludzie, lecz były ludźmi – zauważył Burke. – Czy jednak ktoś jest na tyle głupi, żeby wychodzić z miasta po zmroku? To straszny sposób na popełnienie samobójstwa.

– Ponawiam zatem pytanie – rzekł Alvarez. – Czy mamy wprowadzić godzinę policyjną?

Burke zawahał się, a potem pokręcił głową.

– Dopóki nie dojdzie do nocnej rzezi, nie przekonasz ludzi, żeby wracali do domu przed zmrokiem, zwłaszcza o tej porze roku. Lepiej byłoby nakazać, żeby wszystkie sklepy i bary zamykały się przed dziesiątą czy jedenastą. W ten sposób

większość pracujących na wieczorną zmianę byłaby w domach przed północą. Im mniej osób na ulicach, tym łatwiej będzie nam reagować na wezwania o pomoc, zamiast pilnować grupy osób, które zamiast rozumem, kierują się brawurą.

– Dobrze – odparł Alvarez. – Ta propozycja może wyjść od mojego biura, ponieważ to policja będzie musiała rozwiązywać wszelkie konflikty między ludźmi oraz radzić sobie z konsekwencjami... konfliktu z *terra indigena*.

Konsekwencjami konfliktu. Monty pomyślał, że to bardzo dyplomatyczny sposób na opisanie tego, co Starsi zrobili ludziom, którzy stanęli im na drodze podczas szaleństwa na ulicach. Lekarz medycyny sądowej nadal próbował dopasować poszczególne części ciała do osób znajdujących się na liście zaginionych.

Po tych ustaleniach Chen przeszedł do kolejnego tematu:

– Podróżowanie między poszczególnymi obszarami jest ryzykowne. Nawet przewożenie ładunków przez Wielkie Jeziora wiąże się z niebezpieczeństwem – powiedział. – Przez wiele miesięcy Lakeside wykorzystywało bonny, żeby zapobiec gromadzeniu się łatwo psujących się pokarmów, a kupcy mogli żądać większej ceny, jeśli ktoś nie miał bonu. Przez większość czasu ludzie podchodzili bardzo sensownie do kupowania rzeczy, takich jak jaja czy masło. Potem jednak zaczęło nam brakować choćby mąki – spowodowali to zwolennicy LPiNW, którzy pozwolili mieszkańcom Thaisii na sprzedawanie z zyskiem żywności w Cel-Romanii. Teraz ludzie oglądają puste półki, ponieważ są opóźnienia w dostawach. Obywatele nie mają na tyle rozumu, żeby pojąć, że brak konkretnego pożywienia jest jedynie tymczasowy. Kilka razy dziennie ktoś dzwoni do mojego biura i pyta, co mam zamiar zrobić z brakiem żywności. Ludzie nie wierzą, gdy im mówię, że może niektóre pokarmy nie są dostępne w pożądanym przez nich ilościach, ale nadal jest mnóstwo jedzenia. Z tego względu konieczny będzie sprawiedliwy podział, który jednak z pewnością wywoła sprzeciw. Jeśli w jakimś sklepie braknie jakiegoś produktu, wina może zostać zrzucona na Innych, zwłaszcza jeśli Dziedzinięca cały czas będzie otrzymywać dostawy.

– Ciężarówka tubylców ziemi przywożą dobra z farm prowadzonych przez Intuitów albo Innych, a Inni przeważnie kupują produkty wyrabiane w społecznościach intuickich i Prostej Życia – rzekł Burke. – Te zasoby nigdy nie znalazły się na sklepowych półkach w mieście.

– Wścikłość i rozsądek rzadko idą w parze – odparł Chen. – Poza tym czy Inni nie kupują na przykład benzyny do swoich pojazdów?

Monty siedział cicho, ale wymagało to od niego dużego wysiłku. Przed burzami i pojawieniem się pierwotnych *terra indigena*, którzy zaczęli grasować na ulicach miasta, w Lakeside mieszkało około dwustu tysięcy obywateli. Mimo ostatnich wydarzeń ludzie nie brali pod uwagę faktu, że jeśli spróbują powstrzymać dostawy, jeśli nie pozwolą Innym kupować paliwa, jeśli zaczną się wtrącać

w sprowadzanie żywności należącej do Dziedzińca... Z punktu widzenia Innych wyglądało to tak, że mają pod ręką dwieście tysięcy łatwych do upolowania ofiar. Z większością z nich poradziliby sobie o wiele szybciej niż z jeleniami, na które polują teraz.

– Przejrzałem raporty dostarczone przez kierowników poszczególnych komisariatów, łącznie z comiesięcznymi rachunkami za zaopatrzenie i media – rzekł Alvarez. – Czy komisariat na Orzechowej nie musi płacić podatku za wodę, tak jak wszyscy inni w Lakeside?

– Dzięki nam umorzono opłaty komisariatowi i szpitalowi po tym, jak miejscowa łączniczka z ludźmi została ranna – odparł Burke.

Alvarez i Chen popatrzyli na Burke'a, potem na Monty'ego, ale żaden z nich nie spytał o Meg Corbyn. Czyżby wiedzieli, kim ona była?

– W takim razie przysługa za przysługę – rzekł Alvarez. – Ponieważ w dzisiejszych czasach sprowadzenie czegokolwiek zza granicy wymaga niemałych wysiłków dyplomatycznych, spodziewamy się braku paliwa. Otrzymałem już jednak wytyczne od gubernatora: pierwszeństwo do paliwa będą miały pompy w miejskich garażach, ponieważ to właśnie tam tankują radiowozy, wozy strażackie i karetki. Kapitanie Burke, może niech pan i porucznik Montgomery zwrócą się do przywódców Dziedzińca, żeby tankowali właśnie w tych miejscach?

– To bardzo wspaniałomyślna propozycja – odparł Burke.

Alvarez się uśmiechnął.

– I praktyczna. Nasze przetrwanie zależy od naszej życzliwości. – Jego uśmiech zniknął. – Nie wydaje mi się, by do ludzi docierało, ile utracili w ciągu ostatnich tygodni – i ile mogą jeszcze stracić, jeśli nie będą działać ostrożnie. – Spojrzał na Burke'a. – Jako młody policjant spędziłem trochę czasu w wiosce znajdującej się na dzikich terenach. Około godziny drogi stamtąd znajdowała się kolejna wioska. Pewnej nocy wybuchł konflikt między ludźmi i Innymi, zostaliśmy wezwani na pomoc. Do tej pory czasem się budzę z walącym sercem i drżącymi dłońmi, bo przypominam sobie skutki zemsty bardziej agresywnych form *terra indigena*. Jeśli tylko coś może sprawić, żeby tutaj do tego nie doszło... – przerwał. – Albo żeby już w ogóle do tego nie dochodziło, ponieważ, jak rozumiem, niektórzy policjanci nauczyli się już tego, co pan i ja.

O'Sullivan ze świstem wypuścił powietrze.

– Gubernator Hannigan chce, żebym zorganizował filię Biura Śledczego tutaj, w budynku należącym do władz.

– Ale... – zaczął Monty, ale zawahał się. O'Sullivan pracował dla gubernatora i nie był to czas ani miejsce na komentowanie jego decyzji – albo rozkazów jego przełożonego.

O'Sullivan kiwnął głową, tak jakby słyszał myśli Monty'ego.

– Och, i zostawię swoje miejsce w konsulacie. Zaproponowano mi to, a ja nie chcę stracić tego powiązania z Dziedzińcem. Podejrzewam jednak, że będę musiał poradzić sobie z ludźmi, którzy mają wrogie podejście do *terra indigena* – lepiej będzie spotykać się z nimi na ich terenie.

– Mogę to załatwić – rzekł Chen i zaczął się przyglądać O’Sullivanowi. – Będziemy mieli kogoś w każdym obozie, choć niełatwo się tam teraz przebywa.

– Owszem, ale po ataku na Wilczą Straż na Środkowym i Północnym Zachodzie gubernator na otrzymaną ode mnie informację odpowiedział na tyle szybko, że udało się zapobiec podobnym atakom na Północnym Wschodzie.

– A czy istniało prawdziwe zagrożenie?

– Tego się nie dowiemy – odparł Burke. – Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę odpowiedź Wilków z Dziedzińca, rzekłbym, że na Północnym Wschodzie mogło dojść do podobnych ataków, ale udało się zdusić je w zarodku.

Chen się zamyślił.

– Mamy szczęście – powiedział po chwili. – Tyle miejsc jest teraz odciętych od świata. Nawet nie wiemy, ile miejsc i ludzi straciliśmy. Tak jak zauważył kapitan Burke, znajdujemy się w zasięgu trzech innych wspólnot i nie jesteśmy aż tak odizolowani. Mamy też linie telefoniczne i telegraficzne, dzięki którym możemy się połączyć z wieloma miastami w Rejonie Północno-Wschodnim. Mamy więc dostęp do informacji i nie musimy się zastanawiać, czy tylko my przetrwaliśmy. – Spojrzał na Monty’ego i Burke’a. – Moglibyście zorganizować spotkanie z przywódcami Dziedzińca? Tak, byśmy mogli nawiązać z nimi przyjazne relacje?

– Jeśli to możliwe, chciałbym wziąć w tym udział – wtrącił Alvarez.

Burke tylko na niego spojrzał, a Monty rzekł:

– Zapytam o to.

Na tym zakończyli spotkanie. Burke podwiózł O’Sullivana na komisariat przy Orzechowej, a Monty i Kowalski wrócili na Dziedziniec.

– Może najpierw powinniśmy zająć się patrolowaniem ulic – odezwał się Monty, gdy dojeżdżali na miejsce.

Kowalski skręcił we Wronią Aleję; minął dwurodzinny dom i budynki mieszkalne, które należały już do Dziedzińca.

– Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć? – spytał.

– Nasz nowy burmistrz chce się spotkać z przywódcami Dziedzińca.

Przez dłuższą chwilę jechali w ciszy. W końcu Kowalski rzekł:

– O ile nie pojedzie na to spotkanie rowerem, Wilki powinny się na to zgodzić.

– Nie martwiłem się tym, że on chce rozmawiać z Wilkami. Myślałem o Tess. I o tym, co mogliby powiedzieć Chen i Alvarez, gdy poznają Meg Corbyn i zobaczą dowód na to, kim jest.

**Oficer Michael Debany,
komisariat przy Orzechowej, Lakeside**

Drogi Michaelu,

wiesz, jak wyglądają mama i tata, po bardzo burzliwej dyskusji, która tak naprawdę oznacza, że właśnie się pokłócili? I jak potrafią udawać, że nic się nie stało i normalnie z nami rozmawiać, a potem, gdy tylko wyjdziemy z pokoju, wrócić do kłótni? No cóż, wczoraj chyba byłam świadkiem takiej właśnie dyskusji między Jesse Walker i Tolyą Sanguinatim. Przejeżdżałam obok sklepu w Bennett i widziałam ich przez okno. Oni też mnie widzieli. Jesse do mnie pomachała, a Tolya się uśmiechnął, dlatego pomyślałam o mamie i tacie.

Nie plotkuję. Naprawdę. Ale przecież Jesse jest przywódczynią Intuitów ze Złotej Prerii, a Tolya rządzi Bennett, więc jeśli się na siebie wściekają, to naprawdę niedobrze. Zwłaszcza że nikt z nas nie wie, dlaczego tak nagle się pokłócili, skoro do tej pory dobrze im się współpracowało.

Może mógłbyś spytać Sanguinatich w Lakeside, czy coś na ten temat słyszeli? Nie chcę się w to wtrącać... No dobrze, wtrącam się, ale podoba mi się tutaj, w tym tygodniu wysprzątano jeden z domów i udostępniono go dla nowych mieszkańców, a ja mogłam sobie wybrać mieszkanie. W przyszłym tygodniu się przeprowadzam. Dziwnie jest wybierać meble należące do ludzi zabitych przez Starszych, ale z drugiej strony ludzie cały czas kupują meble i sprzęt z wyprzedaży z majątków, a to chyba to samo – w końcu zginęli wszyscy mieszkańcy tego miasta i nie było to spowodowane starością ani żadną epidemią. Próbuję więc traktować to jak jedną wielką wyprzedaż, ale mimo to ucieszyłam się, że zanim weszłam do domu, gruntownie go wysprzątano.

Z reguły nie rozwodzę się nad tym, dlaczego nagle całe miasto opustoszało. Ale to trochę tak, jakby przyjaciel mówił ci, że jego rodzice się rozwodzą, a potem wszedłbyś do swojego domu i przyłapał własnych rodziców w trakcie strasznej awantury. Powtarzasz sobie, że twojej rodziny to nie spotka, a potem widzisz, że to jednak jest możliwe, jeśli ludzie nie będą uważać na to, co mówią i robią.

Nie wiem, czy wyślę ten list, bo pewnie zaczniesz się martwić i będziesz chciał, żebym wróciła do domu. Ale mnie jest tu dobrze. Naprawdę. I nie pisnęłabym nawet słówkiem, gdybym w tamtej chwili ich nie zobaczyła.

Napisałam ci mój nowy adres. Gdy dostaniesz ten list, ja pewnie będę już po przeprowadzce, ale w Bennett nie ma jeszcze zbyt wielu mieszkańców, więc w pensjonacie z pewnością przechowają dla mnie korespondencję.

À propos mieszkańców – naszym nowym szeryfem jest Wilk. Nazywa się Virgil Wilcza Straż i sprawia wrażenie „tak niebezpiecznego, że nie potrzebuje broni”. Tak właściwie to nie jest żadne wrażenie, bo on rzeczywiście jej nie potrzebuje. Wystarczy, że odsloni zęby i warknie – i już wszyscy grzecznie przestrzegają prawa. Mówi do mnie Barbara Ellen. Tak samo jak Tolya. Nie wiem

dłaczego. Wszyscy inni nazywają mnie Barb.

A skoro mowa o niebezpiecznych istotach, ktoś z Panterzej Straży zajął mały domek pod miastem. Mieszka z nim jakiś młody mężczyzna, człowiek. Widziałam, jak przechadzają się wokół placu, ale na razie nie utrzymują z nikim kontaktu. Powiedziano nam, żeby dać im czas i przestrzeń – nie nachodzić ich z ciastem i nie witać na siłę jako nowych sąsiadów. Nie żeby ktokolwiek z nas gotował albo piekł, bo w pensjonacie i w hotelu wyżywienie jest za darmo, a jeśli chcesz ugotować coś dla siebie, musisz sam zapłacić za składniki. Po co więc się wysilać i robić sobie kanapkę, skoro możesz dostać pełnowartościowy i zrównoważony posiłek, który ktoś dla ciebie przygotowuje?

Muszę już kończyć. Moc uścisków dla mamy i taty. I dla ciebie też.

Barb

Do: Simon Wilcza Straż
i Vladimir Sanguinati,

PILNE

Jesse Walker jest niezadowolona i zagroziła, że przestanie pomagać w organizowaniu sklepów i mieszkań w Bennett. Chce wiedzieć, jakie mamy plany wobec miasta i innych miejsc wyczyszczonych z ludzi i przejętych przez Starszych. Czy chcemy odnowić w nich populację Intuitów i terra indigena? A może porzucimy część miast i pozwolimy, by niszczały? Czy ludzie, którzy przyjechali do Bennett, zawitali tylko na jakiś czas, żeby pomóc, czy zostaną na stałe, staną się pełnoprawnymi mieszkańcami i będą mogli zająć się handlem, produkcją albo biznesem? Chce wiedzieć, czy Bennett ma być prawdziwym miastem czy tylko pewnym etapem pozbywania się ludzi.

Tak jak prosił Dziadek Erebus, Sanguinati już się tu urządzili. Przejęliśmy kontrolę nad dworcem kolejowym, pocztą, telegrafem, a ja zostałem oficjalnym przywódcą miasta. Przybyli do nas zmiennokształtni z wielu straży, którzy chcą pracować, jednak większość z nich ma małe doświadczenie w przebywaniu z ludźmi. A większość młodych Intuitów ma małe doświadczenie w przebywaniu z terra indigena. Ponieważ Starsi zawsze są w pobliżu, ludzie zawsze się boją.

Wydaje mi się, że Jesse Walker ma konkretny cel. Najpierw chodziło o zabezpieczenie Bennett, bo znajdowała się tam jedyna stacja kolejowa na przestrzeni wielu kilometrów i nie można było pozwolić, żeby wpadła ona w ręce ludzkich wrogów terra indigena. W tym celu ustaliłem podstawowe biznesy i branże, które będziemy musieli utrzymać. Jeśli jednak w mieście ma być więcej sklepów i zakładów wspierających pracowników dworca, musimy zawrzeć kompromis i pozwolić przyjechać do Bennett tym, którzy chcą się osiedlić w innym miejscu – zwłaszcza że niektórzy, jak na przykład Barbara Ellen Debany, mają umiejętności, które się nam przydadzą. Możemy zrobić z Bennett punkt wypadowy i wysyłać stąd

grupy, których celem będzie odzyskanie kolejnych pustych miast. W tym celu musimy jednak wybrać właściwych ludzi. Mamy tu dużo młodych, którzy mogliby zostać, jeśli tylko otrzymają okazję do nauczania się jakiegoś zawodu. Teraz potrzebujemy dorosłych, nadających się do prowadzenia zakładów.

Czy Dziedziniec w Lakeside mógłby pełnić rolę filtra i przysłać nam odpowiednich chętnych? Załączam listę zawodów i branż, których potrzebujemy zdaniem Jesse Walker – bo biura i zakłady już mamy. Nie musimy od razu zapępniać wszystkich wakatów, przecież nie na każde stanowisko znajdzie się od ręki odpowiedni kandydat, wydaje mi się jednak, że musimy odpowiednio się wysilić, jeśli chcemy stworzyć tu mieszaną społeczność, taką samą, jaka zamieszkuje Lakeside.

Tolya

PS Barbara Ellen dobrze się sprawuje. Zachęciłem ją, żeby napisała do rodziny. Wrona, pracująca na poczcie, powiedziała mi, że Barbara wysłała list 26 lipca, może jednak nie pisać tak często, jak życzyłaby sobie tego jej rodzina, bo jest zajęta zawieraniem nowych znajomości i zajmowaniem się zwierzętami domowymi, które pozostały po ludziach. Ponieważ tak dużo zwierzaków – jak je nazywa – potrzebuje nowych domów, albo przynajmniej nowych opiekunów, zasugerowała, żeby każdy nowy mieszkaniec otrzymywał powitalny prezent – psa, kota albo ptaka. Próbuję odwieść ją od tego pomysłu i wytłumaczyć, że nowi terra indigena mogą pomyśleć, że te żywe podarki to po prostu kolacja.

Rozdział 3



Czwartek, 2 sierpnia

Znajdujący się poza zasięgiem wzroku samic, Simon zatrzymał się przy otwartych drzwiach mieszkania i zaczął nasłuchiwać.

– Pasuje do tego miejsca – powiedziała Eve Denby. – Kolor kremowy może nieszczególnie pobudza, ale jest neutralny, poza tym z pewnością pomalowanie wszystkich mieszkań na ten sam kolor ułatwi sprawę.

– Każdy doda coś od siebie, więc mieszkania i tak będą się od siebie różnić – dorzuciła Twyla Montgomery. – No i nie wydaje mi się, żeby którykolwiek z najemców chciał teraz wydawać swoje pieniądze na zakup farby w innym kolorze i malować wszystko od nowa.

– Prawda. Moje zadanie polegało na posprzątaniu mieszkań, pomalowaniu ich i dopilnowaniu, żeby wszystko działało. Instalacja wodno-kanalizacyjna działa. Elektryczność też. I – niech bogowie ich błogosławią – Inni kupili do każdego mieszkania nowe sprzęty, łącznie z pralkami i suszarkami, które zostały podłączone w piwnicach budynku mieszkalnego i domu dwurodzinnego.

– Jedna pralka i suszarka na wszystkich, którzy mieszkają w czterech mieszkaniach? Chcesz wyznaczyć każdemu dzień prania?

– Możliwe, że tak będzie trzeba zrobić. Myślałam jednak, żeby na razie wywiesić tablicę, na której ludzie będą wpisywać, że konkretnego dnia o konkretnej godzinie potrzebują pralki i suszarki. Poza tym w świetlicy są pralki na monety, a w Ptasim Centrum znajduje się pralnia samoobsługowa. Mieszkańcy albo się ze sobą dogadają i będą współpracować, albo będą robić pranie gdzie indziej.

Zdaniem Simona było to sprawiedliwe – każdy będzie robił pranie, gdy nadejdzie jego kolej. Trochę przypominało to kolejność, z jaką drapieżniki żywiły się mięsem – najpierw zawsze najadali się najważniejsi członkowie stada. Był ciekaw, w jaki sposób mieszkające tutaj samice ustalą hierarchię ważności.

Do pewnego momentu rozmowa o praniu była interesująca, ale przecież przyszedł tu w innym celu. Wstąpił jeszcze przed zebraniem na temat maila, którego Vlad otrzymał od Tolyi Sanguinatiego.

Wszedł do mieszkania i poczekał, aż obie kobiety go zauważą.

– Panie Wilcza Straż. – Eve wytarła w ścierkę ubrudzone farbą dłonie. – Farba będzie schła jeden dzień, a potem Sierra i jej dziewczynki będą mogły się wprowadzić.

– Szafki i podłoga w kuchni są już wyczyszczone, naczynia i cała reszta odłożone na miejsce – dodała Twyla. – To bardzo miło z waszej strony, że zaopatrzyliście mieszkania w podstawowe sprzęty.

Simon wzruszył ramionami. Stowarzyszenie Przedsiębiorców długo dyskutowało na temat tego, w jaki sposób zaopatrzyć mieszkańców. Ostatecznie dostosowano zakupy do konkretnych ludzi. Ruthie i Karl Kowalski wcześniej mieszkali już razem, mieli już więc sporo rzeczy i nie potrzebowali więc zbyt wiele poza różnymi sprzętami. Ale Merri Lee miała tylko ubrania, książki i rzeczy osobiste, a Nadine Fallacaro straciła cały swój dobytek w płomieniach – z jej mieszkania ocalono tylko kilka pudeł z dokumentami. Tak więc Simon, Henry i Vlad pojechali do Ptasiego Centrum razem z Ruthie i Eve Denby, żeby zrobić podstawowe zakupy: szklanki, sztucce, naczynia do gotowania, naczynia stołowe, garnki i patelnie, pościel i ręczniki. Zaopatrzyli każde z ośmiu mieszkań, choć na razie tylko do czterech mieli się wprowadzić lokatorzy.

Może do pięciu. I właśnie z tego powodu tu przyszedł – żeby się dowiedzieć, co z piątym mieszkaniem.

Spojrzał na Twylę.

– Postanowiłaś już, gdzie chcesz zamieszkać? – Porucznik Montgomery zajął mieszkanie na parterze w budynku na prawo od domu dwurodzinnego. Sierrze Montgomery i jej szczeniakom, tak jak chciała, przydzielono lokal na piętrze po drugiej stronie budynku. Nadine Fallacaro i Merri Lee zajęły mieszkania na

parterze w drugim budynku.

Nie wiedzieli, czy zgodzić się, by dwie samice zamieszkały w budynku bez samców, ale przecież po drugiej stronie Dziedzińca przebywało wielu ostrożnych samców, którzy na pewno w razie czego zareagują na wołanie o pomoc. W dodatku w pozostałych budynkach Dziedzińca mieszkało dwóch samców policjantów; trzech, jeśli liczyć Michaela Debany'ego, który choć jeszcze nie mieszkał z Merri Lee, przesiadywał u niej dostatecznie długo, żeby wliczyć go w zespół ochrony.

To „przesiadanie” było zresztą uważnie obserwowane przez większość mieszkańców Dziedzińca. Innych nigdy dotąd nie łączyły tak bliskie stosunki z ludźmi, nie mogli więc obserwować ich zwyczajów łączenia się w pary.

Simon miał więcej powodów niż Inni, żeby się temu przyglądać. Zachęcał go fakt, że sytuacja mieszkaniowa jego i Meg była tak podobna do tej – a to oznaczało, że Wilk nie musi zmieniać swojego zachowania, żeby być traktowanym jak człowiek.

– Jeśli już mnie pan nie potrzebuje, zajmę się czyszczeniem pędzli – rzekła Eve.

Simon odsunął się od drzwi i świeżo malowanych ścian. W mieszkaniu nie śmierdziało farbą, ponieważ kobiety otworzyły okna, nie chciał jednak przebywać w nim dłużej, niż było to konieczne.

– Chciałam z panem porozmawiać – rzekła Twyla, gdy zostali sami. – Zastanawiałam się, czy któraś z kawalerek nad zakładem krawieckim jest wolna.

Przyjrzał się jej ze zdziwieniem.

– Nie chcesz mieszkać ze swoim stadem?

Uśmiechnęła się, ukazując protezę – nadal pragnął, żeby ktoś wyjaśnił mu to zjawisko.

– A co robi dorosła Wilczyca, gdy ma już dość szczeniaków, które cały czas podgryzają jej ogon?

– Wstaje i idzie gdzie indziej.

– Właśnie. Kocham moje dzieci i wnuki, ale nie chcę spędzać z nimi każdej minuty.

Simon nie wyobrażał sobie porucznika Montgomery'ego podgryzającego panią Twylę, widział jednak, że Sierra w towarzystwie matki zaczyna się zachowywać jak szczeniak, chociaż miała własne młode.

– Te mieszkania mają tarasy i prawdziwe kuchnie – odparł.

– I dodatkowy pokój, którego ja nie potrzebuję. – Ponownie się uśmiechnęła. Tym razem nie pokazała zębów, ale Simonowi zrobiło się jakoś przyjemniej. – I tak będę spędzać dużo czasu w mieszkaniu Crispina i pilnować Lizzy, gdy on będzie w pracy. Ale przecież on potrzebuje czasu sam na sam ze swoją córką, a ona potrzebuje czasu z nim. A Sierra musi stanąć na własnych nogach bez mojej pomocy. Gdybym zamieszkała w takiej kawalerce, byłabym w pobliżu, ale nie

siedziałabym im na głowach. W takim małym mieszkaniu nie trzeba dużo sprzątać, co też bardzo mi odpowiada. No i nieopodal jest rynek, dużo miejsc, w których można usiąść wieczorem. Mogę wypożyczyć jakąś książkę z biblioteki, zamówić coś w Mięsie i Zieleninie i przez godzinę czytać sobie na powietrzu.

Mogła robić to wszystko, także mieszkając tutaj, ale najwyraźniej była już pewna swojego wyboru.

Co oznaczałoby, że wszystkie kawalerki będą zajęte – w jednej urządzono klasę dla ludzkich szczeniaków, Henry chciał zachować jakąś, żeby mieć gdzie spać, kiedy będzie pracował do późna w nocy i nie będzie mu się chciało wracać do Zielonego Kompleksu, a kolejną otrzymał Chris Fallacaro, który nie planował mieszkać z Nadine, choć byli krewnymi.

Nie mieli co zrobić z Emily Faire, młodą Intuitką, którą zatrudnili na część etatu jako pielęgniarkę w gabinecie lekarskim na rynku. Doktor Lorenzo rzadko przebywał w Lakeside, ponieważ w ramach pracy dla Biura Śledczego zbierał informacje na temat *cassandra sangue*, więc potrzebowali kogoś godnego zaufania do opieki nad Meg, gdy ta zacznie nacinać sobie skórę. Stowarzyszenie Przedsiębiorców chciało przekazać Emily jedną z kawalerek, teraz jednak będzie trzeba poszukać innego rozwiązania. Były jeszcze pomieszczenia nad świetlicą, ale wykorzystywano je głównie do uprawiania seksu – były w nich tylko łóżko, lampa i stolik. *Terra indigena* sprzątała w tych pokojach, a ramy z pojedynczych łóżek wykorzystywali na łóżeczka dla ludzkich dzieci – choć rodzice owych dzieci upierali się, żeby kupować nowe materace. Zapachy z tych materaców już się ulotniły i nie czuły ich nawet Wilki, więc było mało prawdopodobne, żeby ludzie mogli cokolwiek wyczuć; ponieważ jednak bardzo im na tym zależało, Stowarzyszenie Przedsiębiorców dokonało odpowiednich zakupów.

Simonie? krzyknął nagle Vlad. *Potrzebujemy cię w Zabójczo Dobrych Lekturach.*

Jakieś problemy?

Na to wygląda. Oficer Debany jest zdenerwowany. To ma coś wspólnego z listem od jego siostry.

– Muszę już iść – Simon zwrócił się do Twyli. – Możesz zamieszkać w kawalerce, którą zajmowała Meg tuż po przybyciu na Dziedziniec. Wiesz, które to mieszkanie?

– Jedyne, w którym nikt nie mieszka?

– Dokładnie.

Zbiegł po schodach i wyszedł z budynku. Przy krawężniku zawahał się, czy pójść do świateł na rogu czy po prostu przebiec przez ulicę. O tej porze dnia na Wroniej Alei panował spory ruch, tak więc rozsądniej było dojść do świateł – i tak właśnie uczynił.

W Zabójczo Dobrych Lekturach zastał Blaira, Vlada i Michaela Debany'ego.

Vlad spojrział na niego, a potem machnął ręką w stronę Debany'ego.

– Mamy problem.

Który nie ma najmniejszego sensu, dodał Blair.

– O co chodzi? – Simon skupił się na ubranym w mundur Debany. Mającym przy sobie broń. Na szczęście dla ludzi wymachiwał kawałkiem papieru, a nie pistoletem.

– Mam problem z moją siostrą, Bee.

– Barbarą Ellen – wyjaśnił Vlad. – Pojechała do Bennett w charakterze weterynarza, żeby zająć się małymi zwierzętami, które znaleziono w pustych domach.

– Wyjechała z domu niemal miesiąc temu, a teraz mówi, że będzie mieszkać razem z jakimś facetem o imieniu Buddy – rzekł Debany. Zwykle był zrównoważonym samcem, teraz jednak jego ton był uszczypliwy.

Simon analizował informacje, próbując zrozumieć, na czym właściwie polega problem.

– Nie chcesz, żeby twoja siostra znalazła sobie samca i miała z nim szczeniaki?

– Kiedyś, w przyszłości, tak. Ale nie teraz. I nie z facetem, o którym nie wspomniała nikomu z rodziny aż do tej pory. Co wiemy na jego temat? Z czego on się utrzymuje? Skąd pochodzi?

– Musisz to wszystko wiedzieć, bo nie możesz go obwąchać i zdecydować, czy go lubisz?

– Muszę to wiedzieć, bo to moja młodsza siostra, która mieszka w mieście oddalonym o setki kilometrów od Dziedzińca, w innej części Thaisii. Nawet nie mogę do niej zadzwonić, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. Muszę to wiedzieć, bo jestem gliną i widziałem już mnóstwo młodych skrzywdzonych i wrażliwych kobiet. I ponieważ Bee nie powinna żyć na kocią łapę z żadnym facetem.

– Ale przecież sam żyjesz na kocią łapę z Merri Lee – zauważył Vlad.

– To co innego.

– Dlaczego? – spytał Simon. – Barbara Ellen i Merri Lee są mniej więcej w tym samym wieku.

– Nieważne. To co innego.

– Dlaczego? Bo Merri Lee nie ma brata, który warczałby i kłapał zębami, gdy idziesz do niej, żeby się parzyć?

– Jakby co, my możemy warczeć i kłapać zębami – zaproponował ochoczo Blair.

Debany nagle się uspokoił. Spojrział na nich błagalnie.

– To moja młodsza siostra – jęknął. – Czy macie w Bennett kogoś, kto mógłby zapytać o tego całego Buddy'ego? Ona chce z nim zamieszkać, a nawet nie podała nam jego nazwiska.

– Zobaczymy, co się da zrobić – obiecał Simon.

Debany złożył kartkę, schował ją do kieszonki na piersi i wyszedł.

– Pomożemy mu? – spytał Blair.

Simon skinął głową.

– Stado jest dla niego bardzo ważne, tak jak dla nas.

– W mailu Tolya wspominał o Barbarze Ellen, ale nie pisał nic o żadnym Buddym – rzekł Vlad. – Wyślę do niego telegram i wykorzystam specjalną sieć komunikacji między poszczególnymi częściami Thaisii, zorganizowaną przez Intuitów. Do jutra powinniśmy mieć odpowiedź.

Tess przeszła pod łukiem łączącym Coś na Ząb z Zabójczo Dobrymi Lekturami. Jej włosy nadal były brązowe, ale zaczynały się kręcić, co oznaczało, że nie była zdenerwowana – jeszcze – ale też nie była spokojna.

– Na spotkanie właśnie przyszedł Steve Przewoźnik – oznajmiła.

– Bennett znajduje się tak daleko, a cały czas mamy z nim mnóstwo roboty – zauważył Vlad.

Tess się uśmiechnęła.

– Mam nadzieję, że się im odwdzięczymy.

– Mamo, jesteś na górze?

Słyszając wzburzenie w głosie Sierry, Twyla westchnęła ciężko. Wcale nie czekała na tę rozmowę.

– Tutaj jestem! – Gdy córka weszła do drugiej z dwóch sypialni, Twyla starała się zapanować nad głosem. – W drugiej sypialni jest wyjście na taras. Lepiej, żebyś ty zamieszkała tam, a Bonnie i Carrie tutaj.

– Słyszałam, jak Ruth i Merri Lee rozmawiają o wolnych etatach na Dziedzińcu, łącznie ze stanowiskiem sekretarki w konsulacie, więc poszłam pogadać o tym z Elliotem Wilczą Strażą. Dlaczego powiedziałas mi, żeby mnie nie zatrudniał? Mamo, przecież to dobra praca, a ja mam odpowiednie kwalifikacje.

– Owszem, umiesz pisać na maszynie i potrafisz prowadzić biuro – odparła Twyla. – Ale jeśli sądzisz, że za tę pracę dostaniesz więcej niż za pracę w barze czy bibliotece albo za sprzątanie sklepów i biur, to się mylisz. Wszyscy mieszkańcy Dziedzińca mają wykonywać pracę zgodną ze swoimi kwalifikacjami, tak więc każda osoba otrzymuje taką samą stawkę godzinową – no, może poza ludźmi, którzy zarządzają jakimiś firmami. Słyszałam, że jeśli Stowarzyszenie Przedsiębiorców jest zadowolone z pracy, może dorzucić jakąś premię, ale to jedyna różnica.

– Ale przecież nie o to chodzi – odparła z ożywieniem Sierra. – Dlaczego powiedziałas mi, żeby mnie nie zatrudniał?

– Bo mnie okłamałaś – odparła cicho Twyla. Na twarzy Sierry odmalowało się poczucie winy. Twyla skinęła głową, czując, że robi się jej ciężko na sercu, ale jednocześnie ogarnia ją wściekłość. – Izdradziłaś Innych, którzy dali nam

schronienie podczas tej burzy.

– To nieprawda!

– Powiedziałaś mi, że nie wiesz, jak się skontaktować z Cyrusem, że nie zostawił ci żadnego numeru telefonu. Crispinowi powiedziałaś to samo. Pan Simon i pan Vlad zgodzili się, żebyśmy prowadzili rozmowy miejscowe z aparatów w sklepach, ale rozmowy zamiejscowe miały być prowadzone z naszych komórek albo z budek telefonicznych – albo trzeba było poprosić o zgodę, żeby gdzieś zadzwonić. Dziecko, przecież ja wszystko słyszałam! Słyszałam, ile wybrałaś cyfr, i wiedziałam, że to wcale nie była rozmowa miejscowa.

– Nie stać mnie teraz na płacenie za zamiejscową z komórki – odparła Sierra. – Poza tym to tylko jedna rozmowa, Innych na to stać.

– I to właśnie są słowa Cyrusa, który usprawiedliwia fakt, że zabrał coś, co nie należało do niego – warknęła Twyla. – A ponieważ z twoich ust padają te same formułki, powiedziałam panu Elliotowi, żeby cię nie zatrudniał. Myślisz, że nie wiem, dlaczego straciłaś co najmniej dwie dobre posady? Myślisz, że nie wiem, że to Cyrus namówił cię do zrobienia czegoś niezgodnego z prawem? Być może za pierwszym razem, gdy o to poprosił, odmówiłaś. Może było tak nawet za drugim razem. Ale zawsze słuchałaś go bardziej niż mnie i taty. Działa na ciebie jak trucizna – dostaje to, czego chce, a ty zostajesz z konsekwencjami swoich czynów. Gdy ty tracisz dobrą pracę, Cyrus wcale nie cierpi z tego powodu. Może jest to dla niego pewna niedogodność, bo na jakiś czas traci jedno ze swych źródeł, ale z pewnością nie cierpi. Płacicie za to ty i twoje dzieci. Czy gdy on dzwoni, kiedykolwiek myślałaś o swoich dziewczynkach? A wtedy, gdy chce, żebyś coś ukradła albo zdradziła mu jakieś poufne informacje? On kupuje narkotyki i alkohol i ignoruje rodzinę, podczas gdy ty z trudem ciulasz pieniądze, żeby nakarmić swoje dzieci.

– Jimmy to mój brat. Rodzinie powinno się pomagać! – krzyknęła Sierra.

Twyla nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak wielu ludzi, łącznie z jej dziećmi, było niezadowolonych z nadanych im imion. W ich rodzinie wszystko zaczęło się od męża, Jamesa, który nazywał ich pierworodnego CJ, zamiast Crispin James. Trwało to przez całą szkołę chłopca, aż poszedł do akademii policyjnej. Potem przyjaciele i koledzy zaczęli mówić na niego Monty. Cyrus James natomiast postanowił, że będzie się nazywał Jimmy, bo takie imię bardziej mu się podobało. Sierra skończyła jako Sissy dla swych braci – Twyla podejrzewała, że dla każdego z nich imię to oznaczało coś innego, dla jednego było wyrazem uczucia, dla drugiego – pogardy.

– Sierra, czy twoje dzieci nie są dla ciebie rodziną? – spytała cicho. – Czy nie jesteś im winna co najmniej takiej lojalności, jaką okazujesz bratu, który nigdy nie wyświadczył ci ani jednej przysługi?

– Zrobił dla mnie mnóstwo i mnóstwo poświęcił.

– Żałuję, że w ogóle o tym rozmawiamy. – Twyla toczyła tę wojnę przez cały okres dorastania Sierry; odczuwała frustrację, wiedząc, że Cyrus potrafi wpływać na siostrę do tego stopnia, że ani matka, ani ojciec, ani drugi brat nie mogli nic z tym zrobić. Z dala od Cyrusa Sierra była mądrą, kochającą dziewczyną, dobrą matką i odpowiedzialnym pracownikiem, jednak gdy tylko pojawiał się na horyzoncie, wywracał jej świat do góry nogami. – Zdradziłaś swoich pracodawców – ciągnęła. – Nieraz okłamałaś mnie, Crispina czy swojego tatę, gdy jeszcze żył. Przez większość czasu nie kłamiesz i nie oszukujesz, podejrzewam jednak, że powiedziałaś Cyrusowi dostatecznie dużo na temat Dziedzińca, żeby mógł tu przyjechać i wyciągnąć ręce po pieniądze.

Przyjrzała się córce. Gdy ją adoptowali, miała dwa lata. Crispin miał lat dwanaście, a Cyrus dziewięć. Jeden chłopiec był zachwycony faktem pojawienia się małej siostrzyczki, a drugi nienawidził jej od dnia, w którym pojawiła się w ich domu. Może taka właśnie jest ludzka natura – człowiek chce zadowolić tego, kto go odrzuca, chce udowodnić, że zasługuje na jego miłość. Być może. Jednak niezależnie od tego, co Sierra da lub poświęci, Cyrus nigdy nie pokocha jej tak, jak starszy brat kocha młodszą siostrę. Jako matce było jej bardzo ciężko to przyznać, ale Cyrus James Montgomery kochał tylko siebie.

– Jesteś dorosła – rzekła Twyla zmęczonym głosem. – Gdyby chodziło tylko o kolejną pracę, pozostawiłabym decyzję panu Elliotowi. Ale tu nie chodzi tylko o to. Pan Elliot współpracuje z burmistrzem i resztą władz miasta. Podejrzewam, że miałabyś dostęp do wielu informacji, za które źli ludzie byliby skłonni zapłacić duże pieniądze. Cyrus wiedziałby o tym doskonale, a znalezienie złych ludzi zawsze zajmowało mu mało czasu. Błyskawicznie namówiłby cię do zrobienia wszystkiego, o co by cię poprosił. A wtedy, dziewczyno, nie tylko straciłabyś pracę i miejsce do życia, nie tylko nie byłabyś w stanie wykarmić swoich dzieci... Inni mają własne sposoby rozprawiania się ze zdrajcami, o wiele bardziej przerażające, niż wręczenie wypowiedzenia.

– CJ zachował się niesprawiedliwie – rzekła Sierra. – Gdyby chciał, mógłby wysłać Jimmy’emu pieniądze na pociąg, a tak Jimmy musiał sam uciekać do Toland.

Twyla zauważyła, że córka nawet nie wspomniała o żonie czy dzieciach Cyrusa.

– On już tu jedzie, prawda? – zapytała.

Sierra zawahała się, ale w końcu pokiwała głową.

– A gdzie zamieszka? Bo rozumiem, że jedzie sam, bez rodziny? – Nigdy nie przyznałaby się do tego przed Sierrą czy Crispinem, ale był to jeden z powodów, dla których wybrała mieszkanie w kawalerce. Mogła nie chcieć w swoim domu Cyrusa i jego żony, Sandee, trudno byłoby jej jednak nie ugościć własnych wnuków. A Cyrus bez wahania wykorzystałby swoje dzieci, żeby wyciągnąć z niej

tyłe, ile się da. Było tego niewiele, ale i tak ciążyła jej świadomość, że jego dzieci płacą za jego intrygi. Pomagając im, pomagałaby jemu – w knuciu i okradaniu ludzi. Nie miała zamiaru na to pozwolić.

– Przecież są jeszcze wolne mieszkania – rzekła cicho Sierra. – A my nie musimy płacić...

– To właśnie mu powiedziałaś? Że wynajmujesz mieszkanie za darmo? Dziecko, czy ty w ogóle myślisz?!

– Ale przecież Inni mówią, że możemy tu mieszkać. Nawet dali nam jakieś meble i sprzęty...

– Oni tego nie dali tobie! Oni po prostu wstawili meble do mieszkań. Nie są twoją własnością, nie możesz nimi dysponować. A mieszkanie nie jest za darmo. Crispin nie pracuje na Dziedzińcu, więc płaci czynsz, tak jak płaciłby każdemu właścicielowi budynku. A ludzie, którzy pracują na Dziedzińcu, płacą za wynajem swoją pracą – jeśli masz zamiar tu mieszkać, powinnaś o tym wiedzieć. – No cóż – Twyla westchnęła – musisz podjąć decyzję, czy chcesz znaleźć pracę w jakiejś miejscowej firmie i płacić czynsz, tak jak Crispin, czy wolisz pracować na Dziedzińcu i wykonywać zadania, które zostaną ci przydzielone.

Sierra jeszcze przez chwilę patrzyła na matkę z otwartymi ustami, a później bez słowa wyszła z pokoju. Kilka chwil później rozległo się trzaśnięcie wejściowych drzwi.

Twyli nie zaskoczył fakt, że dziewczyna nie zrozumiała zasad od razu, tuż po przyjeździe, gdy je im wyjaśniano. To było w zeszłym miesiącu, tuż po burzy – i po tym, jak na wszystkich padł blady strach. Przerazenie jeszcze nie minęło. Nie do końca. Nikt nic nie mówił, ale widziała, że wciąż wszyscy się boją. Eve i Pete Denby tak uważnie pilnowali swoich dzieci, a Crispin dzwonił kilka razy dziennie do niej, do Lizzy i Sierry, mimo że przecież widywał je każdego wieczoru. Widziała strach w zachowaniu Wron, które w specyficzny sposób zaglądały do mieszkań – z pewnością były ciekawe ludzi, ale jednocześnie szukały czegoś niewidzialnego, co mogłoby szeptać między budynkami. Słyszała strach w nocnym wyciu Wilków.

Nie musiała znać przepowiedni Meg Corbyn, żeby wiedzieć, co się stanie z ludźmi w tym mieście, jeśli Wilki przestaną wyc.

Powinna jak najszybciej powiedzieć o tym Crispinowi. A także ostrzec Meg przed Cyrusem. Wiele osób wiedziało już, co oznaczają równoległe blizny na ciele dziewczyny. Wystarczyło, żeby Cyrus na nią spojrział – od razu dostrzegłby bilet do nieograniczonego bogactwa. Nie zastanawiałby się nad tym, że mogłaby być cenna dla kogoś innego – z zupełnie innych powodów.

Jeśli tylko będzie miał ku temu sposobność i odpowiednio to rozegra, zabije wszystkich.

– Czy planujecie ograniczyć grono potencjalnych mieszkańców do Intuitów

i terra indigena? – zapytał Steve Przewoźnik, wręczając Simonowi list od Tolyi.

– A kogo jeszcze mielibyśmy uwzględnić?

– Mieszkańców Prostego Życia. – Steve popatrzył po kolei na Henry’ego, Tess, Vladę i Elliota, a na końcu z powrotem na Simona. – Nie wiedziałem, że na Środkowym Zachodzie tak dokładnie śledzą wydarzenia, dopóki James Ogrodnik nie spytał Rogera Czernedę o to, kto będzie zasiedlać puste miasta. Przed rodzinami Prostego Życia stoją takie same wyzwania, jak przed każdą ludzką grupą – ograniczona przestrzeń i możliwości rozwoju dla ich dzieci. Część mieszkańców Wielkiej Wyspy jest zainteresowana zasiedleniem miast. Kilku młodych chce się przenieść do Osiedla Nadrzecznego; cieszą się, że będą mieć własny dom, ale jednocześnie nie będą zbyt daleko od rodziny. Ale inni... – Steve usiadł. – Wydaje mi się, że część ludzi z komuny Prostego Życia nie chce porzucić swoich obyczajów, ale ma zamiar powiększyć strefę swoich wpływów. Natomiast intuicyjny sposób na życie znajduje się gdzieś pomiędzy Prostym Życiem a tym, co większość mieszkańców Lakeside uznałaby za minimum potrzebne do egzystencji.

– Czy któreś z młodych Prostego Życia umie zajmować się żywym inwentarzem? Bydłem? – spytał Henry.

Steve kiwnął głową.

– Krowy mleczne. Konie. Owce i kozy. Kury.

Simon podrapał się za uchem. Żaden z ludzi między Złotą Prerią a Bennett nie przeżył zemsty Starszych. Ale nie zniszczono wszystkich domów i budynków gospodarczych – w niektórych nadal żyły zwierzęta. Intuicy, którzy pracowali na ranchu w Złotej Prerii, nie mogli sobie poradzić z całym bydłem, a ludzie z Prostego Życia, mieszkający na pustych ranchach, być może nie sprowokowaliby Starszych do kolejnego ataku.

– Zastanowimy się nad tym.

– Jak chcesz to zrobić? – spytał Steve. – Planujesz urządzić targi pracy?

Popatrzyli na niego w osłupieniu.

– To znaczy, że przybędą do nas całe stada ludzi szukających zatrudnienia? – upewnił się Vlad.

Steve się skrzywił.

– Nie do końca. No dobrze, w pewnym sensie... Gdybym otrzymał listę potrzebnych umiejętności, mógłbym poprosić Loise’a Greene’a, redaktora z „Reportera z Wielkiej Wyspy”, żeby wydrukował dodatek z informacją. Ja dopilnowałbym, żeby trafił do ludzi z Prostego Życia oraz do Intuitów z Przystani Przewoźników. – Westchnął. – Musicie wiedzieć, że cały czas otrzymuję zapytania z osad Intuitów na Środkowym Zachodzie. Chodzi o to, czy *terra indigena* pozwolą zamieszkać w pustych miastach. To oczywiste, że nie przyjadą tu osobiście na rozmowę kwalifikacyjną, ale przywódcy *terra indigena* powinni to rozważyć.

– Żadne z tych miejsc nie będzie przeznaczone wyłącznie dla ludzi ani przez nich kontrolowane – odparł Simon. – Już nie.

– Wydaje mi się, że wszyscy pytający doskonale zdają sobie sprawę z tego, że „pusty” oznacza bez *ludzi*, a nie bez *nikogo* – dorzucił Steve.

– Chcę się dowiedzieć czegoś więcej na temat tych targów pracy – odezwała się Tess. – Powiedzenie Intuicom i mieszkańcom Prostego Życia o potencjalnym zatrudnieniu w Bennett to jedno, ale jeśli te informacje dotrą do tamtejszych ludzi, co zrobimy z tłumami, przekonanymi, że praca po prostu się im należy?

– Ale ogłosimy to tylko na Wielkiej Wyspie – zastrzegł Steve.

– Przecież ludzie zauważą, że na Dziedziniec zjeżdża tak wiele osób – zauważył Henry. – Niektórzy dołączą do nich z ciekawości, a potem, gdy już poznają cel podróży, zgłoszą się do pracy.

– Ludzie, którzy do mnie przyszli, przez jakiś czas o tym myśleli – rzekł Steve. – Może już od dawna chcieli jakiejś zmiany, ale nie wiedzieli, jak to załatwić. I może jest to też okazja dla części waszych ludzi. Czy jest tu ktoś, kto potrafi prowadzić firmę, ale jednocześnie będzie umiał się podporządkować, jeśli zostanie w Lakeside?

Simon się wyprostował. Zastanawiał się nad tym pytaniem i nad mieszkańcami Dziedzińca. Co najmniej jedna osoba przychodziła mu do głowy.

– Należy uściślić, że chodzi o zatrudnienie w Bennett, a rozmowy kwalifikacyjne tutaj są jedynie pierwszym etapem. Ostateczna decyzja zostanie podjęta przez przywódców w Bennett, tak więc możliwe, że odrzucone osoby zostaną odesłane z powrotem do Wielkiej Wyspy.

– Albo same poczują się tu niepewnie – dorzucił Vlad.

Młodzi Intuici bywali w Bennett; przyjeżdżali pomagać w sprzątanii, organizowaniu jedzenia i wyrzucaniu tego, które się zepsuło. Jedni, przeważnie samce, pozostali tu w nadziei, że uda im się znaleźć jakieś inne zajęcie. Drudzy wyrazili zainteresowanie wyjechaniem do innego miasta, w którym też trzeba było posprzątać. Pozostali wrócili do Wielkiej Wyspy, zestresowani faktem, że Starsi cały czas przebywają w mieście i ich obserwują.

– Bennett znajduje się pod kontrolą Sanguinatic, ale nowy szeryf jest Wilkiem – rzekł Simon. – Gdyby na jego zastępcę udało się znaleźć jakiegoś człowieka, mogłoby to być dla nas korzystne.

– Mogę zebrać zyciorysy i ci je przesłać – zaproponował Steve. – Przejrzysz je i zaprosisz ludzi, z którymi chciałbyś porozmawiać.

Simon pokręcił głową.

– Na podstawie jednej kartki trudno stwierdzić, czy powinniśmy kogoś wysłać do Bennett.

– W takim razie może rozłożymy targi pracy na kilka dni, tak by każdy mógł dostać jakieś zadanie do wykonania.

Vlad skinął głową.

– Jednego dnia będziemy szukać pracowników na farmę i ranczo i pomocników, takich jak kucharze. Kolejnego przesłuchamy ludzi do sklepów, a potem tych z wykształceniem medycznym i prawniczym, tak jak chce Jesse Walker.

Simon spojrzał na Steve'a.

– Jak szybko możesz zebrać ludzi?

– Kilka dni po tym, jak rozprowadzimy listę z poszukiwanymi zawodami. Gdy tylko wrócę do Przystani Przewoźników, porozmawiam z Loilem Greeneem. I zorganizujemy autokary, żeby przewieźć ludzi z Wielkiej Wyspy.

– W takim razie w przyszły poniedziałek zaczynamy rozmowy – zdecydował Simon. – Najpierw ludzie, którzy chcą pracować na farmach i ranczach.

Steve odsunął się od stołu konferencyjnego. Z wahaniem spojrzał na Simona.

– Chciałbym przywitać się z Meg; opowiedzieć jej o tym, jak sobie radzą młode *cassandra sangue* i o budowie obozu dla nich. Udało się nam rozpocząć wznoszenie budynku mieszkalnego.

Simon z całych sił starał się zachować ludzkie zęby, powtarzał sobie, że Steve nie jest dla niego konkurencją. Poza tym przecież w biurze łącznika przebywał Nathan.

– Meg z pewnością się ucieszy – rzekł, po czym dodał niepewnie: – A Jean? – Jean i Meg przyjaźniły się jeszcze w kompleksie, w którym je przetrzymywano, trenowano i wykorzystywano. Jean była zniszczona pod względem psychicznym i fizycznym i z trudem zachowała zdrowe zmysły. Widziała jednak rzeczy, których nie widziały inne wieszczki krwi.

– Jean to Jean. – Steve zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Potem podjął: – Ma trochę problemów ze zwierzętami z farmy, nie za bardzo potrafi się nimi zajmować, pomaga za to Lornie Ogrodnik w ogródku warzywnym. Rośliny rozkwitają, gęstnieją, ale nie poruszają się, więc Jean radzi sobie z nimi. Lorna mówiła, że czasami może godzinami patrzeć, jak wzrasta cukinia. Nie wie, dlaczego to robi ani dlaczego widzi to, czego nie widzi reszta z nas, ale to ją wyraźnie uspokaja.

Muszę porozmawiać z wami wszystkimi poza Przewoźnikiem, powiedział Elliot, korzystając z formy komunikacji *terra indigena*.

– Odprowadzę cię – zaproponował Vlad, po czym razem ze Stevem wyszedł z sali konferencyjnej.

Minutę później wrócił i zajął swoje miejsce. Wtedy Elliot opowiedział im o rozmowie z Twylą Montgomery.

– Nie mówiłaby źle o własnym szczeniaku, gdyby nie miała ku temu poważnych powodów.

– Porucznik Montgomery podchodzi do nas z dużą dozą ostrożności – rzekł

Henry. – Nie sprowadziłby do Dziedzińca nikogo, kto mógłby zaszkodzić Lizzy czy policji.

– Ale tu chodzi o młodszą siostrę – odparł Simon, przypominając sobie reakcję oficera Debany’ego na informację, że Barbara Ellen chce zamieszkać razem z obcym samcem. – W obliczu burzy, która nadciągnęła nad Lakeside, Montgomery z pewnością starał się zapewnić Sierrze schronienie. A przecież ona i pani Twyla mieszkały w Toland, gdzie uderzył największy sztorm.

– Ale nie próbował ocalić swego brata – rzekł Elliot.

– Może nie mógł. A może po prostu wie, że brat stanowi zagrożenie dla całego stada.

– A co będzie, jeśli brat się tu zjawi i sprowadzi na nas niebezpieczeństwo? – spytała Tess. W jej włosach pojawiły się rude kręcone pasemka.

– Wtedy się nim zajmiemy – odparł Vlad.

– A jeśli będzie zagrażał Meg?

Simon warknął, odsłaniając wilcze zęby. Na jego klatce piersiowej i ramionach pojawiła się sierść.

Tess przyjrzała się najpierw jemu, a potem Vladowi.

– W porządku.

– Pani Twyla powiedziała, że ludzie, którzy pracowali dla nas w konsulacie, źle wykonywali swoją pracę, a ja zgadzam się z jej opinią – rzekł Elliot. – Mimo wszystko potrzebujemy wsparcia, zwłaszcza że agent O’Sullivan również pracuje w konsulacie. Chciałbym zatrudnić Katherine Debany, matkę oficera Debany’ego. Zdaniem pani Twyli ta kobieta jest dobrym pracownikiem i ma niezbędne kwalifikacje.

– Porozmawiam z Dziadkiem Erebussem i zobaczymy, czy którykolwiek z Sanguinaticich zechciałby podjąć się pracy w biurze – zaproponował Vlad.

– A ja spytam Nadine, czy mogłaby przygotować kanapki i wypieki ludziom na targi pracy – zadeklarowała Tess.

Po podjęciu wszystkich decyzji każdy udał się do swoich zajęć. Tess, Henry, Vlad i Simon szli korytarzem, wpatrując się w niedawno założoną moskitierę. Meg mogła teraz mieć otwarte drzwi i nie przejmować się robakami. Nie zatrzymali się, ale każdy nasłuchiwał głosu Steve’a, rozmawiającego z Meg.

Simon stwierdził z satysfakcją, że nie musi interweniować.

– Porozmawiasz z Johnem? – spytał nagle Vlad.

– Tak. Będzie się świetnie nadawał do prowadzenia księgarni w Bennett. Umie współpracować z ludźmi i daje sobie z nimi radę. Może uczyć młode, zarówno ludzkie, jak i *terra indigena*, jak prowadzić księgarnię. Poza tym dobrze będzie mieć tam kolejnego Wilka – mniej chętnego do gryzienia niż Virgil.

– Czyli znasz nowego szeryfa Bennett?

– Tak.



Biorąc pod uwagę liczbę Jastrzębi na poręczy tarasu i wron – na dachach i w koronach okolicznych drzew – Monty zastanawiał się, czy jego rozmowę z matką będzie można uznać za prywatną. Tak naprawdę jednak mało go to obchodziło. Prawdopodobnie Jimmy był już w drodze do Lakeside, przekonany, że znajdzie tu darmowe mieszkanie i wyżywienie. Ale bez zaangażowania policji w poszukiwanie mężczyzny, który w świetle prawa nie popełnił żadnego przestępstwa – przynajmniej nie w ostatnim czasie – nie było mowy o ustaleniu miejsca pobytu Jimmy’ego.

Na bogów! Nie wiedział, czy Simon albo Vlad mieli kiedykolwiek do czynienia z osobą o takich zdolnościach manipulacji, z kimś, kto nie wyświadczy nikomu przysługi, jeśli nie będzie mu się to opłacać. Nie wiedział, czy mieli do czynienia z człowiekiem, który świetnie się czuł na ulicy i żył w przekonaniu, że zawsze uniknie konsekwencji swoich działań. A gdyby nawet musiał się z nimi zmierzyć, zbagatelizowałby je, uciekł albo zaczął knuć następny plan.

Monty drżał na samą myśl o tym, że Jimmy mógłby przyjechać do Lakeside – miejsca, w którym roіło się od policjantów, Wilków i Sanguinatic. Miejsca, w którym była Tess. Nie chciał myśleć o tym, co by się wydarzyło, gdyby Cyrus James Montgomery spróbował na niej swoich sztuczek. Albo gdyby choć zbliżył się do Meg Corbyn.

Wszystko jednak wskazywało na to, że będzie musiał sobie poradzić z obecnością brata. Mama była rozsądną kobietą, ale mierzenie się z intrygami, fałszywymi pochlebstwami i kłamstwami Jimmy’ego było ponad jej siły. A przecież zawsze tak robił, nawet w dzieciństwie, gdy jego kłamstwa i oszustwa nie miały większych konsekwencji. I w przeciwieństwie do Sierry mama rozumiała, że w towarzystwie Innych należy się kontrolować.

Zanim się skupi na sprawach zawodowych, chciał się spotkać z jeszcze jedną osobą.

Przeszedł przez skrzyżowanie Wroniej Alei i Ulicy Głównej i zauważył tabliczkę „Na sprzedaż” na Jeleniu i Zającu, gospodzie po drugiej stronie Dziedzińca; ukrywali się tam zwolennicy LPiNW i inni spiskowcy. Czyżby właściciel znajdował się wśród osób, które zginęły w wyniku szaleństwa Starszych?

A może sprzedawał gospodę, bo chciał kupić inną, w innej części Lakeside?

Monty otworzył drzwi do biura łącznika i kiwnął głową do Nathana.

– Poruczniku. – Meg wyszła z sortowni i stanęła przy ladzie. – Złapał mnie pan w ostatniej chwili, właśnie miałam zamykać na przerwę obiadową.

– Możesz mi poświęcić parę minut?

– Oczywiście. – Otworzyła przejście, żeby dołączył do niej w sortowni,

a potem zamknęła za sobą drzwi. Tylko taką prywatność mogła sobie zapewnić w towarzystwie jakiegokolwiek ludzkiego samca.

– Muszę się czegoś dowiedzieć. – Monty podniósł rękę tak gwałtownie, jakby Meg sięgnęła właśnie po swoją srebrną brzytwę. – Ale to nie jest na tyle ważna sprawa, żebyś się cięła. Miałem nadzieję, że wystarczą karty.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Widział, że Meg ma ochotę wykorzystać wymówkę i sięgnąć po brzytwę, poczuć euforię płynącą z wypowiedzania proroctwa. Widział, jak ze sobą walczy. Wiedział też, jak Simon Wilcza Straż i jej przyjaciele – zarówno *terra indigena*, jak i ludzie – zareagowaliby na wieść, że się cięła, choć wytrzymała bez tego już kilka tygodni.

– Mogę spróbować z kartami – odparła w końcu. Otworzyła szufladę i wyjęła drewniane, rzeźbione pudełko. Dobyła z niego karty i rozłożyła na stole. Następnie położyła dłonie tuż nad nimi. – Jak brzmi pytanie?

– Co się stanie, jeśli do Lakeside przybędzie Cyrus James Montgomery aka Jimmy? Mów, wieszczko, a ja cię wysłucham. – Nie wiedział, czy powinien wypowiadać tę formułkę, gdy Meg korzystała z kart – była to część rytuału proroctwa, gdy korzystała z brzytwy – ale na wszelki wypadek powiedział wszystko, co uważał za stosowne.

Zamknęła oczy. Czekał. Po chwili jej dłonie zaczęły się poruszać, jakby czegoś szukały. Wybrała jedną kartę i zmarszczyła czoło; jej prawa dłoń cały czas się poruszała. Wreszcie wybrała drugą i westchnęła, tak jakby pozbyła się niepokoju.

Odwróciła karty, żeby odczytać odpowiedź.

Na pierwszej widniał wybuch. Na drugiej – zakapturzona postać z kosą.

– Wczoraj też wyciągnęłam tę kartę. – Wskazała na obrazek eksplozji. – Zadałam pytanie o Lakeside i to była karta akcji.

Monty wiedział już dostatecznie dużo na temat tego, w jaki sposób Meg wykorzystywała karty proroctw: z reguły wybierała jedną z talii, jeśli pytanie było proste, i trzy, jeśli potrzebna była złożona odpowiedź, wymagająca określenia podmiotu, akcji i skutku. Podejrzewał, że wyciągnięcie dwóch kart było rzadkością.

– A gdy wybierałaś karty wczoraj? Jaka była karta podmiotu poprzedzającego wybuch?

– To była karta podróży: pociąg/autobus/samochód. Kartą akcji była eksplozja.

– A skutek?

– Przyszłość nieznana. – Wyglądała na zmartwioną.

Monty czuł się podobnie.

– Dziękuję, Meg.

– Dzisiaj rano przyszła do mnie pani Twyla. Ona też o nim wspominała.

O Cyrusie Jamesie. Powiedziała, że ze względu na to, kim jestem, powinnam trzymać się od niego z daleka.

– Niestety to prawda. Jimmy z pewnością spróbuje wykorzystać twój... talent dla własnych korzyści. Jeśli ulegniesz mu choć raz, następnym razem przyprowadzi przyjaciół i będzie cię namawiał, żebyś odczytywała dla nich karty – albo się cięła, jeśli karty nie dadzą satysfakcjonującej go odpowiedzi.

Spojrzała na niego, przerażona.

– Sprowadzenie na Działziniec obcych osób byłoby niebezpieczne i z pewnością sprawiło wiele problemów.

– Owszem. Jimmy potrafił coś zacząć, wyciągnąć z tego wszystko, co dla niego korzystne, a potem odejść – w chwili, gdy sytuacja staje się nieciekawa lub niebezpieczna. – Intryga obejmująca osobę Meg nie byłaby niebezpieczna. Byłaby śmiertelna.

Meg schowała karty do skrzyneczki i ułożyła je na kupki, tak by wieczko się zamknęło, ale nie rozdzieliła według talii.

– Lepiej już zamknę. Mam zjeść lunch z Simonem.

Monty odprowadził ją do tylnego wejścia do Czegoś na Ząb. Poczul ulgę, stwierdziwszy, że Simona jeszcze nie ma. Nie miał siły rozmawiać z nim teraz.

Najpierw powinien pogadać z Kowalskim i Debanym – opowiedzieć im szczerze o niebezpieczeństwie, jakie mógł sprowadzić na nich jego brat, jeśli – albo kiedy – przyjedzie do Lakeside. Potem porozmawia z kapitanem Burke'em i agentem O'Sullivanem; opowie im o kartach, które wyciągnęła Meg w odpowiedzi na jego pytanie. A na końcu pogada z Simonem o swoim bracie, który przestrzegał prawa tylko wtedy, gdy mu się to opłacało. Oczywiście na Działziniecu ludzkie prawo nie obowiązywało, ale Monty i tak wiedział, jak ciężkiego wyboru będzie musiał dokonać, jeśli Wilki wyruszą na Jimmy'ego.

Do: Tolya Sanguinati, PILNE

Oficer Debany martwi się, ponieważ Barbara Ellen wprowadza się do domu z samcem o imieniu Buddy. Znasz go? Czy jest dla niej odpowiedni? Odpowiedz, proszę, tak szybko, jak się da.

Vlad

Do: Vladimir Sanguinati, PILNE

Buddy z pewnością jest odpowiednim współlokatorem dla Barbary Ellen, ale nie nadaje się dla niej do parzenia się i zakładania stada. Buddy to papuga aleksandretta.

Tolya

Droga Meg,

Zalączę szkice autorstwa mojej przyjaciółki Amy Wilczej Straży. Zawsze,

gdy wychodzę na zewnątrz, żeby porysować, ona próbuje ukraść mi ołówek. Myślałam, że będzie chciała je gryźć, tak jak Wilki gryzą gałęzie, żeby wyczyścić sobie zęby. Ale w tym tygodniu ona przyjęła (niemal) ludzką postać i zobaczyłam, że okazuje zainteresowanie tym, co robię. Ona też chce rysować, a próba zabierania mi ołówków była prośbą o podzielenie się nimi. Chciałabym pokazać jej, jak należy rysować, ale nie umiem. Nie potrafię wyjaśnić, co robię i w jaki sposób ona mogłaby robić to samo. Nikt mnie tego nie nauczył; po prostu biorę do ręki ołówek czy kredkę i wszystko rysuje się samo.

Grace Wilcza Straż poszła do wioski Intuitów – tutaj, w Sweetwater – żeby zobaczyć, czy w ich małej księgarni znajdzie poradniki, jak rysować, ale nic nie mieli. Jackson i jacyś Intuici pojechali nawet dalej, aż do Wioski Wytrzymałych, do ludzkiego miasta. To znaczy do tego, co z niego zostało.

Dokąd mają pójść ludzie, którzy przetrwali atak Starszych, jeśli chcą opuścić obecne miejsce zamieszkania? Jackson powiedział, że mieszkańcy Wioski Wytrzymałych zachowali się głupio, pakując się do samochodów i uciekając w środku nocy. I że powinni byli wyjechać o świcie i podróżować w dzień, ponieważ wszyscy ludzie zostali ostrzeżeni przed jazdą w nocy. Ale niektórzy ludzie nie słuchali, a teraz Kruki i Orły latają nad drogami i przekazują Wilkom i Intuitom informacje, gdzie można znaleźć samochody – i co z nich zostało.

Ludzie, którzy pozostali w mieście, na razie się z niego nie ruszą. Powiedzieli Jacksonowi i kilku Intuitom, że to nigdy nie było miejsce przyjazne ludziom, ale spróbują w nim wytrwać, tak jak wytrwali ich przodkowie. Słyszałam, jak właśnie to Jackson powiedział Grace.

W osadzie terra indigena pozornie nic się nie zmieniło. No dobrze, Jackson i Grace postanowili, że najmłodszy powinien się nauczyć czytać i pisać. Zatrudnili intuickiego nauczyciela, który uczy wszystkich ochotników pisania, czytania i liczenia. Tak więc co rano Wilki przyciągają tablicę na kółkach w jakieś zacienione miejsce i młode wszystkich straży – Orły, Kruki, Jastrzębie, Wilki, a nawet jedna z Panter – zbierają się, żeby słuchać nauczycielki. Większość nie zmienia postaci na ludzką – podejrzewam, że nigdy nie próbowali tego robić. Ale wszyscy słuchamy z uwagą. Grace powiedziała, że nawet jeśli jest to dla mnie za proste i już to umiem, muszę się skupić na lekcjach, żeby dać młodym dobry przykład, jak należy się zachowywać w szkole. Wydaje mi się, że przez większość czasu dobrze wykonuję swoje zadanie, jednak czasem, gdy słucham nauczycielki, idę w odległe miejsce, z którego nadal ją słyszę, ale mogę się skupić na czymś innym. Wtedy mrugam, a na stronie mojego notesu pojawia się rysunek. I nagle obserwują mnie wszyscy, nawet nauczycielka. Ale nikt nic nie mówi. Nikt nie grozi, że obetnie mi palce, tak jak to było w kompleksie. Jeśli mamy lekcję, Jackson podchodzi do mnie, wrywa rysunki z mojego notesu, a nauczycielka wraca do tematu.

Grace mówi, że młode cassandra sangue, które mieszkają z Intuitami, świetnie się spisują. Mają ściśle ułożone plany dnia, podzielone na naukę i obowiązki, dostosowane do ich wieku. I codziennie doświadczają odrobiny nowości. Ja też. Teren wokół naszej osady jest niby taki sam, a jednak każdego dnia inny. Podoba mi się to.

Mogłabyś sprawdzić, czy w twojej księgarni jest jakiś poradnik dotyczący rysowania? Zapłacę za niego, gdy tylko nauczę się to robić.

Twoja przyjaciółka,

Nadzieja Wilcza Pieśń

Rozdział 4



Poniedziałek, 6 sierpnia

John Wilcza Straż spojrział na Vlada, a potem skupił się na Simonie.

– Jesteście pewni?

– Tak – odparł Simon. – Umiesz prowadzić księgarnię i pracować z ludźmi.

Poza tym przyda się nam w Bennett kolejny Wilk. – Przyjrzał się Johnowi i dodał: – Nie każę ci tam jechać, to twój wybór. Są tam teraz tylko dwa inne Wilki, więc będzie małe stado do polowania na zwierzynę.

– A jednocześnie nie będziesz musiał jeść tego, co upolujesz, bo będzie dostępne też inne jedzenie – dorzucił Vlad. – Żywności w Bennett wystarczy na co najmniej kilka miesięcy.

John zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę.

– Czy któryś z tych Wilków tam dowodzi?

– Virgil – odparł Simon. Myślał o tym, w jaki sposób Virgil i Tolya ustalili, który z nich będzie samcem dominującym. Ponieważ Tolya nadal rządził miastem, a Virgil, jako szeryf, teoretycznie dla niego pracował, Wilk musiał instynktownie

czuć, że Sanguinati mógł stanowić dla niego śmiertelne zagrożenie.

– Kiedy mam wyjechać? – spytał John.

– Jak najszybciej. Muszą ponownie otworzyć sklepy. Dzisiaj wieczorem do nich napiszę.

– Może John powinien wstrzymać się dzień lub dwa? – spytał Vlad. – Łatwiej będzie wysłać w podróż do Bennett całą grupę, zwłaszcza jeśli będą to również mieszkańcy Prostego Życia.

Simon przytaknął. Targi pracy zaczynały się za kilka godzin – szukali pracowników na farmy i rancza. Miał nadzieję, że uda się znaleźć kilku odpowiednich ludzi, których będzie można wysłać do Bennett i Złotej Prerii.

John wyszedł, żeby się spakować i pomyśleć, w jaki sposób powinien wypełnić swoje nowe zadanie, a Simon westchnął. W latach, gdy Zabójczo Dobre Lektury stawały się ogólnodostępne, dobroduszny Wilk był dla nich ogromną pomocą. Teraz jednak sklepy na Dziedzińcu miały pełnić zupełnie inną, ograniczoną funkcję; John, ze swoim przyjaznym charakterem, o wiele bardziej przyda się Tolyi w miejscu, w którym ani ludzie, ani *terra indigena* nie mają ze sobą zbyt dużego kontaktu.

– Czyli sprawa z Johnem jest załatwiona – rzekł Simon. – Możesz się zająć naszym kolejnym pracownikiem.

Vlad spojrział na niego z niezadowoleniem.

– Czyli wybuchową puszystą kulką? A dlaczego ja?

– Bo świetnie sobie z nimi radzisz. Nie martw się, będę tuż za tobą; w razie czego pomogę.

Simon udał, że nie usłyszał szpetnego przekleństwa, które Vlad mruknął pod nosem.



– Zastępca dyrektora? Naprawdę? – Merri Lee ukazała w uśmiechu rząd małych zębów. Ponieważ była człowiekiem, jej zęby nie wzbudzały strachu.

– Tak, naprawdę. – Vlad odwzajemnił uśmiech, ale nie odsłonił swoich kłów. Miał niejasne wrażenie, że byłoby to okazanie wyższości.

Po chwili uśmiech dziewczyny zniknął.

– Ale co z Meg? – zapytała. – Co z pracą, którą wykonuję razem z nią?

– Ja i Simon rozumiemy, że nie można przewidzieć, kiedy Meg będzie potrzebować twojej pomocy, i potrzebna jest elastyczność. Na razie jednak, póki uczymy się korzystać z *Przewodnika Wieszczy Krwi*, może mogłabyś pracować z Meg po przerwie popołudniowej, zanim zajmie się dostawami? Wtedy byłaby dostępna również Ruthie; ponieważ ludzkie młode mają szkołę od rana, a po południu pilnują ich inni dorośli.

Merri Lee kiwnęła głową.

– Myślę, że sobie poradzimy.

– Simon albo ja będziemy w sklepie przez większość czasu, więc nie będziesz zdana tylko na siebie.

– W porządku. – Po raz kolejny uśmiechnęła się promiennie. – To cudownie! Naprawdę rewelacyjne! Kiedy zaczynam? Mogę zamawiać książki?

Jak się okazuje, radosna puszysta kulka może być tak samo denerwująca, jak wściekła puszysta kulka...

– Możesz nam coś polecać, ale na razie Simon i ja będziemy musieli zatwierdzać ostateczną listę wysyłaną wydawcom – poinstruował Vlad.

Zamawianie książek od wydawców z Toland mogło być problematyczne, jeśli wziąć pod uwagę wieści na temat stanu kontrolowanych przez ludzi miast w Thaisii. Simon wysłał listy do wszystkich wydawnictw należących do Intuitów i *terra indigena*, których znał na Północnym Wschodzie, Południowym Wschodzie i w Północnych Wyżynach. Dopóki się nie odezwą, nie można określić, jakie książki znajdują się na półkach w księgarni.

– Mogę pobiec do biura łącznika i powiedzieć o tym Meg? Chyba też powinnam skonsultować to z Tess, dzisiaj jest moja zmiana w Czymś na Zęb...

Nie czekając na odpowiedź, Merri Lee wbiegła pod łuk i zaczęła krzyczeć:

– Tess! Dostałam awans! Tess!

– Myślisz, że Tess będzie miała coś przeciwko? – Vlad zwrócił się do milczącego do tej pory Simona.

Gdy rozważali, kogo przyjąć na miejsce Johna, Merri Lee zdawała się oczywistym wyborem – pracowała już w sklepie i potrafiła sobie radzić z przychodzącymi tam *terra indigena* – nawet z Wilkami z Addirondak, którzy przybyli do Lakeside na kilka dni, żeby pobyć trochę w towarzystwie ludzi. Nie pomyśleli jednak o tym, że Tess mogłaby być niezadowolona z utraty swej najlepszej ludzkiej pracownicy.

Z drugiej strony przecież wystarczyło popatrzeć na kolor i skręt włosów Tess, żeby ustalić, w jakim jest nastroju. Jeśli po otrzymaniu informacji na temat awansu Merri Lee jej włosy przybiorą kolor inny niż brązowy, Vlad i Simon poszukają sobie zajęcia gdzie indziej i poczekają, aż Tess się uspokoi.

– Nadal będą z nią pracować Julia Jastrzębia Straż i Nadine Fallacaro – zauważył Simon. – A Sierra będzie mogła obsługiwać klientów i wykonywać inne zadania.

– To nie to samo.

Simon nie chciał się z tym zgodzić, ale wreszcie niechętnie przyznał:

– Nie, to nie to samo.

Zamarli, gdy w łuku nagle stanęła Tess – jej włosy były zielone i poskręcane.

– Nie dostaniecie jej przed targami pracy. A po nich całe Stowarzyszenie Przedsiębiorców omówi sposób ponownego przydzielania pracowników do

konkretnych stanowisk.

Odeszła tak szybko, jak się pojawiła.

Vlad wpatrywał się w podłogę pod łukiem. Przez wiele lat pracowali z Tess, nie wiedząc, czym była, oprócz tego, że była śmiertelną postacią *terra indigena*. Tacy jak oni występowali bardzo rzadko – była Żniwiarzem, Szerzycielem Zarazy – co nie ułatwiało współpracy. Była też jednym z najgroźniejszych drapieżników Namid – nie tak śmiercionośnym, jak Żywioły czy Starsi, ale o wiele groźniejszym niż większość zmiennokształtnych.

– No cóż, chyba nieźle nam poszło – mruknął Simon, po czym wyrztał przez jedno z wielkich frontowych okien ZDL. – Chodź. Lepiej przygotujmy się na przybycie ludzi. Za chwilę zaczną się schodzić.

– Byłoby o wiele przyjemniej, gdybyśmy mogli zjeść choć kilku z nich. – Vlad pokręcił głową. Nawet potencjalni pracownicy musieli zostać uznani za niejadalnych. – Dobra, nie powiedziałem tego.

– Zbiorę pierwszą partię aplikacji i zaniosę je na górę do przejrzenia – rzekł Simon.

W drodze do biura ZDL Vlad zastanawiał się, w jaki sposób on i Simon mieli wybrać potencjalnych pracowników, skoro sami mieli pojęcie tylko o hodowli bydła i jeździe konnej. I o tym, jak nie wkurzać Starszych, żeby cię nie pożarli.



– Tess, masz chwilę?

Odwróciła głowę w stronę Nadine Fallacaro, ale na nią nie spojrzała. Gdy do Czegoś na Ząb przychodził człowiek – na filiżankę kawy, kanapkę czy ciasto – łatwo było ukradkiem nadpić trochę jego energii życiowej. Nie za dużo, żeby nie wyrządzić mu krzywdy, nawet nie tyle, by zdołał się zorientować, zwłaszcza o poranku, gdy kofeina odrobinę maskuje zmęczenie. Ponieważ miała do dyspozycji wiele różnych pokarmów, te małe łyki wystarczyły, by utrzymała się przy życiu, a nawet zaspokoila.

Ponieważ jednak bar nie był już otwarty dla wszystkich obywateli, sączyła życiową energię o wiele ostrożniej, gdyż każdą z tych osób znała i musiała uważać, żeby nie zrobić im krzywdy. Rano nie piła z Nadine ani z żadnego z policjantów – wiedziała, że potrzebowali energii, żeby mogli być uważni i ostrożni przez cały dzień.

Czy którykolwiek z rodziców zastanawiał się, dlaczego tuż przed pójściem do łóżka jego dzieci są tak osłabione? Czy wiedzieli o tym Simon, Vlad i Henry – i czy w ogóle przywiązywali do tego uwagę, ostatecznie przecież nie czerpała energii życiowej z młodych *terra indigena*.

– Czy to, o czym chcesz mi powiedzieć, wyprowadzi mnie z równowagi? –

spytała.

– Wydaje mi się, że to pomyślne informacje dla nas obu. – Nadine wyciągnęła rękę z listem.

Byłoby miło, pomyślała Tess, i zaczęła czytać.

– Nie rozumiem – powiedziała po chwili. – Przecież zaopatrujemy się na farmach należących do Intuitów i *terra indigena*.

– Owszem, Dziedziniec właśnie tak robi. Ale robimy zapasy tylko dla mieszkających tu *terra indigena*, nie dla wszystkich ludzi, którzy mogą teraz robić zakupy na rynku. Jeśli będziemy kupować tylko tyle żywności, żeby zaopatrzyć Coś na Ząb, nie wystarczy nam jej na nic innego.

To była prawda. W Rejonie Północno-Wschodnim – prawdopodobnie w całej Thaisii – widać było skutki ograniczenia ilości jedzenia ze względu na opóźnienia dostaw. Sklepy otrzymywały gwarantowany przydział, określany na podstawie liczby zarejestrowanych w nich gospodarstw. Ponieważ mieszkańcy Dziedzińca nie dostawali książeczek z kartkami żywnościowymi, nie było wiadomo, czy będą mogli kupić cokolwiek w ludzkich sklepach.

– Poszłam na pocztę, która z reguły dostarczała mi korespondencję – rzekła Nadine. – Podałam Dziedziniec jako moje nowe miejsce pracy i zamieszkania. Ponieważ w noc, kiedy spalono moją piekarnię, poszło z dymem wiele innych, ta, która istniała wcześniej, nadal jest uznawana za funkcjonujący interes – nawet jeśli jej właściciel piecze wszystko we własnej kuchni. Żeby dystrybucja była sprawiedliwa, dostarczane do piekarni zaopatrzenie zostało zmniejszone o jedną trzecią. Dla większości ludzi oznacza to, że bochenek chleba będzie kosztował tyle samo, co wcześniej, ale będzie mniejszy, ponieważ chleb musi trafić do wszystkich zarejestrowanych klientów. To z kolei oznacza, że rodziny, takie jak MacDonaldownie i Debany, czy najemcy waszych mieszkań będą chcieli kupić na Dziedzińcu to, czego będą potrzebować. Dzięki otrzymanemu zaopatrzeniu będę mogła upiec to oraz zaopatrzyć Coś na Ząb.

– Czyli ty będziesz korzystać z tutejszej kuchni, a ja będę kupować wypieki tak jak wtedy, gdy piekłaś gdzie indziej?

– Właśnie. Będziesz mi płacić, tak by moja firma nadal była uznawana za firmę. Będę kupować własne zapasy, płacić czynsz za mieszkanie i robić zakupy w sklepach na rynku.

Brzmiało to jak niepotrzebne komplikowanie czegoś, co powinno być prostą wymianą, jeśli jednak był to sposób, by Nadine przestrzegąca ludzkiego prawa, Tess mogła sobie z tym poradzić.

– Jako jednostka zarejestruję się w Ptasim Centrum, żeby móc nabywać swój przydział. Wydaje mi się, że skoro my mamy taką opcję, powinny tak zrobić wszystkie ludzkie gospodarstwa. Dzięki temu, jeśli zabraknie nam czegoś przed kolejną dostawą od tubylców ziemi, nadal będziemy mogli kupować różne rzeczy.

Tess analizowała każde wypowiedziane słowo. Nadine wszystko sobie przemyślała. Czy Eve Denby albo Twyla Montgomery też to poplanowały? A co ze stadem samic Meg?

– Dobrze, spróbujemy. Musisz wywiesić jakiś znak albo coś?

– Pomyślałam, że moglibyśmy powiesić odpowiednią tabliczkę przy tylnych drzwiach baru. Bo to z tamtej strony będą dostarczane zapasy. – Poza tym ukrycie piekarni przed ludźmi jadącymi Wronią Aleją było praktyczne, ponieważ już żaden ze sklepów na Dziedzińcu nie był otwarty dla ogółu społeczeństwa.

Tess poczuła, że jej włosy się prostują.

– Coś jeszcze? – zapytała.

– Słyszałam, że Twyla Montgomery chce zamieszkać w jednej z kawalerek. Ponieważ trzy pozostałe lokale są już zajęte, nie będzie miejsca dla Emily Faire, która ma zacząć pracę w tutejszym gabinecie lekarskim. W swoim nowym mieszkaniu będzie miała dodatkową sypialnię, więc jeśli Emily zechce, może ze mną zamieszkać.

– Powiem jej o tym. – Tess obserwowała grupę młodych mężczyzn w białych koszulach, ciemnych spodniach z szelkami i słomianych kapeluszach; kręcili się chwilę przed wystawą Zabójczo Dobrych Lektur, a potem weszli do środka. – Wygląda na to, że pojawili się pierwsi kandydaci do pracy.

– Jak myślisz, powinniśmy im zaproponować babeczki i kanapki?

Tess kiwnęła głową. Nowe twarze, które przybyły tu tylko na jeden dzień. Podając im jedzenie, będzie mogła uszczknąć trochę ich energii życiowej.



Mniejsi zmiennokształtni, zajęci ludźmi, którzy nagle pojawili się w budynkach Dziedzińca, nie zauważyli panującej tam dziwnej ciszy, nie poczuli dzikiego zapachu w powietrzu.

Żywioty, obserwujące wszystko z oddali, zorientowały się, że coś jest nie tak, ale milczały.

Brak zainteresowania nowymi ludźmi zaskoczył i zaintrygował Starszych, którzy wślizgnęli się na Dziedziniec o brzasku. Lakeside było dobrym miejscem do obserwowania, jak różne gatunki ludzi zachowują się w towarzystwie tubylców ziemi. Po przeprowadzeniu obserwacji Starsi chcieli podzielić się tymi wnioskami – wtedy miała zapaść decyzja, którzy ludzie będą mogli zamieszkać w Thaisii.



Simon zastanawiał się, w jaki sposób mieszkańcy Prostego Życia na Wielkiej Wyspie tak szybko przekazali wieści pozostałym społecznościom. Może mieli telefon, z którego korzystali w awaryjnych sytuacjach, i ktoś zadzwonił do mieszkańców w Rejonie Północno-Wschodnim, by poinformować ich, że jest

potencjalna praca dla każdego, kto chce się przeprowadzić na Środkowy Zachód? Tak czy inaczej, młodzi mężczyźni, którzy pojechali na Wielką Wyspę, a potem autokarem do Lakeside, pochodzili z kilku miejscowości wokół Jezior Piór i gór Addirondak. Przybyło nawet kilka osób z Północnych Wyżyn po drugiej stronie jeziora Tahki.

Kilkunastu mężczyzn mieszkało i pracowało ze zwierzętami. Potrafili obchodzić się z krowami mlecznymi, ale nie z bydlęciem mięsnym, hodowanym w Regionie Środkowo-Zachodnim; umieli też jeździć konno, naprawiać płoty i pracować na farmie. Wszyscy mieli starszych braci, którzy mogli przejąć rodzinne farmy, tak by oni mogli zacząć wszystko od nowa, stworzyć przestrzeń dla siebie.

Nie wydzielali podejrzanego zapachu. Nie sprawili, że się zjeżył. Vladowi też nic w nich nie przeszkadzało. Ludzie ci byli gotowi, a nawet chętni do pracy – i chcieli przeżyć przygodę.

Przyjechało również pięć kobiet; chciały podjąć pracę na ranczach – zadawały mnóstwo pytań. Czy na ranczach były krowy mleczne dające mleko? Czy były kury, a co za tym idzie, też jaja i mięso? Czy były owce na wełnę? A kozy? Co z kozami?

A skąd on miał to wszystko wiedzieć? Pozostało tam to, co nie zdążyło uciec i nie zostało pożarte. A jeśli chodzi o zaopatrzenie i wszystkie niezbędne sprzęty – wszystko się załatwi z pomocą mieszkańców Bennett i Złotej Prerii.

– Nieźle, jak na pierwszy dzień – rzekł Vlad, gdy wszyscy ludzie, zadowoleni z siebie, wsiedli do autokaru. Mieli teraz wrócić na Wielką Wyspę, spakować się i poinformować rodziny, że wyjeżdżają na zachodni kraniec Środkowego Zachodu. – Mamy dwudziestu czterech mężczyzn do pracy na ranczach i doglądania koni i bydła oraz pięć kobiet, które zajmą się gospodarstwami i będą gotować.

– Cztery kobiety – poprawił go Simon. Zamknął drzwi ZDL i odetchnął z ulgą. – Nie wydaje mi się, żeby najmłodsza samica chciała prowadzić gospodarstwo czy jak to się u nich nazywa. Cały czas mówiła o tym, że potrafi jeździć konno i łapać zwierzęta na łąsku – nauczyła się tego na krowach i kozach.

– No cóż, to już problem Tolyi. Może skończyć z własną wybuchającą puszystą kulką. – Vlad parsknął śmiechem, ale po chwili się uspokoił. – Nigdy nie myślałem, że wśród mieszkańców Prostego Życia znajdą się wybuchające puszyste kulki.

Simon przypomniał sobie uśmiech Merri Lee, gdy powiedzieli jej o awansie, i uśmiech jednej z kobiet z Prostego Życia, gdy dowiedziała się, że może jechać do Bennett na ostateczną rozmowę o pracę. Tak. Wybuchająca puszysta kulka.

– Ta może się zająć zaganiem wszystkim, co ma dwie lub cztery łapy. Dla Tolyi i wszystkich będzie lepiej, jeśli dadzą jej zajęcie przy krowach – a i ona będzie szczęśliwa.

– Ciekawe, czy jej rodzina jest tego samego zdania – rzucił oschle Vlad.

Rozbawiony, Simon poszedł na górę spotkać się z resztą Stowarzyszenia Przedsiębiorców, żeby omówić sposób karmienia ludzkiego stada.



Meg wgryzła się w hamburgera z wołowiną i zaczęła powoli przeżuwać, rozkoszując się nowym smakiem w Mięsie i Zieleninie. Razem z nią byli tam Simon i Sam – w ludzkich postaciach. Często jadali wspólnie posiłki, ale z reguły miało to miejsce w jej mieszkaniu albo w letnim pokoju. Ludzka restauracja to było coś innego – i nie tylko Simon obserwował jej reakcję na to nowe doświadczenie.

Wcześniej tego dnia jednak bardzo się zdenerwowała. Razem z ludźmi, którzy przybyli na targi pracy w nadziei, że uda im się zadomowić w innej części Thaisii, pojawiło się znajome mrowienie. Miała wielką ochotę pójść do łazienki i zrobić małe nacięcie na palcu u stopy, ale wiedziała, że Nathan wyczułby nawet odrobinę krwi i wszczął alarm. To z kolei sprowadziłoby jej na głowę Simona, który wściekłby się na obcych ludzi i zamknął targi pracy.

A przecież sama otrzymała szansę na rozpoczęcie nowego życia – nie chciała teraz, by przez nią inni ludzie ją stracili. Walczyła więc z chęcią nacięcia skóry, powtarzając sobie, że nikomu w ten sposób nie pomoże, bo gdy będzie wypowiadała prorocstwo, nikt jej nie wysłucha.

Ostatecznie Nathan podjął decyzję za nią – zmienił się w człowieka i stanął między przednią częścią biura a sortownią. W ten sposób dostawcy widzieli ją, jak pracuje, ale to Nathan się z nimi kontaktował i podpisywał odbiór paczek, dzięki czemu mogła trzymać się z dala od obcych.

Udało jej się jakoś przetrwać dzień, choć Wilk nie spuszczał z niej wzroku. Wyszła z biura wcześniej, żeby zrobić dostawy i wrócić do Zielonego Kompleksu na długo przed tym, jak pracę zakończyli pozostali mieszkańcy. Siedziała beczynnie w letnim pokoju i słuchała śpiewu ptaków, które radośnie świergotały, bo w pobliżu, jak na razie, nie było Jastrzębi.

Gdy wrócił Simon, była już spokojna i gotowa odebrać Sama z kompleksu Wilczej Straży, tak by mogli zjeść kolację we troje.

W restauracji jeszcze od czasu do czasu czuła mrowienie, ale niczyja obecność nie wywoływała bólu, przez który chciałaby naciąć skórę. Jedzenie w Mięsie i Zieleninie nie było dla niej nowym doświadczeniem, które mogłoby ją przerosnąć. Przychodziła tu już z Ruth i Merri Lee. Ale jeszcze nigdy nie jadła tu sama. Nowe było też jedzenie tu kolacji z Samem i Simonem – ale to akurat ją uszczęśliwiał.

– Chcesz spróbować mojego bizonburgera, Meg? – Sam wyciągnął do niej niemal surowy kawałek mięsa. – Naprawdę pyszny.

Wilk częstujący jedzeniem to coś naprawdę wyjątkowego, ale...

– Nie, Sam, dzięki. Mam swojego burgera.

– Ale ty masz z wołowiną – zaprotestował Sam, tak jakby jadła mięso gorszej jakości.

– Wolę wołowinę niż bizoninę – zapewniła.

Zdziwił się.

– Dlaczego?

– Dość tego, szczeniaku – upomniał go Simon. – Daj Meg zjeść w spokoju.

Ale Samowi to nie wystarczyło.

– A co z sarniną? Wolisz sarninę od wołowiny?

Nie, nie wołała, ale zaczynała się do niej przyzwyczajać, tak jak przyzwyczajała się do tego, że w menu obok wieprzowych znajdowały się też kotlety z mięsa innych zwierząt, a na liście dań z drobiu, zamiast kurczaka, figurowała świeżo upolowana kaczka czy gęś. Nie jadła jeszcze łosia ani konia. Przynajmniej nie wiedziała, że jadła. Była przekonana, że koniny nie podaje się już na Dziedzińcu, zastanawiała się więc, kto je ją teraz.

– Meg? – W głosie Simona brzmiało zmartwienie.

Odłożyła burgera na talerz i wzięła widelec, żeby zjeść trochę sałatki.

– Lubię sarninę, ale wolę wołowinę.

Sam zjadł kilka kęsów swojego dania, a potem odwrócił się do Simona.

– Może Meg nie lubi sarniny, bo nie dostaje najlepszych kawałków? Może mógłbyś dać jej serce...

Widelec Meg przejechał ostro po talerzu. Z trudem przełknęła to, co miała w ustach, bo jej żołądek nagle zaczął się kurczyć. Obawiała się, że za chwilę popsuje posiłek wszystkim obecnym w restauracji.

Dłoń Simona spadła na głowę Sama tak szybko, że chłopiec nie zdążył się wzdrygnąć, nie mówiąc o zrobieniu uniku. To nie było uderzenie – sam ciężar dłoni przywódcy był ostrzeżeniem dla chłopca.

Meg nie słyszała ich wewnętrznej rozmowy, jednak była przekonana, że powiedzieli sobie dużo twardych słów. Po chwili Simon zabrał dłoń.

Wyraźnie przygnębiony, Sam siedział ze spuszczoną głową i rękami na kolanach, jego usta lekko drżały.

Meg spojrzała na Simona – wrócił do jedzenia, jakby nic się nie wydarzyło. Miała ochotę położyć dłoń na głowie Sama, przeczesać palcami złotosiwe włosy. Niezależnie od tego, czy były to włosy ludzkie, czy sierść, chłopiec wyróżniał się wyglądem. Zdaniem Jane, chodzącego ciała Wilczej Straży, sierść zmieni kolor, gdy Sam dojrzeje, stanie się bardziej szara z niewielką domieszką złota – taki kolor był o wiele lepszy dla łowcy. Meg miała jednak nadzieję, że włosy Sama w ludzkiej postaci będą bardziej złote. Wtedy kochałyby się w nim wszystkie dziewczyny – przynajmniej do czasu poznania jego preferencji żywieniowych.

Sam patrzył na nią z niepokojem, a Simon spoglądał w jakiś dziwny sposób,

bardziej pytająco: czy malec zabrał jej przyjemność płynącą z posiłku?

Ponieważ nie chciała, żeby to było ich pierwsze i ostatnie wyjście do restauracji, wzięła kolejny kęs burgera z nadzieją, że jej żołądek się uspokoił. Przełknęła i szturchnęła Sama.

– No dalej, wcinaj swojego burgera. I nie zapomnij o sałatce.

Chłopiec natychmiast odzyskał humor. Uśmiechnął się radośnie i z entuzjazmem zabrał do jedzenia.

Simon, skupiony na własnym talerzu, zdawał się ich ignorować. Gdy jednak spojrzął na Meg, w jego bursztynowych oczach błysnęło rozbawienie.

Poczuła ulgę, że nie był zły na Sama, ale jednocześnie była ciekawa, co też powiedział szczeniakowi. Po chwili zaczęła obserwować grupkę Wilków z gór Addirondak; szli w stronę lady, przy której stali już Michael Debany i Merri Lee, czytającienne menu wypisane na tablicy. Nie słyszała ich, ale było oczywiste, że ludzie wyjaśniają, w jaki sposób złożyć zamówienie, zapłacić za posiłek i odebrać numerki, a potem położyć go na stole, który zajmą. Gdy danie będzie gotowe, osoba obsługująca przyniesie je do stolika.

– Czujesz mrowienie? – spytał Simon tak łagodnie, że ledwo go usłyszała.

Widziała, że ją obserwuje, i zaczęła się zastanawiać nad jego pytaniem. Wilki i ludzie wchodzili w interakcję. Potarła stopą łydkę drugiej nogi. Czy to było mrowienie czy tylko zwykłe swędzenie?

Pokręciła głową i skupiła się na jedzeniu. Nie, Dziedzińcowi nie groziło niebezpieczeństwo. Przynajmniej nie dzisiaj.



Gdy wychodzili z Mięsa i Zieleniny, Simon złapał Sama za koszulkę.

– Ja i Meg idziemy teraz na spacer wokół rynku. Jeśli będziesz grzeczny, to zabierzemy cię na lody.

Sam wydał z siebie radosne „arrrro” i pobiegł do przodu, w stronę Nathana i Blaira; obaj wyglądali na załamanych liczbą ludzi robiących tego wieczoru zakupy na targu.

Patrząc na entuzjastycznie podskakującego Sama, Simon splótł swoje palce z palcami Meg i ruszyli w przeciwnym kierunku. Ponieważ to Blair przewodził polowaniom, gdy stado potrzebowało mięsa, Simon nie chciał słyszeć jego zdania na temat człowieka, który wołał wołowinę od sarniny. Wołowinę trzeba było przywozić z farm zaopatrujących Dziedziniec, a sarnina była przecież dostępna niemal od ręki. Zastanawiał się jednak, czy będzie jedynym Wilkiem, który dogada się z Boone Jastrzębią Strażą, żeby Meg otrzymywała część każdego przydziału wołowiny, która trafiała do rzeźnika.

– Jadasz serca? – spytała Meg, gdy spacerowali wzdłuż sklepowych witryn.

– Jeśli ci powiem, to zwymiotujesz, prawda?

– Nie.

Przyjrzał się jej i dopiero, gdy stwierdził, że mówi prawdę, odpowiedział:

– Jestem przywódcą Dziedzińca i dominującym samcem w tutejszym stadzie. Gdy przynosimy zwierzynę, jako pierwszy mogę wybrać serce i wątrobę. Kiedy się najem, Elliot i Blair dostają resztę.

– A co z płucami? – Nie patrzyła na niego, ale w jej głosie słyszał przerażenie, choć też ciekawość.

– Meg, jesteśmy Wilkami. Z jelenia jemy niemal wszystko. Nawet kości. Chociaż te najmniejsze zostawiamy, bo mogą się złamać i utknąć w gardle. Szatkujemy je więc kamieniem, a dopiero potem zjadamy.

– Po co zjadać kości?

– Niania stada, w którym dorastałem, zawsze powtarzała, że żeby mieć silne kości, należy jeść silne kości.

– My pijemy w tym celu mleko.

– Gdy suka odstawi szczeniaki od piersi, w dziczy zaczyna brakować mleka.

Przez chwilę się nie odzywała. A potem:

– Czy Sam jadł serce?

– Jest dominujący w stadzie szceniąt. – Simonowi bardzo się podobał fakt, że Sam doszedł do tego etapu zaledwie w kilka miesięcy – szceniak, którego trzymał w klatce po śmierci Daphne, nie tylko bawił się z pozostałymi młodymi, lecz był silny i miał osobowość Wilka – przewodnika stada. – Tak, pozwoliłem mu spróbować serca jelenia. – Odczekał chwilę. – Ludzie też jedzą serca i wątroby zwierząt.

Zatrzymała się. W jej szarych oczach błysnęło przerażenie.

– Chyba nie każesz mi tego jeść, prawda?

– Nie kazałbym ci jeść niczego, czego byś nie chciała. – Poza tym u rzeźnika nie było serc ani wątróbek; najlepsze kęsy zawsze trafiały do Wilków.

Oby tylko Sam zrozumiał, że Meg nie cieszyłaby się z prezentu w postaci serca czy wątroby jelenia. Albo płucek. Albo mózgu. Albo języka. Simon był przekonany, że nie doceniłaby tych części, nawet gdyby pochodziły od krowy.

– Obiecujesz? – upewniła się.

– Nie będziesz musiała ich jeść. Obiecuję, że nie będę próbował podstępem przemycić ich na twój talerz. – Spojrzał na nią i zaczął się śmiać. – Wybrzydzasz, jeśli chodzi o mięso, a bez skrzywienia jesz to jogurtowe... coś?

– Jedno nie ma nic wspólnego z drugim – mruknęła. Zrobiła to jednak bez przekonania, przez co ponownie parsknął śmiechem. Gdyby miał wybór: jogurt albo mózg, zawsze wybrałby mózg.

Tego wieczoru na rynku była większość członków ludzkiego stada. Ruthie niosła siatkę na zakupy, ale nie miała w niej jedzenia, tylko kilka książek z biblioteki i jakiś film z Muzyki i Filmów. Kowalski wyszedł z Lodów

i Czekoladek, trzymając małe pudełeczko. Na chwilę się zatrzymali, żeby porozmawiać z Merri Lee i Debanym, a potem razem wyszli z rynku.

– Chcesz do nich dołączyć? – spytał Simon, wskazując brodą na wybuchającą puszystą kulkę i Debany'ego.

– Nie. – Ponieważ mają pozwolenie na przebywanie na rynku, niedługo dołączą do nich rodzice Michaela i będą świętować awans Merri Lee. Meg rozejrzała się wokół. – Będziemy mieli ograniczenia żywieniowe, prawda?

– Tak, ale nie trzeba się tym martwić. – *Nie będziesz głodna. Sam też nie będzie głodny.* – Może nie zawsze będziemy mieli żywność spoza Dziedzińca, no i ludzie będą mogli kupować ograniczoną ilość pokarmów, ale nikomu nic się nie stanie.

Sam przybiegł do nich, wciąż w radosnych w podskokach.

– Możemy już iść na lody?

– Gdy ja i Meg dojdziemy do Lodów i Czekoladek, kupimy lody.

– Jest tu Jedynek. On też może zjeść?

Simon już chciał odmówić – młody Wilk był tak niezgrabny, że z pewnością nie utrzymałby wafelka – ale Meg zaproponowała:

– Można przełożyć jego porcję do miski.

To przesądziło sprawę. Sam ryknął i po chwili przybiegł do nich Jedynek.

Lody były produkowane przez Intuitów, którzy kiedyś pracowali w gospodarstwie mlecznym, na którego prowadzenie pozwolili *terra indigena*. Inne rodziny Intuitów również dołączyły do takich farm, dzięki czemu nauczono się wykorzystywać mleko w inny sposób. Niektórzy zajęli się produkcją serów, a jedna z rodzin wyrabiała lody. Raz w tygodniu do Lakeside przyjeżdżała ciężarówka z chłodziarką, a za nią jechał van. Raz w tygodniu Lakeside dostawało lody i wybór serów w zamian za wyroby potrzebne Intuikom – albo za pieniądze, jeśli w danym tygodniu nie udało się wymienić towarów.

Po przeanalizowaniu liczby ludzi, którzy byli związani z Dziedzińcem, Simon poprosił o większe dostawy lodów – tak by raz w tygodniu każdy mógł zjeść mrożony smakołyk. Nie wiedział, czy dostaną więcej – krowy produkowały określoną ilość mleka, a producenci lodów byli zależni od jego dostaw – mimo to złożył zamówienie. Wiedział również, że prośby o jakiegokolwiek dodatkowe dostawy żywności nie mają sensu, jeśli wyroby przekazywane z Dziedzińca dla innych osad *terra indigena* i Intuitów na dzikich terenach przestaną być dostępne.

Teraz jednak nie miał zamiaru się tym przejmować. Tego wieczoru jadł lody z Meg i Samem i tylko to się liczyło.

Sam dostał czekoladowe, a Simon wybrał truskawkowe. Meg chciała waniliowe. Jedynek dostał gałkę waniliowych w misce, którą Simon osobiście wyniósł na zewnątrz – pewnie dlatego, że tylko jego młody Wilk nie próbowałby przewrócić, żeby jak najszybciej dorwać się do smakołyku.

Wybrali ławkę, z której mogli obserwować przychodzących i odchodzących ludzi. Simon patrzył, jak miska przesuwana się pod wpływem radosnego lizania Jedynaka – po chwili ruszyła w ich stronę. Meg ustawiła stopy w literę V i miska idealnie wpasowała się w to miejsce.

Jedynak spojrzął w górę i zaczął warczeć, stwierdziwszy, że ktoś ośmiela się dotykać jego przysmaku. Simon odsłonił zęby i zauważył, że Sam zrobił to samo. Ale Jedynak nie zwracał na nich uwagi.

– Przytrzymam ci miskę – powiedziała spokojnie Meg.

Warczenie ustało. Jedynak wylizał lody, wyraźnie zaskoczony faktem, że już mu nie uciekają. Potem położył się przed Meg, przednimi łapami otoczył jej stopy i z radością dokończył lizanie.

Simon i Sam ponownie skupili się na jedzeniu. Gdy Meg nabrała głośno powietrza, wszyscy utkwili w niej wzrok.

– Zamarzył mi język – powiedziała niewyraźnie.

Sam zerknął na Jedynaka, który polizał Meg po kostce, a potem wrócił do czyszczenia swojej miski. Potem spojrzął na Simona i uśmiechnął się. Ten odwzajemnił uśmiech i szybko odwrócił wzrok, zanim zauważyła to Meg. Ją i Sama łączyły wyjątkowe relacje. Ponieważ była *cassandra sangue*, nie czuła się jak zwierzyzna i nie pachniała jak ona. To zdezorientowało ich wszystkich, gdy przybyła na Dziedziniec – zdezorientowany był zwłaszcza Simon. Jednakże jej odmienność bardzo ciekawiła Sama, a dzięki temu, że się na niej skupił, poradził sobie z traumą po śmierci matki. Meg była dla niego niczym starsza siostra – jednocześnie mądra i postrzelona.

Stanowili idealnie dobraną parę, o ile zawsze w pobliżu był jakiś dorosły Wilk, który pilnował, żeby nie wpadli w tarapaty.

Wszyscy skończyli jeść swoje lody i Simon poszedł do lokalu oddać miskę. Gdy wyszedł na ulicę, dostrzegł porucznika Montgomery'ego i wszystkich członków jego stada.

– Idziecie na lody? – spytał Simon.

– Jeśli możemy – odparł Montgomery.

Simon kiwnął głową, zadowolony, że Montgomery rozumie, iż zrobienie miejsca dla kolejnego stada wymaga dostosowania się wszystkich zaangażowanych w to istot.

– Jest kilka smaków do wyboru. – Spojrzął na najstarszą samicę w stadzie. – Pani Twylo.

– Panie Simonie. – Kiwnęła głową. – Mamy miły wieczór.

Byłby miłszy, gdyby miał na sobie futro, zamiast dżinsów i koszulki. À propos futra... Zmrużył powieki. Meg stanęła i zasłoniła oczy. Za nią znajdowała się kupka porozrzucanych ubrań. A obok włochaty szczeniak.

Najwyraźniej Sam miał już dość ludzkiej postaci.

Polizał Meg po kolanie, a ona pisnęła tak głośno, że zwróciła na siebie uwagę wszystkich Wilków i Sanguinatic na rynku.

– Muszę już iść – rzekł Simon, widząc Blaira i Nathana, idących w stronę Meg.

Pomimo wysiłków Montgomery nie potrafił zachować poważnej miny. Pani Twyla nawet się nie starała. Rodzina Denbych i Sierra patrzyli przez chwilę na Meg i Sama, a potem zagonili wszystkie ludzkie dzieci do lodziarni.

Gdy Simon podszedł do Meg, dołączył do nich Vlad, a Sam i Jedynek rzucili się do tropienia nowych zapachów.

Nie podnoście łap na rynku, nakazał Simon. Ostrzeżenie powstrzymało Sama, ale nie Jedynaka.

– Właśnie wracamy do kompleksu Wilczej Straży – rzekł Blair. – Możemy zabrać tych dwóch ze sobą.

– Jeśli chcesz się zamienić w wilka, mogę podrzucić twoje ubrania w drodze do domu – zaproponował Vlad.

– Ja i Meg pójdziemy na piechotę, możecie więc zabrać PNK – odparł Simon.

– Idziemy na piechotę? – zdziwiła się Meg.

– Jest ładny wieczór. – Z radością odkryli, że krew *cassandra sangue*, tak kusząca dla *terra indigena*, działa odpychająco na insekty. Prawdopodobnie owady instynktownie wyczuwały, że krew Meg może być dla nich śmiertelna.

Nathan i Blair opuścili rynek i dyskretnie zmienili postać na wilczą. Dwa Wilki dołączyły do Sama i Jedynaka, a Vlad pozbiierał ubrania i wsiadł do PNK.

Simon odwrócił się do Meg z uśmiechem. Cieszył się, że po dniu pełnym pracy i obecności obcych ludzi mogą spędzić trochę czasu sam na sam. Przestał się uśmiechać, gdy zobaczył, kto zwrócił uwagę Meg.

Porucznik Montgomery. Pani Twyla. A już najbardziej Sierra, która właśnie wychodziła ze sklepu z lodami, a za nią wyszły jej dwie córki i Lizzy. Simon patrzył, jak Meg obserwuje stado Montgomery'ego i drapie się po prawej ręce, tak jakby coś strasznie ją swędziało.

– Chodźmy do domu. – Wziął ją za rękę i wyprowadził z rynku. Czuł, że cały czas jest spięta. Miał ochotę biec, odciągnąć ją od ludzi, jednak gdyby się potknęła i przewróciła, skaleczenie byłoby równie niebezpieczne, co nacięcie brzytwą. Co gorsza, mogłoby nie pozostawić żadnej blizny, która wskazywałaby na to, że ten fragment skóry już został wykorzystany.

Meg wreszcie się odprężyła i zaczęła widzieć to, co ludzkie oczy były w stanie dostrzec w świetle księżyca.

– Coś nadchodzi – szepnęła.

– To już wiemy. Przecież wyciągnęłaś karty proroctw, które nas ostrzegły.

Jej dzisiejsza reakcja potwierdziła, że zagrożenie dla Dziedzińca i miasta

Lakeside w jakiś sposób jest powiązane ze stadem Montgomery'ego.

– Nie. – Machnęła ręką i powtórzyła. – Coś nadchodzi.

Ponieważ był skupiony na niej i na zagrożeniu, które zbliżało się do Lakeside, nie zwrócił uwagi na potencjalne zagrożenie tu i teraz.

Najpierw złapał ją mocno za rękę, potem jednak poluzował uścisk i stwierdził, że nie grozi im niebezpieczeństwo. Zbliżał się do nich tylko kolejny mieszkaniec Dziedzińca, cieszący się przyjemną letnią nocą.

Powietrze przejechała na Mgle – nie na baryłkowanym kucyku na krótkich nogach, ale na eleganckim i niebezpiecznym rumaku. Żywioł uśmiechnęła się do nich, Mgła spowiła wszystko mgłą.

Meg zaśmiała się, gdy niewielkie krople zaczęły chłodzić jej skórę.

Simon również się uśmiechnął, rozkoszując się przyjemnym uczuciem – i śmiechem Meg.

Rozdział 5



Środa, 8 sierpnia

Jadąc PNK w stronę rynku, – Simon cały czas obserwował Meg. Zaciskała dłonie w pięści i patrzyła przed siebie; nie odzywała się, nawet nie zwracała uwagi na otoczenie. Jeśli wcześniej nie był przekonany, że nie powinna spędzać całego dnia w pobliżu tłumu obcych osób, to teraz już miał pewność.

Wytrzymała pierwszy dzień targów pracy, gdy przyjechali ludzie z Prosteego Życia, następnego ranka wydawało się, że całkiem do siebie doszła. Ten stan trwał jednak tylko do południa. Gdy Nathan ostrzegł go, że przez cały poranek Meg odczuwała potrzebę drapania się, kazał mu szukać najmniejszych oznak krwawienia. Simon, Vlad i Tess zaczęli się przyglądać ludziom stłoczonym w Czymś na Ząb i uświadomili sobie, że mieszkańcy Lakeside byli wymieszani z Intuitami i mieszkańcami Prosteego Życia. Niektórzy weszli do środka, bo zobaczyli innych i byli ciekawi, co się dzieje – albo po prostu chcieli napić się kawy. Niektórzy przyszli tu w poszukiwaniu pracy, ale szybko się wycofali, gdy powiedziano im, dokąd zostaną wysłani – i kto będzie ich pilnować, kiedy tylko

wyjadą z Lakeside.

Obecność owych obcych ludzi przelała czarę goryczy, Meg nie była w stanie znieść przyszłości tak wielu osób, która kłębiła się pod jej skórą. To dlatego Simon postanowił, że tego dnia dziewczyna nie pójdzie do biura łącznika – wiedział też, że nie można jej zostawić sam na sam ze srebrną brzytwą.

Zwolnił, gdy dojechali do rozwidlenia na głównej ulicy Dziedzińca. Droga na wprost prowadziła na rynek. Droga w prawo wiodła do Stajni Kucyków. Nieopodal stało kilka koni. Jester musiał im powiedzieć, że Meg przyjedzie, by spędzić z nimi poranek, więc czekały na nią.

– Zatrzymaj się. – Głos Meg był ledwo słyszalny nawet dla Wilka, który miał wyostrzone zmysły.

– Ale jesteśmy niemal na...

– Zatrzymaj PNK! – krzyknęła płaczliwie. – Zatrzymaj!

Otworzyła drzwi i spróbowała wyskoczyć z pojazdu, ale Simon złapał ją za rękę, żeby nie wypadła. Wcisnął hamulce.

– Meg, zaczekaj.

Zaczęła wymachiwać rękami, bić go, próbowała nawet drapać. Ten nagły atak zaskoczył go do tego stopnia, że ją puścił. Wyskoczyła na zewnątrz i pobiegła z powrotem w stronę Zielonego Kompleksu.

Zatrzymał PNK, wyskoczył przez okno i rzucił się za nią.

Jenni Wronia Straż przefrunęła nad nim, a potem zawróciła.

Co się stało z naszą Meg?

Musimy ją zatrzymać, zanim zrobi sobie krzywdę! Gdy biegła na oślep, ogarnięta paniką, mogła się potknąć i przewrócić.

Miała przewagę, ale Simon był od niej szybszy – a jeszcze szybsze były kucyki. Grom ją wyprzedził i zablokował jej drogę. Zderzyła się z nim, odbiła od jego boku i wpadła prosto w ramiona Simona.

– Nie mogę... – wydyszała.

– Wiem – odparł, mocno ją do siebie przyciskając; był to jedyny sposób pocieszenia jej, jaki znał. – Wiem, Meg.

Usłyszał, że Jenni nadal kracze ostrzegawczo, a potem usłyszał odpowiedź innych Wron – i kilku Wilków.

Nic nam nie jest, uspokoił Jenni. Potem rozejrzał się i spróbował rozluźnić, nie dawać po sobie poznać, że doskonale wie, w jak niebezpiecznej sytuacji się znajduje. Otaczały ich kucyki; niektóre z nich stały tak blisko, że Simon czuł ich oddech – i martwił się, że ich kopyta znajdują się tuż obok stóp Meg.

– Meg. – Wypowiedział jej imię w sposób ostrzegawczy i błagalny jednocześnie. I wtedy dym, który zmierzał w ich stronę, zamienił się w Nyx i Dziadka Erebusa, przywódcę Sanguinatich, uwielbiającego Meg. Już sam fakt, że Sanguinati żądali wyjaśnienia tej sytuacji, był wielce niepokojący. Ale przybyła

tam również większość zamieszkujących Dziedziniec Żywiołów.

– Czy ludzie zdenerwowali naszą Meg? – spytała Ogień.

Simon wcale nie chciał odpowiadać na to pytanie.

Jakby nieświadoma obecności wszystkich wokół, Meg zaczęła rozczesywać palcami grzywę Groma. Zdawało się ją to uspokajać.

– Czy oni zdenerwowali Meg? – spytał Erebus. Jego głos, przypominający szelest liści, sprawił, że po grzbiecie Simona przebiegł dreszcz.

– O co ten cały krzyk? – spytał Jester. Na tułowiu i rękach miał pasy sierści, co oznaczało, że błyskawicznie zamienił się w człowieka po tym, jak wybiegł ze Stajni Kucyków. Na szczęście większość ciała Kojota była ukryta za Mgłą, więc Meg nie zauważyła jego nagości. – Czyżby Meg nie chciała spędzić poranka razem z nami w Stajni Kucyków?

Przekłęty Kojot, pomyślał Simon, gdy wszystkie kucyki starały się stanąć jeszcze bliżej siebie.

– Co? – spytała Meg.

Grom oblizwał wargi.

– Ty. Ja. Kucyki. Wszyscy jesteśmy bardzo wrażliwi i wolimy się trzymać z dala od chaosu na rynku – odparł Jester. – Simon już wszystko zorganizował, poczta będzie tam przywożona, tak żebyś mogła ją sortować, a kucyki zajmą się dostawami. – Spojrzał na Simona. – Nie powiedziałaś jej?

Meg odwróciła się w objęciach Simona, żeby na niego popatrzeć.

– O czym mi nie powiedziałaś?

– Głupie ludzkie książki! – ryknął Simon. – To miała być niespodzianka. – Przecież ludzkie samice powinny lubić takie niespodzianki. Z drugiej strony tak się martwił reakcją Meg na targi pracy, że tylko rzucił okiem na treść kilku romantycznych książek, które wciąż mieli na stanie; mógł pominąć fragmenty, mówiące o tym, co się dzieje, gdy samiec próbuje zrobić niespodziankę samicy.

– Och... – Meg pogłaskała nos Błyskawicy. – Czyli jechaliśmy do Stajni Kucyków?

– Tak. Chciałem cię tam podrzucić, zanim pojedę do Zabójczo Dobrych Lektur i zajmę się ostatnią grupą ludzi. – Naprawdę miał nadzieję, że tego dnia wreszcie pojawi się ktoś nieodpowiedni i będzie można go choć symbolicznie ugryźć.

– Kra?

Z Meg wszystko w porządku, powiedział. Chciał, by Jenni przekazała tę informację dalej.

– Chciałabym jechać do Stajni Kucyków – rzekła Meg.

– To dobrze – odparł.

Wilcza Straż. Głos Erebusa brzmiał zbyt uprzejmie.

– Czy możesz wrócić do PNK i wziąć swój plecak? – Simon ponownie

zwrócił się do Meg.

Zamrugła. Popatrzyła wielkimi oczami na tych, którzy zareagowali na jej ucieczkę. A potem pokiwała głową.

Jester zamienił się z powrotem w Kojota i szybko zszedł z drogi kucykom, które podzieliły się na dwa rzędy.

– Przepraszam – bąknęła pod nosem.

Simon jeszcze delikatnie ścisnął ją w pasie, a potem puścił i patrzył, jak Żywioty pod przewodnictwem Ognia i Lata oraz kucyki eskortują Meg do PNK, a następnie do Stajni Kucyków.

Jester zerknął na Simona.

Nic jej nie będzie.

Pobiegł, żeby wyprzedzić Meg i jej eskortę i być w stajni pierwszy.

Simon odwrócił się do Erebusa i zauważył Blaira. Stał na skraju drogi i obserwował Meg. Kontroler stada zamienił się w człowieka i dołączył do Simona i Sanguinatiego.

– Dlaczego słodka krew jest dziś taka nerwowa? – spytał Erebus.

Simon układał w głowie najlepszą odpowiedź, ale Blair go ubiegł:

– Zastanawiałem się nad tym samym. Dlaczego Meg jest w złym humorze?

– Jest przeciążona – odparł Simon. Ale czy rzeczywiście chodziło tylko o to? – Wczoraj przyszli ludzie inni niż Intuici i mieszkańcy Prostego Życia. Vlad i ja nie poleciliśmy żadnego z nich do Bennett. Sami byśmy ich nie zatrudnili, nie chcieliśmy więc robić kłopotów Tolyi. Ale wieści na temat targów pracy już się rozniosły, więc dziś przyszli kolejni ludzie szukający zatrudnienia.

Ludscy pracownicy niekoniecznie oznaczali coś złego. Barbara Ellen Debany była człowiekiem, a przecież Tolya uważał ją za dobrego pracownika, a teraz też za dobrą mieszkankę Bennett.

– Vladimir mówił, że wczoraj w magazynie znalazł jakichś obcych ludzi – rzekł Erebus.

O tym Vlad nie wspominał. To jednak wyjaśniałoby, dlaczego wspólnik ZDL chciał na dzień zamykać drzwi magazynu. Ludzie potrafili być wścibscy jak Wrony – otwarte drzwi mogły ich zachęcić do wejścia i rozejrzenia się po księgarni.

– Nathan przepędził człowieka, który próbował zakraść się na rynek, ale mężczyzna uciekł przez drzwi między parkingiem dla klientów a pracowników – powiedział Blair. O tym Simon również nie został poinformowany. A przecież był dowódcą Dziedzińca i powinien wiedzieć o wszystkim. Z drugiej strony przeprowadzał rozmowy kwalifikacyjne z ludźmi, którzy zdaniem Vlada mieli potencjał – albo przynajmniej pozornie do czegoś się nadawali – tak więc Vlad i Blair prawdopodobnie nie chcieli zwracać mu głowy problemami, które już zostały rozwiązane. – Porozstawiam kozły do piłowania, żeby utrudnić

zakradnięcie się do księgarni, a Nathan i Jake Wronia Straż zajmą się biurem łącznika – mówił dalej Blair. – Marie Jastrzębia Straż będzie obserwować drzwi między parkingami. Jeśli tylko zobaczy jakiegoś człowieka, da mu popalić.

Szpony Marie z pewnością zrobią wrażenie na intruzach.

– A ja będę pilnować konsulatu – zaproponowała Nyx. – Będę pełnić rolę przewodnika i kierować ludzi w miejsca, w których wolno im przebywać – trzymając ich z daleka od miejsc, do których nie powinni wchodzić.

I karmiąc się każdym z nich.

Przez chwilę Simon zazdrościł Sanguinatim umiejętności tak subtelnego pobierania pokarmu – ich ofiary w ogóle się nie orientowały, że ktoś się nimi żywi. Gdy Wilk oderwał kawał mięsa, od razu było wiadomo, o co chodzi.

Szlag. Zanim zacznie rozmawiać z tymi wszystkimi ludźmi, musi coś zjeść.

– Wilcza Straż, nie odpowiedziałeś na pytanie – rzekł Erebus. – Dlaczego słodka krew jest dziś zdenerwowana?

Simon pomyślał o Meg i kartach prorocत्व, z których wyszło, że nadchodzą poważne problemy. Ale co, jeśli problemy już nadeszły i nie miały związku ze stadem porucznika Montgomery’ego mimo jego obaw odnośnie do brata?

Theral MacDonald zajmowała się gabinetem lekarskim na rynku i należała do stada samic Meg. Uciekła od brutalnego męża, ale przysłano do niej na Dziedziniec kilka niepokojących przesylek – co było dowodem na to, że mąż wiedział, gdzie zamieszkała. Niestety *terra indigena* nie udało się go znaleźć.

A teraz przecież potencjalny wróg z łatwością wmieszałby się w tłum ludzi, którzy mają zasadny powód do przebywania na Dziedzińcu.

Jenni? krzyknął, przeczesując wzrokiem drzewa, aż znalazł Wronę. *Czy ty i Starr będziecie dziś pracować w Błyskotkach i Starociach?*

Być może.

Obserwujcie rynek, nawet jeśli sklep nie zostanie otwarty.

Przez chwilę na niego patrzyła, a potem odfrunęła.

Spojrzał na Blaira i Erebusa.

– Chciałbym, żeby kilku Sanguinatich pod postacią dymu pilnowało targu, a kilku w ludzkiej postaci miało na oku Coś na Ząb i Zabójczo Dobre Lektury. Jeśli Jane nie będzie potrzebna w kompleksie Wilczej Straży, niech spędzi cały dzień z Theral w gabinecie lekarskim.

– Myślisz, że Jack Fillmore może spróbować dostać się do Theral? – W bursztynowych oczach Blaira zamigotały czerwone ogniki.

– Możliwe, że to właśnie jego przepędził wczoraj Nathan – odparł Simon. – Teraz ma świetną okazję, żeby się tu przedostać, przecież w pobliżu kręci się mnóstwo obcych.

– I myślisz, że właśnie to przeczuwa słodka krew? – spytał Erebus.

Simon wzruszył ramionami.

– Problemy mogą wynikać z targów pracy. Może to jest ta przyszłość, która wywołuje mrowienie na jej skórze.

Rozdzielili się. Erebus i Nyx zamienili się z powrotem w dym. Ona ruszyła w stronę targu, a on wrócił do Pokojów, żeby wybrać Sanguinatic, którzy mieliby strzec sklepów – i mieszkańców Dziedzińca. Blair ruszył z powrotem do Kompleksu Usługowego, żeby przynieść drewniane kozły. A Simon pośpieszył do PNK, by pojechać do Zabójczo Dobrych Lektur i wybrać profesjonalistów, którzy nadawali się do rozpoczęcia życia w mieście na Środkowym Zachodzie, rządzonym przez *terra indigena* i otoczonym przez kły i pazury Namid.



Meg obserwowała, jak Jester układa koce, żeby przykryć belę siana. Gdy skończył, zadowolony z efektów swej pracy, poprosił, by usiadła.

Zawstydzona tym, że zrobiła scenę, i zastanawiając się, ile kłopotów będą przez nią mieli ludzie, którzy przybędą dziś na Dziedziniec, Meg uśmiechnęła się niepewnie do Jester, który przykucnął przed nią.

– Zastanawiam się... – zaczął. Ciekawe, czy wiedział, że jego uszy nadal są kojocie i porośnięte futrem? – Mieszkasz na Dziedzińcu już od kilku miesięcy i przez ten czas nauczyłaś się mnóstwa rzeczy. Dlaczego więc zachowujesz się, jakbyś była głupsza niż wcześniej?

Zesztywniała.

– Jesterze! To nie było zbyt miłe, nawet jeśli chciałeś zażartować.

– Nie chciałem zażartować. – Przyjrzała się jego twarzy, oczom, i uświadomiła sobie, że rzeczywiście nie miał zamiaru dowcipkować. Fakt, że zachował powagę, sprawił, że poczuła się niepewnie. – Ludzie czasem mówią o wzorze do naśladowania, o kimś, od kogo mogą się uczyć – ciągnął. – Wiesz, kto moim zdaniem był ostatnio dla ciebie wzorem do naśladowania?

– Ruth albo Merri Lee?

Pokręcił głową.

– Jedynek.

Patrzyła na niego, zdumiona.

– Ale przecież Jedynek...

– Ma małe mózgi i problemy z utrwaleniem sobie tego, czego się nauczył, dlatego młode, takie jak on, rzadko przeżywają w dziczy. Gdy Jedynek goni jelenia, który go przewróci i poturbuje, powinien się nauczyć, że jeśli nie zachowa należytej ostrożności, jeleni może wyrządzić mu krzywdę. Jednak jego mózg rozumie tylko, że ten konkretny jeleni może wyrządzić mu krzywdę, tak więc następnego ranka rozpoczyna polowanie na innego jelenia – który ponownie go przewraca. I być może te drugie rany będą już poważniejsze, bo przecież poprzedniego dnia został już osłabiony i jest posiniaczony. Gdy kilka tygodni temu

Żywioły i Starsi napadli na Lakeside, wiedziałaś, że nie możesz się trzymać w pobliżu ludzi, którym zaproponowano schronienie wokół rynku. Przyszłaś do Stajni Kucyków – miejsca, w którym nie musiałaś mieć do czynienia z ludźmi, ale jednocześnie nie byłaś sama. Wykazałaś się wtedy zdrowym rozsądkiem, Meg. A potem Simon i Vlad zorganizowali te targi pracy, żeby pomóc Tolyi w znalezieniu pracowników do Bennett, a ty co robisz? Cały pierwszy dzień pracujesz w biurze łącznika – miejscu, o którym wiesz już, że nie jest bezpieczne, gdy w pobliżu kręci się tyle obcych osób – i nie wytrzymujesz presji przebywania obok wielu różnych potencjalnych przyszłości. A przecież to byli mieszkańcy Prostego Życia, ludzie, z którymi najłatwiej jest dać sobie radę. Co więc robisz drugiego dnia targów? Idziesz do biura i presja staje się jeszcze większa. A mimo to i tak planowałaś otworzyć dzisiaj biuro. Dlaczego?

Rzeczywiście, gdy opisał to w ten sposób, brzmiało niezwykle głupio.

– Przecież wszyscy moi przyjaciele wykonywali swoją pracę, nawet podczas targów – wymamrotała, już nie patrząc mu w oczy. – Chciałam być taka jak oni.

Teraz on spojrzał na nią zdumiony.

– Ale ty nie jesteś taka jak oni; jesteś inna.

– Nie chciałam być osobą, która nie potrafi poradzić sobie z czymś, co dla każdego innego jest proste.

– A skąd wiesz, że to jest dla nich proste?

Nachyliła się do niego tak bardzo, że znaleźli się niemal nos w nos.

– Pracują na rynku, wykonują swoją robotę.

– Ale nie będą ciąć swojej skóry, żeby uwolnić z gniazda prorocstwa, bzyczące wściekle pod ich skórą. Może i się zastanawiają, jaka przyszłość czeka ludzi, ale z pewnością nie wyrządzą sobie krzywdy, żeby się tego dowiedzieć. – Jester cofnął się odrobinę. – Nie chcesz być inna? Rozumiem to. Jestem jedynym Kojotem na Dziedzińcu kontrolowanym przez Wilki. Nie jest to dla mnie niebezpieczne, tak jak byłoby niebezpieczne dla zwykłego kojota, mającego do czynienia ze stadem wilków, ale nie zmienia to faktu, że jestem tu sam.

– Chciałbyś, żeby było inaczej, żeby był tu ktoś taki jak ty? – zapytała Meg. – A może wolisz poszukać sobie innej grupy *terra indigena* i zobaczyć, czy lepiej do nich pasujesz?

– Bycie jedynym może mieć swoje zalety. Pilnowanie kucyków i zajmowanie się dziewczętami nad jeziorem nie jest pozbawione ryzyka i być może nie podjąłbym się wykonywania tych zadań, gdyby był tu ktoś inny z Kojocieją Strażą. Prawdopodobnie nie mieszkałbym w Zielonym Kompleksie z Wilkami, Sanguinatimi i Niedźwiedziami, nie wspominając już o Tess. Ale to nie zmienia faktu, że jestem tu jedynym Kojotem i muszę wtykać nos w sprawy, z którymi osobniki z mojego gatunku z reguły nie mają do czynienia.

– Jesteś jeszcze bardziej ciekawski niż Wronia Straż – zauważyła.

– Powiedziałaś to tak, jakby to było coś złego.

Zaśmiała się, a on zamyślił się na chwilę. Potem zapytał:

– A co by się wydarzyło w Lakeside w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy, gdybyś nie różniła się od pracujących tu ludzi?

Meg zmieniła pozycję na beli siana i zaczęła się zastanawiać nad odpowiedzią. W kompleksie, w którym mieszkała wcześniej, też pracowali ludzie. Ona jednak nie chciała być jednym z nich, nie przyjęłaby pracy, w której dorośli i dzieci byli traktowani jak czyjaś własność. Prawda?

– Gdybym nie uciekła od Kontrolera i nie posłuchała wizji, które pokazały mi drogę do wolności, prawdopodobnie nie przybyłabym do Lakeside. Ja... – *Nie spotkałabym Sama. Ani Simona.*

– Simon otworzył kilka sklepów dla ludzi i zatrudnił ludzkich pracowników na kilka lat przed twoim przybyciem – powiedział Jester. – Uznano ich za niejadalnych, nadal jednak patrzyliśmy na nich jak na zwierzynę. Gdybyś ty, człowiek, który nie jest zwierzyną, nie przybyła tu w poszukiwaniu pracy, Simon, Vlad, Henry i Tess nie zmieniliby swego sposobu myślenia na temat ludzkich pracowników, a część z tych ludzi zginęłaby w śnieżycach, które miały miejsce w lutym. Gdyby pracujące tu samice nie zostały twoimi przyjaciółkami, nie utworzyłybyście stada samic, których Wilcza Straż i Sanguinati postanowili bronić, ludzie nie byłiby chronieni, gdy Starsi przeszli przez miasto. Gdyby cię tu nie było, Simon i porucznik Montgomery nie mieliby powodu do nawiązania współpracy, a Montgomery nie miałby jak udowodnić, że można mu zaufać. Gdyby cię tu nie było, Nathan zostałby z Wilczą Strażą z Addirondak przez cały okres, który miał spędzić z dala od Dziedzińca, a Lizzy mogłaby nie dotrzeć do Lakeside, ponieważ Nathana nie byłoby w pociągu i nie mógłby jej bronić. – Jester wstał. – A wszystko to wydarzyło się tylko dlatego, że jesteś inna. Nie zmuszaj się więc do bycia taką samą jak pozostali. Wrony, Jastrzębie i Sowy potrafią latać. Ja nie potrafię. I nie muszę skakać z klifu, żeby to sobie udowodnić. Dlaczego więc ty chcesz to zrobić? – Ruszył w stronę drzwi. Po chwili jednak przystanął i dodał: – Co powiedziałabyś innej *cassandra sangue*, gdyby zmuszała się do przebywania z obcymi ludźmi tak jak ty to robiłaś przez ostatnich kilka dni? Bycie Pionierką oznacza bycie wzorem do naśladowania dla innych dziewczyn. Powinnaś to sobie przemyśleć.

W końcu Jester wyszedł na zewnątrz. Meg siedziała na beli siana i słuchała, jak przemawia do kucyków.

Co powiedziałaaby innej wieszczce krwi, zwłaszcza młodej dziewczynie, która jeszcze się nie cięła i miała szansę się nie uzależnić od kaleczenia skóry? Powiedziałaaby jej, żeby nie szła do biura i nie zmuszała się do czegoś, jeśli czuje się niepewnie. Powiedziałaaby jej, żeby szanowała własne ograniczenia i umiejętności.

Ale sobie nie potrafiła tego wytłumaczyć.

Z początku jej inność jej nie przeszkadzała. Liczyło się tylko to, że była żywa i wolna. Myśląc, że zostało jej zaledwie kilka tygodni, rzuciła się w wir życia, by doświadczyć tyle, ile zdoła. Jednakże źle zinterpretowała proroctwo i wcale nie umarła – albo zmieniła się jej przyszłość, ponieważ ocalili ją Simon i kilku innych *terra indigena*. Z początku miała jedynie niewielki wgląd w życie ludzi, którzy stali się jej przyjaciółmi. Teraz, gdy niektórzy z nich mieszkali naprzeciwko Dziedzińca, dosłownie po drugiej stronie ulicy, zaczynała rozumieć, co oznacza wieść życie człowieka, co oznaczają przyjaciele i rodzina. Bywało kiepsko, ale przez większość czasu było dobrze. Niektórzy ludzie robili rzeczy, które poruszały ją do głębi, i zazdrościła im ich umiejętności – a jednocześnie uważała, że jej nikt niczego nie zazdrości.

Czyżby próbowała udowodnić, że jest inna niż ludzie, a jednocześnie tak do nich podobna?

Bycie inną nie oznaczało, że nie potrafiła się dostosować. Dopasowywania się do Innych uczyła się od chwili, gdy wpadła do Zabójczo Dobrych Lektur w poszukiwaniu pracy. Teraz jednak próbowała osiągnąć coś, nie wiedząc nawet, czy w ogóle tego chce, zamiast cieszyć się tym, co już osiągnęła z Simonem, Samem i resztą przyjaciół na Dziedzińcu.

W porządku, czyli nie potrafiła latać. Umiała jednak powiedzieć swoim przyjaciołom, kiedy powinni szukać schronienia przed nadchodzącą burzą.



Simon po raz drugi przeczytał życiorys Jany Panicci; postanowił nie pytać, skąd dowiedziała się o targach pracy.

Odłożył kartkę i przyjrzał się kobiecie. Była wyższa niż większość samic ze stada, ale nie tak wysoka jak policjanci. Brązowe włosy, brązowe oczy. Wyglądała na zdrową i pełną życia. Pachniała czystością.

Była bardzo grzeczna, gdy usiadła naprzeciwko niego na ostatnią część rozmowy kwalifikacyjnej, przypominała mu jednak małego drapieżnika, który uważa, że jest większy i bardziej zajadły od wszystkich otaczających go istot – i potrafi sprawić, że uwierzyły w to również większe drapieżniki.

– Chcesz pracować dla policji? – spytał.

– Nie. – Jedną dłonią wygładziła spódniczkę; po raz pierwszy okazała zdenerwowanie. Jednak w jej oczach widać było złość, a nie stres. – Nie chcę być dyspozytorką ani sekretarką. Nie chcę pracować dla policji – chcę być policjantką. Pozwolili mi wstąpić do akademii, pozwolili mi zapłacić za wszystkie kursy i trening, pozwolili mi uwierzyć, że mnie zatrudnią. Zniosłam wszystkie prymitywne komentarze i pytania o to, kiedy wyrosną mi jaja. Spędziłam wiele godzin na strzelnicy, żeby nauczyć się obchodzić z bronią. Zaliczyłam więcej godzin treningu samoobrony niż którykolwiek z moich kolegów. Kupiłam sobie

dodatkowe książki na temat prawa i jego egzekwowania i nauczyłam się ich na pamięć. Ukończyłam wszystkie kursy i należałam do pięciu procent osób w mojej grupie, które najlepiej zdały egzaminy, jednak nadal nie mogę być czynną funkcjonariuszką tylko dlatego że mam piersi.

Simon poczekał, aż kobieta odzyska panowanie nad sobą. Najwyraźniej nadepnął jej na ogon, zadając proste – w jego mniemaniu – pytanie. Zastanawiał się, jak bardzo jej dokuczono – i dlaczego ludzkie samce miałyby wyszkolić samicę na strzelnicę, a potem tak ją rozzłościć, żeby miała powód, by do nich strzelać.

– Przepraszam, że powiedziałam to w tak prostacki sposób – rzekła wreszcie.
Ale nie za to, że się rozzłościła, pomyślał Simon.

– Chcesz więc być policjantką.

– Tak. – Machnęła ręką w stronę dokumentów. – Przecież pan widzi, że mam odpowiednie kwalifikacje.

– Ale masz świadomość, że będziesz pracować w mieście na Środkowym Zachodzie, które znajduje się pod kontrolą *terra indigena*?

Kiwnęła głową.

– Nowy szeryf jest Wilkiem. Będziesz jednym z jego zastępców. – Być może nawet jedynym. – Rozumiesz to?

Ponownie pokiwała głową.

– Zanim wyślemy cię do Bennett, żebyś mogła porozmawiać z Tolyą Sanguinatim i Virgilem Wilczą Strażą, chciałbym, żeby tutejsi policjanci potwierdzili twoje kompetencje. – Ponieważ nie wyglądała na zadowoloną z takiego obrotu spraw, spytał: – Potrafisz jeździć konno?

Złość natychmiast zniknęła, oczy kobiety się rozpromieniły.

– Mogłabym należeć do konnej policji?

Dlaczego te ludzkie samice tak ciągnie do koni?

– Musiałabyś omówić tę kwestię z Tolyą i Virgilem. – Zauważył, że nie odpowiedziała na pytanie, czy potrafi jeździć konno, ale to już będzie problem Tolyi.

On i Vlad stwierdzili, że najlepiej będzie wysłać wszystkich kandydatów dwoma pociągami, tak by nikt nie podróżował sam. Będzie musiał podgryźć kilka osób, żeby w drugim pociągu znalazło się miejsce dla Jany.

– Twoje umiejętności zostaną jutro zweryfikowane – rzekł Simon. – Jeśli wszyscy się zgodzą, pojedziesz pociągiem następnego dnia. Czy to dla ciebie jakiś problem? – Ludzie zawsze potrzebowali określonego czasu, żeby opuścić swoją norę.

– Żaden. Mogę błyskawicznie spakować się w dwie walizki. Mam tylko to i trzy kartony książek.

Zaczął się zastanawiać, czy to prawda. Ponownie spojrzął w jej życiorys. Ani słowa o rodzinie. Ale w poszukiwaniu pracy przyjechała na Dziedziniec z miejsca

bardzo oddalonego od Północnego Wschodu. Może jej stado wspierało ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko i została wyrzucona, bo go nie popierała? Nie miał jak się tego dowiedzieć, poza tym to naprawdę nie miało większego znaczenia. Ale jeden punkt w jej życiorysie zwrócił jego uwagę, ponieważ bardzo mało ludzi wspominało o dodatkowych umiejętnościach, wykraczających poza zawodowe.

– Twoim hobby jest pisanie? – spytał. – A co konkretnie piszesz?

– Głównie fikcję. Kilka opowiadań sprzedałam różnym czasopismom, ostatnio jednak spisuję tylko obserwacje.

Starał się powstrzymać swoje uszy przed zamienieniem się w wilcze. Bardzo zainteresował go ten temat. Oficer Debany skarżył się na brak informacji od swojej siostry. Ponieważ teraz do Bennett wyjeżdża tak wiele ludzi, za chwilę zaczną się na to użalać również inne rodziny. Może ktoś taki jak Jana mógłby spisywać swoje obserwacje i publikować je w jakiejś gazecie na Dziedzińcu czy na Wielkiej Wyspie, dzięki czemu ludzie, którzy tu pozostali, martwiliby się mniej o tych, którzy wyjechali. Musiał to jeszcze omówić z Vladem.

Nie rozmawiali więcej o pisaniu, tylko umówili się, że następnego ranka kobieta przyjdzie na Dziedziniec.

Gdy tylko Vlad potwierdził, że Jana wyszła z Zabójczo Dobrych Lektur, Simon zadzwonił do kapitana Burke'a, żeby poprosić go o przyście na Dziedziniec.



Douglas Burke dwa razy przeczytał życiorys i protokół, a potem oddał je Simonowi Wilczej Straży. Owszem, miał dług wdzięczności wobec dowódcy Dziedzińca, jednak niektórych rzeczy nie mógł zrobić.

– Musimy wiedzieć, czy ta Jana rzeczywiście ma kwalifikacje do pełnienia funkcji policjanta – rzekł Simon.

– Na papierze zdecydowanie tak. – Burke westchnął. – Niezależnie od tego, czy to jest sprawiedliwe czy nie, nie zatrudnia się kobiet w charakterze czynnych funkcjonariuszek. Nie chodzą w ulicznych patrolach.

– To wasza zasada, nie nasza – odparł Simon. – W stadzie to samce są kontrolerami, ponieważ są silniejsze i większe. Ale podczas polowania ważniejsze są samice, bo są lżejsze i szybsze. Potrafią tak długo ganiać za zwierzyną, aż ta się zmęczy; dopiero potem do akcji wkraczają samce, które ją zabijają.

– Być może, ale i tak nie mogę jej zatrudnić. – Chociaż skoro Inni byli tak przychylni, by pracowała z nimi funkcjonariuszka policji, być może nowy burmistrz i komisarz policji będą skłonni nagiąć trochę zasady i ustanowić precedens dla kobiet, chcących podjąć czynną służbę w policji. Zatrudnienie pani Panicci rozwiązałoby również problem partnera dla oficera Debany'ego.

Simon warknął cicho, tak jakby chciał ostrzec rywala.

– Chcemy zatrudnić Janę jako zastępcę w Bennett. Masz potwierdzić, że jest odpowiednio wyszkolona do walk i polowań. – Na chwilę przerwał, a potem dodał: – Nie musisz jednak sprawdzać, czy potrafi jeździć konno. Zrobi to ktoś z Bennett.

Cholera.

– Pokaż mi ten protokół jeszcze raz – poprosił Burke. Gdyby była mężczyzną, z pewnością chciałby ją mieć w swoim patrolu. – A co z szeryfem? Nie będzie miał problemu z tym, że jego zastępcą okaże się kobieta?

– Virgil może i będzie miał z tym problem, ale zdaniem Tolyi potrzebny jest człowiek, żeby utrzymać porządek w mieście.

– A czy Virgil miał jakieś szkolenie z egzekwowania prawa?

– Był kontrolerem stada. Umie zabijać.

Zaskoczony tonem głosu Simona, Burke zaczął mu się uważniej przyglądać. Czyżby Virgil stracił rodzinę w okresie, gdy ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko wybił tylu członków Wilczej Straży? Nie mógł zadać tego pytania, miał jednak przeczucie, że Virgil Wilcza Straż nigdy nie tolerował ludzi w stopniu, w jakim tolerował ich Simon.

Nagle dostrzegł zalety płynące z faktu, że w policji pracowałyby ludzka samica – będzie mogła zrównoważyć agresywne reakcje samców Wilków, gdy na przykład okaże się, że ludzie zaczęli zakłócać spokój.

– Kiedy musisz mieć odpowiedź? – spytał Burke.

– Mógłbyś sprawdzić ją jutro? Jeśli się nadaje, będzie mogła pojechać pociągiem z innymi dzień później.

– W takim razie spotkam się z nią tutaj i zabiorę ją na strzelnicę. Zaczniemy od strzelania.

– Barbara Ellen będzie potrzebowała jakiegoś współlokatora poza Buddym. Jana mogłaby zamieszkać razem z nią.

– A w kwestii Buddy’ego... – Michael Debany był bardzo zdenerwowany informacjami na temat tego, z kim zamieszkała jego siostra, a Burke starał się obserwować wszystkich zdenerwowanych policjantów.

Simon otworzył szufladę w biurku, wyjął jakąś kartkę i podał ją Burke’owi.

– Vlad o to zapytał. Tolya przysłał mu odpowiedź. Przekazaliśmy ją już Debany’emu.

Burke zerknął na zapiski i wybuchnął śmiechem. No cóż, to wyjaśniało, dlaczego w ciągu ostatnich kilku dni Debany robił zawstydzoną minę za każdym razem, gdy ktoś spytał o jego siostrę.

– Gdy Jana przyjedzie do Bennett, Barbara Ellen będzie miała współlokatorkę, która nosi przy sobie broń. Będzie chroniona przed niepożądanym towarzystwem samców, więc oficer Debany nie będzie już musiał się martwić. – Te słowa zabrzmiały, jakby Simon chciał kogoś uspokoić.

Burke spojrział na niego z ciekawością.

– Chciałbyś, żeby Meg mieszkała z kimś, kto nosi broń?

Simon nie krył zaskoczenia.

– A dlaczego Meg miałaby potrzebować kogoś takiego? Przecież w domu ma mnie, a w biurze łącznika pilnuje jej Nathan. Gdyby nawet ktoś pokonał Wilki, musiałyby stawić czoła Vladowi, Henry’emu i Tess oraz dziewczynom z jeziora.

Nieznaczna zmiana, jaka zaszła w oczach Wilka, w jego postawie, sprawiła, że Burke uświadomił sobie, iż podczas rozmów kwalifikacyjnych Simon zachowywał się jak właściciel księgarni – tak samo jak podczas rozmowy o Janie Panicci. Aż do tej chwili.

– Zapewnimy Meg bezpieczeństwo – powiedział nagle Simon. – I Theral też. Burke zeszywniał.

– Czy Jack Fillmore próbował się z nią skontaktować?

– Kilku ludzi zaczęło węszyć w miejscach, w których nie powinni. Zostali przepędzeni, zanim zdążyli narobić problemów. Nie wiemy, co się dzieje z Jackiem Fillmorem, nie mogę więc powiedzieć, czy był jednym z nich. Ale Theral z pewnością nie potrzebuje współlokatorki z bronią. Nie na Dziedzińcu.

Burke zrozumiał.

– Słyszałem, że Katherine Debany będzie pracowała dla Elliota Wilczej Straży?

– Tak. Zaczyna jutro. Pani Twyla będzie tam pracować od rana i pomagać w porządkowaniu dokumentów. – Simon ukazał w uśmiechu kły, trochę zbyt długie, jak na ludzkie. – Dzisiaj rano oboje przeglądali teczki. Elliot powiedział, że jeszcze nigdy nie słyszał, by jakikolwiek człowiek wyraził tak dużo jednym syknieniem.

– Niektóre kobiety opanowały tę sztukę do perfekcji. – Burke wstał z krzesła. – W takim razie jutro rano spotykamy się z tobą i panią Paniccią.

Zszedł po schodach; przez kilka minut przyglądał się ustawionym na stole książkom, aż wreszcie wybrał dwie – thriller napisany przez autora *terra indigena* i opowieść ludzkiego autora, której akcja rozgrywała się przed stu laty na dzikich terenach. Miał wrażenie, że życie w Bennett będzie przypominało życie między tymi dwoma światami.

Zapłacił za książki i wrócił na komisariat przy Orzechowej, żeby poinformować Montgomery’ego, że następnego dnia on i jego zespół mają pomóc ocenić umiejętności młodej kobiety, która będzie nosić odznakę, broń i jeździć konno.



Później, tego samego wieczoru, niewidoczni dla nikogo Starsi przechadzali się po Dziedzińcu, a tam, gdzie przeszli, zapadała osobliwa cisza.

Chodzili po terenie, na którym mieszkali Wilk, Niedźwiedź i inne *terra indigena*. I tam, gdzie mieszkał wyjący nie-Wilk. Poświęcili trochę czasu i nauczyli się zapachów ludzi, którzy pozostawili ślady na ziemi i roślinach. Następnie przeszli do budynków po drugiej stronie Dziedzińca i znaleźli mieszkania ludzi, którzy, jak mówiły Żywioły, należały do stada nie-Wilka. Starsi stali na tylnych łapach i wpatrywali się w okna jednego z mieszkań na górze, z którego dochodziły zmieszane zapachy samca i samicy. Czyżby samica miała ruję? Nagle samiec usiadł, jakby wyczuwając ich obecność. Czyżby w ludzkim stadzie znajdował się myśliwy?

Wrócili na Dziedziniec, zanim człowiek zdążył wszcząć alarm. Z oddali zobaczyli, jak wyszedł na wspólną część przed mieszkaniem i zaczął się rozglądać. Nie mógł ich dostrzec. Dopóki znajdowali się w swej prawdziwej postaci, nikt nie mógł ich zobaczyć. Wiedział jednak, że coś się czaiło w ciemności, że coś obserwowało jego i jego samicę. Niewielu ludzi potrafiło wyczuć ich obecność. To oznaczało, że ten człowiek był inny od reszty. Był myśliwym, ale mimo to mniejsi zmiennokształtni nie widzieli w nim zagrożenia. To również było interesujące.

Obeszli budynek, będący drugim mieszkaniem nie-Wilka – to właśnie tam kiedyś znaleźli smakołyki. Samica pchnęła drzwi, ciekawa, co uda się im znaleźć tym razem. Potem usłyszeli, że na górze porusza się jakiś człowiek, a kiedy drzwi nad nimi się otworzyły, wyczuli metal i olej – zapachy te zawsze kojarzyli z ludzką bronią.

Czyżby w stadzie znajdował się kolejny myśliwy?

Ściągnięcie samca na dół i zmiżdżenie go szczękami, rozerwanie jego miękkiego brzucha pazurami było takie proste.

Potem jednak usłyszeli wycie Wilka. Czyżby pierwszy ludzki myśliwy mimo wszystko podniósł alarm?

To był pojedynczy głos, ale wystarczył, by obudzić stado. Oba stada.

Byli rozczarowani faktem, że nie udało się im znaleźć smakołyków, ale jednocześnie zadowoleni z reakcji obu myśliwych na potencjalne zagrożenie. Starsi wycofali się do miejsca na Dziedzińcu, które wybrali sobie na odpoczynek, i zaczęli analizować informacje zdobyte tego dnia. Stwierdzili, że nadszedł czas, by Wilk i Niedźwiedź dowiedzieli się o ich obecności.

Drogi Douglasie,

mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku. Brittania przetrwała ostatnie burze, które szybko się zakończyły i ruszyły w stronę Cel-Romanii. Okrutna zemsta na Celtycko-Romańskiej Wspólnocie Narodów za śmierć tylu zmiennokształtnych oraz próbę przejęcia części dzikich terenów i narzucenia im ludzkiej kontroli sprawiła, że tutaj, w Dzikiej Britanii, wszyscy nie spali przez wiele nocy – zwłaszcza ludzie znajdujący się przy władzy oraz policjanci. Byłem więc wdzięczny za to, że mogę spędzić choć trochę czasu na Dziedzińcu w Lakeside, gdy

przyjechałem do ciebie w czerwcu. Wskazówki dotyczące tego, w jaki sposób współpracować z Innymi, ogromnie nam pomogły.

Wszystko, co usłyszeliśmy na temat Cel-Romanii, to zaledwie skrawki informacji docierających od ludzi, którzy mieszkają na dzikich terenach – w osadach rybackich i na farmach – i od wielu pokoleń handlują z Britannią. Informacje od nich pochodzą ze wsi na granicy, którym oszczędzono ataków z pełną siłą.

Jak głoszą plotki, zniszczono każdą fabrykę produkującą broń, wykorzystaną później przeciwko zmiennokształtnym. Pod tym względem Inni byli bezlitośni – czasami niszczone całe miasta. Słyszałem pogłoski, że w tych miejscach znajdują się ocalałe dobra – metale, opony, narzędzia, a nawet pieniądze; ale ponoć niewiele osób, które wyruszają na poszukiwania takich zdobyczy, jest w stanie przetrwać spotkanie z drapieżnikami, którzy obserwują te miasta i traktują je jako swoje tereny do polowań. Ludzie, którzy wchodzą tam jako zdrowi mężczyźni, wychodzą śmiertelnie chorzy na jakąś zarazę – o ile w ogóle wychodzą.

Wiele wiosek i miast pozostało jednak nietkniętych. Mamy ograniczoną ilość paliwa, ponieważ stacje paliw są teraz otoczone dzikimi terenami i tylko ludzie, którzy sprawiedliwie odnosili się do Innych, mają szansę na uzyskanie dostępu do paliwa.

Cel-Romania była największym kontrolowanym przez ludzi terenem na świecie, obejmującym wszystkie ziemie wokół Morza Śródziemnego oraz zachodnie i południowe wybrzeża Morza Czarnego. Teraz każda nacja jest oddzielona od reszty szerokimi pasami dzikich terenów. Mawia się, że ziemia wygląda tak samo – nadal są tam drogi, ludzkie farmy i wioski – ale to co innego. Można wyczuć niebezpieczeństwo. Ludzie żyjący na farmach i na wsiach twierdzą, że w ciągu dnia są bezpieczni, ale obcym, którzy tamtędy przechodzą, rzadko udaje się przeżyć. A w ciemnościach nikt nie jest bezpieczny.

Komunikacja elektroniczna w Cel-Romanii jest ograniczona albo w ogóle nie istnieje. Tak naprawdę telefony można spotkać częściej w mniejszych wsiach niż w miejscach, które kiedyś były miastami przemysłowymi. Ale wszystko działa bardzo chaotycznie, ponieważ wiele linii telefonicznych biegnie przez dzikie tereny i nie da się wykonać żadnych napraw.

Takie właśnie informacje otrzymaliśmy. Wywnioskowałem z nich, że dzikie tereny nadal będą się rozszerzać, dzieląc obszary kontrolowane przez ludzi na coraz mniejsze. Niektóre społeczności przetrwają, może nawet się rozwiną, natomiast inne będą usychać, aż wreszcie ludzie w nich żyjący staną się jedynie wspomnieniem albo bohaterami opowieści ku przestrodze.

Douglasie, uważaj na siebie. Mam nadzieję, że Lakeside będzie jednym z miejsc w waszej części świata, które przetrwa i się rozwinie. Będę się z tobą kontaktować w miarę możliwości.

Shady

Rozdział 6



Czwartek, 9 sierpnia

Meg wrzuciła plecak na tył PNK i uśmiechnęła się do Simona.

– Chcę pójść do pracy na piechotę.

– Ale ja muszę być dziś wcześniej w biurze – odparł.

– Dlatego powinieneś pojechać PNK. – Racja. Nawet w ludzkiej postaci Simon bez problemu mógł przejść się na rynek i dostać do Zabójczo Dobrych Lektur, tak by zdążyć na pierwsze umówione spotkania. Tyle że musiał iść szybko. – Chcę wejść do ogrodu i sprawdzić, jakie warzywa można już zebrać.

Westchnął z takim rozczarowaniem, że Meg prawie zrezygnowała ze swych planów. Lubiła chodzić do pracy z Simonem, lubiła jego towarzystwo, jednak nie chciała być zbyt wcześnie w biurze łącznika – i nie chciała, żeby ktokolwiek wchodził razem z nią na rynek, na wypadek gdyby to coś, co poprzedniego dnia wywołało u niej tak wielki stres, nadal tam było. Targi pracy już się skończyły, więc wszystko powinno być w porządku, ale Simon byłby niezadowolony, gdyby dostała kolejnego ataku paniki. A przecież nie chciała odciągać go od pomagania

ludziom, którzy czekali na decyzję, czy zostaną wysłani do Bennett czy nie.

– Nic mi nie będzie, Simonie – zapewniła, a ponieważ nadal stał w bezruchu przy PNK, dodała: – Dam ci znać, że wszystko w porządku, gdy tylko dotrę do biura.

Co zrobiłaby Merri Lee albo Ruth, żeby przekonać samca do swoich planów?

Podeszła do Simona, stanęła na palcach i polizała go w policzek. No dobrze, Merri albo Ruth pewnie dałyby ludzkiego całusa, ale sądząc po zaskoczeniu i zadowoleniu w jego oczach, nie dbał o to, że to nie był zwyczajny pocałunek.

Przejechał dłonią po jej krótkich czarnych włosach i delikatnie podrapał ją za uchem. A potem wsiadł do PNK i odjechał.

Gdy wychodziła z Zielonego Kompleksu i szła po trawie w stronę wielkiego ogrodu warzywnego, czuła się niezależna, kompetentna i zadowolona. Od kilku tygodni razem z mieszkańcami Zielonego Kompleksu ona i jej ludzcy przyjaciele zbierali warzywa. Przez cały lipiec zrywali to i owo, teraz jednak wyglądało na to, że warzywa trzeba wyrywać codziennie – a ona miała wrażenie, że każdego dnia zrywa cukinię. Papryki były już niemal dojrzałe, wkrótce wszędzie też kukurydza. To świetna zabawa, przychodzenie tu i sprawdzanie, co kwitnie, co już dojrzało, a co...

Co to było?

Biało-czerwone. I trochę brązowego. I...

Kilka dni wcześniej przestraszyła młodego królika żerującego obok ogrodu. Nie chciała go wystraszyć, po prostu na niego spojrzała. Gdy się poruszył, okazało się, że powłóczy jedną łapką. Czyżby został potrącony przez samochód? Kompleksy nie znajdowały się w pobliżu miejskich ulic, ale zwierzęta przechodziły przez jezdnię w poszukiwaniu pożywienia. Julia Jastrzębia Straż mówiła, że często znajduje martwą zwierzynę na trawie obok Alei Parkowej – były to zwierzęta, które próbowały przedostać się z parku na Dziedziniec i z Dziedzińca do parku. Ale przecież Aleja Parkowa znajdowała się z drugiej strony Dziedzińca. Ranny królik nie byłby w stanie przebyć takiej drogi.

Meg podeszła do niego ostrożnie; natychmiast poczuła skurcze żołądka. Zobaczyła białą kość bez mięśni, ale nadal połączoną z więzadłami – i z owłosioną łapą. Brązowa plama okazała się fragmentem sierści. A to czerwone... Czyżby to był kręgosłup królika?

Cofnęła się i krzyknęła, bo nagle w coś uderzyła.

Złapały ją wielkie dłonie. A potem nad jej głową rozległ się grzmiący głos Henry'ego:

– Meg, to tylko królik.

– Ktoś zjadł królika.

– Z pewnością nikt z Zielonego Kompleksu. Nie wszyscy myśliwi, szukający

pokarmu na Dziedzińcu, to *terra indigena*.

– Myślisz, że Simon... – Simon jadał króliki. Tak samo jak Sam. I wszyscy sąsiedzi, może poza Tess i Vladem, choć co do nich też nie mogła mieć pewności. Nawet ona kilka razy jadła królika. Ale gotowanego. No i nic, co znalazło się na jej talerzu, nie wyglądało jak... to.

– Nie zjadł go żaden z twoich przyjaciół – zapewnił ją Henry.

– Skąd wiesz?

– Bo oni nie zostawiliby kości i resztek w miejscu, gdzie mogłyby je znaleźć samice z twojego stada. – Objął ją w ramionach i wyprowadził z ogrodu.

– Miał ranną łapkę – powiedziała, gdy dotarli do głównej drogi Dziedzińca i ruszyli w stronę rynku.

– Czyli był łatwy do upolowania. – Przez chwilę szli w milczeniu. A potem Henry zapytał: – Dlaczego Simon cię zostawił?

– Chciałam iść do pracy na piechotę. Potrzebowałam więcej czasu, by dojść do targu. – Meg westchnęła. – Gdybym pojechała z Simonem, nie zobaczyłabym królika, kręgosłupa... – Tylne łapy jeszcze by zniosła, ale kręgosłup z pewnością zapamięta na długo.

– Każde mięso skakało, biegło albo latało, zanim stało się pokarmem – zauważył Henry. – Taka jest kolej rzeczy.

Pokiwała głową. Taka jest kolej rzeczy. Ale gdy zobaczy się coś takiego na własne oczy, o wiele trudniej ją zaakceptować.



Cholera, szlag, kurwa, pomyślał Simon, gdy Henry opowiedział mu o tym, co znalazła Meg.

– Lepiej powiedz temu, kto gotuje w Mięsie i Zieleninie, żeby nie było dziś królika w menu.

– Już to zrobiłem – odparł Henry. – Ale ten królik wyglądał, jakby został zjedzony zaraz po złapaniu.

Na widok rannego królika Meg z pewnością się rozkleiła. Wilk, który zobaczył coś takiego, cieszyłby się z szybkiej zdobyczy i zabrałby ją do kompleksu Wilczej Straży dla szczeniaków albo zjadłby ją na miejscu.

– Wróć tam i zajmę się resztkami – rzekł Henry. – A ty znajdź coś, co odwróci uwagę naszej Meg, tak by nie myślała o tym króliku przez cały dzień.

– Nie ma... – Simon spojrzał na pudełko przywiezione wczesnym rankiem ze stacji kolejowej. – Może znajdzie się coś, co ją zajmie. – Oczywiście zdążył tylko zerknąć na książki przysłane przez Jesse Walker do oceny, więc nie miał pojęcia, czy nie były to ekscytujące thrillery z pościgami, pełne straszliwych opowieści. Cóż, jeśli Meg przestraszy się tych historii i będzie miała koszmary, będzie mógł mieć pretensje wyłącznie do siebie.

Wziął pudełko i wyszedł z gabinetu, powiedziawszy Vladowi, że idzie do biura łącznika.

Tylne drzwi do biura łącznika były zamknięte. Spodziewał się tego. Nie spodziewał się natomiast, że usłyszy kroki na schodach i zobaczy nad sobą Grega O'Sullivana, trzymającego dłoń na służbowej broni.

– Panie Wilcza Straż. – Greg cofnął rękę z pistoletu. Szybko, lekko zbiegł po schodach. – Nie wiedziałem, że to pan.

Simon przyjrzał się mu. Nadine Fallacaro i Eve Denby mówiły, że drugi pokój nad biurem jest podobny do pokoju hotelowego, tyle że wstawiono tam małą lodówkę na napoje i przekąski. O'Sullivan z radością wynajął go, mówiąc, że jest o wiele bezpieczniejszy niż zwykły pokój hotelowy, i że w razie potrzeby będzie mógł zostawić tam rzeczy osobiste, jeśli będzie musiał wrócić do Dyspozytorni i złożyć raport gubernatorowi Hanniganowi.

– Spodziewałeś się kogoś innego?

– Nie, ale słyszałem, że podczas targów pracy kilka osób wtykało nos w nie swoje sprawy i weszło tu i ówdzie. Poza tym wydawało mi się, że zeszłej nocy ktoś szarpał za klamkę tylnych drzwi. Chciałem się tylko upewnić, że nikt nie próbuje przeszkodzić pani Corbyn.

Przyglądając się O'Sullivanowi, Simon doszedł do wniosku, że to inny gatunek Wilka trzymającego straż. Nie był samotnym samcem, kręcącym się w pobliżu Meg, ale członkiem większego stada, skupionego na ochronie terytorium, na którym mieszkali wszyscy – a to oznaczało, że należy go ostrzec przed gośćmi Dziedzińca.

Simon ich nie widział, ponieważ był zbyt zajęty ludźmi. Ale zeszłej nocy Kowalski zadzwonił do Blaira i po tym, jak dziś rano kontroler stada obwąchał teren wokół mieszkania Kowalskiego i Ruthie, powiedział Simonowi, że do Lakeside wróciło dwóch Starszych. To dlatego poprosił Henry'ego, żeby tego dnia udał się na rynek trochę później – tak by Meg nie szła sama. I to dlatego Henry był przy Meg, gdy ta znalazła kręgosłup królika.



Ponieważ nie chciał jeszcze rozmawiać o tym z ludźmi, zmienił temat:

– Katherine Debany rozpoczyna nową pracę w konsulacie.

– Wczoraj się z nią widziałem – rzekł O'Sullivan. – I z panią Twylą. – Podrapał się po karku. – Miałem wrażenie, że jestem obserwowany przez dwie surowe, ale kochające ciotki. Sprawdziłem wszystkie szuflady w biurku, z którego korzystam, żeby się upewnić, że nie ma tam nic, przez co mógłbym wpaść w tarapaty. Mam wrażenie, że te dwie kobiety zbyt często słyszały „to nie moje”, żeby uwierzyć w te słowa. – Agent wydawał się rozemocjonowany a jednocześnie nieobecny i skupiony na swojej pracy. Przypominał samotnego wilka. Teraz Simon

dostrzegł w nim młode, którym przecież wciąż był.

– Starsze samice są bardzo przydatne w stadzie – powiedział.

O’Sullivan się uśmiechnął i wydał z siebie nieokreślony dźwięk, a następnie wyszedł do Czegoś na Ząb, by zjeść śniadanie.

Simon otworzył tylne drzwi biura łącznika; gdy wszedł do środka, usłyszał rytmiczne uderzenia w drewno.

– Meg?

Jest niespokojna, powiedział Nathan ze swojego miejsca. *I zła na pocztę.*

Meg rzuciła kolejny list na blat w sortowni. Simon ostrożnie podszedł do stołu i postawił pudło w rogu.

– Meg?

– Nie chcę być królikiem! Króliki zostają zjedzone!

– Prędzej czy później wszystko zostanie zjedzone.

Mruknęła groźnie. Wyglądała na przerażoną, całkiem jak szczeniak. Miał ochotę polizać ją i znaleźć jej jakąś zabawkę. Gdyby mogli pobawić się przez kilka minut, może zapomniałaby o króliku.

Nie, z pewnością nie zapomniałaby. Meg nie była szczeniakiem i nie zapomniała o niczym, co kiedykolwiek widziała. Chyba że było to proroctwo skryte w euforii po cięciu skóry.

To również mu się nie spodobało. Podniósł pudełko i postawił je przed nią.

– Gdy skończysz z pocztą, poproszę cię o przysługę.

Spojrzała ponuro na pudło.

– Przysługę?

– Jesse Walker przysłała mi kilka książek, których nie sprzedajemy w Zabójczo Dobrych Lekturach.

Szkoda, że Meg nie potrafiła strzyc uszami, żeby pokazać, że coś ją interesuje. Wyglądała, jakby miała ochotę to zrobić.

– Miłe książki dla Wroniej Straży? – spytała.

– To chyba bardziej thrillery niż miłe książki. – Popukał w pudełko. – Jesse Walker mówi, że Intuici lubią takie historie, ja jednak chciałbym wiedzieć, czy twoim zdaniem spodobają się one *terra indigena* i ludziom.

– Czyli zostałam recenzentką w księgarni?

Simon kiwnął głową, nie spuszczając z niej wzroku. Dopiero teraz pojął, że to coś nowego, nienależącego do rutyny. Czy to ją zdenerwuje? Nie, wyglądała raczej na zaintrygowaną.

Przesunęła pudło na bok.

– Najpierw muszę dokończyć sortowanie poczty. – Zamrugła i popatrzyła na niego uważniej. – Nie powinieneś być teraz w pracy?

Spojrzał na zegarek. Był spóźniony na spotkanie z kapitanem Burke’em.

Szybko polizał Meg po czubku nosa i wyszedł z sortowni. Sięgając do

klamki, odwrócił się jeszcze. Cały czas sortowała pocztę, ale zerknęła na pudełko.

Od razu poczuł ulgę – tak jak po krótkiej zabawie – a potem zaczął się zastanawiać, ile przesyłek kucyki będą musiały jeszcze dostarczyć, tylko dlatego że znalazł sposób na odwrócenie uwagi Meg od królika.

Monty siedział w Czymś na Ząb z Janą Paniccią; uśmiechał się do niej. Wcześniej tego ranka kapitan Burke zabrał ją na strzelnicę, żeby sprawdzić, jak radzi sobie z bronią używaną w policji, Kowalski i Debany zostali wyznaczeni do sprawdzenia jej w walce wręcz i w samoobronie, a on i Burke przejrzyli jej papiery. Teraz Simon Wilcza Straż wysłuchiwał opinii Burke'a na temat tego, czy pani Paniccia nadaje się do służby w Bennett.

– Czekanie zawsze jest trudne – zauważył. A najtrudniejszą częścią rekrutacji dla niego, Burke'a, a nawet dla Kowalskiego i Debany'ego było zadecydowanie, czy powinni wysłać młodą kobietę tak daleko w nieznane, gdzie nowy szef albo ją zaakceptuje, albo zje.

– To brutalne. – Jana spojrzała w stronę łuku prowadzącego do Zabójczo Dobrych Lektur.

– Podróż do Bennett to bardzo poważna decyzja. Czegoś takiego jeszcze nie widziałas. Z całą pewnością nie będzie to przypominać życia w Lakeside. – Oczywiście to była prawda, jednak Monty zastanawiał się, czy miasto będzie prowadzone tak jak Dziedziniac, tyle że z większą dzielnicą przemysłową.

– Wiem. Ale to miejsce jest pełne możliwości. – Jana w końcu odwzajemniła uśmiech. – Kiedyś uwielbiałam historie o Dzikim Zachodzie i szeryfach walczących z bandytami, którzy chcieli przejąć miasto, na przestrzeni setek kilometrów będące jedynym miejscem, w którym żyli ludzie. Moje ulubione powieści traktowały o przetrzymywanej w niewoli zadziornej kobiecie, która pewnego razu zdzieliła patelnię jednego z bandziorów i uciekła w porę, by ostrzec szeryfa.

– Chciałaś być taką zadziorną kobietą?

– Nie. Chciałam być szeryfem. A w mojej wersji opowieści odważną babką zawsze była moja siostra albo kuzynka. Jeńcem byli moi bracia; czasem ten, który nigdy w życiu nie miał w ręce patelni, a czasem ten, który w przyszłości chciał otworzyć restaurację i naprawdę potrafił odnaleźć się w kuchni.

– Ale to ty miałaś nosić odznakę i broń?

Kiwnęła głową.

Gdy do stolika wreszcie podeszli Simon Wilcza Straż i kapitan Burke, nabrała głośno powietrza.

Simon wyciągnął dwie koperty.

– W pierwszej jest list, który weźmiesz ze sobą w podróż, i potwierdzenie zapłaty za bilet. Pokażesz je, gdy twój pociąg przyjedzie do Lakeside, a potem, gdy zatrzyma się na stacji najbliższej granicy między Północnym Wschodem

a Środkowym Zachodem. Tylko wtedy otrzymasz pozwolenie na przekroczenie granic między poszczególnymi regionami. W drugiej kopercie znajduje się list do Tolyi Sanguinatiego, zawierający życiorys, który mi przedstawiłaś. Jest tam również adres budynku, w którym zamieszkaś, jeśli Tolya stwierdzi, że nadajesz się do służby w Bennett. Barbara Ellen, siostra oficera Debany'ego, chętnie zamieszka z inną kobietą. Ponieważ domy są już sprzątnięte i udostępnione dla ludzi, Tolya chce, żeby stali mieszkańcy wyprowadzili się z hotelu i zrobili miejsce dla tymczasowych pracowników i podróżnych. Jeśli nie spodoba ci się dom albo będziesz wolała zamieszkać sama, możesz przez jakiś czas zostać w hotelu.

– Świetnie byłoby mieć współlokatorkę – odparła Jana, biorąc obie koperty.

– Pociąg wyjeżdża jutro rano. Przyjedziemy po ciebie vanem, żeby było miejsce na wszystkie przedmioty, które będziesz chciała zabrać.

– Dziękuję. – Jana pociągnęła nosem. – Będę gotowa.

Simon przyjrzał się jej uważnie.

– Z oczu i nosa leci ci woda. Źle się czujesz?

Pokręciła głową.

– Nie, po prostu jestem naprawdę szczęśliwa.

Jeszcze przez chwilę na nią patrzył, a potem odszedł.

Monty podał Janie papierowe serwetki, które leżały na stole. Wytarła oczy i wydmuchała nos.

– Gratulacje, zastępco szeryfa. – Burke wyciągnął do niej rękę.

Jana wstała i uścisnęła ją.

– Dziękuję, sir, ale jeszcze nie dostałam tej pracy.

– Jestem przekonany, że ją dostaniesz. Daj nam znać, jak ci idzie.

– Jasne.

Gdy Burke odwrócił się, by odejść, Monty też postanowił wrócić do swoich obowiązków, jednak wtedy pojawiła się przy ich stole Jenni Wronia Straż; obaj mężczyźni się zawahali.

– Jedziesz do Bennett? – Jenni zwróciła się do Jany. – A masz już jakiegoś korespondencyjnego przyjaciela? Ruthie wyjaśniła mi, co to jest. Mogłabym być twoją korespondencyjną przyjaciółką z Wroniej Straży i wysyłać ci wieści z Lakeside.

Widząc, że w długich czarnych włosach Jenni pojawiają się pióra, Monty pomyślał, że słowa te muszą ją kosztować mnóstwo emocji.

Jana też wpatrywała się w pióra, a potem, z wyraźnym wysiłkiem, skupiła się na twarzy Jenni.

– Tak, jadę do Bennett – odparła. – Obiecałam, że będę pisać do Merri Lee, ale nie mam żadnych korespondencyjnych przyjaciół wśród Wroniej Straży, więc z przyjemnością będę pisać również do ciebie.

Jenni położyła na stole kartkę.

– To mój adres. Gdy dotrzesz do Bennett, możesz mi wysłać swój – powiedziała.

A potem wybiegła na zewnątrz.

Jana powiodła wzrokiem od Monty'ego do Burke'a.

– Dla Wroniej Straży informacje są rodzajem waluty – wyjaśnił Monty z uśmiechem. – Ostatnio odnoszę wrażenie, że posiadanie korespondencyjnego przyjaciela i otrzymywanie pocztówek z innego obszaru Thaisii stało się symbolem statusu.

– Ludzki korespondencyjny przyjaciel oznacza większy czy mniejszy status? – spytała Jana.

– Chyba większy.

– Kontaktowanie się z kimś z Wroniej Straży z Lakeside nie zaszkodzi również twojemu statusowi – rzekł cicho Burke. – Zwłaszcza że wiele osób w Bennett i Żółtej Prerii ma już jakieś powiązania z Dziedzińcem.

Jana uśmiechnęła się do nich promiennie.

– Lepiej wrócę do domu i upewnię się, że mam wszystko przygotowane do jutrzejszego wyjazdu.

– Każ przekierować swoją korespondencję na pocztę w Bennett – poradził Monty.

Wtedy dołączyła do nich Tess. Spojrzała przelotnie na mężczyzn, a potem skupiła się na Janie.

– Gotowa do wyjazdu?

– Tak.

– Nasz minivan zabierze cię do domu. Czeka już na drodze. Kierowca nazywa się Harry.

– Dziękuję.

Gdy Jana wyszła w pośpiechu tylnymi drzwiami, Tess rzekła:

– No cóż, chyba mamy z głowy te wszystkie emocje... przynajmniej na jakiś czas. – Spojrzała w stronę łuku; jej włosy przybrały zieloną barwę z rudymi pasemkami i zaczęły się kręcić. – Targi pracy się skończyły.

– Ale ja nie szukam pracy. – Znajomy męski głos. Głos, którego Monty miał nadzieję nie usłyszeć mimo tego, co Meg wyczytała w kartach prorocत्व i tego, co powiedziała mu matka. Był niczym cios młotem w klatkę piersiową. – Przyjechałem, żeby spotkać się z moją rodziną. – Gest w stronę kobiety i dwójki dzieci, stojących w pewnej odległości. – Powiedziano mi, że możemy się tu zatrzymać. – Uśmiech skierowany do Monty'ego był nieszczerzy, podły. – Cześć, CJ.

– Poruczniku? – Głos Burke'a był ledwo słyszalny, ale z pewnością brzmiało w nim ostrzeżenie. – Znasz go?

– To mój brat. Cyrus James Montgomery. Jimmy.

Burke zrobił krok w stronę przybysza.

– Musi pan stąd wyjść. Natychmiast.

Monty spojrział na Tess i poczuł zawroty głowy. Coś było nie tak z jej twarzą. Coś...

Odwrócił wzrok, czekając, aż świat przestanie wirować.

Nagle pod łukiem rozległ się pisk. A potem żona i dzieci Jimmy'ego zaczęli się przepychać na środek baru. Henry Niedźwiedzia Straż natychmiast stanął w łuku, blokując drogę ucieczki.

Monty spojrział na Jimmy'ego, który nadal próbował grać pewnego siebie.

– Kapitanie, to, czy on wyjdzie czy nie, nie zależy od pana – odezwała się Tess. – Wkroczył na Działziniec. O jego losach zdecyduje Wilcza Straż.

Rozdział 7



Czwartek, 9 sierpnia

Obserwowana przez kucyki, Meg stała przy bocznych drzwiach sortowni i przeglądała koperty, które miały zostać dostarczone do Sanguinatic. Uśmiechnęła się, zawstydzona, i wyjęła z pliku list do Jastrzębiej Straży, a resztę schowała do kosza Groma.

Jeden kucyk pobiegł na koniec kolejki, ponieważ wiedział, że Meg nie da mu żadnego przysmaku, dopóki nie rozdzieli całej poczty. Błyskawica podeszła, żeby wziąć swoje listy.

Kompleks Jastrzębiej Straży. Kompleks Wilczej Straży. Wronia Straż i Sowa Straż. Stajnia Kucyków. Kompleks Usługowy. Nawet Zielony Kompleks, co oznaczało, że ktoś ze Stowarzyszenia Przedsiębiorców musiał tam wrócić, opróżnić kosze i powkładać koperty w odpowiednie otwory w pokoju pocztowym. Łatwiej byłoby jej zabrać pocztę ze sobą, gdy pójdzie do domu, ale przez większość dni wszystkie kucyki z Dziedzińca przychodziły do niej po pocztę i wszystkie spodziewały się jakichś kopert, mimo że czasem było więcej kucyków

niż przesyłek. To dlatego dostarczały teraz pocztę do sklepów na rynku i pomagały przy innych dostawach. Dziewczyny nad jeziorem nie otrzymywały żadnej poczty ani katalogów, więc Meg rozdzieliła książki, które wypożyczyła z biblioteki. Jeden z kucyków zabrał rano kilka tomów, a ona wzięła resztę po południu, gdy rozdzielała kolejne przesyłki. Odkąd w zeszłym miesiącu Starsi przeszli przez Lakeside i Dziedziniec, wymierzając swą pierwotną postać sprawiedliwości, dano jej do zrozumienia, że dziewczyny chcą widywać ją codziennie po południu, nawet jeśli nie ma dla nich przesyłek. To samo dotyczyło pana Erebusa. Niezależnie od tego, czy miała coś dla niego, musiała się zatrzymać u niego w Pokojach. Stawała po jednej stronie bramy, zamocowanej w czarnym płocie z kutego żelaza, i przez kilka minut gawędziła ze starym Sanguinatim.

Żywioty i pan Erebus nie czekali na żadną przesyłkę. Chodziło raczej o to, by udowodnić im, że wszystko jest w porządku – i o przekazywanie informacji, które nie zostały spisane.

Gdy dała Wirowi Wodnemu książki, których zażyczyły sobie Lato i Ziemia, i gdy każdy kucyk otrzymał smakołyk w postaci kawałka marchewki, Meg poszła do łazienki, żeby umyć ręce. Cała poczta została rozdzielona. Aż do popołudniowych dostaw nie miała do rozłożenia żadnych paczek. Musiała zająć się tylko pudełkiem książek od Jesse Walker. Do południa, dopóki nie przyjedzie nowa dostawa, miała wolne, mogła więc wybrać sobie jedną z książek i przeczytać rozdział lub dwa...

Dlaczego podniosła lewy łokieć do lustra?

Zmarszczyła czoło, ostrożnie potarła skórę, a potem przyjrzała się swojej ręce. Żadnego zadrapania, żadnej rany. Poza tym i tak by pewnie nie zauważyła. Gdy tarła skórę, nie odczuwała bólu. Ale łokieć ją pobolevał. A skóra delikatnie mrowiła.

Wyszła z łazienki, przeszła przez sortownię i spojrzała na pudełko. Musiała się zmusić, żeby zapomnieć o dziwnym uczuciu w łokciu. Gdyby komuś o tym wspomniała, mogłaby sprowokować poważne kłopoty. Z drugiej strony jeśli nikomu nie powie, a to dziwne uczucie okaże się ostrzeżeniem przed kłopotami...

Otworzyła szufladę, w której znajdowała się drewniana skrzynka z kartami prorocत्व. Położyła skrzynkę na blacie, otworzyła ją i przysunęła koniuszki palców do kart. Wiedziała, że prawdopodobnie nie otrzyma właściwej odpowiedzi, jeśli nie rozłoży kart. Gdy zostawi je w skrzynce, o wiele trudniej będzie jej znaleźć tę właściwą. Nadszedł czas, by przejrzeć je wszystkie i zacząć odrzucać te z obrazkami, które można zastąpić pojedynczą kartą z talii Pionierki.

Ile jeszcze razy powie, że to zrobi, zanim naprawdę zacznie to robić?

Przecież czytała ostatnio artykuł o tym, w jaki sposób powstrzymać prokrastynację. Może powinna go odnaleźć i przeczytać raz jeszcze.

Na razie zada pytanie i w ramach odpowiedzi wybierze jedną z kart.

Dlaczego boli mnie łokieć? Dlaczego boli mnie łokieć? Dlaczego...

Mrowienie w lewej dłoni. W palcach. Nie musiała zbyt daleko szukać, by znaleźć właściwą kartę. Podniosła ją i odwróciła.

Wybuch. Wyciągnęła tę kartę, gdy spytała o swoich przyjaciół z Dziedzińca – i gdy porucznik Montgomery spytał o swego brata, Cyrusa aka Jimmy'ego.

Odłożyła karty i przycisnęła dłoń do kieszeni spodni, wyczuwając kształt brzytwy. Ale mrowienie minęło, nie wiedziała więc, gdzie miałyby naciąć skórę, żeby znaleźć tę konkretną przepowiednię.

Ponownie poczuła ból w łokciu, ale prawdopodobnie nie oznaczał on żadnego proroctwa.

Zaniepokojona, podeszła do lady.

– Nathanie? Mógłbyś na coś zerknąć?

Nie wylegiwał się na swoim pościeliu i nie ziewał. Zanim zdążyła mrugnąć, stał przy niej, z łapami na blacie.

Podniosła łokieć.

– Widzisz, żeby z moim łokciem było coś nie tak? Mam wrażenie, że jest jakiś... dziwny. Ale nie widzę żadnej rany.

Obwąchał jej rękę od nadgarstka do ramienia, a potem skupił się na zewnętrznej stronie łokcia. Polizał skórę. Oboje czekali, czy wyczuje krew – może ranka jest tak mała, że nie widać jej gołym okiem. Nathan jednak polizał jeszcze raz, dając Meg do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Już zaczął się odwracać, gdy nagle ryknął. Przestraszyła się. Może jednak zareagował na coś, co znajdowało się na jej skórze?

Nie wiedziała, co o tym sądzić, gdy pobiegł w stronę drzwi; po drodze zmienił przednią łapę na tyle, żeby mieć palce, którymi mógłby otworzyć prosty zamek. Przerażona jego niewytłumaczalnym zachowaniem, Meg odeszła od lady. Gdy brała odwrót, niechcący uderzyła ramieniem we framugę.

Nathan wrócił do niej, już w ludzkiej postaci.

– Pokaż mi tę rękę raz jeszcze. – Nie powiedział tego jako przyjaciel. Nie powiedział tego jako Wilk trzymający straż w biurze. Powiedział to jako Nathan kontroler Dziedzińca. – Meg. – Warknął ostrzegawczo. Jeśli Nathan wścieka się, dlatego że poprosiła go o małą przysługę, to nie chciała wiedzieć, jak zareagowałby Blair.

Nie jestem królikiem. Nie jestem królikiem. Nie jestem... – Powtarzała te słowa jak mantrę, gdy ruszyła do przodu i podniosła łokieć.

Delikatnie objął dłońmi jej rękę. Pochylił się i przyjrzał się skórze, powąchał ją i jeszcze raz polizał. Po chwili puścił.

– Nic. – Był już spokojniejszy. I zmieszany.

Lada zasłaniała go od pasa w dół i Meg wołała się nie zastanawiać, co

zobaczy osoba, która stanie na zewnątrz po drugiej stronie szklanych drzwi.

Zamrugła. Zaczęła intensywnie myśleć. Nie zdenerwowała go – a jednak coś wyprowadziło go z równowagi.

– Co się stało?

– Wizyta niepożądanego samca. Tess kazała zamknąć drzwi i stać na straży, dopóki Simon nie zdecyduje, co z nim zrobić.

Zabrzmiało to naprawdę źle. Przed oczami Meg natychmiast pojawił się obraz króliczego kręgosłupa. Poczowała mdłości.

Nathan odwrócił się i skupił na jednym z przednich okien. Nyx, która ich obserwowała, kiwnęła głową, po czym przefrunęła przez obszar dostaw do konsulatu. Jake Wronia Straż wylądował w swoim ulubionym miejscu na ścianie i zakrakał, dając do zrozumienia wszystkim wokół, że on też jest czujny.

– Meg, jesteś bezpieczna – powiedział Nathan. – Nic nie wyrządzi ci krzywdy.

Jej serce waliło tak mocno i szybko, że poczuła zawroty głowy.

– Czy ktoś mnie szuka?

– Nie. – Przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał. – Nie, nikt cię nie szuka. Przyjrzał się jej łokciowi. – Ale jeśli nadal odczuwasz ból, daj znać Simonowi. Albo Henry’emu.

Wybuch. Fizyczny czy emocjonalny? Biorąc pod uwagę fakt, ile razy ostatnio wyciągnęła tę kartę, mogło chodzić albo o jedno, albo o drugie – albo o obie te formy na raz.

Nie wiedziała, dlaczego boli ją łokieć, wiedziała jednak, że cięcie skóry byłoby teraz bezcelowe. To, co przepowiedziała z kart, już się zaczęło.



Na Dziedzińcu coś się zmieniło. Powietrze wyczuła zapach gniewu. Ziemia zgłosiła, że Wilki ruszyły, by strzec tej, która w ich stadzie jest najbardziej bezbronna. A to wszystko przez przyjazd pewnego samca, jego samicy i ich młodych. Wilcza Straż i ludzkie stada nie zareagowali w ten sposób na tłumy ludzi, którzy przyjechali na targi pracy i odjechali do innej części Thaisii. Dlaczego więc jeden samiec był uważany za zagrożenie przez tylu, skoro tak łatwo można było go zabić? Co wyróżniało go spośród reszty ludzi?

To właśnie dlatego przybyli do Lakeside. To takiego człowieka musieli obserwować, zanim migrujący ludzie wrócą do miejsc, które kły i pazury Namid odzyskały dla *terra indigena*. I musieli się upewnić, że ten samiec pozostanie w zasięgu Dziedzińca.

Wilku!

Niemal w całości ukryty za wielką ludzką postacią Henry’ego, Simon przyglądał się tłumowi ludzi, zebranych w Czymś na Ząb. To dziwne, jak jeden

człowiek może wpłynąć na postrzeganie całego gatunku. Teraz Simon traktował ich jak swoje ofiary.

A może nie było to takie dziwne? Przybycie Meg na Dziedziniec zmieniło niemal wszystko, łącznie z tym, że ludzkie pracownice z niejadalnych ofiar stały się stadem samic, do którego podchodzi się z pewną rezerwą. A poprzez stado samic nawiązano również kontakt ze stadem policjantów. Tak, jedna osoba może zmienić naprawdę wiele.

Mikołaj Strzępiel, rzecznik ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko, był kolejnym przykładem człowieka, który bardzo dużo zmienił. Owe zmiany zakończyły się jednak śmiercią wielu Wilków i ludzi, a Thaisia rozpadła się na kawałki, tak by rozdzielić dwunożnych, którzy pozostali przy życiu.

Teraz Simon patrzył na kolejnego człowieka, o którym instynktownie wiedział, że ma potencjał do sprawienia problemu *terra indigena*. Ale w jaki sposób mógł to uczynić? Samiec był spokrewniony z panią Twylą i porucznikiem Montgomerym – dobrymi ludźmi, którzy martwili się konsekwencjami jego przyjazdu do Lakeside. A przecież Meg zaczęła wróżyć z kart prorocत्व i przewidziała kłopoty – ba, nie tylko kłopoty: zobaczyła wybuch, co przecież nie jest błahą sprawą.

Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego chce trzymać tego samca z dala od Meg i Sama, i wszystkich innych mieszkańców Dziedzińca. Patrzył, jak pani Twyla i Sierra weszły do baru; za nimi wkroczyli Kowalski i Debany – obaj w mundurach. Pani Twyla miała surowy wyraz twarzy, taki, z jakim karcie się niegrzecznego szczeniaka. Natomiast Sierra wyglądała, jakby za chwilę miała przewrócić się na grzbiet i odsłonić brzuch w geście poddaństwa.

Czyżby to była walka o dominację w stadzie Montgomerych? Spór między porucznikiem Montgomerym a tym nowym człowiekiem, Cyrusem Jimmym? Nie zwracając przez chwilę uwagi na szczeniaki, Simon przeanalizował sytuację. Był przekonany, że pani Twyla stoi po stronie porucznika, ale nowo przybyły miał swoją samicę. Sierra była sama. Porucznik Montgomery byłby lepszym przywódcą, jednak Simon odnosił wrażenie, że Sierra wolałaby zostać pogłaskana i zaakceptowana przez tego Cyrusa.

Czy inni obecni tu ludzie również pragnęli jego akceptacji?

Spojrzał na Nadine Fallacaro. Ona nie chciała. Wyraźnie dawała do zrozumienia, że pragnie, by Cyrus się wyniósł. To dobrze. Kowalski i Debany nie udawali, że przyszli coś zjeść czy wypić. Obserwowali rozwój wydarzeń i czekali na rozkazy. Stado kontrolerów. Bardzo dobrze.

Co mam zrobić z tym intruzem? spytał Henry.

Vlad, obecny pod postacią dymu, przepłynął w powietrzu na drugą stronę Niedźwiedzia.

Nie możemy zabić go w barze. Jest członkiem rodziny porucznika.

Moglibyśmy mieć problemy z policją.

Być może. Chociaż nie sądzę, by kapitan Burke miał jakieś większe obiekcje, gdybym ruszył na intruza i skręcił mu kark.

Vlad zmienił postać na ludzką.

Simonie? A co ty na to?

Wilku!

Spodziewał się, że zostanie przywołany, odkąd Blair powiedział mu, że powrócili. Mimo wszystko wzdrygnął się na dźwięk tego głosu.

Simonie? Vlad wpatrywał się w niego.

Zaraz wracam, odparł. Nie pozwólcie temu Cyrusowi odejść.

Simon udał się do magazynu ZDL, rozebrał i powiesił ubrania na kołkach przy drzwiach. Następnie wyszedł na zewnątrz, zamienił się w Wilka i pobiegł w kierunku dziwnej ciszy, która zapadła w pobliżu rynku.

Znalezienie dwóch Starszych nie zajęło mu zbyt wiele czasu. Ich obecność wprawiała go w niepokój, jednak nie był zdziwiony tym, że wrócili. Ostatecznie byli przecież tak ciekawi jego relacji z Meg, że postanowili nie zabijać wszystkich ludzi w Thaisii. Czy to właśnie ciekawość sprowadziła ich tutaj? A może coś innego?

Wilku.

Przybrali postacie drapieżników. Samiec stał prosto; jego owłosione ciało trochę przypominało ludzkie. Był jednak wielki, miał silne kończyny i długie pazury, które mogły rysować szkło i rozrywać mięśnie. Jego głowa przypominała łeb starożytnego drapieżnika. Być może wyprostowana pozycja wcale nie miała przypominać ludzkiej. Może po prostu była to starożytna postać, której nie pamięta nikt z żyjących. Samica wyglądała jak kotowate zwierzę, była jednak o wiele większa niż Henry w postaci Niedźwiedzia.

Czy to właśnie ci Starsi przebywali tu podczas burzy szalejącej po Lakeside? Czy to oni zjedli ciastka Meg, które trzymała w biurze dla Nathana i Jedybaka?

Obserwowaliśmy ludzi przybywających na targi pracy, rzekł samiec.

Skąd wiecie o targach pracy? spytał Simon. Starsi nie chcieli się angażować w cokolwiek, co było związane z ludzkim gatunkiem. A gdy już musieli mieć z nim coś wspólnego, ich intencje zwykle były dalekie od życzliwości.

Poczuł, jak delikatny wiatr targa mu sierść.

Wrony nam powiedziały. A my poinformowaliśmy Starszych, bo dziwili się, że nagle przybyło tu tylu ludzi, odparła Powietrze.

Simon jej nie widział – wybrała transparentną postać – ale słyszał doskonale. Zastanawiał się, co oznacza fakt, że dziewczyny znad jeziora wiedziały o targach pracy. To źle, że ludzie przyciągnęli uwagę Starszych czy Żywiołów. Albo dobrze, bo wtedy ludziom rzadko udawało się przetrwać.

Przybył kolejny samiec, powiedział Starszy.

Simon odstłonił zęby.

Ten samiec nie zabawi długo na Dziedzińcu – ani w Lakeside.

Zabawi, odparła samica.

Simon zeszywniał.

To zły człowiek. Nie chcemy go tutaj.

Dlaczego jest zły?

Z bratem porucznika Montgomery'ego było coś nie tak. Simon to wiedział. Vlad również. Wiedzieli o tym też Tess i Henry. Ale czy ktokolwiek z nich potrafił to wyjaśnić?

Czy on może wypowiedzieć wojnę terra indigena? mruknął groźnie samiec.

Nie, odrzekł Simon z wahaniem. *Nie wydaje mi się, żeby był groźnym ludzkim drapieżnikiem, na pewno nie takim jak Mikołaj Strzępiel, za którym podążyli inni ludzie. Ale ludzie, którzy znają tego samca, uważają, że wywoła on mnóstwo problemów.*

Dla nich, zauważyła samica. *Nie dla nas.*

Dla nas też, odparł Simon.

W jaki sposób?

Spróbował wymyślić jakiś poważny powód, który wystarczyłby, żeby się pozbyć tego całego Cyrusa, ale jednocześnie byłby na tyle błahy, żeby Starsi nie zapragnęli zaatakować wszystkich ludzi w Dziedzińcu.

Nie wiem, przyznał z trudem.

Musimy to wiedzieć, rzekł samiec. *Musimy wiedzieć, dlaczego ten samiec nie wywoła wojny tylko problemy.*

Dlaczego musicie to wiedzieć? spytał zaciekawiony Simon.

Bo mniejsi tubylcy ziemi pozostawili wiele niestrzeżonych miejsc, w których żyją ludzie, odparła samica. *Teraz część z kłów i pazurów Namid musi obserwować te tereny. Musimy umieć rozróżnić ludzi dobrych od złych. Musimy wiedzieć, co stanowi zagrożenie dla terra indigena i czemu nie można pozwolić przetrwać. Jeśli ten samiec stanowi zagrożenie dla waszego stada, to oznacza, że tacy ludzie będą stanowić zagrożenie również dla terra indigena zamieszkujących gdzie indziej. Jeśli Starsi nie będą umieli odróżnić dobrych ludzi od złych, nie pozwolimy im jeździć po dzikich terenach i na nich osiadać. Widziałeś tylu ludzi, którzy nie byli członkami twojego stada, którzy nie wyli Pieśni Bitwy. Musimy wiedzieć, dlaczego akurat ten człowiek jest zły, dlaczego należy go usunąć.*

A co, jeśli nie zbliży się na tyle, żebyście mogli go obserwować? Simon czuł, że wpada w pułapkę.

Jeszcze nie skończyliśmy ze zmniejszaniem liczebności ludzkich stad, odparł samiec. *Jeśli nie nauczymy się odróżniać dobrych ludzi od złych, zabijemy wszystkich, którzy będą próbowali podróżować po dzikich terenach. Uczynimy to, by chronić naszą ziemię i tubylców ziemi, którzy przetrwali ludzkie ataki.*

Simon zaskomlał cicho. Pierwsza grupa ludzi z targów pracy była już w drodze do Bennett. Jeśli Starsi uniemożliwią wszelkie podróże, pociąg z mieszkańcami Prostej Życia nie dotrze na miejsce. A wybrani pracownicy, którzy mieli wyruszyć jutro, nigdy nie wyjadą z Lakeside.

On był odpowiedzialny jedynie za Dziedziniec w Lakeside, ale na podstawie tego, czego się tu dowiedzą, Starsi podejmą decyzję odnośnie do każdego zamieszkiwanego przez ludzi miejsca w Thaisii.

Ile z tego, co ludzkie, zechcą zachować *terra indigena*? Wiedział, że pozwolenie na to, by Cyrus przebywał tak blisko Meg – jego Meg – wiąże się z dużym ryzykiem. Jeśli jednak powie jej, jaka jest stawka, z pewnością będzie chciała zaryzykować. Nie zechce być tą, która uniemożliwi ludziom, takim jak Jana Paniccia, podjęcie decyzji dotyczącej pracy i miejsca zamieszkania. Nie mógł prosić Meg, żeby wzięła na siebie taki ciężar – nie gdy była Pionierką, szukającą sposobu na utrzymanie przy życiu pozostałych *cassandra sangue*.

Nadal jednak był przywódcą Dziedzińca. Jeśli miał wyświadczyć Starszym przysługę, to na swoich warunkach. Nie chciał niepotrzebnie ryzykować bezpieczeństwa Meg, Sama czy reszty stada. Całego jego stada.

Możemy pozwolić, by ten samiec, jego samica i młode zamieszkali w jednym z ludzkich pokoiów po drugiej stronie ulicy. Machnął przednią łapą w stronę kamiennych budynków. Możemy też pozwolić mu na robienie zakupów na rynku, tak żebyście mogli obserwować, jak zachowuje się w stosunku do innych ludzi – i do nas. Ale w zamian musicie obiecać, że pomożecie nam chronić ludzkie stado samic.

Poczuł, jak Starszych ogarnia złość. Byli pazurami i kłami Namid. Nie przywykli do tego, że ktokolwiek mówi im, co mają robić.

Po chwili odezwała się Powietrze:

To sprawiedliwy układ. Niezależnie od tego, jakie problemy wywoła ten samiec, z pewnością odwróci to uwagę kontrolerów, tak więc reszta nas musi zwiększyć czujność.

Do siostry dołączyła Ziemia; przybrała ludzką postać i posłała Simonowi uśmiech.

My też pomożemy, choć nasza Meg odwiedza nas niemal codziennie.

Meg? spytała samica.

Słodka krew nie-Wilk, wyjaśnił Simon.

Dziewczyzna Kij, dodała Powietrze, nawiązując do piosenki, którą napisał Charlie Wronia Straż o Meg i Merri Lee, chroniących Jedynaka przed złym człowiekiem o imieniu Phineas Jones.

Pomożemy wam obserwować ludzi, obiecała samica.

Czy oni nie wykazywali zbyt dużego zainteresowania obserwowaniem Meg? Będzie musiał ostrzec Nathana i poprosić go, by poszukał zapachu Starszych

w biurze łącznika.

Jeszcze jedno, rzekł. Dzisiaj rano część ludzi wyjechała z Lakeside do Bennett. Druga część wyjedzie jutro. Powiedzcie reszcie Starszych, że ludzie ci podróżują za naszym pozwoleniem i nie mogą zostać zabici. Jeśli tego nie obiecacie, Dziedziniac w Lakeside wam nie pomoże.

Zapadła cisza, straszliwa cisza. Ale nie ustąpił. To on tu dowodził, oni byli jedynie gośćmi. Nie żeby takie rzeczy miały jakiegokolwiek znaczenie dla pazurów i kłów Namid.

To sprawiedliwy układ, rzekła ponownie Powietrze.

Samiec jednak warknął:

Jesteśmy Starszymi.

To my decydujemy. Ziemia się uśmiechnęła. Możemy obudzić Zimę i spytać ją, co o tym sądzi.

Obudzić Zimę w ostatnim miesiącu rządów Lata? Obudzić Zimę i powiedzieć jej, że Starsi pragną zrobić coś, co może stanowić zagrożenie dla Meg? Na samą myśl o reakcji Żywiołu Simon zadrżał.

Najwyraźniej myśl ta zrobiła wrażenie również na Starszych, bo samica zdecydowała:

Pozwolimy na tę migrację do Bennett.

Osiągnąwszy jako takie porozumienie ze Starszymi, Simon pośpieszył z powrotem do Zabójczo Dobrych Lektur, żeby sprawdzić, co się dzieje między Montgomerym i Cyrusem. Nie był zbyt zadowolony z umowy, jaką zawarł z kłami i pazurami Namid, ale jeśli przetrwanie ludzi wyjeżdżających do innych części Thaisii zależy od tego, czego Starsi dowiedzą się w ciągu kilku kolejnych dni, wolał, żeby obserwowali stado samic i policjantów tutaj niż gdziekolwiek indziej.



– Co ty tu robisz, Jimmy? – spytał Monty.

To było najgorsze z możliwych miejsc na rodzinne spotkanie. Już dostatecznie złe było to, że jego ludzie będą świadkiem scysji – wolał nawet się nie zastanawiać, co teraz myśli Burke. A co pomyśleli *terra indigena*, gdy pojawił się tu Jimmy, w dodatku z Sandee i dzieciakami, Clarence i Fanny?

Jimmy nie przepracował w swoim życiu ani jednego dnia. Wolał robić ciemne interesy i manipulować ludźmi – ale w większości przypadków udawało mu się uniknąć więzienia. Komunikacja z Toland była w najlepszym razie utrudniona i Monty wiedział, że żaden policjant z Lakeside nie otrzyma pomocy od tamtejszych funkcjonariuszy. Zakładał jednak, że ściągnięcie na swoje biurko kartoteki policyjnej Jimmy’ego zajmie Burke’owi jeden dzień. A jeśli mu się to nie uda, to z pewnością uda się to agentowi Biura Śledczego, Gregowi O’Sullivanowi, krewnemu gubernatora Hannigana.

– Jak już mówiłem, przyjechałem, żeby się spotkać z rodziną. – Gdy do stołu podeszła Twyla, Jimmy uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Mamo jak zawsze wyglądasz ślicznie. – Objął ją i głośno pocałował w policzek. – Wstań, chłopcze – upomniał syna. – Niech babcia usiądzie.

– Chcę ciastko. – Clarence wpatrywał się w wypieki na wystawie.

– Ja też chcę ciastko!! – zażądała Fanny.

– Wszyscy powinniśmy coś zjeść – zdecydowała Sandee, gdy do stołu podeszła Nadine. – Ja zamówię dietetyczny napój i kawałek ciasta. Jakie ciasto dziś macie?

– Mamo, usiądź. – Jimmy zajął miejsce na swoim krześle. – CJ jest teraz grubą rybą, więc coś ci fundnie.

Monty widział, że Nadine obserwuje Jimmy’ego i Sandee. Członkowie ruchu LPiNW spalili jej poprzednią firmę i chcieli, by kobieta również zginęła w płomieniach. Powinna dostać adwokata i wytoczyć im sprawę. Zamiast tego rzuciła się w wir pracy razem z Tess, a ponieważ od czasu pożaru wystąpiło jeszcze mnóstwo innych problemów, nie zastanawiał się nad tym, jak daje sobie radę z przebytą traumą. Teraz zaczął się szykować do odparcia ataku.

No i była jeszcze Tess. Po tym, jak poczuł zawroty głowy, bał się spojrzeć jej w twarz, widział jednak, że jej rude włosy poskręcały się w loki.

– Pewnie – rzucił do Nadine. – Ja stawiam.

– Tym razem – zaznaczyła Tess dziwnie zachrypniętym głosem.

– Dzisiaj nie ma ciasta – rzekła Nadine. – Mamy kilka tart z wiśniami i jedną z malinami. I nie ma nic do picia – ani napojów dietetycznych, ani w ogóle jakichkolwiek.

– Też coś. – Sandee się naburmuszyła. – Co to za bar, skoro nie macie napojów niskokalorycznych?

Tess się zaśmiała. Przerazający dźwięk.

– Jęczysz, bo nie ma napoju dietetycznego, ale chcesz zjeść ciasto?

– To może po ciastku i szklance mleka dla dzieci? – zaproponował Monty.

– Chcę... – zaczął Clarence, ale Twyla weszła mu w słowo:

– Jeśli nie chcecie tego, co wam się proponuje, to możecie nie jeść wcale. Niczego innego nie dostaniecie.

– Mamo, czyżby obowiązywały tu takie same zasady jak w domu? – Jimmy nie podniósł głosu, ale wyraźnie było słychać jego gniew. – Nie musisz wychowywać moich dzieci.

– Albo ciastko i mleko, albo ciastko i woda. – We włosach Tess pojawiły się czarne pasemka. – To ja prowadzę to miejsce i ja daję wam taki wybór.

Odeszła. Po chwili Nadine ruszyła za nią.

– Ej, nie przyjęłyście ode mnie zamówienia! – zaprotestował Jimmy.

– Jeśli chcesz żyć, lepiej z nią nie zadzieraj – szepnął Monty.

Sierra podeszła bliżej stołu, ale nie dołączyła do nich.

– Po co przyjechałeś, Jimmy? – Monty ponowił pytanie.

– Przecież i tak cię to nie obchodzi. Ostrzegłeś mamę i Sissy, żeby uciekały z Toland, a nawet pokryłeś koszty ich podróży. Ale mnie, kurwa, nie pisałeś ani słówka, CJ.

– Powiedziano mi, że nie ma możliwości kontaktu z tobą – odparł cicho Monty; nie patrzył w stronę siostry. – Wszystkie telefony padły.

– Gdybyś chciał, tobyś mnie znalazł.

– Wolałbyś, żebym ustalił miejsce twojego pobytu przez policję w Toland?

– Nie usłyszał odpowiedzi na to pytanie.

– Udało nam się wydostać z Toland, zanim wszystko się pozamykało – Jimmy zwrócił się do matki. – Myśleliśmy, że możemy zostać w Dyspozytorni, ale za dużo osób starało się tam o mieszkanie. – Ponownie spojrzał na brata. – Słyszałem, że pozwolicie nam się tu zatrzymać do czasu, aż wymyślę, co dalej.

Gdy Monty się nie odezwał, Jimmy popatrzył na siostrę – oskarżycielsko, tak jakby go okłamała.

Monty zastanawiał się, czy Sissy skłamała czy po prostu błędnie zinterpretowała warunki panujące na Dziedzińcu i całą sytuację.

– Jimmy mógłby zamieszkać ze mną – powiedziała teraz.

– Twyla odwróciła się do niej.

– Dziecko, masz dwa łóżka dla dziewczynek i jedno dla siebie. Stół w kuchni i cztery krzesła. Podejrzewam, że jedyne, co w tej chwili możesz im zaproponować, to spanie na podłodze w salonie.

W oczach Jimmy'ego błysnęła wściekłość; Monty zaczął się obawiać, czy brat po wyprowadzce Sissy nie stał się zdolny do przemocy fizycznej. Elayne nie chciała spędzać czasu z jego rodziną, tak więc jego spotkania z Sissy ograniczały się do okazjonalnych lunchów i wizyt Lizzy u babci Twyli, gdy Sissy akurat była u niej z dziewczynkami. W towarzystwie jego lub mamy Sissy stawała się silną, mądrą dziewczyną, jaką pamiętał. Ale jej reakcja na obecność Jimmy'ego była bardzo niezdrowa.

– Mamo, a u ciebie? – zapytał Jimmy.

– Mieszkam w kawalerce. Jeden pokój i pojedyncze łóżko.

Monty odwrócił się w stronę wyraźnie wściekłego brata. Cyrus przestał już udawać, że po prostu przyjechał w odwiedziny. Prawdopodobnie burza, która przeszła nad Toland, nie była jedynym powodem, dla którego Jimmy musiał opuścić miasto. Przybył do Lakeside, spodziewając się darmowego mieszkania i utrzymania. Nie wpadł na to, że Sissy nie będzie w stanie udzielić mu pomocy.

Aż do tej chwili żaden ze świadków scysji nie odezwał się ani słowem. Wreszcie ciszę przerwał kapitan Burke:

– Poruczniku. Twój brat...

– Zostanie tutaj. – Do Czegoś na Ząb wszedł Simon Wilcza Straż w towarzystwie Vlada i Henry’ego.

Na widok gwałtownie rozszerzających się oczu Jimmy’ego Monty obrócił się na krześle. Wilcza Straż przypominał człowieka, ale z pewnością nie mógł za niego uchodzić. Wyglądał jak dowódca patrzący na wroga. Monty wiedział, że w tej chwili wystarczy jeden fałszywy ruch i zacznie się rzeź.

– Panie Wilcza Straż – powiedział spokojnie i uprzejmie – to mój brat Cyrus James Montgomery. Jimmy.

– Wiem, kim on jest – warknął Simon.

Ponieważ Wilcza Straż wciąż wpatrywał się w Jimmy’ego, Monty spojrział na Burke’a. Kapitan popatrzył mu w oczy. Przekaz był jasny: Poruczniku, tu musi panować spokój.

Niestety zawsze, gdy Jimmy był w coś zamieszany, zachowanie spokoju było bardzo trudne.

Simon rzucił na stół jeden klucz. Drugi podał Monty’emu. Nie odrywał spojrzenia bursztynowych oczu od twarzy Jimmy’ego.

– Podczas pobytu tutaj możecie mieszkać w pokoju nad porucznikiem Montgomerym. W tym mieście obowiązują pewne zasady. Za ich naruszenie poniesiecie konsekwencje. Mieszkania należą do Dziedzińca. Bez naszego pozwolenia nie wolno wam wpuszczać do budynku innych ludzi. Na naszym terenie nie dopuszczamy możliwości przechowywania narkotyków. Jeśli znajdziemy je w waszym mieszkaniu lub wyczujemy na waszej skórze czy ubraniach, ty, twoja samica i młode zostaniecie natychmiast wyrzuceni z naszego terytorium – czyli z miasta Lakeside. Porucznik Montgomery, jako policjant, otrzyma klucz do waszego mieszkania. Ja również mam klucz. Będziemy wchodzić do mieszkania i je sprawdzać, gdy tylko najdzie nas taka ochota.

– A co z kluczem do zewnętrznych drzwi? – spytał cicho Monty.

– Nie będzie potrzebny. W ciągu dnia drzwi będą otwarte, o zmroku je zamykamy. Jeśli ktoś, kto ma pozwolenie, będzie chciał wejść do budynku, strażnik go wpuści. Wszystkie inne osoby zostaną uznane za intruzów.

Monty przypomniał sobie tabliczki z napisem „Intruzi będą zjadani”, porozstawiane na drogach Dziedzińca.

– Będziecie mogli kupować jedzenie i towary na rynku, ale tylko tyle, ile potrzeba dla jednej rodziny – ciągnął Simon.

– To przypomina pieprzony areszt domowy – prychnął Jimmy.

– Owszem. Tyle że nie będziecie musieli przebywać w mieszkaniu.

– A jeśli się na to nie zgodzę?

– Zawieziemy was na stację kolejową i kupimy wam cztery bilety do wybranego przez was ludzkiego miasta w Rejonie Północno-Wschodnim. Albo zostaniecie w miejscu, w którym będziemy mogli was obserwować, albo

wyjedziecie.

– A jeśli postanowię zamieszkać gdzie indziej w Lakeside?

Na bogów, Jimmy, przestań się z nim kłócić. On nie jest człowiekiem, którego mógłbyś zastraszyć.

– To na ciebie zapolujemy i zginiesz. A potem twoja samica i szczeniaki będą mogły stąd wyjechać.

Jimmy wyglądał, jakby nagle źle się poczuł. Wreszcie ktoś naprawdę go przestraszył. Monty wątpił, żeby po odejściu Simona strach ten trwał dłużej niż minutę – Jimmy zawsze taki był – ale w tej chwili Cyrus James Montgomery wiedział, że znalazł się w niebezpiecznej, a nawet potencjalnie śmiertelnej sytuacji.

Simon pochylił się do przodu i odsłonił kły, które nawet nie przypominały ludzkich.

– Jeśli zbliżysz się do Meg, połamię ci kości, rozerwę brzuch i zjem wątrobę, podczas gdy ty wciąż będziesz żywy – powiedział.

A potem wyszedł z baru. Henry, Vlad i Tess ruszyli za nim.

Zapadła cisza. Nawet Burke zdawał się przerażony tą groźbą.

Nadine podeszła do stołu i postawiła na blacie szklanki z wodą.

– Nadal chcecie jeść? – zapytała.

Monty zmusił się do uśmiechu.

– Chwilowo nie. Dziękuję.

Burke wystąpił do przodu.

– Jeśli chcecie wyjechać, to sprawdzę, czy dziś po południu rusza stąd jakiś pociąg, a jeśli tak, to dokąd. Jeśli nie chcecie spędzać nocy w pociągu, gdy ten zatrzyma się na czas godziny policyjnej, będziecie musieli wybrać miasto, znajdujące się nie więcej niż cztery-pięć godzin drogi stąd. W innym razie musicie zostać na noc tutaj i wyjechać o brzasku.

Jimmy go zignorował. Zwrócił się do Sissy:

– W co ty mnie wpakowałaś, do kurwy nędzy?

– Cyrusie, Sierra w nic cię nie wpakowała – rzekła Twyla. – Może niewłaściwie zrozumiała, a powinna była to zrozumieć, że będziemy otoczeni przez policję i *terra indigena*, jednak przyjazd do Lakeside był wyłącznie twoim wyborem. – Nabrała powietrza i powoli je wypuściła. – To miejsce jest odpowiednie dla mnie, Sierry i jej dziewczynek. Ale nie jest odpowiednie dla ciebie, Cyrusie. Dawno temu wybrałaś inne życie. Nic i nikt nie mógł zmienić twojego wyboru, nawet ja. Ponieważ jednak jesteś moim synem, chcę, żebyś mnie wysłuchał. Wybierz inne miasto. Ty i twoja rodzina powinniście zacząć życie na nowo. Zawsze znajdzie się miejsce dla kogoś, kto jest gotów uczciwie pracować.

– Uczciwie pracować – prychnął. – Jedyne, co otrzymał tata w zamian za uczciwą pracę, to zawał serca.

– Nieprawda.

– No cóż, dzięki Sissy przyciągnąłem tu moją żonę i dzieci, rezygnując z o wiele lepszych możliwości. I teraz tu utkwilem, więc pewnie będziemy musieli zostać do czasu, aż wymyślę coś innego.

Ponieważ między Dyspozytornią a Lakeside nie było żadnego innego miasta kontrolowanego przez ludzi, Jimmy nie miał z czego rezygnować. Monty był jednak pewien, że brat żywi przekonanie, że jest inaczej.

Wstał.

– W takim razie przejdźmy na drugą stronę ulicy i ulokujmy was w mieszkaniu. Gdzie macie bagaże?

Jimmy machnął ręką w stronę łuku.

– Zostawiliśmy je w tym drugim sklepie.

– Poruczniku, my się tym zajmiemy – rzekł Kowalski.

Ale już za chwilę on i Debany zeszywnieli pod wpływem spojrzenia, jakie rzucił im Jimmy.

– Macie zamiar grzebać w naszych rzeczach, udając, że nam pomagacie?

– To nie będzie konieczne. – Burke posłał mu najbardziej złośliwy uśmiech, na jaki było go stać. – Jestem pewien, że Wilki przeszukały już wasze bagaże i zabrały wszystko, co uznały za stosowne. – Podszedł do drzwi i otworzył je. – Idziemy?

Monty poprowadził, cały czas czując na plecach wściekłe spojrzenia Jimmy'ego. Nie potrafili się dogadać już w dzieciństwie – na długo przed tym, jak on wybrał karierę policjanta, a Jimmy poszedł w przeciwnym kierunku. Teraz na szali leżało o wiele więcej niż rodzinna kłótnia. Jeśli Jimmy popsuje tak długo budowane relacje ludzi z Innymi...

Wychodząc z baru, Monty spojrzał jeszcze na Burke'a. Zaczął się zastanawiać, czy największym zagrożeniem dla brata jest na pewno Simon Wilcza Straż.



– Nie do końca wiem, co się dzieje, ale dzieci są bezpieczniejsze tam, gdzie są. Lepiej, żebyś ty trzymał rękę na pulsie gdzie indziej.

Vlad spojrzał w stronę lady; wszedł za Simonem, Henrym i Tess na schody prowadzące do biura ZDL. Merri Lee zamarła ze słuchawką przyciśniętą do jednego ucha i telefonem komórkowym przyłożonym do drugiego. Pewnie rozmawiała z Ruthie i Eve Denby.

– Racja – powiedział cicho, a potem szybko wszedł po schodach. Dopóki nie zamknął drzwi, nie był świadomy skali swej wściekłości. A potem rzucił się w stronę Simona i popchnął go.

– Jesteś pewien tego, co robisz? – spytał ostro.

Simon warknął.

– Nie, nie jestem. Wiem, że toczy się walka o dominację, wydaje mi się jednak, że Montgomery tego nie rozumie.

– Ale ten Cyrus o tym wie – zagrmiał Henry.

– Chce przejąć kontrolę nad tym stadem, chce usunąć Montgomery'ego – zauważył Simon. – A jego samica pójdzie za nim. Tak samo jak Sierra. Pani Twyla może próbować chronić Sierrę i jej szczeniaki.

– Czasami podczas walki o dominację rodziny ulegają rozpadowi – rzekł Vlad. – Ale gdy to się dzieje, dwa samce nie zostają na tym samym terytorium.

– U nas zostaną Montgomery i Lizzy – odparł Henry. – Jeśli Montgomery zostanie wyrzucony z rodzinnego stada, reszta z nich zostanie wyrzucona z Dziedzińca.

– Poza panią Twylą – zauważył Simon. – Elliot prawie ją polubił.

Vlad przyjrzał mu się uważnie.

– Ten cały Cyrus z pewnością sprowadzi na nas kłopoty. Będzie przebywać w pobliżu tych z nas, którzy są najbardziej bezbronni. Co powiedziałyby Dziadek Erebus na to, że obok Meg kręci się wrogo nastawiony samiec? Dlaczego mielibyśmy pozwolić mu zostać? Dlaczego się poddajesz?

Simon ryknął cicho.

– Gdy skupialiśmy się na targach pracy, dwoje ze Starszych wróciło do Dziedzińca – powiedział. – Postanowili, że Cyrus ma zostać tam, gdzie będą mogli go obserwować.

– Niech żyje Thaisia – zagrmiał Henry. – Dlaczego?

Simon nie odrywał wzroku od Vlada.

– Dopóki Starsi nie rozumieją, dlaczego jeden człowiek, taki jak Cyrus, może stanowić zagrożenie dla całego ludzkiego stada, albo dla nas, nie pozwolą żadnym ludziom na podróżowanie po dzikich terenach w celu dotarcia do wybranych miast.

– Czyli dla Starszych ryzykujemy życie ludzi, którym zaufaliśmy? – spytała Tess.

Milczeli długą chwilę. Wreszcie odezwał się Simon:

– Zgodzili się chronić stado samic. I pozwolić, by ludzie z targów pracy dotarli bezpiecznie do celu.

Ludzkie miasta były idealnym miejscem polowań dla Sanguinatic, którzy rzadko spotykali Starszych. Vlad rozumiał jednak wybór dokonany przez Simona – mógł albo ocalić Dziedziniec w Lakeside przed czymś, co prawdopodobnie będzie tylko irytującą obecnością jednego człowieka, albo pozwolić, by Tolya i Bennett upadli tak jak Złota Preria, intuicka wioska, która była całkowicie zależna od kolei. Poza tym ile innych miejsc i ludzi mogłoby przestać istnieć, gdyby Simon dokonał innego wyboru?

– No cóż – rzekł. – Jeśli Cyrus wyciągnie stąd takich jak on, to może nam się

przydać.

Loki Tess trochę się wyprostowały.

– Miałby być przynętą? Dla kogo?

– Dla Jacka Fillmore’a, mężczyzny, który skrzywdził Theral MacDonalda i nadal na nią poluje. – Vlad pozwolił, by jego słowa na chwilę zawisły w powietrzu.

– Cyrus mieszkał w Toland. Czy Stavros będzie go znał? – spytał Simon.

– Ponieważ nadal żyje, zakładam, że nie był dostatecznie ważny, by przyciągnąć jego uwagę – odparł Vlad. – Ale mogę o to spytać.

– To spytaj.

– Nyx chce pracować przy konsulacie i zwolnić Elliota z obowiązku kontaktowania się z burmistrzem i innymi urzędnikami. Ona dopilnuje, żeby do konsulatu nie wszedł nikt niepowołany. On tymczasem porozmawia z Erebussem o wyznaczeniu większej liczby Sanguinaticów do dyżurowania w pobliżu rynku.

– Dobrze – odparł Simon. – Powiedz Nyx, że dotyczy to Sierry i samicy Cyrusa.

– Chciałbym, żeby biura na górze również były niedostępne.

Simon skinął głową.

– Nie chcę, żeby Cyrus albo jego żona pracowali w którymkolwiek z naszych sklepów. No i trzeba ich obserwować za każdym razem, gdy pojawią się w okolicach rynku.

– Czy ty masz nadzieję, że Cyrus zrobi coś, co da ci wymówkę do zabicia go bez mieszania w to policji i Starszych? – spytała Tess.

– Tak właśnie jest, prawda? – Vlad spojrzał na jej ramię; z ulgą zobaczył zielone pasemka w jej włosach. Żniwiarz zaczął się uspokajać.

– Zrobimy, co w naszej mocy, by chronić przyjaciół i uporać się z wrogami – rzekł Simon.

– Chciałabym, żeby Sierra pracowała dłużej w Czymś na Ząb – rzekła Tess. – Dzięki temu będę mogła ją obserwować.

– Podzielcie jej czas pracy między bar a bibliotekę – zaproponował Henry. – Wydaje mi się, że dla Cyrusa biblioteka jest mało interesującym miejscem.

Simon zgodził się z tym wszystkim, Vlad również nie zgłosił sprzeciwu. Każdy wrócił do swoich obowiązków. Teraz jednak wróg znajdował się wśród nich tak samo jak Starsi, a zatem musieli zachować szczególną ostrożność i cały czas trzymać straż.



Wyczerpany po trudnym spotkaniu z Jimmym, ale jeszcze przed zakończeniem pracy i pójściem do domu, Monty wszedł do gabinetu kapitana Burke’a. Chciał spędzić trochę czasu z Lizzy, może pójść na spacer i wysłuchać jej

opowieści o tym, jak minął jej dzień. Ostatnio, gdy nie narzekała, że musi chodzić do szkoły – bo było lato – słuchanie jej paplaniny było dużo przyjemniejsze. Ona i Sarah Denby uczyły kilku *terra indigena* różnych ludzkich gier, takich jak klasy – i o dziwo nie tylko młode chciały się tego uczyć. Jenni i Starr Wronia Straż najwyraźniej byli zafascynowani tą grą i bawili się z dziećmi przy każdej okazji. Wrony były bardzo zwinne i świetnie łapały równowagę.

Monty zapukał we framugę drzwi gabinetu Burke'a i wszedł do środka.

– To był bardzo pracowity dzień – rzekł kapitan. – Czy twój brat i jego rodzina już się zadomowili?

– Nie wiem, co powiedziała mu siostra, ale byli zszokowani mieszkaniem, jakie im przydzielono.

– Z pewnością. – Burke splótł dłonie na blacie biurka. – Będę musiał wykonać kilka telefonów i ustalić, czy będzie dla nas tylko utrapieniem czy potencjalnym zagrożeniem, wiesz o tym, prawda?

– Tak, sir. Jednak biorąc pod uwagę ich obiekcje co do miejsca zamieszkania, spodziewam się, że nie zabawią tu długo. Jimmy szukał darmowych wygód i łatwych zdobyczy. U nas nie znajdzie ani jednego, ani drugiego.

– Jeśli któregoś dnia posunie się za daleko, będzie go to kosztować o wiele więcej niż tylko kilka dni w więzieniu.

– Wiem.

– Czy on planuje zabrać ze sobą waszą siostrę?

Monty podrapał się po karku, próbując rozluźnić napięte, obolałe mięśnie.

– Na bogów, mam nadzieję, że nie. Gdy nie ma go w pobliżu, ona staje się zupełnie inną osobą. Wydaje mi się jednak, że mama nie powiedziała mi jeszcze wielu rzeczy.

– Stosunki panujące w rodzinie zawsze są skomplikowane, a lojalność może pchnąć kogoś do podjęcia trudnych, nawet nierozsądnych decyzji... – Burke przerwał na chwilę. A potem: – Moi ludzie są dla mnie w pewnym stopniu rodziną i zrobię wszystko, żeby ich chronić. Dotyczy to również ciebie. Jesteś dobrym człowiekiem, Monty, i wykonujesz tu kawał porządnej roboty. Odczuwa to każdy mieszkaniec Lakeside. Będę trzymać cię od tego z daleka tak długo, jak długo twój brat będzie dla nas tylko utrapieniem, nie pozwolę jednak, by sprowadził na nas niebezpieczeństwo.

– Sir? – Monty poczuł niepokój.

– Martwisz się, że zabiorę Cyrusa na długą przejażdżkę?

„Zabranie na długą przejażdżkę” oznaczało wywiezienie kogoś daleko w dzikie tereny i porzucenie go bez jedzenia, wody i butów. W teorii istniała minimalna szansa na dotarcie do ludzkiej osady, gdzie można by zacząć wszystko od nowa – w praktyce był to jeden ze sposobów na wymierzenie kary śmierci.

– Nie, sir, nie martwię się tym.

Burke uśmiechnął się groźnie.

– Cóż, w takim razie chyba powinieneś zacząć.

Rozdział 8



Piątek, 10 sierpnia

Jimmy wyszedł na taras; pragnął się na kimś wyładować. Ale zbyt wiele osób było już na nogach – na dodatek niektóre z tych osób były policjantami. A jednym z owych policjantów był jego brat.

Kra!

Jakby tego było mało, wciąż czuł się obserwowany – ciągle ktoś patrzył, czy drapie się po tyłku, i liczył mu pierdnięcia.

Porcja słabej trawy z pewnością by go uspokoiła, ale ci pojebani Inni znaleźli nie tylko zapasy leków Sandee, lecz także zioło, które tak dokładnie ukrył w walizce. Nikt nie powinien był tego znaleźć. Ale sekretna przegródka została rozerwana pazurem albo czymś podobnym – i wszystko zniknęło.

To wina Sissy. Głupia cipa. Owszem, powiedziała mu, że jedzie z mamą i dziewczynkami do CJ-a do Lakeside, ale nie naciskała dostatecznie mocno, żeby on też mógł się zabrać, a on nie potrafił niczego z niej wydusić, bo to mama trzymała bilety i gotówkę. I owszem, gdy dotarła do Lakeside, zadzwoniła do niego

i ostrzegła go, żeby uciekał z Toland, bo stanie się coś złego. I być może zadzwoniła we właściwej chwili, żeby zdążyć złapać jeden z ostatnich pociągów z Toland, bo po burzy siadły wszystkie instalacje. Musiał jednak zapłacić za swoje bilety, a Sandee uczepliła się go tak mocno, że nie mógł się jej pozbyć. Ona i te jej zasmarkane bachory stanowiły dla niego dodatkowe obciążenie. Na bogów! Nie był nawet pewien, czy gnojki są jego, dlaczego więc miałyby wydawać pieniądze, których tak potrzebował, na ciuchy i jedzenie dla nich?

Po wydostaniu się z Toland – później usłyszał w wiadomościach, że w niektórych dzielnicach całe ulice zamieniły się w gruzowiska – ugrzązł w pobliżu Dyspozytorni i nie mógł znaleźć transportu do jakiegoś większego miasta, w którym mógłby prowadzić swoje interesy. Lakeside było największym ośrodkiem, do jakiego mógł dotrzeć. Wolałby Shikago, znał tam kilka osób, ale nie było go stać nawet na autokar, ponieważ od czasu wprowadzenia restrykcji ceny komunikacji dwukrotnie wzrosły. Ciulał pieniądze całymi tygodniami, zanim zdołał kupić bilety do Lakeside, a potem musiał jeszcze swoje odczekać, żeby znaleźć się na szczycie listy podróżnych. Przez cały ten czas był zmuszony się uśmiechać i udawać wdzięczność za to, że może pracować i jeść rozwodnioną zupę z czerstwym chlebem.

Z początku myślał, że mógłby osiąść w Dyspozytorni, może spotkać się ze znajomymi i rozkręcić jakiś mały biznes, ale po tygodniu skończyły mu się pieniądze. Po tych całych burzach do wykonania było mnóstwo brudnej roboty – każdy dorosły zdolny do pracy musiał pokazać kartkę z potwierdzeniem wykonanej pracy, żeby dostać posiłek za niższą cenę dla wysiedleńców. Na te kartki można było również kupić jedzenie w najbliższym sklepie spożywczym albo wymienić je na pieniądze. Ale sama Sandee żarła tyle, co dzieciaki razem wzięte, a gdy mówił, że nie ma zamiaru więcej jej karmić, jęczała, że poszłaby do pracy, ale kto wtedy się zajmie dziećmi. Skoro chciała żreć, mogła też pracować. Ponieważ domagała się pieniędzy zamiast kartek, wpadł na pomysł, jaką pracę mogłaby wykonywać. Zupełnie mu to nie przeszkadzało. W tamtym czasie była dla niego tylko ciałem, które posuwał, gdy nie mógł znaleźć niczego lepszego.

Powinien był wrócić do Toland, przecież miał tam kumpli, znał zasady gry, wiedział, komu posmarować i kto jest dostatecznie słaby, żeby można było na niego wpłynąć. Trafił jednak do Lakeside, bo Sissy go oszukała; pozwoliła mu uwierzyć, że jakimś cudem CJ ustawił ją i mamę: załatwił im mieszkanie i darmowe jedzenie. Okazało się jednak, że jedzenie wcale nie jest darmowe, a mieszkanie, choć za nie nie płacili, nie lepsze od nory, którą mieli w Dyspozytorni. Te dziwadła znalazły wczoraj jakieś dodatkowe łóżko i po południu wniosły je do mieszkania. Pojedyncze łóżko dla mężczyzny, który ma kobietę. I sprężyny, skrzypiące za każdym razem, gdy się poruszył. Jak miał przelecieć swoją kobietę, wiedząc, że podsłuchują go gliny – i coś o wiele

gorszego?

To wina Sissy. To wszystko jej wina. Mogła zrobić coś, żeby poprawić jego sytuację. Na pewno mogła coś zrobić.

Wszedł do środka i trzasnął moskitierą, budząc Sandee. Usiadła gwałtownie na łóżku.

– Co się dzieje? Jimmy? Dokąd idziesz?

– Na zewnątrz.

– Na zewnątrz? Dokąd? Poczekaj, kochanie, ubiorę się i pójdę z tobą.

Wyszedł z mieszkania, gdy ona zaczęła szukać ubrań, które nie śmierdzą – wciąż była zbyt „zajęta”, by zrobić pranie. O swoje ciuchy się nie martwił. Jeśli Sandee nie zadba o niego we właściwy sposób, wykopie ją i pozwoli, by zajęła się nim Sissy.

W sumie to może od razu powinien to zrobić.

Kiedy w porannym ruchu ulicznym nastąpiła przerwa, Jimmy przeszedł na drugą stronę Wroniej Alei i wszedł do Czegoś na Ząb, żeby Sissy przygotowała mu porządne śniadanie.



Nadine ustawiała na wystawie świeże wypieki, a w tym czasie Tess pisała na tablicy nowe menu.

– Wczoraj dostaliśmy dodatkowe jajka, upiekłam więc quiche na śniadanie. Pomyślałam, że resztę wykorzystam później na pastę jajeczną do kanapek – rzekła Nadine.

– Dodam je do oferty specjalnej – odparła Tess. – Zostaw kawałek quiche dla Meg. Wypadła dziś rano z domu praktycznie na czczo.

– Aż tak się śpieszyła do biura? Miała jakąś wyjątkową dostawę?

– Czyta książkę, którą przez przypadek zostawiła w biurze, bo poszła wczoraj na zajęcia Spokojnego Umysłu. Przerwała czytanie w bardzo ekscytującym momencie i jeszcze przed pracą chciała przeczytać, co będzie dalej.

Nadine uniosła brwi.

– I w domu nikt z tego powodu nie narzekał?

Tess się uśmiechnęła.

– Simon nie może na to narzekać, bo to on poprosił Meg o zrecenzowanie tej książki.

Nadine zaśmiała się cicho.

– Może zaniosę kawałek quiche do biura łącznika i osobiście się przekonam, co takiego interesującego jest w tej lekturze.

Tess spojrzała na Sierę, która poruszała miotłą, ale w ogóle nie wyglądała, jakby zamiatała, i uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Poczekaj chwilkę, zaraz wracam.

Zabójczo Dobre Lektury były jeszcze nieczynne, ale krata oddzielająca oba sklepy została już otwarta. Tess weszła do środka i podeszła do lady, podniosła słuchawkę i zadzwoniła do banku na rynku. Stowarzyszenie Przedsiębiorców miało konto w ludzkim banku regionalnym, ale bank na rynku był prywatną instytucją, prowadzoną przez Sanguinatic. To właśnie tam wszystkie firmy z Dziedzińca rejestrowały pracowników, których można było zatrudnić. Wynagrodzenie zawsze było dzielone na pieniądze dla Dziedzińca i te, które mogły zostać wykorzystane w ludzkich miejscach.

Po przybyciu pani Twyli, Sierry i szczeniaków, Simon i reszta Stowarzyszenia Przedsiębiorców byli przygotowani na wykarmienie ich i zapewnienie schronienia na kilka dni, głównie dlatego że były one rodziną porucznika Montgomery'ego, a przecież Dziedziniec stanowił najlepszą ochronę przed burzą i zemstą Starszych. Jednakże pani Twyla uparła się, że chce pracować na swoje utrzymanie; to samo kazała robić swojej córce. Nie otrzymywały za to żadnej zapłaty. Po tym jednak, jak stało się jasne, że ich wizyta zamieni się w stały pobyt, Simon zaczął przestrzegać jednej z podstawowych zasad Dziedzińca: ten, kto żył na koszt miasta, musiał pracować dla Dziedzińca. Ludzie, tacy jak policjanci, nie pracowali oficjalnie w Dziedzińcu, nie otrzymywali wypłaty tak jak zwykli pracownicy, ale interakcja z nimi była bardzo ceniona, tak więc policjantom bezpośrednio zaangażowanym w życie Dziedzińca wolno było kupować różne rzeczy w sklepach.

– Bank na rynku – odezwał się męski głos.

– Z tej strony Tess. Ile pieniędzy ma Sierra Montgomery?

Czekając na odpowiedź, Tess wyrzała przez okno i zobaczyła stojącego po drugiej stronie ulicy Cyrusa. Jej włosy natychmiast zrobiły się zielone z szerokimi czerwonymi pasmami i zaczęły się kręcić.

Bankier odłożył słuchawkę i za chwilę wrócił.

– A na jaki stan konta chce pani pozwolić?

Patrzyła, jak Cyrus przechodzi przez ulicę, i zaczęła się zastanawiać nad odpowiedzią. Na koszt Dziedzińca wszystkie dzieci otrzymywały połowę przydziału mleka jako część porannej przekąski w szkole. Gdy Stowarzyszenie Przedsiębiorców ustalało wysokość czynszu, uwzględniło fakt, że Sierra jest samotną samicą z dwoma szczeniakami na utrzymaniu, zgodzono się więc, żeby płaciła niższy czynsz niż inni. Zrobiono to, ponieważ Sierra nie była dominującą samicą, taką jak pani Twyla, i nie cieszyła się takim samym poważaniem, a jednocześnie okazała się być dobrą, sumienną pracownicą.

Sierra była trochę zła, że nie pozwolono jej pracować w konsulacie, i okazywała swoje niezadowolenie, wykonując swą pracę mniej rzetelnie niż wcześniej. Byli już przyzwyczajeni do takiego zachowania u ludzi i wiedzieli, że albo się ono poprawi, albo kobieta zostanie zwolniona. Jednakże od wczorajszego

przyjazdu Cyrusa Sierra zachowywała się jak obca osoba – gdyby nie była rodziną Montgomery’ego i pani Twyli, nikt z *terra indigena* by jej nie zaufał.

– Na taki, żeby wystarczyło na jedzenie dla niej i jej szczeniaków w Czymś na Ząb oraz w Mięsie i Zieleninie – odparła Tess. – Za wszystko inne ma płacić gotówką, łącznie z jedzeniem dla każdej dodatkowej osoby, aż do wyczerpania salda. – Wyczuła, że bankier się waha. – Zanim wyślesz wiadomość do pozostałych sklepów, uzyskaj pozwolenie od Simona i Vlada, i jednocześnie poinformuj ich, że w moim sklepie będę wymagać od niej gotówki.

– Vlad właśnie przyszedł; zaraz mu o tym powiem. Jeśli wyrazi zgodę, powiadomię wszystkie sklepy.

Odłożyła. Patrzyła teraz na Cyrusa, który usiadł przy stoliku.

– Dzisiaj rano mamy quiche z owocami sezonowymi – powiedziała Sierra. – I świeże muffiny, i trochę ciasta z wczoraj.

– Nie będę jadł takiego gówna – odparł Cyrus. – Chcę bekon z jajecznicą, frytkami i tosty z masłem. I kawę.

– Ale my nie podajemy takich śniadań... Jimmy, to jest bar.

– Ale macie tu wszystkie niezbędne urządzenia, więc możesz iść do kuchni i przygotować mi to, co chcę. – Pochylił się w stronę Sierry, która skuliła się ze strachu, ale nie miała tyle oleju w głowie, żeby odejść. – Jesteś mi to winna, Sissy. Okłamałaś mnie, powiedziałaś, że panuje tu zupełnie inna sytuacja, więc jesteś mi to winna. A teraz zabieraj się do kuchni i zrób mi porządne śniadanie.

Z kuchni wyszła Nadine.

– Do mojej kuchni może wchodzić tylko Tess.

Tess spojrzała na nią. Potem dostrzegła nóż w jej dłoni i furię w oczach.

Cholera. *Henry, jesteś mi tu natychmiast potrzebny.*

Jej włosy zrobiły się czerwone z czarnymi pasemkami, weszła do baru niczym groźny drapieżnik, z którym każdy musiał się liczyć.

– Ten bar pracuje w taki sam sposób, jak każdy inny bar w tym mieście – powiedziała. – Zamawiasz jedzenie, płacisz za nie i zabierasz na wynos albo jesz tutaj. – Cały czas skupiała się na Cyrusie, starając się nad sobą panować, ale w jej włosach pojawiało się coraz więcej czarnych pasemek – co oznaczało, że zbliża się do swej prawdziwej natury. Pragnęła rozgnieść jego narządy na krwawą breję. Pragnęła sprawić, by w jego czaszce zaczął padać deszcz, podczas gdy ona wysysie z niego całą energię życiową. Nieważne, czy przy okazji zniszczy również Sierrę, nie chciała jednak skrzywdzić Nadine, musiała więc się opanować, spróbować uniknąć zrobienia tego ostatniego kroku.

– Sissy może zapłacić – rzekł Cyrus.

– Nie ma pieniędzy – warknęła Tess. – Tak więc jeśli nie masz gotówki na jedzenie, to wynocha.

Wstał, przewracając krzesło.

– Za kogo ty się uważasz?

Nie miała zamiaru odpowiadać mu na to pytanie. Chciała mu to pokazać.

– Tess? – Usłyszała głos Merri Lee. – Zadzwoń po policję?

– Ludzkie prawo tu nie obowiązuje – warknął Henry, który właśnie wszedł tylnymi drzwiami.

Po wyrazie twarzy Cyrusa Tess wywnioskowała, że Henry nie do końca przybrał ludzką postać.

Cyrus popatrzył po wszystkich, a potem ruszył w stronę głównych drzwi. Otworzył je, zatrzymał się, odchrząknął i splunął na podłogę baru.

Tess czuła, że Henry stanął tak, by zablokować Nadine, i miała nadzieję, że Merri Lee ma na tyle zdrowego rozsądku, by się ukryć. Wrzasnęła więc:

– Ej! – W chwili, w której Cyrus na nią spojrział, jej włosy były już niemal czarne z kilkoma czerwonymi pasemkami. Odwróciła wzrok tuż po tym, jak dostrzegł to, czym naprawdę była. Złapał się za pierś, wytoczył przez drzwi i niemal wpadł pod nadjeżdżający samochód. Potem jednak się wyprostował.

Nie zabrała mu tyle życia, żeby zniszczyć go na dobre, ale to krótkie spojrzenie powinno osłabić go na cały dzień.

Maska człowieka nie znajdowała się jeszcze na miejscu, więc Tess na nikogo nie patrzyła – i miała nadzieję, że nikt nie patrzy na nią.

Czy z Nadine i Merri Lee wszystko w porządku? spytała Henry'ego, idąc w stronę korytarza.

Vlad wciągnął Merri Lee do ZDL, żeby niczego nie widziała, a ja zablokowałem Nadine i Sierrę, odparł.

My dokończymy, dodał Simon. *Ty musisz się uspokoić.*

Zaskoczona, Tess niemal uniosła wzrok. Kiedy zdążył się tu pojawić Wilcza Straż?

Nadine też przyda się trochę spokoju, odparła.

Poradzi sobie. Przyleciała Julia Jastrzębia Straż. Zajmie się klientami. A Merri Lee pomoże i wyjmie wszystko z pieca.

Pójdę na górę. Miała tam gabinet. Urządziła sobie w nim przytulne gniazdko, w którym mogła jednocześnie odpoczywać i mieć oko na sklep.

Cały czas patrząc w dół, weszła po schodach. Gdy znajdowała się już w bezpiecznej odległości od wszystkich, spojrziała w wiszące na jednej ze ścian lustro. Jej włosy były czarno-czerwone, zaczęły się prostować. Twarz znów przypominała ludzką.

Udało się jej powstrzymać swoją prawdziwą naturę – przynajmniej częściowo.

Jednocześnie zastanawiała się, czy tylko ona żałowała tego, że udało się jej nad sobą zapanować.



Simon przyszedł zbyt późno i nie był świadkiem awantury od początku, ale z pewnością miał zamiar powstrzymać dalsze problemy.

Gdy tylko usłyszał wściekłe warknięcie Henry'ego, spojrzął w stronę łuku w porę, by zobaczyć, jak Merri Lee wbija Sanguinatiemu łokieć między żebra i się uwalnia.

Świetnie. Teraz mają na głowie wybuchającą puszystą kulkę, a do tego...

– Na bogów, co z tobą? – Nadine odwróciła się w stronę Sierry, zaciskając palce na rękojeści noża.

Jeszcze TO.

Zawołaj porucznika Montgomery'ego, zwrócił się do Włada.

Już to zrobiłem, padła odpowiedź.

W tej chwili Montgomery i Kowalski weszli do środka, ominęli płwociny na podłodze i rozejrzeli się po pomieszczeniu, rejestrując pozycje wszystkich ludzi. Za nimi weszła młoda kobieta; zamarła w drzwiach.

– Panie Wilcza Straż... – zaczął Montgomery.

Nadine ruszyła w jego stronę.

– Muszę coś powiedzieć!

– Będziesz mogła mówić, co zechcesz, ale najpierw oddasz mi nóż – rzekł Henry.

Spojrzała na pokrytą sierścią rękę trzymającą ją za nadgarstek. Zamrugła i bez wahania oddała Henry'emu nóż.

Simon zaczął się zastanawiać, czy w ogóle miała świadomość, że przez cały czas go trzyma.

– No dobrze – warknął Henry, puścił Nadine i się cofnął. – Teraz możesz mówić.

Odwróciła się do Sierry.

– Jak długo masz zamiar ulegać temu człowiekowi?

– To mój brat... – Głos Sierry się załamał. Spojrzała na Montgomery'ego. – Rodzinie powinno się pomagać.

– Chcesz mu pomagać w kłamaniu, oszukiwaniu i kradzieżach? – spytała ostro Nadine. – A może zaczniesz dla niego kłamać, oszukiwać i kraść, żeby mógł pozostać czysty?

– Nie! On nie jest taki!

– On chce zjeść dobre śniadanie, więc ty wykorzystasz tutejsze składniki i sprzęty? Zamierzałaś w ogóle za nie zapłacić czy miałaś nadzieję, że nikt się nie zorientuje? Przecież my spisujemy każde jajko i kostkę masła. A czy po tym, jak by się tu najadł, dałabyś mu się przekonać do załadowania jedzenia w torbę na wynos? Zapłaciłabyś za to czy udawałabyś, że nie wiesz, kto zabrał kanapki

i ciasta?

Sierra zaczęła płakać.

– Jimmy nie ma pieniędzy, żeby kupić jedzenie...

– Wczoraj, gdy poszedł do Jelenia i Zająca, miał gotówkę – warknęła Nadine. – Z pewnością musiał zapłacić za jedzenie i picie – no, chyba że tak błyskawicznie zawiera przyjaźnie. – Wyglądała na bardzo zniesmaczoną. – Wczoraj zabrałaś do domu kolację dla trzech osób. Czyżbyś skończyła przy stole z siedmioma osobami, bo wmówił ci, że nie ma pieniędzy? – Jej niesmak narastał. – A może dostał połowę jedzenia, bo jest mężczyzną, a resztę podzieliliście między sześć osób?

Simon zmarszczył czoło. To nie w porządku. Najpierw powinny się najęść Sierra i jej szczeniaki, bo to Sierra zapracowała na posiłek. Ale większe drapieżniki kradły pożywienie mniejszym. Może od zawsze było tak w stadzie Montgomerych, może ten Cyrus czekał, aż Sierra przyniesie do domu jedzenie, i je zabierał?

Przyjrzał się Montgomery'emu; miał ponurą minę – i smutek w ciemnych oczach.

Kowalski i Merri Lee byli wściekli. Na kogo? Na Cyrusa, na Sierę czy na oboje?

– Jestem mu to winna! – wrzasnęła Sierra.

– Dlaczego? – zapytała Nadine.

– Zawsze dostawał za mało, bo mama i tata mnie adoptowali. Moja pierwsza matka mnie nie chciała, wyrzuciła mnie jak jakiś śmieć. A śmieci nie mają żadnych praw.

Simon usłyszał ciche, pełne bólu westchnięcie. Spojrzał przez ramię i zobaczył panią Twylę – po jej policzkach płynęły łzy.

– Jesteś mu to winna, bo to, co było dla dwojga dzieci, musiało zostać podzielone na troje? – spytała Nadine. – No cóż, jeśli tak chcesz to liczyć, to Cyrus jest winien swojemu bratu wszystko, co dostał, bo przecież Monty jest najstarszy, prawda? Gdy więc urodził się Jimmy, Monty dostawał tylko połowę tego, co miałby, gdyby Jimmy w ogóle się nie urodził. A jednak jakimś cudem udało mu się przeżyć bez ciągłego naciągania wszystkich naokoło.

– Cyrus tak ci powiedział? – Twyla wystąpiła do przodu. – Powiedział ci, że jesteś śmieciem? I nigdy nie wspomniałaś o tym ani tacie, ani mnie? Dziecko, chroniliśmy cię, jak mogliśmy, przed dziecięcym okrucieństwem Cyrusa, ale jak mieliśmy zareagować na coś, o czym nie wiedzieliśmy!

– Obwinał mnie za to, że musiał odejść – wyszlochała Sierra.

– Gdy miał osiemnaście lat, kazaliśmy mu się wyprowadzić.

– Przeze mnie.

Pani Twyla kiwnęła głową.

– Po części. Bo dziecięce okrucieństwo zaczęło się zamieniać

w okrucieństwo dorosłego. Kłamał i oszukiwał, a ja i twój tata nie mieliśmy zamiaru tego tolerować. Nie potrafiliśmy go zmienić i martwiliśmy się o ciebie, o to, że czasem zachowywałaś się tak, jakby cię bił.

Zszokowany, Montgomery zwrócił się do Sierry:

– Czy Jimmy cię uderzył?

– Nie! – Pokręciła głową. – Nie, nie uderzył.

– Nie uderzył – potwierdziła pani Twyla. – Szukałam na jej ciele siniaków i gdybym coś znalazła, z pewnością bym ci o tym powiedziała, Crispinie. – Westchnęła. – Ale słowa mogą ranić tak samo jak pięści, a ja nie wiedziałam o tym, co Cyrus potrafił powiedzieć Sierrze, gdy nie było mnie w pobliżu i nie mogłam go powstrzymać.

– Ranił cię, zmuszał do wykonywania jego poleceń, tak jak to miało miejsce przed chwilą, a ty, zamiast zatrzaskać mu drzwi przed nosem, wracałaś po kolejne ciosy – rzekła Nadine.

Simon przyjrzał się młodej kobiecie. Widział już kiedyś takie zachowanie, gdy poszedł do kampusu *terra indigena*, żeby nauczyć się pracować na Dziedzińcu i nim dowodzić. Młoda samica Wilka zadurzyła się w jednym z samców. Robiła wszystko, co mogła, by zyskać jego uznanie – przynosiła mu jedzenie, kupowała prezenty. Samiec zwracał na nią uwagę, gdy czegoś chciał, obiecywał, że zostaną parą, jeśli tylko spełni jeszcze jedną jego prośbę. Inne samce próbowały się z nią zaprzyjaźnić, ale ona ich ignorowała – tak samo jak Sierra ignorowała brata, który w żaden sposób nie wyceniał swojej miłości.

Młoda samica zginęła, próbując przyciągnąć zwierzynę zbyt dużą dla jednego Wilka, bo samiec powiedział, że jeśli jej się to uda, to udowodni swoje uczucie wobec niego. Samiec został wydalony z kampusu, ale trzymał się blisko i wciąż oczekiwał, że otrzyma pozwolenie na powrót. A potem zniknął i od tej pory nikt go nie widział.

Simon nigdy nie wyczuł pierwotnego zapachu Starszych – który pamiętał jeszcze z czasów, gdy biegał ze stadem młodych na Północnym Zachodzie – zastanawiał się jednak, czy to instruktorzy zabili samca, by zapobiec kolejnym problemom, czy zajęło się nim coś większego i mniej litościwego.

Teraz, porównując zachowanie Sierry z zachowaniem tamtej młodej samicy, coraz lepiej rozumiał, dlaczego Starsi chcieli sprawdzić, co się stanie, gdy samiec, taki jak Cyrus, wkroczy do dobrze funkcjonującego ludzkiego stada. Ten człowiek nie spędził w Lakeside nawet jednego dnia, a stado już ze sobą walczyło.

Wystąpił do przodu; wszyscy od razu skupili się na nim.

– Są dwa stada Montgomerych – rzekł. – Jedno to porucznik Montgomery i Lizzy. Drugie to ten Cyrus, jego samica i ich szczeniaki. Pochodzą z tej samej rodziny, ale stanowią teraz dwa osobne stada, znajdujące się po przeciwnych stronach barykady. To oznacza, że członkowie stada mogą być lojalni wobec

jednego lub wobec drugiego stada, ale nigdy wobec obu jednocześnie. Reszta rodziny musi przeanalizować, co każde z nich ma do zaoferowania. – Spojrzał na panią Twylę. Wiedział, że ją zrani, i było mu bardzo przykro, ale nie miał wyjścia. – Wybieraj.

Popatrzyła na niego, po jej policzkach znów płynęły łzy. Potem wyjęła z kieszeni chusteczki i wytarła oczy i nos.

– Chyba od zawsze przeczuwałam, że do tego dojdzie, ale nie potrafię wybierać między własnymi dziećmi. Przynajmniej nie w ten sposób. – Wyprostowała się. – Crispin poprosił, żebym tu przyjechała i pomogła mu w opiece nad Lizzy, i nadal chciałabym to robić. Ale nawet jeśli będę musiała odwrócić się od któregoś z moich dzieci, nie chcę się odwracać od żadnego z moich wnucząt.

– Musisz wybrać – rzekł Simon z żalem w głosie.

Pokiwała głową.

– Panie Simonie, wybieram pańskie stado.

– Co? – Simon spojrzał pytająco na Montgomery’ego. *Czy ona wie, co robi?*

– Mamo? – Montgomery odważemnił spojrzenie. *Wie.*

– Crispinie, w ciągu wszystkich tych lat wykonywałam przeróżne prace – szepnęła pani Twyla. – Jest tu mnóstwo do zrobienia, z pewnością uda mi się znaleźć pracę w tym mieście. Ale na tym Dziedzińcu czuję się jak w okolicy, w której żyłam razem z waszym tatą, gdy byliśmy nowożeńcami i gdy ty i Cyrus byliście młodzi. Mieszkaliśmy w miejscu, w którym ludzie troszczyli się o siebie. W ostatnich latach żyłam w zupełnie innym miejscu i bardzo mi tego brakowało. Robiłam dla was wszystkich, co mogłam, ale ponieważ moje dzieci są już dorosłe, postanowiłam wybrać coś dla siebie.

– Dobrze, mamo. – W głosie Montgomery’ego nie było słyhać radości. – Jeśli tego chcesz...

Simon spojrzał na Sierę.

– Teraz ty. Wybieraj. – Podniósł dłoń i zauważył na niej sierść. Cholera. Co jeszcze w nim nie wyglądało na ludzkie? – Rozumiesz wybór, jaki musisz podjąć?

– Wiem, jaki mam wybór – odparła gorzko. – Muszę wybrać między CJ-em a Jimmym.

– Nie, musisz wybrać między Cyrusem a swoimi szczeniakami.

Usłyszał kilka głośnych westchnień. Założył, że pochodziły one od obecnych w pomieszczeniu samic, łącznie z tą, która nadal stała w drzwiach.

– Skoro ten Cyrus jest dla ciebie na tyle ważny, że jesteś gotowa się poniżyć, byleby zyskać jego uznanie, to twój wybór. Ale twoje szczeniaki staną się najmniej ważnymi członkami tego stada, zostaną uznane za sieroty, a szczenięta o takiej pozycji rzadko przeżywają, bo nie potrafią znaleźć pożywienia. Są zatem szanse, że jedno lub oba zginą z głodu. Jeśli więc chcesz być z Cyrusem, możesz żyć z nim

jako druga samica w jego stadzie. Ale twoje szczeniaki nie pójdą z tobą. Zostaną przeniesione do innego stada, które będzie mogło się nimi zająć.

– Nie możecie odebrać mi dzieci! – krzyknęła Sierra.

– Możemy. I zrobimy to. Możesz też przysiąc obecnym tu członkom Dziedzińca oraz ludzkim świadkom, że nie będziesz przekazywać Cyrusowi jedzenia ani pieniędzy, których potrzebujesz dla swoich szceniąt. Pod żadnym pretekstem. – Simon odsłonił zęby. – I musisz wiedzieć, że jeśli nas okradniesz, za pierwszym razem odgryziemy ci rękę. Za drugim weźmiemy o wiele, wiele więcej.

– CJ? – Odwróciła się do swojego kochającego brata, ten jednak pokręcił głową.

– Sissy, jeśli chcesz znaleźć inną pracę i inne miejsce do życia, które nie znajduje się pod jurysdykcją pana Wilczej Straży, to możesz tak uczynić. Zgaduję jednak, że będziesz musiała to zrobić bardzo szybko.

– Damy jej tydzień – rzekł Simon. – A potem wyrzucimy ją z naszego terytorium.

– Nawet jeśli znajdziesz miejsce, na które będzie cię stać, i pracę, by utrzymać siebie i dziewczynki, to kto będzie ich pilnować? – ciągnął Montgomery, gdy Sierra spojrzała na panią Twylę. – Mama ma własną pracę i rachunki do opłacenia.

– Racja – odrzekła pani Twyla. – Jeśli ty i dziewczynki zostanieie tutaj, pomogę ci się nimi zająć tak samo, jak pomagam Crispinowi. Jeśli jednak wyjedziesz, to najlepiej, żebyś wyjechała jak najdalej od nas. Może któreś z tych miast na zachodzie potrzebuje dobrych pracowników. Poza tym jeśli chcesz wyjechać i zachowasz chociażby odrobinę zdrowego rozsądku, to nie powiesz Cyrusowi, dokąd się udajesz.

Sierra, szlochając, opadła na jedno z krzesel.

– Dla ciebie przebywanie w pobliżu tego człowieka jest jak codzienne picie szklanki trucizny – rzekła Nadine. – Może tylko źle się po niej poczujesz, może osłabiesz, a może zapomnisz, kim tak naprawdę jesteś i czego chcesz. Ale jeśli będziesz pić tę truciznę regularnie, to prędzej czy później cię zabije.

Simon zastanawiał się, czy Nadine piła taką truciznę, gdy była młoda. Jeśli tak, to najwyraźniej udało jej się z tym skończyć. Tak samo jak Theral MacDonald, która uciekła od brutalnego męża. Jack Fillmore nadal węszył wokół niej, nadal stanowił zagrożenie, ale Theral nie próbowała do niego wrócić. Istniała więc szansa, że jeśli Sierra dostanie trochę czasu do namysłu, dokona wyboru odpowiedniego dla siebie i swoich szceniaków.

– Spotkamy się tu wszyscy za godzinę – rzekł Simon. – Wtedy dasz nam odpowiedź.

Sierra wybiegła z baru, przepychając się obok samicy, która popatrzyła na nich wielkimi oczami i spytała:

– Czy zawsze mają tu miejsce takie dramatyczne sceny?

– Kim jesteś? – warknął Simon. Nie był na tyle blisko, by wyczuć jej zapach, ale głos samicy brzmiał znajomo.

– Emily Faire. Pielęgniarka. Mam tu pracować. Mam list od pana Przewoźnika do pana Wilczej Straży.

Simon pokiwał głową. Przypomniawszy sobie, gdzie widział tę kobietę. Była obecna jako uzdrowicielka, gdy Meg się cięła i zobaczyła możliwą przyszłość dla Osiedla Nadrzecznego.

Spojrzał na Vlada.

Nie bardzo mi pomogłeś.

A dlaczego obaj mielibyśmy stać się celem ataku? odparł Vlad. *Poza tym pilnowałem puszystej kulki, żeby nie złapała jakiegoś czajnika i kogoś nie uderzyła.*

Dla *terra indigena* Merri Lee na zawsze miała już pozostać kobietą z pieśni Charliego Wroniej Straży.

– Wejdziesz do biura, to omówimy kwestię twojego zatrudnienia – rzekł Simon do Emily Faire. A potem wskazał Nadine. – To jest Nadine Fallacaro. Na czas pracy na Dziedzińcu dostaniesz pokój w jej mieszkaniu.

– Naprawdę? – W głosie Emily trudno było szukać entuzjazmu. Zastanawiała się pewnie, jak często Nadine atakowała nożem inne samice.

Simon też zaczął się nad tym zastanawiać.

Nadine westchnęła.

– Gdy będziesz gotowa, pokażę ci mieszkanie. – Nagle otworzyła szeroko oczy. – Na bogów! Zapomniałam o muffinach! Nawet nie słyszałam pikania minutnika!

– Wyjęłam je – rzekła Tess, która właśnie wyszła z korytarza. Miała teraz zielone i kręcone włosy. Jeszcze się nie uspokoiła, ale jej towarzystwo nie stanowiło już dla nikogo zagrożenia.

W drodze do HGR Simon minął Montgomery'ego.

– Simonie – spytał cicho Monty. – Czy naprawdę zabierzesz Sierrze dziewczynki?

– Tak.

– Zabierzesz je od nas wszystkich?

Simon pomyślał, że to dobry człowiek. Inteligentny i uprzejmy. Człowiek, który starał się współpracować z nim już od pierwszego dnia. Człowiek, który potrafił być lojalny. Który przez kilka miesięcy był rozdzielony z własnym szczeniakiem i drugi raz by się na to nie zgodził. Człowiek, któremu zależało na innych.

– Jeśli do tego dojdzie, szczeniaki będą na tyle blisko, że ty i pani Twyla będziecie mogli je odwiedzać – odparł.

– A Sierra?

– Ona nie. – Czekał, ale Montgomery już się nie odezwał. – Za godzinę, poruczniku.

Simon i Vlad weszli na górę, żeby porozmawiać z Emily Faire o warunkach jej zatrudnienia. Ponieważ wymyślili, żeby podzielić jej czas pracy między Dziedziniec a Osiedle Nadrzeczne, zaproponowali jej mieszkanie w bliźniaku, sądząc, że jako Intuitka z Wielkiej Wyspy będzie chciała mieszkać blisko przedstawicieli swego gatunku. Ona jednak ich zaskoczyła i spytała, czy w Lakeside nie ma jakiegoś niedrogiego mieszkania na wynajem, ponieważ miała przeczucie, że będzie tu potrzebna na pełny etat, a do prowadzenia gabinetu lekarskiego w Osiedlu Nadrzecznym znajdzie się ktoś bardziej odpowiedni.

Owszem, jeśli nie chciała mieszkać z Nadine, mogli jej zaproponować osobne mieszkanie, jednak nie mieli zbyt dużo mebli.

Vlad zabrał ją na drugą stronę ulicy, żeby pokazać jej dostępne mieszkania w budynku, w którym żyły Nadine i Merri Lee. Simon obserwował ich z okna biura.

Czyli Emily Faire przeczuwała, że będzie tu potrzebna na cały etat? Dlaczego? Czyżby jej przeczucie miało coś wspólnego z Cyrusem albo ze Starszymi? A może po prostu chciała się dowiedzieć czegoś więcej na temat *terra indigena* i Meg i życie obok nich było jednym ze sposobów na osiągnięcie tego celu? Była nowa na Dziedzińcu. Nie wyglądała na szczególnie zachwyconą sceną, jaka miała miejsce w barze, może więc nie stanie się kolejną wybuchającą puszystą kulką ze stada samic.

Teraz jednak nie zamierzał się tym przejmować. Musiał przestać myśleć o tym, co wydarzyło się w barze, i trochę się przebiec, żeby przygotować się na problemy, wywołane przez Sierę.

Może przed biegiem mógłby na kilka minut wpaść do Meg? Zabawa w naprzykrzanie się mogła trwać zaledwie kilka minut, bo potem Meg się tym nudziła. Ale jeśli nadal czyta książkę, to będzie zła, że jej przerwał. Przyniesie jej jakiś przysmak z Czegoś na Ząb, żeby ją rozerwać. Pewnie już zgłodniała.

Rozebrał się, zamienił w Wilka, zszedł po schodach i przeszedł pod łukiem do baru. Potem zaczął się zastanawiać, do kogo lepiej podejść – zdecydował się na Tess, choć była o wiele bardziej niebezpieczna.

– Właśnie pakowałyśmy kawałek quiche i kilka innych rzeczy dla Meg – powiedziała Tess, a potem zerknęła na Nadine. – Wydaje mi się, że nie będziesz miała okazji spytać Meg o tę książkę.

Nadine spojrzała na Simona w taki sposób, że ucieszył się, iż potrafi biegać szybciej niż ona.

Tess dała mu jeden z worków, w których dostarczała jedzenie na rynek, i otworzyła mu tylne drzwi. Gdy się odwrócił, zauważył, że jej włosy są brązowe i falowane.

Jak miło, że Nadine potrafiła kogoś rozweselić.

Podbiegł na tyły biura łącznika, ale drzwi były zamknięte. Oczywiście nie miał przy sobie klucza, więc położył torbę na ziemi i podszedł do małego okna na tyłach budynku; było otwarte, żeby wpuścić świeże powietrze.

– *Arrooo!*

Meg szybko wyszła; rozglądała się chwilę, aż go dostrzegła.

– Simon?

Uśmiechnął się, ukazując rząd zdrowych zębów.

Zanim zdążyła przekręcić zamek i otworzyć drzwi, wrócił po torbę. Wziął ją w pysk, precyzyjnie się obok Meg i poszedł do sortowni. Stając na tylnych łapach, położył torbę na wielkim drewnianym stole i spojrzał na otwartą książkę, przyciśniętą fioletowym kamieniem, wyglądającym na przywieziony z gór.

Meg dołączyła do niego i podrapała go za uchem. Niemal zapomniał o zabawie w naprzykrzanie się.

– Zobacz, co mi przyniosła Jenni. – Podniosła kamień. – To ametyst. Wykorzystam go jako ciężarek do papieru. Śliczny, prawda?

To był zwykły ostro zakończony fioletowy kamień.

– Pokazała mi również kawałek geody, która też nadawałaby się na ciężarek. Targuję się z nią, bo chcę kupić i jedno, i drugie.

Gdy Wrony dostrzegą coś błyszczącego, w ich oczach pojawia się ten charakterystyczny wyraz. Aby zmienić temat i powstrzymać Meg przed wypełnieniem ich mieszkania kamieniami, Simon trącił torbę nosem.

– Co przyniosłeś? – Odłożyła kamień na książkę i otworzyła torbę. – Och! Quiche... A to dla ciebie. – Jeszcze zanim wyjęła przysmak z torby, poczuł zapach wołowiny. Ciasteczko! Czuł je, jednak myślał, że to coś dla Meg. – Jest tu jeszcze jedno, pewnie dla Nathana.

Dlaczego?

Gdy ruszyła z miejsca, Nathan, który wszystko słyszał, czekał już przy ladzie.

– Podoba mi się ta książka – rzekła Meg po powrocie do sortowni. – Jest niezwykle ciekawa. Czasami bardzo się bałam, ale to nieważne. Czy Ruth i Merri Lee również mogą ją przeczytać, tak żebyś dostał recenzje od całej naszej trójki?

Meg, która przed nim stała, nie była szczęśliwa. Tylko udawała wesołą. Próbowwała nie pokazać po sobie, że się boi.

Ostrożnie położył łapę na jej ramieniu.

Nie chciał, żeby teraz udawała.

– Jenni powiedziała, że w Czymś na Ząb były jakieś problemy, nie wiedziała jednak dokładnie, co się stało, poza tym, że ktoś zdenerwował Tess. A Ruth zadzwoniła, żeby mi powiedzieć, że mam zostać w biurze, dopóki sytuacja się nie uspokoi. Simonie? – Dotknęła jego pyska. – Czy potrzebujesz jakichś odpowiedzi?

– Roo – odparł ponuro. Żadnej srebrnej brzytwy. Żadnego cięcia.

Przeczesała palcami jego futro i spojrzała mu w oczy.

– Jesteś pewien?

Polizał ją po brodzie. Smakowała lepiej niż ciasteczko, więc polizał ją raz jeszcze.

Westchnęła. Znowu była bardziej jego Meg.

Przytuliła go i powiedziała:

– Lepiej wracaj do pracy. Wypuszczę cię. Dziękuję za jedzenie.

Już na zewnątrz, patrząc na zamknięte drzwi, nagle uświadomił sobie, że Meg nie dała mu okazji pograć w naprzykrzanie się. To niesprawiedliwe, ale przynajmniej dostał ciasteczko, podrapała go, przytuliła, a on ją polizał. Z takim brakiem sprawiedliwości jakoś sobie poradzi.



– Chcesz soku pomarańczowego? – spytał Pete Denby, podchodząc do małej lodówki w swoim gabinecie.

– Jasne – odparł Monty. Ten sok pewnie wypali mu dziurę w żołądku, wiedział jednak, że wkrótce sok pomarańczowy może zniknąć ze sklepów tak samo jak pomarańcze, które pochodziły z Południowego Wschodu i Zachodniego Wybrzeża.

Pete nalał dwie szklanki i podał jedną Monty’emu, a następnie postawił krzesło za biurkiem.

– Wiesz, co się dzieje?

Monty opowiedział Pete’owi o tym, co widział, i jaką decyzję miała podjąć jego młodsza siostra w ciągu najbliższej godziny.

– Boże, to straszne – odparł łagodnie Pete.

– Nikogo nie powinno się stawiać przed takim wyborem.

– Jesteś gliną. Wiesz, że uzależnienie to niekoniecznie branie tabletek czy narkotyków. A to brzmi tak, jakby twoja siostra była uzależniona od sposobu, w jaki traktuje ją twój brat. – Pete pochylił się do przodu. – Wiesz, dlaczego Simon Wilcza Straż pozwolił mu zostać? Albo dlaczego twój brat chce tu zostać?

– Nie znam motywów postępowania Simona, ale Jimmy zostaje, bo dostał mieszkanie za darmo; poza tym przyjechał tu, oczekując zasiłku. Sanguinati jednak strzegą wejścia do budynku i będą mieli oko na wszystko i wszystkich.

– Czyli Cyrus nie będzie mógł dręczyć Sierry na korytarzu ani wepchnąć jej z powrotem do mieszkania, żeby próbować ją do czegoś namówić, bo ktoś ruszy jej z pomocą, nawet jeśli ciebie nie będzie w domu.

Monty pokiwał głową.

– Jimmy nie spodziewał się takiego nadzoru. Nawet jeśli Sissy się nie zgodziła, żeby z nią zamieszkał, on nadal uważa, że może działać, znajdując się

w pobliżu glin i Wilków. – Westchnął. – Niezależnie od tego, co myśli Jimmy, moja siostra znajduje się w tarapatkach.

Pete milczał przez długą chwilę. A potem spytał:

– Przyszedłeś tu, żeby się wygadać, czy chcesz usłyszeć moje zdanie?

– Co sądzisz o decyzji mojej matki?

– Mądre posunięcie. Gdy konflikt się zaostrzy – a obaj wiemy, że tak się stanie – nikt jej nie zarzuci, że nie wzięła jego strony. W każdym mieście znajduje się jakaś podejrzana dzielnica. Twój brat z pewnością szybko ją pozna.

– Jeszcze nie miałeś okazji się z nim zobaczyć.

– Mieszkam obok; widziałem dostatecznie dużo, gdy przyprowadziłeś jego i jego rodzinę do mieszkania. Wiem, że na rozkaz Simona Eve przyniosła im torbę z żywnością, tak by mieli co jeść do końca dnia.

Monty się wyprostował.

– Nikt mi o tym nie wspominał. – On i Kowalski kupili pizzę w Chrupiących Przymakach, jedną z nich zaniósł Jimmy’emu i jego rodzinie, a jedną Sissy i dziewczynkom, natomiast on, Lizzy i mama zjedli trzecią. Jeśli jednak dobrze zrozumiał słowa Nadine, to zeszłego wieczoru Sissy również przyniosła do domu kolację i podzieliła się nią z rodziną Jimmy’ego. Czyżby to, co przyniosła, również trafiło do jego spizarni?

– Co byś zrobił na moim miejscu? – spytał Monty.

– Czy twoja szwagierka ma jakieś umiejętności? – Gdy spojrzał na Pete’a, ten uściślił: – Takie, przez które nie musiałbyś jej aresztować?

– Nie wydaje mi się. Odkąd ją znam, nie udało się jej utrzymać żadnej pracy.

– Niezależnie od tego, gdybym był tobą, zacząłbym szukać miast, w których rekrutuje się pracowników i w których czynsz nie wynosi więcej niż miesięczna wypłata. Zaczynij tego szukać dla szwagierki i dzieciaków.

– To trzy bilety. A co z Jimmym?

– Jeśli będzie miał szczęście, trafi do kostnicy. Jeśli nie, powiększy grono ludzi, którzy zniknęli bez śladu. – *Albo ktoś podrzuci coś do parku, a policja wypełni formularz ZMN*, pomyślał Monty. Formularz „Zmarły, Miejsce Nieznane” był wymagany, żeby rodzina mogła otrzymać akt zgonu. W ten sposób policja z Lakeside uznawała zgon danej osoby, która przeważnie została zjedzona przez *terra indigena*, tak więc jej ciało nie mogło zostać odnalezione. – Monty, twój brat to beczka prochu – ciągnął Pete. – Nie pozwól, by pociągnął cię na dno. – Zawahał się. – Mam ci towarzyszyć, gdy twoja siostra ogłosi swój wybór?

– A co powiedziałbyś jej jako adwokat?

– Żeby zrobiła, co się da, by zatrzymać dzieci. A to oznacza, że musi się trzymać z dala od Cyrusa.

– Gdy przyjechałem do Lakeside, Simon trzymał swojego siostrzeńca, Sama, w klatce, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo. Denerwował tym wszystkie Wilki

i codziennie przez to cierpiał, ale tak robił. Jeśli tylko będzie podejrzewać, że Sissy pozwoli, by jej dzieci były nieprawidłowo traktowane, bez wahania je jej odbierze. Wiem to.

– A jeśli to zrobi, to czy twoim zdaniem kiedykolwiek je odda?

Nie, dopóki Jimmy będzie żyć. Monty nie powiedział tego na głos.

– Dzięki za rozmowę – uciał. – I za sok.

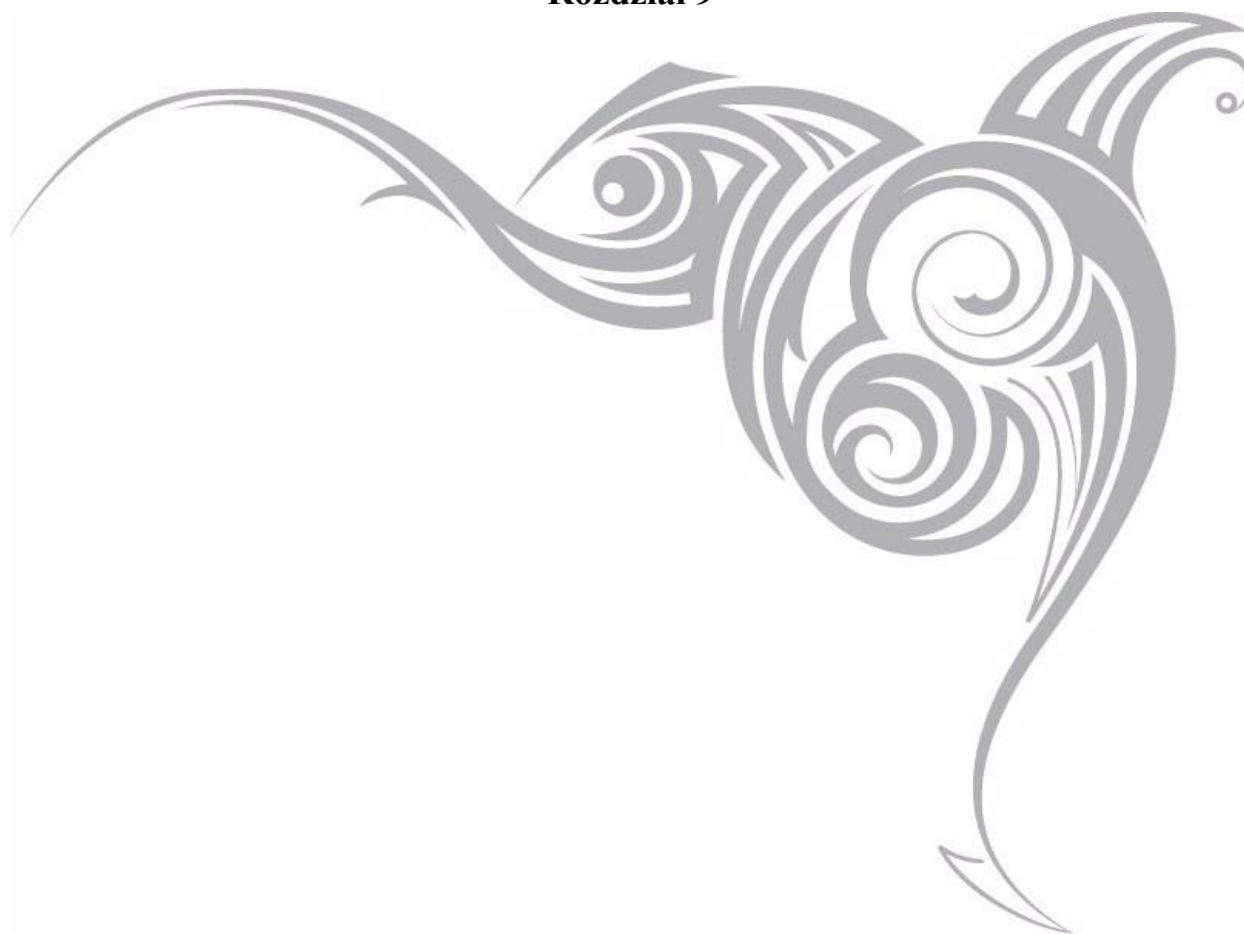
– Następnym razem mogę już go nie mieć, ale zawsze możesz ze mną porozmawiać jak z przyjacielem albo z prawnikiem.

Gdy schodził po schodach, usłyszał, jak na parking dla pracowników wjeżdża jakiś samochód. Czarny sedan kapitana. Powinien zadzwonić do Burke'a, bo, jak to trafnie zauważył Pete, jego brat jest niczym beczka prochu, czekająca na zapalnik. Najwyraźniej jednak ktoś go uprzedził.

Stado i lojalność. Policja i rodzina. I konsekwencje poniesione niezależnie od dokonanego wyboru.

Gdy Burke wyszedł zza rogu, kierując się w stronę tylnych drzwi do Zabójczo Dobrych Lektur, Monty pośpieszył mu naprzeciw, żeby złożyć raport.

Rozdział 9



Piątek, 10 sierpnia

– Meg?

Idąc za głosem Merri Lee, Meg wróciła do biura łącznika i otworzyła drzwi przyjaciółce. A potem zauważyła stojącą obok Sierę.

Merri Lee weszła do środka. Zaczęła mówić, jednak tak cicho, że Meg ledwo ją słyszała.

– Mogłabyś wykorzystać swoje karty i odpowiedzieć nam na kilka pytań? – spytała.

Meg popatrzyła na Sierę.

– Co się dzieje?

– Simon kazał Sierrze wybrać między jej dziećmi a bratem Cyrusem. Spytała każdego z nas poza Ruth, która nadal jest w szkole z maluchami, i każdy powiedział jej dokładnie to samo: jeśli wybierze przynależność do stada Cyrusa, Simon zabierze jej dziewczynki, a ją samą wyrzuci z Dziedzińca. Ale ona zachowuje się, jakby postradała zmysły, i nie wierzy, że naprawdę może do tego

dojść. Dlatego proszę cię, żebyś spojrziała w swoje karty i powiedziała jej, co widzisz, zanim podejmie ostateczną decyzję.

Meg pokiwała głową i wszystkie trzy weszły do sortowni.

Stojący przy ladzie Nathan spojrział na przybyłe.

– To prywatne konsultacje – powiedziała Meg i zamknęła mu drzwi przed nosem. Wiedziała, że wilk z pewnością wszystko usłyszy, jednak chciała stworzyć pozory, by Sierra poczuła się lepiej.

Dobyła z szuflady drewnianą skrzynkę, postawiła ją na stole, wyjęła wszystkie karty i rozłożyła je. Nagle poczuła gwałtowne mrowienie w piersiach, miała wrażenie, że jej brodawki płoną. Była wdzięczna, że nie musi ciąć tych części swojego ciała.

– Nie! – warknęła, gdy Sierra sięgnęła po jedną z kart.

– Jeśli ktoś inny dotknie kart Meg, ta nie będzie mogła prawidłowo odpowiedzieć na pytania – wyjaśniła Merri Lee, odsuwając dłoń Sierry od talii.

– To jakiś absurd. – Sierra nie kryła złości. – On nie ma prawa decydować o tym, czy jestem w stanie opiekować się moimi dziewczynkami!

Meg poczuła mrowienie w dłoni.

– Jak brzmi pytanie?

Merri Lee uprzedziła Sierrę z odpowiedzią:

– Są dwa. Pierwsze brzmi: co się stanie z Bonnie i Carrie, jeśli zostaną rozdzielone z matką?

Meg zamknęła oczy i po cichu powtórzyła pytanie. Jej palce zaczęły krążyć nad kartami, aż wreszcie jedna z nich sprawiła, że poczuła bolesne mrowienie w lewej dłoni. Otworzyła oczy i odwróciła kartę, tak by wszystkie mogły poznać odpowiedź.

– Przyszłość nieznana – rzekła zmartwiona.

– Co to oznacza? – spytała Sierra.

– To oznacza, że dziewczynki mogą przeżyć i wieść dobre życie, albo że ich sytuacja może się drastycznie pogorszyć – wyjaśniła Merri Lee. – Teraz jednak nie uda się uzyskać jednoznacznej odpowiedzi.

Meg odwróciła kartę koszulką do góry i odłożyła ją na bok.

– Jak brzmi drugie pytanie?

– Co się stanie ze Sierrą, jeśli nadal będzie pozwalać na to, by brat zmuszał ją do robienia złych rzeczy?

Meg ostro nabrała powietrza. Mogłaby przysiąc, że poczuła na skórze dotyk srebrnego ostrza. Skupiła się na wyszukiwaniu karty, ale cały czas odczuwała mroźne mrowienie w lewym nadgarstku – dokładnie tam, gdzie przed chwilą poczuła dotyk ostrza.

Znalazła kartę z odpowiedzią, odwróciła ją i zrobiła kilka kroków wstecz, a następnie otworzyła oczy.

Merri Lee pobladła. A Sierra? Czy była zafascynowana? Przerażona? Meg nie chciała marnować energii i przypominać sobie obrazów z treningów, żeby rozszyfrować wyraz twarzy młodej kobiety, zwłaszcza że spojrzała na kartę określającą przyszłość Sierry.

Zakapturzona postać z kosą.

– Śmierć – szepnęła Merri Lee. – Cyrus będzie naciskać i naciskać tak długo, aż stanie się coś, co cię zabije. Cały czas powtarzasz, że masz u niego dług. Powiedziałaś to mnie, Theral, Eve, a nawet pani Debany, próbowałaś przekonać kogokolwiek, żeby przyznał, że rzeczywiście masz dług wobec swojego brata. Wszyscy powiedzieliśmy ci to samo: fakt, że powiedział ci to, gdy byłaś małą dziewczynką, nie oznacza jeszcze, że to prawda. Nie mówimy już jednak o tym, że dostawał więcej, niż powinien, bo ty rezygnowałaś z tego, co ci się należało. Nie o to chodzi. Teraz jesteś dorosła i masz do stracenia coś o wiele cenniejszego niż ciasteczko. Musisz przestać marnować swoje życie, dopóki jeszcze jakieś masz.

Sierra, szlochając, wybiegła przez tylne drzwi. Meg spojrzała na Merri Lee.

– Idź za nią – poleciła.

– Wszystko w porządku?

Meg pokiwała głową.

– Muszę przemyśleć kilka spraw.

Gdy została sama, przejechała palcami nad kartami i zadała własne pytanie.

– Dlaczego Simon pozwolił Cyrusowi Montgomery'emu zostać na Dziedzińcu?

Sam fakt, że Cyrus był bratem porucznika Montgomery'ego, to za mało. Musiała być inna przyczyna.

Jej pytanie nie wymagało przepowiadania przyszłości, nie wiedziała więc, czy w ogóle otrzyma na nie odpowiedź. A potem nagle poczuła, jakby płonęły jej palce. Wzięła kartę, otworzyła oczy i odwróciła ją. Położyła ją na pozostałych i utkwiała w niej wzrok. Wpatrywała się i wpatrywała, myśląc jednocześnie o dzieciach, matkach i bezpiecznych miejscach do rozpoczęcia nowego życia.

Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Steve'a Przewoźnika. A potem do Simona.



– Kupujesz Jelenia i Zająca? – Simon przekrzywił głowę i przyjrzał się kapitanowi Burke'owi. – Dlaczego mi o tym mówisz? – Przecież *terra indigena* nie piją alkoholu. Przynajmniej nie z kieliszków czy szklanek. Wiadomo było, że Sanguinati byli na lekkim rauszu, gdy karmili się kimś, kto wcześniej pił alkohol. A Wilki i pozostali zmiennokształtni mogli się znaleźć pod wpływem narkotyków czy innych substancji, obecnych w ludzkiej krwi. Inni z własnego wyboru nie chadzali do knajp, ponieważ gdy niektórzy ludzie popili sobie dla odwagi, stawali

się niebezpieczni.

– W Jeleniu i Zającu podaje się również jedzenie. Typowo barowe żarcie. – Burke się uśmiechnął. – Dzięki temu mamy w sąsiedztwie miejsce, do którego każdy może przyjść. Jest tam wielki telewizor. Klienci przychodzą, żeby oglądać mecze. Dzięki temu wasi ludzie będą mogli zbierać kolejne doświadczenia, a moi będą przebywać w bezpiecznym miejscu.

– W miejscu dla miłośników Wilków. – I nagle Simon wszystko zrozumiał. Jeszcze nigdy ktoś taki jak on nie mógł bezpiecznie udać się w takie miejsce. Ale z drugiej strony taki Kowalski czy Debany też nie byli tam bezpieczni. Już nie. – Dlaczego mi o tym mówisz? – spytał ponownie.

– Bo w przeszłości klienci Jelenia i Zająca sprawili wam trochę kłopotów.

To prawda, ale ostatni ludzie, którzy przeszli przez ulicę w celu sprawienia kłopotów, zostali zabici przez Starszych, a ich jelita zawisły na koronach sąsiednich drzew.

Może to dlatego gospoda została wystawiona na sprzedaż?

– Mówię ci o tym też dlatego, że chcę podzielić się z tobą pewnym pomysłem – dodał Burke. – Zastanawiam się, czy jakiś Intuita z Wielkiej Wyspy miałby ochotę zarządzać moim lokalem. Zastanawiam się, czy jakiś Sanguinati miałby ochotę nauczyć się obsługiwać bar. Część kelnerów zostanie, bo nadal chcą tam pracować. Wydaje mi się, że kucharz zostanie z tych samych względów. Na drugiej kondygnacji znajdują się mieszkanie i niewielkie biuro. Mieszkanie stanie się częścią wynagrodzenia menedżera, jeśli oczywiście zechce tam zamieszkać.

– Czyli chcesz, by tym biznesem zarządzała mieszana społeczność?

Burke pokiwał głową.

– Gdyby udało mi się znaleźć menedżera, który potrafi wyczuć problemy, jeszcze zanim się pojawią, to wszyscy byśmy na tym skorzystali.

– Chcesz, żebym porozmawiał z Vladem i Steve'em Przewoźnikiem?

– Tak.

Simon uważniej przyjrzał się kapitanowi.

– Wiesz, co tam się stało, prawda?

– Montgomery mi opowiedział. Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym zostać i poznać decyzję.

Zanim Simon zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon.

– Zabójczo Dobre Lektury – odebrał, po czym zerwał się na równe nogi. – Meg? Co... Czy ty... Zaraz tam będę.

Burke również wstał.

– Jakież problemy?

– Jeszcze nie. – Simon ruszył do drzwi, a potem nagle się zatrzymał, uświadomiwszy sobie, że prawie zostawił Burke'a – człowieka – samego w biurze ZDL. Jeszcze kilka miesięcy temu nawet nie przyszłoby mu to do głowy.

Burke jako pierwszy zbiegł po schodach. Simon przepchnął się obok niego i pobiegł w stronę biura łącznika. Musiał się dowiedzieć, dlaczego Meg chce się z nim zobaczyć, jeszcze zanim Sierra podejmie decyzję.



– Zadzwoiłam już do Steve’a Przewoźnika – oznajmiła Meg, gdy Simon wpadł do sortowni.

Simonie? Nathan położył przednie łapy na ladzie; patrzył na dowódcę Wilczej Straży przez otwarte drzwi.

Były tu jakieś problemy?

Nie. Tylko trochę warczenia, gdy Meg skorzystała z kart prorocत्व. Ale warczała głównie Merri Lee i nie na Meg.

Drewniana skrzynka z rzeźbionym przez Henry’ego wiekiem stała na stole. Obok niej, koszulkami do góry, leżały trzy karty.

Meg poczekała, aż Simon stanie obok niej.

– Merri Lee zadała mi dwa pytania w imieniu Sierry. Co się stanie z Bonnie i Carrie, jeśli zostaną rozdzielone z matką? – Odwróciła kartę z wielkim znakiem zapytania. – Co stanie się z Sierrą, jeśli nadal będzie pozwalać, by brat namawiał ją do złych rzeczy? – Odwróciła drugą kartę.

Simon odsłonił zęby.

– Śmierć.

– Ja zapytałam o to, dlaczego pozwalasz Cyrusowi zostać na Dziedzińcu? – Odwróciła kartę; obrazek symbolizował coś strasznego i niebezpiecznego – coś, co większość ludzi uważa za fantastyczne, wymyślone stworzenie, a czego większość *terra indigena* jeszcze nigdy nie widziała, choć żyli ze świadomością, że takie stworzenia istnieją. – Twoja decyzja ma z nimi coś wspólnego, prawda? Starsi wracają na Dziedziniec?

Simon patrzył na nią; jego uszy stawały się coraz bardziej wilcze, a na jego ramionach i piersi pojawiła się sierść.

– Już tu są.

– Czego chcą?

– Obserwować. Uczyć się.

– Nie chcą wyrzucić stąd Cyrusa?

– Jeszcze nie. – Zastanawiał się, w jaki sposób powinien jej to wyjaśnić. – Ludzkie stado związane z Dziedzińcem jest teraz tak duże, jak niektóre ludzkie osady na dzikich terenach. Tutejsi ludzie dobrze współpracują i ze sobą, i z nami. A potem przychodzi taki Cyrus i nagle ludzie zaczynają między sobą walczyć. Starsi chcą wiedzieć, jak to się dzieje, że jeden człowiek może tak pogorszyć stosunki w całym stadzie. Jeśli nie poznają przyczyny dzięki obserwacji ludzi mieszkających na Dziedzińcu, nie pozwolą ludziom podróżować między miastami.

W ogóle nie pozwolą im podróżować. – Dotknął ramienia Meg, ponieważ nagle zapragnął tego fizycznego kontaktu. – Meg, ja też chcę to zrozumieć. Ludzie, którzy wywołują takie problemy, z reguły trzymają się od nas z daleka. Z pewnością nie próbowaliby nawiązywać z nami współpracy. Nie, żeby Cyrus chciał z nami pracować... – Przerwał. – Wygląda na to, że powinno dojść do walki o dominację, ale Montgomery chyba tego nie rozumie.

– Walka o dominację miałyby zdecydować o tym, kto zostanie dowódcą ludzkiego stada? – spytała Meg. A gdy pokiwał głową, dodała: – W takim razie walczyć powinien nie porucznik Montgomery, a kapitan Burke.

Zamrugał. Myślał o sporze wewnątrz rodzinnego stada, ale Meg miała rację. Konflikt rozlał się na resztę ludzi, więc jeśli Cyrus zechce zostać dominującym samcem, będzie musiał pokonać Burke'a.

Nagle poczuł, że już nie może się doczekać ich kolejnego spotkania.

Meg podniosła głowę. Z początku pomyślał, że chce, żeby ją polizał, potem jednak przypomniał sobie, że w tych romantycznych książkach samice podnoszą brody, żeby wyzwać samca, żeby go sprowokować. Ponieważ jednak nie miał pojęcia, czego teraz chce Meg, postanowił czekać.

– Jeśli mamy pozwolić Cyrusowi zostać, to chcę, żeby Steve Przewoźnik wymyślił sposób na przeniesienie Sierry i jej córek na Wielką Wyspę – powiedziała.

– Meg, ona jest człowiekiem. A Przystań Przewoźników to osada Intuitów.

– Ale przecież Roger Czerneda nie należy do Intuitów, a Steve zatrudnił go jako pełnoetatowego policjanta.

– To co innego.

– Owszem. Czerneda nie musi się znajdować poza niczym zasięgiem. – Spojrzała mu w oczy. – Dzięki temu, że trafiłam na Dziedziniec, znalazłam się poza zasięgiem Kontrolera i poza zasięgiem ludzkiego prawa, które z pewnością wykorzystałby, żeby z powrotem przejąć nade mną kontrolę. Dziedziniec jest bezpiecznym miejscem dla Therał, bo znajduje się poza zasięgiem Jacka Fillmore'a. Nie jest jednak bezpiecznym miejscem dla Sierry, ponieważ przyjechał Cyrus, który w pewnym sensie czuje się jej panem. Jak długo ona będzie się znajdować w jego zasięgu, będzie słaba. – Położyła dłoń na jego dłoni. – Simonie, córki Sierry potrzebują matki.

Wziął ją za rękę.

– Nie wydaje mi się, żeby szczeniaki Sierry przeżyły, jeśli pozwolimy jej je zachować.

Kwestia szczeniaków Sierry była dla Meg niezmiernie ważna – zwłaszcza po tym, jak dowiedziała się, że ludzie, którzy byli „właścicielami” wieszczek krwi, zabijali niechciane szczeniaki tych dziewcząt.

– Myślałam o mojej przyjaciółce, Jean, która została przywieziona do

kompleksu, gdy była małym dzieckiem – rzekła Meg. – Miała matkę, ojca i brata. Nigdy nie zapomniała o swojej rodzinie, choć została od nich zabrana. Jeśli zaczniemy rozdzielać rodziny tylko dlatego, że stwierdzimy, iż dzieciom może się stać krzywda, staniemy się tacy sami jak Kontroler i jemu podobni, prawda? Z początku twierdzili, że zabierają dzieci rodzicom dla ich dobra. – Przerwała na chwilę, a potem dodała: – Daj Sierrze drugą szansę.

– Możliwość przyjechania do Lakeside była dla niej drugą szansą – zaproponował. – I co zrobiła? Zadzwoiła do Cyrusa i powiedziała mu, gdzie może ją znaleźć.

– No to nazwijmy to ostatnią szansą. Ostatnią szansą na uwolnienie się od Cyrusa i ułożenie sobie życia z córkami.

– A co, jeśli ona nie chce się od niego uwolnić?

Meg spojrzała na niego z takim smutkiem, że zaczął się zastanawiać, czy pomyślała o *cassandra sangue*, które wybrały życie w kompleksach. Zdecydowały, że pozostaną towarem wykorzystywanym w zamian za to, że ktoś się nim zajmował, tak by same nie musiały zajmować się sobą.

– Wtedy będziemy już znali jej wybór. – Westchnęła.

– Jest to również wybór Steve’a Przewoźnika oraz *terra indigena* na Wielkiej Wyspie. Nikt nie osiadzie na wyspie bez ich zgody. – Przejechał dłonią po jej głowie. – Włosy ci odrastają. Nie wyglądają już jak szczenięcy puszek.

Może i nie wyglądały już jak szczenięcy puszek, ale i tak nie mógł się powstrzymać przed dotykaniem ich, gdy tylko miał pewność, że Meg nie będzie na niego warczeć.

Właśnie podjechał radiowóz, zaraportował Nathan. Nie wyje, ale błyskają wszystkie światła.

Wyszli do pomieszczenia z przodu dokładnie w chwili, w której otworzyły się drzwi od strony pasażera i z pojazdu wysiadł ciemnowłosy mężczyzna.

– Co powiedziałaś Steve’owi Przewoźnikowi? – spytał Simon.

– Że musimy z nim pilnie porozmawiać – odparła. – Ale już pora na tamto spotkanie; lepiej będzie, jeśli ja zostanę tutaj.

Simon próbował wyglądać na niezbyt zadowolonego, gdy przeskoczył nad ladą i poszedł się przywitać z burmistrzem Przystani Przewoźników.

– Szybko przyjechałeś. – Uśmiechnął się i podszedł do miejsca, w którym stanął Intuita. Po jego ostrym spojrzeniu wywnioskował, że jego uszy jeszcze się nie zmieniły w ludzkie.

– Meg powiedziała, że to pilne – odparł Steve. – Co się stało? Z reguły nie cieszysz się aż tak na mój widok.

Meg powiedziała, że „my musimy pilnie porozmawiać”. „My” rozmawiamy i „my” podejmujemy decyzję. Jesteśmy partnerami. A to oznacza, że nie jesteś już dla mnie rywalem.

Nie, żeby Steve Przewoźnik kiedykolwiek zachowywał się tak, jakby na poważnie chciał zostać potencjalnym partnerem dla Meg. Ale był człowiekiem i nie musiał się dostosowywać do różnych okoliczności, które przecież były dla niego naturalne.

– Czy oficer Czerneda mógłby wjechać na parking dla pracowników? – spytał Steve.

– Tak. Ale jeśli chce coś zjeść, musi iść do Mięsa i Zieleniny, bo w barze zaraz odbędzie się bardzo ważne spotkanie. I właśnie dlatego tu jesteś.

Steve długo mu się przypatrywał.

– Czyli jestem tu jako burmistrz Przystani Przewoźników?

– Tak.

Poczekali, aż Roger Czerneda odjedzie na parking, a następnie ruszyli w stronę Czegoś na Zęb. Simon opowiedział Steve'owi o Sierrze i o wyborze, jakiego musiała dokonać. Opowiedział również o dwóch kartach wyciągniętych przez Meg w odpowiedzi na pytania dotyczące Sierry i jej szceniąt oraz o tym, że Meg martwi się, jaki los czeka dziewczynki w razie śmierci Sierry.

Nie porównywał ich z Samem, swoim siostrzeńcem. Co by się z nim stało, gdyby Daphne zmarła gdziekolwiek indziej niż na Dziedzińcu? Simonowi udało się dotrzeć do siostry w kilka chwil po jej śmierci; zabrał przerażonego szczeniaka do kompleksu Wilczej Straży, gdzie on i Elliot zrobili wszystko, co mogli, żeby odpowiednio się nim zająć.

Tak samo jak porucznik Montgomery i pani Twyla zrobiliby wszystko, żeby się zająć szczeniakami Sierry, jeśli zostałyby osierocone. Co jednak stałoby się, gdyby Sierra mieszkała gdzie indziej?

– Wysłucham tego – rzekł Steve. – Nie mogę obiecać niczego więcej.

– Kapitan Burke też chce z tobą porozmawiać.

– Może zapomnieć, że Roger przejdzie na jego komisariat – warknął Steve.

Simon uśmiechnął się szeroko. Podobała mu się zaborczość ludzi w ich stadzie.

– Kupił Jelenia i Zająca i uważa, że przydałby mu się intuicki menedżer.

Steve zatrzymał się przy tylnym wejściu do Czegoś na Zęb.

– I co ty na to? – zapytał.

– Emily Faire zajęła jedno z mieszkań, więc powoli mamy nadwyżkę samych Intuitów.

– Jedna młoda kobieta to jeszcze nie inwazja.

– Ale stado samic tak – mruknął Simon. – Wybuchające puszyste kulki. Króliczki z kłami.

Steve parsknął śmiechem.

– Lubię z tobą gadać, Wilcza Straż. W porównaniu z wyzwaniem, jakie przed tobą stoją, moja praca zdaje się o wiele łatwiejsza.

Simonie? zawołał Vlad. *Już czas.*

Simon otworzył drzwi do baru; z uprzejmości wobec swego gościa wszedł do środka jako pierwszy. Jeśli Tess albo Nadine nadal były wściekłe, może uda mu się ostrzec Steve'a i dać mu szansę na ucieczkę.

W barze było tylu świadków, że Simonowi niemal zrobiło się szkoda Sierry. Włosy Tess były czerwono-zielone i bardzo się kręciły, nie dostrzegł jednak żadnych czarnych pasemek. Po włosach Nadine nie można było określić jej nastroju, ale Simon zauważył, że stoi za nią Henry, gotów ją złapać, jeśli ruszyłaby w stronę Sierry. W łuku stał Vlad, mający oko na Merri Lee i resztę stada samic. Była tam też policja. I Elliot, i pani Twyla, i agent O'Sullivan. Tak naprawdę jedynymi ludźmi, którzy nie przyszli na spotkanie, byli Ruthie, która nadal zajmowała się ludzkimi szczeniakami, Meg i...

Gdzie Eve Denby? zwrócił się do Vlada.

Ten Cyrus poczuł się tak źle, że Eve zawiozła jego i jego samicę do szpitala. Jeszcze nie wróciła. Szczeniaki Cyrusa są z pozostałymi ludzkimi szczeniakami.

Ponieważ to Vlad podrzucił Ruthie dwa dodatkowe szczeniaki w samym środku zajęć, Simon miał nadzieję, że kobieta nie będzie na niego o to warczeć.

Sierra stała na samym środku sali, była zgarbiona i słaba. Wyglądała jak ciotka, która pomaga w wychowywaniu szczeniaków dominującej pary. I tak właśnie traktował ją Cyrus – jak kogoś, kto miał mu pomagać w wychowaniu jego dzieci. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby Sierra nie miała własnego potomstwa. Ale nawet w wilczym stadzie nie musiałyby polować i zapewniać pożywienia wszystkim, podczas gdy dwa pozostałe dorosłe osobniki nie robią nic pożytecznego.

Simon stanął przed nią i zapytał:

– Podjęłaś już decyzję?

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Chcę zatrzymać moje córeczki. I nie chcę umierać. – W jej tonie pobrzmiwało błaganie.

Simon zaczął się zastanawiać, czy powinien wspomnieć o możliwości przeniesienia jej i szczeniaków na Wielką Wyspę. Spojrzał na Steve'a Przewoźnika; jego twarde, nieprzejednane spojrzenie zaskoczyło go. Najwyraźniej Sierra jednak nie pojedzie do Przystani Przewoźników.

– Sierrę Montgomery, to twoja ostatnia szansa – rzekł Simon. – Jeśli chcesz zatrzymać swoje szczeniaki, musisz się trzymać z daleka od Cyrusa.

Przerażenie. I ulga. Ktoś poza Cyrusem ustalił pozycję Sierry w stadzie. W owej chwili nie obchodził jej fakt, że decyzja ta została podjęta przez Wilka.

Zaczęła płakać. Pani Twyla ją objęła i wyprowadziła na zewnątrz.

Reszta ludzi wyszła z baru. Zostali tylko Burke i Steve Przewoźnik. Montgomery też by został, ale wystarczyło jedno spojrzenie Burke'a, żeby zmienił

zdanie – co oznaczało, że w ludzkim stadzie to Burke był dominującym samcem.

– Chciałeś, żebym rozważył przeniesienie Sierry Montgomery na Wielką Wyspę? – spytał Steve.

– Tak.

– Czy to był twój pomysł?

Simon pokręcił głową, zaskoczony otaczającym mężczyzną zapachem złości.

– To był pomysł Meg.

– W takim razie porozmawiamy z Meg. – Ruszył w stronę tylnego wyjścia, a potem zerknął przez ramię na Burke'a. – Rozumiem, że wcześniej chcesz ze mną porozmawiać?

– Jeśli to możliwe – odparł Burke, nie ruszając się z miejsca.

Steve spojrział na Simona.

– Spotkamy się w biurze łącznika.

Simon przez chwilę się zastanawiał, dokąd poszły Nadine i Tess. Potem skupił się na kapitanie policji.

Burke uśmiechnął się do niego – przyjaźnie, a jednocześnie surowo.

– Kilka lat temu czytałem artykuł o tym, jak w niektórych częściach świata myśliwi wykorzystują kozę na łańcuchu, żeby wywabić drapieżniki na otwarty teren. Zastanawiam się, jakie drapieżniki chcesz złapać na przynętę w postaci Cyrusa Montgomery'ego. – Niekiedy Burke był zbyt mądry. Ale wywabienie innych drapieżników, takich jak Jack Fillmore, byłoby pozytywnym skutkiem ubocznym. Starsi zwracali uwagę nie na to, jakie drapieżniki skupiają się wokół Cyrusa, lecz na to, w jaki sposób inni ludzie reagują na drapieżnika, który jednocześnie jest pasożytem. – Pobyt Cyrusa na Dziedzińcu sprawia, że Monty jest spięty. Nie mówiąc już o Twyli i Sierrze – ciągnął Burke. – Czy istnieje jakiś powód, dla którego należy to tolerować?

Simon myślał o tym, co może – i co powinien – powiedzieć kapitanowi Douglasowi Burke'owi, samcowi dominującemu w ludzkim stadzie.

– To nie jest mój wybór – powiedział i uprzedzając reakcję rozmówcy, dodał: – Naprawiłeś już drzwi na komisariacie? Wymieniłeś szybę, stłuczoną przez kły i pazury Namid?

Kapitan pobladł.

– Nie. Przekonałem szefa, że to cenna pamiątka, przypominająca o tym, dlaczego policja i miejscowe władze muszą współpracować z Dziedzińcem w Lakeside.

– Kozą na łańcuchu? To nie był mój wybór.

– Są tutaj? – spytał Burke. Simon przytaknął. – Czy Monty wie o twoich... gościach?

– Żaden człowiek o nich nie wie. – Poza Meg, ale ona sama się domyśliła. – Kapitanie, to, czego Starsi dowiedzą się na podstawie obserwowania Cyrusa

i reszty ludzkiego stada, wpłynie na decyzje dotyczące każdego człowieka w Thaisii.

– No cóż – powiedział wreszcie Burke. – Zrobię, co w mojej mocy, by pomóc porucznikowi Montgomery’emu i jego ludziom w opanowaniu sytuacji. – Machnął ręką w stronę łuku. – Czy mogę się trochę rozejrzeć podczas twojego spotkania z panem Przewoźnikiem?

– Oczywiście. Mamy kilka nowych thrillerów autorstwa *terra indigena*. – Była również nowa książka o Drużynie Wilków, Simon nie podejrzewał jednak, żeby zainteresowała ona Burke’a. Poza tym kupiono już trochę egzemplarzy, które zamówił do księgarni, a w bibliotece na rynku znajdowała się długa lista pożądanых książek – niektóre z nich zostały napisane przez ludzi.

Zostawiwszy Burke’a, żeby radził sobie z wybuchającą puszystą kulką, Simon wybiegł z Czegoś na Ząb; zastanawiał się, co takiego Steve Przewoźnik chciał powiedzieć Meg.



– Nie – rzekł Steve.

Przerażona surowością tego jednego słowa, Meg przysunęła się bliżej Simona, który odsłonił zęby i warknął na Intuicję.

– Dlaczego? – spytała. – Sierra potrzebuje bezpiecznego miejsca do życia.

– Ale nie w Przystani Przewoźników. I nie na wyspie. Meg, obserwowałem ją. Słuchałem jej słów. I mam przeczucie – bardzo złe przeczucie – że jeśli pozwolilibym jej przenieść się na Wielką Wyspę, sprawiłaby moim ludziom bardzo duże problemy.

Nie była przygotowana na taką reakcję, nie pomyślała, że Steve mógłby potraktować swoje przeczucia poważniej niż jej prorocstwo, nawet jeśli pochodziło ono tylko z kart prorocत्व, a nie z cięcia.

– Ale ona potrzebuje bezpiecznego miejsca – zaczęła się upierać.

– W takim razie ty, Simon i jej brat glina powinniście pomóc jej w przeprowadzce w jakieś inne miejsce, daleko stąd.

Simon spojrział na Steve’a spod na wpół przymkniętych powiek i cicho warknął, ale się nie odezwał – zaczęła się więc zastanawiać, czy przypadkiem nie zgadza się ze Steve’em. I to ją rozzłościło.

– Podaj mi jeden dobry powód, dla którego Sierra nie powinna zamieszkać na Wielkiej Wyspie – powiedziała ostro.

– Mogę podać ci nawet pięć – odparł wściekle. – Sześć, jeśli wliczyć Jean.

Zachwiała się, jakby wymierzył jej policzek.

Steve przeczesał palcami włosy.

– Nie mówię, że Sierra próbowałaby celowo skrzywdzić swoje córki. Nie o to mi chodzi. Ale wszyscy mieszkańcy Przystani Przewoźników o nich wiedzą.

Niemal wszystkie firmy na wyspie są zaangażowane w budowę nowego kampusu, a Lois Greene zaczął drukować raport z postępu prac w „Reporterze z Wielkiej Wyspy”. Fakt, że zajmujemy się młodymi wieszczkami krwi, nie jest żadną tajemnicą – na bogów, przecież to ja rozsyłałam mailem *Przewodnik wieszczek krwi* – ale oprócz Intuitów i *terra indigena* wie o tym niewielu ludzi. – Zawahał się i spojrzał na Simona. – Wie o tym Stavros Sanguinati. Wpadł do nas, żeby się przedstawić i poinformować, że został nowym przywódcą Talulah Falls. Powiedział, że w razie potrzeby mogę zwrócić się do niego po pomoc.

Meg popatrzyła najpierw na Steve’a, a potem na Simona.

– Po jaką pomoc? – Poznała już Stavrosa. Przypominał jej Vlada, tyle że był bardziej emocjonalny.

– To Stavros rozwiązał problem Dziedzińca w Toland – odparł Simon, nie spuszczać oczu ze Steve’a. – Ale on rzadko oferuje swoją pomoc.

Steve kiwnął głową.

– Też mam takie wrażenie.

Meg poczuła mrowienie – tuż nad obojczykiem. Miała ochotę się ciąć, pragnęła poczuć ulgę i wyzwolenie. Euforię, która następuje po wypowiedzeniu proroctwa. Przez tyle tygodni była grzeczna, zamiast z brzytwy korzystała z kart. Kart, które może i dawały odpowiedzi, ale nie przynosiły żadnej rozkoszy.

– Meg? – Poczula na karku ciepłą dłoń Simona.

– Sierra i Cyrus – odparła łagodnie. – To jak ja i brzytwa, prawda?

Nie usłyszała warknięcia, ale poczuła wibracje przechodzące przez dłoń Wilka.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedział smutno Steve.

Nie było potrzeby, ale ona pragnęła czegoś, co wyrządza jej krzywdę, aż wreszcie ją zabije.

Wyjęła z szuflady drewnianą skrzynkę i rozłożyła karty na stole w sortowni.

– Zadajcie pytanie.

Steve wyglądał na zmieszanego – a może tylko na zniechęconego.

– Co się stanie, jeśli Sierra przeprowadzi się na Wielką Wyspę? – spytał Simon. – Mów, wieszczko, a my cię wysłuchamy.

Meg zamknęła oczy; przesuwiała palcami nad kartami tak długo, aż znalazła tę, która sprawiała, że jej palce zapłonęły, a skóra wokół obojczyka zaczęła mrowieć. Odwróciła kartę i otworzyła oczy.

Zakapturzona postać z kosą.

– Śmierć – rzekł ponuro Simon.

– Nie wiemy, kto zginie – zauważyła Meg.

– To nieważne – odparł Steve. – To może być Sierra albo któraś z młodych wieszczek krwi. To może być Intuita albo któryś z *terra indigena*. Jeśli zamieszka wśród nas, sprowadzi na nas śmierć.

– Bo nie będzie w stanie oprzeć się własnej brzytwie – dodała Meg. Przecież to właśnie sugerowały jej Ruth, Merri Lee i Therał, prawda? – Prędej czy później Sierra zadzwoni do Cyrusa albo zostawi mu jakąś wskazówkę, tak by mógł ją odnaleźć.

– Nie jestem psychologiem, ale chyba tak właśnie będzie – rzekł Steve. – Dopóki nie postanowi zerwać z nim kontaktu, na świecie nie będzie dla niej bezpiecznego miejsca, a ja nie mogę narazić na niebezpieczeństwo najbardziej wrażliwych mieszkańców mojej wyspy.

Meg pokiwała głową. Nie można było pomóc na siłę komuś, kto nie chciał pomocy. To była trudna i gorzka lekcja życia.

– No cóż – odezwał się Steve po chwili niezręcznej ciszy – lepiej pójdę sprawdzić, co ma mi do powiedzenia kapitan Burke. – Dotknął dłoni Meg. – Przykro mi, że nie mogę pomóc. Kiwnął głową do Simona, a potem wyszedł z biura.

Meg zebrała karty i odłożyła je do skrzynki.

– Niezależnie od tego, czego chcą się dowiedzieć Starsi, mam nadzieję, że to jest tego warte.

Chwila wahania. Następnie poczuła ciepło ciała Simona. Delikatnie przycisnął usta do jej skroni, sprawiając, że poczuła dziwną przyjemność.

– Ja też mam taką nadzieję – rzekł.



Simon znalazł porucznika Montgomery'ego w Mięsie i Zieleninie; pił wodę z lodem i udawał, że je twarożek z niewielkiej miski.

– Dlaczego? – Simon wskazał miskę i usiadł naprzeciwko. – Lubisz taki biały ser?

Montgomery uśmiechnął się ze znużeniem.

– Nie bardzo. Po prostu czułem, że jeśli chcę tu posiedzieć, powinienem coś zamówić, a twarożek jest zimny i idealnie nadaje się na upalny dzień. – Zaczął wymachiwać łyżeczką. – Przepraszam, że sprowadziłem na was kłopoty.

– Chciałeś chronić swoją siostrę i matkę, zabrać je w bezpieczniejsze miejsce – odparł Simon. – Sam cię do tego zachęcałem.

– Nie spodziewałem się, że Jimmy tu przyjedzie. Jego pobyt wiele zmienia. – Simon milczał. Osobiście nie mógł wyrzucić Cyrusa z Dziedzińca, ale przecież Starsi nie powiedzieli, że Montgomery nie może odesłać brata w siną dal. – Eve Denby zadzwoniła do mnie ze szpitala. Wygląda na to, że Jimmy dostał jakiegoś ataku. Spłycony oddech, zaburzone tętno. – Monty wpatrywał się w swoją miskę. – Czyżby ktoś tu wyraził swoje... niezadowolenie?

– Tak. – Simon wiedział, że nie ma sensu zaprzeczać, nawet jeśli nie chciał zdradzać, że to Tess Żniwiarz, Szerzyciel Zarazy, zabrała Cyrusowi trochę

życiowej energii.

– Czy ucierpiał ktoś jeszcze?

– Nie. – Wiedział, czego chciałby jako Wilk, jednak nie był pewien, czego chciałby człowiek. – Moglibyśmy przenieść Sierrę i jej szczeniaki do innego budynku. Nie przeprowadzę tam Cyrusa, ponieważ mieszkają w nim trzy samotne kobiety. – No dobrze, oficer Debany niemalże mieszkał z Merri Lee, ale nie było go tam przez cały czas, tak by mógł zareagować na każdy wyskok Cyrusa.

– Wolałbym, żeby moja siostra przebywała w tym samym budynku co ja. – Monty odsunął na bok miskę z twarogiem i napił się wody. – Dlaczego umieściliście Jimmy’ego i jego rodzinę na drugiej kondygnacji?

– Nie potrafi latać. Wydaje nam się, że przebywając na takiej wysokości, nie będzie się wymykał z mieszkania. A nawet jeśli spróbuje, zobaczymy go, zanim jego stopy dotkną ziemi.

Monty uśmiechnął się przelotnie.

– Prawda. Gdyby jednak nie miał powodu do wchodzenia na to piętro, jego kontakty z Sissy – to znaczy z Sierrą – byłyby jeszcze rzadsze.

Zastanawiając się nad jego słowami, Simon przyciągnął miskę i spróbował twarogu. Lubił ser i zawsze z radością odbierał swój przydział z mleczarni tubylców ziemi. To coś jednak w ogóle mu nie smakowało. Może to dlatego że był Wilkiem? A może dlatego że był samcem – przecież Meg i reszta stada samic jadały takie rzeczy.

– Cyrus i jego samica nadal przebywają w szpitalu, a jego szczeniaki są w szkole z Ruthie – powiedział. – Moglibyśmy przenieść wszystkie ich rzeczy do innego mieszkania na dole w twoim budynku. Chris Fallacaro wymieniłby zamki, tak by klucz Cyrusa pasował tylko do tego drugiego mieszkania. – Widząc wahanie Montgomery’ego, Simon dodał: – Jeśli nie chcesz grzebać w ich rzeczach, mogę poprosić Jenni i Starra, żeby ich spakowali.

– Nie żebym miał coś do Wroniej Straży, jednak wolałbym zrobić to sam – odparł Monty.

– No cóż, podczas znoszenia ich rzeczy po schodach z pewnością nie znikną żadne błyskotki. – Simon się uśmiechnął. – Pomogę ci. – Tuż po przyjeździe Cyrusa Wilki przeszukały jego walizki, nie zaszkodzi jednak sprawdzić, czy nie przywiózł ze sobą czegoś niedozwolonego.

– Dziękuję. Pogadam z kapitanem Burke’em, żeby zwolnił mnie na czas organizowania przeprowadzki.



Steve Przewoźnik i Roger Czerneda wyjechali już z Dziedzińca, ale Burke nadal przebywał w Zabójczo Dobrych Lekturach. Trzymał w ręku dwie wybrane przez siebie książki i wyglądał na rozbawionego – wziął thriller napisany przez

Alana Wilczą Straż i książkę, którą Merri Lee określała mianem wroniego kryminału; opowiadał o agencie amatorze, który podczas śledztwa w sprawie zabójstwa kierował się czymś zupełnie innym niż tropy.

– To jest ten drugi – powiedziała, podając Burke’owi książkę, która, sądząc po okładce, została już kilka razy przeczytana. – Przysłała nam ją Jesse Walker ze Złotej Prerii. Może ją pan wypożyczyć. To thriller o ludzkim agencie, któremu podczas dochodzenia pomaga kilka *terra indigena*. Autor jest dość popularny w kręgu Intuitów, ale inne społeczności go nie znają.

– Czy ta książka znajdowała się w pudełku przysłanym przez Jesse Walker do ZDL? – Simon trochę się zirytował; na jego piersi i ramionach zaczęło wyrastać futro. Dopóki on i Vlad nie zdecydowali, czy zamówić po kilka egzemplarzy tych powieści do sklepu, te książki miały służyć jedynie do odwracania uwagi Meg, a nie trafiać w ręce innych ludzi.

– Jesse przysłała dwa egzemplarze. – Merri Lee odsłoniła zęby.

Simon udał, że wziął to za uśmiech. Stado samic było na niego złe z powodu Sierry i nie miał zamiaru z nimi zadzierać. Przynajmniej nie z powodu książki.

– Mam wszystkie informacje, których będziecie potrzebowali do zamówienia egzemplarzy tej nowej serii – dodała Merri Lee.

– Dobrze. W porządku. Porucznik Montgomery i ja będziemy po drugiej stronie ulicy. Jeśli będziesz potrzebowała pomocy, wołaj Vlada.

– Czyżby po drugiej stronie ulicy były jakieś problemy? – spytał Burke.

Simon podszedł do stołu z książkami, żeby zapewnić Montgomery’emu pozory prywatności podczas rozmowy z kapitanem, a sobie dać chwilę na przeanalizowanie zmian, które nastąpiły, gdy Żywioty i Starsi zaczęli się mścić na ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko. Tyle rzeczy w Thaisii się zmieniło – nie wspominając o brutalnym zniszczeniu Celtycko-Romańskiej Wspólnoty Narodów po drugiej stronie Atlantyku.

Z jednej strony odczuwał ulgę, że Dziedziniec nie osłabł w czasie, gdy on zajmował się tyloma sprawami. Czuł się jednak dziwnie, bo nie wiedział nawet, co się działo w jego własnym sklepie. Czy reszta członków Stowarzyszenia Przedsiębiorców czuła się podobnie? Może poza Henrym, który większość czasu spędzał w ludzkiej postaci i rzeźbił w drewnie. Za to Tess była ostatnio jeszcze bardziej nieprzewidywalna.

Spojrzał na książki. Miał ochotę poprzestawiać kilka rzeczy – to byłby substytut podniesienia łapy i zaznaczenia terytorium. On i Vlad uczynili z Merri Lee swoją asystentką, żeby mieć więcej czasu na zajmowanie się poważniejszymi sprawami i przejęcie obowiązków Johna Wilczej Straży, który wyjechał, by poprowadzić księgarnię w Bennett. Simon nie spodziewał się jednak, że Merri Lee tak szybko zacznie zaznaczać swoje terytorium.

Dzielimy się obowiązkami, przypomniał sobie, wchodząc po schodach.

Chciał wziąć dodatkowy klucz do mieszkania Cyrusa i zadzwonić do Chrisa Fallacaro, żeby wymienił zamki w mieszkaniach.

Montgomery czekał na niego na dole schodów.

– Załatwmy to do końca. Eve Denby znów do mnie zadzwoniła. Teraz jest w Ptasim Centrum i robi rozpoznanie dla Meg, ale za godzinę wróci do szpitala po Jimmy’ego i Sandee, bo lekarze chcieli jeszcze trochę go poobserwować. Stwierdzili, że cierpi na objawy tajemniczej choroby, która wystąpiła już kilka razy w ciągu ostatnich miesięcy. Jedynym lekarstwem po wyjściu ze szpitala będzie dla niego odpoczynek.

Weszli do mieszkania, które zajmowali Cyrus i jego rodzina. Znaleźli walizki.

Simon rozejrzył się po sypialni dorosłych i zasłonił dłonią nos. Co tu tak śmierdzi?

– Na bogów na górze i na dole... – mruknął Montgomery. – Przecież matka uczyła Jimmy’ego czystości.

– Też to czujesz?

– Tak. Aż dziwne, że na komisariat nie wpłynęły skargi z pobliskich domów. – Montgomery spojrzał na Simona. – Ty musisz czuć to o wiele intensywniej.

– Coś jak zdechła ryba. – Simon opuścił dłoń i zaczął węszyć. – Ale ten zapach jest o wiele ostrzejszy. Coś jak... skunks.

Montgomery zaśmiał się.

– Wrzucmy to wszystko do walizek i wystawmy je na taras – zdecydował. – Zapytam Eve i matkę, jak można odkazić to mieszkanie.

– W takim razie ja spakuję rzeczy szczeniaków. – Simon ruszył w stronę drugiej sypialni.

Ubrania szceniąt nie śmierdziały aż tak, ale z pewnością nie były czyste. Dlaczego rodzice dopuszczali do tego, że ich młode skupiały na sobie uwagę drapieźników takim zapachem? A może smród odstraszał ludzkie drapieźniki?

Nie chciał, by Montgomery pomyślał, że sugeruje mu założenie Lizzy śmierdzących ubrań, postanowił więc porozmawiać o tym z Kowalskim albo Debanym. Jego zdaniem był to nie najmądrzejszy pomysł na chronienie młodych, ale ludzie byli zdolni do wszystkiego.

Wymienili zamki, spakowali walizki i wystawili je na taras mieszkania na dole, znajdującego się naprzeciwko mieszkania Montgomery’ego. Sanguinati, który pełnił straż, otrzymał dokładne instrukcje, kto mógł, a kto nie mógł wejść na górę do mieszkania Sierry.

Nikt nie powiedział tego na głos, ale wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli Cyrus albo jego samica spróbują zobaczyć się z Sierrą, będą musieli ponownie udać się do szpitala – tym razem z powodu nagłej utraty krwi.



Meg przesunęła podkładkę pod kolana, a potem dokończyła wrywanie chwastów w ostatniej części ogródka warzywnego. Chciała zająć się jakąś prostą czynnością, tak by móc od razu widzieć efekty swej pracy, bez angażowania w to jakichkolwiek emocji. Przynajmniej nie jej. Bo jeśli chwasty mają uczucia, mogą mieć inne zdanie na temat wrywania ich razem z korzeniami. Ale nie wyrażały swego zdania ani się z nią nie kłóciły, więc pracowała w pocie czoła.

Nikt nie wierzył w troskliwość Simona i Monty'ego, którą rzekomo kierowali się podczas przeprowadzania Cyrusa i jego rodziny na dół do mieszkania naprzeciwko Monty'ego, zwłaszcza po tym, jak Cyrusowi nie pozwolono iść na górę do Sierry. Gdy Simon powiedział Sandee, że nie będzie mogła pójść na Dziedziniec, dopóki nie wypierze ubrań i nie przestanie śmierdzieć jak skunks, zaczęła się drzeć tak głośno, że słyszeli ją ludzie na drugim końcu ulicy. W połączeniu z dramatem Sierry i sprzeciwem Steve'a Przewoźnika wobec przeniesienia jej na Wielką Wyspę dla Meg było to już za wiele. Przestała sobie radzić z uczuciami i przyszłością otaczających ją ludzi.

Powrywa trochę chwastów, a potem weźmie chłodny prysznic. Do tego czasu wrócą już Simon i Sam. Zrobią sałatkę i podgrzeją pieczeń, którą kupiła w Mięsie i Zieleniu. A potem usiądzie w letnim pokoju i będzie czytać. Może nawet będzie tam dziś spać.

– *Arroo!*

Machnęła ręką, gdy przybiegł do niej Sam – zmęczony i brudny, ale szczęśliwy. No pewnie, że szczęśliwy. Przecież problemy sprawiane przez niezdolnych ludzi wcale go nie dotyczyły. Poza tym miała dla niego egzemplarz książki o Drużynie Wilków.

– Cześć, Sam! – Rzuciła narzędzia i przytuliła go. – Miałeś miły dzień?

Znowu ryknął cicho, a potem polizał ją i rozśmieszył. Po chwili przytruchtał do nich Simon; do niego również się uśmiechnęła.

– Dajcie mi jeszcze kilka minut, żebym mogła skończyć w tej części ogródka, a potem pójdziemy do domu i zjemy kolację.

Pracując wokół cukinii, wyrwała jakiś szary chwast. Gdy jednak go odwróciła, uświadomiła sobie, że to biały puszysty ogonek.



Simon usłyszał wrzask Meg i zobaczył, jak Sam ściąga coś z końca narzędzia do wrywania chwastów. Szczeniak rzucił się do przodu, a potem zatoczył do tyłu, ewidentnie zachęcając Meg do zabawy. Nie wyglądała, jakby miała ochotę się bawić, ale Sam chyba tego nie rozumiał.

Chodź, szczeniaku, ja się z tobą pobawię, powiedział Simon.

Ale to Meg znalazła zabawkę. Powinna się z nami pobawić, zaprotestował

Sam; z jego pyska zwisał kawałek białego futra.

Nie będzie chciała się bawić króliczym ogonem.

Dlaczego nie?

Simon rzucił się do szczeniaka, przewrócił go i zaczął udawać, że chce mu zabrać zabawkę. Samowi udało się uciec i obaj zaczęli się ganiać, podczas gdy Meg ostrożnie podnosiła liście cukinii, żeby się upewnić, że nie czeka na nią więcej niespodzianek. Po drodze Sam rzucił ogon; Simon go nie podniósł, bo pomyślał, że przecież może później go zakopać. Biegali i bawili się jeszcze przez kilka minut, aż wreszcie Simon doskoczył do studni, zamienił przednie łapy w owłosione dłonie i zaczął pompować wodę.

Sam, o wiele bardziej zainteresowany zabawą w wodzie, niż piciem, cały się ochlapał, a potem podbiegł do Meg i skoczył jej na plecy, mocząc jej całą koszulkę. Zaczęła piszczeć. Gdy wstała, Sam ześlizgnął się z jej pleców.

– Idę do domu. – Ruszyła ciężko w stronę budynku.

Czy Meg jest na mnie zła? spytał Sam.

Nie do końca. Udawanie złej z powodu zamoczonej koszulki to część Gry Pisków, odparł Simon.

Napił się jeszcze trochę wody, która zdawała się o wiele zimniejsza niż gorące, wilgotne powietrze. Upewnił się, że jego przednie łapy znowu są wilcze – na wypadek gdyby musiał uciekać – dogonił Meg i polizał jej nogę z tyłu na wysokości kolana.

Rozległ się kolejny pisk, a potem Meg zaczęła wykonywać ruchy jak w Grze Pisków i ruszyła przed siebie zamaszystym krokiem, żeby trzymać się z dala od mokrych Wilków.

Widzisz, szczeniaku? rzucił Simon, gdy wraz z Samem patrzyli, jak Meg niemal biegnie w stronę swojego mieszkania. *Żeby się bawić z człowiekiem, nie potrzebujesz żadnych zabawek.*

Rozdział 10



Sobota, 11 sierpnia

– Wiem, wiem. – Eve wyjęła kolejne zakupy z toreb przyniesionych do sortowni. – Poniosło mnie. Nie wiedziałam jednak, czego chcesz. Poza tym mogę zwrócić towary, które nie zostały otwarte i użyte.

Meg patrzyła ze zdziwieniem na wszystkie ułożone na stole przedmioty. Poprosiła Eve tylko o jakąś książkę o nauce rysowania i zestaw ołówków dla przyjaciółki Nadziei, Amy Wilczej Straży. Wyglądało na to, że Eve kupiła, co trzeba, ale co należało zrobić z resztą rzeczy?

Eve przyjrzała się Meg, a potem odłożyła kilka przedmiotów z powrotem do toreb.

– Za dużo?

– Czym ty za to wszystko zapłaciłaś?

Skrzywiła się.

– Prywatnymi pieniędzmi. Nie przyszło mi do głowy, że nikt mi ich nie

zwróci, przecież sama zamawiałaś te rzeczy.

– Masz paragon? – Meg zaczęła czytać listę, którą wręczyła jej Eve. Czy Inni znali rysowanie i malowanie? Znali opowiadanie historii i granie muzyki. Ponieważ przyjaciółka Nadziei interesowała się rysowaniem, może na Dziedzińcu znajdują się jeszcze inni mieszkańcy, którzy zechcieliby wziąć od nich te przedmioty. Będzie musiała spytać o to Henry’ego.

Meg wybrała książkę na temat rysowania od podstaw i o rysowaniu natury – zwierząt i krajobrazów. Dorzuciła dwa szkicowniki, pudełko kredek, ołówki, temperówkę i gumkę do ścierania.

Eve postawiła na stole drewnianą skrzynkę; była zamknięta na prosty haczyk i miała rączkę do przenoszenia.

– Pomyślałam sobie, że będziesz potrzebować czegoś do przechowywania kredek i innych przyborów. To była najtańsza skrzynka.

Meg wzięła ją i dodała do listy.

– W trakcie przerwy pójde do banku na rynku i wypłacę pieniądze, żeby za to zapłacić. I porozmawiam z Simonem o tym, w jaki sposób oddać ci pieniądze za resztę.

– Ty za to płacisz? – Eve była zaskoczona i chyba trochę niezadowolona. – Gdybym wcześniej o tym wiedziała, spytałabym, ile chcesz wydać.

– Nie pomyślałam o ustaleniu limitu zakupów. Robię to dla Nadziei, więc to ja powinnam za to zapłacić. – Meg przerwała, żeby nacieszyć się uczuciem kupowania czegoś dla przyjaciółki, ekscytacją związaną z wydawaniem pieniędzy na kogoś innego i oczekiwaniem na radość Nadziei na widok skrzynki z przyborami.

Resztę zakupionych przedmiotów Eve schowała z powrotem do toreb i odstawiła na bok.

– Mogę je tu zostawić?

Meg zeszywniała pod wpływem zmiany, która nastąpiła w pomieszczeniu. A potem uświadomiła sobie, że powinna ją traktować po prostu jako kolejną dostawę, a przecież z dostawami miała do czynienia przez cały czas.

– W porządku.

Eve zaczęła szukać czegoś w torbach; po chwili położyła na stole ostatni przedmiot.

– To katalog ze sklepu z przyborami malarskimi w Ptasim Centrum. Z radością będę robić dla ciebie zakupy, ale w ten sposób możesz zamówić wybrane towary, a potem poprosić Harry’ego, żeby je odebrał, gdy będzie realizować swoje dostawy.

Harry pracował w firmie Dostarczamy Wszędzie do czasu, aż zmieniono jej nazwę na Dostarczamy Wszędzie Ludziom. Teraz pracował dla Dziedzińca i odbierał ze sklepów w Lakeside wszystko, co zamówili *terra indigena*. Nie było

tego zbyt dużo, innych dostaw też było niewiele. Czasami miał ułatwione zadanie, bo przed atakiem Starszych i Żywiółów Stowarzyszenie Przedsiębiorców zamówiło i schowało do magazynów wszystko, co się dało. Niektóre dostawy realizowano tylko dlatego, że wszyscy – zarówno ludzie, jak i Inni – próbowali stwierdzić, które firmy przetrwały i wciąż miały towary na sprzedaż. Nie można było zadzwonić do firmy znajdującej się poza danym miejscem zamieszkania, a brak odpowiedzi na list mógł oznaczać, że worek z pocztą leży gdzieś na stacji kolejowej i kiedyś wreszcie przyjdzie odpowiedź – albo że w danym mieście nie ma już nikogo, kto mógłby odpowiedzieć.

– Dowiem się, co zrobić z resztą przedmiotów – obiecała Meg i wsadziła paragon pod nowy obciążnik do papieru, który kupiła od Jenni Wroniej Straży.

Eve się uśmiechnęła.

– W takim razie zostawiam to tobie i wracam do pracy.



Meg zadzwoniła do Henry'ego, bo stwierdziła, że jako rzeźbiarz będzie najbardziej zainteresowanym przyborami malarskimi członkiem Stowarzyszenia Przedsiębiorców. I rzeczywiście – wykazał zainteresowanie. Nie spodziewała się jednak, że wyjdzie z biura łącznika z węglem do rysowania, ołówkami, temperówką, gumką, szkicownikiem i kawałkiem papieru z kwotą, którą był winien Eve Denby.

Zanim zdążyła zadzwonić, o tym, że pojawiło się coś nowego i interesującego, dowiedzieli się nie tylko Simon i Vlad. Jake Wronia Straż opowiedział o tym reszcie *terra indigena* na Dziedzińcu, a u Meg pojawiła się kolejka Wron, Jastrzębi, Sów i Wilków, chcących się przekonać, co można kupić.

Do czasu, gdy Meg zamknęła biuro na przerwę, wszystkie przedmioty zostały odebrane, a ona czuła się wykończona i przeciążona – głównie tym, że musiała bronić przyborów, jakie wybrała dla Nadziei. Kilka razy musiała nawet się na nich położyć i warknąć, co bardzo rozbawiło Vladę i trochę mniej Simona.

Nie potrafiła przewidzieć, jak długo Inni będą zainteresowani sztuką, na razie jednak bardzo podobało się im poznawanie czegoś nowego.



Nikt nie przerwał ciszy, która panowała w samochodzie od chwili, w której Monty i Kowalski wyjechali na patrol po ulicach w dzielnicy komisariatu przy Orzechowej. Jimmy zdążył już wylizać się z tajemniczej choroby i tego ranka wyruszył, żeby „poznać wszystkie opcje”.

Monty doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co jego brat rozumie pod pojęciem „opcji”. Chciał się przekonać, czy obecność Jimmy'ego psuje mu relacje z jego ludźmi, kapitanem i Simonem Wilczą Strażą.

Był tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – spytał w końcu.
– Nie chcę – odparł po chwili Kowalski. – Ale chyba muszę. I lepiej, żebyś to ty porozmawiał z dowódcą Greshem.

Monty natychmiast się wyprostował.

– Dlaczego miałbym rozmawiać z dowódcą oddziału saperów?
– Bo on i jego rodzina znajdują się wśród ludzi, którym Simon Wilcza Straż pozwolił robić zakupy na rynku, kupować jedzenie i inne dobra.

– Przecież kapitan Burke też należy do tej grupy. Czy to jakiś problem?

Kowalski wypuścił głośno powietrze.

– Ponieważ od czasu tej straszliwej burzy wszyscy muszą dodatkowo pracować, takie zakupy bardzo się przydają, wiesz? Wracasz do domu z pracy, wykonujesz swoje obowiązki, kupujesz jakieś mięso mielone u rzeźnika na Dziedzińcu i kilka bułek w Czymś na Ząb, robisz sobie burgery z sałatą albo warzywami z ogrodu w Zielonym Kompleksie. Kupujesz tam jaja, bo to o wiele łatwiejsze, niż stanie w kolejce w sklepie spożywczym albo u rzeźnika w Ptasim Centrum – a potem i tak się okazuje, że osoba stojąca przed tobą wykupiła ostatnie sztuki – a następnie musisz jeszcze zażegnać konflikt między kobietą, która wzięła ostatnie jajka, a drugą, która ich potrzebuje, żeby upiec tort urodzinowy dla swojego dzieciaka. Na ziemi lądują zbite jaja, a po chwili także i kobiety, a ty, ponieważ jesteś policjantem, musisz rozwiązać tę sprawę i aresztować albo jedną, albo obie.

– Miałeś taką sytuację?

– Kilka dni temu przerwałem bójkę – po tym, jak jaja wylądowały na podłodze i sytuacja zrobiła się naprawdę nieciekawa – ale byłem już po służbie, więc to oficer Hilborn musiał przeprowadzić aresztowanie.

– Na bogów... – mruknął Monty. Czyżby był zajęty problemami w swojej rodzinie do tego stopnia, że nie widział, co się dzieje wokół niego? – Czy będziemy musieli tłumić zamieszki?

– Jeśli tak, to tylko dlatego że ludzie nie okazują już sobie tej samej sąsiedzkiej życzliwości, jaką okazywali jeszcze kilka miesięcy temu – odparł Kowalski. – Zanim ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko sprawił, że za każdym razem, gdy brakowało czegoś w sklepach, ludzie myśleli, że to deficyt i że umrą z głodu, jeśli nie ściągną z półek wszystkiego, co znajduje się w ich zasięgu, być może te kobiety też walczyłyby o kilka jajek. Przecież ludzie cały czas robią głupie rzeczy. O wiele bardziej prawdopodobne jest jednak to, że by się zaznajomiły – ostatecznie w kolejce ludzie nie mają co robić i ze sobą rozmawiają – a potem, zamiast bić się o jajka, podzieliłyby je tak, by ta druga mogła upiec tort dla dziecka. Tak właśnie zrobiliby ludzie. I tak właśnie nadal robi większość z nich.

– Nowi ludzie napłynęli do pozostałych miast kontrolowanych przez człowieka w poszukiwaniu pracy i miejsca do życia. Oni też będą próbowali robić

zakupy w sklepach, tak więc bardzo prawdopodobne jest, że nie zawsze wystarczy wszystkiego dla wszystkich.

– Ale przecież ten problem nie ogranicza się tylko do ludzkich sklepów.

Monty zaczął zwracać uwagę na mowę ciała partnera. Kowalski do czegoś zmierzał.

– Karl, po prostu to z siebie wyduś.

– Jeśli nie zachowamy ostrożności, możemy już nie być mile widziani w sklepach na rynku, a to utrudni życie nam wszystkim.

Monty westchnął.

– Chodzi o Jimmy’ego, prawda?

– Chodzi o wszystkich. A w kwestii rodziny... – Kowalski zaśmiał się gorzko. – Matka Ruthie, kobieta, która jasno i wyraźnie powiedziała, że jej córka nie żyje, i nazwała ją najgorszym śmieciem, zadzwoniła do niej dziś rano z prośbą, żeby kupiła jej kilka kilogramów szynki. No bo przecież te dziwolągi mają mnóstwo mięsa, a jeśli im się skończy, to upolują następne. Gdy Ruthie odparła, że nie mogłaby kupić tyle szynki, nawet gdyby była ona dostępna... – Przez chwilę jechali w milczeniu. – Z drugiego końca pokoju słyszałem, jak darła się na Ruthie, więc wyrwałem jej słuchawkę i rozłączyłem się z tą suką.

– Karl, strasznie mi przykro. Współczuję i tobie, i Ruth.

– No cóż. Osobiście mam nadzieję, że ten most został spalony na dobre. Nie wiem, co to o mnie mówi, ale mam nadzieję, że tak właśnie jest.

– Nic dziwnego, kochasz swoją żonę i nie chcesz, żeby cierpiała. – Monty przyjrzał się partnerowi i nagle poczuł niepokój. Jeszcze przed burzą, przed problemami z transportem jedzenia i innych towarów między poszczególnymi regionami, na Dziedzińcu można było kupić żywność taniej niż w pozostałych sklepach w mieście. A gdy ceny wzrosną jeszcze bardziej, a niektórych produktów zacznie brakować, rodziny i znajomi będą wywierać presję na tych, którzy mają dostęp do Dziedzińca, żeby zaopatrywali ich w żywność.

Czyżby sprzedawanie żywności pod stołem było jedną z opcji rozpatrywanych przez Jimmy’ego?

Na bogów.

– Składam wszystko do kupy na podstawie tego, co dziewczyny podsłuchały albo co powiedziała im Nadine, która ma więcej informacji na temat dostępności pokarmów niż reszta z nas, ponieważ jej piekarnia współpracuje teraz z Czymś na Ząb – mówił dalej Kowalski. – Gdy Simon Wilcza Straż uczynił z budynków mieszkalnych część Dziedzińca, a tym samym ich mieszkańcy otrzymali pozwolenie na spożywanie pokarmów produkowanych na Dziedzińcu albo przywiezionych do niego z farm, Inni wyliczyli, że aby wyżywić wszystkich, będą potrzebować około dwudziestu pięciu kilogramów mięsa tygodniowo więcej. Ktoś inny oszacował, że to oznacza pół kilograma mięsa dla każdego człowieka – czyli

około cztery większe burgery, mała pieczeń albo porcja na gulasz. Wszystko to oznacza, że Wilki muszą teraz zabijać tygodniowo dwa jelenie zamiast jednego, bo nie zmieniła się ilość wołowiny i wieprzowiny przysyłanej na Dziedziniec z farm tubylców ziemi.

– A przecież nie zawsze udaje się tyle upolować.

– Stado jeleni jest w stanie samo przeżyć, ponieważ Wilki nie zabijają młodego jelenia, chyba że jest ranny. Jednak jak długo przetrwa, jeśli będzie się zabijać więcej sztuk, niż będzie się rodzić?

Teraz już Monty rozumiał, dlaczego będzie musiał porozmawiać z Louistem Greshem. Każdy zakup mięsa u rzeźnika na rynku wywierał coraz większą presję na Wilczą Straż. Niezależnie od tego, czy Wilki wołały jeść jeleninę czy łosinę, niektórzy – głównie Meg Corbyn – preferowali wołowinę i wieprzowinę. Dzień, w którym Meg będzie głodna, dlatego że jakiś inny człowiek stada wykupi ostatni kilogram mięsa albo ostatnie jajka, będzie dniem, w którym nastąpi wyraźna zmiana w relacjach między ludźmi z Lakeside a *terra indigena* – i nie będzie to dobra zmiana.

– Masz jakieś przemyślenia na ten temat? – spytał.

– Teraz, gdy burmistrz wdrożył akt o sprawiedliwym podziale, polegający na tym, że każdy rzeźnik otrzymuje procent mięsa z innego regionu, tygodniowy przydział na zarejestrowaną osobę wynosi ponad pół kilograma i taką ilość można sobie zarezerwować w sklepie – odparł Kowalski. – Nieważne, o jaki rodzaj mięsa chodzi. To wszystko.

– I jest to ważna zmiana dla większości gospodarstw domowych – pomijając kilka osób spośród nas, które mogą kupować taką ilość mięsa z dwóch miejsc.

Kowalski pokiwał głową.

– Dziewczyny omówiły tę sprawę i mają zamiar kupić w ludzkich sklepach, co tylko się da, ponieważ my możemy kupować przydziały towarów, a Inni nie mogą. *Terra indigena* mogą kupować pizzę w Chrupiących Przymakach albo jadać w Pikantnych Daniach, nie mogą jednak iść do rzeźnika po pieczeń. Dziewczyny pomyślały więc, że jeśli co tydzień będziemy sprzedawać pół porcji mięsa Dziedzińcowi – czyli otrzymamy coś o równowartości mięsa – będziemy mogli kupić kanapkę w Czymś na Ząb albo zjeść w Mięsie i Zieleninie bez wywierania nacisku na Innych. Nadine przedstawi ten pomysł Tess.

– Porozmawiam z matką. Może też na coś wpadnie. Nawet w najbardziej kiepskich czasach potrafiła nas dobrze nakarmić. – Monty zastanawiał się przez chwilę, a potem spojrział na Kowalskiego, tłumiąc uśmiech. – A może moja mama już należy do tej grupy „dziewczyn”? – Kowalski oblał się rumieńcem i skupił na jeździe. – Przez Dziedziniec płynie strumień – dodał Monty. – Może kilka osób mogłoby spróbować łowić ryby? Gdzie nad jeziorem Etu ludzie mieli swoje łowiska? – Nigdy się tym nie interesował, a przecież było to kolejne źródło

pożywienia.

Zapadła niezręczna cisza. Wreszcie Kowalski powiedział:

– Nie wolno nam wchodzić tak daleko, żebyśmy dotarli do strumienia. I przez jakiś czas to się nie zmieni.

Monty, zaskoczony, odwrócił się w jego stronę.

– Dlaczego? Myślałem, że ty i Michael jeździcie na rowerach po drogach Dziedzińca. Miałaś jakieś problemy z Wilczą Strażą, która jest tam w gościach?

– Nie, z nimi nie. Nie jestem Intuitą, ale jestem gliną. I ja, i Michael mamy przecucie, że ostatnio na Dziedzińcu pojawili się jeszcze inni goście, o których obecności nikt nie wspomina – przynajmniej my o nich nie wiemy.

Starsi. Na sam dźwięk tego słowa Monty zaczął się trząść. Na bogów na górze i na dole, czyżby wrócili na Dziedziniec?

Nagle zadzwoniła jego komórka.

– Montgomery. – Przez chwilę tylko słuchał, a potem się rozłączył. – To kapitan. W ciągu pół godziny on i ja mamy się stawić w gabinecie burmistrza.

– Jakież kłopoty?

– Tak, tylko jeszcze nie wiem, jakie. – Po chwili dodał cicho: – Twój pomysł odnośnie do tego, w jaki sposób moglibyśmy dorzucić się do wspólnego gara, jest naprawdę niezły. Jeśli to nie będzie wyglądać tak, że czekamy, aż Wilcza Straż będzie za nas polować, wszyscy znajdziemy się w korzystniejszej sytuacji. Lepiej, żebyśmy dostarczyli takie mięso, jakie będziemy mogli.

Zatrzymali się na czerwonym świetle. Kowalski spojrzał na Monty'ego i kiwnął głową.

Rozumieli się bez słów. Ostatnimi czasy nie musieli wypełniać żadnego formularza ZMN ani sprawdzać kopców, w których po zaginionych ludziach pozostały tylko klucze i dokumenty. Jeśli jednak *terra indigena* nie będą mogli jeść tego, co zwykle, zaczną polować poza Dziedzińcem i szukać innego mięsa.



Jimmy siedział w Jeleniu i Zającu, jadł skrzydełka z kurczaka, pił piwo i podsłuchiwał rozmowę mężczyzn, siedzących przy sąsiednim stoliku.

– Ceny idą w górę – skarżył się jeden z nich. – Jedyne, która się nie zmienia, to wypłata.

– Ceny idą w górę, a ilość w dół – odparł jego towarzysz. Podniósł swoją kanapkę, spojrzał na nią, a potem zrobił zniesmaczoną minę i rzucił jedzenie na talerz. – W zeszłym tygodniu kupiłem tu taki sam lunch, a w kanapce było dwa razy więcej mięsa niż dzisiaj.

– Doskonale cię rozumiem. Wczoraj poszedłem do Pikantnych Dań. Porcja lasagne była mniejsza niż moja dłoń, do tego jakieś liście i plasterki pomidora jako sałatka, jedna bułka i jeden pieprzony kawałeczek masła. Jeden! I kosztowało mnie

to dziesięć dolców. A za drugą bułkę z masłem trzeba już płacić dodatkowo.

– Burmistrz mówi, że współpracuje z gubernatorem, żeby utrzymać otwarte drogi transportu z Północnym Wschodem.

– Potrzebujemy możliwości transportu również z pozostałymi obszarami. To jest teraz najważniejsze.

– Te drogi są otwarte, ale tylko dla tych, którzy potrafią odpowiednio posmarować. Założę się, że burmistrz i gubernator nie karmią swoich dzieciaków rozwodnionymi zupkami, ugotowanymi na najtańszym i najgorszym mięsie.

– Założę się, że jebani Inni też nie głodują.

Zapadła chwila krępującej ciszy. Mężczyźni skupili się na jedzeniu.

Jimmy spojrział na kości kurczaka, leżące na jego talerzu. Nie zaspokoił jeszcze nawet pierwszego głodu. A jedno piwo nie zapewniało takiego relaksu jak zioło... Gdyby tylko mógł znaleźć w Lakeside odpowiednie źródło! Te dziwolągi mogą sobie warczyć, ale CJ nie pozwoli wyrzucić go za odrobinę zioła, zwłaszcza jeśli oznaczało to eksmisję również dla Sandee i dzieciaków. Ponieważ mama będzie na to wszystko patrzeć, porucznik Crispin James Montgomery z pewnością spróbuje załagodzić sytuację, a smarkacze potrafią przecież odgrywać bezbronne i kochane dzieci, tak jak ich babcia i wujek CJ.

Znalezienie źródła zioła będzie jednak musiało poczekać. Teraz musiał się rozejrzeć po Dziedzińcu i sprawdzić, czy uda mu się zrobić jakiś biznes z tymi facetami, wściekającymi się na brak jedzenia. Rzucił na stół dostatecznie dużo pieniędzy, żeby pokryć rachunek, i ruszył w stronę drzwi.

Już na zewnątrz uświadomił sobie, że siedzący przy barze blondyn, który również pił piwo, przez cały czas obserwował go w wiszącym za barem lustrze.

W spotkaniu w gabinecie burmistrza udział wzięli p.o. burmistrza Walter Chen, komisarz policji Raymond Alvarez, agent Biura Śledczego Greg O'Sullivan oraz Monty i kapitan Burke.

– Dzisiaj rano zadzwonił do mnie gubernator Hannigan – rzekł Chen. – Z najnowszych raportów wynika, że brakuje nam konkretnych pokarmów, a komisarz Alvarez powiedział, że wzrosła liczba włamań do rzeźników i małych sklepów spożywczych. Moim zdaniem jednak – a gubernator się ze mną zgadza – *terra indigena* nie ograniczyli transportów jedzenia do tego stopnia, żeby nie można było kupić żadnej żywności. Czy sklepy mogą próbować stworzyć „towary luksusowe”, żeby podnieść ceny? Jak myślicie?

Zebrani popatrzyli wyczekująco najpierw na O'Sullivana, potem na Burke'a. Ale to Alvarez zabrał głos:

– Wysłałem swoich ludzi do każdej ludzkiej farmy zaopatrującej Lakeside, żeby sprawdzili jej status, jak i pozycję danej rodziny. Burze, które nawiedziły miasto, sięgały tylko jego granic, tak więc zniszczenia na farmach nie były tak duże. Ich mieszkańcy przeżyli, bydło też przetrwało. Sklepy zaopatrujące farmy

zgłaszają deficyt produktów, takich jak cukier czy kawa, mają nadzieję, że otrzymają jakieś dostawy, zanim te produkty zupełnie się skończą, ale dla nich to nic niespodziewanego. To samo z farmerami. Nadal pozyskują mięso, nabiał, jaja i sprzedają je na rynku.

– Mam wrażenie, że zwierzęta z Regionu Środkowo-Zachodniego są dostarczane wolniej do miast, takich jak Shikago, w których przetwórstwo mięsne zaopatruje większość Regionu Północno-Wschodniego – rzekł Burke. – Dostarcza się również mniej zboża, ale wszystkie towary przekraczają granice. To samo z żywnością produkowaną w Regionie Południowo-Wschodnim. Farmerzy nie eksportują tak dużo poza granice swoich obszarów, bo zachęca się ich, żeby najpierw sprzedawali co się da na miejscu.

– Różnice w podaży i popycie mogą też brać się stąd, że tymczasowo wzrosła populacja w Lakeside i innych kontrolowanych przez ludzi miastach na Północnym Wschodzie – zauważył O’Sullivan. – Wiele osób uciekło z Toland jeszcze przed albo tuż po burzy. Niektórzy wrócili do domów – albo na stałe, albo w celu ratowania dobytku. Wielu z nich szuka pracy i miejsca do zamieszkania. Problem polega na tym, że teraz jest o wiele mniej kontrolowanych przez ludzi miast niż jeszcze miesiąc temu. Na obszarze Jezior Palczastych są dwa miasteczka uniwersyteckie. Wokół nich powstały mniejsze miejscowości, farmy, winnice i winiarnie. Są tam też dzikie tereny. Wszystkie te miejsca, łącznie z miastami uniwersyteckimi, są teraz po części oddzielone od reszty świata – jeszcze bardziej niż kiedyś. Ludzie mogą przyjeżdżać i odjeżdżać, towary są dostarczane do sklepów. Telefony nie zawsze łączą rozmowy zamiejscowe – a linie telefoniczne między Jeziorami Palczastymi a Toland są zrywane tak często, że firma telekomunikacyjna przestała je naprawiać. Ale ludzie, którzy mają konkretne umiejętności, z pewnością mogliby czerpać korzyści w tych małych miejscowościach albo pracować na uniwersytetach – gdyby tylko się tam przenieśli. – Na jego twarz wypłynął wymuszony uśmiech. – Nie sądzę, żeby wielu ludzi chciało się przeprowadzić na tereny kontrolowane przez *terra indigena* – zwłaszcza że mało osób jest przyzwyczajonych do tak ścisłej kontroli.

– A co z Innymi na Dziedzińcu? – spytał Chen. – Czy u nich też są deficyty?

Do tej pory Monty się nie odzywał. Teraz wszyscy zamilkli, oczekując, że wreszcie zabierze głos.

– Nie wszystkich towarów jest tyle, ile było do tej pory – powiedział ostrożnie. – Ale to dlatego że władze Dziedzińca w Lakeside pozwoliły niektórym policjantom robić zakupy, również spożywcze, w swoich sklepach. Wszyscy mieszkańcy budynków zakupionych przez Stowarzyszenie Przedsiębiorców również mogą kupować jedzenie na Dziedzińcu.

– Czyli próbują nakarmić więcej osób jedną miską ryżu? – spytał Chen.

– Tak, sir. Właśnie niedawno zostało mi to uświadomione. – Nie powiedział,

że sam powinien wcześniej zorientować się w sytuacji. – Zasugerowano, że jeśli ludzie chcą nadal jadać na Dziedzińcu i kontaktować się z *terra indigena*, wszyscy mieszkańcy powinni oddawać część swojego przydziału mięsa do baru i restauracji na rynku.

– Myślisz, że ludzie się na to zgodzą?

Monty się uśmiechnął.

– Wydaje mi się, że Stowarzyszenie Przedsiębiorców nie będzie się kłócić ze stadem samic.

– Należy też porozmawiać z Elliotem Wilczą Strażą. – O’Sullivan wyjął z wewnętrznej kieszeni złożoną kartkę papieru i wręczył ją Chenowi. – Aby zapisać się na książkę przydziału, trzeba się udać do biura władz, które zajmuje się dystrybucją, i wskazać miejsce zamieszkania oraz zatrudnienia, a także – jeśli ma to być przydział na całą rodzinę – przedstawić listę osób należących do tej rodziny, żeby się nie okazało, że ktoś twierdzi, że ma czworo dzieci, a w rzeczywistości ma tylko dwoje.

– Można też otrzymać książki w miejscu zatrudnienia – zauważył Chen. – Jak na przykład wszyscy policjanci i pracownicy komisariatu przy Orzechowej.

– Za dystrybucję będzie odpowiedzialny dział księgowości na każdym komisariacie – rzekł Alvarez, patrząc na Burke’a i Monty’ego.

O’Sullivan wskazał kartkę, którą wręczył Chenowi.

– Te osoby są zatrudnione na Dziedzińcu. Jako ludzie są uprawnieni do otrzymywania książek. Pan Wilcza Straż nie chciał, żeby czuli się pokrzywdzeni, tylko dlatego że nie pracują dla swojego gatunku.

– Konsul jest bardzo skrupulatny – rzekł z uznaniem Chen. – Osobiście dopilnuję, żeby te nazwiska zostały prawidłowo wprowadzone. I ci ludzie otrzymają książki na Dziedzińcu?

– Tak. Konsulat je rozprowadzi.

Chen zaczął się wpatrywać w jedno z nazwisk; po chwili spojrzał na O’Sullivana.

– Ona jest człowiekiem – powiedział cicho O’Sullivan. – Ma takie samo prawo do przydziałów jak inni ludzie.

Monty zeszywniał. Czyżby Elliot dodał nazwisko Meg do listy, która miała trafić do biura burmistrza?

– Fakt, że wiemy, gdzie ona jest, nie oznacza jeszcze, że możemy do niej dotrzeć – rzekł Burke tak cicho, że ledwo było go słyszeć. – Ale ponieważ została włączona, powstaje kwestia tego, co z pozostałymi dziewczynami. Wszystkie muszą się zmierzyć z wieloma wyzwaniem i z pewnością nie chcą, by to, ile dostaną żywności, zależało od innych osób.

Monty nie wiedział, w jaki sposób Steve Przewoźnik przydzielił pięć młodych *cassandra sangue*, mieszkających w wiosce Intuitów, albo Jean, która

mieszkała z rodziną Prostego Życia. Czy Intuici lub członkowie Prostego Życia w ogóle mieli otrzymywać książki z przydziałami? Czy ich potrzebowali? Musiał się tego dowiedzieć. Ale nie tu i nie teraz.

– Porozmawiam ze wszystkimi przywódcami komisariatów i dopilnuję, żeby wiedzieli, iż wszelkie oszustwa cenowe będą zgłaszane do odpowiednich służb – zadeklarował Alvarez. – Ponieważ ludzie rejestrują się w sklepach, właścicielom nie wolno czerpać korzyści z tej, miejmy nadzieję, przejściowej sytuacji.

– Poruczniku, jeszcze jedno. – Chen podniósł torbę stojącą na podłodze obok jego krzesła. Postawił ją przed Montym, łagodnie się uśmiechając. – Ryż. To podstawowy pokarm w mojej okolicy. Daruję go mieszkańcom Dziedzińca w Lakeside w ramach gestu dobrej woli.

– Dopilnuję, żeby go otrzymali – rzekł Monty.

On, Burke i O’Sullivan wyszli razem. O’Sullivan zatrzymał pozostałych, zanim doszli do samochodów.

– Poruczniku, powinien pan wiedzieć, że Elliot Wilcza Straż wliczył pańską matkę i siostrę w grono pracowników i lokatorów Dziedzińca. Jednocześnie precyzyjnie określił, że pański brat nie jest ani pracownikiem, ani lokatorem, w Lakeside ma pozycję tymczasowego gościa i nie może rościć sobie praw do stałego pobytu.

– Czy Cyrus szuka pracy albo innego miejsca do życia? – spytał Burke.

Monty pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, jego oficjalne miejsce zamieszkania to nadal jakaś ulica w Toland.

– W takim razie i pan, i on powinniście być świadomi tego, że książka przydziału dla niego i jego rodziny będzie wydawana w Toland – zaznaczył O’Sullivan. – Będzie musiał tam wrócić i osobiście ją odebrać albo podać właściwym władzom swój nowy stały adres.

Jimmy z pewnością nie odpuści. Nigdy nie odpuszczał, a jeśli nawet, to na krótko. Monty jednak podejrzewał, że jego brat nie wróci do Toland specjalnie po książkę przydziałów.

– Podrzucić cię na Dziedziniec? – Burke zwrócił się do O’Sullivana.

– Nie, ale dzięki za propozycję. Mam jeszcze trochę roboty w tutejszym biurze. Chciałem tylko zamienić z tobą słowo i powiedzieć wam o Cyrusie.

– Doceniam to – rzekł Monty.

Monty poprosił Kowalskiego, żeby zawiózł ryż na Dziedziniec i wrócił do patrolowania okolicy; następnie razem z Burke’em pojechał na komisariat.

– Czy zdaniem Innych wystąpiły niedobory? – spytał Burke już w drodze. – Czy po prostu wykorzystują te towary, które akurat są dostępne?

– Oni jedzą to, co mogą jeść o danej porze roku – odparł Monty. – A dostawy żywności z farm tubylców ziemi zmieniają się z tygodnia na tydzień.

– Daj mi znać, co postanowią kobiety w kwestii dzielenia się przydziałem mięsa. Przyłączę się do nich.

Monty przyjrzał się kapitanowi.

– Ale przecież ty z reguły nie jadasz na Dziedzińcu.

Burke odezwał się, dopiero gdy wjechali na parking przy komisariacie.

– Przez jakiś czas chyba powinienem tam jadać, prawda?



– Zamówię lasagne – powiedział Jimmy. Nie wiedział, co za dziwoląg prowadzi sklep z mięsem na rynku. Z pewnością nie był to żaden z Wilków, bo we włosach miał brązowe pióra.

– Cztery porcje lasagne kosztują dziesięć dolarów. Naczynie dodatkowe pięć. Gdy je oddasz, zwrócimy ci pieniądze. – Dziwoląg wyjął rejestr, otworzył księgę na oznakowanej stronie i zaczął coś pisać.

– Co to jest? – spytał Jimmy.

Dziwoląg nie odpowiedział. Po chwili odłożył księgę i zaczął pakować jedzenie. I właśnie w tym momencie do sklepu weszła Sierra.

Jimmy uśmiechnął się, stwierdziwszy, że zawahała się na jego widok. Ta suka powinna się wahać. Miała mu dużo do zrekompensowania.

– Cześć, Sissy – powiedział uprzejmie. – Miałaś miły dzień w pracy?

– Tak. – Podeszła do lady, ale nie spuszczała z niego wzroku, próbując wyczuć jego nastrój. I prawidłowo. Potem zwróciła się do dziwoląga: – Cześć, Boone. Chciałabym opakowanie lasagne.

Brązowe oczy zaczęły się w nią wpatrywać.

– To cztery kawałki.

– Dzisiaj ze mną i z dziewczynkami zje moja mama.

Kolejne notki w księdze. Kuźwa. Czyżby dziwolągi rejestrowały to, co zostało kupione i w jakich ilościach? Cóż, będzie musiał wykombinować, jak to obejść, żeby zapewnić swoim klientom regularne dostawy mięsa.

Zerknął z ukosa na Sissy. Przy pomocy kogoś, kto miał wobec niego dług, być może wcale nie będzie to takie trudne.

Począł na nią i wyszli razem ze sklepu. Gdy już byli na zewnątrz – gdzie z pewnością coś ich obserwowało – zacisnął dłoń na jej torbie.

– Zaniose ci to.

– W porządku, nie trzeba – powiedziała pośpiesznie. – Sama sobie...

Jeśli mi się sprzeciwisz, zapłacisz za to.

W jego oczach wyczytała groźbę; posłusznie puściła uszy torby.

– Dziękuję, Jimmy.

Boże, ta suka jeszcze mu podziękowała! Czy mogłoby być lepiej?

Ruszyli przez otwartą część rynku. Przeszli przez parking dla pracowników

do drewnianych drzwi, które wychodziły na parking dla klientów, gdy część sklepów była otwarta dla wszystkich mieszkańców. A potem przebiegli przez Wronią Aleję do budynku mieszkalnego.

O tej porze dnia zewnętrzne drzwi były otwarte, ale z pewnością w pobliżu kręcił się ten krwio pijca. Podczas gdy Sissy otwierała zamek, Jimmy schował jej torbę do swojej. Przecież w łączeniu zakupów nie było nic podejrzanego.

Miał w rękę klucz do swojego mieszkania i już się odwracał w stronę drzwi, gdy Sierra sięgnęła po swoją torbę. Zamarła, zaskoczona – i trochę przerażona.

– Jimmy...

– Wszystko w porządku, Sissy. – Jego uśmiech i przyjazny głos mocno kontrastowały z wyrazem jego oczu. Mimo wszystko odegrał swoją rolę. Był życzliwym bratem, który po raz kolejny pomaga swej siostrze – dając jej suć powód do ewentualnego płaczu i jęków. – Zrewanżujesz się, gdy tylko będziesz miała pieniądze. – Następnym razem wyciągnie od niej trochę gotówki, a ten durny krwio pijca potwierdzi, że przecież miała u niego dług. Świetnie mu to wyszło, prawda?

Zadowolony z siebie, wszedł do swojego mieszkania i zamknął drzwi tuż przed nosem Sissy.

W kuchni zastał zaniedbaną i nabzdyczoną Sandee. Na bogów, co on w niej kiedyś widział?

– Masz. – Wyjął z torby jedną z lasagne. – Kolacja. Ja jem połowę, a ty i dzieciaki resztę.

– To za mało – zaczęła jęczeć Sandee. Utkwiła wzrok w drugiej lasagne, którą schował do lodówki. – Przecież masz jeszcze jedną.

– Bo zrobiłem interes – warknął. – Ale jeśli braknie choćby okruszka, skończysz z połamanymi paluchami i wybitymi zębami. – Spojrzał ostro na Clarence'a i Fanny, którzy stanęli w progu. – To się tyczy również was.

– Nie mów tak do swoich dzieci – zaprotestowała Sandee.

– A kto powiedział, że są moje? Nie mam na to żadnego dowodu.

– Jimmy... – szepnęła ze łzami w oczach.

– Jeśli masz zamiar ryczeć, to gdzie indziej. A jeśli chcesz żreć, to to podgrzej.

Sandee pociągnęła nosem, wytarła oczy, stanęła przy blacie i wzięła się za szykowanie jedzenia. Dzieciaki się zmyły, co było mu bardzo na rękę. Rozsiadł się przy stole i patrzył, jak Sandee mocuje się z pudełkiem lasagne. Nie ufał jej. Z pewnością będzie próbowała podezreć coś na zimno, a dopiero resztę podzieli.

Ten rejestr u rzeźnika będzie problemem. Ale z pewnością uda się to jakoś obejść.



W drodze do sklepu spożywczego, w którym zamierzała kupić warzywa na sałatkę do lasagne kupionej przez Sierrę, Twyla zobaczyła, jak jej córka wchodzi do rzeźnika. Nawet nie podziękowała Vladimirowi za to, że przytrzymał jej drzwi.

A przecież próbowałam nauczyć ją dobrych manier, pomyślała. A potem zauważyła coś dziwnego w ruchach dziewczyny; pobiegła do sklepu i weszła do środka.

– ...potknęłam się o jedną z zabawek dziewczynek i cała lasagne wypadła mi na podłogę. Nic nie udało mi się uratować. – Sierra spojrzała nieśmiało na Boone’a Jastrzębią Straż. – Muszę kupić kolejną.

– Nie mam więcej – odparł.

Sierra spojrzała na stojące w lodówce pojemniki z lasagne.

– Ale...

– Te są już zarezerwowane.

– Jeśli nie kupię kolejnej, moje dziewczynki i mama nie będą miały co jeść.

– Nie mam więcej – padła odpowiedź. – To, co mi zostało, jest już zarezerwowane.

Twyla słuchała rozmowy, ale obserwowała Vladimira. Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że Sierra kłamie. Wiedziała, że skontaktował się już ze strażą spod budynku mieszkalnego. Łatwo było się domyślić, co tak naprawdę się wydarzyło.

Wiedziała też, co powinna zrobić, żeby spróbować ochronić Bonnie i Carrie. Wymknęła się ze sklepu i pobiegła do Zabójczo Dobrych Lektur. Simon właśnie wychodził tylnymi drzwiami.

– Panie Simonie. – Szybko ruszyła w jego stronę. – Możemy porozmawiać na osobności?

Zaszła w nim jakaś zmiana, jakby wyczuł, że tym razem sama ludzka postać może mu nie wystarczyć. Spojrzał w stronę biura łącznika i podniósł rękę.

Meg pomachała do Twyli, a potem uśmiechnęła się do Simona i wskazała na rynek.

– Panienska Meg nie powinna teraz iść na rynek. A już na pewno nie sama – zauważyła Twyla.

Nathan, który właśnie biegł w stronę domu, gwałtownie zawrócił i ruszył w kierunku Meg. Doskoczył do niej i popchnął na drzwi prowadzące do biura.

– Ej! – zaprotestowała.

– Poczekaj na mnie! – krzyknął Simon.

Spojrzała na Simona, potem na Nathana i kiwnęła głową.

Przynajmniej panienska Meg nie zostanie wplątana w to, co tam się będzie działo.

Simon otworzył tylne drzwi do ZDL i przytrzymał je. Westchnęła i weszła do środka.



Vlad? zawołał Simon. Co dzieje się na rynku?

Po tym, jak Meg zaprosiła jego i Nyx na kolację, Sanguinati zaproponował, że przyniesie lasagne. Nyx rzadko siadała do stołu z ludźmi i Meg bardzo się cieszyła, że tym razem przyjęła zaproszenie.

Sierra próbowała okłamać Boone'a Jastrzębią Straż, żeby kupić drugi pojemnik z lasagne. Vlad przerwał, a potem dodał: Właśnie wybiegła ze sklepu. Porucznik Montgomery jeszcze nie wrócił do domu, podejrzewam więc, że pobiegła po pomoc do matki. Mam coś z tym zrobić?

Weź nasz przydział i odprowadź Meg do domu. Nathan pilnuje jej przy drzwiach do biura łącznika.

Po chwili Simon skupił się na pani Twyli.

– Dał pan Sierrze szansę, a ona ją zmarnowała – rzekła kobieta. – Jeśli powie pan, że to koniec, zaakceptuję tę decyzję.

– A co chcesz, żebym powiedział? – Nie był pewien, czego od niego oczekuje.

– Co się dzieje w waszym gatunku, jeśli rodzic nie przyniesie jedzenia do domu? – spytała.

– Szczeniaki są głodne. Jeśli będą głodne zbyt długo, padną.

Pokiwała głową.

– Wiem, że Sierra ma w swoim mieszkaniu bardzo mało jedzenia – trochę masła orzechowego i krakersów. Może trzyma coś jeszcze w szafkach, ale z pewnością nie ma produktów potrzebnych do przygotowania posiłku, a krakersy z masłem orzechowym to nie lasagne.

Simon przekrzywił głowę.

– Chcesz, żeby szczeniaki Sierry były głodne?

– Owszem. Tym razem niech nikt jej nie wspiera. Ani ja, ani pan, ani sąsiedzi, a już na pewno nie Crispin. Sierra doskonale wie, że będzie chciał pomóc swoim siostrzenicom. A dopóki ktoś będzie dbał o dziewczynki, Sierra nie będzie potrafiła się przeciwstawić Cyrusowi. Jestem pewna, że pan Vlad – tak samo jak ja – dobrze wie, że jakimś cudem Cyrus przejął lasagne, którą kupiła.

– Ale jeśli ugryzę porucznika Montgomery'ego, chcąc go powstrzymać przed niesieniem pomocy siostrze, mogą się pojawić dodatkowe problemy.

Pani Twyla się uśmiechnęła.

– Mam nadzieję, że Crispin jest na tyle mądry, by nie trzeba było go gryźć. – Po chwili jej uśmiech zniknął. – Nie powinnam była prosić o pomoc.

– Jesteś częścią mojego stada. – Akceptując jej wybór, przypieczętował jej przynależność. Poza tym właśnie takiej konfrontacji pragnęli Starsi, chcący sprawdzić, jakim cudem człowiek, taki jak Cyrus, mógłby wywołać tak poważne

problemy. – Dam porucznikowi dostatecznie dużo powodów, żeby nie pomagał Sierrze – rzekł Simon. – Dzisiaj wieczorem powinnaś się schować.

– Nie, panie Simonie. Sierra musi zobaczyć, że to nie tylko pańska decyzja. Może i rozpieszczacie swoje młode, założę się jednak, że wy, Wilki, doskonale rozumiecie, co to znaczy surowe wychowanie. Ja też to rozumiem.

Westchnął.

– Stado samic będzie niezadowolone. I chyba nikt nie pogodzi się z faktem, że tego wieczoru Cyrus i jego samica będą jeść lasagne.

Pani Twyla dotknęła jego ramienia.

– Myślę, że powodem ich niezadowolenia nie będzie pańska decyzja.

Potem odwróciła się i odeszła.

Simonie? krzyknął Vlad. *Meg odczuwa mrowienie. Powiedziałem jej więc, gdzie mogą dziś wystąpić problemy. Ona i Nyx postanowiły przenieść naszą wspólną kolację na jutro. Sprawdź, czy u Tess jest jeszcze coś, co ty i Meg moglibyście zjeść.*

Gdzie jest teraz Meg?

Rozmawia ze stadem samic. Wydaje mi się, że większość naszych najemców będzie dziś szukać jakiegoś jedzenia.

Simon, warcząc cicho, ruszył do Czegoś na Ząb. Tam usłyszał rozmawiającą przez telefon Nadine Fallacaro. Wyczuł warczenie w jej głosie i się zawahał.

– Dobrze zrobiłaś – powiedziała kobieta. – Nie ma sensu marnować dobrego jedzenia. Eve Denby właśnie weszła do domu. Zadzwoń do niej i dam jej znać. Chcesz, żeby ktoś przyniósł ci skrzynkę z kartami? Nie? Dobrze, jeśli go spotkam... O, właśnie przyszedł. Powiem mu. – Odłożyła słuchawkę.

– Dzisiaj niejemy lasagne – rzekł Simon.

– Możecie sobie wybrać z witryny, co tylko chcecie – odparła Nadine. – Muszę zadzwonić do Eve.

Wybierając jedzenie dla siebie i Meg, Simon słuchał rozmowy Nadine. Zaczęło mu się robić żal – samego siebie i Montgomery'ego. Wszystko wskazywało na to, że tego wieczoru stado samic chce się zebrać na rynku, a on i Montgomery – i Sierra – mieli się znaleźć w samym centrum tego zamieszania.

Rozdział 11



Sobota, 11 sierpnia

Słuchając serdecznego głosu Pete'a, Monty zeszywniał.

– Jedziemy do Przystani Przewoźników, żeby zjeść w Skwierczących Burgerach. Dzieciaki je uwielbiają. Henry Niedźwiedzia Straż powiedział, że nikt nie sprzeciwi się temu, żebyśmy tam pojechali. Czy możemy zabrać Lizzy?

– Jeśli chce, to nie ma sprawy. – Nie umknął jego uwadze fakt, że on nie został zaproszony.

– Lepiej, żeby z nami pojechała. – Ostrożnie wypowiedziane ostrzeżenie.

Monty spojrział na Kowalskiego, który rozmawiał przez telefon komórkowy, z bardzo poważną miną.

– Wrócimy przed nocą – rzekł Pete.

Tłumaczenie: niezależnie od tego, jakie problemy pojawią się do tej pory na Dziedzińcu.

Kowalski zakończył rozmowę w tym samym czasie, w którym Monty się rozłączył. Burke podszedł do biurka porucznika.

– Być może nie jest to najlepszy wieczór na jedzenie na Dziedzińcu – powiedział cicho Monty. – Wygląda na to, że szykują się kłopoty.

Burke się uśmiechnął.

– To może być interesujące.

– „Interesujące” to chyba niewłaściwe słowo – mruknął Kowalski.

Po chwili on i Monty zgodzili się, żeby kapitan ich podrzucił.

Zamiast jechać na Dziedziniec i zostawić samochód na parkingu dla pracowników, Burke wjechał na parking dla klientów. W godzinach pracy sklepów drewniane drzwi między dwoma parkingami z reguły były otwarte, dzięki czemu najemcy mieli łatwy dostęp do rynku.

„Otwarte” nie oznaczało „niestrzeżone”, ale z reguły wartę pełnił ktoś inny niż Wilk w ludzkiej postaci – a już na pewno nie Simon Wilcza Straż. Ale to właśnie on czekał na nich, gdy Burke parkował samochód.

Wszyscy trzej wysiedli. Burke stanął obok Simona, Kowalski trzymał się kilka kroków z tyłu. Czyżby ich krył? Czy może zachowywał ostrożność, bo wiedział więcej, niż powiedział na temat tego, co się tu działo?

– Poruczniku – odezwał się Simon.

Do Burke’a ledwo co kiwnął głową, po czym skupił się na Montym.

– Jakiś problem? – spytał ten, z trudem zachowując spokój. Lizzy była z Eve i Petem. Nic nie mogło jej się stać. Była bezpieczna. Ale co z resztą dzieci? Co z jego matką i siostrą?

Simon podszedł do niego i odsłonił zęby, ukazując wilcze kły.

– Jeśli ktokolwiek pomoże dziś Sierrze w nakarmieniu szczeniaków, rano już ich nie będzie. Poruczniku, słowo „ktokolwiek” odnosi się również do ciebie. Głównie do ciebie.

Zaskoczony, Monty nie odezwał się ani słowem. Po chwili Simon odszedł. Porucznik zwrócił się więc do Kowalskiego:

– Co wiesz?

– Nadine pokazała pracującym w Mięsie i Zieleninie *terra indigena*, jak przygotować lasagne. Danie specjalne. Dużo składników. Ograniczona ilość. Część sprzedawano u rzeźnika w naczyniach po cztery porcje. Reszta będzie dziś podana w Mięsie i Zieleninie. Wiem aż tyle, ponieważ Ruthie powiedziała mi, że musimy się podzielić z Merri Lee i Michaeliem. Zastosowano tygodniowy limit mięsa na osobę, który można kupić na Dziedzińcu. Mięso w każdej porcji lasagne odpowiada właśnie temu limitowi. – Kowalski pomachał ręką w stronę drzwi, które Simon zostawił otwarte. – A to? Słyszałem, że Sierra okłamała Boone’a Jastrzębią Straż, gdy próbowała kupić drugi pojemnik z lasagne.

Na bogów... Cóż, mógł tylko zgadywać, dlaczego próbowała kupić więcej jedzenia, niż wynosił jej przydział.

– Porozmawiam z nią.

– Może najpierw powinieneś porozmawiać ze swoją matką. – Burke kiwnął głową w stronę kobiety, która obserwowała ich z drugiej strony parkingu dla pracowników. – Była tutaj. – Potem zwrócił się do Kowalskiego: – A ty jesteś już po służbie.

Kowalski spojrzał na Monty'ego, a potem na Burke'a.

– Jest pan pewien, sir?

– Tak.

Kowalski poszedł do świateł na rogu, żeby przejść na drugą stronę ulicy, zamiast próbować przeciąć w poprzek Wronią Aleję.

– Przepraszam – wymamrotał Monty i zostawił Burke'a, żeby porozmawiać z matką.

Twyla nie odezwała się słowem, tylko obeszła garaże za sklepami i ruszyła w stronę mieszkań do wynajęcia. Zatrzymała się przy schodach.

– Jeśli odczuwasz taką potrzebę, możemy wejść na górę – powiedziała. – Ale nie odczuwasz. – Ojciec nauczył go wielu rzeczy, jednak grzeczności nauczyła go matka. Między innymi tego, że należy szanować uczucia innych. Oboje rodzice nauczyli go też, że musi bronić sam siebie, nie robiąc krzywdy innym. Czy Twyla czasem karciała swoje dzieci, gdy zbyt mocno naciskały albo ją denerwowały? Oczywiście. Od czasu do czasu robił to każdy rodzic. Ale rzadko gniewała się tak naprawdę, nawet na Jimmy'ego. A teraz była prawdziwie zła. – Łatwo powiedzieć, że pomagamy Sierrze tylko po to, by pomóc dziewczynkom – powiedziała.

– Łatwo, bo to prawda – odparł cicho.

– Ale nie tym razem, Crispinie. Jeśli teraz jej pomożemy... to będzie jak danie upoważnienia, prawda?

Miał ochotę wejść z nią w dyskusję na temat czytania czasopism psychologicznych, lecz wiedział, że nie jest w nastroju.

– Co mam zrobić? – zapytał.

– Pan Simon robi to, co potrzeba – i to, o co go poprosiłam. I chcę, żebyś go w tym wspierał.

Monty westchnął przeciągle.

– Może nie powinienem był zachęcać Sissy, żeby przyjechała tu wraz z tobą.

– A co zrobiłaby w Toland sama z dwiema małymi dziewczynkami, zwłaszcza po przejściu burzy? Nie, Crispinie, pomagając swojej siostrze – i mnie – postąpiłaś słusznie. Teraz musisz jej pomóc w surowszy sposób.

Pocałował matkę w policzek.

– Denby zabrali Lizzy do Przystani Przewoźników. Chcesz iść ze mną na kolację do Mięsa i Zieleniny?

Miał ochotę wrócić do domu i się przebrać, jednak nie chciał spotkać Sissy – a już na pewno nie chciał rozmawiać z Jimmym, który musiał mieć coś wspólnego z całym tym zamieszaniem.

Dostał tylko połowę tego, co chciał, ponieważ Sissy akurat była na rynku i kłóciła się z Simonem.

– Przecież to tylko głupi kawałek lasagne! – krzyczała.

– To jedzenie – warknął Simon. – A ty wzięłaś już swój przydział. Więcej nie dostaniesz. Nie na Dziedzińcu.

– Ale moje dziewczynki są głodne!

– To idź do ludzkiego sklepu i kup tam jedzenie!

– Nie stać mnie dziś na kolejny posiłek, nie wystarczy mi z tego, co mi płacicie.

– To było nie na miejscu – szepnęła Twyla, kręcąc głową. – Nie powinna tak pyskować, skoro wie, że to jej wina.

– Jeśli nie podoba ci się nasza stawka, znajdź sobie inną pracę – warknął Simon, ukazując kły.

Monty przyjrzał się tłumowi zebranemu wokół Sissy i Simona. Stała tam większość pracujących na Dziedzińcu kobiet poza Katherine Debany i Elizabeth Bennefeld, masażystką. Wśród samic *terra indigena* znajdowały się Tess, której włosy były teraz czerwone i kręcone, Nyx Sanguinati i Ogień, wpatrująca się w swą siostrę z przerażającą intensywnością.

Simon zaczął odchodzić, niosąc ze sobą jedno z zabezpieczonych opakowań z Czegoś na Ząb.

– Żebyś się tym udławił! – wrzasnęła za nim Sissy.

Na rynku zapadła przerażająca cisza. Simon odwrócił się do Sierry. Przez chwilę wyglądał na przerażonego. Monty, patrząc na niego, nie wiedział, czy Wilk boi się o siebie, czy o Sissy.

– Jesteś zwolniona – rzekł Simon. – Szukaj pracy u ludzi.

– Zgadzam się – dorzucił Vlad, występując spośród tłumu.

– Ja też. – Henry również zrobił kilka kroków do przodu.

– Tak – syknęła Tess.

Simon odszedł, a Inni razem z nim.

Na bogów, Sissy, pomyślał Monty. W najlepszym razie jej zachowanie można było uznać za głupie i dziecinne. Ludzki szef też by ją zwolnił. Nie rozumiała, ile miała szczęścia, że Simon nie zrobił czegoś gorszego.

Monty dotknął ramienia matki.

– Odprowadź Sissy do domu. Może idź do Mięsa i Zieleniny? Dołączę do ciebie, gdy tylko będę mógł.

Twyla pokręciła głową.

– Posiedzę w bibliotece. Potrzebuję ciszy i czasu, żeby się uspokoić.

Nie chciał zostawić jej samej. Jej również było ciężko patrzeć na cierpiącą Sissy. Gdy jednak spojrział dalej, zobaczył Elliota Wilczą Straż, który popatrzył mu w oczy i pokiwał głową.

Twyla była teraz częścią stada Wilczej Straży. Wilki będą jej strzegły.

Monty pośpieszył do Sierry, płaczącej na środku placu. Wyglądała jak mała dziewczynka, która została sama na placu zabaw i nie potrafi – albo nie chce – sobie pomóc.

– Chodź, Sissy. – Objął ją w ramionach. – Odprowadzę cię do domu.

Dyżurujący Sanguinati przyjrzał się mu z zaciekawieniem, ale nie odezwał się, gdy Monty zaprowadził swoją siostrę do jej mieszkania na górze.

Dziewczynki były same w domu, bez opieki, co trochę go zirytowało; wreszcie uświadomił sobie, że Inni z pewnością nie widzieli nic niestosownego w tym, że młode zostały same w norze, podczas gdy obok znajdowały się dorosłe osobniki.

– Mamusiu? – odezwała się Carrie, gdy weszli do środka.

– Pobawcie się grzecznie jeszcze przez chwilę – poprosił Monty i zaprowadził Sissy do jej sypialni.

Zamknął drzwi i usiadł obok niej na łóżku. Następnie wziął z nocnego stolika pudełko chusteczek i podał je siostrze. Począł, aż się wypłacze.

– CJ... – Patrzyła na niego wzrokiem, pod wpływem którego jego serce zawsze topniało. – CJ, przecież to był tylko głupi pojemnik z lasagne. Mieli tego mnóstwo. Dlaczego potraktowali mnie tak okrutnie?

Pokręcił głową.

– Jeden kawałek na osobę. To bardzo logiczne podejście.

– Ale teraz moje dziewczynki nie mają co jeść. Nie mam nawet szklanki mleka, którą mogłabym między nie podzielić.

– Będą głodne – powiedział ze współczuciem. – Jutro kupisz więcej jedzenia. – Być może. Nie wiedział, które sklepy poza Czymś na Ząb będą otwarte w niedzielę. – Sissy, nie mogę dać ci dziś jedzenia.

– Mógłbyś dać mi klucz do swojego mieszkania, a ja zakradłabym się tam i wzięła kilka rzeczy z lodówki i szafek. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Wezmę malutko... Tylko tyle, żeby starczyło dla dziewczynek.

– Nie mogę tego zrobić. Jeśli ci pomogę, Inni zabiorą ci dzieci. – Gdyby wsparł ją mimo ostrzeżenia Simona, możliwe, że *terra indigena* nawet nie powiedzieliby mu, gdzie ukryli jego siostrzenice. – Sissy, oni nie blefują. Zachowujesz się tak, jakby blefowali, ale oni nie blefują.

– CJ...

Boże, ona go wykończy. Czy zrobienie kanapki dla dziewczynek rzeczywiście byłoby aż takim przestępstwem? Gdyby miał do czynienia z ludźmi, być może nie byłoby tak źle. Ale to byli Inni, a Inni patrzyli na to w inny sposób.

– Nie mogę ci pomóc.

– Nie chcesz mi pomóc. – Odsunęła się od niego. – Bo tak naprawdę nie jestem twoją rodziną.

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Czy Jimmy znów nakładł ci do głowy jakichś bzdur?

– To nie bzdury, to prawda.

– Sissy, jak na mądrą dziewczynę, która tak świetnie radziła sobie w szkole, czasem zachowujesz się naprawdę głupio. – Spróbował ją przytulić, ale ona zerwała się na równe nogi i odsunęła najdalej, jak tylko mogła. Monty westchnął i też wstał. – Posłuchaj, nadal mam do dyspozycji mieszkanie z jedną sypialnią obok ulicy rynkowej. W tej części miasta było trochę problemów, ale jeśli chcesz uciec od Jimmy’ego, możesz tam zamieszkać. – Planował porozmawiać z właścicielem o rozwiązaniu umowy, żeby uwolnić się od tego wydatku. Wydawało mu się, że nie będzie miał nic przeciwko temu, ponieważ w ciągu ostatnich kilku tygodni, gdy do miasta napłynęło tylu nowych mieszkańców, czynsze wzrosły niemal dwukrotnie. Jeśli jednak Sissy będzie chciała płacić za tamto mieszkanie, porozmawia z gospodarzem o pokryciu kosztów zużycia wody na trzy osoby zamiast na jedną.

– Sama zajmę się sobą i moimi dziewczynkami. Nie potrzebuję twojej pomocy.

Uderzyło go rozgoryczenie w jej głosie.

– Do zobaczenia rano.

Nie odpowiedziała, więc ruszył do drzwi, uśmiechając się po drodze do Carrie i Bonnie.

Wszedł do swojego mieszkania, żeby się przebrać i sprawdzić pocztę, a następnie wrócił na Dziedziniec, by zjeść kolację z matką. Cały czas jednak myślał o Sierrze – nie jako starszy brat, ale jako policjant. Może gdyby wcześniej podszedł do tego w ten sposób, dostrzegłby oznaki nadchodzących problemów, kiedy wszyscy mieszkali jeszcze w Toland? No cóż, ale nawet gdyby je dostrzegł – czy potrafiłby zareagować?

Przypomniał sobie o Sierrze – młodej kobiecie, która właśnie zaczęła pierwszą pracę i starała się zapłacić czynsz za niewielkie mieszkanie, taka dumna, że ma własny kąt. Ale... czy ciułała pieniądze na czynsz, dlatego że mało zarabiała – tak właśnie mu mówiła, gdy zabierał ją na lunch – czy może dlatego że co kilka tygodni wpadał do niej Jimmy i żądał pieniędzy? A później, gdy ojciec jej dzieci zwinął się na dobre, czy zaakceptował podany przez nią powód utraty pracy, dlatego że naprawdę jej wierzył, czy dlatego że jego życie z Elayne i własną małą córeczką stanowiło dla niego wymówkę, by nie zadawać trudnych pytań?

A teraz doszło do tego to, że Sissy czuje się zdradzona i wykluczona, ponieważ stwierdziła, że rodzina nie kocha jej na tyle, by pomóc jej w dalszym kroczeniu wybraną drogą.



Meg zdjęła sandały i zaczęła pocierać łydkę stopą, próbując pozbyć się mrowienia.

– Nie jesz – warknął Simon – i jesteś rozdrażniona.

Zjadła tyle, żeby nie mieć pustego żołądka, ale posiłek wcale jej nie smakował.

– Jestem wściekła na Sierrę za popsucie nam miłej kolacji, którą mieliśmy zjeść. A z drugiej strony czuję się źle ze swoją złością.

– Dlaczego? Przecież całe stado samic tak się czuje. – Przekrzywił głowę. – Masz ochotę ugryźć Sierrę?

– Tak! – Zmrużył oczy i trochę się odsunął, jakby się martwił, że zamiast Sierry może ugryźć jego. Uśmiechnęła się na ten widok. – Nie, tak naprawdę to nie – uściśliła.

Zacisnęła dłonie w pięści. Przez ostatnich kilka tygodni srebrna brzytwa była schowana w szufladzie. Dzięki temu Meg z łatwością ją znajdzie, jeśli naprawdę będzie potrzebowała się pociąć, żeby zobaczyć prorocstwo – ale nie nosiła jej już przy sobie. Teraz, gdy siedziała razem z nim w letnim pokoju, brzytwa zdawała się zbyt oddalona. Poza tym naprawdę nie miała ochoty się ciąć. Nie dla Sierry.

– Vlad nadal jest na rynku – rzekł Simon. – Tak jak Henry i Tess. Chcesz, żeby przynieśli ci karty prorocstw?

Przez chwilę się nad tym zastanawiała, a potem pokręciła głową.

Ale jeśli stanie się coś złego? Coś, co można by powstrzymać dzięki jej ostrzeżeniu?

A jeśli to coś tak naprawdę byłoby czymś dobrym?

– Wydaje mi się, że dziś coś się stanie – powiedziała.

Wgryzł się w kanapkę i popatrzył na Meg. Podniosła nogę i zaczęła się drapać po łydce, próbując pozbyć się mrowienia.

– Blair i ja wrócimy na rynek, żeby trzymać straż – rzekł wreszcie. – Sierrze i jej szczeniakom nie stanie się nic złego.

Mrowienie prawie znikło. Jej słowa były niejasne, ale najwyraźniej wystarczyły. A może ustało, bo Simon obiecał trzymać straż?

Co oznaczał dla niej i dla innych wieszczek krwi fakt, że niekiedy zwykle ostrzeżenie wystarczyło – o ile ktoś naprawdę słuchał?

Simon podniósł jej kanapkę i przysunął ją do twarzy Meg.

– Jeśli chcesz coś ugryźć, ugryź to.

Zrobiła, o co prosił. A ponieważ zahaczyła zębem o jego palec, przez resztę posiłku musiała trzymać sobie kanapkę sama.



Pod postacią Wilka Simon pobiegł z powrotem na rynek. Allison Sowie

Straż, Vlad, Blair i Elliot zajmowali już odpowiednie pozycje do obserwacji mieszkania Sierry i terenu otaczającego budynek, w którym przebywała. Gdyby Meg nie odczuwała mrowienia, żadne z nich nie poszłoby pilnować człowieka, którego nie lubiło.

Od chwili, w której Sierra rzuciła im wyzwanie, Wilki były świadome dziwnej ciszy panującej na rynku. Czyżby Starsi rozumieli, że zwolnienie jej było ludzkim sposobem na zapewnienie sobie dominacji na Dziedzińcu? A może powinien im o tym powiedzieć, żeby się upewnić, że zrozumieją taką dominację – ostatecznie będą mogli zaobserwować ją również w innych miejscach zamieszkałych przez ludzi.

Coś się dzieje? spytał, dołączywszy do Blaira i Elliota na zacienionym parkingu dla klientów.

Montgomery jeszcze nie śpi i cały czas siedzi na tarasie, odparł Blair. Vlad mówi, że Sierra też nie śpi. A Cyrus i jego samica nie wyszli tego wieczoru ze swego mieszkania. Chwilę temu albo się kłócili, albo parzyli – nie był w stanie tego określić – teraz z ich mieszkania nie dochodzą już żadne dźwięki.

Simonie?

Jesterze? – Kojot powinien być teraz w Zielonym Kompleksie i spać w swej norze.

Dziewczyny znad jeziora chcą wiedzieć, dlaczego poprosiłeś Nyx, żeby dziś wieczorem pilnowała Meg.

Poczuł wiatr w futrze. Blair i Elliot popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

Obiecałem Meg, że będziemy pilnować Sierry, ale wcześniej odczuwała mrowienie i nie chciałem, żeby była sama, odparł.

Aha. Mogę spać u niej na tarasie.

Jeśli otworzyć wszystkie okna, żeby wpuścić chłodne powietrze, Jester z pewnością usłyszałby, gdyby Meg wstała w nocy – albo otworzyła szufladę. Zaalarmowałby Nyx, która mogłaby nie zrozumieć znaczenia tego odgłosu.

Dzięki.

Nie mając nic innego do roboty, Simon i reszta usiedli, żeby pełnić straż.



Krótko po brzasku, jeszcze zanim większość ludzi wstała, przed kamienny budynek mieszkalny zajeżdża taksówka.

Wilki i Sanguinati patrzyli, jak Sierra wystawia bagaże na krawężnik, a taksówkarz cicho ładuje je do bagażnika. Patrzyli, jak Sierra wsadza swoje szczeniaki na tylne siedzenie. I jak wraca na chwilę do domu, żeby bardzo cicho zamknąć drzwi.

Patrzyli, jak taksówka odjeżdża.

Możesz za nią polecieć i dowiedzieć się, dokąd pojechała? Simon zwrócił się

do Powietrza, która znów potargała mu futro.

Po co?

Żeby mógł powiedzieć Meg, co się stało z Sierrą. Żeby wiedziała, dlaczego swędziała ją noga. I żeby powiedzieć o tym Montgomery'emu i pani Twyli, ale to z pewnością nie miało dla Żywiołów aż takiego znaczenia.

Polecę.

W mieszkaniu Nadine paliło się światło. Za kilka minut kobieta przyjdzie do Czegoś na Ząb i zacznie piec.

Kowalski wyszedł na taras w budynku po drugiej stronie ulicy, ziewając i drapiąc się po głowie. Rozglądał się dookoła w taki sposób, że Simon pomyślał sobie, iż ten człowiek wcale nie jest taki śpiący, na jakiego wygląda. Czyżby usłyszał odjeżdżającą taksówkę i wyszedł na zewnątrz, by sprawdzić, co się dzieje? A może zachowuje się tak co rano?

Kowalski dostrzegł obserwujące go Wilki i zamarł. Po chwili podniósł rękę i pomachał do nich.

Simon podniósł przednią łapę, ale nie dodał przyjaznego *arooo*. Nie było sensu budzić innych ludzi.

Vlad pod postacią dymu przepłynął nad Wronią Aleją i dołączył do Wilków.

Montgomery się obudził, rzekł.

Z mieszkania pani Twyli dochodziły odgłosy cichej rozmowy. Simon pobiegł na koniec parkingu i przekrzywił łeb. Radio. Może telewizja. Aha. Prognoza pogody. Tak jakby ludzie wiedzieli więcej o pogodzie niż dziewczyny w jeziorze.

Nadeszła pora, żeby wrócić do domu i się przespać. Miał wrażenie, że tego dnia ludzie będą głośno wyc.

Drogi Douglasie,

tutaj, w Brittanii, życie toczy się normalnym torem, co dla nas, ludzi, jest wręcz surrealistyczne. Łodzie rybackie wypływają na wodę i przywożą swój połów. Myśliwi handlują dobrami, żeby móc wejść na dzikie tereny, upolować jelenia albo dwa i sprzedać mięso na rynku. Ponieważ nie otrzymujemy już z Thaisii tylu artykułów żywnościowych, co zwykle, do naszych portów przyplływają statki z niezbędnym zaopatrzeniem, na liście załadunkowej znajdują się podpis i pieczęć kapitana portu, który nadzorował miejsce pochodzenia produktów, oraz podpis terra indigena, który musi zaakceptować każdą dostawę żywności. Otrzymujemy dostawy z terenów ludzkich w Afrikah i Felidae oraz produkty z Tokhar-Chin. Nikt nie wspomina o Cel-Romanii. Wygląda to tak, jakby w ziemi powstała wielka dziura, a my pracujemy dookoła, żeby ją zapełnić.

Niektórzy uciekinierzy z Cel-Romanii dotarli do wsi na wybrzeżu kontynentu – do ludzkich miejsc, założonych na dzikich terenach poza Wspólnotą Narodów. Pozwolono im tam zostać. Uciekinierzy nazywają wojnę Destrukcją

Cel-Romanii i Wspólnoty Narodów. Inni, z którymi rozmawiałem, nazywają to Udaremnioną Inwazją Ludzi na Dzikie Tereny. Każdy widzi to inaczej. Najeźdźcy nie zostali nie tylko powstrzymani, lecz też okaleczeni, tak by nie mieli czasu na nic poza przetrwaniem.

To prawda, że w miejskich fabrykach produkowano broń wojenną, ale we wsiach, zwłaszcza w tych znajdujących się wzdłuż pierwotnej granicy między Cel-Romanią a dzikimi terenami, świętowano powrót większości synów i żyje się prawie tak, jak przed wojną. Jest więcej nieufności i strachu przed sprowokowaniem ataku, ale to samo można powiedzieć o ludziach w Brittanii, którzy muszą radzić sobie z Innymi.

Ostatnio spotkałem jednego z terra indigena, uważanego za historyka i uczonego. Nie wiem, do jakiego gatunku należy, bo widziałem go tylko w ludzkiej postaci, a nie podał imienia, które byłoby dla mnie jakąś wskazówką. Pokazał mi mapę, mającą rzekomo pięćset lat. Zaznaczono na niej ludzkie osady, o których nigdy nie słyszałem – miejsca niegdyś wspaniałych cywilizacji, istniejących do czasu, aż ludzie zapomnieli, że świat wcale nie należy do nich. Powiedział mi, że pozostałości tych cywilizacji nadal istnieją, a wspaniałe posągi stoją na posterunkach na pastwiskach. Ludzie, którzy przetrwali, mieszkają w odizolowanych społecznościach na terenach nieodzyskanych przez dzikie obszary i spotykają się podczas głównych uroczystości, stanowiących jednocześnie okazję do handlu i planowania małżeństw. Wiodą proste życie, a o ich istnieniu wie naprawdę niewielu ludzi z innych części świata.

Wydaje mi się, że pokazał mi tę mapę, żebym zrozumiał, że ziemia, która niegdyś była największym kontrolowanym przez ludzi obszarem, zniknęła na zawsze. Ludzie mieszkający w Cel-Romanii zaczną wieść prostsze życie albo znikną, tak jak wielu przed nimi.

Historia taka jak zwykle, ale już nigdy nic nie będzie takie samo. Wydaje mi się, że ty rozumiesz to lepiej niż ja.

Shady

Rozdział 12



Poniedziałek, 13 sierpnia

Idąc po schodach do mieszkania Sissy, Monty kiwnął głową do Sanguinatiego, który stał na straży w korytarzu na dole budynku.

Wczoraj matka przyszła wcześniej i poprosiła, żeby zabrał ją do świątyni. Powiedziała, że wszyscy powinni spędzić część niedzieli na dziękowaniu duchom za błogosławieństwa i proszeniu ich o siłę, żeby poradzić sobie z nadchodzącymi wyzwaniami. Gdy zasugerował, żeby zabrać ze sobą Sissy i dziewczynki, Twyla odparła, że Sierra potrzebuje czasu, by wszystko sobie przemyśleć. Matka była dla niego trochę ostra, zaczął się więc zastanawiać, czy tego ranka rozmawiała z Sissy i wiedziała już, jak siostra zareagowałaby na taką sugestię.

Po wyjściu ze świątyni zabrał Twylę i Lizzy na lunch. Spotkali się z rodziną Denbych, którzy również pragnęli spędzić dzień poza Dziedzińcem. Wszyscy poszli na plażę nad Jeziorem Etu, gdzie dzieciaki mogły szukać muszelek i bawić się w wodzie. Po drodze do domu kupili pizzę w Chrupiących Przysmakach

i wszyscy spędzili wieczór, grając w gry planszowe.

Monty patrzył, jak Twyla przechodzi przez Wronią Aleję i wchodzi do swojej kawalerki nad lokalem krawcovej; zauważył też, że w mieszkaniu Sissy jest ciemno. Kiedy Lizzy szykowała się do łóżka, nie słyszał nad głową żadnych kroków. Ale nie zastanawiał się nad tym szczególnie; może Sissy już spała. Rano mama mówiła, że niczego nie potrzebowała. Zrozumiał to tak, że może dogadała się z Tess i Nadine, żeby dały Sissy trochę jedzenia, zanim wszystkie sklepy na Dziedzińcu zamkną się na niedzielę.

Teraz jednak był już nowy tydzień, nowy początek. Spełnił rozkaz Simona i nie dał Sissy żadnego jedzenia, poza tym przez większość dnia trzymał się z daleka od Dziedzińca. Ale teraz rozkaz dotyczący „niedawania jedzenia” już nie obowiązywał, Monty nie widział więc powodu, dla którego miałby nie kupić przed pracą śniadania dla siostry i siostrzenic. Może Sierra zastanowiła się nad swoim zachowaniem i jego konsekwencjami i teraz wreszcie opowie mu, co tak naprawdę się wydarzyło między nią a Jimmym. A jeśli nie będzie chciała z nim rozmawiać, to może uda mu się ją przekonać, żeby pogadała z Theral MacDonald, której udało się uciec od brutalnego męża.

Podniósł rękę, żeby zapukać do drzwi Sissy, ale po chwili uświadomił sobie, że są uchylone, tak jakby ktoś na chwilę wyszedł z mieszkania.

Popchnął skrzydło.

– Sissy?

Żadnej odpowiedzi. Żadnego dźwięku.

Otworzył drzwi na oścież i pożałował, że nie ma przy sobie broni. Nasłuchując, ostrożnie wszedł do mieszkania.

– Sissy?

Żadnych śladów walki. Na kuchennym stole leżało opakowanie po krakersach, obok stał otwarty słoik z masłem orzechowym. Okruchy na talerzach, ślady mleka w szklankach. Czy były tu od zeszłego wieczoru czy od dzisiejszego poranka? A może coś źle zrozumiał i Sissy została bez jedzenia na cały dzień?

Zajrzał do sypialni. Pusto. Sprawdził łazienkę. Zaczął zaglądać do szafek i apteczki.

A potem pędem ruszył po schodach.

– Moja siostra... – powiedział, zastanawiając się, czy Sanguinati jest w stanie wyczuć, jak szybko wali mu serce. – Widziałeś ją wczoraj wieczorem albo dziś rano?

– Widziałem ją w niedzielę o świcie – odparł Sanguinati. – Ona i jej młode odjechały żółtą taksówką. Z bagażami.

– Nie próbowałeś jej powstrzymać?

– A dlaczego miałbym to robić?

No tak, dorosła kobieta wyjechała ze swoimi dziećmi. Nikt nie miał żadnego

powodu, żeby ją powstrzymać. Ostatecznie Sanguinati był tam od tego, żeby pilnować, by do budynku wchodziły tylko osoby upoważnione, i nie musiał zatrzymywać ludzi, którzy tu mieszkali.

– Zakładam, że nie mówiła, dokąd jedzie?

– Nie, ale spytaj o to Vlada albo Simona. Tej nocy to oni trzymali straż. Może będą wiedzieli coś więcej.

Monty wrócił do swojego mieszkania. Odsunął firankę i zaczął się przyglądać sklepom po drugiej stronie ulicy. W Zabójczo Dobrych Lekturach nie paliły się żadne światła. Tak samo jak z przodu Czegoś na Ząb, a przecież Nadine powinna już tam być – piec chleby i ciasta, które będą sprzedawane na śniadanie.

Spojrzał na zegarek, a potem wyjął telefon. Zadzwoń do kapitana Burke'a i... co mu powie? To nie był pościg, w którym liczyła się każda minuta. Nikt nie popełnił żadnego przestępstwa – przynajmniej on o niczym nie wiedział.

Ale jego siostra spakowała się i wyjechała bez słowa.

Spojrzał na drugą stronę ulicy, w okna kawalerki matki.

Może jednak Sissy powiedziała komuś, dokąd się udaje. Może to dlatego mama była taka ostra do chwili wyjazdu z Dziedzińca – do czasu, gdy mógł zauważyć nieobecność siostry.

Opanował złość, gdy zobaczył nietknięte jedzenie na talerzu Lizzy. Od jakiegoś czasu śniadania zamieniały się w demonstrację siły – Lizzy ociągała się i ociągała, aż wreszcie tracił cierpliwość, bo wiedział, że jeśli spóźni się na autobus, będzie musiał wydać pieniądze na taksówkę, żeby dotrzeć na komisariat na czas. Burke wprawdzie dał mu większą swobodę niż innym policjantom, ponieważ ciągły kontakt z Dziedzińcem był jak służba całodobowa, ale takie spóźnienia nie były w porządku wobec pozostałych policjantów, a już z pewnością wobec Kowalskiego, który był jego partnerem.

Tego ranka nie miał czasu na demonstrację władzy. Lizzy nie tknęła dwóch plasterków brzoskwini, którą podzielił między nich, a w jej toście był wygryziony jedynie środek.

Tego ranka nie miał zamiaru ani przymilać się córce, ani jej karcieć.

Wziął talerz Lizzy, schował brzoskwinię do pojemnika, pojemnik do lodówki, a nadgryzioną kanapkę wrzucił do szczelnego worka z resztkami, które później będą wykorzystane na pokarm dla istot, którymi żywili się *terra indigena*.

Gdy wylewał resztę jej mleka do zlewu, usłyszał zszokowane:

– Tato!

Oplukał naczynia i zostawił je w zlewie – zadowolony, że nie zobaczy ich jego matka. Następnie wyjął służbową broń ze schowka w sypialni.

Lizy nadal siedziała przy stole. Przynajmniej była już ubrana.

– Idziemy. Do rozpoczęcia zajęć zostaniesz z panią Eve.

– Muszę umyć zęby! – zaprotestowała.

– Nie masz już na to czasu, więc będziesz musiała iść do szkoły z nieświeżym oddechem i brudnymi zębami. – Podszedł do drzwi i otworzył je. – Idziemy.

Zwlekła się z krzesła i wzięła misia Grr. Wtedy przez otwarte drzwi wpłynęła do pokoju smuga dymu. Głowa, pierś i ręce Sanguinatiego zamieniły się w ludzkie, reszta wciąż była w formie dymu.

– Mam zostać z młodą, dopóki nie przyjdzie do niej odpowiedni człowiek? – spytał.

„Odpowiedni człowiek” oznaczał kogoś, kto nie był Jimmym albo Sandee.

Nie było powodu, żeby się martwić, że Sanguinati zrobi Lizzy krzywdę – albo będzie chciał się nią pożywić. Gdyby taka propozycja padła ze strony Vlady, nie zawahałby się ani chwili, ale nie czułby się zbyt pewnie, zostawiając swoją córkę samą z kimś, kogo nie za dobrze znał – niezależnie od tego, czy był to człowiek czy nie.

Lizzy pomogła mu podjąć decyzję – podbiegła do niego i złapała go za rękę.

– Grr i ja chcemy iść z tatusiem.

Sanguinati pokiwał głową, zamienił się z powrotem w dym i wrócił na miejsce przy schodach.

Monty zamknął drzwi, jednak okna zostawił otwarte. Zapewnienie intruzom łatwego dojścia do mieszkania z pewnością nie było zalecane przez policję, jednak wiedział, że Jastrzębia i Wronia Straż cały czas pilnują tego, co się dzieje na Dziedzińcu i obok mieszkań – i jednocześnie szukają małych zwierząt na pożywienie.

Razem z Lizzy przeszedł szybko przez ogrody i wszedł po schodach na taras. Przy drzwiach stał Pete Denby. Spojrzał pytająco na Monty’ego.

– Cześć, Monty! – Eve stanęła obok męża. Jej głos był zbyt radosny. – Lizzy, pani Ruth nie poszła jeszcze do klasy, więc może wejdiesz do środka? Sarah właśnie kończy śniadanie.

– Tata wylał moje mleko do zlewu – ogłosiła Lizzy, zanim weszła do budynku.

– Powinienem chyba powiesić sobie na szyi tabliczkę z takim napisem – mruknął Monty.

Pete zmusił się do uśmiechu.

– To nie będzie konieczne.

Usłyszeli krakanie, gdy Wrony wróciły na Dziedziniec.

Kowalski obszedł bok dwurodzinnego domu. Miał już na sobie służbowe ubranie.

– Poruczniku?

– Jeśli będę mógł pomóc, to do mnie zadzwoń – powiedział Pete.

– Dobrze.

Czyli niewypowiedziane ostrzeżenia ze strony Pete'a i Eve. Czyżby mieli jakieś wiadomości na temat zniknięcia Sierry? A może dziś rano zobaczyli coś, co wzmogło ich ostrożność? Monty zszedł po schodach; na chodniku spotkał Kowalskiego.

– Karl, powinieneś iść na komisariat i sprawdzić, co słyhać, zanim rozpoczniemy zmianę.

– Mam szukać czegoś konkretnego?

Monty się zawahał, ale tylko przez chwilę.

– W niedzielę o świcie moja siostra i jej córki wsiadły do żółtej taksówki. Po tym, jak porozmawiam z matką, być może będę musiał porozmawiać z kierowcą tej taksówki.

– Mogę wykonać kilka telefonów, ale może najpierw pogadaj z Simonem? Nie widziałem żadnej taksówki, za to tego ranka zauważyłem na parkingu jego. Może coś widział... – Kowalski się zawahał. – Jeśli Sierra została w jakiś sposób zmuszona do wyjazdu, to wydaje mi się, że wiedziałyby o tym cała okolica.

– Wiem. – Simon może i był zły na Sissy, ale z pewnością nie dopuściłby do tego, by została gdzieś wywieziona wbrew swej woli.

– Jeśli chcę zdążyć na autobus, to muszę już lecieć – rzekł Kowalski.

Monty zobaczył, jak w Czymś na Ząb i Zabójczo Dobrych Lekturach zapalają się światła.

– Powiedz kapitanowi Burke'owi, że wpadnę później. Najpierw muszę porozmawiać z Wilkiem.



Simon nie odwrócił tabliczki „Zamknięte”, ale otworzył wejście do ZDL, a następnie wrócił do lady, gdzie zaczął sortować zamówienia na książki z osad *terra indigena*, zaopatrywanych przez Dziejziniec w ludzkie towary. Wydawcy z Toland twierdzili, że podczas burzy zniszczeniu uległ cały magazyn, a dostawy papieru zostały zmniejszone o połowę.

Nie było żadnej przyczyny, żeby w to wątpić, poza tym Simon nie miał zamiaru akceptować zniszczonych towarów, co oznaczało, że musiał sprawdzić, co oferują firmy wydawnicze należące do Intuitów i *terra indigena*.

Zanim jednak zajmie się książkami, będzie musiał zająć się stadem porucznika Monty'ego, który właśnie przekroczył próg.

– Wczoraj rano moja siostra wyjechała – powiedział bez słowa wstępu. Widać było, że z trudem powstrzymał się przed zwinieniem w pięść dłoni, którą oparł o ladę.

Simon stwierdził, że policjant jest spięty, ale nieagresywny.

– Tak – odparł. – Ona i jej szczeniaki wyjechały taksówką.

– Zauważyliście może numery rejestracyjne? Czy komuś udało się

podszluchać, dokąd się wybiera?

– Kupiła bilety na autokar jadący na wschód.

– Dokąd dokładnie?

– Tego jeszcze nie wiem. – Simon przyjrzał się Montgomery’emu. Wyglądał na trochę załamane. – Meg odczuwała mrowienie w związku ze Sierrą, więc zaczęliśmy ją obserwować. A potem poprosiłem Powietrze i jej krewnych, żeby dali mi znać, gdzie znajdzie sobie nowy dom.

– Dziękuję. – Montgomery odetchnął z ulgą. – Martwię się o nią.

– Należy do stada. – Simon zaczął bezmyślnie przerzucać zamówienia. – Ale jeśli jej szczeniaki mają przeżyć, będzie potrzebowała nowego stada. Takiego, w którym nie ma Cyrusa.

– Wiem.

Słyszac smutek w głosie gościa, Wilcza Straż dodał:

– Powiem ci, gdzie osiadła.

Monty pokręcił głową.

– Nie. Jimmy będzie o to pytał. Jeśli skłamię, że nie wiem, dojdzie między nami do nieporozumienia. Jeśli ja albo moja matka dowiemy się, jak ją znaleźć, możemy powiedzieć coś, co ją zdradzi. Nawet Lizzy może coś podsłuchać i powtórzyć, nieświadoma znaczenia swoich słów. A wtedy Jimmy ponownie stanie przed drzwiami Sissy. – Potarł czoło. – Będzie jednak trzeba przesłać na jej nowy adres książki z przydziałami, a to z pewnością zostawi po sobie ślad.

– Mam powiedzieć Powietrzu, żeby przestała ją śledzić? – Simon z trudem nadał za ludzką logiką. Montgomery chciał i jednocześnie nie chciał czegoś wiedzieć. No cóż, Simon i tak nie miał zamiaru prosić Żywiółów, żeby przestały śledzić Sierrę, ponieważ niezależnie od tego, czego chciał Monty, Meg musiała wiedzieć, co się stało z jego siostrą.

– Nie. – Porucznik uśmiechnął się z wysiłkiem. – Będzie mi lżej ze świadomością, że ktoś, komu ufam, wie, gdzie ona jest. – Simonowi podobał się fakt, że zaufał mu w kwestii opieki nad rodziną. – No cóż – rzekł policjant. – Muszę porozmawiać z mamą.

Simon skinął głową.

– Obudziła się mniej więcej wtedy, kiedy taksówka odjechała. Może już wiedzieć o wyjeździe Sierry.



– Posłuchaj, zdiro – wycodził z wściekłością Jimmy – jestem tu, żeby się spotkać z mamą, zabieraj więc swój zdirowaty tyłek i zjedź mi z drogi.

Kobieta w czarnej sukience, wyglądającej jak kostium z mrocznego filmu, blokowała mu wejście do konsulatu, pozostawiając jedynie małą szparę, przez którą mógł zajrzeć. Teraz uśmiechnęła i odsłoniła kły, a dolna część jej ciała

zamieniła się w dym.

Kurwa! To jeden z tych wampirów!

– Mamo! – zaczął krzyczeć Jimmy. – Mamo!

Matka nie przybiegła, żeby sprawdzić, co się z nim dzieje, ale pieprzony agent Biura Śledczego, który siedział przy biurku po drugiej stronie pokoju i rozmawiał przez telefon, nagle się rozłączył i ruszył w jego stronę. W tym samym czasie jakaś kobieta w średnim wieku podniosła słuchawkę na innym biurku i zaczęła wybierać numer, nie spuszczać wzroku z Jimmy'ego.

– Panie Montgomery, w czym mogę panu pomóc? – spytał agent.

Znał ten ton – mówili nim ludzie, którzy pracowali w rządzie.

– W niczym, kurwa – warknął.

– Nie masz pozwolenia na przebywanie tutaj. – Wampirzyca uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Chyba że chcesz zostać na śniadanie.

Jimmy poczuł dreszcz na plecach. Mogła wbić kły w jego szyję i wypić wszystko do ostatniej kropli krwi. Chociaż... Słyszał historie o wampirzycach, która potrafiąssać tak, że zwykły lodzik nie może się z tym równać.

Spojrzał na nią i już miał coś powiedzieć, ot tak, żeby sprawdzić jej reakcję, ale właśnie wtedy po schodach zeszła Twyla; za nią podążał łysiejący facet o bursztynowych oczach, w garniturze, który musiał kosztować tyle, co miesięczny zapas zioła.

– Cyrusie, nie masz żadnych spraw do załatwienia w konsulacie – powiedziała Twyla cicho, ale stanowczo. – To nie jest żaden ze sklepów, w których masz pozwolenie na robienie zakupów.

– Musimy porozmawiać – powiedział. – Usiądziemy? – Wskazał ręką biurka. Gdyby miał kilka minut na rozejrzenie się wokół, może udałoby mu się znaleźć coś interesującego. Bądź co bądź każda informacja była cenna.

– Nie możesz wejść do środka. Albo powiesz mi, o co chodzi, tutaj, albo wyjdziemy na zewnątrz.

Zimna suka. Nie ustąpi na krok.

Jimmy popatrzył na dziwadła i człowieka z rządu i uświadomił sobie, że oni z pewnością się nie wycofają, by zapewnić mu poczucie intymności.

– W takim razie chodźmy na zewnątrz.

Małpa w średnim wieku nadal rozmawiała przez telefon, nadal go obserwowała i nadal składała komuś raport. Może CJ-owi? Albo temu Wilkowi, który wydawał rozkazy?

Jimmy wyszedł na zewnątrz. Zapomniał odegrać rolę kochającego syna i nie przytrzymał matce drzwi.

– O co chodzi z tą ucieczką Sissy? – spytał ostro.

– Wyjechała w niedzielę o świcie – odparła Twyla.

– Dokąd?

– Nie wiem, Cyrusie. Z nikim nie rozmawiała, nie zostawiła żadnego listu. Po prostu się spakowała, wzięła dziewczynki i wyjechała.

– Przecież musiała coś powiedzieć. – Szlag. A tak bardzo liczył na to, że uda się mu naciągnąć ją na trochę kasy, wydobyć z niej informacje, a może nawet namówić, by coś im kupiła, na przykład mydło; Sandee twierdziła, że w sklepach, w których mogli kupować ludzie, wszystko jest dwa razy droższe.

Twyla pokręciła głową.

– Nic nie mówiła. Po prostu wyjechała.

Nie wierzył jej słowom, wierzył jednak smutkowi w jej oczach. Sissy wzięła bachory i nawiała. A to oznaczało, że teraz jego dzieci mogą bardziej wpływać na miękkie serce babci i wycyganić od niej jakieś smakołyki.

To jednak nie poprawi jego sytuacji finansowej.

– No cóż, jej wybór – rzekł. Sissy przestała być użyteczna, więc rozmyślanie o niej nie miało sensu, chyba że sytuacja tu pogorszy się do tego stopnia, że naprawdę będzie musiał ją znaleźć. I tak nie była prawdziwą rodziną – dodał na odchodnym.



Meg zamknęła biuro łącznika i poszła na rynek, żeby spędzić przerwę obiadową z Samem. Chciała się dowiedzieć, czego nauczył się w szkole i co sądził o nowej książce o Drużynie Wilków. Pragnęła myśleć o czymś innym niż Sierra Montgomery i to, jak wszystkich zdenerwował jej wyjazd.

Karty prorocत्व, które rozłożyła tego ranka, niewiele jej powiedziały – autokar, wschód, a trzecia karta – skutek – była kartą osady. Gdy kilka chwil później do jej biura przyszedł Simon, nie miał dużo do dodania. Po prostu potwierdził to, co już wiedziała. Żadne z nich nie miało pojęcia, o jaką osadę może chodzić, ponieważ na karcie nie było oznaczone, czy miasteczko należy do ludzi, Intuitów czy do Innych.

Całe to mrowienie, swędzenie i czytanie przyszłości z kart prorocत्व nie skończyło się więc żadnym doniosłym ani tragicznym wydarzeniem. Sierra dokonała wyboru i wyjechała po cichu – a jej wybór zaprzeczył prorocत्वom Meg, które dotyczyły jej i jej dzieci.

Sierra była już wolna, a Meg mogła się cieszyć czasem, który spędzała z Samem.

Gdy doszli do łuków, które tworzyły jeden brzeg placu, zatrzymał się autobus z Dziedzińca i wysiadło z niego kilka znajomych Wron oraz Jastrzębi. Niektórzy przyjechali do pracy w sklepach, inni chcieli zrobić zakupy. Jako ostatni wysiedli Jane Wilcza Straż, Sam i... Jedynek.

Ponieważ Jane niosła ze sobą siatkę pełną książek, łatwo było zgadnąć, że wybiera się do biblioteki.

– Prawie się spóźniliśmy na autobus, Meg! – Sam podbiegł, żeby się przywitać.

– Gdyby tak się stało, mielibyście naprawdę długi spacer z kompleksu Wilczej Straży – odparła.

– To długi spacer tylko dla ludzkich nóg – zgodził się Sam, spoglądając na nią spod współprzymkniętych powiek. – Dla wilczych to krótka przebieżka. – Zaczął czegoś szukać, a ona dobrze wiedziała, o co mu chodzi.

– Gdybyście przybyli na rynek w wilczej postaci, nie moglibyście się zmienić i wyglądać jak ludzie, ponieważ nie mielibyście ze sobą ubrań – zauważyła. – A nie można wejść do sklepu nago.

– Mogłabyś przynieść mi ubrania.

Złapała się pod boki i spojrzała mu prosto w oczy.

– Czy ja wyglądam jak juczny koń? – Widząc psotną iskrę w oczach Sama, dodała szybko: – Zanim odpowiesz, przypomnij sobie, które z nas ma pieniądze na kupno przysmaków.

– *Rooooo*. – Jedynek popatrzył błagalnie na Sama, a następnie mocno go szturchnął, dając do zrozumienia, że doskonale zna związek przyczynowo-skutkowy między Meg, pieniędzmi a przysmakami.

Sam mu oddał, a następnie uśmiechnął się do Meg.

– Muszę kupić kilka rzeczy w sklepie wielobranżowym – rzekła i ruszyła do przodu. – Potem możemy iść do Mięsa i Zieleniny coś zjeść.

– Lubię zaglądać do sklepu wielobranżowego. – Sam wziął ją za rękę. – Jest tam mnóstwo rzeczy, które możemy kupić. Ale Wrony w Błyskotkach i Starociach mają więcej.

I dzięki za to bogom. Dla Meg sklep Wron był prawdziwą wizualną eksplozją. Na półkach w sklepie prowadzonym przez Jastrzębie i Sowy panowały przynajmniej porządek i ład. Mimo wszystko narzuciła sobie, że podczas każdej wizyty będzie chodzić tylko jedną lub dwoma alejkami, żeby nie przeciążyć głowy tymi wszystkimi przedmiotami do kupienia.

Stała przy drzwiach prowadzących do sklepu i spojrzała na Jedynaka.

– Tutaj jest dużo rzeczy, ale nie ma żadnego jedzenia.

Młody Wilk przez chwilę na nią popatrzył, a następnie wyruszył, żeby wąchać wszystkie zapachy pozostawione przez innych mieszkańców Dziedzińca i poszukać czegoś jadalnego – może akurat ktoś coś upuścił albo pozostawił na stole bez nadzoru.

– Pamiętasz, że nie wolno nam sikać na rynku, prawda? – przypomniał Sam, gdy Jedynek, obwąchując dużą donicę z kwiatami, już podnosił łapę; wyglądał, jakby chciał zostawić na doniczce znak: „Tu byłem. Jedynek”, jednak posłuchał Sama i poszedł dalej.

Meg nie potrafiła powiedzieć, dlaczego była tak bardzo zadowolona z faktu,

że to Sam był przywódcą stada szczeniąt – do którego należał zarówno Jedynek, jak i ludzkie dzieci, ale przepelniała ją duma. Sam i Robert mieli po kilka zadrapań po tym, jak musieli ustalić, kto będzie przywódcą, jednak teraz się zaprzyjaźnili i często wspólnie wyruszali na wyprawy, żeby rozpoznać teren – przynajmniej tę część Dziedzińca, po której wolno im było chodzić. Zostawiali dziewczynki, żeby pobawić się w błocie, połączyć po drzewach czy pobuszować wśród częściowo zjedzonych resztek zwierzyny. Żałowała, że nie było jej przy tym, jak Simon i Pete Denby ustalili zasadę, że żadnej istocie w ludzkiej postaci nie wolno jeść surowych kawałków zwierząt – i że żadnemu szczeniakowi żadnego gatunku nie wolno próbować rozpaść ognia tak jak ludzie, którzy w sklepach na granicy gotowali skrawki mięsa. Mięso to leżało na słońcu przez zbyt długi czas i nie nadawało się do zjedzenia ani przez ludzi, ani przez Wilki.

Oczywiście aż do tej pory *terra indigena* nigdy nie miały do czynienia z ludzkimi dziećmi, tak więc zainteresowanie Roberta „tym, co ohydne”, i jego wybrakowana wiedza na temat ludzi z granicy były nauką dla wszystkich. Dlatego też Ruth badała życie na granicy, przeszukując literaturę faktu, opisującą dawno minione czasy. No cóż, może nie aż tak bardzo minione, jeśli znajdowało się wśród ludzi, którzy ponownie zasiedlali Bennett albo inne miasta w Regionie Środkowo-Zachodnim.

– Będę tam. – Meg puściła dłoń Sama i ruszyła w stronę alejki z mydłami i szamponami. Żadna ze sprzedawanych na Dziedzińcu rzeczy osobistych nie miała zapachu – przynajmniej nie mógł go wyczuć ludzki nos – ale produkty różniły się składem. Teraz, w letnim upale, wołała żółty szampon i mydło, ponieważ były bardziej orzeźwiający i zostawiały delikatny cytrynowy zapach. A może tylko go sobie wyobrażała, bo kojarzyła żółty kolor z cytryną?

Wybrała to, czego potrzebowała, i właśnie szła na drugi koniec sklepu, patrząc na dwa cokoly, na których co tydzień wystawiano inne towary – dzięki temu ćwiczeniu mogła dostrzec inny asortyment sklepu, a jednocześnie nie odbierała zbyt dużo bodźców – gdy dostrzegła dwoje nieznanym młodych. To pewnie dzieci Cyrusa Montgomery’ego. Ale co robiły na Dziedzińcu bez opieki?

Chłopiec dotykał towarów na półkach. Dziewczynka stała obok i patrzyła to w jedną, to w drugą stronę alejki. Kiedy się zorientowała, że Meg ich obserwuje, szepnęła coś do brata. Ten schował do kieszeni jakiś przedmiot, a następnie oboje pobiegli w stronę drzwi – i w stronę Sama, który stał na końcu alejki i również obserwował nieznanym.

Chłopiec wyglądał na większego i starszego od Sama, ale dowódca stada szczeniąt stanął w drzwiach i zablokował je, co stanowiło wyraźne wyzwanie. Meg poczuła mrowienie w dolnej wardze. Pośpieszyła do kasy z przodu sklepu i wyłożyła swoje zakupy. Jastrząb za ladą zignorował ją – obserwował dwóch chłopców przy drzwiach.

– Nie zapłaciliście za to – powiedział Sam. – Nie możecie zabrać rzeczy ze sklepu, dopóki za nie nie zapłacicie.

– Z drogi, dziwolągu – odparł chłopiec.

Sam odsłonił zęby i warknął.

– Nikt nie będzie nam niczego kraść.

– Chłopcy... – zaczęła Meg.

– Jebany dziwoląg! – Chłopak z całej siły pchnął Sama i wypadł na zewnątrz.

Sam pobiegł za nim i złapał go za koszulkę.

Zanim Meg się zorientowała, tarzali się po ziemi, okładając się nawzajem. Pobiegła do drzwi, ale wtedy dziewczynka ją odepchnęła i zatarasowała jej przejście.

– Nie! – krzyknęła Meg, gdy wreszcie udało się jej ją wyminąć. – Chłopcy! Natychmiast przestańcie!

Ze sklepów i z rynku zaczęli się schodzić dorośli, ale żaden z nich nie wykazywał chęci przerwania bójk. Jastrząb ze sklepu wielobranżowego trzymał dziewczynkę za rękę, żeby nie uciekła i nie próbowała pomóc bratu.

W pewnym momencie Sam zrobił na tyle szybki unik, żeby nie zostać uderzonym w twarz, ale otrzymał mocny cios w bok głowy.

– Dość tego! – wrzeszczała Meg. Czyżby nikt inny nie widział, że to nie była niewinna walka o dominację? Ten starszy naprawdę miał zamiar skrzywdzić Sama!

Na kilku palcach chłopaka zobaczyła połyskujący metal. Po chwili Sam otrzymał kolejny cios, który rozciął mu skórę wzdłuż policzka.

Na bogów, pomyślała Meg na widok jego zakrwawionej twarzy. *Musimy znaleźć lekarza.*

Nagle przestała myśleć i czekać na pomoc ze strony innych dorosłych – po prostu rzuciła się do walki, próbując złapać któregoś z wojujących chłopców za rękę, za koszulkę, za cokolwiek, byleby tylko przerwać kołowanie. Nagle Sam chwycił przeciwnika za nadgarstek i wgrzył się w jego dłoń, a następnie odskoczył, by przygotować się do kolejnego ataku. Chłopak wrzasnął i zatoczył się do tyłu, wymachując rękami.

Meg nie poczuła ciosu, nawet nie wiedziała, że została trafiona, gdy zachwiała się i upadła na kolana. A potem poczuła krew i ból – będący początkową fazą prorocstwa. Nie chciała przełknąć słów, nie chciała przełknąć tego bólu.

– Nasza Meg! Nasza Meg! – Jenni Wronia Straż uklękła przed nią.

Krzyki. Warczenie. Zgiełk. Ale ona widziała już tylko Jenni, która wzięła ją za rękę i powiedziała:

– Starr ma kredę i będzie pisać. Mów, wieszczko, a my cię wysłuchamy.

Zacząła więc mówić i opisywać swoje wizje. A gdy mówiła, poczuła falę euforii po wypowiedzeniu prorocstwa; zasłoniła wizje, które widziała, i chaos, jaki

ją otaczał.



Szczeniaki walczą na rynku! ryknął Blair.

Na przekłętą Thaisię, pomyślał Simon, rozkładając towar na półkach. *Czy one muszą się tak zachowywać akurat dzisiaj?*

Kto? spytał, bo nagle przypomniał sobie, że Robert właśnie jest w domu i je.

Sam i szczeniak Cyrusa.

Ale przecież Sam był z...

– Meg.

Wybiegł przez tylne drzwi Zabójczo Dobrych Lektur; po chwili przez okno wyfrunął Vlad, który również usłyszał ostrzeżenie.

Gdy Simon dotarł do rynku, byli tam już inni dorośli *terra indigena*. Meg znajdowała się zdecydowanie zbyt blisko miejsca bójki – bo nawet z oddali był w stanie stwierdzić, że była to prawdziwa bójka, a nie jakaś ostrzejsza zabawa.

Ruszył w stronę chłopców, tak samo jak Blair w postaci Wilka i Nathan w kąpielówkach – prawdopodobnie były one pierwszym ubraniem, jakie udało mu się znaleźć po zmianie postaci na ludzką. Vlad złapał Jedynaka, zanim ten zdążył włączyć się do walki.

Byli Wilkami i byli szybcy. Ale nie dostatecznie szybcy.

Ludzki chłopak uderzył Sama i rozciął mu skórę. Sam złapał go za nadgarstek i ugryzł go w dłoń – to było bardzo bolesne ugryzienie, nawet jeśli tylko ludzkimi zębami.

W większości ludzkimi zębami, pomyślał Simon, dostrzegłszy wilcze kły, gdy Sam odskoczył do tyłu i warknął.

Chłopak wrzasnął, zamłócił rękami w powietrzu – i trafił Meg prosto w usta.

– Meg! – ryknął Sam.

Jego twarz i kończyny nagle pokryła sierść, a głowa zaczęła się zmieniać w wilczy łeb. Rzucił się w stronę chłopaka. Simon, który odczuwał taką samą wściekłość, gdy do jego nozdrzy dotarł zapach krwi Meg, doskonale wiedział, co się stanie, jeśli Samowi uda się wbić kły w gardło chłopaka. Dlatego złapał siostrzeńca i siłą odciągnął od syna Cyrusa.

– Sam, wystarczy. Wystarczy!

Sam warknął i zaczął drapać, próbując uciec i dorwać przeciwnika.

Uderzył Meg! ryknął. *Uderzył Meg!*

Simon złapał Sama za gardło w taki sposób, by ten nie mógł go ugryźć, i warknął:

– Przestań. Natychmiast.

A potem tuż przed Samem zjawił się Blair, który warknął własne ostrzeżenie. Zarówno lider, jak i kontroler stada dali wyraźne rozkazy, by się

uspokoił. Jeśli nie posłucha, zostanie ukarany.

Sam znieruchomiał, teraz już tylko dyszał. Simon puścił gardło siostrzeńca, ale drugą ręką wciąż go obejmował. Nathan tymczasem trzymał ludzkiego chłopaka – wyjącego, jakby odniósł o wiele cięższe obrażenia niż tylko ugryzienie i zadrapania.

Teraz, gdy walczący zostali rozdzieleni, Simon zaczął szukać wzrokiem Meg. W końcu ją dostrzegł. Siedziała na chodniku kilka metrów dalej. Z rozciętej wargi na letni top kapłała krew. Jej usta delikatnie się poruszyły. Nie słyszał słów, ale wiedział, co się dzieje, ponieważ Jenni trzymała Meg za rękę i wpatrywała się w jej twarz, a Starr spisywał coś kredą na chodniku.

Z gabinetu medycznego wybiegła Emily Faire. Popatrzyła na Sama, który nadal miał postać pośrednią, potem na Meg, a następnie na chłopaka. Na koniec spojrzała na Simona, który zrozumiał jej nieme pytanie: Komu ma pomóc pierwszemu?

Zobaczył biegnącą ku nim Jane Wilczą Straż i więc wskazał głową chłopaka.
– Zajmij się nim.

Dziewczynka wyrwała się Jastrzębiowi i próbowała uciec. Blair rzucił się w pogoń, ale zatrzymał się, gdy mała wpadła w zaspę. Simon popatrzył na stojącego obok hałdy śniegu białego kucyka. Lawina prychnął znacząco.

Mogło być gorzej, pomyślał Wilk. Wiedział, że dziewczyny znad jeziora mogły przysłać na rekonesans Ruchome Piaski. Poczul się jednak bezpieczniej ze świadomością, że Żywioły dotrzymują obietnicy i obserwują rynek, podczas gdy Starsi mają oko na Cyrusa i resztę ludzi.

Blair, wyciągnij ją z tego, powiedział. *Niech Jedynek ci pomoże. Dzięki temu nie będzie się starał lizać Meg*. Nie mówiąc już o tym, co by się wydarzyło, gdyby młody Wilk rzucił się do walki. Teraz wyglądało na to, że bardzo chciał wylizać ranę Meg, i zaczął warczeć na Vlada, który konsekwentnie go od niej odciągał.

W drzwiach gabinetu wreszcie stanęła Theral. Ona również przez chwilę się wahała, a potem ruszyła na pomoc Emily Faire, która zajmowała się chłopakiem.

No i nie muszę już wzywać ludzi, pomyślał Simon, patrząc, jak Cyrus pędzi z wrzaskiem w ich kierunku. Montgomery i Kowalski biegli tuż za nim, a Debany robił, co mógł, żeby zatrzymać ludzkie samice stojące po drugiej stronie rynku.

Simonie. Henry stanął na drodze ludzkim samcom.

Nie potrzebował ostrzeżenia. Poczul dziwną ciszę, która nagle wypełniła plac. I zobaczył kolumny dymu pod jednym z łuków – mógłby się założyć, że był wśród nich Erebus Sanguinati.

Zaprowadź Meg do gabinetu lekarskiego, powiedział do Jane Wilczej Straży. Kiwnęła głową i razem z Jenni niemal wniosły Meg do budynku.

Nathanie, ty zabierz Sama do środka. Zobacz, czy uda ci się pomóc przejść w pełni w którąś postać.

Nathan puścił ludzkiego chłopaka, który robił taki hałas, że z pewnością zwrócił na siebie uwagę wszystkich drapieżników na Dziedzińcu, po czym złapał Sama i zabrał go do biura.

Blair, który odkopał już dziewczynkę ze śniegu i pomógł jej się wydostać z zasy, cofnął się ostrożnie, nie wiedząc, jakiego ataku się spodziewać – ze strony ludzi, Sanguinatic, Żywiołów czy Starszych.

Montgomery i Kowalski złapali Cyrusa za ręce. Wtedy Simon odwrócił się do niego.

– Zobacz, co ten jebany dziwoląg zrobił mojemu chłopcu! – Cyrus wrzeszczał do Montgomery’ego. – Musicie zastrzelić tego skurwiela!

– Jimmy – odparł spokojnie brat – przestań. Jesteś na Dziedzińcu.

– Mam w dupie Dziedziniec! Widziałeś to? Musisz go zastrzelić za to, co zrobił mojemu chłopcu!

– Został tylko ugryziony – warknął Simon. – Zasłużył na to.

– Chłopak ukradł coś z mojego sklepu – dodał Jastrząb. – Powinien stracić za to całą dłoń.

Cyrus zamilkł, ale tylko na chwilę. A potem:

– O czym wy, u diabła, gadacie?

– Ukradł coś z mojego sklepu – powtórzył Jastrząb. – A za kradzież u nas traci się dłoń.

– Dość mocno go złapał – powiedziała Emily Faire, przyglądając się śladom po zębach na dłoni chłopaka. – Nieco zdartej skóry i będzie spory siniak, ale raczej nie ma powodów do zmartwień.

– Muszę zawieźć mojego chłopca do szpitala – powiedział Cyrus.

Simon popatrzył na niego z niedowierzaniem. Do szpitala? Przecież to tylko ugryzienie. Ugryzienie szczeniaka, który w dodatku gryzł głównie ludzkimi zębami. Wystarczyło wylizać ranę do czysta i poczekać, aż się zagoi.

Emily prychnęła:

– Mój młodszy brat gryzie mnie mocniej.

Chciał się sprzeciwić. Nawet w ludzkiej postaci szczeka Wilka była silniejsza niż u przeciętnego człowieka, tak więc brat Emily nie mógł gryźć mocniej niż Sam. Ale uświadomił sobie, że jako Intuitka Emily po prostu próbowała rozładować napięcie. Może i nie była w stanie powiedzieć, skąd wziął się gniew, ale prawdopodobnie miała wrażenie, że w tej chwili ludzkie emocje nie mają większego znaczenia, bo w całym tym zamieszaniu brały udział – albo je obserwowały – inne istoty.

Spojrzała na Cyrusa i zaproponowała:

– Mogę go zaprowadzić do gabinetu, umyć jego dłoń wodą z mydłem i posmarować zdartą skórę leczniczą maścią – albo możesz jechać z nim na izbę przyjęć, odczekać w kolejce, co swoje, a potem zapłacić mnóstwo pieniędzy za to,

żeby lekarz uczynił to samo.

– To ty powinieneś zapłacić za szpital. – Cyrus spojrział wściekle na Simona.

– Zamknij się – warknął Wilcza Straż – albo w ramach kary za kradzież odetniemy twojemu szczeniakowi dłoń i cały ten cyrk wreszcie się skończy.

– Simonie – odezwał się Montgomery tonem grzecznym, ale czujnym.

On jednak nie słyszał tej dziwnej ciszy, nie miał świadomości, że w tej chwili Starsi są na rynku i wszystkich obserwują – nie wiedział, że w innych częściach Thaisii, w których tylko Starsi decydowali o tym, kto przeżyje, a kto nie, ludzie już byłiby martwi. Całą uwagę skupił na Cyrusie.

– Twoje szczeniaki zostają wygnane z Dziedzińca – powiedział. – Będą mogły chodzić do Czegoś na Zęb oraz do Mięsa i Zieleniny, ale tylko w towarzystwie osoby dorosłej. Jeśli znajdziemy ich gdzie indziej albo bez nadzoru, weźmiemy więcej niż tylko dłoń.

Cyrus wpatrywał się w niego wściekle.

– Nie możecie tego zrobić.

– Oczywiście, że mogą – rzekł Montgomery. – Chodź, Jimmy. Mam u siebie apteczkę. Zajmiemy się raną Clarence’a. – Cyrus jednak nie ruszył się z miejsca, a jego chłopak wyglądał, jakby chciał wszcząć kolejną bójkę, gdy Kowalski próbował wyprowadzić go z rynku. – Jimmy – rzucił ostrzegawczo Montgomery. – Idziemy.

Simon patrzył w oczy mężczyzny. Widział w nich zarówno wściekłość, jak i strach. I zupełną obojętność wobec wyciągniętej z zaspy płaczącej dziewczynki, która zamiast szukać pocieszenia u ojca, pobiegła do stada samic stojącego po drugiej stronie placu.

Gdy policjanci i Cyrus odeszli, Simon zwrócił się do Emily Faire:

– Twój brat nie może gryźć tak mocno jak Wilk.

Wzruszyła ramionami.

– Pójdę się zająć pozostałymi pacjentami.

Meg. Zrobił krok w stronę gabinetu, gdy zawołał go Vlad. Zawahał się, ale Jane wiedziała, że nie wolno zlizywać krwi Meg, i umiała się zaopiekować Samem. Poza tym w gabinecie były Theral i Jenni. Tak więc Emily Faire nie potrzebowała już dodatkowej pomocy ani innych kręcących się tam osób.

Podszedł do miejsca, w którym obok Starra Wroniej Straży stali Vlad i Henry. Ten ostatni wskazał wypisane na chodniku słowa.

„Biały samochód”.

„Mężczyzna”.

„Zbolała twarz”.

„Kula”.

Do tego cyfry i litery, które, jak uświadomił sobie Simon, musiały być numerami tablicy rejestracyjnej.

Te napisy były odpowiedzią. Ale jak brzmiało pytanie?

– Policjanci zajęli się Cyrusem i jego szczeniakiem – rzekł Henry.

– Mam zadzwonić do kapitana Burke’a? – spytał Vlad.

Simon skinął głową.

– Pokażemy to również agentowi O’Sullivanowi.



Burke zaklął pod nosem na widok agenta O’Sullivana, który czekał na niego przed konsulatem.

– Słyszałem o bójce. Burza w szklance wody.

– Jeśli Cyrus Montgomery złapie za broń, sytuacja zrobi się o wiele poważniejsza – odparł agent, łapiąc za klamkę.

Burke szybko go powstrzymał.

– Czy wiesz o czymś, o czym ja nie mam pojęcia? – Czyżby Monty zbagatelizował powagę sytuacji? A może był rozdarty, bo mimo wszystko chciał być lojalny wobec brata?

– Wydaje mi się, że Cyrus to zbir, który potrafi być czarujący albo agresywny, byleby osiągnąć swój cel. Miałem wrażenie, że jego zdaniem kradzież w sklepie to nic nagannego, zwłaszcza jeśli dopuszczą się jej jego dzieci – a fakt, że zostały na tym przyłapane i ukarane, był dla niego nie do przyjęcia. Na widok Sama Wilczej Straży, którego postać utknęła między wilczą a ludzką postacią, wpadł w szal. Teraz z pewnością będzie używał usprawiedliwienia, że „on nie jest człowiekiem” w przypadku każdej krzywdy, jaką mu wyrządzi – albo komukolwiek innemu na Dziedzińcu... – O’Sullivan się zawahał. – Ja niczego nie widziałem, ale nagle na rynku pojawiło się coś, co na poważnie przeraziło Simona Wilczą Straż i resztę zmiennokształtnych.

Starsi. Na bogów na górze i na dole...

– Coś jeszcze?

– Cyrus zobaczył Meg, choć nie wiem, czy zrozumiał, jakie znaczenie miało to, że krwawiła.

Nie było cięcia brzytwą, ale dla wieszczki krwi miało to niewielkie znaczenie. Jeśli mieli szczęście, to Cyrus nie zauważył równoległych blizn na skórze dziewczyny. Pewnie jednak nie będą mieli aż tyle szczęścia.

O’Sullivan otworzył drzwi.

– Simon z pewnością nie będzie chciał rozmawiać z nami o żadnej z tych spraw.

Rzeczywiście – gdy weszli do sali konferencyjnej w konsulacie, Wilcza Straż nie dał im szansy na poruszenie tematu sprzeczki na rynku. Od razu wyciągnął z kieszeni kawałek papieru.

Burke spojrział na zapisane na kartce słowa i głośno wciągnął powietrze.

– Meg widziała, jak Sam zostaje uderzony – odezwał się Simon. – I pomyślała, że potrzebny jest lekarz. A gdy sama otrzymała cios, który rozciął jej wargę, zobaczyła to.

– Dominic Lorenzo jeździ białym samochodem – rzekł Burke. – Nie pamiętam numeru rejestracyjnego, ale łatwo to sprawdzić.

– Lekarz miał spędzać w gabinecie określony czas w tygodniu, jednak od dłuższej chwili go tu nie było – rzekł Simon. – Dlatego zatrudniliśmy Emily Faire, żeby była chodzącym ciałem w Dziedzińcu.

– Czy doktor Lorenzo nie należy do Biura Śledczego kontrolującego wieszczki krwi? – spytał O’Sullivan.

– Należy – odparł Burke. Przynajmniej gdy widział go po raz ostatni, wyraził zmartwienie faktem, że członkowie ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko mogą urządzić na niego zasadzkę i wydusić z niego informacje na temat miejsc przebywania wieszczek krwi. Co prawda Inni zniszczyli LPiNW, ale chciwość i cele polityczne stanowiły ogromną motywację, a te dziewczyny mogły uczynić człowieka naprawdę potężnym i bogatym.

Ciszę, która zapadła, po dłuższej chwili przerwał O’Sullivan:

– Zadzwońię do biura gubernatora i sprawdzę, czy ktoś miał ostatnio jakieś wieści od doktora Lorenza.

– A ja zrobię, co się da, żeby go odnaleźć. – Burke złożył kartkę i schował ją do kieszeni. Ponieważ proroctwo dotyczyło przyszłości, może uda mu się znaleźć Lorenza na czas, żeby powstrzymać ból i kulę. Może mógłby mu w tym pomóc Steve Przewoźnik, ponieważ większość uwolnionych z kompleksów dziewcząt ukrywała się u Intuitów. – Czy z pańskim siostrzeńcem i panią Corbyn wszystko w porządku? – zwrócił się do Simona.

– Nic im nie będzie. – Wilcza Straż wyjął z tylnej kieszeni dzinsów kolejną kartkę i podał ją Burke’owi.

– Ravendell nad jeziorem Senneca? Co to jest? – Senneca było jednym z Jezior Palczastych, nie miał jednak pojęcia, gdzie leży Ravendell.

– To właśnie tam są teraz Sierra i jej szczeniaki. – Ravendell było ludzką osadą na obszarze należącym do *terra indigena*.

Nie był to teren wydzierżawiony i znajdujący się pod kontrolą ludzi, co oznaczało, że nie było tam granic między tym, co ludzkie, a tym, co należało do Innych.

– Z Lakeside do Dyspozytorni nie ma linii kolejowej – zauważył O’Sullivan. – Czy tą trasą jeździ jakiś autokar?

– Nie między ludzkimi miastami – odparł Simon. – Ale jest autokar jadący wokół jeziora. Traktuje się go jako lokalny środek transportu, tak samo jak autokary w Lakeside. Porucznik Montgomery powiedział, że bezpieczniej dla Sierry będzie, jeśli on i pani Twyla nie będą wiedzieli, gdzie ją znaleźć.

Pomyślałem jednak, że wy powinniście o tym wiedzieć.

– Oficjalnie będę się przemieszczać do Lakeside, jednak na razie nadal mam prawo stałego pobytu w Dyspozytorni i próbuję tam bywać kilka razy w miesiącu – rzekł O’Sullivan. – Jeśli ktoś chce przekazać coś pani Montgomery, mogę znaleźć wymówkę, żeby pojechać nad Senneceę.

– Będę mieć to na względzie – odparł Burke, a gdy O’Sullivan wyszedł, zatrzymał resztę. – Skoro Clarence kradł, dlaczego nie powstrzymał go właściciel sklepu?

– Jastrząb wypuściłby go na zewnątrz, żeby dzieciak nie próbował kręcić, że chciał zapłacić. – Simon wzruszył ramionami. – Tak jak wszystkie *terra indigena*, tak i Jastrzębia Straż jest większa niż zwykle jastrzębie. Ale nie na tyle duża, by podnieść dziecko o tej masie. Natomiast Jastrząb mógłby wyrządzić mu krzywdę szponami. To właśnie by się stało, gdyby Sam i Meg nie zainterweniowali.

– Clarence miał na palcach kilka pierścieni, taką dziecięcą wersję kastetu. Mógł poważnie zranić jakieś inne dziecko.

– Sam miał ranę ciętą; krwawiła. – Simon uśmiechnął się sucho. – Jeszcze kilka miesięcy temu wylizałbym ją do czysta i byłoby po wszystkim. Dzisiaj rana na policzku Sama i rozcięta warga Meg oznaczają, że w ramach pocieszenia będziemy musieli po kolacji pójść na lody, a potem jeszcze do kina na maraton filmów o Drużynie Wilków.

– Jestem zaskoczony, że Sam i Meg nie zażyczyli sobie lodów i na kolację, i na deser – odparł Burke.

– Oczywiście, że sobie zażyczyli. Ale Katherine Debany stwierdziła, że lody na kolację to za mało. Poleciała jajecznicę, bo rzekomo będzie najłatwiejsza do zjedzenia. Teraz wszystkie samice przynoszą do Czegoś na Ząb po jajku, żebym mógł zabrać je do domu. – Zabrzmiało to tak, jakby Simon nadal próbował określić status matki oficera Debany’ego w stadzie.

– Mogło być gorzej.

Wilcza Straż skinął głową.

– Moglibyśmy jeść jogurt.

Burke zachichotał, ale szybko spoważniał.

– Jak długo ta koza na łańcuchu zostanie w Lakeside?

– Nie wiem. Gdyby to zależało ode mnie, wyjechałby stąd w dniu, w którym się zjawił.

– Czyli nadal się nim interesują?

Simon się zamyślił.

– Cyrus nie jest typem człowieka, który normalnie zbliżyłby się do dzikich terenów.

„NAÓCZYLIŚMY SIĘ OT WAS” – Starsi porozstawiali takie znaki i zwabili dziennikarzy radiowych i telewizyjnych do miast, takich jak Bennett, żeby

na własne oczy zobaczyli, co pierwotne formy *terra indigena* ze Środkowego i Północnego Zachodu nauczyły się o byciu człowiekiem. W odpowiedzi na rzeź Wilczej Straży na tych terenach całe miasta zostały wyrżnięte co do nogi.

Już to wystarczyło, żeby nie mógł spać po nocach – choć nigdy by się do tego nie przyznał ani swoim ludziom, ani przełożonym. Ale gdy ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko przestał istnieć, nie było już nikogo, kto mógłby zjednoczyć ludzi i rozpocząć kolejne powstanie przeciwko Innym; przynajmniej nie w ciągu najbliższego pokolenia lub dwóch. Nie, następne zagrożenie dla ludzi mogłoby być o wiele bardziej subtelne i jeszcze straszniejsze, jeśli miałyby odzwierciedlać podejrzane interesy Cyrusa Montgomery'ego.

– Nie jest człowiekiem, którego mieliby naśladować Starsi – wtrącił Burke.

– Cóż – odparł Simon po dłuższej chwili – to tylko koza na łańcuchu. Wydaje mi się, że Starsi nie są już nim zainteresowani.



Jimmy sączył drinka przy barze w Jeleniu i Zającu. Na widok ręki Clarence'a Sandee wpadła w histerię i zaczęła krzyczeć, że przebywanie w pobliżu Dziedzińca jest bardzo niebezpieczne. Dzieciaki histeryzowały z każdego powodu. Człowiek ani przez chwilę nie miał spokoju.

A przecież musiał nawiązać jakieś kontakty. Musiał znaleźć coś, co mógłby zamienić na gotówkę.

Bez problemu sprzedał dodatkową porcję lasagne, a mężczyźni, którzy ją kupili, byli zainteresowani wszystkim, co miał na zbyciu. Wiedział jednak, że przy restrykcjach narzuconych przez dziwolągi i wściekłości na Clarence'a, który próbował zwinąć kilka bezużytecznych drobiazgów, nie będzie w stanie zdobyć dostatecznie dużo pożywienia, żeby je sprzedawać – chyba że zacząłby sprzedawać połowę tego, co dostawał z Dziedzińca, a Sandee kazałby płacić za siebie w inny sposób. Szkoda, że dziwolągi zdawały się nie być zainteresowane ruchaniem. Sandee w końcu mogłaby być coś warta.

Blondyn, którego widział już wcześniej, siedział na taborecie obok niego i uśmiechał się – nieszczerze i znacząco.

– Mogę postawić ci drinka?

Jimmy polubiłby tego gościa już za sam uśmiech. A jego propozycja jeszcze bardziej mu się spodobała.

– Byłbym wdzięczny.

– Masz jakiś biznes w Dziedzińcu. – Mężczyzna bardziej stwierdził, niż spytał.

Jimmy stał się czujny. Upił kolejny łyk.

– Znam ludzi, którzy mają biznesy – odparł.

– Możesz jednak wejść na Dziedziniec i chodzić po nim, nie wzbudzając

niczyich podejrzeń.

– Tak, ale ludzie są tam cały czas pod obserwacją.

Mężczyzna wypił swojego drinka i zamówił następną kolejkę.

– Nie przez cały czas. Można odwrócić ich uwagę i sprawić, żeby skupili się na jednej części Dziedzińca... odsłaniając inną. – Zaczął się bawić szklanką. – Mają coś, co należy do mnie. Nie mogłem do tego dotrzeć, jednak wiem, gdzie to jest. Potrzebuję kilkuminutowego dostępu do rynku. Na tyle długiego, żeby złapać, co moje, i uciec. A jeśli nie będę mógł tego zabrać, dopilnuję, żeby już nikomu się nie przydało. – Wyjął z kieszeni pieniądze i pomachał dziesięcioma banknotami po pięćdziesiąt dolarów. – Potrzebuję tylko czegoś, co odwróci uwagę od rynku – powtórzył. – Dużego zamieszania i chaosu, tak bym mógł się tam zakraść i uciec. Co o tym sądzisz?

Pięć stów za zamieszanie i narobienie kłopotów dziwolągom?

Facet położył na barze pięćdziesiątkę, a resztę schował.

– To za wysłuchanie mnie.

– Skoro będziesz musiał działać w pośpiechu, to jak dostanę resztę?

W błękitnych oczach i uśmiechu mężczyzny pojawił się błysk okrucieństwa.

– Dopilnuję, żeby pieniądze do ciebie trafiły.

Jimmy oblizał usta. Taka kwota ustawiłaby go na jakiś czas, zwłaszcza jeśli ukryje ją przed Sandee.

– Kiedy?

– Jutro. – Mężczyzna wyciągnął rękę. – Umowa stoi?

Jimmy nie wahał się ani chwili. Również wyciągnął rękę.

– Jestem Jimmy.

Mężczyzna ścisnął jego dłoń odrobinę zbyt mocno.

– Jack.

Do: Simon Wilcza Straż i Vladimir Sanguinati

Przyjechali nowi mieszkańcy Bennett. Ludzie, którzy będą pracować na farmach i ranczach, zostaną na kilka dni w mieście, żeby otrzymać instrukcje od Tobiasa Walkera, kierownika Złotej Prerii, i Stewarta Dixona, ranczera, który pomógł Joemu Wilczej Straży i współpracuje z nami w zamian za możliwość jeżdżenia do Bennett po zaopatrzenie i pozwolenie, by jego ludzie brali udział w wydarzeniach społecznych, takich jak chodzenie do kina, na koncert czy do teatru. Nie wiem, czy w najbliższym czasie odbędą się jakieś profesjonalne koncerty albo sztuki, ale dostałem informację z kina, że otrzymali kilka filmów, tak jakaś forma rozrywki – dla ludzi i dla nas – na pewno się pojawi. Będę cię informować na bieżąco.

Tolya

14 sierpnia

*Droga Jenni,
przybyłam do Bennett. Na razie zatrzymałam się w hotelu i wybieram meble
do sypialni. Poznałam już Barb, moją współlokatorkę, i Virgila, mojego nowego
szefa. Jutro zaczynam pracę.*

Jana

Rozdział 13



Wtorek, 14 sierpnia

Gdy Sowa Straż ruszyła do domu, ich kroki tylko podkreśliły osobliwą, sfrustrowaną ciszę na rynku.

Nie mogli znaleźć zapachu pysznych wilczych ciasteczek nigdzie poza miejscem pracy wyjącego nie-Wilka. Poczuli interesujące zapachy w miejscu pracy Żniwiarza, zwłaszcza w dzień, gdy tylu *terra indigena* i ludzi biegało po budynkach. A potem woń, taka świeża i mocna, znikła – jedzenie zostało skonsumowane.

Byli silni, a ich pazury z łatwością otwierały drzwi, ale Wilcza Straż i Sanguinati byli już dostatecznie niezadowoleni z faktu, że nalegali na zostawienie na Dziedzińcu tego mało znaczącego ludzkiego drapieżnika. Gdyby się włamali do miejsca pracy Żniwiarza i nie-Wilka w poszukiwaniu ciastek, rozżaliliby mniejszych zmiennokształtnych. I Żniwiarza. A co z nie-Wilkiem? Gdyby się przestraszyła, mogłaby porzucić miejsce pracy – a duża liczba małych zmiennokształtnych – przy założeniu, że wielu z nich zginie – mogła poważnie

zranic jednego Starszego. Żniwiarz zająłby się resztą.

Mały ludzki samiec ukradł coś Jastrzębiowi, powiedział samiec.

To było złe ludzkie zachowanie, odparła samica. Mały człowiek został ugryziony przez szczeniaka Wilka, a kradzież zdenerwowała wszystkich dorosłych. Podczas bójki szczeniaków doszło do niewielkiego rozlewu krwi nie-Wilka. Zapach strasznego stworzenia Namid unosił się w powietrzu, jednocześnie przerażając i kusząc.

Cały czas skradali się wokół budynków, aż wreszcie stanęli pod tylnymi drzwiami miejsca pracy nie-Wilka. Skąd nie-Wilk wiedział, kiedy uzupełniać zapasy dla Wilków? Skąd wiedział, co przynieść małym zmiennokształtnym, gdy wsiadał do swego pudełka i jeździł po Dziedzińcu?

Wilk otrzymuje małe kawałki papieru od terra indigena mieszkających w osadach na dzikich terenach, powiedziała samica. Oni ponoć chcą otrzymywać te kawałki papieru.

Powiemy nie-Wilkowi, czego chcemy. Samiec przyjrzał się swoim dłoniom i szponom, którymi mógłby coś napisać.

Tak, zgodziła się samica. Dowiemy się, jak to zrobić, i opowiemy to naszym krewnym na dzikich terenach na wypadek, gdyby miało im się to przydać podczas pilnowania ludzi.

Podeszli do budynku naprzeciwko miejsca pracy nie-Wilka. Samiec szarpnął za drzwi i wyrwał zamki. Podczas gdy on zaczął wybierać papier i patyk do pisania, samica wyruszyła na polowanie, żeby zostawić coś w zamian.

Przecież wymiana to nie to samo, co kradzież. Zabieranie było złe, ale ludzie ciągle czymś się wymieniali.



Gdy odwoził ich do pracy, cały czas obserwował Meg. Zeszłego wieczoru była zaszępią, choć oglądała razem z nim i Samem Drużynę Wilków. Wyglądało na to, że jej nastrój w ogóle się nie poprawił.

– Nadal boli cię rozcięta warga? – Wyglądała na obolałą i miał ochotę ją polizać, jednak wiedział, że nie powinien tego robić.

– Boli, ale nie jest źle. – Zrobiła obrażoną minę. – Musisz porozmawiać z Jedynakiem. Podczas jedzenia lodów nie może siedzieć ludziom w nogach, żeby trzymali jego talerz.

– Nikomu nie siedział w nogach, po prostu ustawił twoje stopy tak, żeby trzymały jego miskę.

– Ale ja jestem człowiekiem!

– Sama go tego nauczyłaś.

Parsknęła.

– Podejrzewam, że o tym nie pamięta. O wszystkim innym zapomina.

– Nie o wszystkim. Jedynak pamięta to, co jest dla niego ważne. – Spojrzał na nią i zaczął się śmiać. – Masz minę zrzędliviego kucyka.

– Ha, ha, ale zabawne.

Było mu dobrze. Rozcięcie na policzku Sama szybko się zagoi. Pozostawało pytanie, czy Meg będzie miała bliznę na wardze, ale ponieważ i tak by się tam nie cięła, nie było się czym martwić – chyba że nie mogłaby przez to jeść. W dziczy rana, która uniemożliwiała Wilkowi jedzenie lub picie, przeważnie oznaczała śmierć.

Ale Meg zjadła jajecznicę, a potem poszli na lody w pucharku, tak żeby nie musiała wgryzać się w wafelek. Może i nie mogła jeść wszystkiego, na co miała ochotę, ale z pewnością nie opadnie z sił. Stał na tyłach biura łącznika i patrzył, jak Meg otwiera drzwi i wchodzi do środka. Zaparkował PNK w garażu i podłączył do prądu. Gdy szedł do Zabójczo Dobrych Lektur, minął Chrisa Fallacaro, który niósł na ramieniu torbę z narzędziami.

– Muszę wymienić zamek w drzwiach wejściowych Trzy P – powiedział. – Lorne rozmawiał już o tym z panem Sanguinatim.

Człowiek pachniał... dziwnie. Nie był przestraszony, ale z pewnością był zdenerwowany.

Zaniepokojony Simon pośpieszył do sypialni. Po drodze jednak odwrócił się w stronę biura łącznika; zastanawiał się, czy powinien kazać Meg zamknąć tylne drzwi.

Vlad stał za ladą i wkładał do kasy szufladę z pieniędzmi.

– W nocy albo o świcie było swego rodzaju włamanie do Trzech P.

Simon podrapał się za uchem.

– Po co? Przecież tam sprzedają tylko papier i artykuły piśmiennicze. I co to znaczy „swego rodzaju włamanie”?

– To znaczy, że ktoś włamał się, niszcząc zamki w drzwiach, a potem zabrał trochę papieru i coś do pisania, może jakiś mazak albo długopis. Lorne nie jest pewien, co zginęło. Wydaje mu się, że niewiele, i tylko nieporządek w niektórych częściach sklepu sprawił, że mógł odgadnąć, co ukradziono.

– Jeśli coś zostało zabrane, to zostało ukradzione.

– Nie, jeśli na ladzie w ramach zapłaty pozostawiono świstaka.

Simon popatrzył na Vlada. A Vlad na Simona.

– Och... Ale po co im papier i długopis?

– Jak się dowiesz, to daj mi znać.



Meg otworzyła tylne drzwi i rozejrzała się. Potem wróciła do sortowni i przeczytała napis na kawałku papieru, który wsunięto pod drzwi, zanim przyszła do pracy: „hcemy ćastek”.

– Możecie sobie chcieć, ale z całą pewnością musicie się nauczyć pisać – mruknęła. Jednak w grubych, tworzących litery kreskach było coś, co przywodziło na myśl żądanie, a nie prośbę.

No cóż, doskonale wiedziała, co robić z żądaniami.

– Arrooo? – odezwał się Nathan.

– Nic, nic – odparła i zwinęła kartkę w kulkę.

Czy Ruth poznała nauczyciela lub nauczycieli, którzy uczyli w szkole na Dziedzińcu? Może Henry wiedział, kim byli? Wydawało się jej, że młode *terra indigena* uczą się podstawowych ludzkich umiejętności, takich jak czytanie, pisanie i liczenie. Już Sam umiał lepiej pisać; poza tym który szczeniak nie potrafiłby napisać słowa „ciastka”?

Niemal wyrzuciła liścik do kosza na śmieci. Ale po chwili namysłu wygładziła papier i jeszcze raz przeczytała wiadomość. To był pierwszy raz, gdy ktoś żądał od niej ciastek. Z reguły, gdy przybywała dostawa z piekarni Eamera, Wilki po prostu cieszyły się z tego, co dostały.

Uginanie się pod wpływem żądań byłoby błędem. O, tak.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer piekarni Eamera w Przystani Przewoźników. Fakt, że nie miała zamiaru spełniać żądania, nie oznaczał, że nie mogła być gotowa na spełnienie prośby.



Jimmy siedział na tarasie w swoim mieszkaniu i starał się ignorować jęczenie Sandee na temat tego, że gówniarzeria była uziemiona i nie mogła wychodzić na zewnątrz, i nie miała co robić, bo reszta dzieciaków była w szkole.

Może i Sissy miała rację, że nawiała stąd bez słowa. Z pięcioma stówkami mógł wsiąść w pociąg z powrotem do Toland albo pojechać do Shikago. Może nawet udałoby mu się dotrzeć do jakiegoś kontrolowanego przez ludzi miasta w Regionie Południowo-Wschodnim. Pozbyć się tej zdziry i jej bachorów. Zacząć wszystko od nowa.

Najpierw jednak musiał zrealizować swoją część planu.

Jack, który obserwował Dziedziniec już od dawna, powiedział mu, że późny poranek to czas, gdy wszyscy śpieszą się do pracy. Na rynku jest wtedy najmniej dziwadeł. Wystarczyło tylko namówić CJ-a, żeby w odpowiednim momencie wrócił do mieszkania.

Jimmy spojrzał na zegarek. Czekał.



Coś walnęło w tylne drzwi biura łącznika z taką siłą, że Nathan warknął, zaskoczony, a Pete Denby zbiegł ze swojego biura na górze, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Meg otworzyła drzwi, a potem nadepnęła na kawałek papieru, który prawie

został porwany przez wiatr. Podniosła karteczkę: „hcemy astek!”.

– Och, doprawdy, chcecie? – Przekonana, e ten, kto zostawi lici, z pewnoci j obserwuje, wysza na zewntrz i pogrozia palcem. – Gdy ktos czego chce, powinien poprosi. Tak robi dobrze wychowane stworzenia. – Poczekala chwil, przekonana, e szczeniaki lub mode, ktore zostawiy karteczk, wyjd ze swych kryjwek ze spuszczoneymi bami i podkulonymi ogonami. Na zewntrz jednak panowala dziwna cisza, przez ktora poczula si niepewnie. Poniewa nie chciaa zachowa si jak przestraszony krolik, ponownie pogrozia palcem i krzykna: – Niegrzeczne szczeniaki!

– Meg?

Spojrzaa na Pete’a, ktory sta na ppitrze.

– Po prostu wyznaczam granice – oznajmia i wesza do rodka.

Nathan ju na ni czeka. Gdy tylko przestapia prog, zacza j obwachiwa. Kiedy pocza zapach papieru, wepchna j dalej, a potem przednimi apami zatrzasna drzwi.

– Nathanie...

Wepchna j do sortowni i zamkna kolejne drzwi, a nastepnie przyja ludzka postc.

Zaskoczony wyraz jego twarzy powstrzyma j przed skomentowaniem jego nagoci.

– Oszalaa? – niemal wyrycza.

– Przecie ktos musi nauczy szczeniaki dobrych manier – odpara, zirytowana jego tonem. – To, e chca ciastek, nie oznacza jeszcze, e wybiegn i dam je im.

– Szczeniaki? – Patrzy na ni, szczerze zszokowany. – Mylisz, e ten lici zostawiy szczeniaki?

– A kto inny... – Pomylala o burzy, ktora w zeszym miesicu nawiedzila Lakeside, i o tym, jak co przeszukao biuro acznika i grzebao w szafkach, gdy miasto okrya mga. I nagle przypomniala sobie, jaka inna postc *terra indigena* lubia wieo pieczone wilcze ciasteczka. – Och...

Budynkiem wstrzano kolejne uderzenie.

– Zosta tutaj – zarzdzi Nathan i wyszed.

Mia wraenie, e czeka cae wieki, ale wroci po minucie i wrczy jej kolejn karteczk: „hcemy astek prose”.

Meg nabraa powietrza i dopiero teraz uwiadomia sobie, e nie oddychala.

– Meg... – jkna Nathan i poszed za ni.

Otworzya tylne drzwi i wyrzaa.

– Zaraz bd ciastka – oznajmia, a po chwili dodaa dla pewnoci: – Arroo!

Zamkna drzwi i opada na podog. Nathan, z powrotem w wilczej postaci, polizal j po twarzy, a nastepnie opad obok niej. Zanurzya palce w jego futrze

i poczuła, że Wilk drży.

– Chyba nie powinnam ich strofować, co? – spytała.

Spojrzał na nią.

– Rooo.

Usłyszawszy, że woła ją ktoś z pomieszczenia z przodu, Meg podniosła się do pionu.

– To listonosz. Lepiej zabiorę się do pracy.



Vlad wpatrywał się w Simona.

– Meg powiedziała Starszym, że są...

– ...niegrzecznymi szczeniakami.

– Tak.

Minuta ciszy.

– Dlaczego?

– Bo nie napisali „proszę”, gdy prosili o ciastka.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Simon podrapał się za uchem, które było teraz owłosione i wilcze.

– W porządku. Meg powiedziała wszystko za nas.



– CJ? Z tej strony Jimmy. Jesteś mi tu potrzebny. Muszę ci coś powiedzieć.

– Jimmy, jestem w pracy.

– Tak, racja. Nigdy nie masz czasu dla rodziny.

– Jimmy...

– Nie, kursuj w kółko i zgrywaj ważniaka, a ja powiem mamie to, co mam jej do powiedzenia, dobrze?

Chwila ciszy.

– Będę za pół godziny.

Jimmy odłożył słuchawkę i się uśmiechnął. Na CJ-a zawsze można było liczyć. Wystarczyło tylko odpowiednio nacisnąć.



Meg się wzdrygnęła. Poczowała mrowienie z boku szyi. Wsadziła rękę do kieszeni spodni i zacisnęła palce na srebrnej składanej brzytwie.

Nie. Nie będziesz cięła szyi. To zbyt niebezpieczne. Za dużo rzeczy mogłoby pójść nie tak.

Zostawiła brzytwę i wyjęła z szuflady pudełko z kartami prorocत्व; otworzyła je i położyła dłonie na kartach. Nie miała żadnego pytania ani nawet żadnego tematu. Ale czuła mrowienie w opuszkach palców, gdy przesuwała dłońmi nad kartami. Wybrała trzy, które wywołały w niej najsilniejsze przeczucia.

Położyła je na stole w kolejności, w jakiej je wybrała, a potem spojrzała na zegar. Miała mało czasu, niedługo przybędą kucyki, żeby dostarczyć pocztę na Dziedziniec.

Odwróciła karty. A potem zadzwoniła do Zabójczo Dobrych Lektur.

– Vlad? Z tej strony Meg. Muszę się spotkać z Merri Lee. Nic mi nie jest. Jestem tylko... zdezorientowana.

– Co się stało? – spytała minutę później Merri Lee.

Meg wskazała karty. Karta wybuchu. Osoba wskazująca jakiś kierunek. Ale położyła kartę do góry nogami. Na trzeciej karcie, karcie skutku, widniała zakapturzona postać z kosą.

– Chciałam, żebyś to zobaczyła. – Meg zwróciła uwagę na drugą kartę. – Do góry nogami. Nigdy wcześniej mi się to nie przytrafiło.

– Nigdy? Ale przecież karty w skrzynce są wymieszane. Może nieświadomie je podwracałaś?

Pokręciła głową.

– Koszulki kart mają inne wzory, odróżniam talię natury od talii miast, więc gdy wybieram karty, zawsze zamykam oczy. Ale do tej pory jeszcze nigdy nie wylosowałam karty do góry nogami.

– W takim razie to musi coś oznaczać. – Merri Lee zmarszczyła czoło. – Postać wskazywałaby w stronę śmierci, ale ponieważ jest odwrócona, wskazuje wybuch.

– Jedno i drugie oznacza kłopoty.

– Tak, ale...

– Meg. – W oknie sortowni nagle ukazała się twarz Henry'ego. – Mamy problemy. Zostańcie w budynku.

Wrócił do swojego studia, więc Merri Lee i Meg pobiegły wyjrzeć przez wielkie okna. Ponieważ Henry był Niedźwiedziem, nie przeskoczył przez mur z gracją Wilka, ale z drugiej strony mur nie stanowił dla niego żadnej przeszkody – przeszedł przez niego, a następnie ruszył w stronę ulicy Głównej; gdy dotarł do chodnika, skręcił w prawo.

Merri Lee wyjęła z kieszeni swój telefon komórkowy.

– Po drugiej stronie ulicy jest Eve. Będzie widziała, co się dzieje.

Nathan warknął i zajął pozycję przed szklanymi drzwiami.

Meg wycofała się do sortowni, Merri Lee poszła za nią.

– Eve mówi, że doszło do sprzeczki między porucznikiem Montgomerym a jego bratem. Przepychają się i krzyczą – relacjonowała Merri Lee. – Jest tam Karl, ale zajmuje się Sandee. Eve nie wie, gdzie jest Michael. Może na komisariacie. Simon, Vlad i Henry są już po drugiej stronie ulicy.

Meg popatrzyła na karty i szepnęła:

– Idą w złą stronę.

Potem ruszyła w kierunku Nathana, wrzeszcząc:

– Powiedz Simonowi, że idzie w złą stronę!

Zaskoczony Wilk odwrócił się do niej. W tej samej chwili Meg dostrzegła jakiegoś blondyna – biegł przez obszar dostaw, kierując się do wejścia.



Meg mówi, że idziecie w złą stronę! krzyknął Nathan.

Simon przeskoczył z powrotem na chodnik po stronie Wroniej Alei należącej do Dziedzińca. Spróbował złapać Vlada za rękę, ale Sanguinati zamienił się w dym i zaczął się unosić, żeby przefrunąć nad samochodami. Próba złapania go za rękę jednak wystarczyła, żeby zatrzymać Vlada i zwrócić uwagę Henry'ego.

– Meg mówi...

Nagle usłyszeli kobiecy wrzask.

Simon spojrział w stronę rynku. Ruszył na parking dla klientów, ignorując sprzeczkę Montgomery'ego z Cyrusem. Przyśpieszył, by dogonić Henry'ego, który właśnie skręcał na parking.

Kobieta ponownie krzyknęła – z bólu i ze strachu.

Henry otworzył drewniane drzwi prowadzące na parking dla pracowników, a potem się zatrzymał. Cała trójka zobaczyła mgłę – tak gęstą, że gdyby Niedźwiedź wyciągnął rękę, nie byłby w stanie dostrzec własnej dłoni.

Kolejny wrzask, nagle urwany. Tym razem męski.

A potem teren wokół rynku wypełniła niesamowita, przerażająca cisza.

Simon i Vlad cofnęli się, żeby uniknąć mgły. Henry zamknął drzwi i się wycofał.

Nathanie! krzyknął Simon. *Niech Meg nie wychodzi z biura łącznika!*

Merri Lee też tu jest, odparł Nathan. *Nie możemy wyjrzeć przez okno na tyłach biura, ale na obszarze dostaw nie ma żadnej mgły. Pete Denby jest na górze. Kazałem mu zostać w budynku.*

Simon zwrócił się do reszty:

Elliot!

Nic nam nie jest, padła odpowiedź. *Agent O'Sullivan pilnuje drzwi. Ja zmieniłem się w Wilka. Są tu też Katherine Debany i pani Twyla. Zadzwoił Lorne z Trzech P – zamknął drzwi i będzie czekał na opadnięcie mgły.*

– Panie Wilcza Straż? – Ruth stała przed szklanymi drzwiami, stanowiącymi boczne wejście do mieszkań nad lokalem krawcowej.

– Ty i szczeniaki macie zostać w środku – odparł Simon, a w tym samym czasie Kowalski, który znajdował się po drugiej stronie ulicy, zawołał:

– Ruthie, wracaj do środka!

– Poczekaj! – Simon i Vlad, nadal pod postacią dymu, przepchnęli się obok Ruthie i wbiegli po schodach, zostawiając Henry'emu wepchnięcie kobiet do

środka i pilnowanie drzwi. Gdy pośpieszyli do tylnych schodów, z których mieli dostęp do terenu za Zabójczo Dobrymi Lekturami i Czymś na Ząb, Chris Fallacaro otworzył drzwi swojego mieszkania i popatrzył na nich.

– Co się dzieje?

Nie odpowiedzieli mu, ale ucieszyli się, że mają przed sobą kolejnego człowieka. Nadine była w Czymś na Ząb z Tess; Eve Denby siedziała w swoim mieszkaniu po drugiej stronie ulicy, zostawała więc...

Theral MacDonald była sama w gabinecie lekarskim, ponieważ tego ranka Emily Faire pojechała odwiedzić swoją rodzinę, a Elizabeth Bennefeld nie miała zaplanowanych żadnych masaży.

Ja to zrobię, powiedział Vlad, gdy Simon otworzył drzwi żeby wyrzeć na zewnątrz. Pod postacią dymu powinienem być bezpieczny.

Nie wiesz tego na pewno.

Vlad częściowo przefrunął przez drzwi.

Mgła zaczyna rzednąć. Chyba jesteśmy bezpieczni.

Wtedy usłyszeli krzyk Jenni:

Theral jest ranna! Jej twarz krwawi. Możemy już wyjść i jej pomóc?

Simon się zawahał.

A widzisz w pobliżu niej jakiegoś samca?

Nie, ale chodnik obok niej jest ciemny. To może być krew.

Skoro Jenni widziała chodnik, to oznaczało, że mgła na rynku również zaczęła rzednąć. Ale wyjście na zewnątrz wcale nie musiało być bezpieczne.

A potem rozległo się stukanie kopyt. Simon patrzył, jak kucyki wbiegają przez boczne drzwi do biura łącznika i stają w rzędzie, czekając, aż Meg wypełni pocztą ich kosze. Zdjął ubranie i zamienił się w Wilka.

Elliocie, idź do biura łącznika i pilnuj Meg. Potrzebuję tu Nathana.

Już się robi.

Gdy zbiegał po schodach, Vlad cały czas frunął obok niego. Pod postacią kucyków konie Żywiołów były tak samo wrażliwe na kły i pazury – i na kule – jak każde inne stworzenie. Z pewnością nie przybyłyby po pocztę i smakołyki, gdyby Starsi nadal znajdowali się na rynku.

Nathan spotkał się z nimi w łuku prowadzącym na rynek i cała ich trójka pognęła do miejsca, w którym na ziemi siedziała Theral. Jenni kucała obok niej.

– Jack... – wydyszała Theral. – To był Jack. Uderzył mnie. Powiedział, że jeśli z nim nie pójdę, to mnie zabije. Ale próbowałam mu się wyrwać. A potem pojawiła się mgła, Jack wrzasnął i już go nie było.

Vlad zamienił się w człowieka i pomógł kobiecie wstać.

– Jesteś ranna. Chodźmy do gabinetu lekarskiego. Wezwiemy do ciebie chodzące ciało.

Najbliższym chodzącym ciałem jest teraz Welby Sowia Straż, rzekł Simon.

A lot będzie bezpieczniejszy niż podróżowanie po ziemi. Przynajmniej miał taką nadzieję – sądził, że Starsi nie ściągną leżącej Sowy w dół.

Zgadzam się, rzekł Vlad. Poproszę Henry'ego, żeby przekazał tę informację porucznikowi Montgomery'emu i oficerowi Kowalskiemu. Mogą tu przyjść i porozmawiać z Theral albo zabrać ją do ludzkiego lekarza.

Simon i Nathan grzecznie obwąchali Theral, szukając zapachu Jacka Fillmore'a, a potem zaczęli węszyć przy plamie. Część krwi należała do Theral, ale większość do innego człowieka. Poszli wzdłuż śladów do ogrodu Zielonego Kompleksu, gdzie spotkali Blaira, który obwąchiwał...

O nie, pomyślał Simon. Meg nie może się o tym dowiedzieć.

Starsi, powiedział Blair. Zostałem w Zielonym Kompleksie, aż weszli głębiej w Dziedziniec z tym, czego nie zjedli tutaj.

Simon podszedł do kręgosłupa odartego z mięsa, podczas gdy Nathan badał łapami porozrywane ubrania, aż znalazł portfel. Blair obwąchiwał stopę, nadal tkwiącą w bucie, z której wystawało kilkanaście centymetrów nogi. Na dorosłym ludzkim samcu było tyle samo mięsa, co na jeleniu, choć ich ciała miały różne kształty. Jednak i tak było to za mało dla dwójki Starszych.

Kości – a raczej to, co z nich zostało – były obgryzione do czysta. Zniknęły wszystkie narządy, a długi gnat jednej nogi został złamany – widocznie ktoś chciał się dostać do szpiku. Jedyne, co pozostało nienaruszone, to stopa w bucie i...

Co ty wyprawiasz? zaskowytał Simon, gdy Blair zaczął wygryzać mięso z nogi.

Jestem głodny, odparł. Nie powinno się marnować mięsa. Wyciągnął stopę z buta, a potem obwąchał i jedno, i drugie. Śmierdzi, stwierdził z niesmakiem.

Mówiłeś, że jesteś głodny.

Nie aż tak.

Znalazłem drugą stopę, ale nie ma śladu po nodze. Nathan podbiegł do Simona ze stopą w pysku.

Musimy to zakopać. Simon spojrzał na krzaki znajdujące się kilka metrów od nich. Ktoś pracujący w ogrodzie nie zauważył świeżo rozkopanej ziemi za nimi. *Meg zdenerwowała się, widząc kręgosłup królika. A to...*

Chwycił w zęby kręgosłup i ruszył w stronę zarośli. Blair i Nathan złapali stopy i porzucili je w wybranym miejscu, a potem wrócili, żeby sprawdzić, czy nic nie zostało.

Jastrzębiom udało się trochę dziabnąć, stwierdził Blair. Ale na pewno nie zostawią niczego w miejscu dostępnym dla Meg. Nie znalazłem głowy. Jeden ze Starszych mógł ją zabrać, żeby później roztrzaskać czaszkę i wyjąć mózg.

Zebrali wszystkie resztki, jakie udało się im znaleźć. Nathan pobiegł do Zielonego Kompleksu, by znaleźć jakąś torbę na ubrania i rzeczy osobiste, a w tym czasie Simon i Blair zaczęli kopać.

– Czy Wilcza Straż potrzebuje pomocy?

Wilki popatrzyły na Ziemię, która siedziała okrakiem na piaskowym rumaku. *Musimy to ukryć przed Meg*, rzekł Simon, cofając się przed kośćmi i skrawkami mięsa. *Jeśli to zobaczy, bardzo się zdenerwuje.*

– Ja i Ruchome Piaski zajmiemy się tym.

Ziemia pod szczątkami mężczyzny zamieniła się w ruchomy piasek. Gdy zniknął ostatni fragment kości, znów wyglądała normalnie.

Dziękuję.

Ruchome Piaski tupnęła nogą, natychmiast zamieniając ziemię z powrotem w ruchomy piasek.

Ziemia zaczęła się śmiać.

– Nasza Meg daje kucykom kostki cukru jako specjalną nagrodę. Ruchome Piaski dopomina się o swój przydział. – Żywioł odwróciła rumaka i pogalopowała w stronę rynku – i biura łącznika.

Znalazłem jeszcze to, odezwał się Nathan chwilę później, rzucając na ziemię obok stosu podartych ubrań dużą papierową torbę i mały koc.

Schowali do torby dzinsy, koszulę, bieliznę i jeden but; po chwili dorzucili pasek, klucze i portfel. Jack mógł mieć w kieszeniach jeszcze inne rzeczy, ale na przeszukanie terenu mieli mało czasu i nie znaleźli już nic poza drugim butem. Owinęli torbę kocem i luźno związali jego końce, żeby łatwiej było go nieść. Następnie Simon i Nathan wrócili na rynek, a Blair udał się do Kompleksu Usługowego.

Po drodze widzieli Wronią Straż – zerwała się do lotu w chwili, gdy została zauważona. Ponieważ na ziemi leżało kilka monet, Simon stwierdził, że Wronia Straż zbierze wszystkie błyszczące przedmioty, które mogły wypaść z kieszeni Jacka.

Kiedy mijali kucyki, niosące kosze z pocztą, Simon uświadomił sobie, jak mało czasu minęło. To dobrze. Meg miała zajęcie. To niestety oznaczało również, że Montgomery i Kowalski nadal są na rynku. Teraz patrzyli, jak Simon i Nathan biegną, trzymając między sobą rozkołyszany koc.

Wbiegli po tylnych schodach na poziom kawalerek. Ponieważ wiedzieli, że nie mają zbyt dużo czasu i niedługo Montgomery zacznie ich szukać, Simon zmienił przednie łapy na tyle, by były precyzyjne, i wyjął z torby portfel. Wyciągnął pieniądze – dużo pieniędzy – po czym wrzucił portfel z powrotem do torby.

Jeśli policja będzie chciała zebrać odciski palców, nie znajdą niczego, co mogłoby pomóc go zidentyfikować. Chociaż nawet gdyby im się to udało, i tak nie miałyby to większego znaczenia.

Odłożył pieniądze, zamienił się w człowieka i szybko się ubrał. Schował banknoty do tylnej kieszeni i spojrzał na Nathana.

– Ja zajmę się porucznikiem. – Pochylił się i powąchał pysk Nathana. – Ty powinienes zjeść trochę trawy, zanim wrócisz do biura łącznika. Śmierdzisz ludzkim mięsem. – Co oznaczało, że on prawdopodobnie też nim śmierdzał. Jak to dobrze, że ludzki węch był ograniczony – Meg nie mogłaby się zorientować. Poza tym był na tyle dobrze wychowany, żeby nie dyszeć na nią po tym, jak miał w pysku mięso jednego z przedstawicieli jej gatunku.

Wziął torbę i otworzył drzwi. Nathan zbiegł po schodach, mijając Montgomery'ego. Simon zszedł wolniej, z torbą wyciągniętą przed sobą.

– To wszystko, co udało się nam znaleźć.

Montgomery zajrzał do środka.

– I nic więcej?

– Poruczniku, nic już nie zostało. – Nie do końca była to odpowiedź na postawione pytanie, ale przynajmniej była to prawda.

Montgomery pokiwał głową.

– Katherine Debany wiezie Theral do lekarza rodziny MacDonaldów. Welby Sowiec Straż powiedział, że nie zna się na ludzkim ciele na tyle, by stwierdzić, czy Theral ma wstrząs mózgu, i że najlepiej będzie, jeśli zbada ją ludzki lekarz.

– To ma sens.

Było wiele pytań do zadania i wiele odpowiedzi do udzielenia, ale żaden z nich nie miał teraz ochoty ani pytać, ani odpowiadać.

– Najlepiej będzie, jeśli zawiozę ten materiał dowodowy na komisariat i wypełnię formularz ZMN – stwierdził Montgomery.

Simon skinął głową. Ruszył w stronę parkingu dla pracowników, a Montgomery skręcił w stronę ulicy Głównej.

Zobaczył jeszcze, jak Kowalski pomaga Theral wsiąść do samochodu Katherine Debany. Bursztynowe oczy Simona spojrzały w ciemne, wściekle oczy Kowalskiego. Gdy Theral już siedziała, Katherine włączyła silnik. Kiedy jednak Kowalski ominął samochód i ruszył w stronę Wilka, ten podniósł rękę, każąc Katherine chwilę poczekać.

– Gdyby udało się mu wyprowadzić Theral z Dziedzińca, z pewnością nie znaleźlibyśmy jej żywej – powiedział cicho Kowalski. – Rodzina MacDonaldów bardzo ciężko przeżyłaby jej utratę, zwłaszcza że niedawno zginął też Lawrence.

Simon patrzył na policjanta tak długo, aż stracił go z oczu. Następnie wyjął pieniądze z kieszeni, odliczył cztery pięćdziesiątki i wręczył je Katherine Debany.

– To na lekarza i leki dla Theral.

Katherine Debany przyglądała mu się – wyglądała tak, jakby chciała spytać, skąd wziął tyle pieniędzy. W końcu jednak tylko podziękowała i schowała banknoty.

Kiedy ona i Theral odjechały, Simon poszedł do biura łącznika, żeby sprawdzić, co wiedziała Meg.



Meg usłyszała rzenie przed drzwiami sortowni. Popatrzyła na Merri Lee, a następnie podeszła, żeby je otworzyć.

– Przyszły kucyki po pocztę.

– Czy to oznacza, że można już bezpiecznie wyjść na zewnątrz? – spytała Merri Lee.

Meg przez chwilę się nad tym zastanawiała, a potem pokręciła głową. Kucyki były *terra indigena*, więc to, że one były na zewnątrz, nie oznaczało jeszcze, że ludzie mogli czuć się bezpiecznie. Uchyliła drzwi na kilka centymetrów. W szparę natychmiast wepchnął się czarny nochal.

To Grzmot, zawsze pierwszy do wszystkiego.

Otworzyła drzwi na całą szerokość i spróbowała się wychylić, żeby spojrzeć na drogę, jednak widziała tylko resztki mgły i kucyki.

Gdy się odwróciła w stronę stołu, by wziąć pocztę dla Grzmota, uświadomiła sobie, że na blacie powinno leżeć coś jeszcze. Machnęła ręką na Merri Lee i szepnęła:

– Nie przygotowałam żadnych przysmaków. Sprawdź, co uda ci się znaleźć na zapleczu.

Podczas gdy Merri Lee przeszukiwała lodówkę i szafki pod ladą, Meg zapełniała koszyki listami. Właśnie brała do ręki stos dla kompleksu Wilczej Straży, gdy wróciła Merri Lee, chowając coś za plecami.

– Jedyne, co znalazłam, to pudełko z kostkami cukru – szepnęła.

– Cóż, w takim razie powiem wszystkim, że w tym tygodniu mamy wyjątkowe smakołyki. – Słowo „wszyscy” odnosiło się również do Jestera Kojociej Straży, na wypadek gdyby w przyszłym tygodniu kucyki nie chciały jej wierzyć, gdy będzie miała dla nich tylko zwykłe przekąski w postaci jabłek albo marchewek.

Gdy Grzmot stanął pierwszy w kolejce, ku zachwytowi kucyków Meg zaczęła rozdawać kostki cukru. Ale nie wszystkie kucyki je dostały. Brakowało trzech. Reszta się rozbiegła, żeby dostarczyć pocztę – wyglądały na bardzo zadowolone z siebie.

Kiedy tylko Meg zamknęła drzwi sortowni, razem z Merri Lee pobiegła na zaplecze i wyrzała przez okno.

– Theral jest na rynku – rzekła Merri Lee. – Może mogłaby sprawdzić, co...

– Widziałam jakiegoś mężczyznę biegnącego w stronę wyjścia. – Meg zaczęła drapać szyję. – Simon pobiegł w złą stronę, chciał się zająć kłótnią przy budynku mieszkalnym.

Gdy zadzwonił telefon, obie szybko wróciły do sortowni. Meg, zdyszana, podniosła słuchawkę.

– Słucham? Vlad! Co...? – Oparła dłoń na ladzie. – Czy ona...? Dobrze. Tak. W porządku. – Rozłączyła się i spojrzała na Merri Lee. – Jakiś mężczyzna próbował uprowadzić Theral. Jest ranna, ale nic jej nie grozi. Pani Debany właśnie wiezie ją do lekarza. Vlad mówi, że jest już bezpiecznie i możesz wrócić do Zabójczo Dobrych Lektur. Tess i Nadine są w Czymś na Ząb, więc w razie czego będą w pobliżu. Ale jeśli chcesz, możesz jeszcze trochę tu zostać.

– Chcę zostać – odparła bez wahania Merri Lee.

Ponownie usłyszały głośnie rzenie przed drzwiami sortowni. Meg zobaczyła Mgłę, Ruchome Piaski i Wir Wodny – ale bez koszyków. Najwyraźniej pozostałe kucyki poinformowały przyjaciół o wyjątkowym przysmaku.

Po rozdaniu kostek cukru i umyciu rąk wróciła do sortowni; Merri Lee przyglądała się kartom, wciąż leżącym na stole.

– Musimy się jeszcze dużo nauczyć w kwestii interpretowania tego, co widzimy – powiedziała. – Wydaje mi się jednak, że odczytywanie prorocत्व z kart idzie ci coraz lepiej.

– Zobaczyłam śmierć. Ale Theral nic nie będzie.

– Czy Vlad wspomniał coś o tym mężczyźnie?

Meg patrzyła na przyjaciółkę, jednak myślała o tym, jak ukryła się w Stajni Kucyków z Samem, Jedynakiem i Jesterem, podczas gdy kły i pazury Namid szalały po mieście, chowając się we mgle. Myślała o dziwnej, przerażającej ciszy, która tego dnia wypełniała Dziedziniec.

– Nie – odparła wreszcie. – Nie wspomniał.



Simon wpatrywał się w trzy karty leżące na stole w sortowni, zwłaszcza w środkową, odwróconą do góry nogami. To wyjaśniało, dlaczego Meg stwierdziła, że poszedł w złą stronę.

Odwrócenie uwagi. Dywersja. Ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko wykorzystał ataki w Thaisii jako dywersję w przypadku wojny w Cel-Romanii. Nie zmieniło to przebiegu wojny, zmusiło jednak *terra indigena* do zignorowania zagrożenia w oddali, żeby się skupić na tym, co działo się tuż obok. To samo miało miejsce chwilę temu na Dziedzińcu.

Przekłeta koza na łańcuchu.

Rodzinna kłótnia, nie postawiono żadnych zarzutów. Zdaniem Simona do bójki doszło zbyt późno. Niestety skutek problemów na rynku Montgomery i Cyrus przestali się bić i Montgomery nie zdążył raz na zawsze ustalić, kto jest samcem dominującym. Poza tym prawdopodobnie dostanie naganę od swoich przełożonych za to, że bił się w miejscu publicznym. Ale to już było zadanie dla Burke'a.

– Wszystko w porządku? – zwrócił się do Meg i Merri Lee.

– Nic nam nie jest – odparła Meg. – Niezbyt wiele widziałam.

– Być może kapitan Burke będzie chciał z wami porozmawiać. Już prawie pora przerwy obiadowej. Może idźcie do Czegoś na Ząb? Vlad jest teraz w ZDL, a ja mogę tu chwilę posiedzieć, na wypadek gdyby były jakieś dostawy.

Meg schowała karty do skrzynki, a tę do szuflady.

– Poczekam na zewnątrz – powiedziała Merri Lee.

– Simonie? – *Meg, nie pytaj. Nie chcę cię okłamywać, więc nie pytaj.* – Jakiś czas temu Tess powiedziała nam, że na Dziedzińcu rośnie mięta, zaczęłam więc się zastanawiać... czy Wilki często żują mięte?

– Nie. Dlaczego pytasz? – Zanim tu przyszedł, wstąpił do łazienki w ZDL i wypłukał usta płynem. Sprawdził również oba zestawy zębów, żeby się upewnić, że między nimi nie ma włókien ludzkiego mięsa. Czy pachniał mięte po płukaniu ust czy taki zapach wpadał przez drzwi?

Meg potwierdziła jego podejrzenie, spoglądając w stronę drzwi. Potem jednak jednak pochylała się w jego kierunku i szepnęła:

– Gdy Nathan wrócił do biura, pachniał, jakby się wytarzał w mięte.

Przesadziłeś, powiedział Wilkowi trzymającemu straż.

To ma silniejszy zapach, niż się spodziewałem. Poza tym nie wiedziałem, czy żucie jednego liścia wystarczy, żeby ukryć smród tego Jacka.

Nathan miał rację, zwłaszcza że nadal był pod postacią Wilka.

– Therał już nie będzie musiała się bać – powiedział Meg.

A potem kiwnęła głową i wyszła z biura, nie pytając o szczegóły. Nie sądził, by ktokolwiek wypytywał o to, co się stało z Jackiem Fillmorem.

No cóż, prawie się nie pomylił.



Burke uśmiechnął się zjadliwie do Cyrusa Montgomery'ego, patrząc, jak mężczyzna próbuje zachować spokój.

– Chce pan wejść czy coś? – spytał niechętnie Jimmy.

Kapitan pokręcił głową i rozejrzał się. Stali na trawniku przed budynkiem mieszkalnym, na oczach sąsiadów i ludzi jeżdżących Wronią Aleją.

– Skoro nie widział pan nic złego w biciu się z bratem w miejscu, w którym wszyscy mogli was widzieć, ja nie widzę problemu w tym, żeby porozmawiać z panem tutaj, na trawie.

– To sprawy rodzinne.

– Zna pan Jacka Fillmore'a?

Cyrus pokręcił głową.

– To nazwisko nic mi nie mówi.

– Naprawdę? Według barmana z Jelenia i Zająca wczoraj pan i Jack piliście razem i wyglądaliście na całkiem zadowolonych z siebie. Podobno też jakieś

pieniądze zmieniły właściciela.

– Nie mam... Ach, Jack! Tak. Już wiem, o kogo chodzi. Był mi winien trochę grosza i wczoraj oddał mi część długu.

– Czyli dobrze go pan znał.

– Tak bym tego nie określił.

– Ale na tyle dobrze, żeby pożyczyć mu pieniądze... Ile konkretnie?

Chwila wahania.

– Pięć stów.

– Dużo, zwłaszcza jak na kogoś, kto cały czas powtarza matce i bratu, że jest zbyt biedny, by kupować jedzenie dla rodziny, i oczekuje pomocy z ich strony.

Znowu zawahanie.

– Miałem trochę pieniędzy odłożonych na czarną godzinę. Gdyby dowiedziała się o tym moja kobieta, wydałaby wszystko na jakieś pierdoły. Wie pan, jakie są baby. – Cyrus przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. – Dlaczego pyta pan o Jacka?

– Bo w czasie, w którym pan publicznie bił się z porucznikiem Montgomerym, on próbował porwać młodą kobietę. Urządził pan przedstawienie z głośnym krzykiem i klepaniem się po twarzach, ponieważ doskonale pan wie, że gdyby naprawdę uderzył pan brata, zostałby pan aresztowany za napaść na funkcjonariusza. Jako jego przełożony nalegałbym, żeby wniósł oskarżenie. – Uśmiech Burke'a stał się jeszcze bardziej złośliwy. – I właśnie dlatego ta sprawa wydaje mi się interesująca. Dzwoni pan do brata, porucznika policji, i nalega na spotkanie w trakcie jego służby, zamiast poczekać, aż wróci do domu. Świadkowie, którzy słyszeli waszą kłótnię, nie słyszeli jednak żadnych słów, które usprawiedliwiłyby ściągnięcie Monty'ego akurat w tej chwili, w czasie, gdy doszło do próby porwania.

– To były kwestie rodzinne. O tej drugiej sprawie nie miałem pojęcia.

– No cóż, panie Montgomery, mam nadzieję, że to prawda. Właśnie zaczęliśmy bardzo uważnie przyglądać się postaci Jacka Fillmore'a. Przesłuchujemy każdego, z kim się spotkał w Lakeside, żeby sprawdzić, czy ktoś pomagał mu w porwaniu – albo bezpośrednio, albo odwracając uwagę ochrony Dziedzińca. Młoda kobieta została ranna, gdy próbował siłą wyciągnąć ją z miejsca jej pracy. Groził jej śmiercią. Każda związana z nim osoba zostanie przesłuchana, zwłaszcza że policja nie będzie w stanie postawić Jacka Fillmore'a przed wymiarem sprawiedliwości.

– Uciekł?

– Poniekąd.

W oczach Cyrusa Montgomery'ego pojawiła się dezorientacja. Prawdopodobnie pomyślał, że Fillmore'owi udało się zbiec, gdy jego szyki zostały pokrzyżowane. Może nawet sądził, że Fillmore wróci, by podjąć kolejną próbę.

– Od tej pory sprawy rodzinne proszę załatwiać po pracy – rzekł Burke. – Każda rozmowa przeprowadzona z porucznikiem Montgomerym w czasie jego służby będzie traktowana jako sprawa dla policji. Rozumiemy się?

– Tak.

Gniew. Przebiegłość. Jakim cudem taki człowiek wychował się w tym samym domu, co Monty, i do tego mając za matkę taką kobietę, jak Twyla?

Burke odwrócił się i zrobił kilka kroków, ale się zatrzymał.

– A tak przy okazji – dodał – kupiłem Jelenia i Zająca. Za kilka tygodni nie będzie to zbyt dobre miejsce do ubijania interesów, zwłaszcza takich, które nie spodobałyby się policji.



Meg wystawiła za tylne drzwi biura łącznika duży plastikowy pojemnik na jedzenie. Niczego nie widziała, ale to jeszcze nie oznaczało, że żadna wielka istota jej nie obserwuje i nie czeka.

– Halo – zawołała słabo. Bycie odważnym jest o wiele łatwiejsze, gdy nie ma się świadomości, jaką było się głupią, strofując pierwotne formy *terra indigena*, których bali się dosłownie wszyscy. No dobrze, może poza Żywiołami. – Halo! Arroo? Tutaj macie ciasteczka. – Zawahała się, bo czy istoty, takie jak Starsi, w ogóle przejmowały się troskami małych ludzi? – Jeśli możecie, to oddajcie mi później pojemnik, proszę. Będę mogła go umyć i ponownie przynieść wam w nim smakołyki.

Żadnego ruchu, żadnego dźwięku. Henry mówił, że Starsi rzadko byli widywani w jakiegokolwiek postaci, tak więc nie spodziewała się, że po wyniesieniu ciastek przybiegną w pośpiechu niczym Wilki.

Zaczęła się wycofywać do biura, ale miała im jeszcze coś do powiedzenia – o ile w ogóle jej słuchali:

– Dziękuję, że uratowaliście dziś Theral.

Weszła do biura i zamknęła drzwi. Nie żeby zamek mógł powstrzymać przed wejściem kogokolwiek oprócz ludzi, ale za zamkniętymi drzwiami czuła się trochę bezpieczniej.

Godzinę później, gdy skończyła pracę i wyszła, żeby poczekać na Simona, zauważyła, że pojemnik z ciastkami zniknął.



Burke jechał na północ, w stronę drogi biegnącej obok jeziora Tahki. Spojrzał na Steve'a Przewoźnika – właśnie gdzieś dzwonił, po raz drugi od chwili wyjścia z biura.

– Twój odpowiednik jest tego pewien?

– Kazałeś mi zbadać grunt – odparł Steve. – W zamian zostałem poproszony o przyjazd do ich wioski.

– Czy to pułapka?

– Nie.

Przez kilka kolejnych minut jechali w ciszy.

– Musiałem spytać. Tuż zanim zadzwoniłeś otrzymałem telefon od patrolu na autostradzie. Znaleźli samochód Lorenza – i ciała.

Steve spojrział na niego.

– Wydaje im się, że znaleźli ciało Lorenza.

– Tego nie powiedzieli.

– Jeździsz w ogóle w patrolu na autostradzie? – spytał Steve, gdy Burke, już na miejscu, zatrzymał samochód przed radiowozem z migającym kogutem.

– Podczas moich dyżurów na dzikich terenach – odparł.

Policjant prowadzący sprawę był tak młody, że Burke zaczął się zastanawiać, dlaczego został przydzielony do tej sprawy. Potem jednak zobaczył, jak wymienia spojrzenia z Przewoźnikiem.

Intuita. Być może musieli ukrywać to, kim byli, żeby być bezpiecznymi wśród innych ludzi, ale nadal musieli wykazywać się takimi samymi umiejętnościami, jak przedstawiciele innych społeczności – w tym egzekwowaniem prawa.

– Na drodze zauważono samochód – powiedział policjant. – W środku znaleźliśmy dwa ciała. Ja i drugi policjant poszliśmy drogą, żeby sprawdzić, czy uda nam się znaleźć coś jeszcze. Na leśnej drodze dostrzegliśmy białego sedana. – Żadnej brukowanej ulicy. Nawet polnej drogi. Ale samochody jeździły tędy na tyle często, by powstały ślady widoczne dla innych kierowców, którzy chcieliby dojechać w rzadko odwiedzane miejsca. – Informację o poszukiwaniach dostaliśmy mniej więcej w tym samym czasie, kiedy znaleźliśmy samochody – ciągnął funkcjonariusz. – Znaleźliśmy też kilka innych rzeczy, które być może zechcecie zobaczyć. Podejrzewam, że jesteście bardziej zainteresowani właścicielem pojazdu niż samym pojazdem.

– Zgadza się – odrzekł Burke.

Policjant zaprowadził ich do worka z ciałem.

– Mężczyzna. Jego dłonie nie są zbyt stare, ale dużo więcej wam nie powiem. Jeśli chcecie, możecie zajrzeć do środka, ale naprawdę kiepsko to wygląda.

– Został zastrzelony?

– On? Nie, choć w samochodzie jest trochę krwi, więc ten, kto prowadził, mógł zostać postrzelony. – Policjant głośno wypuścił powietrze. – Nie, tego mężczyznę raczej coś złapało i zamachnęło się nim niczym kijem golfowym, trafiając w tamto drzewo. Z jego głowy została miazga.

– Kolor włosów?

– Jasny brąz. Krótkie.

Burke odetchnął.

– To nie tego człowieka szukamy.

– Może byłoby dla niego lepiej, gdyby to był on. – Policjant wskazał ślady. –

Tędy.

Zaprowadził ich w głąb lasu, akurat na tyle, że samochód zniknął za zakrętem. A potem zaczął pokazywać.

– Ślady krwi z samochodu kończą się tutaj.

Steve Przewoźnik sapnął gwałtownie.

– Czy to jest odcisk łapy?

Policjant pokiwał głową.

– Coś wzięło ciało i ruszyło z nim wzdłuż drogi.

– Poszłście za śladami? – spytał Burke.

– Nie. Nie mamy prawa przebywać nawet w miejscu, w którym teraz stoimy.

Jeśli więc zobaczyliście już dostatecznie dużo, powinniśmy wrócić na autostradę.

Gdyby nie było z nim Steve'a Przewoźnika, może i Burke nalegałby, żeby pójść dalej bez względu na ryzyko. Wiedział już jednak, że nie znajdzie tu Dominica Lorenza.

Samochód zostanie zaholowany do najbliższej ludzkiej osady, a policjant przekazał torbę lekarską Lorenza i jego dużą torbę sportową. Nie było nikogo, kogo można by aresztować, a patrol i dochodzeniowcy nie wierzyli, że ciało kiedykolwiek zostanie znalezione.

Gdy wsiedli do samochodu, Burke posłuchał wskazówek Steve'a. Pojechali dalej na północ, w stronę jeziora Tahki, aż dotarli do niewielkiej miejscowości. Żadnej tabliczki „Witamy” czy choćby nazwy wsi. Budynki wyglądały na trochę podniszczone – wymagały malowania – ale ogródki były zadbane; przed każdym domem znajdowały się rabaty z kwiatami albo donice. Dzielnica przemysłowa stanowiła taką samą mieszkankę schludności i zniszczenia. Było to starsze miejsce, w którym brakowało pieniędzy na dodatkowe wydatki, niezależnie od tego, czy chodziło o władze czy o poszczególne rodziny.

Burke wjechał na parking obok przychodni i apteki. Bez słowa poszedł za Steve'em do gabinetu. W środku znaleźli Dominica Lorenza.

– Cieszę się, że cię widzę – rzekł Burke, przyglądając się poranionej i posiniaczonej twarzy Lorenza. Zbolałej twarzy. Co do tego Meg Corbyn miała rację. Wnioskując po obandażowanej klatce piersiowej i temblaku pod jedną ręką, można było powiedzieć, że kilka kul, które trafiły w samochód, zraniło również mężczyznę, ale jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

– A ja się cieszę, że tu jestem – odparł Lorenzo. – Było tam trzech mężczyzn...

– Nie stanowią już powodu do zmartwień.

Lorenzo popatrzył na komisarza, a potem kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Co chcesz robić? – spytał Burke.

Lekarz uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Chcę jechać do domu. Kilka dni temu wysłałem gubernatorowi Hanniganowi mój ostateczny raport i rezygnację z pracy w Biurze Śledczym. To miał być mój ostatni przystanek przed powrotem do Lakeside.

– Wracasz, żeby znów podjąć pracę na izbie przyjęć w szpitalu?

– Nie. Ponieważ wiem zbyt dużo o wieszczkach krwi, w szpitalu groziłoby mi niebezpieczeństwo. Planowałem sprzedać dom i wymyślić sposób, by zniknąć – i znaleźć jakieś miejsce pracy, w którym nie wytropiliby mnie mężczyźni pozbawieni skrupułów.

– Na Wielkiej Wyspie mamy miejsce dla lekarza – rzekł Steve. – Etat obejmuje prowadzenie małego gabinetu w Osiedlu Nadrzecznym, ale to bezpieczne miejsce. Nawet jeśli szukasz czegoś innego, możemy znaleźć ci na wyspie schronienie, w którym spokojnie dojdiesz do siebie.

– Dziękuję.

Gdy wrócili na drogę do Lakeside, Burke spytał:

– Dlaczego zrezygnowałeś?

– Mam podać jakiś inny powód poza tym, że mógłbym zaprowadzić kogoś do dziewcząt albo zostać zepchnięty z drogi przez kogoś, kto będzie chciał wydobyć ze mnie informacje? – rzucił sucho Lorenzo. – Nie robiliśmy dla tych dziewcząt nic dobrego. Wydaje mi się, że zakładając Biuro Śledcze, gubernator miał dobre intencje, ale dziewczyny nie potrzebowały kogoś, kto przychodzi, zadaje im pytania i zakłóca ich rutynę. No i prędzej czy później ktoś obserwujący lekarzy dostrzegłby schemat i zorientowałby się, gdzie się znajdują dziewczęta. Tak jak to było w moim przypadku.

– Jakie były twoje zalecenia?

Lorenzo zamknął oczy.

– Zostawić je same, pozwolić im odkryć własny sposób na radzenie sobie ze światem i ich przeklętym darem wygłaszania prorocत्व. To byłaby najlepsza rzecz, jaką moglibyśmy dla nich uczynić.

16 sierpnia

Droga Merri Lee,

podróż pociągiem z Lakeside do Bennett była jednocześnie ekscytująca i przerażająca. Mimo że wszyscy przyjechaliliśmy razem, konduktor nie chciał pozwolić mi na zajęcie miejsca w wagonie dla tubylców ziemi. Teoretycznie każdy może jechać w każdym wagonie, ale praktycznie ten wagon pasażerski jest przeznaczony wyłącznie dla terra indigena i Intuitów, natomiast drugi wagon jest dla zwykłych ludzi. Z tego, co mogę teraz powiedzieć, i z rozmów z innymi pasażerami, które przeprowadziłam w wagonie restauracyjnym, między wagonami nie ma żadnej różnicy – symbol tubylców ziemi to tylko kalkomania, którą można

usunąć i umieścić na każdym dostępnym wagonie. Nie jest też tak, że jeśli w pozostałych wagonach nie ma miejsca, zwykły człowiek nie może usiąść w wagonie dla tubylców ziemi, wiadomo jednak, że w razie wystąpienia jakichkolwiek problemów, pierwszymi oskarżonymi będą ludzie. Tak więc pracownicy pociągu robią, co mogą, żeby uniemożliwić ludziom spędzanie czasu z Innymi na tej ograniczonej powierzchni.

Na szczęście John Wilcza Straż stawił się za mną i powiedział konduktorowi, że jedziemy do Bennett jako grupa.

To była długa podróż, ale często zmienialiśmy miejsca, żeby ze sobą porozmawiać i się poznać. Wszyscy widzieliśmy zdjęcia stosu martwej Wilczej Straży po atakach przeprowadzonych przez ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko. Kilka z tych zdjęć widzieli nawet mieszkańcy Prostego Życia. Większość z nas widziała również zdjęcia stosów martwych ludzi, którzy w odwecie zostali wymordowani przez Innych. O wiele łatwiej dla nas wszystkich byłoby, gdybyśmy mogli uwierzyć, że każdy mieszkaniec Bennett brał udział w zabijaniu Wilków. Wiadomo jednak, że zabijano również niewinne osoby, a to, co je zabiło, czyhało tam, w ciemności, i tylko czekało, aż popełnimy jakiś błąd.

Powiedziano mi, że jeśli nie potrafię tego zaakceptować, powinnam poprosić o bilet powrotny do Lakeside albo jakiejś innej ludzkiej społeczności, dostatecznie dużej, żeby znaleźć w niej bufor zabezpieczający przed prawdą, że żadne miejsce na tym świecie nie jest wolne od Innych, nazywanych kłami i pazurami Namid. Ich obecność w miejscach, takich jak Bennett, jest teraz po prostu bardziej oczywista.

Poznałam mojego szefa, szeryfa Virgila Wilczą Straż. Psychiczne przygotowanie się do nękania w pracy przez współpracowników tylko dlatego, że twoje ciało wygląda inaczej niż ich ciała, to jedno; gdy twój szef patrzy na ciebie, jakbyś była pozycją w menu, to drugie. Podejrzewam jednak, że bardziej potrzebował zastępcy niż posiłku. Otrzymałam więc nową, lśniącą odznakę i broń. No i mam konia, którego pomogło mi wybrać kilku mężczyzn z Prostego Życia – bezproblemowego wałacha o wysokiej tolerancji na ludzką głupotę, nie mówiąc już o kimś, kto dopiero się uczy jeździć konno. Nie zaleca się jeżdżenia po mieście, ponieważ należy oszczędzać benzynę, tak więc w jego granicach pełnię służbę na koniu.

Nikt mi nie powiedział, co mam zrobić, jeśli aresztuję kogoś i będę musiała zaprowadzić go do więzienia. Pewnie dowiem się dopiero, gdy do tego dojdzie.

Z drugiej strony cieszę się, że udało mi się kupić kilka książek Wroniej Straży, które mi polecałaś. Bardzo zabawne – w zwykłej ludzkiej księgarni z pewnością nie znalazłabym takich. Pożyczę je Jesse Walker po tym, jak przeczyta je Barb Debany. Polubiłam Barb od chwili, w której się spotkałyśmy, i chyba będziemy do siebie pasować jako współlokatorki, zwłaszcza że zgodziła się, żebym adoptowała jednego z osieroconych psów – o ile tylko dogada się on z papugą

o imieniu Buddy.

Wkrótce znowu do Ciebie napiszę.

Jana

Rozdział 14



Czwartek, 16 sierpnia

Monty stał na schodach budynku i patrzył, jak Lizzy wraz z Grr idzie do mieszkania obok, żeby poczekać z Sarah i Robertem na rozpoczęcie zajęć. Znał tę rutynę. Zanim rozpoczął się dzień w szkole, matka szybko posprząta i odkurzy swoją kawalerkę/salę zajęć, a potem uda się do pracy w konsulacie. Ruthie kupi przekąski dla dzieci w Czymś na Ząb albo w sklepie na rynku i przygotuje się do lekcji. Potem przyjdą dzieci. Teraz, gdy Sierra wyjechała, znów będzie ich troje uczniów.

Myślał, że Fanny będzie chciała chodzić do szkoły, żeby mieć jakieś zajęcia i spotkać się z innymi dziewczynkami, ona jednak wolała pomagać Clarence'owi w kradzieżach – stawała na czatach, a potem, gdy rozpoczęła się bójka między dwoma chłopcami, próbowała powstrzymać Meg przed ruszeniem Samowi na pomoc. Nawet jeśli udałoby mu się przekonać Simona, żeby wpuszczał Fanny na Dziedziniec tylko na czas lekcji, pozwolenie na przekroczenie jego granic, podczas gdy Clarence miał zakaz, tylko utrudniłoby jej życie po powrocie do domu.

Lizzy uśmiechnęła się i pomachała mu. Drewniana łapa Grr również pomachała na do widzenia. Monty odmachał. Po chwili dziewczynka wbiegła po schodach na taras Denbych, zadzwoniła do drzwi i weszła do środka, nie czekając, aż Eve albo Pete podejda do drzwi.

Ze zwykłej ostrożności patrzył, jak jego mała córeczka przemierza ten krótki odcinek. Nie żeby był jedyną istotą, która patrzyła, jak Lizzy przechodzi z jednego ogrodu do drugiego. Na żerdzi na tarasie nad jego mieszkaniem siedział jeden osobnik z Jastrzębiej Straży, inne stworzenie płynęło z powietrzem, cały czas obserwując mieszkania i dzielnicę przemysłową Dziedzińca, a kilka Wron siedziało na tarasie Ruthie i Kowalskiego, zjadając ze smakiem to, co im pozostawiono. Nie wydawało mu się, żeby Jenni i Starr jeszcze raz odważyli się opuścić Dziedziniec, ale z tego, co powiedział Kowalski, wynikało, że Jake Wronia Straż wpadał rano na śniadanie i zajmował swoje miejsce na ścianie oddzielającej ogród Henry'ego od obszaru dostaw – był to idealny punkt do obserwowania przychodzących i wychodzących ludzi oraz Meg.

Teraz, po wyjeździe Sissy, Sanguinati nie ochraniali już budynku w ciągu dnia. Przynajmniej nie w miejscach, w których można by ich dostrzec. Podejrzewał jednak, że po cichu przejęli mieszkanie nad Jimmym. Ostatecznie mieli tam świetną bazę wypadową na polowania, a każdy, kto po zmroku wyszedł na chodnik albo ulicę, był uznawany za zdobycz. Pod pewnymi względami Sanguinati stali się sąsiedzką strażą. Złoczyńców nie aresztowano i nie płacili oni grzywnien w gotówce, za to tracili ilość krwi proporcjonalną do występku.

Monty wrócił do mieszkania, żeby dokończyć szykowanie się do pracy. Babcia Twyla orzekła, że każdy, kto rano się ociąga i przez kogo inni spóźniają się do pracy lub szkoły, nie otrzyma ciastka albo babeczki, którą dostałby do mleka podczas przerwy na drugie śniadanie. Lizzy sprawdziła prawdomówność babci tylko raz – poza tym Eve i Ruthie wspierały Twylę. Teraz Lizzy i Grr czekali przy drzwiach, zanim zdążył schować talerze do zlewu – tak więc jakiegokolwiek spóźnienie nie mogło być ich winą.

Kilka minut później wyszedł ze swojego mieszkania. Gdy zamykał drzwi, w korytarzu otworzyły się inne.

– Cześć, CJ – rzucił Jimmy. – Masz chwilę?

Monty odwrócił się do brata, który przez cały poprzedni dzień był nieobecny, tak jakby kilkanaście godzin miało wystarczyć, by wszyscy pozbyli się podejrzeń odnośnie do jego związku z próbą porwania Therał MacDonald.

– Chwilę.

Podejrzzenia były, ale nikt nie miał dowodów. Jimmy żył nadal, tylko dlatego że dowody nie istniały.

Monty przyglądał się twarzy brata – o nadzwyczaj pokornym wyrazie – i próbował odgadnąć, jaki kit Jimmy będzie mu wciskał tym razem.

– Słyszałem o ludziach, którzy szukają miejsca do życia – zaczął Jimmy.

Monty pokiwał głową.

– Ostatnio do Lakeside przybyło wielu ludzi w nadziei na znalezienie pracy w mieście kontrolowanym przez ludzi. Co oznacza, że ci, którzy znaleźli pracę, również potrzebują miejsca do życia.

Poprzedniego dnia zabrał Pete'a Denby'ego na rozmowę ze swymi gospodarzami na temat zwolnienia go z płacenia czynszu w mieszkaniu obok rynku. Mężczyzna chciał, żeby Monty nadal płacił czynsz, ale jednocześnie pragnął, by mieszkanie było wynajmowane. Monty odpowiedział, że nadal będzie korzystać z mieszkania – i dopilnuje, żeby zawarta w czynszu woda była zużywana. Następną sztuczką było skarżenie się na stan mieszkania – kiepską farbę na ścianach, rysy na blatach, zwijające się linoleum na podłodze w kuchni. Monty spytał, czy na dowód tego, że mieszkanie jest w niezmiennym stanie, mężczyzna chciałby zobaczyć zdjęcia, które zrobił w mieszkaniu w dniu wprowadzki.

Aż wreszcie żona gospodarza, która wynajęła mieszkanie Monty'emu, przypomniała swemu mężowi, że porucznik Montgomery nie powinien być karany za to, że chce mieszkać bliżej miejsca swej pracy, czyli komisariatu.

Tak więc przygotowane przez Pete'a dokumenty zostały podpisane, a nad głową Monty'ego nie wisi już umowa o najem. Mógłby się założyć o tygodniową wypłatę, że w porannym wydaniu „Wiadomości Lakeside” znajdzie się lista mieszkań z dwa razy wyższym czynszem, niż on płacił do tej pory.

– Chodzi o to – powiedział Jimmy – że w tym budynku są teraz dwa puste mieszkania, a w drugim budynku jedno. Miejsce się marnuje, a przecież ktoś mógłby tu zamieszkać.

– Nie wydaje mi się, żeby *terra indigena* planowali więcej pracowników na Dziedzińcu. Przynajmniej nie w najbliższym czasie.

– Ci ludzie nie musieliby dla nich pracować. Mogliby wynajmować te mieszkania na tydzień lub miesiąc. Mógłbym się tym zająć, zostać swego rodzaju nadzorcą.

– Zarządcą tych trzech budynków jest Eve Denby. To jej praca.

– Dlaczego więc nic nie robi w sprawie dzierżawy tych miejsc? Skoro pozwala na to, by mieszkania stały puste, to kiepsko wypełnia swoje obowiązki. – Głos brata powoli stawał się agresywny, co oznaczało, że Jimmy nie dostał odpowiedzi, której oczekiwał – albo potrzebował.

– Na bogów, czyżbyś już komuś powiedział, że może się wprowadzić do któregoś z mieszkań?

– A jeśli tak, to co? Te mieszkania stoją puste. Więc o co to całe halo?

– Każdy, kto wchodzi tu bez pozwolenia Innych, jest intruzem. A oni bardzo ostro rozprawiają się z intruzami. Te mieszkania nie są dostępne na wolnym rynku. Dostęp do nich mogą mieć tylko pracownicy Dziedzińca. I nie myśl sobie, że

możesz tu przyprowadzać gości na noc. Sam jesteś gościem i jedynym powodem, dla którego jeszcze nie zostałeś stąd wyrzucony, jest to, że Simon, Vlad i Tess lubią mamę. A jeśli ci się wydaje, że możesz się włamać do któregoś z mieszkań na górze, tak by jakiś twój kumpel mógł w nim nielegalnie mieszkać do czasu, aż zostanie przyłapany, to przemyśl tę sprawę raz jeszcze. Bo zostanie złapany, zanim zdążysz mrugnąć. A potem zniknie, a ty będziesz stał przy krawężniku razem z Sandee i dziećmi i dostaniesz wybór: albo eksmisja z Lakeside, albo więzienie. – *Albo gorzej*, to Monty dodał tylko w myślach. – Jimmy, już dawno zaprzepaściłeś swoje szanse w Lakeside. Jeśli chcesz zostać, to – dopóki masz jeszcze taką możliwość – powinieneś znaleźć pracę i inne miejsce do życia.

– Walić to. – W oczach Jimmy’ego pojawiła się wściekłość. – Ty nie pracujesz dla dziwadł. Więc jakim cudem możesz tu mieszkać?

– Elayne została zamordowana na stacji kolejowej w Toland, a ludzie odpowiedzialni za jej śmierć ruszyli w pogoń za Lizzy, myśląc, że wie więcej, niż w rzeczywistości wiedziała. Zostanie tutaj było jedynym sposobem na utrzymanie jej przy życiu.

Szok. I coś jeszcze – coś, co Monty mógłby nazwać szczerym współczuciem.

– Nie wiedziałem o tym – rzekł Jimmy.

– No cóż, właśnie dlatego przyjąłem to mieszkanie, gdy mi je zaproponowano. – Były też inne powody, zarówno osobiste, jak i zawodowe, nie było jednak sensu komplikować i tak już trudnej rozmowy. Nie z Jimmym.

– CJ, posłuchaj...

Drzwi wejściowe otworzyły się z impetem i w progu stanął Kowalski.

– Kapitan Burke jest na Dziedzińcu. Chce się z tobą spotkać, zanim wyjedziemy na komisariat.

Monty ruszył na zewnątrz, ale po chwili się zatrzymał i spojrzał na brata.

– Lepiej powiedz tym ludziom, że mieszkania nie są na wynajem. Jeśli Inni powiążą cię z kolejnymi problemami, Sandee i dzieciaki będą musiały same organizować sobie przeprowadzkę.

– A ja?

– A ty, przy odrobinie szczęścia, trafisz do więzienia. Aha, Jimmy, jeśli do tego dojdzie, nie będę mógł zrobić nic, żeby ci pomóc.



Vlad przejrzał listy książek, a potem spojrzał na swoją asystentkę.

– Przypomnij mi jeszcze raz, dlaczego chcę zamówić cztery tuziny takich samych książek?

– Bo będziemy pełnić rolę centrum dystrybucyjnego dla kilku innych księgarń – odparła Merri Lee z uśmiechem, który z założenia miał być

rozbrajający.

Ale Vlad nie dał się omamić. Sam fakt, że stado samic nie składało się z drapieżników, nie oznaczał jeszcze, że mogły uspić jego czujność. Należało jednak przyznać, że powody ich postępowania były racjonalne.

Z reguły. Przeważnie. Czasami.

– Nie pamiętam, żebym się zgadzał na zostanie jakimś centrum.

– Ale tak właśnie było. W pewnym sensie. No dobrze, być może zgodził się na to Simon, w każdym razie jeden z was na pewno. Wydawcy z Toland nie chcą już dzielić kartonów książek, a my nie mamy rady sprzedać tyłu egzemplarzy jednego tytułu. Poza tym mamy najlepszy dostęp do wydawców intuicyjnych i *terra indigena* we wschodniej części Północnych Wyżyn, ponieważ mogą nam oni przysyłać książki przez jezioro Tahki. No i książki, które sprzedają się tutaj, będą się sprzedawać również w księgarniach w Przystani Przewoźników oraz zostaną przyjęte do bibliotek na wyspie i stałym lądzie. A wtedy będziemy mogli sprzedać więcej tytułów Johnowi Wilczej Straży w Bennett i Shelley Uczonej, i Jesse Walker w Złotej Prerii. Meg nie wiedziała, czy w Sweetwater mają bibliotekę. Chciałyśmy napisać wzór listu, żebyście razem z Simonem go przeczytali, zanim wyślemy go do Jacksona Wilczej Straży, żeby sprawdzić, czy ktokolwiek stamtąd będzie chciał wziąć w tym udział. W zamian John Wilcza Straż w miarę możliwości zamówi książki od wydawców na Środkowym Zachodzie albo na Zachodnim Wybrzeżu i wyśle nam kilka sztuk.

– Książki nadal muszą być do nas przewożone ciężarówką z portu na jeziorze Tahki. – Vlad zmarszczył brwi. – Czy my na tym zarabiamy jakies pieniądze?

– Z bycia centrum? Nie. Ale też ich nie tracimy, ponieważ sklepy będą płacić za książki i koszty przesyłki. Zarabiamy na sprzedawaniu tu książek, tak samo jak robimy teraz.

No i dzięki temu eksplodujące kulki mają zajęcie, pomyślał Vlad.

– Przeanalizuję tę listę i dam ją do przeczytania Simonowi na wypadek, gdyby chciał dodać coś od siebie. – Ponieważ wyglądała na zawiedzioną, dodał: – Twoja lista jest świetna i bardzo obszerna. Ale może dopiszemy jeden lub dwa tytuły.

Merri Lee zdawała się dostatecznie uspokojona. Vlad odczuwał ulgę do czasu, gdy wyrzął przez okna sklepu i dostrzegł porucznika Montgomery'ego; stał na ulicy i czekał na przerwę między samochodami, żeby przejść na drugą stronę. Już to było czymś niezwykłym. Rano na Wroniej Alei panował spory ruch, więc najlepiej było iść do sygnalizacji świetlnej, poza tym Montgomery zawsze zadawał sobie trud, żeby stanowić dobry przykład dla dzieci.

– Znajdź sobie coś do roboty w magazynie – powiedział cicho. Kapitan Burke był w Czymś na Ząb i rozmawiał z agentem O'Sullivanem; zdaniem Tess

obaj mieli ponure miny. Montgomery poruszał się jak ktoś naprawdę wściekły. – Nie. – Vlad zmienił zdanie; dotknął ramienia Merri Lee. – Idź sprawdzić, co u Meg.

Kobieta się zawahała.

– Mam zadać jej jakieś pytanie?

– Jeszcze nie.

Usłyszał, jak zamykają się tylne drzwi ZDL, a po chwili Montgomery wszedł wejściem z przodu.

– Kapitan Burke jest w Czymś na Ząb – oznajmił Vlad.

– Mam pytanie. – Zwykle grzeczny głos Montgomery’ego był spięty. – Czy Sanguinati mieszkają w jednym z lokali na drugiej kondygnacji w moim budynku?

– A jeśli tak?

Porucznik odetchnął.

– To dobrze. Byłoby jednak lepiej, gdyby wyraźniej sygnalizowali swoją obecność. Może kupiliby sobie pizzę i posiedzieli na tarasie, włączyli radio albo telewizor...

– Myśleliśmy, że ludzie wolą, żebyśmy zachowywali się dyskretnie.

Montgomery wyglądał na zakłopotanego.

– Mój brat powiedział jakimś znajomym, że mogą zamieszkać w tych mieszkaniach. – Czyli Sanguinati nie będą musieli się żywić pizzą. – I właśnie głównie tym zajmuje się Jimmy – ciągnął Monty. – Cały czas stara się załatwić sobie trochę gotówki, a potem, gdy ktoś niweczy jego plany, zrzuca winę na kogoś innego. Sam zawsze znajduje się na tyle daleko od wszystkiego, żeby nie ubrudzić sobie rąk. Kazałem mu znaleźć sobie pracę i inne miejsce do życia, ale dopóki będzie mógł mieszkać w swoim lokalu za darmo, z pewnością nigdzie się nie wybierze.

Ile można powiedzieć?

– Jeśli twój brat odejdzie z własnego wyboru, nikt nie będzie go zatrzymywał. Ale Simon nie może zmusić go do odejścia.

– Nie może czy nie chce?

– Nie może.

Montgomery popatrzył niepewnie na Vlada.

– Dlaczego ktoś miałby chcieć, żeby Jimmy został na Dziedzińcu?

To interesujące, że Monty nie spytał, kto chciał, żeby Jimmy tu został; widocznie miał swoje podejrzenia odnośnie do tego, co się kręciło po Dziedzińcu.

Vlad usłyszał kroki w łuku łączącym ZDL i Coś na Ząb.

– Powinieneś porozmawiać ze swoim kapitanem. Czeka na ciebie – stwierdził.

– Tak naprawdę to chcę się podzielić tą informacją również z tobą. – Burke podszedł do lady; popatrzył najpierw na Montgomery’ego, a potem na Vlada. –

Wiecie o patrolu na autostradzie, prawda?

– To kontrolerzy, którzy pilnują dróg łączących poszczególne miasta – odparł Vlad. – Pilnują konkretnych terytoriów, tak jak grupy policjantów w mieście. Niektórzy z nich to ludzie, a niektórzy – Intuici, w zależności od tego, jakie miasta są połączone danymi drogami. *Terra indigena* nie są uważani za część patrolu, choć strzegą wszystkiego, co przebiega przez dzikie tereny.

– Prawo jest egzekwowane nawet w miejscach, które nie znajdują się pod kontrolą ludzi.

– Wykonywałeś już taką pracę? – Vlad był zaintrygowany tym, że Burke zdawał się mieć informacje, których nie mieli inni ludzie.

– Gdy byłem młodszy... – Burke przerwał na chwilę. – Dwa dni temu patrol na autostradzie znalazł biały samochód z maską podziurawioną kulami i krwią w środku. Tablice rejestracyjne były takie same, jakie zobaczyła w swej wizji pani Corbyn – a samochód jest zarejestrowany na doktora Dominica Lorenza.

– Znaleźliście doktora Lorenza? – spytał Montgomery.

– Tak. Jest ranny, ale nic mu nie będzie. – Kolejna chwila ciszy. – Na razie przebywa na Wielkiej Wyspie.

– Emily Faire powiedziała Simonowi i mnie, że będzie tu potrzebna na cały etat, ponieważ Osiedlem Nadzrecznym zajmie się ktoś inny – rzekł Vlad.

– Tak? – Burke się uśmiechnął, ale szybko spoważniał. – Wczoraj wieczorem agent O’Sullivan rozmawiał z gubernatorem Hanniganem. Zaginęło kilku lekarzy związanych z Biurem Śledczym.

– Może ukryli się w jakichś mało uczęszczanych osadach? – zasugerował Montgomery.

– Niektórzy z nich mają żony i dzieci, które nie dostały od nich znaku życia od wielu dni. Mamy nadzieję, że uda się nam ich wszystkich znaleźć i połączyć z rodzinami, nie wydaje nam się jednak, żeby wszyscy mieli tyle szczęścia, co doktor Lorenzo. – Burke nabrał powietrza i zadrżał. – O’Sullivan na mnie czeka. Mamy spotkanie z burmistrzem i komisarzem policji.

Vlad poczekał, aż komisarz wyjdzie, a następnie zauważył:

– Poruczniku, spóźniłeś się na autobus.

– Ja i Kowalski weźmiemy taksówkę.

– Nie. – Vlad podniósł słuchawkę i zadzwonił do biura łącznika. – Meg? Czy Harry nadal tam jest? Powiedz mu, żeby przed rozpoczęciem pracy podrzucił na komisariat porucznika Montgomery’ego i oficera Kowalskiego. Tak, w porządku. – Rozłączył się i uśmiechnął. – Harry będzie na was czekać w obszarze dostaw.

– Nie musisz tego robić.

– Ale to wyjątkowe okoliczności.

Gdy Montgomery wyszedł z księgarni, Vlad zadzwonił do Eve Denby, żeby jej powiedzieć, iż ma bacznie obserwować puste mieszkania, ponieważ ktoś może

chcieć się w nich zatrzymać bez pozwolenia – i żeby dać jej znać, że od tej pory w jednym z lokali zamieszka kilku Sanguinatic.



Tego popołudnia, wchodząc do rzeźnika, Simon radośnie rozmyślał o kolacji. Burgery z bizoniną dla niego i Sama, a dla Meg z wołowiną. Połowa mielonego mięsa zostanie ugotowana, ułożona na bułkach i zjedzona z zieloną sałatą. To był posiłek dla ludzi. Druga połowa zostanie po cichu skonsumowana na surowo, tak jak powinno się robić. Ale ze zjedzeniem tej części kolacji on i Sam poczekają, aż znajdą się w wilczej postaci, a Meg będzie pracować w ogrodzie albo czytać książkę.

Uśmiechnął się do Eve Denby; popatrzyła na niego nieobecny wzrokiem, a następnie wróciła do studiowania listy mięs dostępnych tego dnia.

Jakiś problem? spytał Boone'a Jastrzębią straż.

Ten spojrzął na Eve i spytał:

– Jakiś problem?

– Nie – odparła. – Po prostu... ostatnio jemy mnóstwo czerwonego mięsa. Oczywiście jest bardzo dobre, ale coraz częściej mam ochotę na coś innego. Macie jakiś drób? Na przykład kurczaka? Albo indyka?

Boone gapił się na nią wielkimi oczami.

– Na Dziedzińcu nie ma kurczaków. Dostajemy jaja z farm tubylców ziemi. Ale mamy indyki. I kaczki. Wkrótce przyfruną też gęsi; wiele z nich pływa po tutejszych jeziorach.

– A Henry'emu udaje się czasami złapać więcej ryb, niż może zjeść – dodał Simon.

– Chcesz na jutro kaczkę? – spytał Boone. – Jastrzębia Straż może coś upolować.

– Nie, w porządku. – Uśmiechnęła się do nich. – Mamy wołowinę? W takim razie poproszę pół kilograma i ćwierć mięsa mielonego. Będą pyszne klopsy.

Boone naszykował odpowiednie porcje i zapakował je.

Wilk i Jastrząb patrzyli, jak Eve wychodzi ze sklepu.

– Ludzie są tacy wybredni – rzekł Boone. – My jesteśmy zadowoleni, gdy uda się nam zjeść to, co upolowaliśmy.

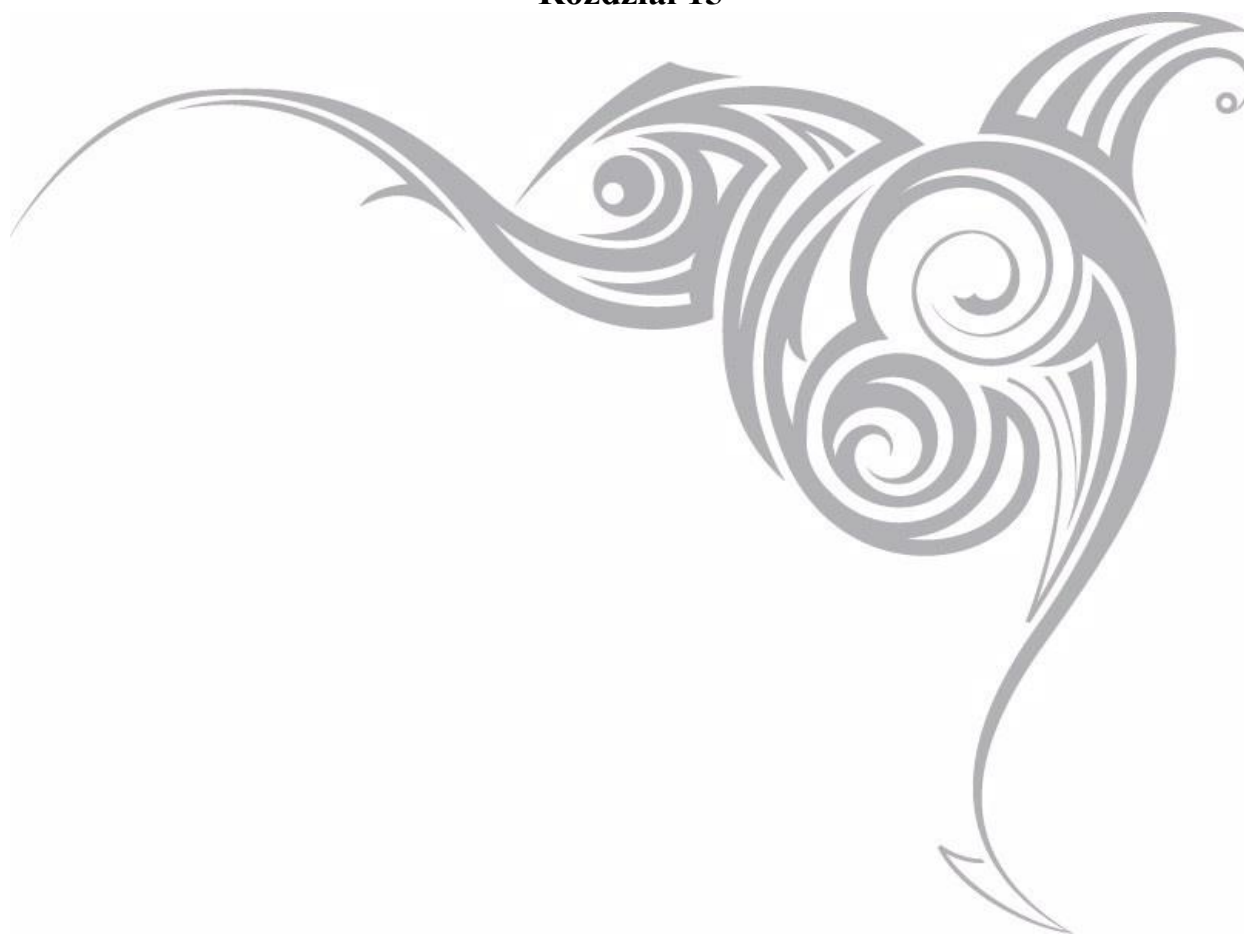
– Ale nawet my, jeśli nie jesteśmy bardzo głodni, szukamy czasem konkretnego rodzaju jedzenia. A Eve i reszta stada samicy z reguły o nic nie prosi.

– To prawda. Mógłbym jutro spróbować upolować kaczkę. Bo gęsi jeszcze nie przyleciały.

– Eve, jej samiec i szczeniaki mogą się najeść jedną kaczką. Pogadam z Blairem. Pomożemy w jutrzejszym polowaniu na drób. Może pójdzie z nami też Nathan.

To ustalwszy, Simon wziął swoje paczki z mięsem i ruszył do domu, żeby zjeść kolację i pobawić się z Samem i Meg.

Rozdział 15



Piątek, 17 sierpnia

Boone, Marie i Julia Jastrzębia Straż lecieli z prądami powietrza, aż dostrzegli kilka dzikich indyków, które mieszkały na Dziedzińcu. W ślad za Jastrzębiami Simon, Blair i Nathan ruszyli w stronę zwierzyny.

Który? spytał Nathan, gdy dostrzegli indyki.

Największy, żebyśmy zaraz nie musieli urządzać kolejnego polowania, warknął Blair. Przyjrzał się ptakom; zdawały się bardziej zainteresowane tym, co jedzą, niż faktem, że są obserwowane przez Wilki. *Nie wydają się zbyt ruchliwe. Albo są zbyt głupie, żeby mieć świadomość, że są jadalne.*

Nathan również przyglądał się indykom.

Czy one wyglądają na chore? Nie chciałbym zadawać sobie trudu urządzania polowania tylko po to, żeby ludzie stwierdzili, że indyk jest chory i nie będą go jeść.

W Pokojach nie polujemy, a to głównie tam mieszkają indyki, odparł Simon.

Oczywiście Sanguinati pod postacią dymu nie robili żadnego hałasu

w ciemności i nie pozostawiali po sobie żadnego zapachu, żeby nie przeszkadzać śpiącym ptakom, które nie miały świadomości, że siedzą wśród drapieżników. Indyca krew była pita, gdy pod ręką nie było nic lepszego, a stare ptaki, z których wypito trochę za dużo, zostawały przerzucane przez prowadzącą do Pokojów czarną bramę z kutego żelaza i stanowiły łatwą zdobycz. Nawet wtedy Wilki z reguły zostawiały mięso dla innych straży – nie lubiły, jak pióra plątały się im między kłami.

Gotowi? zwrócił się do Blaira i Nathana.

Gotowi.

Gotowi? spytał Jastrzębi.

Gotowi.

Wilki ruszyły w stronę swych ofiar, które natychmiast poderwały się z ziemi. Jastrzębia Straż uderzyła z dużą siłą trzy z nich. Ptaki spadły na ziemię, gdzie Wilki dokończyły dzieła.

Blair wziął największego indyka – samca o czarnych piórach – i odbiegł, żeby dostarczyć specjalne zamówienie. Nathan i Simon zabrali dwa pozostałe do kompleksu Jastrzębiej Straży. Jeden z nich będzie stanowić pożywienie dla Jastrzębi. A drugiego Boone poświęca i zabierze do sklepu, żeby sprzedać ludziom, którzy będą mieli ochotę na drób – gdy tylko się zorientuje, jakie części są pożądane, a których ludzie nie ruszą.

Z pomocą Jastrzębi polowanie na indyki jest łatwiejsze, zauważył Nathan.

I zabawniejsze, dorzucił Simon. To polowanie przypomniało mu zabawę z lotką do badmintonu – trzeba było posłać indyki w powietrze, żeby mogły je złapać Jastrzębie. *Ale to wciąż za mało mięsa, żeby nakarmić całe stado.*

A co ze stadami, składającymi się tylko z trzech czy czterech osobników? Należało to przeanalizować, łącznie z podjęciem decyzji, który członek stada będzie musiał się nauczyć gotować mięso. Poczekaj i zobacz, czy Meg zmarszczy nos na widok takiego indyka w ten sam sposób, w jaki marszczyła go, gdy przynosił do domu bizoninę.

Zadowoleni z siebie, Simon i Nathan pobiegli na rynek, żeby rozpocząć dzień pracy.



Meg zatemperowała kredki i poukładała je kolorami, następnie ułożyła płyty CD, których słuchała w tym tygodniu. Sprawdziła wszystkie drzwi – tylne, boczne do sortowni i główne do biura. Zajrzała nawet pod wilcze posłanie, choć wiedziała, że to bezsensowne, ponieważ gdyby Nathan chciał się przed nią ukryć, pod posłaniem znajdowałby się kształt wielkości Wilka.

Nathana nie było, a przecież nigdy się nie spóźniał.

Simon wyszedł wcześniej, żeby załatwić jakieś wilcze sprawy z Blairem.

Może Nathan poszedł z nimi? Ale chyba dałby znać? Jeśli miał się spóźnić do pracy, powinien do niej zadzwonić, żeby nie musiała się martwić.

Nie wiedziała, czy otrzymywał jakąś zapłatę za bycie Wilkiem trzymającym straż w biurze łącznika, jednak musiał istnieć jakiś sposób, żeby dać mu do zrozumienia, że niestawienie się w pracy jest nie do zaakceptowania. A potem zrozumiała, co powinna uczynić. Powie mu, że następnym razem, gdy się spóźni i nie zadzwoni, odejmie kilka wilczych ciasteczek od jego tygodniowego przydziału smakołyków. I sprawa załatwiona.

Wreszcie zobaczyła Blaira; biegł przez obszar dostaw, ciągnąc wielkiego czarnego ptaka. Natychmiast zapomniała o Nathanie. Otworzyła drzwi i rzuciła się w stronę chodnika, podczas gdy Wilk skręcił w prawo, w kierunku Wroniej Alei.

Indyk. Mózg podsunął jej właściwy obraz z treningu. Poszła za Blairem. Zignorował ludzi na chodniku i samochody, które prawie się zderzyły, bo kierowcy gapili się na niego, zamiast skupić uwagę na ruchu ulicznym. Szczeka Blaira była zaciśnięta na szyi ptaka, głowa indyka kiwała się niczym metronom, a łapy ciągnęły się po chodniku.

Wreszcie dotarł do rogu ulicy. Spojrzał na kobietę stojącą obok przejścia dla pieszych, a następnie wskazał przednią łapą na przycisk „Idź” i wydał z siebie dźwięk. Meg nie wiedziała, co ów dźwięk ma oznaczać, ponieważ w pysku Blaira znajdował się indyk, ale kobieta nacisnęła guzik. W odpowiedzi usłyszała o wiele łagodniejsze mruknięcie.

Światła się zmieniły. Blair przeszedł przez ulicę i skręcił we Wronią Aleję.

Meg cały czas szła równoległe z nimi. Zatrzymała się, dopiero gdy zobaczyła, że Wilk doszedł do miejsca zamieszkania Denbych. Wciągnął indyka po schodach na taras i wcisnął łapą dzwonek, a następnie odsunął się na bok, żeby nie dostać drzwiami w nos.

– Meg? – Merri Lee wystawiła głowę z drzwi Zabójczo Dobrych Lektur. – Co się... Och, na bogów! Czy to...?

Po tym, jak Blair jeszcze kilka razy wcisnął dzwonek, Eve wreszcie otworzyła moskitierę. Gdy patrzyła na niego w milczeniu – prawdopodobnie nie była w stanie się odezwać, bo opadła jej szczeka – Blair porzucił indyka na ganku, a następnie pobiegł drogą w stronę Dziedzińca.

Eve zniknęła na chwilę, po czym wróciła na taras, rozmawiając z kimś przez telefon komórkowy.

– Chodź – powiedziała Merri Lee. – Skoro nie dzwoni do nas, to musimy w inny sposób się dowiedzieć, co się dzieje. Poza tym...

– Arrrrroooo! – zawył Nathan z pustego biura łącznika.

– Arrooo! – Simon był już na górze w biurze ZDL i ryczał na Wilczą Straż, żeby odnalazł pewną drobną dziewczynę, która nie przebywała w swym gabinecie, tak jak wszyscy się spodziewali, ale mimo wszystko nie spóźniła się do pracy.

– Chyba ktoś się zorientował, że nie ma cię w biurze – rzekła Merri Lee. Meg poszła za nią do ZDL i krzyknęła:

- Jestem tutaj!
- Arr... – Człowiek został znaleziony, poszukiwania odwołane.
- Mogłabyś rozdawać wilcze ciasteczka w zamian za informacje – szepnęła Merri Lee, gdy pobiegły w stronę tylnych drzwi.
- Miałam zamiar zabrać Nathanowi kilka ciasteczek za to, że się spóźnił.
- Zrób tak następnym razem.
- Meg! – Simon zszedł po schodach. Był w samych dżinsach – z zapiętym zamkiem, ale odpiętym guzikiem. W owej chwili wyglądał bardziej – i mniej – ludzko w taki sposób, że serce Meg zaczęło trochę szybciej bić. Chociaż może zaczęło bić szybciej na widok jego zębów, które zdecydowanie były wilcze.
- Muszę już iść. – Uśmiechnęła się szeroko i otworzyła drzwi. – Właśnie przyszły dostawy.
- Nie słyszałem...
- Opowiesz mi o tym po pracy.
- O czym mam ci opowiedzieć?

Pobiegła do biura łącznika i schowała się w środku w chwili, w której zmyślona naprędce dostawa rzeczywiście przyszła.



Twyla Montgomery powiedziała Katherine Debany, że wróci za kilka minut, i pośpieszyła do domu Eve Denby. Z reguły opanowana, Eve miała spanikowany głos – bliski histerycznemu śmiechowi.

Gdy Twyla progu dostrzegła leżącą na tarasie kupę piór, zrozumiała, dlaczego Eve do niej zadzwoniła.

– Chodź do środka – powiedziała Eve. – W sąsiedztwie mieszkają koty, więc nie chcę zostawiać tego... Ale nie chcę też, żeby teraz wszyscy mnie widzieli.

Twyla weszła do środka.

– Jak to się stało, że na twoim tarasie znalazł się martwy indyk?
– Kilka minut temu podrzucił mi go Wilk. – Eve przeczesła palcami krótkie włosy.

– Po co? – Można by pomyśleć, że sam będzie chciał zjeść indyka. Albo sama.

– Dwa razy w miesiącu Boone otrzymuje dostawy wołowiny i wieprzowiny, a sarniny i mięsa z królika wszyscy mamy powoli dość. Przejadła nam się nawet wołowina. Spytałam więc Boone'a, czy ma na sprzedaż drób. Obiecał, że spróbuje coś załatwić.

– I załatwił. – Twyla wyjrzała przez moskitierę.

– Chciałam tylko kupić kurczaka, a nie indyka wielkości minivana...

Trochę przesadziła, ale rzeczywiście – ptak był ogromny, a z łapami i piórami wyglądał na jeszcze większego.

Eve oparła się o framugę.

– I co mam z tym zrobić?

– No cóż, nie możesz im powiedzieć, że go nie chcesz, zwłaszcza że zapolowali na niego specjalnie dla ciebie.

– Wiem o tym!

Wielki kot z sąsiedztwa musiał poczuć zapach mięsa. Twyla nie wiedziała, czy zwierzę nie dostrzegło jej za moskitierą, czy po prostu nie zwracało na nią uwagi. Zaczęło spacerować w stronę tarasu, zbyt skupione na darmowym posiłku, by zauważyć Wrony, które w końcu ruszyły do ataku. Twyla nie wiedziała, które zachowanie podoba się jej bardziej – Wrony, która podleciała, złapała kota za ogon i mocno pociągnęła, a potem puściła, czy Wrony, która podleciała i zrzuciła na koci łeb zgnitego pomidora. W każdym razie można było mieć pewność, że w najbliższym czasie kot nie będzie próbował ukraść Eve jedzenia. Pozbywszy się niedoszłego złodzieja, Wrony wróciły na swoje stanowiska wartownicze.

– Masz dostatecznie dużą brytfanę, żeby to zmieścić?

– Nie. Nie mam też na tyle dużego piekarnika.

Twyla pokiwała głową.

– W Mięsie i Zieleninie mają duże brytfanny i piekarniki. Zrobimy tak: po pracy jeden z chłopców pomoże nam zanieść ptaka z powrotem na Dziedziniec. Musi być jakieś miejsce, w którym rozbierają mięso, zanim trafi do rzeźnika. Jeśli my czegoś nie weźmiemy, z pewnością przyda się to Innym. W międzyczasie podłożmy pod niego jakieś gazety albo tekturę, żebyś nie musiała robić nic więcej, niż tylko splukać taras.

– Będziemy jeść tego ptaka całymi tygodniami – rzekła Eve, gdy już wciągnęły go na gazety.

– Nie. Zrobisz z niego jakieś pyszne dania i zorganizujesz imprezę składkową. Każdy, kto będzie chciał przyjść i spróbować, będzie musiał przynieść ze sobą jakieś jedzenie. Zaprosisz pana Simona i panią Meg, tak by mogli doświadczyć spożywania takiego mięsa w gronie przyjaciół. Lepiej zaprosz też Wilka, który przyniósł ci tego ptaka.

– Nie jestem pewna, który to był.

– Pan Simon będzie wiedział. A ja chyba powinnam już wrócić do pracy.

– Twyło? Jestem dobra w sprzątaniu, lubię robić coś w domu, ale nigdy wcześniej nie mieszkałam ani na wsi, ani na farmie. Nie mam pojęcia, jak oskubać tego indyka ani przygotować go tak, żeby można było go gotować.

– Na szczęście ja mam o tym jako takie pojęcie. – Twyla posłała Eve uśmiech. – Zawołajmy jeszcze Ruth i Merri Lee. One też powinny się tego nauczyć.

Pośpieszyła do konsulatu, żeby pomóc Katherine Debany w układaniu teczek. Co dziwne, przez cały poranek Elliot Wilcza Straż nie odzywał się na temat tego, że Twyla wyszła z pracy załatwiać prywatne sprawy. Tylko potem, tuż przed przerwą na lunch, stanął obok szafek z aktami i powiedział beznamiętnie:

– Wy, ludzie, przynajmniej nie musicie wyrywać tego cholerstwa zębami.

Rozdział 16



Sobota, 18 sierpnia

Wróciwszy z Przystani Przewoźników, Kowalski zatrzymał samochód na parkingu dla klientów i spojrzął na Monty'ego.

– Czy my właśnie nagieśliśmy kilka zasad albo kupiliśmy coś na czarnym rynku?

– Nie – odparł Monty. – Przystań Przewoźników nie znajduje się pod kontrolą ludzi. Rzeźnicy i właściciele sklepów może i muszą przestrzegać limitów, gdy chodzi o sprzedaż jedzenia hodowanego poza naszym obszarem, nie ma jednak limitu zakupów dla niczego, co jest uprawiane czy produkowane na Wielkiej Wyspie albo na terenach intuickich.

Kowalski spojrzął na załadowane torby na tylnym siedzeniu.

– Nawet mimo tego.

Monty pokiwał głową.

– Nawet mimo tego.

Pojechali do Przystani Przewoźników, żeby kupić bułki na kolację

w piekarni Eamera, ponieważ Nadine była zajęta pieczeniem babeczek i robieniem deserów w ramach imprezy składkowej dla mieszkańców Dziedzińca oraz pieczeniem ciast, babeczek i innych dla Czegoś na Zęb, ponieważ Mięso i Zielenina było zamknięte, bo odbywało się tam prywatne przyjęcie. Ruthie poprosiła, żeby sprawdzili, czy na rynku są ziemniaki, bo stado samic miało ich za mało na purée ziemniaczane na imprezę, poza tym były jeszcze potrzebne na sałatkę, którą Nadine chciała przygotować do baru.

Po kupieniu bułek zaczęli chodzić po rynku i szukać innych rzeczy z listy dziewcząt. Jakoś w trakcie wyjaśniania wszystkim, że kupują składniki potrzebne na danie z indyka i przyjęcie organizowane przez kilka Wilków z Lakeside i ludzi, Monty zauważył, że ze stu gramów masła, o które prosił, zrobiło się dwieście, tak by starczyło jeszcze na gotowaną kukurydzę; tuzin jaj zamienił się w dwa tuziny, pół kilograma cukru też nagle zwiększyło swoją objętość, a wśród ich zakupów, nie wiadomo kiedy, znalazł się dwupółkilogramowy worek mąki, pochodzący z dostawy ze Środkowego Zachodu. Sprzedawcy zaczęli wykrzykiwać sugestie dań, które idealnie pasują do indyka nawet w gorący letni dzień.

Mimo wielu zapewnień, że Dziedziniec w Lakeside naprawdę ma drzewa owocowe i zarówno *terra indigena*, jak i ludzie jedzą dużo świeżych owoców, Kowalski skończył, niosąc do samochodu wielki kosz darów natury.

– Jak myślisz, dlaczego sprzedawcy dali nam tak dużo dodatkowego jedzenia? – spytał Kowalski.

– To, co robimy na Dziedzińcu, stanowi precedens dla Przystani Przewoźników oraz interakcji Innych z ludźmi w Talulah Falls – odparł Monty. – Wszyscy ci sprzedawcy na rynku byli Intuitami. Może sądzą, że jeśli będą mieli swój wkład w ten posiłek, na dłuższą metę wszystkim się to opłaci?

– Wygląda na to, że od tego posiłku dużo zależy.

Monty spojrział na partnera siedzącego w samochodzie, w którym nagle zrobiło się bardzo gorąco. Tak, od tego posiłku dużo zależało.

– Nie zaproszono mojego brata i jego rodziny – powiedział cicho. – Oficjalnie Jimmy nie jest mieszkańcem Dziedzińca.

– Wścieka się o to?

– Tak, ale moja mama i Eve były nieprzejednane w kwestii tego, kogo zaprosić. Mama przygotowuje dla nich talerz z jedzeniem. – *Nie, żeby Jimmy potrafił to docenić.*

Dowiedziawszy się o imprezie składkowej – i o tym, że nie został zaproszony – Jimmy miał wiele do powiedzenia. Tess i Vlad odmówili przyjęcia i stwierdzili, że godziłoby to w ich osobiste interesy. Kapitan Burke również nie przyjdzie. Tak samo jak Greg O’Sullivan, który wrócił na kilka dni do Dyspozytorni, żeby porozmawiać z gubernatorem Hanniganem o zaginionych lekarzach z Biura Śledczego. Ale Simon, Nathan i Henry przyjdą na pewno i, na

bogów, Blair też; przyjmując zaproszenie od Eve, zaskoczył wszystkich. Wsadzenie z nimi do jednego pomieszczenia Jimmy'ego, z jego pozerską i roszczeniową postawą, to najprostszy sposób na rzeź.

A wsadzenie go do jednego pomieszczenia z Meg Corbyn, tak by miał czas się jej przyjrzeć i zrozumieć, czym jest, ostatecznie zakończyłoby się dla wszystkich masakrą.

Monty wysiadł z samochodu.

– Chodź. Zanieśmy jedzenie do środka, niech dziewczyny określą, co ma gdzie iść.

– Michael jest na patrolu – zauważył Kowalski. – Ponieważ nie ma go podczas przygotowań, obiecał, że pomoże przy gotowaniu.

– A widział tego indyka?

Kowalski się zaśmiał.

– Poruczniku, połowa Lakeside widziała tego indyka.



– Robimy sałatkę ze szpinakiem? – ponieważ Simon był w ludzkiej postaci, nie czuł zapachu durszlaka pełnego warzyw, które Meg myła i suszyła. Wziął jeden z liści, powąchał go i ugryzł. A potem spojrział na Meg. – Po co?

– Bo mnie o to poproszono – odparła. – Gdy skończę myć szpinak, wyczyszczę grzyby. A ty je pokroisz.

– Po co?

– Bo jęczysz za każdym razem, gdy biorę do ręki nóż.

– Nieprawda. – Owszem, trudno mu było patrzeć, jak Meg – niezależnie od przyczyny – trzyma nóż, ale wcale nie jęczał.

– Nazwijmy to troską – zaproponowała. – Ruth powiedziała, że ugotuje na twardo kilka jaj do sałatki, a Merri Lee już robi do niej dressing z bekonem.

Jeśli dziewczyny dodadzą odpowiednio dużo tłuszczu i bekonu, sałatka będzie smakować nawet Wilkom.

Przyglądał się Meg, która zdawała się bardzo skoncentrowana na myciu kilku liści.

– O co chodzi? Nie chcesz iść na to przyjęcie?

– Chcę. Rozmawialiśmy już o tym z Ruth i Merri i wiemy, czego się spodziewać. Są bardzo podekscytowane. Ja też. I Sam też. – Zakręciła kran; stała teraz z rękami w zlewie, a z koniuszków jej palców spływała woda. Simon czekał. Po chwili znów się odezwała: – Jedynek spędza mnóstwo czasu ze mną i z Samem. A w ciągu tygodnia je z nami kilka posiłków...

– Nie może iść na to przyjęcie – odparł cicho. – Wszyscy będziemy w ludzkiej postaci, a to co innego. Jeszcze nigdy żaden z nas nie dzielił się w ten sposób z ludźmi jedzeniem.

– Wiem. Ale on nie zrozumie, dlaczego został pominięty. – W jej głosie pobrzmiwał smutek. Pokręciła głową i wróciła do suszenia szpinaku.

Przygotowywali sałatkę, mało mówili, nie potrzebowali słów. A nawet jeśli Meg zauważyła dziwną ciszę, panującą w Zielonym Kompleksie, to o tym nie wspomniała.



Grr siedział na tarasie, na krześle odwróconym tak, żeby było z niego widać Wronią Aleję; Monty się zastanawiał, czy miś z jakichś względów został odsunięty na bok. Usiadł na drugim krześle. Nie był zaskoczony, gdy Lizzy do niego podeszła i się przytuliła. Wziął ją na kolana i objął.

– Czy Grr zrobił coś, o czym powinienem wiedzieć? – Gdy wrócił do domu, Lizzy, Fanny i Sarah grały na tarasie w żetony. Pilnowały ich trzy Wrony i jakaś Sanguinati, której nie znał. No dobrze, Sanguinati obserwowała dziewczynki, a Wrony grę – czekając na okazję „pożyczenia” kilku błyszczących żetonów.

Lizzy pokręciła głową i bardzo cicho powiedziała:

– Nie, ale chciał, żebym spytała, czy Frances może z nami zamieszkać.

– Mówisz na nią Frances zamiast Fanny? – Tylko jego mama nazywała córkę Jimmy’ego prawdziwym imieniem.

– Tatusiu, ona nie lubi być tak nazywana. Zwłaszcza przez... – Popatrzyła na Grr, jakby szukając u niego otuchy.

Mimo upału Monty poczuł dreszcz na skórze.

– O co chodzi, Lizzy?

– Clarence jest okrutny. Potrząsa tyłkiem, klepie go i mówi: „Fanny, całuj mnie w tyłek”, i wydaje z siebie takie cmokanie. Gdy mieszkali w Toland, powiedział, że da jej ćwiartkę, jeśli pocałuje tyłki jego kolegów. A raz jeden z chłopców powiedział, że da Clarence’owi dolara, jeśli Frances pocałuje jego chłopięce narządy. – Lizzy zmarszczyła noseć, żeby wyrazić swoją opinię na temat robienia takich rzeczy. – Tatusiu, Frances nie chce być taka. Powiedziała mi i Grr, że nie chce pomagać Clarence’owi w robieniu tych złych rzeczy. Ale gdy się na to nie zgadza, on szczypie ją tak długo, aż ona zaczyna płakać, a wtedy wujek Jimmy nazywa ją mazgajem i mówi takie okrutne słowa.

Monty’emu zrobiło się niedobrze, zakręciło mu się w głowie. Był wstrząśnięty. Może i Clarence dorastał zbyt szybko, ale nadal był dzieckiem. Czy w tym wieku trenował sutenerstwo na młodszej siostrze? Czyżby przejął to zachowanie od ojca? Czy Jimmy, który zawsze starał się wykorzystać innych, żeby zarabiali dla niego pieniądze, próbował zmusić Sissy do świadczenia usług seksualnych swoim kolegom albo znajomym, mającym coś, czego on pragnął?

Może i próbował – w ten sam sposób, w jaki robił to teraz Clarence – ale mu się nie udało. Gdyby coś było do tego stopnia nie w porządku, mama i tata

z pewnością by się zorientowali. Może i nie mieli świadomości, ile złego potrafił wyrządzić ich syn, gdy nie było ich w pobliżu, gdyby jednak ta przemoc w jakiś sposób zmieniła się w agresję fizyczną, nie przejmowałiby się faktem, że Jimmy był ich biologicznym synem, a Sissy adoptowaną córką, tylko od razu zadzwoniliby po policję i zgłosiliby przestępstwo. Próbowaliby ratować Sissy.

– Tatusiu?

Przyjrzał się swej córce; chciał ją spytać, czy Clarence próbował jej pokazać swojego... Cóż, widziała już nago Sama Wilczą Straż, ale zamienił się z Wilka w nagiego chłopca po tym, jak uratował jej poprzednią maskotkę. Poza tym to było w pomieszczeniu pełnym dorosłych, dla których widok ludzkiego penisa był porównywalny z widokiem Wilka podnoszącego łapę, żeby obsikać drzewo.

– Lizzy, czy Clarence próbował zrobić ci krzywdę?

Widział, że się waha, i jego klatka piersiowa ścisnęła się tak mocno, że nie był w stanie oddychać.

– Jednego dnia mnie przezywał, bardzo brzydko, bo powiedziałam, że nie będę się z nim bawić sam na sam. I zrobiło mi się naprawdę przykro. Ale ja i Sarah obiecałyśmy Grr, że nie będziemy się bawić same, a jeśli Clarence wyjdzie na zewnątrz, pójdziemy do domu Sarah. I obiecałyśmy, że będziemy się bawić z Frances za każdym razem, gdy ona dostanie pozwolenie na zabawę z nami.

– To bardzo dobre obietnice. – Monty przyjrzał się misiowi, siedzącemu na drugim krześle. Czyli nic nie przeszkobał, tylko strzegł dziewczynek przed dwunożnym drapieźnikiem.

Inni mogli nie zrozumieć krzywdy, jaką potrafiły wyrządzić słowa, ale z pewnością rozpoznałyby – i odpowiedzieli – na każde fizyczne niebezpieczeństwo, w którym znalazłby się którykolwiek mieszkaniec Dziażdżnia.

– Tatusiu? Czy Frances może z nami zamieszkać?

– Lizzy, to bardzo skomplikowane... – Przynajmniej dla ludzi. – Ale Fan... Frances może się tu z tobą bawić, ile zechce. A ja porozmawiam z panią Eve, żeby pozwoliła jej bawić się również w domu Denbych.

– Ale bez Clarence'a.

– Oczywiście, że bez Clarence'a. – Zdjął ją z kolan. – Czy ty i Grr możecie zostać na chwilę na tarasie? – Poprosi Kowalskiego, żeby przez parę minut miał oko na Lizzy.

– Sami? – Popatrzyła na niego swoimi wielkimi brązowymi oczami. – A nie może z nami zostać pani Leetha?

– Leetha? A kto to jest? – zapytał, choć miał wrażenie, że już wie.

– Kiedyś mieszkała w Toland, a teraz zamieszkała na górze.

Monty spojrział na Lizzy, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Kilka miesięcy wcześniej mieszkała w budynku, w którym wszyscy dorośli uciekliby z krzykiem na widok któregoś z *terra indigena*. A teraz fakt, że na górze mieszkał

Sanguinati, nie robił na niej najmniejszego wrażenia – wręcz w pewien sposób zapewniał jej poczucie bezpieczeństwa.

– Spytam o to. Wyjdę na krótko i zamknę drzwi. Ty i Grr nie możecie nikomu otwierać. Obiecujecie?

– Obiecujemy.

Wszedł do środka i zadzwonił do Pete’a Denby’ego.

– Pete? Z tej strony Monty. Musimy porozmawiać.

– Jasne. Chcesz wpaść?

– Nie. Chciałbym się spotkać w twoim gabinecie. To będzie raczej... oficjalna rozmowa.

Zapadła cisza. A potem:

– W takim razie spotkajmy się tam za kilka minut.

– Ktoś przychodzi popilnować Lizzy. – Oznaczało to, że jeśli Pete potrzebuje opieki dla Roberta i Sarah, to może ich przyprowadzić.

– Mam to ogarnięte.

Zastanawiając się, który z Innych jest właśnie u Denbych, Monty wyszedł z mieszkania. Po cichu wszedł po schodach, nie chcąc się spotkać z Jimmym. Równie cicho zapukał do mieszkania na górze.

Samica, która mu otworzyła, była tą samą, którą jakiś czas temu widział na swoim tarasie. Gdyby była człowiekiem, dałby jej jakieś czterdzieści lat. Nie miał pojęcia, ile lat ma naprawdę, ale coś w jej oczach mówiło mu, że w swym życiu widziała i zrobiła już naprawdę dużo.

W przeciwieństwie do Nyx Sanguinati wampirzyca nie ubierała się staromodnie ani nie poruszała się pod postacią dymu, tak by każdy wiedział, czym jest. Tak naprawdę ludzie mogliby ją postrzegać jako dojrzałą piękność, uosobienie elegancji. Żaden podziwiający ją mężczyzna nie dostrzegłby drapieznika w kobiecie ubranej w czarne spodnie i koszulkę, uszyte z jedwabistych materiałów najwyższej jakości.

– Pani Leetha?

– Poruczniku?

– Czy mogłaby pani zostać z Lizzy przez kilka minut? Mam ważną sprawę do załatwienia.

– Mogłabym.

– Dziękuję. – Odwrócił się do wyjścia.

– Poruczniku? Jeśli pańskie sprawy staną się zbyt skomplikowane, to pomożemy panu je uprościć.

Nie odwrócił się z powrotem, nie odważył się wydać żadnego dźwięku, który mogłaby zinterpretować jako pozwolenie na zabicie jego brata.

Dotarł do biura łącznika akurat w chwili, w której Pete wyszedł na schody.

– Jak bardzo oficjalna będzie ta rozmowa? – spytał Denby, gdy już weszli do

jego gabinetu. Otworzył niewielką lodówkę i wyjął dwie butelki piwa.

– Nie na tyle oficjalna, żebym odmówił piwa – odparł Monty.

Pete otworzył butelki, a potem usiadł na krześle w miejscu, które pełniło rolę poczekalni.

Monty usiadł na drugim, napił się piwa, a potem opowiedział Pete'owi o wszystkim, o czym opowiedziała mu córka.

– Czyli jak na razie chodzi tylko o przemoc słowną... – stwierdził, potem jednak przypomniał sobie o szczypaniu. Trudno powiedzieć, jak zostałyby to potraktowane, ostatecznie były to tylko porachunki między rodzeństwem. – Głównie.

– „Tylko” o przemoc słowną? – Pete palcami zakreślił cudzysłów w powietrzu. – Dobrze wiesz, że to coś poważniejszego.

Monty przejechał sobie po czole oszronionym szkłem butelki.

– Tak, wiem. Słowa mogą wyrządzić taką samą krzywdę jak pięści. – Upił łyk piwa. – Motto w domu moich rodziców brzmiało: „Żadnych niemiłych słów, żadnych niemiłych czynów”. A jeśli byłeś niemiły, choćby nieumyślnie, oczekiwano, że przynajmniej spróbujesz naprawić wyrządzone zło.

– No cóż, najwyraźniej twój brat nie przejął rodzinnego motta.

– Nie. Nauczył się jednak, w jaki sposób unikać przyłapania na złym zachowaniu, a gdy już został przyłapany, zawsze próbował zrzucić winę na kogoś innego – albo namówić kogoś do zaprzeczenia, jakoby doszło do jakiegokolwiek krzywdy. – Odstawił butelkę na podkładkę. – W dzieciństwie na pewno odpowiednio wyszkolił sobie Sissy, żeby z nim współpracowała. I żadne moje słowa nie mogły tego zmienić. – Zawahał się, choć szybko stwierdził, że niepotrzebnie. Przecież sam chciał się spotkać, a Pete miał już wyrobione zdanie na temat członków jego rodziny. Wątpił, by cokolwiek, co teraz powie, mogło go zaskoczyć. Podjął więc: – Mężczyzna, z którym Sissy była związana, ojciec dziewczynek... Był dobrym, zrównoważonym facetem. I naprawdę ją kochał. Widziałem go tylko kilka razy, ale go polubiłem. Cieszył się, gdy zaszła w ciążę, rozmawiali nawet o ślubie. A potem coś się wydarzyło i przestał o tym mówić. Ale nadal byli razem i mimo że trochę się wycofał, wszystko zdawało się iść w dobrym kierunku.

– Ty też nie ożeniłeś się z matką Lizzy – zauważył łagodnie Pete.

– Chciałem, ale Elaine się nie zgodziła. Dokładniej rzecz ujmując: jej matka nie chciała, by córka popełniła mezalians.

– A co się stało u Sierry?

– Nigdy się tego nie dowiedzieliśmy. Odszedł od niej i dziewczynek jakiś rok po narodzinach Bonnie. Podczas jedynej rozmowy, jaką udało mi się odbyć z nim później, powiedział, że nie ma nic przeciwko wielogodzinnej pracy w celu zapewnienia bytu swoim dzieciom, ale nie będzie się poświęcał dla jakiegoś

naciągacza. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, o co chodzi. Teraz jednak, gdy zobaczyłem tu Jimmy'ego i Sissy, przypomina mi się, jak jej partner opłacał jej rachunki, jak kupował ubrania i zabawki dla dziewczynek czy przynosił jedzenie, gdy przychodził z wizytą. Ale nigdy nie dał Sissy żadnych pieniędzy.

– Czyli Jimmy zabierał część ich domowego budżetu i partner Sierry wreszcie się zorientował, dlaczego ciągle brakuje im pieniędzy. – Pete westchnął. – Pewnie obiecywała, że przestanie dawać bratu pieniądze, i wtedy na jakiś czas wszystko się uspokajało.

Monty pokiwał głową.

– Potem Jimmy znów zjawiał się u nich i ją przekonywał. A gdy złamała kolejną obietnicę, jej partner wreszcie odszedł.

– Wiesz, gdzie go znaleźć?

– Nie. Może mama będzie wiedzieć. Teraz to już bez znaczenia. Sissy znajduje się poza zasięgiem Jimmy'ego. Ale Frances...

– Nie możesz zabrać dziecka rodzicom tylko dlatego, że ktoś opowiedział ci o czymś, co wydarzyło się kiedyś w innym mieście – zauważył Pete. – Nie mamy dowodu na to, że Clarence zmusił do czegokolwiek swoją siostrę, mielibyśmy jego słowo przeciwko jej słowu.

– Ludzkie sądy nie mogłyby zabrać Frances rodzicom na podstawie pogłosek, ale na Dziedzińcu ludzkie prawo nie obowiązuje – przypomniał mu Monty. – Nie musiałbym przekonywać sędziego, że Frances znajduje się w niebezpieczeństwie.

Pete pochylił się do przodu.

– Między tobą a Sierrą jest na tyle duża różnica wieku, że nauczyliście się podchodzić do siebie z dystansem, ale bracia i siostry, którzy są rówieśnikami, nie zawsze dobrze się ze sobą dogadują. Spędź wieczór z Sarah i Robertem, gdy są skazani wyłącznie na swoje towarzystwo, a sam się przekonasz. Monty, jeśli to burza w szklance wody, jeśli Frances choć trochę podkolorowała swoją historię i po prostu chciała wywołać w tobie współczucie, a ty przekonasz Simona Wilczą Straż do działania, to już nie będzie odwrotu. Masz o wiele większe doświadczenie z Innymi niż ja, ale zaobserwowałem, że dorośli *terra indigena* pozwalają, by dzieciaki same się ze sobą dogadywały, i wkraczają, dopiero gdy któremuś z nich może się dzieć krzywda. Inni założą, że zagrożenie jest na tyle poważne, że należy zabrać dziecko. Co jednak się stanie, jeśli Simon, Vlad albo Henry postanowią, że Frances należy gdzieś przenieść? Nie będziesz już mógł cofnąć swej prośby, nie uda ci się załagodzić tego, co im powiedziałaś, tylko po to, by zatrzymać ją w Lakeside.

– Wiem. – Możliwe, że Frances po prostu czuła się nieszczęśliwa i samotna. Została zabrana z domu w Toland, a tu miała mało kontaktu z innymi dziećmi. Nawet obecne mieszkanie było dla niej tylko tymczasowym domem, takim, który

jej rodzina mogła w każdej chwili stracić. Może po prostu była introwertyczką, potrzebującą jakiejś stabilizacji? A może rzeczywiście groziło jej niebezpieczeństwo ze strony brata, który miał zamiar ją wykorzystać.

Monty wziął butelkę i wypił piwo do dna.

– Co chcesz zrobić? – spytał Pete. – Co zrobiłbyś, gdybyśmy rozmawiali o Lizzy?

– Porozmawiam z Eve i Ruth, by były świadome potencjalnego zagrożenia. Pogadam też nieoficjalnie z Karlem i Michaeliem. – Monty powoli wypuścił powietrze. – I z Simonem oraz Vladem o tym, kiedy ludzkie zachowanie wymaga interwencji niezależnie od wieku ludzi, którzy biorą udział w danym wydarzeniu.

– Przed czy po imprezie składkowej?

– Po. Nie ma sensu mieszać wszystkim w głowach przed tym, jak usiądą do wspólnego posiłku. – Poprosi jednak Leethę Sanguinati, żeby dała mu znać, jeśli Jimmy albo Clarence będą mieli gości.



Jedynak przybył na rynek przed Simonem, Meg i Samem. Tak jak Nathan i Blair, ale oni stali przed Mięsem i Zieleniną, blokując drzwi przed młodym Wilkiem, który miał ochotę wpaść do środka i ukraść trochę jedzenia.

Simon spojrzał na Sama.

– Szczeniaku, mówiłeś mi o tym przyjęciu? – zapytał.

– Nie. No... może... troszkę. Ale to było, zanim Meg powiedziała, że wszyscy mają mieć ludzką postać!

Widząc ich, Jedynak ruszył prosto do Meg, która niosła wielką miskę z sałatką ze szpinaku.

Blair warknął ostrzegawczo, a Simon stanął przed Meg, dzięki czemu Jedynak miał dwa powody do wycofania się i nienapadania na dziewczynę w celu sprawdzenia, co jest w misce. Po chwili dołączył do nich Nathan. W ich otoczeniu Meg weszła do lokalu.

– Poczekamy tu do chwili, gdy wszyscy zaproszeni będą już w środku – postanowił Blair.

– Stado samic i reszta jedzenia już tu są – rzekł Nathan. – Samce właśnie przyjechały. Czy to normalne zachowanie? Wydawało mi się, że samce miały pomóc w przygotowywaniu jedzenia.

– Ja pomagałem – rzekł Simon.

Blair popatrzył na niego dziwnie.

– Przyniosłeś liście i grzyby.

Simon odstłonił zęby. A potem westchnął, bo to była prawda.

– Chodź, Sam – rzucił, ale Sam wpatrywał się w Jedynaka, w którego bursztynowych oczach widać było zmieszanie i smutek.

– Nie możesz wejść do środka – rzekł cicho i władczo. – Nie będziesz mógł zmienić się w człowieka, żeby z nami zjeść.

Dorośle Wilki się nie poruszyły, nie przerwały rozmowy. Chwila przeciągała się w nieskończoność. Jednak się oddalił, płacząc tak, że Simona rozboleło serce.

– Dopilnujemy, żeby dostał trochę jedzenia – szepnął do Sama i otworzył drzwi, by mogli wejść do środka.

Stoliki zostały zestawione w jeden długi stół na środku sali. Inne stoliki postawiono pod ścianą i porozstawiano na nich miski i talerze z różnymi daniami.

– Dużo tego – mruknęła Meg, powoli ruszając w tę stronę.

Czyżby był większy wybór jedzenia? A może inny sposób jego ekspozycji wprawiał ją w zakłopotanie?

– Możliwe, że trochę przesadziliśmy z liczbą przygotowanych dań. – Merri Lee postawiła na stole miskę z zieloną fasolką. – Chciałyśmy jednak, żeby każdy znalazł coś dla siebie, a wszystko, co zostanie, można przecież zjeść potem. Meg, daj mi tę sałatkę, dodam do niej ciepły dressing z bekonem i jajka na twardo. Och, mamy też gotowaną kukurydzę w kolbach, koniecznie skosztuj. Porucznik Montgomery i Pete pojechali po dzieci. Eve robi purée ziemniaczane, pani Twyla zaraz skończy kukurydzę, a Michael i Karl porcjują indyka.

Simon chętnie by to zobaczył, ale nie odezwał się słowem. Nie chciał wchodzić innym samcom w paradę, jednak wydawało mu się, że byłby to dobry sposób na trzymanie się z dala od Eve i pani Twyli.

Po chwili dotarli Montgomery, Eve i trzy ludzkie szczeniaki, a za nimi do sali weszli Nathan, Blair i Henry. Nadine i Chris Fallacaro wyszli z kuchni z koszykami pełnymi babeczek i bułek oraz tacą z jakimś dziwnym chlebem.

Nadine wskazała jedzenie.

– Brzoskwińowe muffinki, bułki i chleb z cukinii. Wykorzystuję sezonowe owoce i warzywa.

Owoce w babeczkach brzmiały niezłe, ale warzywa w chlebie...?

Simon popatrzył na Blaira i Nathana. Oni spojrzeli na niego.

Ty odwróć jej uwagę, a ja powącham ten chleb, rzekł Blair.

Za późno, rzekł Simon, gdy Michael Debany wniósł wielką tacę z mięsem. Nogi indyka były jedyną nienaruszoną – i rozpoznawalną – częścią ptaka.

Kowalski wyszedł z kuchni; niósł dwie torby wyładowane pojemnikami z jedzeniem.

– Pani Twyla wysyła trochę jedzenia do Cyrusa i jego rodziny, żeby panował spokój. Wracam za kilka minut.

Podszedł do nich Montgomery.

– Karl, pomóc ci?

– Lepiej będzie, jeśli zrobię to sam, sir.

Montgomery pokiwał głową.

– Wyjdę z tobą na zewnątrz i dopilnuję, żeby Jedynek się na ciebie nie zasadził – rzekł Nathan.

Eve Denby postawiła na stole wielką miskę grzanek i klasnęła w dłonie.

– No dobrze, moi mili. Bierzcie talerze i częstujcie się. Każdej osobie niższej od Meg pomoże ktoś dorosły.

Meg i Merri Lee spojrzały na nią i zawołały równocześnie:

– Ej!

Reszta ludzi zaczęła się śmiać, a Simon nie miał pojęcia dlaczego.

Merri Lee przewróciła oczami.

– Jeśli stosujemy takie standardy, to Meg i wszyscy jej wzrostu powinni być pierwsi w kolejce.

Ponowny wybuch śmiechu. Nadal nie miał pojęcia, co w tym zabawnego, ale ponieważ Merri Lee, Meg i Sam byli pierwszymi osobami, które mogły wybrać sobie jedzenie, nikogo nie owarczał. Po chwili wrócił Nathan; kiwnął głową, żeby dać do zrozumienia, że Kowalski – i jedzenie – umknęli uwadze Jedyneka, a następnie ustawił się w kolejce.

Zapiekanek z zielonym groszkiem, zapiekanka z brokułami i serem, sałatka ziemniaczana, sałatka makaronowa i ze szpinakiem; babeczki, bułeczki i chleb z cukinii; purée ziemniaczane, nadzienie, indyk i sos, gotowana kukurydza i topione masło... Simon się poddał się, próbując zidentyfikować pozostałe dania przygotowane przez stado samic.

Meg – tak jak reszta samic – nabrała tylko po łyżce każdej potrawy, ale i tak miała pełny talerz. Szczeniakom nie dano do wyboru wszystkich dań, lecz jedzenia było mnóstwo nawet dla Sama. Gdy wszyscy usiedli przy stole, powrócił Kowalski. Wyraz jego ciemnych oczu sprawił, że na plecach i ramionach Simona pojawiła się sierść.

– Musisz wyjść na zewnątrz – szepnął Kowalski.

Montgomery postawił talerz na stole.

– Jakiś problem?

Kowalski kiwnął głową, ale nie odrywał wzroku od Simona.

– Musisz wyjść na zewnątrz – powtórzył.

Simonie? Blair również odstawił swój talerz. Tak jak Nathan i Henry.

Poczekajcie, rzekł Simon. *Pilnujcie Meg*.

Zanim doszedł do drzwi, usłyszał jęczenie. Niby wilcze, ale nie do końca. Gdy wyszedł na zewnątrz, zrozumiał, że w oczach Kowalskiego kryło się współczucie, i wiedział, dlaczego stojący obok Montgomery głęboko wciągnął powietrze.

Nie-człowiek. Nie-wilk. To nie była nawet ta przerażająca, harmonijnie zbudowana postać, którą przyjmowała większość z nich, gdy byli zdenerwowani albo potrzebowali korzystać jednocześnie z cech obu form. To była najgorsza

możliwa postać pomiędzy.

Nie chciał być pominięty.

Zanim postanowił, co zrobić z Jedynakiem, dołączyła do nich pani Twyla.

– Nie dopuszczę do tego, żeby przy stole usiadł nagi chłopak – powiedziała stanowczo – więc lepiej przynieście mu jakieś ubranie.

– Pani Twyło... – zaczął Simon w tej samej chwili, w której Montgomery powiedział:

– Mamo...

Zignorowała ich i zwróciła się do Kowalskiego:

– Biegnij do sklepu i przynieś temu chłopakowi koszulkę i parę dresowych spodni z gumką, które zakładacie, gdy podnosicie ciężary i robicie te inne rzeczy, żeby urosły wam mięśnie. Sprujemy kilka szwów z tyłu, żeby zrobić miejsce na ogon. Buty chwilowo możecie sobie odpuścić. – Buty? W sklepie z pewnością nie było nic, co pasowałoby na nogi Jedynaka. Jedna stopa wyglądała na niemal ludzką, ale była owłosiona; druga była wilcza, jednak zakończona ludzkimi palcami. – Wystarczą spodnie i koszulka – ciągnęła pani Twyla. – Biegnij, ale już! Jedzenie stygnie.

– Tak, proszę pani. – Kowalski popędził do sklepu z odzieżą na rynku.

– Crispinie, ty wejdź do środka i upewnij się, że wszyscy zaczęli jeść.

Wahanie trwało tylko chwilę.

– Dobrze, mamo.

– Pani Twyło... – Simon spróbował ponownie.

– Nie. – Słowo to zostało wypowiedziane cicho i grzecznie, i tonem nieznośnym sprzeciwu. Żadnego spierania się, żadnej dyskusji.

Twyla spojrzała na niego przeciągle.

– Myślisz, że nie wiem, co się tu dzieje i dlaczego? Taka próba wymaga ogromnej odwagi. Ilu z was udało się za pierwszym razem?

To prawda. Większości *terra indigena* nie udawało się przyjąć całkowicie ludzkiej postaci. Tacy Inni nie mogliby więc uchodzić za człowieka. Ale nie próbowali usiąść przy stole do wspólnego posiłku z ludźmi!

– Każdy, kto będzie miał problem z jego obecnością, będzie musiał zabrać swój talerz i zjeść gdzie indziej – zarządziła pani Twyla. – To dotyczy również ciebie.

Zaskoczony, warknął na nią – i poczuł wstyd, gdy tylko skrzyżowała ręce, parząc na niego.

Wtedy wrócił Kowalski.

– Nie wiedziałem, jaki wziąć rozmiar. Wydaje mi się, że koszulka powinna pasować, najwyżej będzie trochę za duża. Jest gorąco i reszta dzieciaków ma na sobie krótkie spodenki, więc kupiłem to.

Simon widział, że Kowalski i Debany mieli takie spodnie, gdy ćwiczyli

w Siup i Łup – siłowni na Dziedzińcu.

– Mogą być – orzekła pani Twyla. – Teraz potrzebuję jeszcze...

Eve i Nadine wystawiły głowy przez drzwi.

– Twylo, co się...? – zaczęła Eve, ale zamilkła.

Simon dostrzegł szok i przerażenie na twarzach kobiet. A potem nagle te uczucia zniknęły w sposób, w jaki Wilk mógł zniknąć za maską ludzkiego wyglądu. Nie zniknęły – zostały ukryte.

Czy ukrywały je również wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyły blizny Meg?

– Potrzebny mi przyrząd do prucia albo małe nożyczki – powiedziała pani Twyla.

– Mam nożyczki w minizestawie do szycia, który noszę w torebce – rzekła Eve. – Już po nie idę.

– Chłopcy, pomóżcie mu wstać i się ubrać.

Nie wiedział, kogo ma na myśli, dopóki Kowalski nie stanął po jednej stronie Jedynaka i nie spojrział oczekująco na Simona. Gdy postawili Jedynaka na nogi, ten potrzebował dłuższej chwili, żeby złapać równowagę – co było dość trudne, ponieważ miał dwie różne stopy. Nadine pomogła mu założyć koszulkę, podczas gdy pani Twyla przyłożyła do niego spodenki i podjęła decyzję, w którym miejscu należy je rozpruć, żeby zrobić miejsce na ogon.

Gdy wróciła Eve z zestawem do szycia, Twyla nie tylko rozpruła szew, ale też zabezpieczyła go, żeby nie pruł się dalej.

Potem zaprowadzili Jedynaka do sali.

Blair, Nathan i Henry szybko zorientowali się, co się dzieje, natomiast ludzie...

Eve o wszystkim im powiedziała, żeby ich przygotować, rzekł Henry.

– Jedynaku, usiądziesz obok mnie – zarządziła pani Twyla. – Ruth, przynieś mu talerz. Zaczniemy od prostych rzeczy.

– Tak, proszę pani. – Ruth pośpieszyła do stołu z jedzeniem i zaczęła napełniać talerz, a Merri Lee naląła mleka do plastikowego kubka.

Simon i Kowalski posadzili Jedynaka na krześle. Młody Wilk zaczął dyszeć, zdenerwowany fizyczną przemianą. Zapewne miał wrażenie, że został rozczłonkowany.

Robert patrzył na niego, widelec z purée zawisł nad jego talerzem.

– Czy to jest Jedynak?

– I co z tego? – spytał wyzywająco Sam.

– Jak on to zrobił? – Robert popatrzył na Sama. – Ty też tak potrafisz?

– Pogadamy o tym później – przerwał im Pete. – Teraz jedzcie.

Ruth przyniosła talerz z ziemniaczanym purée, nadzieniem, indykiem i odrobiną zapiekanki z brokułami i serem.

– Nie wiedziałam, czy da sobie radę z kukurydzą.

Pani Twyla kiwnęła głową.

– Na razie wystarczy.

Jedynak rzucił się na jedzenie, ale dostał prztyczka w nos.

– Poczekasz, aż ci pokroję. – Pani Twyla podzieliła kawałek mięsa, a potem postawiła talerz przed Jedynakiem, podniosła widelec i popukała palcem w jeden z ząbków. – To jest ostre i będzie bolało, jeśli ukłujesz się tym w język albo w usta. Podejrzewam, że kilka razy się ukłujesz – tak jak wszystkie dzieci – ale spróbuj jeść ostrożnie. – Włożyła widelec do jego dłoni i poprowadziła ją, nadziała kawałek indyka, a potem puściła. – No i proszę.

– Dlaczego pokroiła mi pani jedzenie? – spytał Sam, co było dość dziwne, bo podsunął swój talerz Meg w tym samym celu.

– Kroić jedzenie dla wszystkich moich dzieci i wnuków, gdy były małe.

– Kiedyś babcia Twyla kroić mi jedzenie, ale nie musi już tego robić – wtrąciła Lizzy.

A to dlatego, że pokroił je Pete Denby, gdy kroić indyka Sarah, powiedział rozbawiony Henry.

Sam przekrzywił głowę i przyjrzał się pani Twyli.

– Czy jeśli kroisz jedzenie Jedynakowi, to oznacza, że jesteś jego babką?

Montgomery się zakrztusił, ale nie wyglądał na zaskoczonego, gdy pani Twyla odparła:

– A czy Jedynak ma babkę? Nie? No to ja nią będę.

Przez kilka minut panowała cisza. Wilki i Henry obserwowały Jedynaka, żeby mieć pewność, że nie będzie próbował jeść z talerzy innych gości. Ludzie skupiali się głównie na własnych posiłkach.

– No dobrze – odezwała się w końcu pani Twyla. – Co ostatnio robiliście, moje dzieci?

Montgomery spojrzał najpierw na Simona, a potem na swoją matkę.

– Mamo, a do których dzieci konkretnie się zwracasz?

Popatrzyła po siedzących przy stole gości, również na Blaira i Henry’ego.

– Do wszystkich.

– My wczoraj upolowaliśmy indyka – rzekł Blair.

– Wspaniały ptak. Prawda, Eve?

Eve Denby głośno przełknęła ślinę.

– Tak, wspaniały. I taki wielki, że mogłam się nim podzielić.

Merri Lee opowiedziała o najnowszym kryminale od Wroniej Straży, który właśnie czytała. Kowalski spytał, czy Alan Wilcza Straż będzie wydawał nową książkę. Michael Debany zastanawiał się, czy Wilki kiedykolwiek grały w baseball. Powoli wszyscy się rozluźnili, zaczęli rozmawiać o książkach i grach, do których były potrzebne jakieś piłki, a także o jedzeniu, które było nowym doświadczeniem zarówno dla Meg, jak i dla *terra indigena*.

– Ta gotowana kukurydza w kolbach jest przepyszna – powiedziała Meg. – Muszę namówić Jenni, Starra i Jake’a, żeby spróbowali.

Merri Lee zaczęła się śmiać.

– Tak. Surowa kukurydza z topionym masłem z pewnością smakuje inaczej.

Rozmawiali, śmiali się i pytali Henry’ego o jego najnowsze rzeźby. Nathan warknął w proteście, gdy Meg powiedziała, że jeśli jeszcze raz spóźni się do pracy, zabierze mu część ciasteczek. Stado samic zaczęło chichotać, zwłaszcza kiedy Meg przyznała się, że szukała Wilka nawet pod posłaniem, by sprawdzić, czy nie ukrywa się przed nią.

A wśród nich siedział Jedynak – mile widziany i ogólnie akceptowany.



Jimmy na palcach poszedł do kuchni; podrapał się po gołym brzuchu i wsadził rękę w bokserki, żeby poskrobać się po tyłku. Otworzył lodówkę i zaklął pod nosem, gdy poustawiane na półkach w drzwiach słoiki głośno zagrzechotały. Kiedy wychodził z sypialni, Sandee chrapała jak tłusty prosiak – dźwięki, jakie z siebie wydawała, były naprawdę obleśne – więc pewnie go nie usłyszała, ale te cholerne dzieciaki próbowały zwinąć trochę jedzenia przez cały wieczór i teraz mogły się obudzić i zechcieć do niego dołączyć. A przecież dał im część tego, co przyniósł ten przeklęty glina, prawda? Powinno im wystarczyć.

Był wściekły, że nie zaproszono go na tę wielką wyzerkę w Mięsie i Zieleninie. Przecież on też tu mieszkał, tak? Mama mogła nalegać, żeby zaproszono przynajmniej jego. Ale to ta suka, Eve, miała na tyle wielkie jaja, żeby poprosić dziwolągi o załatwienie wielkiego indyka, więc to ona zapraszała, kogo chciała.

Nie zapomni jej tego. Tak samo jak nie zapomni, że to ona zarządzała budynkiem i z reguły pracowała sama. Zapchana toaleta? Cóż, będzie musiała się z tym zmierzyć. Wystarczy mu kilka minut sam na sam z tą zdzirą, żeby nauczyć ją, że ma być dla niego miłsza – i zmusić do milczenia.

Wyjął talerz z indykiem, trzy pozostałe bułki i słoik majonezu. Wolałby podgrzać nadzienie i ziemniaki, ale sygnał kuchenki mikrofalowej obudziłby bachory, dlatego zdecydował się na kanapki. Pokroił bułki, posmarował majonezem, a potem do każdej z nich wsadził tyle mięsa, ile się zmieściło. Usiadł przy niewielkim stoliku, wgrzył się w jedną z kanapek i zaczął rzuć, cały czas wściekły.

Gotówka powoli mu się kończyła, a Sandee nie przynosiła dostatecznie dużo, żeby mogli codziennie kupować jedzenie, nie mówiąc już o czymś innym. Nie był to ich teren, a w Jeleniu i Zającu – jedynym barze, do którego mogli dotrzeć, nie wydając pieniędzy na taksówkę czy autobus – roilo się od glin i wampirów, którzy z pewnością by ją rozpoznali. Przynajmniej gliny

zorientowałyby się, dlaczego Sandee wychodzi z coraz to innymi mężczyznami. Nawet jeśli udałoby się przekonać CJ-a, żeby nie aresztował jej za prostytutkę, ten sukinsyn Burke nie zawahałby się. Nie wyglądał na typa, który odwraca wzrok w zamian za darmowe usługi.

W barach w pobliżu dworca autobusowego przesiadywali ludzie, do których towarzystwa był przyzwyczajony. Tak jak wszystko w tych czasach, tak i niewielkie ilości narkotyków przedostawały się do miasta. Cena małej porcji zioła była niemal trzykrotnie wyższa niż to, co płacił w Toland. Pośrednik mógł próbować towaru i nadal nieźle na tym zarabiać, ale on był tu nowy, a w Lakeside siedzieli już pośrednicy, niezainteresowani konkurencją. Co oznaczało, że musiał sprzedawać coś innego – coś, co będzie miał tylko on.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w bułkę z indykiem, potem wziął kolejny kęs.

Nawet w najpodlejszych barach gadka była ta sama: można kupić jedzenie w sklepach, w których zarejestrowano swoje książki z przydziałami, ale w sklepach mięsnych nadal brakowało mięsa – wszyscy czekali na dostawy z rzeźni. Poza tym nie zawsze można było kupić bochenek chleba, a nawet gdyby, to liczba bochenków była mocno ograniczona. A co z jedzeniem w puszkach? W słoikach? Fabryki żywności zaczęły działać, ale produkowały mniej, ponieważ brakowało pracowników. Sklepy spożywcze przechowywały co tylko się dało, najczęściej jednak półki w nich świeciły pustkami. Kobiety, które miały działki z drzewami owocowymi i umiały robić dzemy czy galaretki, sprzedawały wszystko, czego w ciągu najbliższego roku nie będzie potrzebowała ich rodzina, ale przypominało to raczej sprzedaż po sąsiedzku – obcy ludzie byli uważnie obserwowani, a policjanci, na koniach albo na piechotę, patrolowali ulice podczas dni takich wyprzedaży, żeby zapobiec ewentualnym kradzieżom.

Frajerzy robili to, na co im się pozwalało, ale prawdziwi mężczyźni chcieli czegoś więcej. Jak mieli robić interesy, żywiąc się wyłącznie jebaną zieleniną i kilkoma marnymi gramami mięsa dziennie?

Cholerni Inni jedli szczury i myszy, i wszystkie inne gówna, których nie tknąłby człowiek, a w ich sklepach mięsnych zawsze było mnóstwo wołowiny i wieprzowiny. Grzeczne pieski udały się nawet na polowanie i przyniosły pieprzonego indyka tej zdzirze, Eve, tylko dlatego że o to poprosiła. Gdyby pewnej nocy zniknęło całe mięso od rzeźnika, mogliby po prostu upolować coś nowego. Przynajmniej na coś by się przydali.

Nie mógł sam zabrać tego mięsa. Podszuchał, jak jeden z dziwolągów opowiada bachorom, że każdy pachnie inaczej i Inni są w stanie powiedzieć, gdzie na Dziedzińcu znajduje się dany człowiek. Nie mógł więc dopuścić do tego, by powiązano jego osobę ze zniknięciem mięsa. Poznał jednak pewnych mężczyzn, którzy mogliby odwalić tę robotę za niego i jeszcze oddaliby mu część łupu.

Jego prowizję. Tak. Prawdziwy biznesmen otrzymywał prowizję za swoją pracę.

Uśmiechnął się, zjadł ostatnią bułkę i odłożył indyka oraz majonez z powrotem do lodówki. Została jeszcze porcja na jedną osobę. Sandee wpieprzyłaby indyka na śniadanie, jeszcze zanim dorwałyby go bachory. Mogą sobie żreć brokoły albo chodzić głode.

Musiał uwolnić się od Sandee i dzieciaków i wydostać się z tego Lakeside. Nie było tu dla niego nic ciekawego. To miasto było za małe, a on robił interesy, które miały nie zwracać niczyjej uwagi. Musiał założyć, że CJ, albo – co bardziej prawdopodobne – ten sukinsyn Burke powiedział już policji z innych dzielnic, kim on jest. A ponieważ sytuacja wyglądała teraz tak, jak wyglądała, nie sądził, żeby udało mu się namówić kogokolwiek, by patrzył w bok, podczas gdy on robił interesy – zwłaszcza jeśli chodziłoby o kradzież jedzenia czy innych podstawowych towarów.

Potrzebował dużego zysku – takiego, dzięki któremu wydostanie się stąd i osiadzie gdzie indziej. Musiał tylko wymyślić, dokąd chciałby pojechać.

Uda mu się. O, tak. Będzie musiał jednak poczekać do poniedziałku. Spotka się wtedy z kilkoma ludźmi i dogada interesy.

Rozdział 17



Poniedziałek, 20 sierpnia

Po skończeniu lunchu w Mięsie i Zieleninie Simon odłożył talerz, sztućce i szklankę do odpowiednich koszyków. Nie zostały żadne resztki poza ogryzkiem jabłka, który wrzucił do kosza na odpady bio.

Nagle jego dłoń zatrzymała się nad pojemnikiem. Ile jeszcze jabłek im zostało? Ile będą musieli odłożyć na przysmaki dla kucyków? Henry z pewnością będzie wiedział. Simon wiedział tylko, że jabłka dojrzewają o różnych porach roku, ale nie przywiązywał do tego większej wagi. Dojrzałe jabłka były zrywane i zjadane. Ale stado samic twierdziło, że niektóre odmiany były lepsze do jedzenia, a inne nadawały się raczej do gotowania i pieczenia.

Kto by pomyślał, że ludzkie samice będą takie wybredne? Wilkowi wystarczyło do szczęścia dojrzałe jabłko – i już. Rozróżnianie ich odmian było jedną z wielu rzeczy, które w tym roku się zmieniły.

W ciągu ostatnich tygodni w Czymś na Ząb i Mięsie i Zieleninie zaszły zmiany, zwłaszcza teraz, gdy większość ludzi, którzy mogli wchodzić na rynek,

jadła w którymś z barów co najmniej jeden posiłek dziennie. Tak było wygodniej ludziom zatrudnionym w sklepach albo w konsulacie. A ludzie, którzy mieli dostęp do roślin z Zielonego Kompleksu, przygotowywali dodatkowe dania i trzeba było przyznać, że zawsze przygotowywali jedzenie dla Meg i pokazywali jej, jak gotować, żeby jej smakowało.

Ostatecznie, biorąc pod uwagę liczbę ludzi, którym wolno jeść albo kupować jedzenie na Dziedzińcu lub z farm *terra indigena*, należało stwierdzić, że nikomu niczego nie brakowało. Owszem, nie zawsze wszystko było dostępne – ilość mięsa zależała od sukcesu podczas polowania, ilość mąki od terminów dostaw – ale zawsze było coś do jedzenia.

To była część zmiany w Mięsie i Zieleninie i Czymś na Ząb. Piekarnia Nadine przygotowywała śniadania i lunchy, a Tess sprzedawała je w barze. Po wyczerpaniu zapasów można było kupić tylko kawę i napoje. Mięso i Zielenina wyspecjalizowało się w przygotowywaniu lunchów i dań na popołudnie, od klientów oczekiwano, że sami będą odbierać swoje zamówienia, a potem po sobie sprzątać. Wieczorami bar działał jak ludzka restauracja z kelnerami. W ten sposób goście *terra indigena* mieli okazję doświadczyć różnych sposobów spożywania posiłków przez ludzi.

Dziedziniec w Lakeside stał się dla Innych dobrym miejscem do trenowania interakcji z ludźmi. Ludzie jednak codziennie robili bardzo dziwne rzeczy. Tak jak dzisiaj. Gdy usłyszał, że nie ma już żadnych resztek indyka, poszedł do kuchni i zaproponował, że pozbędzie się szkieletu ptaka – wyrzuci go w miejscu, w którym będą mogły pożywić się nim inne stworzenia – tak by nic się nie zmarnowało. Ale Eve i Nadine powiedziały, że właśnie gotują rosół z indyka i dopóki nie skończą, ma trzymać łapy z daleka od szkieletu.

Powinien im przypomnieć, że to on jest ich pracodawcą i nie pozwoli, by odzywano się do niego w ten sposób, ale był głodny, a one miały przewagę liczebną. Poza tym w ich zasięgu znajdowało się zbyt dużo ostrych noży i szpiczastych przedmiotów.

Potem z nimi porozmawia – albo przyśle im notatkę służbową.

Idąc w stronę drzwi, dostrzegł porucznika Montgomery'ego, który również wpadł na lunch. Coś musiało zwrócić jego uwagę, ponieważ cofnął się, żeby pozostać niezauważonym. Simon podszedł do niego szybkim krokiem.

– Nie chcesz tam teraz iść. – Montgomery wyciągnął rękę, żeby zablokować drzwi.

– Dlaczego? Co się dzieje? – Simon zaczął się przyglądać temu, co się działo na rynku, jednak nie zobaczył nic niepokojącego. Podczas gdy on zwracał uwagę bardziej na głosy niż na działania, Montgomery zdawał się rozbawiony.

– Odbywają się negocjacje. – Porucznik wskazał palcem panią Twylę, która siedziała na ławce i jadła lody, i na Jedynaka, który ganiał za miską z lodami tak

długo, aż wreszcie udało mu się wepchnąć ją za nogę pani Twyli, która drugą stopą machała w powietrzu.

– Roo-roo. – Jedynek położył łapę na dyndającej stopie kobiety i próbował ściągnąć ją na dół, żeby móc zakotwiczyć miskę bardziej stabilnie.

– Nie – rzekła łagodnie pani Twyla.

– Roo-roo! – Trochę mocniej trącił stopę.

– Babciu mi, ile chcesz, ale to nie zmieni faktu, że sam możesz sobie przytrzymać swoją miskę. Meg pokazała ci, w jaki sposób to zrobić.

– Rooo? – Rozejrzał się wokół.

– Nie ma jej tutaj. – Twyla polizała lód. – Siadaj na tyłku i złap tę miskę własnymi łapami.

– Och... – odetchnął Montgomery. – Zaraz wypróbuję trik pod tytułem „Jestem zbyt bezradny, żeby to zrobić”.

Jedynek rzeczywiście wyglądał żałośnie – przesuwając miskę jedną łapą, podczas gdy lody topniały w zatrważającym tempie.

– Możemy mu pomóc – rzekł Simon.

– Możesz. Najpierw jednak będziesz musiał się skonfrontować z moją mamą. Ostatecznie stwierdziła, że Jedynek sobie poradzi.

– Ale gdy niedawno wszyscy jedliśmy kolację, pokroiła mi mięso i pomogła mi jeść.

– Wtedy potrzebował pomocy. A to może zrobić sam. – Montgomery przyjrzał mu się z ciekawością. – Czy wy karmicie swoje młode, gdy są już na tyle duże, by jadły samodzielnie?

– Oczywiście, że nie. Muszą się nauczyć polować i bronić swego przydziału jedzenia. – Simon zastanowił się nad słowami Montgomery’ego. – Ale to nie oznacza, że młode nie zachowują się czasem jak szczeniaki i nie próbują nakłonić dorosłego osobnika, żeby zapewnił im łatwy posiłek.

– U ludzi w tym wieku jest tak samo. Jak często dorośli ustępują? – Gdy Simon nie odpowiedział, Montgomery wyszczerzył zęby. – Tak myślałem. Wydaje mi się, że jeśli chodzi o sposób wychowywania dzieci, Wilki mają coś wspólnego z moją matką.

To wyjaśniało, dlaczego Wilki traktują panią Twylę jak przedstawicielkę swojego gatunku, a nie jak człowieka.

Ciągle obserwowali Jedynaka. Położył się i otoczył miskę przednimi łapami. Liznął resztkę lodów, a potem spojrzął na panią Twylę.

Montgomery zaśmiał się cicho.

– Są i wielkie smutne oczy. Lizzy często tak na mnie patrzy. Wtedy trudno mi jej odmówić, nawet jeśli wiem, że skończy się to źle dla nas obojga, ale Mama jest o wiele bardziej asertywna. Każdy wnuk wypróbował na niej to spojrzenie – i każdy poniósł porażkę.

Wreszcie pani Twyla odwróciła głowę i spojrzała prosto na nich.

– Macie zamiar tak się gapić czy wreszcie weźmiecie się do roboty?

– Taki mamy plan – odparł po cichu Montgomery, a następnie podniósł głos, żeby mama go usłyszała: – Mamo, właśnie wychodzimy.

Simon ruszył rynkiem z Montgomerym.

– To ja jestem przywódcą Dziedzińca – mruknął. – To ja tu podejmuję decyzje.

– Oczywiście, że tak. – Montgomery odczekał chwilę. – Masz zamiar jej to powiedzieć?

Simon warknął.

– Może jej też wyśle służbową notatkę?

Porucznik tylko się zaśmiał.



Wieczorem, gdy zamknięte były już wszystkie sklepy na rynku, Vlad udał się na tyły mauzoleum Erebusa Sanguinatiego, gdzie czekali na niego Dziadek i Leetha.

– Za kilka minut będzie tu Simon – powiedział. Wilk był trochę zaskoczony – żeby nie powiedzieć przestraszony – faktem, że zaproszono go na rozmowę do Pokojów. Ostatecznie to był drugi raz w ciągu tylu lat, gdy został wezwany za czarną bramę z kutego żelaza, która wyznaczała granice części Dziedzińca należącej do Sanguinaticich.

– Dlaczego trzeba go w to wciągać? – spytała Leetha.

Vlad przyjrzał się wampirzycy. Przeniosła się do Lakeside, gdy *terra indigena* uciekli z Dziedzińca w Toland; była inteligentnym i pięknym myśliwym, może nie tak dobrym drapieźnikiem, jak Stavros, on czy choćby Nyx, ale i tak śmiertelnie niebezpiecznym.

– Simon Wilcza Straż jest przywódcą tego Dziedzińca – odparł Vlad.

– To po co mieszka tu Dziadek? – W jej głosie zabrzmiało wyzwanie. – Przecież Sanguinati zawsze rządzą Dziedzińcami w ważnych ludzkich miastach. To miasto nie jest tak wspaniałe, jak te na Wschodnim Wybrzeżu, w których panujemy, ale mimo wszystko znajduje się tu główny port Wielkich Jezior.

– Sanguinati wspierają tutejszą Wilczą Straż. – Vlad poczuł, że zaczyna tracić cierpliwość.

– Dość tego – warknął Erebus do obojga młodszych Sanguinaticich, ale zwrócił się do Leethy jako do prowokatorki. – Wiele lat temu postanowiono, że w niektórych częściach Thaisii to zmiennokształtni lepiej się nadają do prowadzenia Dziedzińców, tak samo jak my lepiej się nadajemy do zarządzania dużymi miastami i miastami na wybrzeżach.

– No to dlaczego... – zaczęła Leetha, ale nie dał jej skończyć.

– Być może Sanguinati rządili w Toland tak długo, że zaczęli myśleć o *terra indigena* jako o gatunku podrzędnym, a nie jako o silnych drapieźnikach, których przodkowie wybrali inną postać, żeby lepiej się dopasować do pozostałych drapieźników i zwierzyny. Twoje podejście mnie rozczarowuje, Leetho.

Spojrzała na niego, wyraźnie zaskoczona.

– Ja... ja przepraszam, Dziadku, nie chciałam cię obrazić.

– W takim razie się ucz. Simon i Vladimir się przyjaźnią. Pracują razem, są sąsiadami, walczyli razem. Na Dziedzińcu panuje prawdziwa współpraca, nie tylko umowa, że pracujemy razem, żeby bronić się przed ludzką zarazą, tak jak to ma miejsce w przypadku wielu Dziedzińców. I ta współpraca stworzyła nowe możliwości dla wszystkich *terra indigena*. Teraz Tolya rządzi miastem na Środkowym Zachodzie, w porównaniu z Toland jest to bardzo dzikie i proste miejsce, ale Sanguinati jeszcze nigdy nie mieli takiego punktu zaczepienia w tej części Thaisii – ponieważ Tolya zgodził się współpracować z Wilczą Strażą i innymi zmiennokształtnymi na tym terenie.

– Tak odizolowanym – szepnęła.

Vlad przyjrzał się jej. Czyżby usłyszał strach? Tolya i Sanguinati, których wyznaczył do pomocy w prowadzeniu Bennett i części ważnych interesów w mieście, świetnie dawali sobie radę i zdawali się rozwijać. Ale w przeciwieństwie do Wilków, które z reguły polowały na czworonożne zwierzęta i lubiły mieszkać na dzikich terenach, Sanguinati nadawali się bardziej na drapieźniki miejskie, a ich ulubioną zdobyczą byli ludzie. Polowanie na ludzi przysparzało im sporo trudności, ponieważ w małym miasteczku wszyscy się znali. To dlatego Sanguinati woleli polować w większych ludzkich miastach. Poza tym w takich miastach jego gatunek z reguły nie musiał się konfrontować z *terra indigena*, takimi jak Starsi.

– Jeśli nie potrafisz zaakceptować faktu, że to Simon jest tu przywódcą, może powinnaś zamieszkać w Talulah Falls – ciągnął Erebus. – Teraz rządzi tam Stavros.

– Nie. – Z jej tonu można było wywnioskować, że nie chciała przebywać tam, gdzie Stavros.

Interesujące. Vlad wiedział, że Stavros zgodził się rządzić Talulah Falls, tylko z jednego powodu: chciał być na tyle blisko, by przy najbliższej rui Nyx stać się jej potencjalnym partnerem. Czyżby kiedyś odrzucił zaproszenie Leethy, która najwyraźniej nie była dla niego samicą pierwszego wyboru? A może Stavros, który często żartował sobie z przedstawicieli własnego gatunku, wyczuł, że on i Leetha nie pasują do siebie ani na poziomie psychicznym, ani fizycznym? Poza tym Talulah Falls było jeszcze mniejsze niż Lakeside i o wiele bardziej hałaśliwe – do miasta przeprowadzili się *terra indigena*, a nawet Intuici, żeby dołączyć do pozostałych ludzi i pomóc im w prowadzeniu elektrowni i innych zakładów.

I nagle zrozumiał, że zarówno Stavros, jak i Tolya musieli dostrzec nowe możliwości we współpracy z różnymi – mieszanymi – środowiskami.

Vlad? zawołał Simon. *Jestem przy płocie. Jeśli podczas spotkania mam być w ludzkiej postaci, to muszę znaleźć jakieś ubrania.*

Nie trzeba. Vlad się uśmiechnął, niemal czując na sobie spojrzenie bursztynowych oczu przyjaciela. *To znaczy nie musisz być w ludzkiej postaci. Otworzyć ci bramę?*

Nie trzeba.

Vlad popatrzył na Dziadka Erebusa i oznajmił:

– Przyszedł Simon.

– W takim razie otwórz mu bramę, Vladimirze.

– Nie trzeba.

Płot otaczający Pokoje nie był zbyt wysoki – nie miał powstrzymać przed wtargnięciem na teren – po prostu każdy, kto wszedł tu bez zaproszenia, już stąd nie wychodził. Może jednak skok przez płot miał dać do zrozumienia Leethii, i ewentualnie każdemu wątpiącemu Sanguinatemu, że to Simon jest przywódcą Dziedzińca i respektuje granice, bo tak wybrał.

Dziadku Erebusie.

– Wilcza Straż. – Erebus nieznacznie kiwnął głową.

Meg prosiła, żebym przekazał, że otrzymała dziś katalog z listą filmów na sprzedaż. Jest ich wiele. Jutro przyniesie go razem z dostawami.

Dziadek się uśmiechnął.

Słodka krew dobrze wie, jak lubię oglądać moje stare filmy.

Leetha popatrzyła najpierw na Dziadka, a potem na Simona.

Tak, pomyślał Vlad. Słodka krew łączy nasz świat ze światem Simona. Gdyby nie znalazła się na Dziedzińcu, stosunki między nami nigdy nie byłyby tak dobre. Niektórzy z nas z pewnością nie przetrwaliby ostatnich konfliktów z ludźmi. Niektórzy z nas nie przetrwali mimo jej ostrzeżeń.

– Powiedz Wilczej Straży, czego się dowiedziałaś. – Erebus machnął ręką w stronę Leethii.

– Dzisiaj wczesnym wieczorem kilku naszych śledziło Cyrusa Montgomery’ego. Dworzec autokarowy i przystanki w centrum są doskonałymi terenami do polowań, zwłaszcza po zmroku. Tak samo jak firmy otwarte dłużej, niż zaleca policja. Światła zostają przygaszone, a drzwi zamknięte, ale klienci, którzy przychodzą tuż przed oficjalną porą zamknięcia sklepów, nie są wypraszeni. – Wampirzyca uśmiechnęła się, ukazując kły. – Właściciele z reguły mieszkają nad firmami i nie obchodzi ich, co się stanie z klientami w drodze do domu.

Dlaczego za nim poszliście? spytał Simon.

– Bo go nie lubię.

I poszliście za nim do jednego z takich dłużej otwartych sklepów?

– Tak. Spotkał się tam z czterema mężczyznami. Jutro ma zamiar przeprowadzić rozpoznanie na rynku, żeby potwierdzić, że w ciężarówkach tubylców ziemi będą się znajdować dostawy mięsa. Gdy sklepy zamkną się na wieczór, zadzwoni do tych mężczyzn. Przedostaną się na Dziedziniec, włamią do rzeźnika i ukradną całe mięso. Wy, Wilki, będziecie się wściekać z powodu tej straty, ale przecież zapolujecie na kilka dodatkowych jeleni i po sprawie.

Czy ty masz o nas takie samo zdanie jak oni? – W wyraźny sposób rzucił jej wyzwanie. Wilk nie mógł wygrać walki z Sanguinatim pod postacią dymu, ale Simon musiał usłyszeć w głosie Leethii coś, co kazało mu zareagować.

– Leetho? – Głos Dziadka Erebusa był cichy i przez to jeszcze bardziej przerażający. – Wilcza Straż zadał ci pytanie.

Chwila wahania. Wszyscy wiedzieli, że od jej odpowiedzi zależało to, czy będzie mogła zostać w Lakeside.

– To słowa Cyrusa Montgomery’ego – odparła w końcu. – Wypowiedział je w szyderczy sposób, tak jakbyście nie zasługiwali na szacunek.

Simon się nie poruszył, nie odpowiedział.

– Simonie? – odezwał się Vlad. – Co chcesz zrobić? Jak zamierzasz ich powstrzymać?

Wilk popatrzył na niego dziwnie, nie rozumiejąc, dlaczego Sanguinati miałyby zadawać takie głupie pytania.

Nie będziemy ich powstrzymywać. Zachęcimy ich, żeby jutro coś nam ukradli.

I nagle Vlad zrozumiał, dlaczego Leetha miała problemy z zaakceptowaniem faktu, że to Wilk jest przywódcą Dziedzińca. Obserwowała, jak radził sobie ze stadem samic i z policją. Widziała go z Meg – wtedy był ożywiony i wesoły. Nie rozumiała jednak, dlaczego zdominował silne Wilki, takie jak Blair czy Nathan, nie wiedziała, co oznaczał fakt, że mieszkał wśród nich Żniwiarz, taki jak Tess. Tak naprawdę jeszcze nie poznała Simona.

– Dlaczego? – spytał.

Dopilnujemy, żeby Cyrus dowiedział się o specjalnej dostawie mięsa.

Rozdział 18



Wtorek, 21 sierpnia

Jimmy poczekał, aż ludzie, którzy wyszli na lunch, wrócą do pracy, a następnie poszedł na rynek. Nie chciał wpaść na mamę ani CJ-a. Nie chciał wpaść na żadną z tych suk, które szpiegowały ludzi dla dziwadła. Ale trzy z nich siedziały przy stoliku z parasolem i wpieprzały sałatki, tak jakby to było prawdziwe jedzenie. Rozpoznał dwie mieszkające razem z glinami – Ruth i Merri jakaś tam – nie znał jednak trzeciej, czarnowłosej, która mimo upału miała na sobie luźną bluzkę z długim rękawem.

Wyglądała znajomo, tak jakby widział ją już gdzieś przelotem. Ale nie miało to żadnego znaczenia. Skoro siedziała z tymi dwiema, nie mogło w niej być nic interesującego.

Chciał zerknąć, co tego ranka dowieziono do rzeźnika, żeby móc powiedzieć swojej ekipie, czego może się spodziewać. Nie chciał kupować surowego mięsa. Sandee z pewnością ugotuje je tak, że będzie niejadalne – potrafiła schrzanić nawet zwykłą kanapkę z masłem orzechowym i galaretką – potrzebował jednak

wymówki, żeby pójść do rzeźnika zamiast do Mięsa i Zieleniny czy Czegoś na Ząb.

Wchodząc do rzeźnika, upewnił się, że przy drzwiach nie ma dzwonka, który późno w nocy mógłby narobić niezłego hałasu. Zamek też był bardzo prosty. Nawet Clarence umiałby go otworzyć w mniej niż minutę.

Czekał, ale sprzedawca zdawał się zajęty rozmową z jednym z tych krwiopijców, którzy mieszkali w mieszkaniu nad Cyrusem.

– Dzisiaj będzie specjalna dostawa mięsa. Bardzo rzadko je dostaję. Dlatego nie wywieszam żadnej informacji, tylko mówię o tym wybranym klientom.

– Jak duża będzie ta dostawa? – spytał wampir.

– Nie mam pojęcia. Dlatego nie mogę zagwarantować, że coś z tego dostaniesz, jednak wszystkich zainteresowanych wpisuję na listę.

Wampir spojrzął na Jimmy’ego, a potem odwrócił się z powrotem do sprzedawcy, ale nie zniżył głosu, gdy zapytał:

– Zostawisz trochę tego mięsa dla ludzi?

Sprzedawca zaśmiał się cicho.

– Nie. W ogóle nie mam zamiaru im o tym wspominać. Chyba że zostanie mi coś po zrealizowaniu wszystkich zamówień, wtedy podeślę mięso ludziom. Podejrzewam jednak, że nic nie zostanie.

Wampir skinął głową.

– W takim razie zapisz nas na kawałek. Nie chcę przegapić takich rarytasów.

Po wyjściu wampira Jimmy ledwo zdołał ukryć ekscytację. Specjalne mięso. Rarytasy. O, cholera! Wybrał idealną noc na opróżnienie magazynu rzeźnika.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się szeroko do sprzedawcy. – Chciałbym kupić trochę mięsa na rodzinną kolację.

Sprzedawca machnął ręką w stronę lady.

– To wszystko, co mam. Jeśli masz ochotę na szybki obiad, mam plastry gotowanej pieczeni z sosem. Świeżo robiona dziś rano. Przez człowieka.

Każdego innego dnia próbowałby kupić całą pieczeń, a potem kombinowałby, jak sprzedać połowę na czarnym rynku, jednak teraz nie chciał, by dziwadła za bardzo się na nim skupiły – i żeby pobiegły do CJ-a albo tego sukinsyna, Burke’a, ze skargą, że nabył więcej mięsa, niż można zjeść podczas jednego posiłku.

– W takim razie poproszę trzy plastry – powiedział, a gdy sprzedawca uniósł ze zdziwieniem brwi, w których było więcej brązowych piór niż włosów, dodał: – Dzieciaki nie dadzą rady zjeść więcej niż połowę porcji, bo dostaną do tego dużo warzyw.

Trzy plastry pieczeni zostały przełożone do jednego z tych pojemników, które klienci mieli umyć i zwrócić do sklepu. A potem Jimmy zapłacił i wyszedł.

Całą drogę szedł spokojnie i radośnie, pomachał nawet do trzech suk, które właśnie kończyły jeść.

Gdy wrócił do mieszkania, Sandee nie było, szczeniaków też nie, więc podgrzał sobie plaster pieczeni, a potem jeszcze pół. Zjadł, a resztę schował do lodówki. Następnie usiadł na tarasie. Czekał, aż zapadnie zmrok.



Meg powiesiła bluzkę z długim rękawem na zapleczu biura łącznika i poszła do łazienki, żeby obmyć twarz zimną wodą, umyć zęby i się wysikać. Nauczyła się, że przy Wilkach nie ma sensu używać eufemizmów. Gdy tylko Nathan wróci z przerwy, zacznie węszyć na zapleczu i będzie umiał precyzyjnie stwierdzić, co robiła, po co więc w ogóle coś mówić? Raz spróbowała czegoś w stylu „idę przypudrować nos”, ale potem każdy Wilk podchodził do niej, żeby powąchać, co ma na twarzy.

Nawet z pomocą Merri Lee i Ruth nie potrafiła przekonać Wilków, że nie ma na nosie żadnego pudru, aż wreszcie Simon potwierdził, że w niektórych sklepach „pudrowanie nosa” oznacza tyle, co sikanie. A potem Katherine Debany wszystko zepsuła, gdy tego samego wieczoru rzeczywiście wyciągnęła z torebki puderniczkę i na oczach Elliota zaczęła się pudrować. Oczywiście Elliot poinformował o tym Blaira i Nathana – i Simona – i akcja pod tytułem „daj mi powąchać swoją twarz” zaczęła się na nowo.

Znalazła Nathana w pomieszczeniu z przodu, wyciągniętego wygodnie na swoim posłaniu. Ziewnął szeroko, ukazując wszystkie zęby. Nie dała się nabrać. Wiedziała, że tylko wygląda na rozleniwionego. Każdy dostawca, który zachowałby się niestosownie, natychmiast przekonałby się, że Wilki potrafią błyskawicznie się poruszać – i że te zęby mogą wyrządzić ogromne szkody.

– Świeży królik – przetłumaczyła Meg. – Pycha. – A potem, przypomniawszy sobie, że Wilk mógłby źle zinterpretować jej słowa i potraktować je jak prośbę, dodała: – Pycha dla ciebie.

Szybko podniósł jedną łapę i pomachał nią w charakterystyczny sposób, tak jakby skakała.

– Świeży królik – przetłumaczyła Meg. – Pycha. – A potem, przypomniawszy sobie, że Wilk mógłby źle zinterpretować jej słowa i potraktować je jak prośbę, dodała: – Pycha dla ciebie.

Wróciwszy do sortowni, zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić z wolnym popołudniem. Wreszcie nadszedł czas na dostawy. Poczta była już posortowana i wydana kucykom; paczki leżały na wózku, więc mogła ładować je do PNK. Miała też książki z biblioteki dla dziewczyn znad jeziora.

Wypuściła głośno powietrze. Mogłaby napisać do Jean, Nadziei czy Barb Debany, a może nawet do Jesse Walker ze Złotej Prerii. Mogłaby przeczytać jedną z książek wypożyczonych z biblioteki. Zwykle myślenie o takich rzeczach sprawiało jej przyjemność, teraz jednak czuła się zmęczona i niespokojna. Żadnego

mrowienia ani ostrzegającego drętwienia. To było bardziej subtelne uczucie, ale tym bardziej odczuwała niepokój.

Wyjęła z szuflady skrzynkę z kartami prorocत्व, otworzyła ją i delikatnie dotknęła kart opuszkami palców. Nie miała jednak żadnego pytania – nie wiedziałyby nawet, o co mogłaby spytać. Opowiedziała Nathanowi o swoim lunchu, on opowiedział jej o swoim i...

Nagle, ostre mrowienie w palcach. Zamknęła oczy i wybrała karty, nad którymi mrowienie było najintensywniejsze. Odwróciła karty w kolejności, w jakiej je wyciągnęła.

Popatrzyła na to, co wylosowała. I natychmiast zadzwoniła do Merri Lee.

– Możesz wpaść do mnie na kilka minut? To bardzo ważne.

– Mam klienta. Przybiegnę, gdy tylko skończę.

Kilka minut później wpatrywały się w trzy karty leżące na stole do sortowania.

– Jak brzmiało pytanie? – odezwała się Merri Lee.

– Nie wiem. Gdy wybieram karty, zawsze oznaczają one podmiot, akcję i skutek.

– Wszystkie trzy przedstawiają jedzenie. Na jednej widać stół pełen chleba, nabiału i misek z owocami; na drugiej jest uczta z gotowanymi mięsami i warzywami; na trzeciej – zwierzęta, których mięso jest uznawane za jadalne. – Merri Lee zmarszczyła czoło. – Czy nadal czujesz mrowienie?

Meg pokręciła głową.

– Ale wydarzy się coś, co ma jakiś związek z jedzeniem.

– Chyba jednak nie z jego brakiem. – Zdenerwowana, Meg odetchnęła głęboko. – Może masz napad głodu przez PMS? – drażyła Merri Lee. – Może dlatego skupiłaś się na jedzeniu? Ja w tych dniach zawsze mam ochotę na czekoladę, pizzę i słone przekąski. Oczywiście potem piję dużo wody – i mój organizm zatrzymuje dużo wody – i mnie wzdyma, przez co staję się zrzędliva. – Spojrzała wyczekująco na przyjaciółkę.

Meg rozważyła jej słowa, a potem pokręciła głową.

– To chyba nic ważnego. Ale na wszelki wypadek opowiem o tym Simonowi. Może on to zrozumie.



Opowiedziała Simonowi o kartach zaraz po powrocie do domu. Widziała, że zrozumiał to, co pokazały. Zmartwiło ją spojrzenie jego bursztynowych oczu i fakt, że nie chce jej powiedzieć, o co chodzi. I po raz pierwszy warknął na nią, gdy chciała wydobyć z niego jakieś wyjaśnienia. Powiedział, że to nie jej sprawa.

To też ją zmartwiło.

Ale najbardziej zmartwił ją fakt, że gdy obudziła się w nocy, Simona nie

było.



Wszystko szło jak w zegarku. Czterej mężczyźni zaparkowali samochód na parkingu obok Jelenia i Zająca, a potem przeszli przez ulicę Główną do miejsca dostaw. Stamtąd przeszli na rynek, cały czas trzymając się blisko sklepów, zamiast iść przez pusty obszar pośrodku.

Zakradli się do wnętrza sklepu mięsnego, znaleźli chłodnię i przez chwilę gapili się, sparaliżowani ilością i różnorodnością mięsa – tac z wołowiną, stekami i pieczeniami. Na innych tacach leżały kotlety, szynki, kiełbasy, bekon i żeberka.

Każdy z nich przyniósł wielki prostokątny chłodzony plecak. Wieczorem było niemal tak gorąco jak w dzień, a oni nie chcieli, by mięso zaczęło się psuć, jeszcze zanim zdążą przepakować je do własnych lodówek czy sprzedać najlepsze kęski.

Jimmy Montgomery był pewnym siebie, aroganckim kutasem, który uważał się za nie wiadomo kogo, tylko dlatego że mieszkał w Toland, tak jakby zorganizowanie włamania tam wymagało większych umiejętności, niż zorganizowanie włamania w Lakeside. Poszedł do baru, zamówił sobie drinka i usiadł przy ich stoliku, tak jakby ktoś go zapraszał. Zaczął gadać o tym, że potrzebuje ludzi do wykonania prostej pracy – takiej, która gwarantuje jedzenie. Czy to nielegalne? Oczywiście, że nie. Na Dziedzińcu ludzkie prawo nie obowiązuje, jak więc cokolwiek może być tam nielegalne?

Po zamknięciu sklepów w dzielnicy przemysłowej nie było żadnych straży ani wartowników. Owszem, wychodzenie w noc mogło być niebezpieczne, ale jeśli się wybrało odpowiedni moment, można było uniknąć nawet patrolujących glin, trzymających się swoich komisariatów do czasu, aż zostaną gdzieś wezwani.

Wybrał odpowiedni sklep, poszedł tam i powiedział im, jaki jest zamek i że przy drzwiach nie ma dzwonka. Potwierdził, że niedługo będzie dostawa mięsa z jednej z farm tubylców ziemi. Podał nawet sensowną przyczynę tego, że z nimi nie pójdzie. Oczywiście jego „prowizja” będzie obniżona, ponieważ nie ryzykował złapania. Nie żeby się spodziewali jakichkolwiek problemów.

Wypełnili plecaki najlepszym mięsem, zostawili kiełbasy, bekon, pieczenie i szynki, które już się nie zmieściły. Nie znaleźli specjalnego mięsa, o którym wspominał Jimmy, ale nie miało to większego znaczenia. Mieli wszystko, czego chcieli, a nawet więcej.

Tak, wszystko szło jak w zegarku. Do chwili, w której wyszli ze sklepu i zobaczyli czekające na nich wampiry i Wilki.



Z walącym sercem Monty wyszedł z łóżka, otworzył szufladę w nocnym stoliku i wyjął broń wraz z całym osprzętem. Potem po cichu podszedł do

moskitiery i zaczął nasłuchiwać.

Usłyszał coś, na co jego wytrenowany organizm zareagował, gdy Monty jeszcze nie do końca był świadomy tego, co się dzieje. Krótki krzyk – wysoki i pełen przerażenia. Teraz jednak... cisza.

Otworzył moskitierę i wyszedł na taras.

Wokół było głucho. Większość ludzi słuchała ostrzeżeń ze strony policji na temat konieczności wracania do domu przed północą, tak więc o tej porze na drogach nie było żadnych samochodów – poza pojazdami służbowymi. Ale to, co usłyszał, z pewnością nie było syreną.

Otworzyły się jakieś inne drzwi. Złapał jedną ręką poręcz, pochylił się do przodu i spojrzął na taras na drugiej kondygnacji w sąsiednim budynku.

Kowalski – w spodenkach od piżamy. Coś w jego postawie mówiło Monty'emu, że partner również wyjął pistolet w odpowiedzi na... Na co?

Poniżej otworzyły się kolejne drzwi. Nie widział ich, wiedział jednak, że to Debany. A więc każdy z nich coś usłyszał.

Monty gwizdnął cicho; wystarczyło, żeby Kowalski odwrócił się w jego stronę. Na chwilę zniknął w mieszkaniu. Monty zobaczył go minutę później. Szedł przez trawnik przed budynkiem w jego stronę i rozmawiał przez telefon komórkowy.

– Tak. Tak. Dam znać.

Gdy się rozłączył, Monty spytał cicho:

– Słyszałeś to? – Nie chciał obudzić Lizzy; okno jej sypialni na końcu tarasu było otwarte.

Kowalski pokiwał głową.

– Michael też. – Rozejrzał się wokół. – W żadnym domu na ulicy nie pali się światło, nie zauważyłem nic niepokojącego. Cokolwiek to było, nie wzbudziło podejrzeń strażników Dziedzińca.

Monty podszedł na koniec tarasu. Zobaczył na dachach dwie Sowy; miały świetny widok na całą okolicę.

– To mógł być królik – rzekł Kowalski. – Krzyczą, gdy się je zabija.

Tak. Ale króliki nie były jedynymi stworzeniami, które krzyczą, gdy się je zabija.

– Ja i Michael moglibyśmy rozejrzeć się po okolicy.

– Nie. O tej porze żaden z nas nie będzie chodzić wokół Dziedzińca. – Serce Monty'ego nadal waliło jak szalone. Miał ochotę pójść na drugą stronę korytarza i zacząć walić w drzwi Jimmy'ego, żeby go obudzić. O ile Jimmy w ogóle otworzyłby mu. – Nie – powtórzył. – Nie zostaliśmy wezwani. Ale jutro musimy mieć oczy szeroko otwarte.

– Tak, sir. Dobranoc.

Kowalski poszedł jeszcze do drugiego budynku, żeby porozmawiać

z Debanym. Kilka minut później wrócił do siebie. Zamknął drzwi. Wokół panowała idealna cisza.

Monty schował broń z powrotem do szuflady, tak by mieć ją pod ręką do czasu, aż wstanie nowy dzień i włoży ją do schowka. Wyciągnął się na łóżku, ale nie miał zamiaru spać. Dopiero po długim czasie zmorzył go niespokojny sen, pełen strasznych wizji tego, co może przynieść poranek.

Rozdział 19



Środa, 22 sierpnia

Meg szła w stronę Zielonego Kompleksu, w którym znajdowały się poczta, pralnia i pomieszczenia socjalne oraz łuk prowadzący do garaży. Następnie skręciła w przeciwnym kierunku i zrobiła kilka kroków w stronę drzwi mieszkania Simona.

Nie wrócił w nocy. No dobrze, wrócił. Zostawił liścik na kuchennym stole i napisał, że musi iść wcześniej do pracy, tak więc Meg musi jechać do pracy bez niego. Ale rano obudziła się sama. Nawet jeśli wrócił w nocy, żeby się przespać, to nie przyszedł do niej.

Czyżby zdenerwowała go czymś? Czy mogła go o to spytać? Czy powiedziałby jej? Czy tak właśnie czuje się człowiek po zerwaniu z kimś, kogo... Co? Na kim mu zależy? Kogo kocha? Skąd mogła wiedzieć, co czuje do Simona? Jeszcze nigdy nie czuła czegoś takiego. A teraz była przerażona, samotna i zagubiona.

To, co było między nią a Simonem, było czymś innym niż na przykład uczucie między Merri a Michaeliem. Ich związek nie był taki, jak opisywały

romantyczne powieści. Był skomplikowany, ale nie było w nim nieporozumień – o których, jak twierdziły Merri i Ruth, o wiele zabawniej czytać, niż przeżywać je w rzeczywistości. Nie wszystkie związki się udawały. A czasami ludzie byli skołowani i niepewni swoich uczuć i tego, co chcą dać i wziąć od drugiej osoby.

Może to było normalne? Może Simon po prostu potrzebował nocy, żeby wyjść z innymi Wilkami i pozajątwiać wilcze sprawy? Ona nie mogła tego z nim zrobić.

– Patrzysz na coś, ale z pewnością nie na mnie.

Meg gwałtownie nabrała powietrza.

– Nie podkradaj się tak do mnie! – zrugła Jester.

Kojot patrzył na nią uważnie.

– Wcale się nie podkradałem. Normalnie podszedłem. Myślałem, że mnie widzisz. To nie moja wina, że patrzyłaś na coś, czego tu nie ma. – Przyjrzał się zamkniętym drzwiom mieszkania Simona, a potem jeszcze raz spojrzął na Meg. – Na co patrzyłaś?

Poczuła, jak jej twarz oblewa rumieniec.

– Na nic.

– Aha. Czyli pewnie chodzi o jakieś ludzkie sprawy. My, gdy jesteśmy tak skupieni, to zawsze na coś patrzymy.

– Muszę iść do pracy, ale najpierw wstąpię na śniadanie do Czegoś na Ząb. – Może Tess będzie wiedziała, dlaczego Simon musiał tak wcześnie wyjść do pracy.

– Śniadanie już jadłem, ale chętnie wypiłbym jeszcze kubek herbaty z traw.

– Coś w spojrzeniu Jester i w sposobie, w jaki oblizwał usta, gdy mówił o śniadaniu, sprawiło, że Meg poczuła się niepewnie.

– Zjadłeś królika? Albo szczura? – Wiedziała, że większość mieszkańców Dziedzińca jada króliki i szczury na zmianę, w zależności od tego, co udało się złapać. Ona jednak była człowiekiem i po tym, jak spróbowała mięsa jednego zwierzęcia, nie miała ochoty próbować mięsa kolejnego.

– Nie, nie królika.

To spojrzenie – przypomnienie, że jest drapieżnikiem tak samo jak reszta *terra indigena* mieszkających na Dziedzińcu.

– Jedziesz do pracy? – Jego głos – i wygląd – przypominał już bardziej Jester, którego znała.

Ponieważ wziął ją pod łokieć i pociągnął w stronę łuku i garaży, chyba nie oczekiwał od niej odpowiedzi. Tak naprawdę żadne z nich nie odezwało się ani słowem, dopóki nie przeszli obok rynku i nie zobaczyli znaków „Brak przejazdu”, przymocowanych do stołków do piłowania drewna, porzastawianych na wszystkich drogach dojazdowych do sklepów.

– Czy wczoraj w nocy coś się wydarzyło? – zapytała Meg w tym samym momencie, gdy dostrzegła Nathana, Vlada, Blaira – i Simona – wychodzących ze

sklepu mięsnego.

– Och, ktoś narobił bałaganu – odparł Jester. – Wydaje mi się, że Stowarzyszenie Przedsiębiorców postanowiło zamknąć rynek na kilka godzin, żeby posprzątać.

– Jakiego bałaganu?

– Tego nie mogę zdradzić – a ponieważ nie chcę mieć kłopotów, to nie pytaj mnie, proszę, o to po raz drugi.

Jester nie chce kłopotów? Kto mógł zastraszyć Kojota, który pilnował stada Żywiołów? Poza samymi Żywiołami Meg przychodziło na myśl kilka istot. Przede wszystkim Simon. Ale też Henry, Vlad i Tess. A nawet pan Erebus. Ponieważ jednak Jester był przyjacielem, nie ponowiła pytania.

Gdy dotarli do garaży za biurem łącznika, Jester wyskoczył z PNK i otworzył przed Meg drzwi garażowe. A potem, nie czekając na nią, poszedł do Czegoś na Zęb.

Straciła apetyt – nie żeby od chwili przeczytania liściku od Simona była jakoś szczególnie głodna – ale wzięła torebkę i worek z PNK i ruszyła w stronę tylnego wejścia do biura łącznika. Właśnie otwierała drzwi, gdy zobaczyła Kowalskiego. Szedł w jej stronę. Miał na sobie służbowy mundur.

– Cześć, Meg. – Uśmiechnął się, ale wyglądał na zdenerwowanego. Potem spojrzął na drugą kondygnację jej budynku. – Nie wiesz może, czy jest tu agent O’Sullivan? A jeśli tak, to czy jest sam?

– Wydaje mi się, że nadal przebywa w Dyspozytorni – odparła. – Czy jest sam? Masz na myśli to, czy jest z kobietą? – Greg O’Sullivan zdawał się desperacko pragnąć kobiecego towarzystwa, ale jeśli jakieś miał, to prawdopodobnie właśnie w Dyspozytorni. Poza tym doskonale znał zasady przyprawiania kogokolwiek na Dziedzinię bez otrzymania pozwolenia od Simona czy Vlada. Nie wyobrażała sobie, że odważyłby się zrobić coś, przez co jego przyjaciółka mogłaby stracić życie.

– Bycie agentem Biura Śledczego nie oznacza, że człowiekowi odechciewa się migdalić.

– Migdalić? Jakie dziwne słowo...

Kowalski uśmiechnął się szeroko.

– Ty i Simon moglibyście kiedyś tego spróbować. – Meg nie mogła przytaknąć ani zaprzeczyć, dopóki się nie dowie, co to oznacza. Po chwili twarz Kowalskiego spochmurniała. – Spytałem, bo na parkingu przy Jeleniu i Zającu zauważyłem vana. To może być jakaś wcześniejsza dostawa do któregoś z budynków po tej stronie ulicy. Ale jeśli należy on do czyjegoś przyjaciela, który został na noc bez pozwolenia...

– To zachęciłbyś tego kogoś do zaprzestania migdalenia się i wyjścia na śniadanie, zanim ktoś coś zauważy?

– Coś w tym stylu.

Jego odpowiedź nie dała jej żadnej wskazówki odnośnie do tego, o co może mu chodzić, więc zaczęła w myślach przeglądać różne obrazy z treningów, żeby spróbować to zrozumieć. Może to było coś jak bingo? Nie potrafiła jednak wyobrazić sobie, że ktoś mógłby zaryzykować gniew Simona – albo konfrontację z zębami Blaira – tylko po to, by przez całą noc grać w bingo.

Kowalski kiwnął głową w stronę rynku.

– Wiesz coś o tym?

– Jester powiedział, że ktoś narobił bałaganu.

Na chwilę zeszywniał, a potem spróbował sprawiać wrażenie zaciekawionego, a nie zmartwionego sytuacją.

– Bałaganu? Ktoś zniszczył sklepy?

– Nie wiem. Gdy tamtędy przejeżdżałam, wyglądało na to, że pracowali na otwartym terenie, a nie w sklepach. Będziesz musiał spytać Simona albo Vlada. Jeszcze kilka minut temu nie miałam o niczym pojęcia. – Przyjrzała mu się. – Karl? Czy coś się stało? – Nagle poczuła się niepewnie – tak samo jak pod wpływem spojrzenia Jester.

– Prawdopodobnie nie. Ale jak to mawia kapitan Burke, próbujemy sprawić, żeby wszystko szło gładko. – Uśmiechnął się. – Moja kolej na przyniesienie kawy, więc lepiej już pójść.

Miała wrażenie, że w chwili, w której odwrócił się w stronę Czegoś na Ząb, automatycznie przestał się uśmiechać. Miała wrażenie, że Kowalski – tak jak Jester – wiedział więcej, niż chciał powiedzieć.

Miała też bardzo złe przeczucie, że powinna wiedzieć, co zeszłej nocy wydarzyło się na rynku.



Gdy Simon wyszedł od rzeźnika, zobaczył Meg przejeżdżającą obok w PNK. Przez chwilę ucieszył się na jej widok, potem jednak poczuł się zaniepokojony. Winny.

– Boone myje gablotę tak dokładnie, jak zrobiliby to ludzie. – Henry stanął obok niego. – Gdy skończy, wyłoży pozostałe mięso.

– Nie. To mięso pójdzie do Mięsa i Zieleniny, żeby ugotowano tam odpowiednie dania.

– Wtedy Boone nie będzie miał nic do sprzedania aż do następnej dostawy mięsa z farm – zaproponował Henry. Odczekał chwilę. – Przecież z ukradzionym mięsem nie stało się nic złego. Nie przebywało poza chłodnią na tyle długo, żeby zaczęło się psuć.

– To mięso nadaje się dla nas, lecz nie dla ludzi.

– Ale gdy ludzie kupują je u rzeźnika i zanoszą do domu, to trwa o wiele

dłużej niż...

Simon się zawahał. Henry miał rację. W tak krótkim czasie mięso nie zdążyło się popsuć i nie było powodu, żeby w ogóle wspominać ludziom o tym, że przez jakiś czas było poza chłodniami. A potem wyobraził sobie, że przynosi do domu którąś z tych pieczeni dla Meg, i pokręcił głową, bo nie potrafił wyjaśnić swoich uczuć nawet przed sobą. Wołowina i wieprzowina może nie były popsute w sposób, jaki uczyniłby je niejadalnymi dla ludzi, ale kradzież i tak je popsuała.

– Może to nie będzie krowa czy świnia, ale Boone z pewnością będzie miał coś na sprzedaż dla każdego, kto zechce kupić trochę mięsa.

Wszyscy w Zielonym Kompleksie mieli po trochu mięsa, a w każdej zamrażarce w innych kompleksach znajdowały się paczki z mrożoną bizoniną z roczniaka, którego zabili kilka tygodni wcześniej. *Terra indigena* nie potrafiłoby zrozumieć, dlaczego wołowina i wieprzowina, które zostały wyniesione od rzeźnika, nie mogły zostać umieszczone z powrotem w sklepie, żeby Boone mógł je sprzedać, ale większość z nich z pewnością doszłaby do wniosku, że z jakichś względów to mięso zdenerwowałoby Meg i stado samic, więc w zamian za nie daliby Boone'owi bizoninę.

Ale Meg nie lubiła bizoniny. Może gdyby nie był tak najedzony, mógłby upolować królika tylko dla niej. Albo zadzwonić do Steve'a i sprawdzić, czy w którymś ze sklepów w Przystani Przewoźników udałoby się kupić trochę wołowiny czy nawet kurczaka.

Najpierw pomyślał o Meg, a potem o tym, dlaczego był tak najedzony, i warknął.

– To byli intruzi. Złodzieje. Żli ludzie. Przecież nie zjedliśmy żadnego z jej przyjaciół.

– Owszem, byli intruzami i złodziejami – zgodził się Henry. – A to uczyniło z nich wrogów. I mięso.

Simon poczuł na sobie ostry wzrok Henry'ego. Miał wrażenie, że ma ochotę walnąć go swoją ciężką niedźwiedzią łapą.

– Simonie, nie jesteś człowiekiem. – Henry warknął cicho. – I nigdy nim nie będziesz. A ci, którzy są ludźmi, zawsze będą też mięsem.

– Nie wszyscy. Już nie.

Z drugiej strony sposób, jaki – za porozumieniem z Vladem, Henrym i Tess – wybrał, żeby ukarać złodzieja, z pewnością zdenerwowałby wszystkich ludzi. Poczul, jak coś się w nim zmienia, a potem znika.

Nie był człowiekiem. Nigdy nie będzie człowiekiem. Ale czy był jeszcze prawdziwym Wilkiem *terra indigena*?



Gdy Lizzy weszła do domu Denbych, żeby zjeść śniadanie z Sarah

i Robertem, Monty i Pete Denby dołączyli do Kowalskiego i Debany'ego w miejscu, w którym krzyżowały się chodnik i przejście dla pieszych.

– Zeszłej nocy coś się wydarzyło i wydaje mi się, że to jeszcze się nie skończyło – rzekł Kowalski, wyciągając stojak na kawę, tak by każdy mógł wziąć sobie po kubku. – Meg nie wie, ale wie Tess. Ma czerwono-zielone włosy, skręcone tak intensywnie, że wyglądają jak żywe. I spojrzała na mnie w taki sposób... – Zadrżał. – Jakby na coś czekała.

– Co powinniśmy zrobić? – spytał Pete.

Monty zastanowił się nad tym pytaniem i nad sytuacją swoich ludzi. Kowalski był już w mundurze, gotowy do pracy. Debany miał na sobie koszulkę i dżinsowe krótkie spodenki, ponieważ oficjalnie jego zmiana zaczynała się później.

– Karl, chcę, żebyś przez jakiś czas trzymał się blisko Dziedzińca i wszystko obserwował. – Monty zerknął w stronę budynku, w którym mieszkał, a potem poczekał, aż Kowalski kiwnie głową na znak, że wie, kogo obserwować. – Michael, ty idziesz na służbę jak zwykle, ale cały czas miej przy sobie telefon komórkowy, na wypadek gdyby Karl potrzebował wsparcia. – Popatrzył na Pete'a. – Reszta niech się zachowuje jak zwykle.

– Myślisz, że dzieci mogą bezpiecznie iść do szkoły? – spytał Pete.

– Wydaje mi się, że dziś będzie to dla nich najbezpieczniejsze miejsce.

Montgomery wyjął telefon komórkowy, zadzwonił na komisariat przy Orzechowej i poprosił, by pojechał po niego jakiś kierowca. Porozmawiał również z kapitanem Burke'em i opowiedział mu, co ustalił do tej pory.

Stali przy chodniku, pili kawę i rozmawiali po cichu, by nikt ich nie podsłuchał.

– Jeśli radiowóz cały czas będzie się kręcił przy kamieniach, Jastrzębie czy Wrony zauważą go i zgłoszą – rzekł Kowalski. – Może kapitan Burke mógłby porozmawiać z kapitanem z patrolu konnego i poprosić, by sprawdzili przy kamieniach. Patrolują park, więc nie będzie to dziwnie wyglądać.

Pete popatrzył na trzech policjantów.

– Jest jakiś patrol konny? Ludzie na koniach?

– W Toland taki był – zauważył Monty. – I dzielnicowi też.

– Tutaj policjanci na koniach patrolują głównie park i teren uniwersytetu, a dzielnicowi są w centrum – rzekł Kowalski.

– Burmistrz i policja chcą rozwijać takie patrole, żeby oszczędzać benzynę. – Monty pomyślał o Janie Panicci, młodej kobiecie, która pojechała do Bennett, żeby zostać zastępcą szeryfa, bo w mieście kontrolowanym przez ludzi nie mogła zostać policjantką. Teraz patrolowała ulice na koniu i z sześciostrażalowcem w kaburze. Zastanawiał się, jak się dogaduje z szeryfem, który był Wilkiem.

Oficer Daniel Hilborn zaparkował na jednym z miejsc przy ulicy.

– Będę jechał – rzekł Monty. – Sprawdzę przy kamieniach. Jeśli nic nie znajdę, porozmawiam z kapitanem Burke'em o pomocy w obserwacji tego miejsca.

Wsiadł do radiowozu i poprosił Hilborna, żeby pojechali do kamieni. Było to miejsce w parku po drugiej stronie Dziedzińca, gdzie zostawiano dokumenty i inne rzeczy osobiste ludzi, którzy weszli na Dziedziniec bez pozwolenia. W takiej sytuacji było wiadomo, że nie zostanie znalezione żadne ciało, więc policjanci mogli wypełnić formularz ZMN, niezbędny rodzinie do otrzymania aktu zgonu jedynie na podstawie pozostawionego przy kamieniach dowodu tożsamości.

W miejscu, w którym myśliwi stali w noc zabójstwa Daphne Wilczej straży i polowania na Sama, nic jednak nie zostało znalezione. Między kamieniami nie było żadnej informacji. Ani portfela, ani kluczy, ani karty przydziału, ani prawa jazdy. Niczego.

Monty wrócił do radiowozu i zadzwonił do swojego partnera.

– Sprawdziłem numery rejestracyjne – rzekł Kowalski po tym, jak opowiedział Monty'emu o vanie pozostawionym na parkingu przy Jeleniu i Zającu. – Sprawdziliśmy schowek. Żadnego dowodu ubezpieczenia czy dowodu rejestracyjnego auta. Ale drzwi od strony pasażera były otwarte.

– Jeśli właściciel nie pojawi się w ciągu kilku minut, zaholujcie samochód na komisariat.

– Tak, sir.

Monty dopiero po chwili się zorientował, że oficer Hilborn go obserwuje.

– Dokąd jedziemy, sir? – spytał Hilborn.

Skoro ma się samochód, to dlaczego miałyby się nie zamykać wszystkich drzwi? I dlaczego kierowca miałby wysiąść od strony pasażera? Były jednak sposoby na niepozostawienie śladów w samochodzie – otwarte okno, żeby wpuścić świeże powietrze, odpowietrzniki i pewnie jeszcze inne sposoby, których nie znał. Dostęp stanowiła każda szpara, przed którą mógł wlecieć dym. W ten sposób bardzo prosto było usunąć każdy przedmiot mogący zidentyfikować daną osobę. Bardzo łatwo było wysiąść potem drzwiami od strony pasażera i zabrać ze sobą przedmioty.

Bardzo łatwo było też zamknąć drzwi od strony kierowcy i otworzyć te od strony pasażera. Czy było to przeoczenie, czy celowe działanie?

– Wracamy na komisariat – rzekł Monty. – Chciałbym jednak, żebyś w każdej chwili był gotowy na kolejny wyjazd.

– Tak, sir.

Związani z Dziedzińcem ludzie musieli zachować pozory zwyczajnego dnia – aż do chwili, w której przestanie on być zwyczajny.



Meg zamknęła niemal wszystkie drzwi. Ze względu na wczesną porę nie

było jeszcze Nathana, który mógłby mieć wszystko na oku – łącznie z nią. Zwłaszcza ją.

Wróciła do stołu w sortowni i wzięła srebrną składaną brzytwę. Na jednej stronie rękojeści znajdowały się piękne liście i kwiaty. Druga strona była płaska i miała wygrawerowany napis *cs759*.

To była jej nazwa, przez dwadzieścia cztery lata było to coś najbliższego jej sercu.

Nikt nie chciał powiedzieć jej, co się dzieje, ale brzytwa z pewnością jej to wyjaśni. Poza tym, że nie czuła żadnego mrowienia, które wskazałoby jej część ciała odpowiednią do nacięcia.

Sfrustrowana, schowała brzytwę do kieszeni, otworzyła szufladę i wyjęła skrzynkę z kartami prorocत्व. Rozłożyła na stole wszystkie karty, łącznie z najnowszą talią, będącą tak naprawdę grą dla dzieci z prostymi ilustracjami. Zaczęła przesuwając nad nimi palcami w przód i w tył.

Potrzebowała pytania.

Dobłą stroną przepowiadania przyszłości z kart było to, że mogła zadać tyle pytań, ile chciała. Gdy nie otrzymała odpowiedzi za pierwszym razem, mogła spróbować jeszcze raz. Nadal jednak potrzebowała jakiegoś punktu zaczepienia i nie wiedziała, w jaki sposób sformułować pytanie.

Zeszłej nocy na rynku coś się wydarzyło. Czy to już się skończyło, czy w związku z tym wydarzy się coś jeszcze?

Poczuła mrowienie w opuszkach palców, a potem pieczenie, gdy dotykała kart.

Raz, dwa, trzy. Podmiot, akcja, skutek.

Odwróciła karty. Zakapturzona postać z kosą. Radiowóz jadący ulicą z włączonym kogutem. Dziko wyglądający mężczyzna szarpiący za kraty więziennej celi.

Wzięła do ręki ostatnią kartę i zmarszczyła czoło. Twarz z obrazka pochodziła z rysunkowej talii dla dzieci, a nie z talii miejskiej czy do przepowiadania przyszłości. Odwróciła ją, by spojrzeć na koszulkę. Pracowała z kilkoma taliami, żeby złożyć z nich jedną talię kart prorocत्व, które mogłyby być wykorzystywane przez *cassandra sangue*, ale po koszulce z tyłu rozpoznawała, która karta należała do której talii.

Karta wyleciała jej z ręki. Gdy ją podniosła i odwróciła, zrozumiała, że karty się skleiły i wylusowała dwie.

Na tej drugiej był znak z napisem: „NIEBEZPIECZEŃSTWO!”.

– Średnio mi to pomaga – wymamrotała. – Jakie niebezpieczeństwo? Kto jest w niebezpieczeństwie?

Poczuła delikatne mrowienie na języku i jednocześnie bardzo silne w opuszkach palców. A potem przez chwilę jej umysł stał się pusty. Nie, nie pusty,

tylko... jakby ukryty za zasłoną.

Zamrugła i oparła dłonie o stół.

To było dziwne. Nie poczuła euforii, która z reguły oddzielała umysł wieszczek krwi od obrazów, które widziały, teraz jednak Meg z całą pewnością ją poczuła.

Przyjrzała się swoim dłoniom w poszukiwaniu jakiegoś skaleczenia czy ukłucia, które mogło krwawić, a potem przycisnęła język do podniebienia. Żadnych ran, żadnych cięć, żadnego bólu.

Nadal jednak na stole leżały odwrócone trzy dodatkowe karty.

Na pierwszej widniał las, ukazany z takiej perspektywy, jakby ktoś szedł między drzewami w stronę łąki oświetlonej promieniami słońca. Na drugiej był nagrobek. Na trzeciej – lustro.

Z trudem przełknęła ślinę i pożałowała, że zadała jakiegokolwiek pytanie.

W jakiś sposób to, co się wydarzyło na rynku, ma doprowadzić do nagrobka w lasach. A kto był w niebezpieczeństwie... No cóż, kogo się widziało, gdy się spoglądało w lustro?

Schowała karty do skrzynki i zatrzaskała w szufladzie. Proroctwo, nawet to, które nastąpiło po cięciu skóry, nigdy nie dawało stuprocentowej pewności. A ona nadal nie do końca wiedziała, w jaki sposób należy używać kart i właściwie je interpretować. Poza tym, jeśli cały czas zadawała pytania i odwracała karty w poszukiwaniu odpowiedzi, skąd mogła wiedzieć, które z pytań są tymi właściwymi?

No i jeszcze to niepokojące doświadczenie z osłoniętym umysłem, ale bez euforii.

Może powinna się spotkać z Theral i zapytać, czy Emily Faire, praktykantka w gabinecie lekarskim, dziś przyjmuje. Spisałaby to wszystko dla doktora Lorenza, ponieważ to on pracował dla Biura Śledczego. Niech sprawdzi, czy u *cassandra sangue* wszystko w porządku. Właśnie tego powinna chcieć się dowiedzieć.

Stres czy niepokój mogą sprawić, że organizm zareaguje w sposób niestandardowy. Ostatnio czytała na ten temat jakiś artykuł. Może więc jej umysł został osłonięty w inny sposób niż wtedy, gdy używała brzytwy – i może to dlatego nie poczuła euforii? Może to wszystko ze stresu albo strachu? Czy to właśnie przytrafiało się ludziom?

Wyjęła notes, w którym zapisała wszystkie wyczytane z kart proroctwa, zanotowała datę na nowej stronie i zaczęła pisać:

zakapturzona postać z kosą + radiowóz + mężczyzna w więzieniu



znak „Niebezpieczeństwo”



las + nagrobek + lustro

Jakim cudem jakiś ciąg wydarzeń mógł się zacząć śmiercią, a zakończyć czymś, co miało jakiś związek z nią? Oczywiście przy założeniu, że jej interpretacja jest prawidłowa.

– Arroo! – Nathan oznajmił swoje przyjście do pracy.

Teraz nie mogła zrobić nic więcej. Nawet jeśli jej umysł nie działał tak, jak powinien, a karty nie miały żadnego znaczenia, powinna to komuś pokazać. Henry’emu, Vladowi albo Merri Lee. Chciałaby pokazać to Simonowi... Ale jeśli tylko byłaby to dla niego wymówka, żeby się wycofać, żeby przestać się z nią przyjaźnić? Wilki nie odwracają się od członków stada, których umysły nie działają tak, jak powinny. Najlepszym przykładem na to był Jedynek. Ale ona nie była Wilkiem i tak naprawdę nie należała do stada.

A jeśli opowie o tym Henry’emu albo Vladowi, oni powiedzą Simonowi. No dobrze, w takim razie Merri Lee. Tak, w przerwie na lunch pokaże to wszystko Merri Lee.

– Arroo! – Bardziej natarczywe. Jeśli Nathan będzie musiał czekać choćby chwilę dłużej, zacznie wyc na dobre.

Włożyła notes do szuflady i pośpieszyła otworzyć biuro Wilkowi trzymającemu straż.



Simon gwałtownie otworzył drzwi Zabójczo Dobrych Lektur i wyjrzał na zewnątrz, akurat gdy Kowalski po raz drugi przeszedł tuż pod sklepem.

– Szukasz czegoś? – spytał.

Policjant uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Tylko patroluję okolicę, podczas gdy porucznik Montgomery załatwia jakieś sprawy na komisariacie.

Marie Jastrzębia Straż widziała, jak Kowalski nadzorował odholowywanie pojazdu porzuconego na parkingu Jelenia i Zająca. Wrony obserwowały, jak sprawdzał parking dla klientów Dziedzińca i drewniane drzwi w ścianie, oddzielające parking dla klientów od parkingu dla pracowników. Policjant wydawał się zadowolony z faktu, że są zamknięte, a potem poszedł dalej, wzdłuż płotu Dziedzińca, i przeszedł przez jezdnię, żeby wrócić na ulicę Główną. Przyjrzał się wszystkim zaparkowanym samochodom, a następnie, gdy nadeszła pora rozpoczęcia zajęć w szkole, odprowadził dzieci Denbych oraz Lizzy i Ruthie do rogu.

Nie sikał na opony ani niczego nie obwąchiwał, ale na swój sposób oznaczał

terytorium. Zdaniem *terra indigena* nie było w tym nic dziwnego – poza tym, że jeszcze nigdy tego nie robił, a zaczął akurat tego ranka.

– Czy ktokolwiek widział, żeby po zamknięciu w Jeleniu i Zającu działo się coś dziwnego? – spytał.

– Dlaczego pytasz?

– Bo na parkingu porzucono samochód. Mógł po prostu się popsuć i ktoś go tam zostawił, ale mógł też zostać porzucony przez kogoś, kto chciał popełnić jakieś przestępstwo, ale został odstraszoney. Ponieważ to kapitan Burke kupił ten lokal i cały budynek, rozejrzałem się w poszukiwaniu wybitych okien czy innych oznak włamania. Kradziony alkohol łatwo jest sprzedawać z bagażnika vana.

Nie wiedział, że alkohol był tak cenny, że opłacało się go kraść. Ale z drugiej strony jedyne doświadczenie *terra indigena* z alkoholem polegało na tym, że czasem zjadali owoce, które zaczynały fermentować. A Sanguinati niekiedy pili krew kogoś, kto wcześniej pił alkohol.

Ponieważ właścicielem budynku był Burke, Jeleń i Zając stanie się częścią osobistego terytorium policji. Teraz rozumiał już, dlaczego Kowalski węszył w okolicy.

– Możesz spokojnie wrócić do pracy – rzekł Kowalski.

Simon patrzył, jak policjant podchodzi do rogu ulicy Głównej, nie przeszedł jednak na drugą stronę, żeby pójść do Jelenia i Zająca. Odwrócił się w lewo, w kierunku wejścia na Dziedziniec – i biura łącznika.



– Pieprzone dupki! – Znowu włączyła się poczta głosowa. Jimmy spróbował wybrać inny numer. – Myślicie, że możecie pozbawić mnie mojego udziału?

Zeszłej nocy nie było żadnego zamieszania. Żadnych policyjnych syren, sugerujących, że jego ekipa została przyłapana na kradzieży mięsa ze sklepu. Czyli wszystko poszło jak po maśle.

Nikt jednak nie zadzwonił, żeby się umówić na przekazanie mu jego prowizji. I nikt nie odbierał telefonów od niego.

Może się przestraszyli i nawiali? Może to dlatego nie chcieli z nim rozmawiać? To da się łatwo ustalić.

– Dokąd idziesz? – spytała Sandee, gdy ruszył w stronę drzwi.

– Wychodzę. Muszę załatwić jedną sprawę.

– Jaką sprawę? – Doskoczyła do niego w tych swoich zabawnych pantoflach na wysokim obcasie. Jakie baby noszą taki badziew?

Przed ślubem uważał, że w takich pantoflach Sandee wygląda naprawdę seksownie. Ale wtedy całe jej ciało było seksowne. A to, co wyglądało seksownie przez kilka godzin, stawało się irytujące i głupie, gdy trzeba było z tym mieszkać.

– Jimmy, dzieci są głodne, a my nie mamy nic do jedzenia. – Złapała go za

rękę i zaczęła jęczeć.

Strząsnął jej dłoń i wyszedł.

W drodze na Główną patrzył, co się dzieje w różnych mieszkaniach. CJ-a już nie było. Nie wiedział, jak z Denbym i jego żółtowatą żoną. Jeden glina siedział na ganku i pił kawę z kubka, które wszyscy musieli kupić w barze, żeby nie płacić za kubki na wynos. Jeszcze nie był przebrany do pracy.

Jimmy podniósł rękę w geście powitania. Ale ten drań tylko się na niego gapił.



– Masz. – Merri Lee wyciągnęła jeden z kubków z Czegoś na Ząb. – Nadine pokazywała Tess, jak zrobić mrożoną kawę, a ja zgłosiłam się na ochotnika, żeby zrobić sobie krótką przerwę i przynieść ci ją na spróbowanie.

– Kto pilnuje księgarni? – Meg wzięła kubek.

– Vlad... – Merri Lee się zawahała. – W tym zamknięciu rynku jest coś dziwnego. Normalnie Vlad wściekałby się na mnie za wcześniejszą przerwę – choć podejrzewam, że robi tak, tylko dlatego że jego zdaniem tak właśnie zachowywałby się ludzki pracodawca – gdy jednak mu powiedziałam, że idę do ciebie, popatrzył na mnie dziwnie, tak jakby próbował odgadnąć, czy coś wiem. A to oznacza, że o czymś nie wiemy.

– Karl patroluje okolicę pieszo. – Meg upiła łyk mrożonej kawy. – Rety, jakie to dobre!

Merri Lee kiwnęła głową.

– Zimne i z kofeiną. Jeden z najlepszych napojów na ten upał.

– Jeszcze nigdy nie patrolował okolicy na piechotę. I cały czas sprawdza rynek, ale przecież na Dziedzińcu ludzkie prawo nie obowiązuje.

– Michael ciągle jest w pogotowiu. Mamy załatwiać swoje sprawy tak jak zwykle, wydaje mi się jednak, że porucznik Montgomery czeka, aż wydarzy się coś wyjątkowego.

Meg odstawiła kubek i wyjęła notes ze spisanymi przepowiedniami.

– Może to?

Merri Lee przeczytała najnowsze notatki.

– To bardzo niepokojące. Chyba jednak za bardzo się dostosowujesz do tych kart. To wygląda jak obrazki, które widziałaś wcześniej i poskładałaś w prorocstwo.

– Naprawdę? – Meg, zaskoczona, spojrzała na swoje notatki.

– Jasne. Nawet je pogrupowałaś. Gdybym to ja miała opowiedzieć jakąś historię na podstawie tych rysunków, powiedziałabym, że po czyjejś śmierci ktoś wezwał policję, wskutek czego ktoś musiał iść do więzienia.

– A to dobrze.

– Owszem. Ale tę osobę, która idzie do więzienia, spotka coś, co potem

będzie stanowiło niebezpieczeństwo. I właśnie przez to niebezpieczeństwo ty – bo to ty zobaczysz siebie w lustrze – z jakiegoś powodu znajdziesz się w lesie i natrafisz na grób. A co powiesz Simonowi i Henry’emu?

– Nie ma tu nic do opowiadania. – Merri Lee spojrzała na przyjaciółkę i popukała palcem w słowo „niebezpieczeństwo”. – To się nie wydarzy, jeśli nie dojdzie do tego, co wyczytałam z pierwszego zestawu kart – zaczęła się upierać Meg. Doskonale jednak wiedziała, że Merri Lee również myśli o zamkniętym rynku i Kowalskim patrolującym tereny wokół przemysłowej dzielnicy Dziedzińca.

Schowała notes z powrotem do szuflady.

– Jeśli coś się wydarzy i Vlad albo Henry, albo ktoś inny, będzie musiał się o tym dowiedzieć, to jedna z nas mu o tym powie.

Merri Lee wyglądała, jakby zamierzała z tym dyskutować, po chwili jednak pokiwała głową i odparła:

– Muszę już wracać. Dam znać, jeśli czegoś się dowiem.

Meg skinęła głową.

– Ja też.

Kolejną godzinę spędziła na czekaniu na dostawę, na pocztę i na jakiegokolwiek zadanie, na którym mogłaby się skupić w oczekiwaniu na to, co miało się wydarzyć.



Przestał już czekać na telefon od tych zasrańców, przestał czekać, aż dadzą mu znać, kiedy i gdzie przekażą mu jego prowizję.

Jimmy siedział w Czymś na Ząb, pił kawę i wściekał się, że w Lakeside naprawdę nie może liczyć na żadną sensowną pomoc. Gdyby w Toland udało mu się załatwić taką fuchę, jego ludzie z pewnością nie zrobiliby go w konia. Ostatecznie przecież to on wszystko nagrał – a jeśli wierzyli, że jego brat glina jest odrobinę skorumpowany, do tego stopnia, że w więzieniu mogło ich spotkać jakieś nieszczęście, to tym lepiej. Przebywał jednak w Lakeside za krótko, by mieć jakąkolwiek reputację, a CJ zajmował się tylko sprawami związanymi z dziwadłami, więc najciekawszy mieszkańcy miasta nie mieli jeszcze okazji poznać Jimmy’ego.

Siedział i się wściekał. Nie chciał wracać do mieszkania i wysłuchiwać jojczeń Sandee, że nie ma nic do żarcia, i jojczeń bachorów, że się nudzą. Kuźwa, Fanny nudziła się do tego stopnia, że chciała iść z Lizzy do tej sali, w której – jak wszyscy udawali – dzieciaki czegoś się uczyły. Ale jeśli pozwoliłby jej na to, musiałby pozwolić również Clarence’owi, który nie chciałby się czuć wykluczony. A to przecież głównie jemu zakazano wstępu na Dziedziniec. Tak jakby te dziwolągi miały jakiegokolwiek prawo do nakładania ograniczeń na prawdziwych ludzi. Nie wolno jednak mówić na głos takich rzeczy – nie od chwili upadku ruchu

Ludzie Przede i Nade Wszystko.

Siedział i myślał, aż wreszcie usunięto z przejść znaki i stołki do piłowania drewna, a rynek znów został otwarty dla klientów i właścicieli sklepów. Wtedy Jimmy urządził sobie spacer w stronę sklepu mięsnego.

Szklana witryna była tak czysta, że nawet jego matka nie miałaby się o co przyczepić. Była również zupełnie pusta.

– Dzień dobry – powiedział, gdy z chłodni wyszedł dziwoląg o brązowych piórach. – Chciałem kupić jeszcze kilka plastrów tej pieczeni; bardzo smakowała dzieciakom.

– Nie mam już nic – odparł sprzedawca. – Wczoraj wieczorem wszystko się sprzedało.

Czyli sukinsynom udało się wykonać robotę.

Jimmy uśmiechnął się błagalnie.

– Och, straszna szkoda. Naprawdę nic nie zostało? Nie prosiłbym o to, ale wie pan... tu chodzi o dzieci.

Samiec pokręcił głową.

Jimmy się wściekł, ale był na tyle mądry, by tego nie okazywać. Ruszył w stronę drzwi. Gdy sięgnął do klamki, sprzedawca zawołał za nim:

– Chwileczkę.

Wrócił do szklanej gabloty. Dziwadło nie wyglądało na zbyt zadowolone i cały czas wpatrywało się w drzwi, tak jakby chciało mieć pewność, że nikt go nie zobaczy.

– Po tym, jak wykupiono wszystko, przyjechała specjalna dostawa. Z reguły nie sprzedajemy tego mięsa ludziom, ale przecież musisz przynieść coś do jedzenia swojej samicy i młodym, prawda? Została mi jeszcze ładna część – kawałek nogi. Powinno wystarczyć dla całej waszej czwórki.

– Ile? – spytał Jimmy.

– Dziesięć dolarów.

Przez chwilę myślał, czy nie powinien się targować, szybko jednak zdał sobie sprawę, że to bezcelowe. Jeśli to rzeczywiście był jedyny dostępny kawałek mięsa, to dziwadło mogło sprzedać go kolejnemu klientowi, i to za podwójną cenę. Co oznaczało, że Jimmy mógł sprzedać go poza Dziedzińcem za co najmniej taką samą cenę. – Biorę.

– Ponieważ to najlepszy kawałek, już go zapakowałem – rzekł sprzedawca. – Przyniosę ci. – Po niecałej minucie wrócił z czymś, co wyglądało jak długa pieczeń owinięta w papier i przewiązana sznurkiem.

Jimmy popatrzył na paczkę z powątpiewaniem.

– Na pewno jest na tym dostatecznie dużo mięsa?

– Tak. Prawie samo chude mięso, bez grama tłuszczu.

Zapłacił za paczkę i wyszedł ze sklepu, zadowolony, że dziś nikt nie będzie

jadł mięsa. Ani ta suka Eve Denby, ani te, które sypiały z glinami. Może odegra rolę dobrego synka i zaprosi mamę na kolację. Może uda mu się ją przekonać, żeby to ona gotowała, tak by mięso nie było surowe albo twarde jak podeszwa.

Na widok Kowalskiego, kroczącego w jego stronę, podniósł paczkę w triumfalnym geście.

– Spóźniłeś się. Właśnie kupiłem ostatni kawałek ze specjalnej dostawy mięsa.

Miał dostatecznie dużo czasu, żeby dostrzec szal w oczach policjanta. A chwilę potem znalazł się na ziemi i szarpał się, podczas gdy Kowalski skuwał mu ręce na plecach.

– Ty skurwielu! – wrzasnął Jimmy i przeturlał się na bok. – To jest napaść! To jest... będzie cię to kosztować odznakę! Zapłacisz mi za to!

Z pobliskiego sklepu wybiegła dziewczyna o ciemnych oczach i długich ciemnych włosach. Miała na sobie tylko białą halkę.

– Funkcjonariuszu Karl! – Podeszła do Kowalskiego. – Co się dzieje? Potrzebujesz pomocy? Mam mu wydziobać oczy?

Jimmy przestał się rzucać i spokojnie usiadł. Wydziobać oczy? O czym ona, u diabła, pieprzy?

– Nie, Jenni, dziękuję – odparł Kowalski. Jego głos brzmiał dziwnie spokojnie, ale w oczach nadal było to szalone spojrzenie. – Panuję nad sytuacją. Mogłabyś jednak poprosić oficera Michaela, żeby przyniósł mi dużą torbę na materiał dowodowy i wezwał radiowóz. Przekaż mu, że i jedno, i drugie, jest potrzebne natychmiast.

Dziewczyna ściągnęła halkę przez głowę i upuściła ją na ziemię. *Nieźle ciałko*, pomyślał Jimmy. *Nieźle, nagie i...* Przeraził się na widok piór porastających jej cipkę. A gdy zobaczył, jak zamienia się w wielką Wronę i odlatuje, przeraził się jeszcze bardziej.

Nie miał pojęcia, jak długo siedział na ziemi; wydawało mu się, że całe wieki, ale pewnie trwało to minutę albo dwie. A potem przybiegł Debany i powiedział, że radiowóz już jedzie. Następnie Kowalski i Debany postawili Jimmy'ego na nogi i ostrożnie schowali pieczeń do torby na materiał dowodowy.

Mogli ją sobie wsadzić w dupę. To było zwykłe przeszukanie, ot co. Zabiorą go na komisariat, ale CJ mu pomoże, bo przecież nie zrobił nic złego; a te dwa sukinsyny „stracą” swój materiał dowodowy, który pewnie zostanie ugotowany na kolację.

Pełen gniewu, który miał zamiar wyładować na tym sukinsynie, kapitanie Burke'u, nie opierał się, gdy Kowalski wsadzał go do radiowozu, a potem wsiadł z przodu, obok gliny o nazwisku Hilborn. Nie, nie opierał się, bo w razie konieczności dostanie się nawet do gabinetu burmistrza – i robi to, zanim zaczną ciemnieć siniaki, powstałe wskutek szarpaniny z Kowalskim. Tak, pójdzie na samą

górze, a gdy skończy, przez resztę swojego pobytu w Lakeside będzie żał za darmo.



Meg patrzyła, jak radiowóz z bratem oficera Montgomery'ego skręca w ulicę Główną. Ale przecież zawiezenie kogoś na komisariat to nie to samo, co aresztowanie go. A z drugiej strony na kartach proroctw była ograniczona liczba obrazków – może po prostu nie dało się zrobić takiego rozróżnienia? A może chodziło o to, że ktoś szedł do więzienia, nawet jeśli jego pobyt w nim miał być czasowy?

Jeśli tak, to właśnie to ujawniły karty. Była też śmierć. Ale czyja?

Popatrzyła na Nathana, który obserwował ją tak intensywnie, że czuła się mała i smaczna – i cieszyła się, że jako wieszczka krwi jest dla niego niejadalna. Mimo wszystko czuła się niepewnie – i trochę kręciło się jej w głowie.

– Wiesz, co się dzieje? – spytała.

Nie odpowiedział, nawet nie spróbował. Zdawał się jednak zadowolony z faktu, że Cyrus Montgomery został zawieziony na komisariat w kajdankach. Meg zastanawiała się, czy to właśnie dlatego Simon jej unika.

Rozdział 20



Środa, 22 sierpnia

Przerażony Monty wszedł do pokoju przesłuchań. Gdy po raz pierwszy zobaczył, jak Kowalski i jego partner prowadzą Jimmy'ego na komisariat, pomyślał, że Karl chyba jest pod wpływem narkotyków. Jimmy miał na twarzy zadrapania i siniaki i wrzeszczał, że Kowalski postradał zmysły. Wnioskując po przestraszonej minie oficera Hilborna, mógł mieć rację.

Potem jednak Monty odwinął „pieczęć”, którą Jimmy kupił u rzeźnika na rynku, i zrozumiał zachowanie policjanta. Zrozumiał wiele rzeczy, gdy biegł do męskiej łazienki i wymiotował do sedesu. Teraz musiał tylko przekonać Jimmy'ego, żeby przekazał mu informacje, których nigdy nie dostałby od Simona Wilczej Straży – ponieważ ten dał już do zrozumienia, że Jimmy wpadł po szyję w coś, co zeszłej nocy wydarzyło się na Dziedzińcu.

Porucznik położył na stole teczkę i usiadł naprzeciwko brata.

– Zobacz, co ten sukinsyn mi zrobił! – wrzasnął Jimmy. – Zwolnij go za to, CJ, inaczej smród dotrze aż do burmistrza tego pieprzonego miasta.

– Spisałeś już testament? – spytał cicho Monty.
– Co? Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Kowalski...
– Czy zapisałeś coś swojej żonie i dzieciom? Czy istnieje jakiś prawny dokument, o którego istnieniu powinienem wiedzieć?

Jimmy wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

– O czym ty gadasz?

– Niezależnie od tego, co zrobiłeś tym razem, możesz tego nie przeżyć.

– Ale ja nie...

W progu stanął kapitan Burke. Zamknął drzwi, podszedł do stołu i oparł dłoń o blat. Skupił się na Jimmym.

– Twój brat nie powinien prowadzić tego przesłuchania – rzekł. – Stwierdziłem jednak, że jeśli ktokolwiek inny się za to weźmie, będziesz kłamał, kręcił i zmarnujesz nasz czas. A ja nie mam zamiaru dopuścić do tego, żeby ktoś marnował czas – zwłaszcza mój. Teraz będzie więc tak: porucznik Montgomery dostanie dziesięć minut na wyciągnięcie z ciebie informacji na temat incydentu, do którego doszło zeszłej nocy. Ja będę stał po drugiej stronie szyby i słuchał. Jeśli nabiorę przekonania, że powiedziałeś wszystko i samą prawdę, będziesz wolny. Jeśli nie uda ci się mnie do tego przekonać, zostaniesz oskarżony o zbezczeszczenie ludzkich zwłok i kanibalizm i staniesz się współwinny zabójstwa. Pod osłoną nocy zostaniesz przewieziony w bezpieczne, tajne miejsce – takie, z którego tacy jak ty nigdy nie wychodzą. Mogę to uczynić i dopilnuję, żeby tak właśnie się stało. – Burke wyprostował się, odszedł od stołu i wreszcie spojrzął na Monty'ego. – Twoje dziesięć minut właśnie się zaczyna.

Gdy tylko kapitan wyszedł, Jimmy znów zaczął się wściekać.

– W jakie gówno próbujecie mnie wpakować? Nikogo nie zabiłem! Całą noc byłem w domu!

Monty wyjął z teczki pierwsze zdjęcie i położył je na stole. Widać było na nim wytatuowane męskie ramię.

– Rozpoznasz ten tatuaż? Znasz tego mężczyznę?

Jimmy spojrzął na fotografię – i zawahał się o ułamek sekundy za długo.

– Nigdy go nie widziałem.

Monty wyjął z teczki kolejne zdjęcie, tym razem przedstawiające całe przedramię, i wskazał miejsca, przy łokciu i nadgarstku, w które coś się wgryzło.

– Jesteś pewien? Gdy aresztował cię oficer Kowalski, niosłeś właśnie to przedramię, opakowane w papier. Dlatego też zostaniesz oskarżony zarówno o zbezczeszczenie ludzkich zwłok, jak i o kanibalizm.

Jimmy gwałtownie pokręcił głową.

– Nie ma szans. Nie. Ten sukinsyn kłamie, próbuje mnie w coś zrobić. Kupiłem u rzeźnika kawałek mięsa ze specjalnej dostawy, a ten Kowalski...

– Jimmy, na bogów! To ludzie są tym specjalnym mięsem! Wszyscy *terra*

indigena na Dziedzińcu uważają ludzi za zwierzynę, taką samą jak króliki i jelenie. Za takie mięso uważany jest każdy, kto wchodzi na Dziedziniec bez pozwolenia Innych. – Jimmy, zszokowany, tylko gapił się na brata. – Poinformowano mnie – ciągnął Monty – że zeszłej nocy jakaś osoba – lub kilka osób – włamała się do rzeźnika na rynku i ukradła całe mięso. Ponieważ wczoraj była dostawa, kradzież obejmowała dużo wołowiny i wieprzowiny. Wszystko zniknęło. Tak samo jak ludzie, którzy próbowali je ukraść.

Jimmy zamrugał; wyglądało na to, że wreszcie odzyskał rezon.

– Co masz na myśli, mówiąc, że próbowali ukraść mięso?

– Nie udało im się z nim uciec, nie opuścili terenu Dziedzińca. Inni wiedzą, że byłeś w to zamieszany.

– Całą noc byłem w domu.

– Jasne. – Monty uśmiechnął się gorzko. – Gdy coś pójdzie nie tak, zawsze masz alibi. Jesteś w to umoczony tak samo jak ludzie, którzy chcieli ukraść mięso, ale zawsze trzymasz się z daleka, tak by nikt nie mógł cię o nic oskarżyć.

– Nie możecie aresztować mnie za coś, czego nie zrobiłem. – Głos Jimmy’ego brzmiał tak jak zawsze – z przekonaniem, że uda mu się wyjść cało z opresji i zacząć rozmyślać nad kolejnym przekrętem. Ale nie tym razem.

Monty popukał w zdjęcie całej ręki.

– Jimmy, Inni wiedzą, że brałeś w tym udział. Nieważne, czy zeszłej nocy byłeś u rzeźnika, czy w swoim łóżku. Oni *wiedzą*. A to jest sposób, żeby powiedzieć o tym i tobie, i policji. Nie mówią nam jednak, ilu ludzi weszło wczoraj na teren Dziedzińca. Nie zostawili żadnych śladów, które niekiedy zostawiają. Niezależnie od tego, kto wtargnął wczoraj na rynek, już nie żyje. Jesteśmy tego pewni.

– To dlaczego nie spytacie o to dziwołagów? – spytał ostro Jimmy.

– Na Dziedzińcu prawo ludzkie nie obowiązuje. Już ci mówiłem: jeśli ludzie wchodzą tu nieproszeni, stają się mięsem. Ci ludzie mają status zaginionych. Może zostali zabici przez innych ludzi, a ich ciała jeszcze nie zostały znalezione. Może wsiedli w pierwszy lepszy autokar i uciekli od swoich rodzin. To się zdarza. Ale jeśli mieli jakieś rodziny, żony i dzieci, to te żony nigdy nie otrzymają aktów zgonu, nigdy nie będą mogły rozpocząć nowego życia ani dostać spadków po mężach. Spędzą resztę życia, nie mając pojęcia, czy owdowiały czy zostały porzucone. Chciałbyś zostawić tak Sandee i dzieci? – Jimmy w ogóle nie zastanawiałby się nad tym. Monty dostrzegł to w jego oczach, rozpoznał po wyrazie twarzy. Zostawiłby bliskich bez mrugnienia okiem. – Jimmy, znałeś tego człowieka.

– Mówiłem ci już, że nie.

– Kłamiesz. Widzę, kiedy kłamiesz. – Tak, potrafił to stwierdzić. Jimmy był przebiegły, cwany i nigdy nie mówił prawdy, jeśli wiedział, że kłamstwo

wystarczy. Uwielbiał ranić ludzi słowami i poniżać ich krzykiem. Tak jak to robił Sierrze. Tak jak to robił małej Frances. I pozwalał, by jego syn robił to samo. – W porządku. – Monty schował zdjęcia do teczki. – Jesteś zamieszany w próbę kradzieży, która zakończyła się śmiercią sześciu osób. Zostaniesz oskarżony o współudział w...

– Co ty mówisz? – Jimmy zaczął się pocić, jakby się rozchorował.

– Mówię, że kapitan Burke ma rację. To strata czasu. Zostaniesz więc oskarżony.

Cyrus James Montgomery wreszcie wyglądał na prawdziwie przerażonego.

– Nie pomożesz mi? A co powie mama?

– Wydaje mi się, że nic. Zwłaszcza gdy opowiem jej, że otrzymałeś szansę na współpracę, ale nie chciałeś spełnić warunków niezbędnych do wypuszczenia cię na wolność, dlatego wysłano cię w miejsce, w którym niebezpieczni kryminaliści są przetrzymywani w oczekiwaniu na wyrok.

– Gdy przedstawię jej moją wersję...

– Dawno cię tu nie będzie. Nie będzie miała okazji cię wysłuchać. – Monty nachylił się przez stół. – A gdy nie będziesz miał możliwości wciskania jej kłamstw, mama uwierzy w to, co ja jej powiem.

Jimmy zaczął się pocić.

Monty zastanawiał się, czy jego brat przypomniał sobie, że dokładnie te same słowa powiedział mu kilka lat temu, gdy wyjeżdżał, a Jimmy nadal mieszkał w domu rodziców.

– Drań. – Jimmy wyglądał, jakby miał ochotę napluć bratu w twarz. I może tak by uczynił, gdyby ktoś nie zaczął pukać w szybę, sugerując, że skończył się czas.

Monty wstał i wziął teczkę. Wtedy Jimmy rzucił:

– Wcale nie było ich sześciu.

Monty usiadł.

– Wydaje mi się, że nie było ich sześciu – poprawił się Jimmy. – I może miałem w tym swój mały udział, ale z pewnością nie taki, jak myślisz. – Odczekał chwilę. Monty milczał. – Widziałem, że wczoraj była dostawa mięsa. – Jimmy przesunął się na krześle, tak jakby nagle zrobiło mu się niewygodnie. – Moim zdaniem to marnotrawstwo, że dziwolągi miały takie dobre mięso, gdy mogły łapać sobie szczury, wiewiórki i inne.

– Gdy jadałeś w Czymś na Ząb czy Mięsie i Zieleninie, nie słyszałem, żebyś narzekał na dostawy mięsa. Jak myślisz, skąd ono pochodziło? – spytał Monty.

– Niech ci będzie. Ale i tak wydawało mi się to marnotrawstwem. Piłem sobie akurat drinka w barze obok dworca autobusowego i usłyszałem, jak ci ludzie narzekają, że w sklepach nie ma mięsa, a ich kobiety przynoszą do domu jakieś flaczki i inne gówna, zamiast prawdziwego jedzenia. Może trochę za dużo wypilem

i powiedziałem, że na Dziedzińcu zawsze jest dobre mięso i że widziałem dostawę steków, kotletów, pieczeni i jedzenia, które się nadaje dla prawdziwego mężczyzny. I czterech z nich – bo było ich czterech, a nie sześciu – zaczęło kupować mi drinki i gadać o tym, że w dzisiejszych czasach trudno jest utrzymać rodzinę. Zaczęli wypytywać o sklep mięsny i być może powiedziałem im więcej, niż zamierzałem – na pewno więcej, niż pamiętam. A potem poszedłem do domu i spałem całą noc.

Na koniec Monty dostał nazwę baru i nazwiska czterech mężczyzn, znanych z bywania w takich miejscach. Miał nadzieję, że to wystarczy do wypełnienia formularzy ZMN i przekazania ich krewnym.

– Mogę już iść? – spytał Jimmy, gdy Monty ponownie wstał.

– Dowiem się. – Porucznik zrobił krok w stronę drzwi. – Jimmy, naprawdę powinieneś się zastanowić nad wyprowadzką z Lakeside i rozpoczęciem nowego życia w innym miejscu. Nie zrobiłeś nic, dzięki czemu tutejsi *terra indigena* mogliby myśleć o tobie dobrze – a teraz mają powód, żeby traktować cię jak wroga.

– Myślisz, że mnie to obchodzi? – Poprzedni, pewny siebie Jimmy wrócił błyskawicznie.

– Powinno. Bo widzisz, na Dziedzińcu istnieją tak potężne i niebezpieczne rzeczy, że wystarczy jedno spojrzenie, żeby zamienić twój mózg w zupę. Jedno spojrzenie, Jimmy. A teraz, przez twoją głupotę, Inni będą bardzo uważnie cię obserwować.

Monty wyszedł z pokoju i oparł się o ścianę. Był wyczerpany.

Zeszłej nocy do Dziedzińca zakradło się czterech mężczyzn. Tylko jeden z nich zdążył wydobyć z siebie wysoki, przeraźliwy wrzask.

Otworzyły się drzwi do pokoju obserwacyjnego i na korytarz wyszedł dowódca Louis Gresh.

– Kapitan Burke powiedział, że mam odwiedzić twojego brata z powrotem do budynku mieszkalnego.

– A gdzie kapitan? – spytał Monty.

– Odkąd przywieziono twojego brata, siedział razem z Kowalskim w swoim gabinecie. Wiedział, że wyciągniesz z Cyrusa prawdę, i stwierdził, że obserwowanie Kowalskiego jest teraz o wiele ważniejsze. – Gresh westchnął. – Bardzo nim to wstrząsnęło.

– Tak jak nami wszystkimi. – Monty spojrział w sufit. – *Terra indigena* to nie ludzie, ale bardzo dobrze nas poznali i, na bogów, doskonale wiedzą, w jaki sposób wysłać nam wiadomość.

– Myślisz, że twój brat ją zrozumiał?

– Nie. Nadal będzie uważać, że może knuć i spiskować tak samo jak w Toland. Mimo oczywistych dowodów będzie się zachowywał tak jak wielu

innych ludzi, którzy nadal chcą – albo potrzebują – udawać, że gdy zadrzesz z Innymi, nie grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo.

Louis westchnął.

– Mogło być gorzej.

– Jakim cudem?

– Inni mogli napaść na Kowalskiego i dopilnować, żeby nie spotkał się z Cyrusem. Wtedy Cyrus zaniósłby paczkę do domu i tam ją otworzył. Przeżyłby szok, gdyby przeciął sznurek, odwinął papier i rozpoznał tatuaż.

Jimmy z pewnością przechwalałby się tym, rozповідаłby, jak to udało mu się kupić ostatnią partię mięsa ze specjalnej dostawy – tak jak to zrobił, gdy spotkał Kowalskiego. Ale to Sandee i dzieciaki musiałyby patrzeć na przedramię mężczyzny. A przecież kompletnie nie były przygotowane na brutalną rzeczywistość i to, co tak naprawdę *terra indigena* widzą w ludziach. W większości ludzi – Monty musiał wierzyć, że Simon, Vlad i pozostali nie patrzą już na wszystkich ludzi jak na zwierzynę.

Inni jednak wiedzieli o tym, że dojdzie do kradzieży, i nie poprosili policji o pomoc, zastanawiał się więc, czy Jimmy'emu udało się zburzyć to, co udało się zbudować między ludźmi a Simonem Wilczą Strażą.

Musiał też się zastanowić, co oznacza to dla społeczności mieszanych i ludzi, którzy mieszkają teraz wśród najpotężniejszych drapieżników na świecie.



Burke przyglądał się partnerowi. Kowalski siedział w gabinecie, blady i trochę roztrzęsiony, ale jego oczy nie miały już tego dzikiego wyrazu.

– Co się stało?

Kowalski pokręcił głową.

– Zobaczyłem Cyrusa wymachującego do mnie tą paczką i przechwalającego się mięsem ze specjalnej dostawy. I straciłem nad sobą panowanie. Nie pamiętam chwili, w której go przewróciłem. Pamiętam dopiero, jak Jenni Wronia Straż spytała, czy potrzebuję pomocy, i zaproponowała, że wydziobie mu oczy. Wiedziałem, że potrzebuję wymówki, by ją od niego odciągnąć, musiałem też zabrać go z Dziedzińca, zaprowadzić z powrotem na teren, na którym obowiązuje ludzkie prawo. Musiałem go aresztować i zabrać stamtąd, bo skupiał uwagę na sobie, na nas wszystkich i... – Przerwał; wyglądał, jakby zaczął się dławić.

– Podniesienie portfela podrzuconego, żebyś wiedział, że osoba, do której należał, przekroczyła pewną granicę i została przez to zabita i zjedzona, to jedno – odezwał się Burke. – Ale zobaczenie dowodu na to to drugie.

– Gdy tylko się rozniesie, że Wilki odgryzły rękę złodziejowi, w Zabójczo Dobrych Lekturach będzie mnóstwo klientów – rzekł Kowalski.

Kapitan się uśmiechnął.

– Na tym polega perwersyjność ludzkiej natury. Ale odgryziona ręka to nie to samo, co ciało. Karl, *terra indigena* na Dziedzińcu żyją zgodnie ze swoją naturą, co czyni ich niezmiernie niebezpiecznymi. Nadal jednak są naszą jedyną szansą na przetrwanie, ponieważ niezależnie od tego, jak niebezpieczni są Simon, Vlad i reszta, w porównaniu z Innymi zamieszkującymi dzikie tereny to łagodne baranki.

Kowalski też się uśmiechnął.

– Wiem. – Westchnął. – Wiem. I co teraz?

– Nie chcę, żebyś na razie wychodził na ulicę, więc resztę dnia spędzisz za biurkiem. Dojdiesz do siebie i się uspokoisz. Jeśli porucznik będzie potrzebował kierowcy, mamy jeszcze Debany’ego i Hilborna. – Burke składał i rozkładał palce, zastanawiając się, czy powinien coś dodać. – Gdy jesteś gliną w niewielkiej ludzkiej osadzie, znajdującej się w samym centrum dzikich terenów, czasem musisz dokonywać trudnych wyborów, których nie musiałbyś – nie mógłbyś – dokonać w mieście kontrolowanym przez ludzi. I patrzysz prawdzie w twarz, gdy jej kły są odsłonięte, a jej futro jest umazane krwią zwierzyny, z którą rozmawiałeś jeszcze tego ranka. Ale poprzedniej nocy poszedłeś na spacer na obszarach nieoświetlonych przez latarnie i głośno rozważałeś, w jaki sposób powinieneś rozwiązać jakąś trudną sytuację. Mówiłeś o miłej kobiecie, która znów złamała rękę, o jej mężu, który ją bił, ale ona była zbyt przerażona, by złożyć na niego skargę, tak więc nic nie mogłeś zrobić, i że to ogromna szkoda, bo to naprawdę miła kobieta, która pokazała kilku samicom *terra indigena*, w jaki sposób naprawiać ubrania, przez co wybuchła kłótnia i mąż złamał jej rękę i kilka palców, żeby już nigdy nie robiła nic dla *terra indigena*. A gdy następnego ranka idziesz porozmawiać z tym mężczyzną i odkrywasz, że nie ma go w domu, idziesz po śladach za budynkiem i odkrywasz poturbowane, na wpół zjedzone ciało. I patrzysz prawdzie w oczy – nie prawdzie, która ma kły i futro, ale prawdzie o sobie samym. Dowiadujesz się, że jesteś tak samo niebezpieczny, jak istoty, których boi się reszta ludzi, tyle że nie stać cię, żeby się do tego przyznać. Nie możesz powiedzieć tym ludziom, że dogadujesz się z tym, czego tak strasznie się boją, tylko po to, żeby chronić ich przed potworami, które wyglądają tak samo jak oni.

Kowalski nie odzywał się przez długi czas.

– Uważasz, że powinienem ustąpić?

– Nie – odparł łagodnie Burke. – Wtrąciłeś się, ponieważ przebywałeś w pobliżu Innych już dostatecznie długo, by rozumieć, że wiedzieć o czymś to jedno, ale spojrzeć prawdzie w oczy to drugie. A policja? Wiele razy widzieliśmy, w jaki sposób reagują *terra indigena*, gdy są źli na ludzi. A co z cywilami, takimi jak Ruthie czy Merri Lee, mieszkającymi blisko Dziedzińca i pracującymi wśród Innych? Oni nie muszą znać całej prawdy.

– Chcesz chronić kobiety? – Kowalski uśmiechnął się ironicznie. – Może im się to nie spodobać.

– Oczywiście. Ale w razie czego zaprzeczę, że kiedykolwiek to powiedziałem.

– Wyrażasz wobec mnie bardzo duże uznanie, a przecież ja nawet nie pamiętam tych kilku sekund.

– Gdy wszedłeś na komisariat, rozpoznałem spojrzenie w twoich oczach. Kiedy byłem w twoim wieku, widziałem je raz lub dwa. W lustrze.

Zadzwonił telefon. Burke spojrział na aparat, a potem znów skupił się na Kowalskim.

– Lepiej się czujesz?

– Tak, sir.

– W takim razie wracaj do pracy.

Gdy Kowalski wyszedł z gabinetu, kapitan podniósł słuchawkę.

– Z tej strony O’Sullivan.

Burke próbował sobie przypomnieć, czy agent Biura Śledczego wrócił już do Lakeside i czy mógł słyszeć o tym, co się wydarzyło w Lakeside.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Macie jakieś wieści na temat doktora Lorenza?

Gdy spotkają się twarzą w twarz, z przyjemnością opowie o wszystkim O’Sullivanowi. Ale nie przez telefon.

– Słyszałem, że wycofał się z Biura Śledczego. I że znaleziono jego samochód. Podziurawiony kulami.

Chwila wahania.

– Sprawdziliście kostnice i szpitale pod kątem niezidentyfikowanych ciał albo nieznanymi pacjentów?

– To nie jest konieczne.

– Wypełniliście formularz ZMN?

– To też nie jest konieczne. – Czy O’Sullivan zrozumiał, że Lorenzo żyje i policja zna miejsce jego pobytu?

– A czy moglibyście tak czy siak sprawdzić kostnice i szpitale?

Burke się wyprostował.

– Jakież problemy?

– Połowa lekarzy, którzy zbierali informacje o *cassandra sangue*, zrezygnowała z pracy w Biurze Śledczym po tym, jak grozili im członkowie ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko. Podczas rozmowy z burmistrzem potwierdziłem, że poza Lorenzem zniknęło kilku innych medyków.

Burke spisał nazwiska, które podał mu O’Sullivan.

– Zobaczą, co uda mi się ustalić.

– Dziękuję. Zaraz jadę na stację i wsiadam do pociągu do Lakeside. Dzisiaj po południu powinienem być na miejscu.

– Wyślę po ciebie kogoś.

– Dzięki.

Burke się rozłączył. W kompleksach nadal żyło wiele wieszczek krwi, przetrzymywanych tam przez całe życie. Dziewczyny te nie chciały, albo nie umiały, rozpocząć niezależnej egzystencji. Było jednak wiele takich, które próbowały zacząć wszystko od nowa, walczyły z uzależnieniem od cięcia, popychane do tych autodestrukcyjnych aktów przez wizje, których istnieniu nie dało się zaprzeczyć. Nawet najmniej utalentowane z nich mogły zapewnić swojemu treserowi dostatni byt, a najlepsze...

Trochę poszukał i popytał, zadzwonił do kilku miejsc, jako potencjalny klient, jeszcze zanim ujawniono wszystkie straszliwe sekrety na temat traktowania tych dziewcząt. Jedno pytanie, jedno cięcie niezbyt utalentowanej wieszczki po szkoleniu podstawowym kosztowało kilkaset dolarów. A co z kimś takim jak Meg Corbyn? Kobieta inteligentną, która być może za dobrze przyswaja różne informacje, która widzi ciągi obrazów i której prorocтва zawsze się spełniają? Cięcie wykonane przez kogoś o jej umiejętnościach kosztowałoby tysiące dolarów.

Była to dostateczna motywacja do uprowadzenia i przesłuchania mężczyzn wiedzących, gdzie znaleźć dziewczyny, które być może wcale nie były tak dobrze chronione, jak mogłoby się wydawać Innym – głównie dlatego że nigdy nie wpadliby na to, że wiedziony chciwością człowiek mógłby spróbować uniknąć Innych i porwać którąś z dziewczyn.

Burke wstał od biurka. Chciał jechać na Dziedziniec i osobiście ocenić sytuację. Najpierw jednak poprosi Kowalskiego, żeby zajął się sprawą zaginionych lekarzy, albo przynajmniej spróbował się dowiedzieć, kiedy i gdzie widziano ich po raz ostatni. Potem poinformuje burmistrza i komendanta policji o potencjalnych kłopotach dla miasta, wywołanych przez próbę kradzieży mięsa.



– No co? – warknął Simon.

Vlad, który stał za ladą ZDL i nie robił nic pożytecznego, cały czas się na niego gapił.

– Zauważyłem, że wszystkie książki, które rozkładasz na wystawie, to thrillery autorów *terra indigena*, które można by opisać jako bardzo brutalne.

– No i?

– Nie sądzisz, że to trochę zbyt jawny przekaz?

Warknął ponownie i odwrócił się w stronę lady. Zauważył, że obok półek oddzielających przednią część sklepu od reszty stoi cicho pani Twyla.

– Czy jest coś, co możemy dla pani zrobić? – spytał Vlad.

– Rozumiem, że mięso z wczorajszej dostawy zostało ukradzione.

– Obecnie u rzeźnika nie ma nic na sprzedaż.

Simon nie mógł znieść faktu, że kobieta pomyśli, iż nie ma żadnego mięsa

i przez jakiś czas stado samic będzie musiało się żywić zieleniną.

– Mięso, którego złodzieje nie zabrali, zostało przewiezione do Mięsa i Zieleniny. Możemy też rozmrozić kilka paczek bizoniny.

Pani Twyla kiwnęła głową.

– Dobry plan. Poza tym ludzie nie potrzebują tyle mięsa, co wy, więc niewielka ilość wystarczy nam na dłuższy czas. – Bardzo chciał jej wierzyć. Ale nie wierzył. – Dziewczyny mówiły, że przez Dziedziniec płyną różne strumienie. Czy którykolwiek z was próbował łowić w nich ryby? – spytała.

– Henry próbuje.

– Ryba to też rodzaj mięsa.

Czy Meg lubi ryby?

Vlad się uśmiechnął.

– Dziękujemy za sugestię – powiedział, a ponieważ kobieta wciąż stała w miejscu, dodał: – Czy jest coś jeszcze?

Popatrzyła na Simona w taki sposób, że miał ochotę się cofnąć. Albo odsłonić swoje lepsze zęby w ostrzeżeniu.

– Mój James był dobrym człowiekiem; kochałam go przez wszystkie lata naszego małżeństwa. I kocham go nadal, choć od dłuższego czasu nie żyje. Ale on kochał jeść sery, które śmierdziały jak najgorsze pierdy, tak że człowiek miał ochotę uciec na drugą stronę świata.

Simon zamrugał. Potem podrapał się za uchem. Nie miał pojęcia, jak zareagować na słowo „pierdy”.

– Lubiałś te sery?

– Nie. Ale raz czy dwa razy w roku James nabierał na niego ochoty i kupował akurat taką porcję, żeby zrobić sobie kanapkę. Jego zdaniem to był największy przysmak. Jadł takie kanapki jeszcze przed naszym ślubem i później, każdego wspólnego roku.

– Ale ten ser śmierdział.

– Owszem. Lecz jednocześnie stanowił część tego, kim był mój mąż. Nie prosił mnie, żebym jadła go z nim, a ja nie prosiłam, żeby przestał go jeść. Tak to właśnie działa, gdy dwoje ludzi staje się partnerami. – Twyla zrobiła krok do przodu. Simon wytrzymał tak długo, jak tylko dał radę, a następnie się cofnął. – Masz więcej odwagi, niż teraz pokazujesz, a unikanie tej dziewczyny nie jest dobre dla żadnego z was. Porozmawiaj z nią, wyjaśnij wszystko. Musicie określić, co wzajemnie w sobie akceptujecie.

– Zjadłem człowieka – warknął, przyparty do muru.

– Całego? Musiałeś być bardzo głodny.

– Nie, nie całego! My... – Spojrzał na Vlada, który tylko wzruszył ramionami.

– Naprawdę sądzicie, że nikt stąd – no, może poza dziećmi – się nie

zorientował, co spotkało złodziei? Merri mówi, że gdy łapiecie coś, co nazywacie specjalnym mięsem, wywieszacie tabliczkę na drzwiach rzeźnika, choć ja nie widzę w tym nic specjalnego. No, może tylko, że rzadko polujecie na takie mięso i nie szukacie go na własnym terenie. – Twyla zerknęła na Vlada. – Przynajmniej nie o mięso wam chodzi. – Potem ponownie zwróciła się do Simona: – Czy dobrze myślę, że nie mieszacie tego mięsa z innymi gatunkami?

– Nigdy nie sprzedawaliśmy go u rzeźnika – warknął Simon. Przed przybyciem Meg może i przechowywali trochę w wielkiej chłodni, w końcu mięso to mięso i może się popsuć, jednak potem nauczyli się rozróżniać między tym, co czyste dla nich, i co czyste dla ludzi. A kiedy poznali stado samic, zaczęło im zależeć na tym, żeby nie podawać dziewczynom nic, od czego mogłyby się rozchorować. – Od dłuższego czasu nie przechowujemy tego mięsa w sklepie. Przynajmniej od chwili, w której Meg zadzwoniła do Boone’a i poprosiła go o specjalne mięso dla Sama, nieświadoma tego, co to oznacza.

– W sklepie mieliście jedną paczkę – zauważyła Twyla.

– Ale w osobnej lodówce. No i ta lodówka stała w sklepie przez bardzo krótki czas.

– Na tyle długi, żeby Cyrus połknął haczyk? – Ponownie pokiwała głową, tak jakby potwierdziły się jej przypuszczenia. – Skoro zasłużył na to, by dostać tę paczkę, to ją dostał. Niestety nie mogę powiedzieć, żeby mnie to zaskoczyło. Szkoda tylko, że wdał się w konszachty z tymi złodziejami. Jestem jednak wdzięczna za to, że do akcji wkroczył oficer Kowalski i nie pozwolił Cyrusowi przynieść tej paczki do domu, dzięki czemu dzieci nie zobaczyły jej zawartości.

– Nie mieliśmy zamiaru dopuścić do tego, żeby opuścił Dziedziniec razem z paczką – powiedział cicho Vlad. – Nie pozwolilibyśmy, żeby jego samica i młode zobaczyli to mięso. Sprzedanie mu go miało być dla niego karą i ostrzeżeniem. Kowalski nie był upoważniony do aresztowania Cyrusa, ale pozwoliliśmy mu to zrobić.

– Co udowadnia, że zaczynacie działać jak zespół. – Pani Twyla spojrzała ostro na Simona – tak jak niania spojrzałaby na niesfornego szczeniaka. Tyle że niania mogła go dodatkowo walnąć łapą. – Porozmawiaj z Meg i wszystko sobie wyjaśnijcie.

Poszła na tył sklepu. Chwilę później usłyszeli odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Simon popatrzył groźnie na Vlada. Nadal czuł się jak w potrzasku.

– Nie pomogłeś mi.

– Nie zostałeś zbesztany za to, że zjadłeś człowieka, tylko za to, że zdenerwowałeś Meg, a z tym nie miałem nic wspólnego.

– Ty jesteś w zupełnie innej sytuacji – wymamrotał Simon.

– Nie przejmowałeś się tym, gdy zabiliśmy tych intruzów, a Wilki zaczęły

rozrywać ich ciała na strzępy. Nie przejmowałaś się tym, gdy odgryzłaś rękę i podałaś ją Boone'owi, żeby spakował ją dla Cyrusa. Nie miałaś z tym żadnego problemu aż do chwili, gdy wróciłaś do domu i zobaczyłaś śpiącą Meg – i nie wiedziałaś, czy nadal będziesz przez nią mile widziany. – Vlad odwrócił wzrok. – Pani Twyla ma rację, musisz się dowiedzieć, czy to zmienia wasze relacje.

Simon wiedział, że Vlad ma rację.

Wrócił do układania książek na wystawie, żeby jak najdłużej unikać konfrontacji, której tak się bał.



Meg stała na końcu ogrodu warzywnego w Zielonym Kompleksie i patrzyła na kosze wypełnione cukiniami.

– Czy to normalne?

– Nawet jak na cukinię są to rekordowo duże zbiory. – Ruth jedną ręką otarła z czoła pot, a drugą przycisnęła do dolnej części kręgosłupa i wyprostowała się z wysiłkiem.

– Nadine powiedziała, że weźmie kilka na chleb z cukinią do Czegoś na Ząb – rzekła Merri Lee. Wyciągnęła przed siebie dwie niewielkie sztuki. – Powinnaś je wziąć. – Meg westchnęła, ale przyjęła warzywa. Jedzenie sezonowej żywności było dobre i zdrowe, ale znała już znaczenie powiedzenia: „Co za dużo, to niezdrowo”. – Nie musisz jeść ich dzisiaj – dodała Merri Lee. – Wytrzymają jeszcze dzień lub dwa.

Uff. Posiłek bez cukinii. Oczywiście nie wiedziała jeszcze, co będą jeść – no i może będzie musiała jeść sama.

Wtedy zobaczyła idącego w jej stronę Wilka. Grube futro Simona było poprządkane jaśniejszymi, siwymi włosami. Już od jakiegoś czasu nie odczuwała tego dziwnego uczucia, że nie widzi Simona zbyt wyraźnie, tak jakby na jego sylwetkę nakładał się jakiś większy kształt. Gdy był zdenerwowany, widać było jego prawdziwą postać, tak samo jak wtedy, gdy znajdował się w ludzkiej formie i części jego ciała mimowolnie zmieniały się w wilcze pod wpływem zdenerwowania czy złości. Czy ktokolwiek oprócz niej doświadczał tego samego, patrząc na Innych? A może umiejętność widzenia prorocत्व wypaczała sposób, w jaki postrzegała zwykły świat? O ile któregośkolwiek z *terra indigena* można było nazwać zwykłym.

Ruth i Merri Lee też go dostrzegły.

– Powinnyśmy już iść – rzekła Ruth.

– Nie musicie – odparła szybko Meg.

Merri Lee podniosła jeden z koszy.

– Owszem, musimy. Nie zawsze będziecie się we wszystkim zgadzać, ale z pewnością będziecie nieszczęśliwi do chwili, aż wszystko sobie wyjaśnicie.

– Mam ochotę walnąć go w łeb największą cukinią.

Ruth parsknęła i wzięła drugi kosz.

– Od czasu do czasu każda kobieta ma ochotę walnąć w łeb swojego mężczyznę.

Meg patrzyła, jak przyjaciółki wstawiają plecione kosze do drucianych koszyków na rowerach. Patrzyła, jak przyjaciółki odjeżdżają.

A potem wreszcie spojrzała na Simona, który podszedł nieco bliżej.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.

Simon szedł obok niej. Nie zatrzymywał się, żeby coś powąchać i dowiedzieć się, kto tego dnia przebywał w pobliżu. To było dziwne i zaczęła się zastanawiać, czy on też jest taki nieszczęśliwy.

Otworzyła drzwi jego mieszkania i wpuściła go przodem, a potem poszła do siebie, żeby schować cukinie do lodówki i nalać zimnej wody do dwóch szklanek.

Minutę później Simon otworzył kuchenne drzwi i usiadł przy stole.

Co powiedzieć? Od czego zacząć?

– Byli złymi ludźmi. – Jego głos był chrapliwy, ale w bursztynowych oczach nie zauważyła czerwonych ogników, które wskazywałyby na złość.

Upiła łyk wody.

– To złe, że ukradli mięso z naszego sklepu, tak samo złe, jakby ukradli je z ludzkiego sklepu.

– Tak.

Oczywiście o wiele mądrzej byłoby, gdyby ukradli mięso od ludzkiego rzeźnika. Wtedy policja aresztowałaby ich i nie zostaliby zjedzeni.

– Ilu ich było?

– Czterech.

Nie знаła osobiście wszystkich Wilków, ale wliczając tych, którzy zajmowali się szczeniakami i kompleksem Wilczej Straży, i tych, którzy, tak jak Simon i Nathan, pracowali w bardziej widocznych częściach Dziedzińca, mniej więcej wiedziała, ile Wilków mieszkało w Lakeside.

– Czy ci mężczyźni byli chudzi?

Zmrużył oczy i przekrzywił głowę.

– Nie nazwałbym ich chudymi. Nie byli grubi, ale z pewnością lepiej zbudowani niż Kowalski czy Debany i tak samo jak oni wysocy.

– I stado zjadło całą czwórkę?

Oparł się na krzesło. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Nie. Dwóch Starszych, którzy przebywają na Dziedzińcu, zjadło po jednym, a reszta *terra indigena* dwóch pozostałych.

To wyjaśniało komentarz Jesterka na temat śniadania.

– Sam...?

Simon pokręcił głową.

– Nie daliśmy specjalnego mięsa ani szczeniakom, ani Jedynekowi. Bawią się teraz z ludzkimi szczeniakami i nie chcemy, żeby poczuły się zagubione.

Meg westchnęła ciężko. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego myśl o tym, że Sam i Jedynek mieliby przeżuwać ludzkie mięso, niepokoiła ją bardziej niż myśl o Simonie, rozrywającym jakiegoś człowieka na strzępy. Przejechała palcami po szklance, wycierając skroploną parę. Starła się nie patrzeć na siedzącego przed nią Wilka. Czy powinna o to spytać? Czy w ogóle mogła?

– Jak smakuje ludzkie mięso?

Simon podrapał się za uchem.

– Nie jest tak smaczne jak sarnina, ale smaczniejsze niż kurczak. – Zastanawiał się przez dłuższą chwilę. – O wiele smaczniejsze niż kurczak.

Próbowała zwizualizować sobie obrazki na kartach proroctw, określające poszczególne kategorie smakowitości mięsa. W skali od jednego do dziesięciu sarnina dostałaby dziesięć, a kurczak – jeden? Czy krowy i świnię dostałyby siedem albo osiem? A ludzie – cztery, pięć?

– Meg? O czym myślisz?

Powiedziała mu.

Przyjrzał się jej uważnie, a potem odparł powoli:

– Nie potrzebujesz takich kart.

Racja. Ale...

– Czy gdyby to zostało tak zilustrowane, to byłoby bardziej precyzyjne?

– W miarę.

– Czyli specjalne mięso nie jest specjalne, dlatego że wam smakuje, tylko dlatego że rzadko macie okazję je jeść.

Gdy rozległ się dzwonek jego telefonu, odetchnął z ulgą. Wyjął komórkę z kieszeni spodni.

– Czego? – Przez chwilę słuchał, a potem popatrzył na Meg. – Kowalski idzie po pizzę. Chcesz też?

– Tak. – Mogła nawet pokroić i podsmażyć jedną z cukinii.

– Dzięki – rzucił Simon, a potem się rozłączył.

Meg chciała wstać od stołu, ale uświadomiła sobie, że ma jeszcze jedno pytanie.

– Czy gdyby ci mężczyźni spróbowali ukraść coś innego niż jedzenie, to też byście ich zabili?

– Rok temu? Tak, zabilibyśmy ich. Teraz? – Spojrzał jej w oczy. – Pogryźlibyśmy ich w ramach ostrzeżenia dla innych ludzi, ale prawdopodobnie wezwalibyśmy Montgomery’ego i pozwolilibyśmy, żeby sprawą zajęło się stado policjantów.

Po tym, jak Simon pojechał PNK na rynek, żeby odebrać pizzę, Meg wzięła się za gotowanie jednej z cukinii.

Śmierć, policja, więzienie. To wszystko, co się dziś wydarzyło, miało zaowocować niebezpieczeństwem i tym, że w jakiś sposób znajdzie się w lesie i nad grobem.

Powinna powiedzieć o tym Simonowi. I powie mu. Ale nie dzisiaj. Gdyby zobila to teraz, jeszcze bardziej sprowokowałaby Innych, a nie chciała nikogo drażnić, tylko dlatego że znów czuła mrowienie na języku.

Oparła dłonie o kuchenny blat. Nie chciała ciąć się w język. Mogła wyrządzić sobie nieodwracalną krzywdę. A *cassandra sangue*, która nie mogła wyraźnie mówić, była bezużyteczna dla ludzi, którzy podróżowali do kompleksów, by kupić sobie spojrzenie w przyszłość. Wkrótce jednak jej język zacznie krwawić i Meg zobaczy prorocstwo czekające na ujawnienie.



Im więcej czasu spędzał w pobliżu ludzi, tym w większe zakłopotanie go wprawiali. Wszystkie inne drapieżniki, z jakimi zapoznali się *terra indigena*, mieli logiczną strukturę społeczną. Ale nie ludzie!

Wjechał na parking dla pracowników, wysiadł z PNK i otworzył drewniane drzwi, stanowiące przejście między parkingami dla pracowników i klientów.

Na razie po Kowalskim ani śladu.

Może i nie zjadali się nawzajem, ale przez cały czas ludzie zabijali ludzi. Widział to na własne oczy, kiedy Lawrence MacDonald został zabity podczas ataku LPiNW. Ludzkie stado opłakiwało swego członka, ale nie zmieniło zachowania wobec *terra indigena*. Tak naprawdę śmierć MacDonalda i Crystal Wroniej Straży sprawiła, że więź między ludźmi a Innymi tylko się wzmocniła.

Czyżby akceptowali fakt, że *terra indigena* jedzą ludzkie mięso, ponieważ uświadomili sobie, że jako mieszkańcy Dziedzińca stali się kimś innym? A może akceptowali to, bo zrozumieli, że oni również są postrzegani jako mięso przez *terra indigena* mieszkających w Lakeside i obszarach z nim powiązanych, takich jak Wielka Wyspa, Talulah Falls czy Osiedle Nadrzeczne?

Simon patrzył, jak Kowalski i Pete Denby wjeżdżają na parking dla klientów. Montgomery wyszedł z budynku mieszkalnego i ruszył chodnikiem. Porucznik zdawał się nasłuchiwać, ale Simon nie słyszał żadnych niepokojących dźwięków.

W końcu Kowalski otworzył drzwi zaplecza i wyjął wielką pizzę.

– Nie wiedziałem, czy dołączą do nas Sam i Jedynak, a chciałem, żeby w razie czego wszyscy się najedli – powiedział. – Wziąłem połowę z pepperoni i kielbasą, a drugą połowę wegetariańską.

Simon wziął od niego pudło.

– To dobrze. Ile jestem winien?

– Dzisiaj my stawiamy. – Próbował mu coś zrekomensować. Pomóc

w zajmowaniu się stadem. Kowalski zamknął drzwi na zaplecze, ale nagle się zawahał. – Masz w domu jakieś mięso? Coś zamrożonego?

– Kawalki bizoniny.

– Ostatnio Ruth ugotowała gulasz wołowy. Część zamroziła w kilku pojemnikach. Jeden pewnie nie wystarczyłby na nasze apetyty, ale dla dziewczyn, dla Meg...

– Spyta ją. Dziękuję za pizzę.

Simon zamknął drewniane drzwi między parkingami. Nie był zaskoczony, gdy po chwili usłyszał odgłos szarpania za klamkę – to Kowalski sprawdzał, czy drzwi na pewno są zamknięte.

W drodze powrotnej do Zielonego Kompleksu myślał o słowach, które padły. „Nasze apetyty”. Wilk mógł zjeść kilka kilogramów mięsa na raz, o wiele więcej, niż pomieściłby ludzki żołądek. Ale Kowalski ujął to tak, jakby różnice występowały między samcami a samicami, a nie między ludźmi a Wilkami.

Nie wiedział, co to oznaczało, pomyślał jednak, że to interesujące.



Jimmy siedział na tarasie, odkąd ten glina przywiózł go do domu. Rozmyślał. Gdyby nie było Sandee, spakowałby jedną torbę, zabrał swoje pieniądze i biżuterię, którą żona trzymała w ukryciu, i wsiadłby w pierwszy lepszy autokar – dokądkolwiek, byle dalej od tej suki i jej gówniarzy. Ale ona była w domu i znów jęczała, że brakuje pieniędzy i jedzenia, aż wreszcie musiał jej pokazać swoją pięść. Nie było potrzeby jej używania – przynajmniej niezbyt często – Sandee od razu się zamykała i zostawiała go samego.

Jego plan był przecież dobrze przemyślany. Miał zadziałać. Jego ludzie mieli bez problemu wejść na Dziedziniec i się z niego wydostać. A zamiast tego zostali zabici i...

Przełknął głośno ślinę; poczuł, jak wszystko mu się cofa.

Co było nie tak z ludźmi w tym mieście? Zachowywali się, jakby jedzenie ludzi przez te pieprzone dziwadła było czymś normalnym. W Toland coś takiego nigdy by się nie wydarzyło! Tam zwykli ludzie nie musieli oglądać Innych, nie musieli martwić się tym, że zostaną podrapani, pogryzieni albo o wiele gorzej. Nie wydarzyłoby się to w wielkim ludzkim mieście, w odpowiednim ludzkim mieście. Ale tu wszyscy gliniarze zostali złamani, przekupieni przez te dziwołagi. Nawet ten sukinsyn Burke dla nich pracuje. Bo dlaczego aresztowaliby mężczyznę, próbującego tylko zadbać o swoją rodzinę, zamiast zastrzelić te stwory? Dlaczego Kowalski, ten wielbiciel Wilków, aresztowałby człowieka, któremu celowo sprzedano...

Starał się o tym nie myśleć.

Te dziwadła wiedziały, że jego ludzie mają napaść na sklep. Wiedziały

o tym, jeszcze zanim on do końca to zaplanował. Jak to możliwe?

Nagle uświadomił sobie, że w mieszkaniu coś się dzieje – ta beksa Fanny płacze za mamą, a Clarence...

Jimmy wstał z krzesła i wszedł do środka, żeby ustawić bachory do pionu. Zatrzymał się jednak w drzwiach sypialni.

Clarence z nożem do masła w ręku ganiał Fanny po salonie i śmiał się, wymachując przy jej twarzy.

– Potnę cię, ty suko! Zamienię cię w dziewczynę z bliźniami. Wtedy będziesz mówić przepowiednie i zarobisz dla nas mnóstwo forsy.

– Mamusiu! – wrzeszczała Fanny.

Słyszał coś o dziewczynach z bliźniami, ale jak miał to sobie przypomnieć, skoro Fanny darła się jak opętana? Jeśli nie skończy, zaraz do drzwi zaczną się dobijać jebani gliniarze...

– Przestań! – ryknął. – O co wam chodzi, do cholery?!

Radość na twarzy Clarence'a zamieniła się w nieufność.

– Tatusiu, my tylko tak się bawimy.

– O co chodzi z tą dziewczyną z bliźnią? – Jimmy zignorował Fanny, która z płaczem wybiegła, i skupił się na chłopaku. – No?

– Chodzi o te dziewczyny z bliźniami. Pamiętasz, tatusiu? Widzieliśmy je w telewizji. Dziewczyny, które widzą przyszłość.

– Pamiętam. Ale dlaczego dokuczasz w ten sposób Fanny?

– Bo na Dziedzińcu mają taką jedną, nazywa się Meg. Ma krótkie czarne włosy i kumpluje się z sukami policjantów.

Mgliste wspomnienie... ostrzeżenie przed jakąś Meg. A potem przypomniał sobie coś więcej. Widział ją, gdy ten szczeniak od Wilków zaatakował Clarence'a. Jego chłopiec odniósł rany, powinien trafić do szpitala, ale wszyscy zajęli się jakąś zdzirą, która miała tylko rozwaloną wargę.

Czy to była ta Meg?

Nagle ktoś zaczął walić w drzwi mieszkania. Sandee wyszła z kuchni, spojrzała na niego, a potem pośpieszyła, żeby otworzyć.

W drzwiach stał CJ z pudełkiem pizzy. Czy naprawdę sądził, że po tym, czego się dopuścił na komisariacie, odkupi swoje winy jakąś pizzą? Po tym, jak potraktował własnego brata, jak pokazywał mu te pieprzone zdjęcia odgryzionej ręki, jak próbował go nastraszyć, żeby przyznał się do czegoś, czego nie zrobił?

Nie. Nie CJ. Burke. Tak. To Burke się na niego uparł. To on próbował go wystawić. Ten sukinsyn mógł sam powybijać jego ludzi i zabrać całe mięso od rzeźnika, mógł osobiście odciąć tę rękę i zapłacić dziwolągom, żeby podrzuciły ją człowiekowi, którego jedynym przewinieniem było to, że próbował nakarmić swoją rodzinę. Tak. Tak – to Burke go wystawił. Ale CJ mu pomagał.

Sandee wzięła pudełko z pizzą, zamknęła drzwi i pobiegła do kuchni. Jimmy

podążył za nią, złapał bachory i odciągnął od stołu. On je pierwszy. Zawsze o tym zapominali.

Naczynia nadal stały brudne w zlewie, więc Sandee rozłożyła papierowe ręczniki. Gdy otworzyła pudełko, Jimmy poczuł narastającą wściekłość.

– Co to jest? – spytał ostro.

– CJ kupił dużą pizzę, żeby się z nami podzielić – odparła, nieco przestraszona jego tonem.

– Rzuca ci jakieś ochłapy, a ty jesteś gotowa paść na kolana i dać mu wielkiego buziaka.

– Jimmy! – Popatrzyła z przerażeniem na bachory. A potem na jej twarzy pojawił się ten upór, jak zawsze, gdy przestawała zachowywać się tak, by go zadowolić. – Jeśli nie chcesz jeść resztek od brata, to ich nie jedz. Ale w domu nie ma nic innego.

Spojrzał na Fanny. CJ ostatnio jakby bardziej się nią interesował. Czyżby była kolejnym przykładem resztek po bracie? Nic dziwnego, że nigdy nie lubił tej małej zdziry.

Sandee sięgnęła po pizzę, ale Jimmy ją odepchnął. Zabrał wszystkie kawałki, wyjął z lodówki ostatnie piwo i wrócił na taras, żeby spokojnie zjeść. Niech się biją o resztki.

Wgryzł się w pizzę. Przeżuł. Przełknął. Myślał o tym, jak od czasu przyjazdu do Lakeside nic nie szło po jego myśli. Musiał jakoś się wydostać z tego pieprzonego miasta. Było za małe, za bardzo ograniczało takich przedsiębiorczych ludzi jak on. Potrzebował czegoś, co przyniesie mu pieniądze, dzięki czemu będzie silniejszy, co pozwoli mu żyć tak, jak chciałby żyć.

Przeżuł. Przełknął. Myślał.

Potrzebował jakiegoś sposobu, żeby zyskać przewagę nad dziwadłami i glinami. Potrzebował jednej z tych dziewczyn od przepowiedni – i czy to nie zrządzenie losu, że jedna z nich była na miejscu, pod ręką? Wystarczyło naciąć jej skórę i już można zarobić majątek. W zamian za nową tożsamość mógłby zaproponować dobremu fałszerzowi przepowiednię. I wtedy wreszcie byłby kimś w jednym z dużych ludzkich miast. Mógłby ominąć zakaz podróżowania i dostać się do Sparkletown na Zachodnim Wybrzeżu, a potem wkręcić się w branżę filmową. Mógłby wykorzystać tę dziewczynę, żeby mówiła reżyserom i scenarzystom, czy dany film będzie hitem, jeszcze zanim zatrudnią pierwszego aktora. Mógłby mieć mnóstwo pięknych kobiet, gotowych na wszystko, byleby tylko ujawnił im ich przyszłość.

Tak. Właśnie tak powinien żyć. Musiał tylko wybrnąć z tego gówna – i wyciągnąć z Dziedzińca dziewczynę z bliznami, a potem razem z nią uciec z tego pieprzonego miasta. Tym razem jednak uczyni to sam. Nie zaufa żadnym nieudacznikom, którzy nie potrafią zwinąć zwierzętom nawet kawałka mięsa.

Gdy słońce zaszło i zapalono latarnie, Cyrus James Montgomery miał nowy plan.

Rozdział 21



Czwartek, 23 sierpnia

Meg śniła o ujawnionym przez karty prorocctwie. Karty urosły wielkie jak drzewa i zaczęły ją otaczać. Zamknęły ją w sobie. Tak strasznie chciało jej się pić. Jak dawno piła świeżą wodę? Pić. *Zakapturzona postać z kosą. Radiowóz. Mężczyzna w więzieniu. Niebezpieczeństwo!* Pojawiły się kolejne karty, cały czas z tymi samymi obrazkami, aż wreszcie same utworzyły więzienie. *Drzewa. Nagrobek. Lustro. Drzewa. Nagrobek. Lustro.* Zamykały ją – powoli, ale nieubłaganie. Chciała uciec, odwróciła się, zrobiła krok, potknęła się. Upadła. Przed nią znajdował się stos liści. Wyciągnęła ręce, żeby zamortyzować upadek. Jej dłonie zniknęły wśród liści, dotknęły czegoś pod spodem. Zimnej dłoni. Coś dotknęło jej ręki. Krzyknęła, rzuciła się, próbowała zadać cios. Miała ułamek sekundy, żeby uświadomić sobie, że jest wolna; a potem coś miękkiego zaczęło ją bić po ramionach, plecach, pośladkach...

– Meg!

Znalazł mnie. Z ulgi zakręciło się jej w głowie. Znalazł mnie!

– Simon! – Rzuciła się w stronę źródła głosu. Jej dłonie zacisnęły się na czymś miękkim, ale to nie był Simon. – Simon!

Dłonie ponownie ją złapały, pociągnęły w stronę czegoś nieznanego, ona natomiast złapała za mocno owłosione ludzkie ramiona.

Ktoś włączył światło. Oślepiło ją. Potem rozległ się głos Vlada:

– Cholera! Co tu się dzieje?

– Nie wiem – warknął Simon. – Meg? Meg! Spójrz na mnie. Obudziłaś się?

– Ja... – Czy już się obudziła? – Była zimna... Dłoń taka zimna...

– Wcale nie mam zimnych dłoni. Meg, spójrz na mnie. – Popatrzyła mu w twarz, nie wiedząc, co się stało ani dlaczego jest zły. Czy naprawdę się obudziła czy może nadal śniła? – Nie jestem nagi – powiedział Simon.

Nie wiedziała, dlaczego miałyby to być ważne, ale odrzekła:

– W porządku.

Wyglądało na to, że jej odpowiedź go usatysfakcjonowała.

Nagle coś walnęło w drzwi wejściowe. Mocno. Meg rzuciła się na Simona, objęła go – rękami za szyję, a nogami w pasie. Złapał ją opiekuńczym, ochronnym gestem.

– Meg, wszystko w porządku. To tylko Henry.

– I Jester – powiedział Vlad. – I Tess. – Po chwili dodał: – Możesz już zejść z Simona.

Ona jednak złapała go jeszcze mocniej. Z radością przyjęła jego słowa:

– Nie musi.

– Wpuszczę Henry’ego, zanim wyważy drzwi – rzekł Vlad. – Powinniśmy porozmawiać o tym, co się wydarzyło.

Gdy Vlad wyszedł z sypialni, Simon westchnął. Poczula na szyi ciepło jego oddechu.

– Miałaś koszmar? – spytał.

Owszem, to przypominało sen, ale czy rzeczywiście nim było?

– Nie wiem. Widziałam... czułam... różne rzeczy.

Złapał ją jeszcze mocniej.

– W takim razie lepiej powiedz nam, co z niego pamiętasz.



Simon wyjął z lodówki dzbanek i nalał wodę do szklanki. Wypił połowę, nalał raz jeszcze, a potem odstawił dzbanek i wrócił do salonu.

Meg siedziała na sofie obok Henry’ego; podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi ramionami. Wyglądała jak mała, przerażona dziewczynka. Tess siedziała na stoliku, Vlad oparł się o sofę, a Jester przykucnął z boku stolika, żeby wszystko widzieć i słyszeć, ale jednocześnie nie przeszkadzać. Upierzeni mieszkańcy Zielonego Kompleksu siedzieli na barierkach na tarasie, gdzie słyszeli

wszystko przez otwarte okno.

– Proszę. – Simon wyciągnął szklankę do Meg, ale ona tylko się na nią gapiła. – Obudziłaś mnie, bo chciało ci się pić, więc przyniosłem ci trochę wody. Tak się to wszystko zaczęło.

Nie wzięła szklanki, więc odstawił ją na podłogę i usiadł. Umysł Meg nie działał zbyt dobrze, co bardzo go martwiło. Miał wrażenie, że nie potrafił się otrząsnąć po zobaczeniu obrazów z proroctwa, a potem fizycznego świata.

Aż wreszcie Tess powiedziała:

– Mów, wieszczko, a my cię wysłuchamy.

W odpowiedzi na zawarte w tych słowach obietnicę i polecenie Meg spojrzała na Tess i opowiedziała im o wszystkim, co pamiętała. O kartach, które wyciągnęła poprzedniego dnia, i o tym, co miało wydarzyć się po wypełnieniu proroctwa z pierwszych trzech. Opowiedziała im wszystkie szczegóły swego snu – które stanowiły jego treść i kontekst.

Czyżby zawsze widziała tyle szczegółów, ale została tak wytrenowana, by skrócić to, co zobaczyła, do serii obrazów, które miał zinterpretować ktoś inny? A może było tak jak w przypadku szczeniaka Jacksona, Nadziei, która rysowała kilka kresek, przypominających wyjącego Wilka, ale potem potrafiła dorysować kilka szczegółów, po których można było rozpoznać konkretnego osobnika? Może takie sny były jedynym sposobem na to, by mózg Meg powiedział jej więcej bez cięcia skóry?

Głos Włada. Uspokajający, niemal uwodzicielski, wypyujący ją o detale. Czy na tej dłoni były jakieś pierścionki? Jaki był kolor skóry? Czy w świetle księżyca potrafiła dostrzec kolor ubrań?

Odpowiadała na jego pytania. Nie czuła radości, tak jak podczas cięcia i wypowiedzania proroctwa, ale jej głos był podobnie rozmarzony.

Zamknęła oczy i oparła się o Henry'ego. Potem je otworzyła, zamrugła, popatrzyła po wszystkich i spytała:

– Czy mamy tu jakąś wodę? Chce mi się pić. – Simon ponownie podał jej szklankę. Wypiła całość duszkiem i wstała. – Nadal chce mi się pić.

Zanim Simon zdołał ją powstrzymać, Jester zerwał się z miejsca.

– Pomogę ci znaleźć wodę. – Zabrzmiało to tak, jakby mieli znaleźć jakiś strumień w ciemnościach, a nie odkręcić zwykły kurek. Ale Meg nie powiedziała nic, co sugerowałoby, że słowa Jester'a ją dziwią.

Simon poczekał, aż Meg i Jester znajdą się w kuchni. Potem popatrzył po wszystkich w pokoju.

– Myślicie, że jest chora?

Vlad stanął przed sofą.

– Nie, nie do końca chora.

– Ludzie czasem chodzą przez sen – rzekła Tess. – Rozmawiają z innymi

ludźmi, robią coś w domu, a nawet wychodzą z niego. A rano nic nie pamiętają.

– Wcześniej tego nie robiła.

– Miewała już niepokojące sny, ale teraz to było coś innego, coś, o czym powinna się dowiedzieć Emily Faire – odparł Vlad. – To może oznaczać, że coś jest nie tak – albo że wszystko jest w porządku. Intuicji nie ranią się po to, żeby mieć przeczucie, że wydarzy się coś złego. Może na początku *cassandra sangue* też się nie cięły? Może śniły o przyszłości, a potem przez przypadek odkryły, że cięcie daje im kontrolę nad czasem i miejscem widzenia wizji?

– Kontrola nad czasem, miejscem i euforią, która zasłaniała ich umysły i uniemożliwiała zobaczenie rzeczy, które mogłyby przerazić młodą dziewczynę tak bardzo, że postradałaby zmysły – dorzuciła Tess.

Simon skinął głową.

– Musi ją obejrzeć ludzkie chodzące ciało.

– Może powinna spędzić kilka dni na Wielkiej Wyspie? – zaproponował Henry. – Mogłaby z nią jechać Merri Lee. Pilnowaliby ich Steve Przewoźnik i Ming Niedźwiedzia Straż.

We włosach Tess pojawiły się szerokie czerwone pasma, które zaczęły się kręcić. Spojrzała na Niedźwiedzia.

– Ale po co? To by ją tylko zdenerwowało.

– Owszem. Ale byłaby poza zasięgiem potencjalnych wrogów.

Simonowi zrobiło się zimno, rozumiał jednak, o co chodzi.

– Nocne wizje Meg są takie same jak nocne wizje każdego człowieka – zwrócił się do Tess. – Była na zewnątrz, w ciemnościach, ale nadal widziała na tyle dobrze, by móc opisać to, co ją otaczało.

– Ale przecież w jej śnie karty prorocत्व miały wielkość drzew. – Tess zaczęła się z nim spierać. – A co to, co widziała we śnie, ma wspólnego z wysyłaniem jej na Wielką Wyspę?

– Vlad spytał ją, co widziała w świetle księżyca. Nie poprawiła go, nie powiedziała, że to było światło latarki, ogniska czy jakiegokolwiek inne, dzięki któremu mogła widzieć w ciemności.

We włosach Tess pojawiły się czarne pasemka.

– Żeby widzieć w ciemnościach, Meg potrzebuje jakiegoś źródła światła, a w przyszłym tygodniu będzie pełnia.



Meg popatrzyła na szklankę, którą trzymała w dłoni. Potem na zegar. A potem na Kojota.

– Jesterze! Co robisz w mojej kuchni o tej porze nocy?

– Powinnaś mnie raczej spytać, co robię tu rano, bo za chwilę będzie brzask. – Przyjrzał się jej. – Obudziłaś się już?

Dlaczego wszyscy ją o to pytają? Nagle sobie przypomniała.

Sen. Wizja. Coś pomiędzy. Zdarzyło się jej to już kilka razy od czasu, gdy przyjechała na Dziedziniec. Za pierwszym razem była pewna, że prowadzi PNK w nocy i że Sam nie przestanie wyć. Ale ona i Sam byli na zewnątrz i szykowali dostawy w dziennym świetle – a szczeniak nie umiał jeszcze wyć. Potem był sen o cięciu i widzeniu prorocstwa. Dzięki temu w prawdziwym świecie udało się jej ocalić Simona i resztę Wilków. To była kolejna osobista wizja, ostrzegająca ją przed czymś, co wydarzy się w jej życiu. Co jednak nie tłumaczyło faktu, że Kojot jest w jej kuchni o tej godzinie.

– Dlaczego tu siedzimy?

– Bo chciało ci się pić. Przyszedłem z tobą, żeby pomóc ci znaleźć wodę.

Popatrzyła w stronę zlewu.

– Wydaje mi się, że sama potrafię znaleźć kurek.

– Skoro szukasz kurka zamiast strumienia, to chyba wreszcie się obudziłaś.

Dlaczego miałyby szukać strumienia? To nie miało najmniejszego sensu.

I nie była to jedyna rzecz, która nie miała sensu.

– Czy Simon uderzył mnie gęsią?

Jester zaczął się śmiać.

– Uderzył cię poduszką, ale ponieważ niektóre z poduszek zostały wypchane gęsim pierzem, to mogło ci się pomylić.

Nagle usłyszała grzmiący głos dochodzący z salonu. Znała go, ale i tak spytała:

– Kto jeszcze tu jest?

– Henry, Tess i Vlad.

Westchnęła.

– Czyli to musiał być bardzo głośny sen.

– To było najzabawniejsze. Chociaż teraz wszyscy będziemy musieli się zdrzemnąć. – Powiedział to z rozbawieniem w głosie, co powinno ją zmartwić.

Wypiła wodę i postawiła szklankę obok zlewu.

– Wracam do łóżka. Wstanę, jak już będzie dzień.

– Najpierw powinnaś się wysikać. Dużo wypiałaś, nawet jeśli tego nie pamiętasz.

Ponieważ jej pęcherz nagle się z nim zgodził, poszła za radą Jester. Sama przed sobą przyznała, że zachowuje się trochę tchórzliwie, ale zakradła się z powrotem do sypialni, nie mówiąc ani słowa do przyjaciół, którzy nadal dyskutowali w jej salonie.



Jester uśmiechnął się triumfalnie.

– Teraz, gdy wszyscy się obudziliśmy, Meg poszła do łóżka.

Simon wyjrzał przez okno.

– Dlaczego? Przecież pora wstawać.

Jester wzruszył ramionami.

– Ludzkie poczucie czasu jest mniej logiczne niż nasze.

– Teraz nic z tym nie zrobimy – rzekł Vlad. – Dostaliśmy ostrzeżenie przed nadchodzącym niebezpieczeństwem, znamy też jego skutki.

– Nie wiemy jednak, na czym polega to niebezpieczeństwo – mruknął Henry i spojrzał na Simona. – Porozmawiasz z Meg o kilkudniowym wyjeździe na Wielką Wyspę?

– Przecież tam są drzewa.

– Ale z pewnością nie będzie tam żadnego ciała pod liśćmi – powiedziała Tess. – Gdyby coś takiego tam było, Intuici od razu mieliby przeczucie, a do tej pory *terra indigena* z pewnością już by to znaleźli.

Simon podrapał się po czole.

– Ale to może się nie wydarzyć podczas pełni w przyszłym tygodniu. To może się zdarzyć na przykład za miesiąc.

– Mało prawdopodobne – rzekł Henry. – Ostatnio wizje naszej Meg coraz częściej dotyczą najbliższej przyszłości.

– Simonie, porozmawiaj z nią – rzekł Vlad. – Porozmawiaj też z Blairem i Nathanem, żeby wiedzieli, że wieczorami może się coś wydarzyć. A ja porozmawiam z Dziadkiem Erebussem i Nyx.

Jester wymknął się z mieszkania Meg i poszedł do siebie, żeby zdjąć spodnie, które założył, gdy zaczęło się to całe zamieszanie. A potem zmienił się w Kojota i pobiegł zdać relację dziewczynom znad jeziora.



Jimmy poszedł w stronę najbliższego przystanku autobusowego na ulicy Głównej, żeby złapać jeden z porannych autobusów. Musiał się dowiedzieć kilku rzeczy i wykonać kilka telefonów, a przecież nie mógł zrobić tego z mieszkania. Po pierwsze nie mieli telefonu. Można by pomyśleć, że dziwadła powinny zapewnić im telefon, nawet najtańszy, gówniany automat na monety, ale nie. Albo dzwoniłeś z komórki, za którą musiałeś płacić, albo korzystałeś z naziemnej linii telefonicznej – też na własny koszt.

Założyłyby się o własne buty, że Sissy i mama nie musiały płacić za telefony w swoich mieszkaniach. Nieważne. Wbrew temu, co powiedział Sandee, miał telefon komórkowy. Pozbędzie się go, gdy tylko uda mu się zrealizować plan.

Dzisiaj o wiele bardziej denerwujący był brak książki telefonicznej w mieszkaniu. Pewnie zabrali ją ostatni najemcy. Co oznaczało, że musiał znaleźć jakiś bar albo inne miejsce, w którym jest książka telefoniczna, by mógł ją przejrzeć podczas śniadania.

Autobus podjechał na przystanek i zaczęli do niego wsiadać ludzie jadący do pracy. Niektórzy z nich uśmiechali się do tych, którzy byli już w autobusie. Może razem pracowali. Inni znajdowali puste miejsca obok siebie i zajmowali oba, przez co pozostali pasażerowie musieli prosić o przesunięcie plecaka czy bagażu. Jimmy był na tyle duży i groźnie wyglądający, że nie potrzebował plecaka, by zająć dodatkowe miejsce. Wystarczyło, że na kogoś spojrzął, a ten dochodził do wniosku, że najbezpieczniej będzie postać.

Gdy odjechali z przystanku, Jimmy zaczął się odprężyć.

Większość nocy spędził na rozmyślaniu nad swoim planem, analizowaniu wszystkiego krok po kroku. O wiele łatwiej byłoby mu wrócić i odzyskać renomę w Toland czy Dyspozytorni, ale byłyby to pierwsze miejsca, w których szukaliby go CJ i inni gliniarze. Musiał więc znaleźć sobie nowe miasto, na tyle duże, żeby mógł w nim zniknąć. Shikago. Tak, rozpocznie nowe życie w Shikago; da sobie czas na naukę korzystania z nowego nabytku i zbierze dostatecznie dużo pieniędzy, żeby pojechać w dowolne wybrane przez siebie miejsce w Thaisii. Osiądzie na Zachodnim Wybrzeżu i stanie się zakulisową grubą rybą.

Nabytek. Bardzo mu się podobało to słowo. Czuł się jak biznesmen. Powinien zainwestować w garnitur i kilka eleganckich koszul. To z pewnością przyciągnie o wiele lepszych klientów niż hołota, z którą współpracował do tej pory. Jego nabytek pomoże mu znaleźć właściwych ludzi, takich, którzy będą w stanie płacić wysokie honorarium.

Dziewczyna mogła mu pomóc w załatwieniu wielu spraw. Zrobi to, gdy tylko zrozumie, kto tu rządzi.

Rozdział 22



Czwartek, 23 sierpnia

Jimmy spędził poranek na wybieraniu potrzebnych rzeczy, cały czas mając na uwadze fakt, że największą szansę na sukces ma dzisiaj, na samym początku przerwy na lunch. Gliny i Inni z pewnością nie spodziewali się, że tak szybko przejdzie do działania po tym, jak jego ludzie spieprzyli sprawę. Z pewnością nikt nie spodziewał się żadnej grubszej akcji.

Wokół dworca autobusowego i stacji kolejowej były firmy, w których można było na kilka dni wypożyczyć samochód, ale nawet w nich wymagano podania adresu i zapłaty z góry kartą albo gotówką. Lepiej byłoby wypożyczyć jakiś lepszy samochód – wtedy było mniejsze ryzyko, że się popsuje, a przecież miał jechać bardzo daleko – jednak kradzież starego złomu z pewnością nie zostanie zgłoszona na policję w godzinę po tym, jak upłynie termin jego oddania.

Ponieważ nie potrafił się zdecydować, pojechał taksówką na uniwersytet – nie chciał tracić czasu w oczekiwaniu na kolejny autobus. W księgarni obok kampusu były mapy wszystkich regionów. Kupił te dotyczące Północnego

Wschodu, Wyżyn Północnego Wschodu i Południowego Wschodu – regionów w jego zasięgu. Wzdłuż wybrzeży można było znaleźć rybaków na niewielkich łodziach, którzy regularnie kursowali ze swymi towarami, łowili ryby i od czasu do czasu podrzucali jakichś podróżnych na drugą stronę granicy. To był plan awaryjny, na wypadek gdyby Shikago okazało się nie najlepszym pomysłem.

Sprzedawczyni kilka razy wspomniała, że wiele z tych map straciło na aktualności – niektóre zaznaczone miejsca już nie istniały albo nie znajdowały się pod kontrolą ludzi. Może być trudno znaleźć benzynę, jeśli opuści się oficjalne, płatne drogi, na których zbudowano miejsca do odpoczynku i tankowania. Poza tym należało zaplanować punkty postojowe – nie mógł ryzykować nocnej jazdy, zwłaszcza po drogach znajdujących się na dzikich terenach, a motele i hotele zbudowane przy płatnych trasach bardzo szybko się zapełniały.

Uśmiechnął się do dziewczyny i podziękował za pomoc, tak jak zrobiłby to CJ. Wyjaśnił, że mapy to jego hobby – po prostu lubi mieć informacje na temat różnych miejsc – ale ma do załatwienia pewną sprawę na Wielkiej Wyspie, a nie chce wynajmować taksówki na cały dzień. Czy sprzedawczyni mogłaby mu coś zasugerować?

Spodziewał się, że dziewczyna wyjmie książkę telefoniczną i pokieruje go do znanych mu już firm, ale ona wskazała wielką tablicę ogłoszeniową w przedsiionku sklepu, wiszącą tuż obok telefonu. Czasami studenci wypożyczali swoje samochody na dzień lub dwa, żeby zarobić na utrzymanie. Z reguły wypożyczali je innym studentom, ale przecież on sprawiał wrażenie takiego miłego faceta, a jednodniowa wycieczka na Wielką Wyspę z pewnością nie zaszkodzi żadnemu pojazdowi. Mógł sprawdzić, które auta są tego dnia dostępne.

Podziękował sprzedawczyni raz jeszcze i poszedł przeczytać ogłoszenia. Znalazł kilka samochodów, które mogłyby się nadać – na tyle nowe, żeby nie musiał się martwić ewentualną awarią na dzikich terenach, ale wystarczająco stare, by nie zwracały uwagi glin.

Dwa pierwsze numery, pod które zadzwonił, nie wypaliły – samochody były już wynajęte. Ale trzeci był nadal dostępny, a jego właściciel mieszkał kilka przecznic od księgarni.

Jimmy udał się pod podany adres. W ciągu kilku minut dał sto dolarów niechlujnie wyglądającemu chłopakowi, upewnił się, że dowód rejestracyjny i potwierdzenie ubezpieczenia znajdują się w schowku, i obiecał zatankować, zanim zwróci pojazd właścicielowi.

Jechał ostrożnie, po części żeby uspokoić idiotę, który właśnie oddał swój samochód obcej osobie, a po części, dlatego że nie chciał zostać zatrzymany z jakiegoś błahego powodu. Gdy zobaczył szyld baru, zaparkował i postanowił wejść do środka, żeby przyjrzeć się mapom.

W pierwszej fazie swego nowego przedsięwzięcia chciał zostać w Regionie

Północno-Wschodnim, musiał więc ruszyć na południe albo na wschód. Z Lakeside na południe prowadziła tylko jedna droga, poza drogą płatną, ale rozgałęziała się ona niczym palce dłoni. Kciuk jechał na południe, w stronę jeziora Etu, a potem skręcał na zachód do Shikago. Palce się rozgałęziały, niektóre prowadziły do Regionu Południowo-Wschodniego, a reszta na wschód do Jezior Palczastych. Mógł sprawić, by wszyscy myśleli, że udał się do Shikago – CJ z pewnością spodziewał się, że brat pojedzie właśnie tam – a potem udać się jedną z tych rozgałęziających się dróg w stronę Jezior Palczastych i zmieniać trasę za każdym razem, gdy drogi będą się krzyżować w jakimś mieście. Planował przez cały czas kierować się na wschód, w stronę wybrzeża. Oddali się od Lakeside na tyle, że CJ nie będzie miał pojęcia, gdzie zacząć szukać. A ponieważ nie będzie jechał samochodem z wypożyczalni, glinom będzie jeszcze trudniej go namierzyć.

Złożył mapy i dopił kawę. Wyszedł z baru szeroko uśmiechnięty. Gdy już uda mu się wywieźć swój nabytek z Lakeside, będzie wiedział, którymi drogami zmierzać, by zmylić policję i dziwadła.

Pojechał w stronę Dziedzińca. Pora wprowadzić w życie ostatnią część planu.



– Czy to jest czas zabawy?

Simon odłożył zamówienie na książki, które próbował wypełnić dla jednej z osad *terra indigena*, i spojrział na Vlada. Ten wzruszył ramionami, a następnie skupił się na Eve Denby; składała zwykle słowa w taki sposób, że nie miały sensu. – Czy ludzie wyznaczają swoim szczeniakom czas na zabawę?

Nic dziwnego, że ludzie zachowywali się osobliwie. Szczeniaki się bawiły. Dużo. W ten sposób dowiadywały się mnóstwa rzeczy o świecie. Bawiły się ze szczeniakami w swoim wieku. Z młodymi. Z dorosłymi. Bawiły się patykami i szyszkami, i wszystkim, co znalazły i co je zainteresowało.

– Robert i Sam chcą zagrać w planszówkę – rzekła Eve. – W grę na planszy. – Dwoma palcami narysowała na ladzie kwadrat.

– Wiemy, co to są gry planszowe – warknął Simon. No dobrze, może i *terra indigena* nie grali w nie zgodnie z zasadami wydrukowanymi na pudełku, ale na półkach w pomieszczeniach socjalnych znajdowało się kilka takich gier.

– Ta gra ma małe elementy, które mogą się zgubić, jeśli chłopcy będą w nią grali na Dziedzińcu – rzekła Eve. – Nie chciałabym, żeby jakieś młodsze dziecko czy szczenię znalazło potem taki element w trawie i się nim udławiło, myśląc, że jest jadalny. Dlatego chłopcy będą grać na tarasie. Mają już zapowiedziane, że jeśli odejdą bez nadzoru choćby na krok, dostaną karę. – Oparła dłonie o blat i pochyliła się w stronę Simona. – A jeśli nie przestanę mi na ten temat marudzić i nie będę miała godziny spokoju, żeby zrobić to, co mam do zrobienia, stanę się zrzędlawa

i kogoś ugryzę. – Spojrzała dziko i Simonowi przyszło do głowy, że to wcale nie szczeniaki zostaną pogryzione.

Powąchał ją i pomyślał, że może ma ruję. To by wyjaśniało jej złośliwość, zwłaszcza że była jedną z samic, która w jednej chwili wysyłała przyjazne sygnały, a w następnej miała ochotę odgryźć łeb swojemu samcowi.

Czy powinien ostrzec Pete'a Denby'ego? Z drugiej strony przecież Pete był w związku z Eve od tylu lat, że z pewnością rozpoznałby sygnały ostrzegawcze.

– Sam... – zawahał się. Czy powinien pozwolić, by jego podopieczny przebywał samotnie wśród ludzi? – Sam jeszcze nigdy nie był poza Dziedzińcem. Gdy moja siostra przyjechała do Lakeside, była już szczenna. On nigdy...

W oczach Eve pojawiło się współczucie. Uśmiechnęła się.

– Pozwolenie, by stawiał pierwsze samodzielne kroki, jest bardzo trudne, prawda? Tak samo ciężko było mi pozwolić Robertowi przejść przez ulicę i bawić się na Dziedzińcu z Samem i innymi młodymi Wilkami.

Biorąc pod uwagę skutki wymieszania ludzkiej i wilczej ciekawości, niewinności i chłopięcej odwagi, musiał przyznać, że *terra indigena* nie starali się chronić chłopców za wszelką cenę – powstrzymywali tylko te zabawy, które mogły się okazać niebezpieczne.

Oczywiście po tym, jak musiała zająć się chłopcem, który nauczył się, dlaczego nie wolno drażnić skunksa – była to śmierdząca, acz bardzo przydatna lekcja – Eve mogła mieć inny sposób postrzegania niebezpieczeństwa niż Wilki.

– Przeprowadzę ich przez ulicę – powiedziała. – Będiesz mógł to obserwować z okna. Jeśli będą nieposłuszni, a ja nie zdążę do nich dotrzeć, możesz ich gryźć. A najlepiej przyślij Nathana. Robert chyba nie wierzy, że mógłbyś go ugryźć, ale Nathana się boi.

– Umiem gryźć tak dobrze jak Nathan.

– Czyli to logiczne, że wuj przyjaciela może cię ukarać – i zostać zignorowanym – ale policjant może cię za to samo aresztować? – spytał rozbawiony Vlad.

– Tak – odparła Eve. – Z wilczą policją nie należy zadzierać.

Vlad roześmiał się i poszedł na zaplecze, żeby naszykować zamówienia dla księgarni spoza miasta.

– Chwileczkę – rzekł Simon. – Jakim cudem Robert może ci marudzić? Przecież rano jest w szkole.

– Ruth potrzebowała jednego dnia spokoju, więc dziś dzieciaki nie mają szkoły.

– Ruthie jest chora?

Poklepała go po dłoni.

– Gdy kobieta potrzebuje jednego dnia spokoju, musi go spędzić sama, a mądry mężczyzna jej na to pozwala.

W porządku. Czyli nie jest chora. Będzie spokojna, dopóki ktoś jej nie zdenerwuje, a potem należy uważać na zęby. To rozumiał. Zastanawiało go jednak coś innego.

– Czy ludzki samiec też jest poirytowany, gdy inny samiec spyta go o dzień wolny, tak samo jak ona, gdy samiec spyta ją o to, czy to *ten* czas w miesiącu? – Eve odsłoniła zęby. To mógł być uśmiech. Ale prawdopodobnie nie był. – Dobrze – dodał szybko. – Mogą się bawić na tarasie w twoim domu.

Eve ponownie poklepała go po dłoni.

– Jeśli do lunchu nie stracą zainteresowania grą i nie wrócą na Dziedziniec, dam im jeść.

Simon stanął w drzwiach Zabójczo Dobrych Lektur i patrzył, jak Eve przeprowadza Sama i Roberta na drugą stronę Wroniej Alei. Patrzył, jak Sam się zatrzymuje i macha do niego, a potem cała trójka idzie w stronę tarasu Denbych.

– Martwisz się? – Vlad wrócił z zaplecza.

– Meg widziała niebezpieczeństwo. – Nie zobaczyła nic, co wskazywałoby na zagrożenie dla któregośkolwiek ze szczeniaków, jednak trzeba było zachować ostrożność.

– Wiem. Dlatego poprosiłem Leethę, żeby miała oko na dzieci. Możesz poprosić o to też Jake’a Wronią Straż.

– Przecież on ukradnie im elementy tej gry.

– Pewnie tak.

Leetha nie była Vladem ani Nyx, ale słuchała Dziadka Erebusa. W razie jakichkolwiek problemów w budynku po drugiej stronie ulicy z pewnością podniesie alarm.



Meg zmarszczyła nos na widok bizona na pocztówce, ale gdy ją odwróciła, uśmiechnęła się. Pocztówka nie była zaadresowana do niej, podejrzewała jednak, że każda istota, która miała ją w ręku, przeczytała wiadomość od kobiety nazwiskiem Jana Paniccia do Jenni Wroniej Straży.

Położyła pocztówkę na stole do sortowania obok swej torebki, razem z listem od Jany do Merri Lee, który położyła na stosie poczty do zawiezienia do ZDL. Dostarczy pocztówkę Jenni do Błyskotek i Staroci, gdy będzie szła na lunch. A na lunch pewnie będzie miała do wyboru burgery z bizoniną, klopsa z bizoniną albo kanapki z pieczoną bizoniną...

Westchnęła. Jaką była kretynką! Odrzuciła propozycję Simona, gdy powiedział, że pojedzie do Przystani Przewoźników i kupi dla niej trochę mięsa. Ale z drugiej strony przecież nie chciała być traktowana w wyjątkowy sposób – choć pożałowała swej decyzji po rozmowie z Merri Lee i Ruth, które zgodnie stwierdziły, że same nie odrzuciłyby takiej oferty i że ponieważ Simon jest

Wilkiem, propozycja przywiezienia jej najlepszych części mięsa prawdopodobnie była wilczym odpowiednikiem kupienia jej kwiatów i czekoladek. Gdy tak jej powiedziały, poczuła, jakby odrzucała adoratora, a nie możliwość zjedzenia smacznego mięsa.

Co zostawiało jej wybór między bizoniną, bizoniną a bizoniną. Mniemam.

Podeszła do lady w pomieszczeniu z przodu, otworzyła rygiel i ruszyła w stronę drzwi ze słowami:

– Pora zamknąć. Przerwa na lunch...

Dostrzegła Grega O’Sullivan, idącego przez obszar dostaw, w tej samej chwili, w której on dostrzegł ją. Zmienił trasę, otworzył drzwi do biura łącznika i wszedł do środka.

Jedynak zerwał się na równe łapy i warknął groźnie. Nathan spojrział w sufit, jakby udając, że nie widzi zachowania młodego Wilka. O’Sullivan zamarł.

Nie było sensu grozić agentowi Biura Śledczego. Przecież wynajął pokój nad biurem. Dostał pracę w konsulacie. Ale przez kilka dni go nie było, więc Jedynak mógł go już nie pamiętać.

– Jakież imponujące warknięcie – rzekła Meg. – Jesteś bardzo czujnym Wilkiem. Agencie O’Sullivan, nie sądzi pan, że było to bardzo imponujące warknięcie?

– Oczywiście.

Nathan spojrział na ludzi i sapnął.

Każdy szanujący się młody Wilk czułby się urażony takimi pochlebstwami, z tym że Jedynak to Jedynak.

– Ale przecież znamy agenta O’Sullivan. A na ludzi, których znamy, nie warczymy – powiedziała Meg, a gdy Nathan warknął, uściśliła: – Chyba że robią coś złego.

– Warknięcie to tylko ostrzeżenie – rzekł O’Sullivan. – Nie ma nic złego w ostrzeżeniu kogoś, że jeśli zrobi coś złego, poniesie konsekwencje.

O’Sullivan i Nathan popatrzyli po sobie i nieznacznie kiwnęli głowami, jakby w porozumieniu. Meg przewróciła oczami, widząc solidarność przedstawicieli władz.

Jedynak położył się z powrotem na swoim pośłaniu, wyraźnie zadowolony z zademonstrowania swych umiejętności Wilka stróżującego.

– Teraz pracuję w konsulacie sam i właśnie szedłem do Jelenia i Zająca po kanapkę – wyjaśnił O’Sullivan. – Przynieść ci też?

– Nie wiem, jakie jedzenie tam teraz mają... – Mogła jednak założyć, że nie serwują bizoniny.

– Podają tam zwykłe barowe zarcie. Jedzenie w Mięsie i Zieleninie jest lepsze, trochę bardziej kreatywnie przyrządzone, ale w Jeleniu i Zającu biorą artykuły spożywcze od ludzi. Po tym, jak ukradziono mięso ze sklepu, kupowanie

tam kanapki wydawało mi się nie w porządku, skoro mogę kupić coś po drugiej stronie ulicy.

– Dobrze, dzięki. Przyniosę ci pieniądze.

– Potem się rozliczymy. Jest jakieś mięso, jakiego nie lubisz?

Nathan prychnął, ale Meg go zignorowała.

– Lubię wszystko to, co jedzą zwykli ludzie – odrzekła.

– W takim razie wezmę kilka różnych dań i coś sobie wybierzesz.

– Dziękuję. – Meg spojrzała groźnie na Nathana. – Czy ty i Jedynak nie powinniście iść na przerwę?

O’Sullivan otworzył drzwi. Zatrzymał się w progu i popatrzył na Meg.

– Tak jak mówiłem, w konsulacie nie ma teraz nikogo. Jeśli twoi przyjaciele wychodzą, powinnaś zamknąć drzwi i poczekać, aż wrócę.

– Arroo – zgodził się Nathan, który właśnie wstał ze swojego posłania i się przeciągnął.

Jedynak wciąż tkwił w miejscu, wpatrując się w Meg.

Spojrzała na O’Sullivana, a potem kiwnęła głową, gdy podniósł trzy palce, żeby dać do zrozumienia, że kupi kanapkę również dla Jedynaka. Wyszedł na zewnątrz i przytrzymał drzwi Nathanowi. Wilk spojrzał w stronę ulicy Głównej, a potem gwałtownie się odwrócił i pobiegł w kierunku przejścia. Patrzyła, jak O’Sullivan spogląda na skrzyżowanie ulicy Głównej i Wroniej Alei. Patrzyła, jak przygląda się ruchowi ulicznemu, a potem, zamiast pójść do przejścia dla pieszych, przebiega przez drogę do Jelenia i Zająca.

– Rooo?

Zamrugwała. Spojrzała na Jedynaka.

A później popatrzyła na swoją prawą rękę. Lewą dłonią zakryła równoległe blizny w górnej części ramienia. Zaciśnęła na nim palce tak mocno, że aż zabolalo.

I poczuła mrowienie na języku.

Przekręciła zamek w drzwiach wejściowych. Gdy agent O’Sullivan wróci, pójdzie po swoje klucze i porządnie zamknie cały lokal. Może nawet poprosi go, żeby ją odprowadził do Zabójczo Dobrych Lektur albo na rynek.

Ale może to właśnie on był przyczyną tego, że czuła mrowienie? Może coś mu się stanie?

Przycisnęła dłoń do kieszeni dzinsów i wyczuła kształt składanej brzytwy. Coś się stanie, i to teraz. Miała niejasne przeczucie, że nawet jeśli by się pocięła, to było już zbyt późno, by kogokolwiek przed czymkolwiek ostrzec.



– Simonie! Vlad! – krzyczała Merri Lee. – Po drugiej stronie ulicy coś się dzieje!

Simon rzucił książki na wózek i wybiegł przed ZDL, Vlad pędził tuż za nim.

Merri Lee stała na chodniku, z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha, i krzyczała:

– Dzieciaki! Clarence! Uspokój się!

Simon nie do końca rozumiał to, co widzi. Na trawniku między domem Denbych a budynkiem mieszkalnym znajdowały się cztery ludzkie szczeniaki. Clarence zdawał się dokuczać Frances, a Lizzy i Sarah stały obok i wyglądały jak młoda zwierzyna, która nie wie, czy powinna uciekać, czy zewrzeć szyki, by się bronić przed drapieżnikiem. Czyżby była to jakaś nowa gra, której Inni jeszcze nie widzieli?

Sam i Robert nadal znajdowali się na tarasie, przestrzegając zasad ustalonych przez Eve, ale stali i obserwowali Clarence'a i dziewczynki. Leetha ruszyła w stronę dzieci; wyglądała na niezdecydowaną – jakby nie wiedziała, co powinna zrobić.

– Leetha mówi, że to normalna zabawa między Clarence'em a Frances – rzekł Vlad.

– To nie jest zabawa – warknęła Merri Lee, omijając Vlada. – To jest złe. – Eve, do cholery, odbierz wreszcie ten telefon!

To nie zabawa. To jest złe.

Zapaliło się zielone światło, więc samochody na Wroniej Alei zaczęły jechać w obie strony, zbyt szybko, by mógł bezpiecznie przebiec między nimi. To byłoby jak rzucenie się w sam środek uciekającego w popłochu stada bizonów. Musiał poczekać, aż zapali się czerwone światło i samochody się zatrzymają – dopiero wtedy będzie mógł tam pobiec i odsłonić zęby. Poza tym tak naprawdę to nie było aż tak pilne – ostatecznie Leetha już tam była, a Clarence nie robił nic poza tym, że wykrzykiwał słowa, które denerwowały pozostałe szczeniaki.

Tyle że pod pewnymi względami przypomniało mu to sfigowaną sprzeczkę Montgomery'ego i Cyrusa, która miała miejsce w zeszłym tygodniu.

Nathanie? zawołał niepewnie.

Tutaj. Nathan wyszedł na chodnik przed parkingiem dla klientów.

Gdzie jest Meg?

W biurze razem z Jedyakiem. Zamknęła drzwi i czeka na powrót O'Sullivan, który poszedł po jedzenie.

Nadal obserwując przepychankę po drugiej stronie ulicy, Simon ruszył do skrzyżowania. Był dzień, a nie noc, tak jak widziała Meg w swoim śnie, ale mimo wszystko chciał stanąć na rogu, skąd mógł widzieć wejście na obszar dostaw – i każdego, kto będzie się kierował w stronę biura łącznika.

– Dziewczynki! – krzyknęła Leetha. – Tutaj!

Lizzy posłuchała jako pierwsza, być może dlatego że była już przyzwyczajona do Sanguinatic, którzy mieszkali w jej domu. Wzięła Grr i podeszła do wampirzycy. Po chwili pośpieszyła do niej Frances, unikając ciosu

brata. Ale Sarah stała najbliżej chodnika i znajdowała się najdalej – poza tym była z nich wszystkich najbardziej niewinna. Próbując uciec, przebiegła zbyt blisko drapieżnika, który ją pochwycił. Jedną ręką złapał ją w pasie, a drugą ściągnął jej spodenki i majtki, wrzeszcząc:

– Pokaż im swoją gołą cipę, zdziro!

W tej sekundzie irytujące zachowanie stało się prawdziwym zagrożeniem.

Vlad zamienił się w dym i przefrunął nad samochodami; niektórzy kierowcy, przerażeni, zaczęli ostro hamować.

Robert wrzasnął:

– Sarah!

Zeskoczył z tarasu, żeby bronić siostry. Sam ruszył tuż za nim.

Simon zmienił kierunek i złapał Merri Lee, żeby nie wpadła pod samochód, który właśnie się zatrzymał, ani pod drugi, który już nie zahamował, przez co do wrzasków i warków dołączyły szczęk metalu, piski opon i klaksony. Mimo że Merri Lee przeklinała go i wbijała krótkie paznokcie w jego skórę, gdy odciągał ją od krawężnika, zauważył, jak Sam i Robert biegną, ramię w ramię jak zespół, żeby stawić czoło nieco większemu drapieżnikowi. Clarence rzucił Sarah na ziemię i skupił się na młodych samcach.

– Dźgnę cię, Wilku! – wrzasnął, wyciągając z kieszeni mały nóż. – Zaraz cię dźgnę!

Sam nie odpowiedział. Stado szczeniąt przerabiało tę lekcję w formie zabawy: należy odciągnąć drapieżnika od słabszych osobników, unikając kłów czy pazurów, które mogłyby zranić albo zabić. Kłapnąć zębami i się cofnąć, kłapnąć zębami i się cofnąć. Pracować w stadzie i powoli odciągać drapieżnika od nory.

Gdy tylko Vlad dotarł na drugą stronę ulicy, zamienił się w człowieka. Podniósł Sarah i pośpieszył do miejsca, w którym znajdowały się pozostałe dziewczynki. A potem on i Leetha odwrócili się, by przerwać bójkę. Merri Lee uświadomiła sobie, że Sanguinati zajmą się problemem, i przestała walczyć z Simonem.

Po chwili z budynku mieszkalnego wyszła Sandee. Wrzasnęła i pobiegła w stronę chłopców, unosząc w powietrzu coś cienkiego i zamachując się, jakby chciała uderzyć tym Sama w plecy.

Leetha złapała ją i wbiła jej kły w miejsce między szyją a ramieniem. A potem zatoczyła się, krzycząc z bólu. Robert, zaskoczony, nie zareagował odpowiednio szybko, gdy Clarence go dźgnął. Upadł i Sam został z Clarence'em.

Simon wypuścił Merri Lee, pobiegł do miejsca, w którym ruch się zatrzymał, i przygotował się, by wbiec na drugą część jezdni. Cholerne światła nadal się nie zmieniły, a kierowcy przyśpieszali, próbując uciec. Z parkingu dla klientów wybiegły dwa kucyki, w kilka pojazdów uderzyła śnieżna zamieć, która rozepchnęła je na boki i przewróciła, dzięki czemu stały się barykadą i zatrzymały

cały ruch. W ciągu paru chwil tornado się powiększyło i zasypało gęstym śniegiem część ulicy i samochodów.

Gdy ruch wreszcie się zatrzymał, Nathan przebiegł przez jezdnię i ruszył prosto w stronę Sandee. Nie próbował gryźć. Leetha nadal leżała na ziemi, jakimś cudem ranna, a Vlad strzegł dziewczynkę i wołał Sama. Nathan uderzył Sandee od tyłu. Skoczył jej na plecy, tak że wylądowała na brzuchu. Obracał się i skakał po niej, wbijając pazury w jej nagą skórę. Kobieta krzyczała, wijąc się.

Simon skoczył w śnieg, żeby dotrzeć na drugą stronę ulicy; zaczął się przedzierać przez zasy, sięgające mu już do ud. Usłyszał krzyk Merri Lee:

– Wronią Aleję blokuje zamieć śnieżna! Musicie jechać inną drogą!

Syreny. Mądry człowiek. Sama nie mogła nic zdziałać, więc zadzwoniła po policję.

Sam! wrzasnął, gdy tylko wypadł na słońce i upał wczesnego sierpniowego poranka.

Sam zrobił unik i przez chwilę znajdował się poza zasięgiem noża Clarence'a. Simon sam zająłby się wrogiem, ale właśnie w tej chwili Eve Denby ruszyła, by bronić swoje młode. Nie wiedząc, co zamierza zrobić z wielkim kluczem, który trzymała w dłoni, Simon pośpieszył, żeby ją powstrzymać, zanim rozwali komuś czaszkę. Gdy szarpał się z Eve, nadleciała Marie Jastrzębia Straż; spadła prosto na plecy Clarence'a. Chłopak upadł na kolana. Zostawiła na jego ramionach głębokie ślady szponów i pofrunęła na barierkę na tarasie nad mieszkaniem porucznika Montgomery'ego.

A potem wszystko się skończyło. Zdyszany Simon puścił Eve Denby i rozejrzał się wokół. Światła zmieniły się dopiero teraz. Nie widział żadnego radiowozu, ale Debany, Kowalski i Hilborn nagle znaleźli się na miejscu i zakuli Sandee w kajdanki. Zastanawiali się, kogo jeszcze należy aresztować, podczas gdy porucznik Montgomery wzywał karetkę dla Roberta, Clarence'a i rannych ludzi z samochodów. Tornado i Lawina pobiegły z powrotem do Stajni Kucyków, zostawiając zasypane śniegiem samochody i chaos na ulicy.

Vlad zaniósł Leethę do mieszkania Sanguinatic i wezwał ich chodzące ciało. Pani Twyla i Merri Lee przebiegły przez ulicę i zabrały dziewczynki i Eve do domu Denbych. Montgomery poszedł za nimi, ale wrócił minutę później.

Sam trzymał się w pobliżu Simona. Wyglądał na nieco zszokowanego, ale nie był ranny.

Rozległy się kolejne syreny. To pewnie karetki pogotowia.

Montgomery poszedł do Sama i przyjrzał się mu uważnie.

– Wszystko w porządku?

Sam pokiwał głową.

– Robert jest ranny.

– Zabiorą go do szpitala w Lakeside. Wygląda na to, że będzie potrzebował

kilku szwów, ale poza tym nic mu nie będzie. Zadzwoiłem do Pete'a Denby'ego. Dzisiaj pracował w centrum miasta. – Montgomery wyglądał na bardzo smutnego. – Simonie, ja...

Wtedy rozległy się trzy szybkie strzały.

Nie, pomyślał Simon. On i policjanci odwrócili się w stronę źródła dźwięku.

Po chwili pędził w kierunku obszaru dostaw przed biurem łącznika.



Monty wskazał Debany'ego i Hilborna, który teraz na próbę był członkiem zespołu. Hilborn się zawahał, ale Debany kiwnął głową i odwrócił się, by zająć się problemami w domu Denbych, podczas gdy Monty i Kowalski pobiegli za Simonem.

Nathan ich przegonił – wbiegł pierwszy na teren dostaw.

Greg O'Sullivan klęczał na ziemi przy Jedynaku, który skamlał i próbował wstać.

– Jest ranny. Może mieć złamaną łapę. I kilka żeber. Wygląda też na to, że dostał mocny cios w łeb.

– Nathanie, sprawdź, co u Meg – warknął Simon, a potem uklęknął i położył dłoń na grzbiecie Jedynaka, chcąc go uspokoić. – Ponieważ nie ma jej tu z Cyrusem, może być ranna.

– Może też być na rynku. – W głosie Monty'ego brzmiała nadzieja.

Zadrzał, gdy Nathan poddał się częściowej przemianie; teraz nie wyglądał ani na Wilka, ani na człowieka. Gdy tylko wszedł do środka, zamienił się z powrotem w Wilka, przeskoczył przez ladę i pobiegł prosto do sortowni.

O'Sullivan ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w drzwi.

– Powinny być zamknięte. Gdy kilka minut temu rozmawiałem z Meg, kazałem jej zamknąć drzwi, dopóki nie wrócę z kanapkami z Jelenia i Zająca.

– Słyszeliśmy strzały – rzekł Monty.

– To ja. – O'Sullivan wskazał kciukiem niebieską skrzynkę na listy, znajdującą się przed konsulatem. – Potem sam siebie aresztuję za strzelanie do własności rządu. Chciałem zwrócić waszą uwagę, a nie wiedziałem, kogo mogę trafić, jeśli strzelę w powietrze.

Nadjechał Blair w PNK; pędził tak szybko, że gdyby ktoś stanął mu na drodze, nie miałby szans.

W biurze łącznika Nathan przeskoczył z powrotem przez ladę i zaczął obwąchiwać pomieszczenie. Zawył.

Monty nie musiał obserwować reakcji Simona i Blaira, żeby wiedzieć, że to okrzyk wzywający do walki.

– Nie ma jej, prawda? – spytał głucho O'Sullivan, a następnie wstał i odsunął się od rannego Wilka.

Simon pobiegł do biura łącznika, przeskoczył przez ladę i zniknął. Wrócił po niecałej minucie. Jego bursztynowe oczy stały się czerwone z wściekłości.

Blair został na zewnątrz, żeby strzec Jedynaka i obserwować wszystkich ludzi, tak jakby nagle zmienili się we wrogów.

– Może ktoś wykorzystał okazję, ale nie sądzę. – O’Sullivan zaczął się rozglądać. – Nie sądzę. – Spojrzał na Monty’ego. – Gdzie w tej chwili znajduje się Cyrus Montgomery?

Nie. Jimmy nie mógł być tak samolubny... i tak głupi. To, co sugerował O’Sullivan... Na bogów na górze i na dole! Czy to miasto się rozpadnie przez Jimmy’ego?

Wykorzystał okazję? Przypomniał sobie bójkę na trawie i zrobiło mu się niedobrze. A co, jeśli po raz drugi dali się nabrać?

– Musimy być pewni... – zaczął.

– Jesteśmy pewni – warknął Simon, wybiegając z biura. – Można tu wyczuć zapach Cyrusa. A Meg zniknęła.

Rozdział 23



Czwartek, 23 sierpnia

Vlad rozejrzał się po wielkim stole w sali konferencyjnej konsulatu. Spodziewał się, że kapitan Burke przyjedzie, gdy tylko dotrą do niego wieści o najnowszych wydarzeniach, jednak nie myślał, że udział w spotkaniu wezmą też burmistrz Walter Chen i komisarz policji Raymond Alvarez.

Nie spodziewał się również, że nie będzie miał przewagi liczebnej. Poza Chenem, Alvarezem i Burke'em w sali siedzieli również Montgomery i Kowalski. On i Elliot Wilcza Straż, konsul Dziedzińca, byli jedynymi obecnymi na spotkaniu *terra indigena*.

– Pan Simon Wilcza Straż do nas nie dołączy? – Chen zwrócił się do Elliota.

Ten się zawahał.

– Jest teraz zbyt wściekły, żeby przebywać w pobliżu ludzi.

Chen pokiwał głową, tak jakby się spodziewał takiej odpowiedzi. Popatrzył na Alvareza, a potem na Burke'a.

– Co zrobimy, żeby odnaleźć tę młodą kobietę i zwrócić ją jej rodzinie?

Jakiż interesujący dobór słów, pomyślał Vlad. Ale w głosie Chena nie było cienia hipokryzji.

– Zrobimy wszystko, tak jak w przypadku każdego uprowadzenia – odparł Burke i spojrzał Vladowi w oczy. – A z pomocą niektórych stworzeń uda nam się zrobić jeszcze więcej.

– O jakiej pomocy mówimy? – spytał Vlad. – Skontaktowałem się ze Stavrosem Sanguinatim. Jeśli Cyrus pojedzie do Talulah Falls, Stavros z pewnością znajdzie i jego, i Meg.

Burke pokiwał głową.

– Ja zadzwoniłem do Rogera Czernedy. Będzie patrolować obszar między Przystanią Przewoźników a granicą Lakeside. Ale mało prawdopodobne, żeby Cyrus się tam udał – zbyt łatwo moglibyśmy go znaleźć. W każdym razie tamte tereny też mamy kryte.

– Skontaktowałem się z szefem komisariatu w każdej dzielnicy w Lakeside – rzekł Alvarez. – Zmobilizowano wszystkie siły, porozstawiano blokady na drogach... – Zawahał się. – Nadal jednak potrzebujemy jakiegoś punktu zaczepienia, zwłaszcza jeśli ten człowiek znajduje się już poza granicami miasta.

– Punktu zaczepienia? – spytał cicho Vlad. Na myśl przychodziły mu dwa miejsca, od których powinni zacząć. Nie będzie trzeba zbyt długo pracować nad tym Clarence'em, żeby wyśpiewał wszystko, co wie. Wolałby łamać Sandee, która była tak nakręcona po jakichś narkotykach, że sam kontakt z jej skórą wyrządził krzywdę wampirzycy. Chodzące ciało Sanguinatich założyło optymistycznie, że rany w i wokół ust Leethy wygoją się i nie zostawią śladów. Vlad miał nadzieję, że tak będzie.

Zastanawiał się również, czy siła życiowa Sandee była tak samo skażona jak jej skóra, czy mogłaby się stać pożywieniem dla Żniwiarza?

– Jimmy... – zaczął porucznik Montgomery, ale nie dokończył. Wyglądał na chorego i wściekłego jednocześnie. – Cyrus nie mógł wsadzić walczącej z nim kobiety do publicznego środka transportu. Sprawdziliśmy wszystkie firmy taksówkarskie. Żadna z nich nie została wezwana w pobliże wejścia na ulicę Główną. Nasi ludzie na komisariacie przy Orzechowej właśnie obdzwaniają wszystkie wypożyczalnie samochodów w mieście.

– Mógł ukraść jakiś pojazd. – Burke zerknął na Vlada. – To właśnie ma na myśli komisarz Alvarez, mówiąc o punkcie zaczepienia. Cyrus Montgomery nie mógł skorzystać z żadnego publicznego środka transportu – ani z taksówki, ani z pociągu. Co oznacza, że jedzie jakimś prywatnym pojazdem. W dzisiejszych czasach do przekroczenia granicy potrzebne są papiery, więc Cyrus nie może się przedostać na inny teren. A agent O'Sullivan rozmawiał już z gubernatorem Hanniganem o tej sytuacji. Postawiono w stan gotowości wszystkie przejścia graniczne, a nie wydaje mi się, żeby Cyrus miał umiejętności niezbędne do

zjechań z drogi i przejechania przez dzikie tereny w celu przedostania się do innego regionu.

– Mógłby pojechać do jakiegoś miasta na północy i przepłynąć łodzią przez jezioro Tahki – rzekł Alvarez.

– Być może – zgodził się z nim Burke. – Ale wszystkie wioski wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża jeziora to osady Intuitów, *terra indigena* albo ludzi, kontrolowane przez Innych. Rozmawiałem ze Steve'em Przewoźnikiem, burmistrzem Przystani Przewoźników. Wysłał mailem alert do każdej intuickiej wioski, do której tylko był w stanie dotrzeć, żeby poinformować o uprowadzeniu Meg Corbyn.

Burke pochylił się w stronę Vlada i zaczął machać palcem, wskazując siedzących przy stole ludzi.

– Po pierwsze musimy zidentyfikować samochód. Po drugie musimy wiedzieć, jaką pomoc możecie nam zaoferować. Możliwe, że Cyrus znalazł jakąś kryjówkę w mieście i teraz leży i czeka na zakończenie poszukiwań, myśląc, że nie potrważą one długo.

– Będą trwały, dopóki jej nie znajdziemy – szepnął Vlad. – A gdy Zima dowie się o zniknięciu Meg, wszędzie zapanuje mróz.

Burke pobladł – jedyna oznaka tego, że doskonale rozumiał znaczenie tej groźby.

– Cyrus nie zechce zostać w mieście, w którym nie będzie mógł wykorzystać umiejętności pani Corbyn. Jeśli założymy, że znajduje się już poza granicami miasta, musimy przyjąć, że jest na dzikich terenach. Dowiemy się, w jaki sposób wywiózł Meg z miasta i jakim jedzie samochodem. Jakie informacje będą najbardziej przydatne dla *terra indigena* mieszkających na dzikich terenach? Kształt? Kolor? Zakładam, że ustalenie modelu samochodu ma małe znaczenie. Zakładam też, że nie wszyscy znają i rozróżniają ludzkie litery i cyfry.

– Kolory i kształty – rzekł Elliot. – Większość *terra indigena*, którzy będą obserwować tereny przy drogach, będzie potrafiła odróżnić dużą ciężarówkę od pick-upa czy samochodu osobowego.

– A Wronia Straż jest świetna w rozpoznawaniu twarzy – dodał Vlad.

– Mamy najnowsze zdjęcie Cyrusa – dorzucił Montgomery. Jego głos brzmiał, jakby mężczyzna przelykał ostre kawałki kości. – Z przesłuchania w sprawie kradzieży mięsa na rynku. Ale pani Corbyn...

– Ach! – Kowalski podniósł dwa palce. – Ostatnio zrobiłem kilka zdjęć Merri Lee, Meg i Ruthie. Mam też zdjęcie Meg i Sama. Przed przyjsciem na to spotkanie przekazałem mój aparat Lornemu z Trzech P. Jest tam teraz, kadruje i przycina zdjęcia i robi ich kopie.

– Świetna robota – rzekł Burke, a potem zwrócił się do Vlada: – Z waszym pozwoleniem prześlemy mailem zdjęcie pani Corbyn na każdy komisariat na

Północnym Wschodzie.

Vlad się zawahał. Większość *cassandra sangue* była ukrywana przed ludźmi, którzy mogliby zechcieć wykorzystać wieszczki do własnych celów. Dobrze ukryte były przynajmniej te, które zechciały uciec z kompleksów. Zdjęcie Meg znajdowało się na plakatach już kilka miesięcy temu, gdy jej były właściciel rozpoczął poszukiwania. Vlad nie wiedział, czy przypomnienie ludziom, że dziewczyna tu mieszkała, było mądre i bezpieczne. Ostatecznie to właśnie dzięki temu, czego się o sobie dowiedziała, i dzięki nabytej umiejętności radzenia sobie ze światem zewnętrznym tak wiele wieszczek krwi potrafiło przetrwać bez nadzoru właściciela.

– Nie – rzekł nagle Elliot. – Simon nigdy by się nie zgodził, żeby powiedzieć ludziom o Meg. W takiej sytuacji ktoś inny mógłby zabić Cyrusa, a ją porwać. I wtedy już nigdy byśmy jej nie znaleźli.

– Rozumiem. – Chen spojrział na Alvareza, a potem powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych mężczyzn przy stoliku. – To może wystarczy zdjęcie Cyrusa Montgomery’ego i opis pani Corbyn?

Nagle zadzwonił telefon Kowalskiego. Funkcjonariusz przeprosił i odszedł na bok. Po minucie wrócił.

– Pani Lee przypomniała sobie, że czasem studenci wypożyczają swoje samochody innym studentom na dzień lub dwa. W niektórych sklepach w pobliżu uniwersytetu znajdują się tablice ogłoszeniowe. Może obok politechniki też tak jest? To mało prawdopodobne, żeby student pożyczył swój samochód komuś zupełnie obcemu, ale poza wypożyczalniami samochodów mamy jeszcze tylko taką opcję do sprawdzenia.

Burke wstał od stołu.

– Jeśli to wszystko, bierzemy się do pracy.

– To wszystko – odparł Vlad. Poczekał, aż ludzie wyjdą z budynku, a następnie zwrócił się do Elliota: – Spotkanie z burmistrzem to powód, dla którego nie było cię w konsulacie, gdzie mógłbyś widzieć albo słyszeć szarpaninę?

– Nie była to wymówka ani część spisku, jeśli o to pytasz. – Elliot spojrział na niego przeciągle. – Katherine Debany miała rutynową wizytę u dentysty. Zapisła się kilka miesięcy temu i powiedziała mi o tym dopiero w zeszłym tygodniu. Wpisała to nawet w mój planer w biurze na wypadek, gdybym zapomniał, że jej nie będzie. Dałem też wolny poranek pani Twyli, ponieważ nadrobiła wszystkie zaległości w pracy.

Wolny dzień Ruthie nie miał żadnego znaczenia. Latem szkoła kończyła się w porze lunchu. Dzieci i tak byłyby na zewnątrz i bawiłyby się.

– Daliśmy się nabrać, gdy Cyrus rozpoczął kłótnię z Montgomerym, żeby stworzyć temu Jackowi Fillmore’owi okazję do znalezienia Theral.

– I dzięki temu mogliśmy raz na zawsze zakończyć tę sprawę. – Elliot

usiadł. – Czy gdyby w tej bójce nie brały udziału dzieci, to też tak wielu z was zaangażowałoby się w nią?

Vlad pomyślał chwilę, po czym pokręcił głową. *Terra indigena* bronili swoich młodych.

– To wszystko trwało dosłownie tyle, ile zmiana świateł na skrzyżowaniu. Simon myślał, że w świetle dnia Meg jest bezpieczna. Wszyscy tak sądziliśmy. A w planie Cyrusa mogło nie wypalić tyle rzeczy – Nathan mógł poczekać na powrót O’Sullivana z kanapkami; mógł zrobić się korek na ulicy, przez co Cyrus nie wyjechałby z terenu dostaw albo nań nie wjechał; Meg mogłaby się uprzeć, żeby Jedynek poczekał z sikaniem do powrotu O’Sullivana. Gdyby tak zrobiła, drzwi zostałyby zamknięte i miałyby czas, żeby wezwać pomoc. Z Jedyneka udało im się wydobyć tylko tę informację, że Meg otworzyła drzwi, on wyszedł na zewnątrz, a wtedy zaatakował go samochód i ugryzł go w nogę.

Gdyby Simon pobiegł do biura łącznika, zamiast trzymać Merri Lee, żeby nie rzuciła się między samochody, dotarłby do Meg na czas i nie dopuściłby do porwania. On jednak chronił członka stada, który znajdował się w bezpośrednim zagrożeniu – w zależności od efektu poszukiwań w przeszłości Simonowi może być trudno przebywać w pobliżu Merri Lee.

Elliot popatrzył na niego niepewnie.

– Jestem jego ojcem, ale ty chyba znasz go lepiej i lepiej rozumiesz. Jak sądzisz, czy przetrwa, jeśli nie znajdziemy Meg?

– Nie. – Oczywiścieść tej odpowiedzi sprawiła, że Vladowi zrobiło się zimno. – Jeśli stracimy ją, stracimy również jego.



W ludzkiej postaci Henry Niedźwiedzia Straż był wielkim mężczyzną. Jako Niedźwiedź był wręcz olbrzymi. Gdy jednak szedł w swej naturalnej formie tubylca ziemi, był jeszcze większy – ale nadal o wiele mniejszy niż Starsi, którzy odwiedzili Dziedziniec. Teraz nie miało to większego znaczenia, bo gotował się z wściekłości.

Znalazł ich w części Dziedzińca graniczącej z Wronią Aleją. Ludzkie oczy nie mogły ich zobaczyć, tak samo jak nie mogły zobaczyć Henry’ego, ale czasem pierwotne instynkty podpowiadały małym drapieżnikom, że w pobliżu czai się coś o wiele groźniejszego. Henry widział to po sposobie, w jaki kilku ludzi, którzy nadal stali w śniegu i korku na ulicy, zerkąło w stronę płotu.

To wasza wina. Henry stanął na tylnych łapach, gotowy do walki.

Starsi odwrócili się i popatrzyli na niego z zaskoczeniem.

Nie. To kucyki wywołały śnieg i uwięziły małe drapieżniki.

To wasza wina, powtórzył Henry. *Simon mówił wam, że ten Cyrus to zły człowiek i nikt nie chce, żeby przebywał w pobliżu Dziedzińca, bo było wiadomo, że*

sprowadzi kłopoty.

Niewielkie kłopoty, odparli lekceważąco. Nie jakieś poważne, które zagrażałyby światu. To nic innego jak tylko bójka między szczeniakami.

Henry, któremu wściekłość zalała oczy, zrobił krok w ich stronę.

Ten Cyrus wykradł Meg!

Zabrał ludzką samicę z Dziedzińca? Zniknął lekceważący ton, bo przecież obiecali pomóc w chronieniu stada samic.

Zabrał słodką krew, wyjącego nie-Wilka, tę, która chciała być samicą Wilczej Straży!

Dziwna, przerażająca cisza.

Ludzie nie mogli widzieć Starszych, ale Henry ich widział. Patrzył, jak wpatrują się w budynki po drugiej stronie ulicy, gdzie ten ludzki szczeniak celowo wywołał bójkę. Patrzył, jak jeży im się sierść na grzbietach. Patrzył, jak odsłaniają kły, które mogłyby rozerwać na strzępy stworzenie jego rozmiarów, nie mówiąc już o człowieku.

Odwrócił naszą uwagę, rzekł Henry. Ludzie zabili Wilczą Straż w Thaisii, żeby odwrócić uwagę od wojny z terra indigena w pobliżu Cel-Romanii. Ten Cyrus wykorzystał swojego szczeniaka w celu odwrócenia uwagi, tak by móc wykraść nam nie-Wilka.

Kły i pazury Namid odwróciły się od ulicy i żałosnych ludzi i skupiły się na nim. Starsi widzieli, jak działa odwrócenie uwagi, a potem sami wykorzystali ten sposób, gdy wraz z Żywiołami uderzyli na ludzi w Thaisii, żeby wywołać zamieszanie, zanim napadli na wroga w Cel-Romanii. Widzieli odwrócenie uwagi na dużą skalę, jednak nie potrafili zrozumieć, że na małą skalę mogło ono być równie niebezpieczne.

Wreszcie przyznali:

Popelniliśmy błąd, każąc wam trzymać tu małe kłopoty.

Owszem, zgodził się Henry.

Nie podobało im się to. Wcale im się to nie podobało.

Ten Cyrus nie wie, jak się zajmować nie-Wilkiem, dodał Henry. Może zrobić jej krzywdę, a nawet zabić.

Warknęli, rozwścieczeni jego słowami. Ale nie zaatakowali. Stanęli obok niego, każde z jednej strony.

Poczuł, jak idą do środka Dziedzińca i zajmują część niewielkiego terenu.

Starsi byli dostatecznie zaintrygowani przez Meg i Simona, by wrócić na Dziedziniec i obserwować. Ale jednocześnie byli tak bardzo przyzwyczajeni do faktu, że to oni są tym, czego świat potrzebuje, że nie posłuchali Simona – przecież ten Cyrus nie stanowił dla nich żadnego zagrożenia.

Henry stanął na czterech łapach i wrócił do swojego mieszkania w Zielonym Kompleksie. Nie było tam jednak żadnego z mieszkańców, a budynek zdawał się

skapany w żałobie. Brakowało jednego elementu, który być może nigdy nie zostanie odnaleziony.

Wiedział, że Simon znajdował się w kompleksie Wilczej Straży, opiekował się Samem i pomagał Jane, która próbowała naprawić połamaną nogę i żebra Jedynaka. Nikt jednak nie wiedział, czy jej wysiłki przyniosą jakiś skutek.

Powinien iść na rynek i pomóc Władowi przy ludziach, ale nie mógł tego uczynić. Nie miał teraz ochoty na żaden kontakt z ludźmi; miał ochotę ich zabić. Lepiej było się trzymać od nich z daleka, inaczej mógłby stracić nad sobą panowanie, zacząć wrzeszczeć i wypatroszyć którąś z samic ze stada.

Zmienił się z powrotem w Niedźwiedzia. A potem wyszedł z pachnącego smutkiem Zielonego Kompleksu.



Popelnili błąd. Chcieli poobserwować mało istotnego dwunożnego drapieżnika, który sprawiał problemy przedstawicielom własnego gatunku; chcieli zrozumieć, w jaki sposób taka istota może stanowić zagrożenie dla tubylców ziemi, którzy strzegli granic dzikich terenów i mieli kontakt z małymi ludzkimi osadami – i jaki rodzaj niebezpieczeństwa może powstać dla mniejszych zmiennokształtnych, którzy żyli razem z ludźmi i być może przejęli zbyt dużo ich złych cech, tak że stali się wrogami dla własnego gatunku.

Uważali, że ten samiec był drapieżnikiem problematycznym, ale nieszczególnie niebezpiecznym. On jednak okazał się niezwykle przebiegły, poza tym lekceważył własne młode.

Inni ludzie, którzy wchodzili na Dziedziniec i mieli młode, zachowywali się zupełnie inaczej, dlatego Starsi byli zaskoczeni.

I jeszcze to, że nie-Wilk był wybraną samicą Wilczej Straży. Nie wzięli tego pod uwagę, gdy powiedzieli Wilkowi, żeby rozważył, ile tego, co ludzkie, będą chcieli zachować *terra indigena*. Nie w taki sposób bowiem powstawały nowe formy tubylców ziemi – nie łączyli się w pary z przedstawicielami gatunku, którego postacie przyjmowali. Parzyli się z przedstawicielami własnego gatunku, który skutecznie przyjął tę postać.

Ale Wilk i nie-Wilk wszystko zmienili. Każde z nich się zmieniło. Czy mogło z tego powstać coś nowego? Czy świat zaakceptuje to, co powstanie wskutek ich połączenia?

Nie-Wilk ich bawiła, choć jej głos brzmiał jak pisk rozwścieczonej wiewiórki. A historie o tym, co uczyniła tu razem z tubylcami ziemi, dotarły aż na dzikie tereny. Jeśli zniknie na zawsze, zostanie już tylko jedna, smutna historia – a to dlatego że oni, Starsi, nie zrozumieli, że sprawiający problemy ludzki samiec jest naprawdę niebezpieczny.

Musieli się nauczyć zbyt dużo i w zbyt krótkim czasie – i popelnili błąd.

Ale teraz go naprawia.

Rozdział 24



Czwartek, 23 sierpnia

Jimmy wyłączył radio w samochodzie. W wiadomościach cały czas mówili o dziwnych opadach śniegu, które zablokowały ruch na Wroniej Alei w Lakeside. Nie usłyszał jednak nic, czym musiałby się przejmować.

Jego plan zadziałał idealnie – wiedział, że tak właśnie będzie. No i miał przy tym szczęście. Znajdował się kilka samochodów od miejsca dostaw, gdy wyszedł stamtąd agent Biura Śledczego i przebiegł przez ulicę. Kiedy podjechał pod biuro łącznika, agent znajdował się w Jeleniu i Zającu.

Cały czas miał szczęście – jechał szybko i udało mu się potrącić tego Wilka, a wtedy dziewczyna z bliznami wybiegła na zewnątrz, żeby mu pomóc. Nawet nie spojrzała na Jimmy'ego, dopóki nie złapał jej za rękę. Potem próbowała walczyć, więc wyciągnął pałkę i walnął ją w głowę. Otworzył bagażnik i wrzucił dziewczynę do środka, szybko przejrzał jej kieszenie i zabrał składaną brzytwę. Gdy przez kilka sekund był odwrócony tyłem, Wilk wstał i spróbował go ugryźć.

Uderzył go w łeb pałką, wkładając w cios całą siłę. Gdy Wilk już leżał,

Jimmy wskoczył do samochodu i wyjechał na ulicę Główną. Rozległ się pisk opon, kierowcy ostro hamowali i trąbili.

Nie było go kilka minut, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

Po wyjechaniu z miasta miał ochotę jechać płatną drogą na wschód w stronę Dyspozytorni albo wzdłuż brzegu jeziora Etu na południe i zachód. Ale jazda płatną drogą oznaczała ludzi pobierających opłaty w budkach. Nie było powodu, dla którego ktoś miałby go szukać – przynajmniej na razie. W ciemnoskórym mężczyźnie prowadzącym stary samochód nie było nic podejrzanego, ale to małe stworzenie w bagażniku mogłoby się zorientować, że na chwilę się zatrzymali, i zacząć krzyczeć, zwracając na siebie uwagę. Nie mógł do tego dopuścić, dlatego wybrał jedną z bocznych dróg.

Nie jechał jeszcze nawet godziny, gdy dostrzegł obszar do odpoczynku i znak, że kolejna wioska znajduje się za pięćdziesiąt kilometrów. Teren wyglądał na prosto urządzone. Kible składały się pewnie z krzesel nad dziurami w ziemi, ale ponieważ nie było tu nikogo innego, takie miejsce w sam raz nadawało się do jego celów.

Zjechał z drogi, a potem stanął jak najbliżej niewielkiego budynku z toaletami. Dookoła nie było żadnego samochodu, ale na wszelki wypadek sprawdził i męską, i damską toaletę, a dopiero potem otworzył bagażnik.

– Ty zły człowieku! Zraniłeś Jednaka!

Mała spróbowała usiąść bez pozwolenia. Uderzył ją tak mocno, że rozciął jej wargę. Sandee taki cios nie zbiłby z tropu – z pewnością nie wyglądałaby, jakby dostała mocno w głowę. Wyciągnął z bagażnika swoją nagrodę i zaniósł do kibla. Rzucił ją na brudną podłogę i wyjął z kieszeni składaną brzytwę. Wiedział już dostatecznie dużo o dziewczynach z bliznami – należało naciąć ich skórę i zadać pytanie. A one wypowiadały odpowiedź.

Tylko gdzie należy ciąć? Stwierdził, że za jedno cięcie mógłby dostać sto dolarów – może nawet dwieście? – ale klienci z pewnością chcieliby ciąć nienaruszoną skórę. Przyjrzał się płataninie blizn w górnej części jej lewej ręki, a potem popatrzył na równo ułożone blizny na prawej.

Wciąż zdawała się oszołomiona po uderzeniu, jednak gdy zobaczyła, że Jimmy przykłada brzytwę do jej prawego ramienia, zaczęła walczyć.

– Nie, nie!

Złapał ją mocno za rękę; wiedział, że pozostawi siniaka.

– Od tej pory będziesz robić, co ci każę. – Zrobił nacięcie w poprzek kilku blizn. Z rany polala się krew, zalała jego rękę. – Jedziemy do pewnego miasta na wybrzeżu – powiedział. – Powiedz mi, którymi drogami mam jechać, żeby nie znalazła nas jebana policja. Mów!

Jej szare oczy stały się niewidzące. A wyraz jej twarzy, gdy zaczęła mówić... Doskonale wiedział, co oznacza to spojrzenie u kobiety. Ta mała zdzira

potrzebowała faceta, i to szybko.

Najpierw jednak musiał skoncentrować się na jej słowach. Nie musiał ich spisywać, wszystko zapamięta, ale...

Gdy skończyła mówić, westchnęła i położyła się na podłodze.

Upuścił brzytwę i włożył rękę w majtki dziewczyny. Na bogów! Była napalona, mokra, wręcz błagała o szybkie ruchanko. Zaczął rozpinąć spodnie, ale nagle zamarł, bo usłyszał trzask zamykanych drzwi samochodu.

Kuźwa.

Złapał brzytwę, już miał ją zamknąć i schować do kieszeni, ale zobaczył, że ostrze jest brudne. Jeśli będzie ciął dziewczynę brudną brzytwą, może się wdać infekcja i wszystko szlag trafi. Ile miał czasu?

Usłyszał głosy; ktoś wszedł do męskiej części toalety.

Odkręcił wodę, opłukał brzytwę, a potem wysuszył ją papierowymi ręcznikami. Dopiero wtedy zamknął ją i schował do kieszeni. Zmoczył kilka kolejnych ręczników i starł krew z ręki dziewczyny. Rana nadal krwawiła. Czy to normalne? Nie miał przy sobie żadnych bandaży ani pieprzonej apteczki. Może poszuka czegoś, gdy zatrzyma się na stacji po paliwo.

Przyciskając mokry ręcznik do rany, postawił dziewczynę na nogi i zaprowadził ją do drzwi. Uchylił je i upewnił się, że na zewnątrz nikogo nie ma. Potem wyciągnął ją z toalety i wrzucił do bagażnika. Zatrzasnął pokrywę i zaklął siarczyście, gdy zamek nie zaskoczył. Pieprzony złom! Tak, właściciel mówił mu, że czasem zamek się zacina, jeśli za mocno zatrzaśnie się pokrywę – co tylko udowadniało, że chłopak był pizdą.

Trzasnął raz jeszcze, teraz z oczekiwanym skutkiem. Wsiadł do samochodu i już ruszał, gdy z drugiej części budynku wyszło dwóch młodych, roześmianych mężczyzn. Pewnie gdzieś jechali. Popatrzyli w jego kierunku.

Wyjechał na drogę trochę za szybko. Ruszył w stronę południowego wschodu. Nie zauważył, jak pokrywa bagażnika podskoczyła na kilka centymetrów do góry, a potem ktoś ją złapał i przytrzymał.



Wyrwana z płataniny wizji, Meg zobaczyła światło dnia; złapała za pokrywę, zanim ktokolwiek zdołał to zauważyć. Nie pamiętała niczego, co powiedziała Cyrusowi, gdy pociął jej rękę, ale przełknęła krew i ból, i słowa, które cisnęły się jej na usta, gdy ją uderzył.

Kiedy zrobił cięcie w poprzek jej starych blizn i zadał pytanie, zobaczyła tylko kilka obrazów, ale w połączeniu z tym, co zobaczyła po uderzeniu, był to już jakiś początek. Gdy tylko zaczęła trzeźwo myśleć po ciosie, jaki zadał jej jeszcze pod biurem łącznika, zaczęła wymyślać własne pytania: Jak mogła uciec od tego mężczyzny? Gdzie mogła się ukryć do czasu, aż znajdzie ją Simon?

Zobaczyła obraz otwartej pokrywy bagażnika i... A może to tylko wspomnienie?

Ostrożnie zmieniała pozycję, złapała pokrywę prawą dłonią i przyciągnęła lewą nogę do brzucha, aż udało się jej wyciągnąć sznurówkę z trampka. Przywiązała pokrywę bagażnika, tak by przedostawało się do niej świeże powietrze i odrobina światła. Następnie się położyła, świadoma tego, że po jej ręce nadal leje się krew. Niedobrze. Cyrus musiał zbyt głęboko naciąć jej skórę. Ale kiedyś wreszcie krew zacznie krzepnąć. Przynajmniej miała taką nadzieję.

Musiała być czujna i zachować ostrożność. Gdy tylko Cyrus zatrzyma samochód, będzie musiała natychmiast odwiązać pokrywę i schować sznurówkę. Nie miała gwarancji, że zamek otworzy się po raz drugi – albo że odskoczy, gdy samochód wjedzie na wyboistą drogę. Albo że następnym razem Cyrus też będzie tak nieostrożny, że nie do końca zamknie bagażnik. Ale...

Tak. Pamiętała to. Ucieczka z bagażnika. Po tym, jak Karl Kowalski przeczytał najnowszą opowieść o Drużynie Wilków o tym, jak jeden z członków został zamknięty w bagażniku, powiedział jej, że każdy wyprodukowany przez człowieka bagażnik ma możliwość otwarcia od środka – nawet pokazał jej, gdzie się znajduje takie otwarcie w jego samochodzie. Mogła więc uciec z bagażnika nawet przy zamkniętej pokrywie. Ale nie podczas jazdy. To byłoby zbyt niebezpieczne dla każdego człowieka, a zadrapania i rany, jakie z pewnością odniosłaby podczas takiej próby, mogłyby być dla niej tragiczne w skutkach. Każda rana, każde draśnięcie skóry oznaczałoby konieczność wypowiedzenia kolejnego proroctwa.

No i jeszcze te obrazy, które zobaczyła, gdy Cyrus rozciął jej wargę. Jakby zdjęcia z miejsc, których nigdy nie widziała. I znaki drogowe. STOP! WRACAJ! BRAK PRZEJAZDU!

Czy widziała okazję do ucieczki i ostrzeżenia przed tym, że nie powinna się znajdować w tych miejscach?

Gdy uciekała od Kontrolera, podążała za wizjami. Były przecież inne przystanki, inne miasta, w których mogła wysiąść z pociągu. Udało się jej jednak odzyskać wolność, bo jechała aż do Lakeside i na Dziedziniec – miejsca, w którym znajdowała się poza zasięgiem Kontrolera. Teraz, tak jak wtedy, musiała odbyć całą podróż, podążyć za wszystkimi wizjami. Jeśli tego nie zrobi, może uda się jej uciec Cyrusowi, ale nigdy nie wróci do domu.

Dlatego zaczeka. Na razie miała światło, powietrze i świadomość, że we właściwej chwili zdoła uciec. Z pewnością będą jeszcze kolejne wizje. Cyrus zabrał jej brzytwę, ale przecież istniały inne sposoby na cięcie skóry. Odkryje je i w razie konieczności wykorzysta.

Ucieknie, gdy prawdziwy świat będzie pasował do wizji bez znaków ostrzegawczych. A potem będzie biegła tak długo, aż dotrze do miejsca w lesie i do

grobu. Właśnie ten obraz Simon będzie pamiętał z jej proroczego snu – i z pewnością uda się tam, żeby ją odnaleźć.

Rozdział 25



Czwartek, 23 sierpnia

Policja porozstawiała blokady na każdej drodze z Lakeside, ale wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że jest już za późno. Wskutek chaosu, jaki zapanował na Wroniej Alei, Cyrus Montgomery miał dostatecznie dużo czasu, żeby wywieźć Meg Corbyn z miasta. Policjanci z wszystkich dzielnic wzięli udział w obławie, a dowódcy patroli wysyłali wszystkie informacje do kapitana Burke'a od komisarza Alvareza.

Nikt się nie spodziewał znalezienia czegokolwiek na dworcu autobusowym czy kolejowym, ale policja i tak je sprawdziła – przesłuchano sprzedawców biletów, pokazano wszystkim zdjęcie Cyrusa.

Starano się odnaleźć Meg Corbyn, ale minuty zamieniły się w godzinę, a potem w dwie...



W oczekiwaniu na jakiegokolwiek wieści z policji Vlad, Blair, Nathan i oficer Debany przeszukali mieszkanie Cyrusa Montgomery'ego, najpierw szukając

jakiegokolwiek wskazówki, która powiedziała im, dokąd się wybierał, a potem szukając narkotyków, które zażyła Sandee, zanim starła się z Leethą. Znaleźli zamknięte pudełko tabletek ukryte za tamponami, a także trochę pieniędzy w zamrażarce, włożonych do małego pudełeczka i schowanych w wydrążonym bochenku czegoś, co nazwano chlebem żurawinowo-karczochowym – brzmiało to tak nieprzyjemnie, że nie było powodu, dla którego ktokolwiek miałby rozmrozić chleb i przez przypadek odkryć pieniądze.

Gdy przeszukali mieszkanie po raz drugi, Debany powiedział:

– Wydaje mi się, że nic więcej tu nie znajdziemy.

– W takim razie pora ich spakować – odparł Vlad. – Pani Twyla zaproponowała pomoc.

Debany zmarszczył czoło.

– Pakować? Myślałem, że nie będziecie wnosić oskarżenia przeciwko Sandee.

– Nie będziemy. Ale eksmitujemy ją za złamanie prawa dotyczącego posiadania narkotyków. – Vlad ukazał kły w uśmiechu. – Jeśli jeszcze raz pokaże się w pobliżu Dziedzińca, nie będziemy jej gryźć. Połamiemy jej kości jedna po drugiej, aż dotrzemy do karku.

Debany pobladł.

– Pewnie jednak do tego nie dojdzie, ponieważ albo aresztujecie ją za posiadanie narkotyków, które właśnie znaleźliście, i pójdzie do więzienia, albo jutro rano wsiądzie do pierwszego lepszego pociągu.

Debany głośno przełknął ślinę.

– Sama?

– Sama. Jeśli chodzi o Clarence’a, można albo potraktować go jako osobę współodpowiedzialną za porwanie Meg, albo my możemy się za niego wziąć. Jakby nie było, z pewnością tu nie wróci.

– A co z Frances?

– Na razie Eve Denby zajmuje się i nią, i Lizzy. Wyszliśmy z założenia, że o wiele łatwiej jest zajmować się dziećmi, gdy wszystkie znajdują się w jednym miejscu.

Debany zebrał torby z materiałami dowodowymi.

– Jeśli ktokolwiek z was albo pani Twyla zauważy coś podejrzanego, dzwońcie do mnie.

– Nie wydaje mi się, żeby spakowanie ich dobytku zajęło pani Twyli dużo czasu. Możesz poczekać kilka minut i zabrać to, co należało do Sandee i Clarence’a.

– W porządku. Będę w pobliżu.

Vlad wiedział, że radiowóz stoi na parkingu dla pracowników. Drugi policjant, Hilborn, nadal pomagał w uwolnieniu kierowców przysypanych

śniegiem. Z minuty na minutę śnieżna pokrywa stawała się coraz cieńsza, ponieważ świeciło ostre słońce i roztopiało wierzchnią warstwę zasp.

Tym razem w odkopywaniu nie pomagały żadne Wilki. Tym razem ludzie z łopatami musieli radzić sobie sami.

Vlad zadzwonił do Twyli Montgomery, żeby dać jej znać, że może przyjść i spakować rzeczy ludzi zajmujących to mieszkanie. Potem zadzwonił do Chrisa Fallacaro i polecił mu, żeby wymienił zamki w drzwiach.

Odkąd się zorientowali, że Meg zniknęła, nie widział Henry'ego. Nie widział też Tess.

Niektórzy *terra indigena* na Dziedzińcu za bardzo się zbliżyli do ludzi, za bardzo się w to wszystko zaangażowali – powstały w nich uczucia, które w przyszłości mogą zaowocować zerwaniem kontaktu z ludźmi. Jeśli nie uda im się znaleźć Meg, Simon z pewnością nie zostanie w Lakeside, gdzie szukałby głosu, którego już nigdy nie usłyszy, i zapachu, który z dnia na dzień będzie coraz słabszy. Nie, Simon wyruszy samotnie na dzikie tereny i po prostu zniknie.

Ale Vlad i Dziadek Erebus pozostaną w Lakeside. Nie wiedział, co robi Henry. Może przeniesie się do Osiedla Nadrzecznego albo na Wielką Wyspę, gdzie będzie mógł dalej rzeźbić i robić totemy. A może uda się dalej na zachód. Może aż do Bennett. Elliot zabierze Sama daleko stąd, w miejsce, w którym szczeniak będzie miał ograniczony kontakt z ludźmi. A Tess... Wolał nie myśleć, co się stanie z ludźmi, którzy wejdą jej w drogę, gdy będzie szukała dla siebie innego miejsca do życia.

Wrzucona do stawu moneta tworzyła tyle zmarszczek na wodzie, poruszała jej powierzchnię, odsłaniała różne możliwości. Gdy Meg do nich przybyła, widzieli w niej zagadkę, wywołała wśród nich zamieszanie. A potem stała się czymś o wiele więcej.

Nadal można było ją znaleźć. Nadal był czas, żeby ją ocalić – ją i Simona.



Jenni, Starr i Jake Wronia Straż weszli do Trzech P.

– Cześć – rzucił Lorne. – Jakies wieści?

– Dałeś policjantom zdjęcia tego Cyrusa – rzeka Jenni.

Pokiwał głową.

– Rozdają je policjantom w mieście.

– To duże zdjęcia. Możesz je pomniejszyć, tak żeby pasowały do tego? –

Wyjęła siatkę nie większą niż ludzka dłoń; miała uchwyty, tak by Wrona mogła złapać ją w szpony i unieść w locie.

– Mógłbym wydrukować mniejsze. Na kiedy je potrzebujecie?

Jenni spojrzała na niego ostro.

– Na teraz.

Lorne zniknął za ścianą, za którą znajdowały się komputery i drukarki. Po chwili wrócił z kartką papieru, na której wydrukował jedno zdjęcie Cyrusa.

– Potrzebujemy tego dużo więcej – powiedziała Jenni, zastanawiając się, czy ten człowiek nie pomagał przypadkiem w uprowadzeniu ich Meg.

– Przed wydrukiem chciałem się upewnić, że to właściwy rozmiar – uspokoił ją Lorne. – Mają być na papierze fotograficznym, takim, jaki dałem policji?

– Tak.

Czekając, Jenni zaczęła oglądać pocztówki na stojaku. W sortowni policjanci znaleźli jedną zaadresowaną do niej. Od Jany. Miała nadzieję, że ich Meg zdążyła ją przeczytać i się uśmiechnąć, zanim...

Lorne poszedł do lady z plikiem zdjęć, pasujących do worków. Wrony wzięły je i pośpieszyły z powrotem do kompleksu Wroniej Straży. Każda dostała swój worek na małe skarby i błyskotki. Teraz do worków zostanie schowane coś zupełnie innego.

Po zapakowaniu zdjęć cała Wronia Straż z Dziedzińca w Lakeside zamieniła się we Wrony i odfrunęła. Błyskawicznie i we wszystkich kierunkach. W oczekiwaniu na Jenni Wrony, które wiedziały o istnieniu telefonu, zadzwoniły do Wroniej Straży w innych osadach *terra indigena* i opowiedziały o kradzieży ich Meg i o tym, że muszą się spotkać z Wronią Strażą z Lakeside.

Wrony, które mieszkały i pracowały na farmach *terra indigena*, spotkały się z Jenni i dostały zdjęcia wroga, tak by mogły się przyjrzeć jego twarzy. Ten wróg będzie się trzymał ludzkich dróg, więc to właśnie tam należało szukać.

Podzieliły się na niewielkie grupy i odleciały. Jedna wzięła worek Jenni i poleciała na spotkanie z Wronią Strażą, która miała swoją siedzibę dalej. Następnie ta Wronia Straż miała polecieć jeszcze dalej i poinformować inne Wrony, i tak dalej, i tak dalej.



Simon pobiegł z powrotem do Zabójczo Dobrych Lektur. Wszedł przez tylne drzwi i wbiegł po schodach do biura, gdzie trzymał zapasowe ubranie. Zamienił się w człowieka i ubrał, a potem poszedł do biura łącznika.

Nie było żadnego śladu ani zapachu, który umożliwiłby śledzenie Meg. Ponieważ nie mógł znieść towarzystwa ludzi, poszedł do Zielonego Kompleksu i na chwilę położył się na jej łóżku, wdychając jej zapach. Tak jak zawsze uspokoił go na tyle, że odzyskał zdolność trzeźwego myślenia.

Meg śniła o tym, że chce się jej pić. O tym, że znalazła ciało – albo co najmniej czyjaś zimną dłoń. Czy były to szczegóły proroctw, które zobaczyła w kartach? A może zanim ją porwano, zdołała zadać inne pytanie, może wybrała jeszcze inne karty? Jedynek był ranny i potrzebował pomocy, więc Simon nie szukał żadnych kart po tym, jak Wilki potwierdziły zniknięcie Meg.

Zobaczyła, gdzie się kończy jej podróż. A on musiał tylko wymyślić, w jaki sposób znaleźć to konkretne miejsce. Gdy mu się to uda, znajdzie również ją.

Poszedł do sortowni i stanął gwałtownie. Nie wiedział, co sądzić na widok Merri Lee, Ruthie, Theral i agenta O'Sullivan'a zebranych wokół mapy Regionu Północno-Wschodniego, rozłożonej na wielkim drewnianym stole. Obok mapy leżał notes Meg, w którym spisywała obrazy zobaczone w kartach prorocत्व.

– Jeśli czujesz się na siłach, możesz nam pomóc – odezwał się O'Sullivan.

Simon niechętnie podszedł do stołu. Chciał popatrzeć na notatki Meg dotyczące ostatniej wizji, ale nie miał ochoty na kontakt z żadnym człowiekiem. Ale przecież ta część ludzkiego stada zaczęła szukać wskazówek...

Merri Lee popukała palcem w notes.

– Nagrobek to grób, ale nie Meg. Nie jej. To coś, co zobaczy w jakimś lesie.

– Zastanawiam się, czy przy którejś z dróg znajdują się jakieś porzucone osady. – Ruthie machnęła ręką nad mapą. – Jakaś niewielka miejscowość sprzed dziesiątków lat, taka, w której mógłby się znajdować cmentarz. Teraz może już nie być budynków, teren mogą porastać lasy, a nagrobki mogą być tak stare, że wyglądają jak zwykłe kamienie.

– Czy *terra indigena* mają jakieś informacje o zamieszkałych niegdyś przez ludzi obszarach włączonych teraz do dzikich terenów? – spytał O'Sullivan.

Simon pokręcił głową.

– Jeśli jakieś miejsce zostało odzyskane, to albo zniknęło, albo *terra indigena* zamienili budynki w jakąś osadę i nadali jej nową nazwę. Ale w swoim proroczym śnie Meg nie widziała nagrobka ani grobu, tylko ciało ukryte pod liśćmi.

Miał wrażenie, że do pomieszczenia nagle wpadło stado wiewiórek. Tych kilka ciał zaczęło wypowiadać mnóstwo słów.

Warknął na stado samic, zignorowały go jednak i cały czas gadały. Warknął więc jeszcze głośniej. Cały czas zadawały mu pytania, ale ani na chwilę nie milkły, żeby wysłuchać odpowiedzi.

– Pan Wilcza Straż ma więcej informacji! – ryknął wreszcie O'Sullivan.

Gadające ludzkie wiewiórki zamknęły się i utkwily wzrok w Simonie. Zirykowało go to na tyle, że miał ochotę którąś ugryźć, postanowił jednak wykorzystać chwilową ciszę i opowiedział im o śnie Meg.

– Biała dłoń – mruknął O'Sullivan. – W takim razie nie będzie to Cyrus Montgomery. Jako członek rządowego Biura Śledczego mogę zmobilizować policję w każdym mieście na Północnym Wschodzie.

– Czy gubernator jeszcze tego nie uczynił? – spytała Ruthie.

– Owszem, ale jeśli ja się w to wtrączę, to każdy rozkaz wydany przeze mnie albo któregoś z moich agentów będzie podlegał rygorowi natychmiastowej wykonywalności. – O'Sullivan spojrzał na Simona. – Czy Meg wiedziała, czy to

było ciało dorosłego? Mężczyzny czy kobiety? – Simon spróbował się skupić. Nie pamiętał. – No dobrze, zrobię, co będę mógł.

Zrozumiał przekaz między wierszami: w dzisiejszych czasach zgłaszano zaginięcie wielu osób. Niektóre znikwały z własnego wyboru, inne nie przetrwały zemsty Starszych. I wiele z tych ciał nigdy nie zostanie znalezionych.

O’Sullivan pośpieszył z powrotem na komisariat, żeby wykonać kilka telefonów, i Simon został sam ze stadem samic.

– Znajdziemy ją – rzekła Ruthie.

– Nie widziała w tym śnie nikogo innego? – spytała Merri Lee. – W takim razie uda się jej uciec od tego mężczyzny.

Będzie sama, spragniona i przerażona. Czy to było lepsze?

– Kiedy? – odparował. – Za dzień? Za miesiąc? Rok?

– A może uciekła już godzinę temu? – podsunęła Merri Lee. – Meg jest mądra.

Simon wrócił do ZDL. Tak, Meg była mądra i już raz udało się jej uciec od złego człowieka. Ale wiedział lepiej niż stado samic, ile „mądrych” wieszczek krwi zginęło w ciągu ostatnich kilku tygodni – bo nie potrafiły sobie poradzić ze światem zewnętrznym.



Złość Starszych pulsowała pod skórą świata, wielkie drzewa drżały, stada przerażonych ptaków podrywały się do lotu. Wściekłość Żywiołów była wyczuwalna w powietrzu, w każdym jeziorze i strumieniu, który płynął na Północnym Wschodzie.

Ta złość, ta wściekłość, stały się wiadomością dla wszystkich *terra indigena*.

Słodka krew. Wyjący nie-Wilk. Dziewczyna Kij. Zabrana od *terra indigena* przez człowieka.

Trzeba znaleźć człowieka.

Ale, co ważniejsze, trzeba znaleźć nie-Wilka.



Jimmy skręcił w jakąś boczną drogę – polną, wyglądającą, jakby prowadziła na farmę, nieoznakowaną. Wziął butelkę, obszedł samochód i otworzył bagażnik.

– Chcesz trochę wody, moje złotko?

– Nazywam się Meg!

– Od dziś będziesz złotkiem. A wiesz dlaczego? Bo przyniesiesz mi górę pieniędzy. – Otworzył butelkę i przechylił ją tak, że woda zaczęła kapać na ziemię.

– Przestań!

– Musisz ładnie poprosić. – Dostrzegł bunt w jej oczach. No cóż, miał na to swoje sposoby. Rzucił butelkę na ziemię, wepchnął dziewczynę z powrotem do bagażnika i wyciągnął brzytwę. Jedną ręką przycisnął Meg do podłogi bagażnika,

a drugą otworzył brzytwę i przystawił ostrze do jej twarzy. – Jeśli będziesz się stawiać, potnę ci buźkę. Potnę cię tak, że nie będziesz już wyglądać jak człowiek i ludzie będą uciekać przed tobą z krzykiem. Chcesz tego? Chcesz? Odpowiadaj!

– N-nie.

– No to rób, co ci każe. – Przypomniał sobie, jaka była napalona po wypowiedzeniu prorocstwa, i dodał: – A może w nagrodę dam ci coś miłego.

Tak, w sumie to mógł wyciągnąć ją z tego bagażnika i na kilka minut zabrać na tylne siedzenie. A może nawet w ramach nagrody będzie mogła trochę tam pojeździć.

Złapał ją za prawą rękę i po raz kolejny przeciął stare blizny.

– Gdzie mam jechać, żeby trzymać się z dala od glin? Mów!

– Wrony pilnują dróg. Zdjęcie Cyrusa Montgomery’ego. Wrony sprawdzają samochody. Zawiadamiają policję.

– Gdzie? – wrzasnął. Kurwa! Mają jego zdjęcie? – Gdzie?

Westchnęła, ujawniwszy swoje wizje.

Szarpnął ją do góry i po raz kolejny naciął jej skórę.

– Jak mam uniknąć tych jebanych ptaszydeł?

Słuchał uważnie, zbyt przerażony, by dać się omamić pożądaniu. Podała mu numery dróg i nazwę zajazdu. Słuchał, patrząc na zegarek.

– Szlag!

Jeśli chciał utrzymać przewagę, musiał natychmiast ruszać dalej.

Zamknął bagażnik, wsiadł do samochodu i odjechał tak szybko, jak tylko się dało. Musiał znaleźć ten zajazd i wmieszać się w tłum. Jeśli gliny rozstawią blokady, zanim do niego dotrze, wszystko przepadnie. Przecież nie znał nazw żadnych miejsc, w których mieszkali tu ludzie – o ile w ogóle takowe istniały. Ale gliny na pewno je znały. Możliwe, że policja nie wie jeszcze, jakim samochodem podróżuje, więc musiał tylko znaleźć właściwe miejsce, żeby złapać oddech. Musiał utrzymać przewagę nad tymi cholernymi ptaszydłami i glinami.

Jechał, cały czas spoglądając we wsteczne lusterko i na boki; pot zalewał mu oczy i sprawiał, że jego dłonie ślizgały się na kierownicy.

A może policja to nie najgorsze, co go szukało?



Wizje ze starych prorocstw mieszały się z tymi po nowych cięciach, wskutek czego powstawały obrazy tak dziwne, że Meg zbierało się na mdłości. Zegary się topiły i skapywały z krawędzi stołów niczym lody w słoneczny dzień, a Jedynek zjadł wszystkie cyfry, które spadły z tarcz. Pnie drzew i korzenie wystające z ziemi stawały się poskręcanyimi nogami, które pędziły po lesie; potem wyrosły z nich pióra, a na samej górze wielkie usta z pilami zamiast zębów. Tuż przed tym, jak jej mózg się wyłączył, zobaczyła serię obrazków, które pokazały kolejny etap

podróży. A potem skały przybrały kształt wilka – i zawyły.



– Crispinie, nie potrzebuję nadzoru. – Twyla złożyła kolejną małą koszulkę. – Nieraz pakowałam już walizki.

– Mamo, takie są procedury – odparł Monty. Trzymał w dłoni długopis i mały notes. – Musimy spisać wszystkie rzeczy, które stąd zabieram, tak by nikt potem nie mógł stwierdzić, że ktoś zabrał jego własność.

Odwróciła się do niego.

– Myślisz, że po tym, co dziś się wydarzyło, Frances będzie robić awanturę o jakąś koszulkę? A jeśli czegoś będzie brakować, to któryś z Wilków zawsze może z nią tu przyjść i pomóc jej to znaleźć.

– To nie ona będzie robiła awanturę.

– No cóż, wydaje mi się, że Cyrus raczej nie zadzwoni i nie zacznie wypytywać nas o swoje ubrania. – Sprawdziła szafę i komodę. Uklękła, jedną ręką podniosła prześcieradło i koc i zajrzała pod łóżko. – W tym mieszkaniu trzeba porządnie posprzątać. Jedyńm, co ta kobieta kiedykolwiek próbowała utrzymać w czystości, była ona sama, a i to...

Monty pomógł matce wstać.

– To mieszkanie będzie przeszukane w ramach dochodzenia. A potem... No cóż, wydaje mi się, że Eve będzie wdzięczna za pomoc w sprzątaniu.

Twyla położyła dłoń na dłoni syna.

– Crispinie, dlaczego tu jesteś? Przecież równie dobrze mógł to zrobić któryś z młodych policjantów. Powinieneś być tam, na zewnątrz, i pomagać panu Simonowi w poszukiwaniach.

– Mój brat uprowadził Meg. Mój bratanek pomógł mu odwrócić uwagę wszystkich mieszkańców Dziedzińca. Jeśli przez moje zaangażowanie powstanie jakaś luka...

Klepnęła go w rękę.

– Czujesz się winny. Ja też. Cyrus przyjechał tu, dlatego że my tu jesteśmy. Ale nie ponosimy odpowiedzialności za drogę, którą wybrał. I żadne z nas nie może wykorzystać go jako wymówkę, żeby nie zrobić tego, co powinniśmy. – Pokręciła głową. – Gdy potrzebowałeś pomocy w sprawie Lizzy, pan Simon cię wspierał, pomagał ci chronić twoją rodzinę. Teraz ty musisz uczynić dla niego to samo – zarówno jako policjant, jak i jako człowiek.

Monty przez długą chwilę tylko ją obejmował.

– Masz rację, mamo. Masz rację. – Wypuścił ją z objęć i się cofnął. – Poczekam, aż wszystko spakujesz. A potem pojedę z tymi torbami na komisariat i sprawdzę, jak mogę pomóc w poszukiwaniach.

Ubrania Clarence'a walały się głównie po podłodze. Twyla podniosła jedno

z nich, powąchała i skrzywiła się.

– Najpierw to wypiorę. Zobaczę, czy uda mi się znaleźć dla niego coś czystego.

Monty znalazł koszulkę, która wyglądała, jakby przejechała po niej kosiarka, ale chyba była w miarę świeża.

– Czy w Toland są modne podarte koszulki?

– Ech, chłopcy... – Twyla wzruszyła ramionami.

Nie wiedząc, jak zrozumieć te słowa – przecież sam był chłopcem – Monty poszedł do salonu, żeby zadzwonić do kapitana Burke'a, podczas gdy matka przeszła do drugiej sypialni, żeby zająć się ubraniami i osobistymi rzeczami Sandee.

– Jakies wieści? – spytał Monty, gdy Burke odebrał telefon.

– Jeszcze nic nie mamy, ale wyeliminowaliśmy wszystkie wypożyczalnie samochodów, więc pojazd, którym porusza się Cyrus, jest albo kradziony, albo wypożyczony od osoby prywatnej.

– To jak igła w stogu siana.

– Policjanci chodzą po lokalach przy uniwersytecie, w których mogą być jakieś tablice ogłoszeniowe.

– Mogę coś zrobić?

– Crispinie? – zawołała Twyla.

– Pomagaj na Dziedzińcu, jak tylko będziesz mógł – odparł Burke.

– Crispinie!

– Kapitanie, muszę już iść.

Monty pośpieszył do sypialni, w której Twyla pakowała rzeczy Sandee. Na jego widok wyciągnęła przed siebie prosty szklany słoiczek z jakimś białym kremem.

– Ostrożnie – powiedziała. – To wygląda jak krem do twarzy, ale ma bardzo ostry zapach, jak jakiś środek czyszczący. Czy to może być ta substancja, która skrzywdziła panią Leethę?

Monty otworzył słoiczek i ostrożnie powąchał. A potem go zamknął. Czyżby wynaleziono substancję, która nie wyrządziłaby krzywdy człowiekowi, ale była toksyczna dla Sanguinatic? A może była przeznaczona dla wszystkich mieszkańców – zwłaszcza kobiet, które mogłyby użyć jej jako kremu – i Leetha została ranna przez przypadek?

– Zabiorę to do zbadania – stwierdził. Popatrzył na kosmetyki do makijażu, pudry i balsamy. – Wezmę to wszystko jako materiał dowodowy. Nie dotykaj tego, mam, dobrze?

Twyla pokiwała głową.

– Spakuję ubrania.

Monty zauważył, że nie zaproponowała wyprania ubrań Sandee – ani

Jimmy'ego.

Zadzwoił do Vlada. Powiedział mu o swoich podejrzeniach odnośnie do kremu i zasugerował, żeby uzdrowiciel Sanguinatic porozmawiał z lekarzem ze szpitala w Lakeside, jeśli nie ma doświadczenia w leczeniu kogoś, kto spożył toksyczną substancję, wyprodukowaną przez ludzi. Następnie zadzwonił do Burke'a na wypadek, gdyby ta substancja miała wyrządzić krzywdę każdemu człowiekowi, który nałoży ją na skórę. Na końcu zatelefonował do Debany'ego, ponieważ Kowalski właśnie eskortował Clarence'a ze szpitala na komisariat. Chłopak miał szwy założone na plecach i ramionach, ale Jastrząb nie wbił w jego skórę szponów tak mocno, jak mógł – tak jak uczyniłby to, gdyby wiedział o porwaniu Meg.

– Oficerze Debany, potrzebuję, żeby ktoś przywiózł mi do mieszkania torbę na materiał dowodowy.

– Ale przecież wszystko sprawdziliśmy.

– A jednak coś pominęliśmy.



Jimmy siedział przy końcu lady, przeżuując hamburgera i frytki. Znalazł zajazd o nazwie, którą podała mu złotko. Jak na razie cały czas miał przewagę nad glinami i dziwadłami – i planował, że tak zostanie.

Pod budynkiem zaparkowały dwa samochody. Z jednego wysiadła bardzo opalona młoda para, a z drugiego trzech nastoletnich chłopców. Idąc w stronę zajazdu, cały czas ze sobą rozmawiali.

– Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś tak dziwnego – rzucił jeden z chłopaków. – Cały czas dotrzymywały tempa samochodom.

– Sposób, w jaki zerkały do środka, był przerażający – dodała kobieta.

– Zwolniłem i zdjąłem okulary przeciwsłoneczne – powiedział jej towarzyszy. – Gdy to zrobiłem, przestały zwracać na nas uwagę.

– Kogoś szukają – rzekł drugi nastolatek. – Widzieliście blokady na drogach? Policjanci kazali zjeżdżać na pobocze niektórym samochodom i je przeszukiwali. Wydaje mi się, że jeśli nie zwolnisz na tyle, by Wrony mogły ci się przyjrzeć, to dają znak policji, która blokuje drogę. Podejrzewają, że skoro nie zwalniasz, to masz coś do ukrycia.

Jimmy upuścił hamburgera na talerz. Nagle przestał mu smakować.

– Słyszeliśmy w radiu, że zablokowano wszystkie drogi w miastach na Północnym Wschodzie – dodała kobieta. A potem zadrżała. – Skoro urządza się poszukiwania na taką skalę, to ktoś musiał zrobić coś bardzo złego.

Grupy się rozdzieliły, gdy kelnerka wskazała im stoliki. Ale mężczyźni jedzący przy barze odwrócili się i zaczęli wypytywać o Wrony i blokady na drogach. Potem pokręcili głowami i zgodzili się co do tego, że nie jest to najlepsze

miejsce dla kogoś, kogo szukają Inni. Wrony i Jastrzębie widywano teraz często w miejscach postojów albo w niewielkich zajazdach, takich jak ten. Kierowcy ciężarówek z dostawami, którzy regularnie kursowali tymi trasami, zarzekali się, że Inni znają i ich pojazdy, i ich twarze. I dają im spokój. Tak naprawdę to było korzystne, gdy część dostaw trafiała do małych miasteczek, które wyglądały na ludzkie, ale wcale takie nie były.

Jimmy całkiem stracił apetyt, poczuł pieczenie w żołądku. Zapłacił za posiłek i przyjął pudełko z jedzeniem na wynos – gdyby się na to nie zgodził, kelnerka z pewnością zapamiętałaby go. Kupił jeszcze małą butelkę wody i poszedł do samochodu.

Gdy tylko uchylił bagażnik na kilka centymetrów, ta mała suka spróbowała pchnąć klapę.


– Zabieraj te swoje pieprzone paluszki, inaczej ci je zmiażdżę – syknął.

Schowała palce, a on wrzucił do bagażnika butelkę wody.

– Jeśli się posikasz, zanim cię stąd wypuszczę, będziesz wdychać własne szczyny.

Zamknął bagażnik, wsiadł za kierownicę i rzucił pojemnik z jedzeniem na siedzenie pasażera. A potem ruszył na południe.

Mijał nieoznakowane polne drogi krzyżujące się z drogami brukowanymi. Gdy tylko będzie mógł, skręci w jedną z nich.




Meg próbowała otworzyć butelkę z wodą. Kiedy wreszcie jej się udało i odrobinę się napiła, dotknęła ostrego brzegu nakrętki. Normalny człowiek nie zwróciłby na to uwagi... może jednak nakrętka była na tyle ostra, by rozciąć skórę?

Ale to później.

Zakręciła butelkę. Jeśli teraz się potnie, woda prawdopodobnie się wyleje. Nie chciała jej stracić, więc poczeka. Musi poczekać. Gdy Cyrus podniósł klapę, zorientowała się, że nie jest to odpowiednie miejsce na ucieczkę, choć słyszała głosy i wiedziała, że wokół znajdują się ludzie.

A potem samochód ostro skręcił i podskoczył. Nie była na to przygotowana; gwałtownie zacisnęła szczękę i przygryzła sobie czubek języka – w tym miejscu, w którym w ostatnich dniach kilka razy odczuwała mrowienie.

Przełknęła krew, przełknęła cierpienie, przełknęła słowa. Usłyszała ostrzegawczy klakson ciężarówki i zobaczyła chwilę, w której ucieknie od Cyrusa Montgomery'ego.



Douglas Burke wszedł do pokoju przesłuchań, rzucił teczkę na stół i usiadł naprzeciwko Sandee Montgomery. Gdy tylko Monty zadzwonił i poinformował go o substancji znajdującej się w słoiczku, zabrano kobietę do szpitala na leczenie.

Z tego, jak wyglądały jej ramiona i klatka piersiowa, wywnioskował, że pracownicy laboratorium z pewnością stwierdzą obecność trucizny w kremie. Sandee nawet nie zauważyła, że coś jest nie tak, dopóki nie rozpoczął się zjazd po narkotykach, które zażyła. Burke zastanawiał się, co by się wydarzyło, gdyby nie wybiegła na zewnątrz, żeby pomóc synowi w bójce, i gdyby Leetha Sanguinati nie została ranna wskutek kontaktu z jej skórą.

Miał kilka pomysłów, dlaczego mogłaby się stać celem ataku, ale najpierw będzie musiał omówić je z szefem.

– Gdzie jest CJ? – spytała Sandee.

– Nie ma go. – Uśmiechnął się do niej zjadliwie.

– Chcę prawnika.

– Możesz do jakiegoś zadzwonić, choć nie zostałam o nic oskarżona.

– To dlaczego tu jestem?

Oparł się na krzesło.

– A dokąd miałybyś iść?

– Z powrotem do mieszkania.

Pokręcił głową.

– Złamałaś zasadę *terra indigena* odnośnie do posiadania narkotyków i zostałam wyrzucona z mieszkania ze skutkiem natychmiastowym. Twoje rzeczy spakowano; znajdują się tu, na komisariacie. Musisz zdecydować, którym pociągiem wyjedziesz stąd jutro rano. Nie masz zbyt dużego wyboru, ale jeśli pozostaniesz w Lakeside choćby odrobinę dłużej, Sanguinati skrzykną się i cię złapią. – Burke otworzył teczkę i wyjął z niej odręcznie napisaną listę. Odwrócił ją do góry nogami, żeby Sandee mogła przeczytać. – Oto miasta, do których wolno ci się przenieść. To nadal jest Północny Wschód, ale raczej niewielkie miejscowości. To nie Toland, nie Dyspozytornia, nie Shikago, ale małe, odizolowane miasta, w których każdy będzie cię znał i wiedział o tobie wszystko, jeszcze zanim się rozpakujesz. Zakładam, że w niektórych miastach jest zapotrzebowanie na prostytutki. Bo właśnie w ten sposób zarabiasz na życie, prawda?

W oczach kobiety pojawił się wściekły błysk. Wyglądała tak, jakby miała ochotę rzucić się na niego z pazurami.

– Nie masz prawa mówić do mnie w ten sposób – wycedziła. – Nie masz prawa wypędzać mnie z miasta. A co z moim mężem, z moimi dziećmi?

– To nie ja wypędzam cię z miasta. Tak naprawdę Inni też chcieliby, żebyś została – mieliby wtedy wymówkę, by zadać ci powolną i bolesną śmierć. Jeśli chodzi o twoje dzieci, Frances została usunięta z twojego domu dla własnego bezpieczeństwa. A syn... Cóż, może nie wiedziałaś, że zaczął stawiać pierwsze kroki, by stać się stręczycielem swej młodszej siostry? – Wiedziała. Dostrzegł to w jej oczach, zanim utkwiała wzrok w blacie stołu. – Clarence został uznany za współwinnego porwania młodej kobiety i pójdzie do więzienia – dodał.

– Co? – Na jej twarzy pojawiły się przerażenie i szok.

– Dzisiaj około południa Cyrus Montgomery porwał młodą kobietę. Udało mu się wywieźć ją z miasta. Teraz każdy komisariat w każdym mieście na Północnym Wschodzie bierze udział w pościgu. Znajdziemy go. Pytanie tylko, czy Cyrus i Clarence zostaną oskarżeni o porwanie, czy o zabójstwo, jeśli ta kobieta nie przeżyje.

Sandee się zachwiała.

– Co? – spytała ledwo słyszalnie. – Clarence to chłopiec. To tylko chłopiec...

– Sandee, przestępstwo popełnione przez twojego syna to nie był głupi młodzieńczy wybryk. Jego działania – tak jak i twoje – miały na celu zaatakowanie *terra indigena*. Więzienie to dla niego jedyna szansa na przetrwanie. Inni rzadko zabijają dzieci, mogę cię jednak zapewnić, że jeśli go wypuścimy, nie przeżyje nawet jednego dnia.

Wreszcie udało mu się przebić tę warstwę egocentryzmu; w końcu dotarła do niej powaga sytuacji.

– Chcę porozmawiać z CJ-em.

– Nie.

– To z Twylą. Chcę porozmawiać z Twylą.

– Nie. – Burke wyjął z kieszeni zdjęcie przedstawiające słoiczek kremu do twarzy; położył je na stole. – Powiesz mi, skąd to masz?

– Wal się.

Wzruszył ramionami.

– Badamy tę substancję – tak jak wszystkie twoje balsamy – jestem jednak pewien, że to właśnie ten krem wyrządził krzywdę Sanguinati, która cię ugryzła. Powinnaś zatem wiedzieć, że niezależnie od tego, dokąd się przeniesiesz od tej pory Sanguinati będą cię obserwować. Będą wiedzieć, z kim rozmawiasz, z kim sypiasz, będą znali wszystkie twoje zakupy, i te legalne, i te nielegalne. I prędzej czy później cię zabiją.

– Musisz mnie chronić!

– Nikt nie ma zamiaru wkurzać *terra indigena* tylko po to, by cię chronić, bo może się to skończyć zniszczeniem całego miasta.

– Już nigdy nie będę bezpieczna – szepnęła.

Burke pochylił się i popukał palcem w zdjęcie.

– Opowiedz mi o tym. Skąd to masz? Co wiesz o osobie, która to produkuje? To jest wyrok śmierci na ludzi w tym mieście, a może nawet na ludzi w każdym mieście. Będziemy mieć w kostnicy stosy ciał od podłogi aż po sufit, tak jak miało to miejsce po burzy w zeszłym miesiącu. Jeśli powiesz mi, skąd to masz, aresztuję cię za posiadanie narkotyków i jakiś czas będziesz mogła spędzić w więzieniu. Na tyle długo, żeby Sanguinati zdążyli o tobie zapomnieć. Nie będziesz wolna, ale

dostaniesz miejsce do spania i trzy posiłki dziennie, bo więzienia mają własne farmy i same uprawiają większość jedzenia. No i będziesz żyć. To lepsza opcja niż wyjście na zewnątrz.

Wreszcie powiedziała mu to, czego chciał się od niej dowiedzieć. Potem aresztował ją za posiadanie narkotyków i wsadził do więzienia w oczekiwaniu na proces.

Zmęczony, ale ze świadomością, że zanim – o ile w ogóle – którykolwiek z funkcjonariuszy będzie mógł odetchnąć z ulgą, minie mnóstwo czasu, Burke wyszedł z pokoju przesłuchań. Trafił prosto na czekającego na niego Louisa Gresha.

– Słyszałeś? – Burke spojrział w stronę pokoju obserwacyjnego.

– Czasami zachowujesz się jak ostatni drań – rzekł cicho Gresh.

– Pozyskałem potrzebne nam informacje i zawarłem układ, dzięki któremu Sandee i Clarence dostali szansę na przeżycie.

– Układ z kim?

Kapitan pokręcił głową. Telefon nie pochodził od Vladimira Sanguinatiego, lecz od Stavrosa, który rozwiązał problem Dziedzińca w Toland – tego, który sprawiał, że znikwały wszystkie problemy. I Stavros dał mu bardzo wyraźnie do zrozumienia, jak będzie wyglądała odpowiedź Sanguinatic, jeśli Burke nie wydobędzie informacji na temat nowej broni do smarowania, jaką wynaleźli ludzie.

Dzięki bogom nie była to broń wymierzona w Sanguinatic. Była to sprawa nieistotna i dość okrutna, żywił jednak przekonanie, że dochodzenie potwierdzi, iż celem ataku była wyłącznie Sandee Montgomery.

– Mam dużo pracy. – Burke przecisnął się obok Gresha i niemal wpadł na Monty'ego.

– Są tu Steve Przewoźnik i Roger Czerneda – rzekł Monty. – Mają informacje, których potrzebujemy, ale nie mogą pokazać ich *terra indigena*. Czekają w gabinecie.

Trzej mężczyźni – z Burke'em na czele – pośpieszyli do gabinetu.

Na bogów, pomyślał na widok ich twarzy.

Roger Czerneda wyjął z kieszeni kartkę papieru.

– To numery rejestracyjne. Wysłałem je już do władz w osadach Intuitów, które mogą znajdować się po drodze.

– Skąd to masz? – spytał Monty.

Louis Gresh wziął kartkę.

– Zadzwoń do wydziału pojazdów mechanicznych i zaczniemy szukać właściciela.

Gdy tylko Gresh wyszedł z pokoju, Burke zwrócił się do Przewoźnika:

– Co jeszcze?

Steve się zawahał, a następnie otworzył kopertę z szarego papieru i wyjął

jakąś kartkę. Nie odwrócił jej jednak. – Intuici mają kabiny komunikacyjne w pobliżu Największego Jeziora, jedną w Regionie Środkowo-Zachodnim i kilka na Północnym Wschodzie. Znajdują się na tyle blisko siebie, żeby można było przekazywać sobie wiadomości przez CB-radio. Przybyła pilna wiadomość od Tolyi Sanguinatiego, który z kolei otrzymał ją od Jacksona Wilczej Straży.

Burke poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach. Pilna wiadomość od Jacksona Wilczej Straży oznaczała tylko jedno: mieszkające w Sweetwater młode wieszczki krwi coś zobaczyły.

– Czyli Nadzieja widziała tę tablicę rejestracyjną? – spytał.

– I to. – Przewoźnik odwrócił kartkę; teraz wszyscy mogli zobaczyć rysunek.

Na jego widok Monty oparł się o biurko kapitana.

Rysunek Nadziei przedstawiał fragment mapy i drogi prowadzące z Lakeside. Narysowała tylko drogi prowadzące na południe i wschód, jedna została zaznaczona grubszą kreską niż pozostałe – pewnie tę wybrał Cyrus Montgomery.

Na obrazku widać było również tył brązowego samochodu z wyraźnie zaznaczoną tablicą rejestracyjną. Kłapa bagażnika była uchylona. Z ciemnego wnętrza wyglądała Meg Corbyn, jej ręce i ubrania były poplamione krwią.

Ale to jej niewidzące oczy przyprawiły Burke'a o dreszcze. Nie potrafił powiedzieć, czy oznaczały, że widziała jakąś wizję, czy że była martwa.

Rozdział 26



Czwartek, 23 sierpnia

Jimmy potrzebował paliwa, więc wrócił na brukowaną drogę i jechał tak długo, aż dotarł do kompleksu różnych firm, łącznie ze stacją benzynową, i miejsca o nazwie Placówka Handlowa Millera. Stał przy dystrybutorze i zatankował do pełna. Był tam niewielki zajazd, ale w placówce handlowej też mogli mieć jedzenie i picie, a do tej pory złotko powinna być już tak głodna, że z odpowiednią wdzięcznością przyjmie jedzenie...

Nagle zobaczył, jak stary facet przy kasie patrzy uważnie na niego, a potem na samochód.

Kurwa! Czyżby gliny wiedziały już, czym jeździ? Jakim cudem się dowiedziały? Dzieciak pożyczył mu grata na cały dzień, więc na pewno nie zdążył jeszcze ich powiadomić.

Patrzył na starca, wyzywając go spojrzeniem. Skutecznie nastraszywszy sprzedawcę, opuścił stację. Był wściekły, że nie może wejść do sklepu i kupić kilku rzeczy na drogę, że nie może usiąść na chwilę w niewielkim zajęździe.

Nie odjechał od Lakeside tak daleko, jak potrzebował. Myślał, że uda mu się zyskać co najmniej jeden dzień przewagi, zanim CJ zacznie szukać go po miejscowościach, takich jak Shikago czy Dyspozytornia. A on nadal znajdował się na samym środku Jezior Palczastych, czyli, kuźwa, nigdzie. Musiał znaleźć miejsce, w którym on i złotko będą mogli wsiąść do autokaru albo pociągu, tak by mógł porzucić samochód. Jeśli ten stary pierdziel ze stacji benzynowej na zadupiu usłyszał o czymś, przez co spojrzał w ten sposób na jego samochód, gliny będą na wszystkich drogach prowadzących z Lakeside. Myślał, że gadka o szeroko zakrojonym polowaniu była tylko historyjką wymyśloną przez dziennikarza, ale jeśli gliny rzeczywiście na niego polują?

Musiał jak najszybciej odjechać od tego miejsca, zanim staruch stwierdzi, że jednak ma jaja, i zadzwoni po gliny. Znajdzie jakąś pustą drogę. A potem zada kilka pytań tej suce w bagażniku.



Meg dryfowała między wizjami, które przechodziły jedna w drugą – był to skutek wymieszania się prorocstw. Ponieważ nie była w stanie przewidzieć, kiedy samochód podskoczy na górze czy koleinie, celowo uderzyła ręką w jakiś przedmiot w bagażniku. Jedną z najświeższych ran ponownie zaczęła krwawić i Meg zobaczyła... różne rzeczy.

Ludzkie ciała gnijące w stosach na popękanej, spieczonej od słońca ziemi.

Napęczniałe ciała na brzegu, stanowiące pokarm dla krabów.

Płonąca ziemia, niebo czarne od dymu. Czy to było coś nowego? Czy to było coś starego?

Miasta zatopione pod wodą płynącą z kurków.

Meg siedząca z tyłu samochodu i przytulająca Simona.

Gwóźdź. Opona. Balon, z którego uciekało powietrze.

Sam, który przyniósł jej swą zdobycz – człowieka – podczas gdy inny człowiek uderzył Jedynaka pałką zakończoną metalowym hakiem.

Czy to było coś starego? Czy to było coś nowego? Czy wspominała Cyrusowi Kontrolerowi o tych obrazach? Czy pytał o nie? Jeśli on nie spyta, to ona nie musi mu mówić. Jeśli on nie spyta, to ona mu nie powie.

Nagrobek z kupy starych liści.

Czy to była przeszłość czy przyszłość?

Znowu stała się własnością, rzeczą. Słabą. Bezradną.

Nie. Nie była słaba ani bezradna. Żyła z Wilkami i potrafiła biegać – szybko i daleko. Istnieje miejsce, w którym może się ukryć przed Cyrusem Kontrolerem. Będzie podążała za wizjami i ucieknie. Tak jak ostatnio.

A potem samochód zwolnił. Zatrzymał się. A gdy Cyrus Montgomery otworzył bagażnik i wyciągnął ją na zewnątrz, Meg naszła jedna trzeźwa myśl: *Już*

czas.



Stacje radiowe na Północnym Wschodzie cały czas przerywały audycję wydaniami specjalnymi wiadomości na temat szeroko zakrojonych poszukiwań Cyrusa Montgomery'ego – mężczyzny oskarżonego o uprowadzenie młodej kobiety z miasta Lakeside. Policja podała rysopis mężczyzny i dane samochodu, łącznie z numerem tablic rejestracyjnych. Podano również rysopis młodej kobiety: krótkie czarne włosy, szare oczy, jasna skóra. Blizna z prawej strony szczęki.

Informacje te były powtarzane nawet w bardzo oddalonych stacjach, tak by mieszkańcy zostali poinformowani o niebezpiecznej sytuacji – a nie dlatego że uważano, iż ten mężczyzna dotrze do miasta, zanim zostanie złapany. Nie, informowano mieszkańców na bieżąco, bo tego ranka widzieli mnóstwo Jastrzębi i Orłów, a Wrony latały nisko i sprawdzały każdy samochód wjeżdżający do miast.

Obywatele nie wiedzieli, dlaczego akurat ta konkretna kobieta jest tak ważna, że postawiła na nogi wszystkich Innych, wiedzieli jednak, że skoro w sprawę są zamieszani *terra indigena*, to ludzie powinni się bać.



Gdy Cyrus wyciągnął ją z bagażnika, nie walczyła. Miała zbyt zeszywniałe nogi i trochę kręciło się jej w głowie. Z głodu i z utraty krwi. Ale nie była w stanie o tym myśleć.

Musiała się skupić na ucieczce.

– Suko, pominęłaś kilka informacji! – rzekł wściekle Cyrus, groźnie na nią spoglądając.

Meg oparła się jedną ręką o samochód. Czuła mrowienie i pieczenie w nogach i stopach, pomyślała jednak, że to kwestia krążenia krwi, a nie proroctwa.

– Gdy *cassandra sangue* wypowiada proroctwo, nie pamięta żadnych obrazów. Musi zapamiętać je osoba, która słucha.

Zacisnął dłoń w pięść.

– Nie powiedziałaś wszystkiego.

– Może powinieneś mnie słuchać, zamiast się ze sobą zabawiać. – Słowa te padły z jej ust, jakby je ćwiczyła – albo gdzieś przeczytała.

Uśmiechnął się do niej paskudnie.

– Nie będę już musiał się ze sobą zabawiać, skoro po cięciu jesteś taka mokra i napalona.

Czy on...?

Poczuła, że traci odwagę; zaczęły do niej wracać wyparte wspomnienia. Ale teraz nie miała na to czasu. Cyrus miał małe pojęcie o wieszczkach krwi, a jego brak wiedzy był najlepszą bronią.

– Jeśli wykorzystałeś mnie do seksu, to twoja wina, że nie otrzymałeś prawdziwego proroctwa.

– O czym ty mówisz?

– Nie wykorzystuje się nas do seksu. Nigdy. To wypacza proroctwo. Po takim wykorzystaniu nasze proroctwa mogą być dokładne tylko w pięćdziesięciu procentach przez kilka kolejnych dni.

– Jeśli źle coś widzisz, to nie przeze mnie. – Popatrzył na nią groźnie. – Zabawiałaś się z tym Wilkiem? Czy to dlatego podałaś mi nieodpowiednie informacje?

– Cyrusie Montgomery, nie pamiętam większości tego, co widzę, ale jedno udało mi się zapamiętać: Wrony wydziobią ci oczy.

Przez chwilę obrazy nakładały się na siebie; poczuła uderzenie, zanim jego dłoń dotknęła jej twarzy i upadła na samochód.

Wtedy zobaczyła ciężarówkę. Miała wielkość połowy ciągnika z naczepą, pewnie jeździła po drogach na dzikich terenach i zaopatrywała mniejsze ludzkie miejscowości. Nie była zbyt duża, ale wystarczyła.

Kierowca spojrział na nich ostro. Rozległ się ostrzegawczy sygnał klaksonu.

Wtedy Meg rzuciła się do przodu, brakowało kilku centymetrów, żeby została potrącona przez ciężarówkę. Przebiegła przez drogę, przez trawę na poboczu, i zniknęła w lesie. Biegła szlakiem, który zobaczyła w wizji. Pędziła z całych sił – nie tak jak podczas zabawy, gdy gonili ją przyjaciele, którzy delikatnie ją popychali, lizali i trochę się podśmiewali z dyszącego człowieka. Tym razem drapieznik był prawdziwy i niebezpieczny.

Usłyszała wrzaski i przeklinanie Cyrusa. Ale była mała, miała na sobie ciemne ubranie, a ścieżka się rozwidła. Skrzyła w prawo i pobięła dalej.



– Wracaj, suko! Wracaj natychmiast albo stłukę cię na kwaśne jabłko!

Po kilku minutach bezowocnych poszukiwań Cyrus wrócił do samochodu. Nie miał czasu na gonitwy. Po tym, jak ta mała zdzira rzuciła się na drogę, ciężarówka wprawdzie się nie zatrzymała, miał jednak wrażenie, że kierowca szukał CB-radia albo telefonu komórkowego, że miał zamiar powiadomić kogoś o samochodzie i dziewczynie.

Musiał ruszać dalej, musiał się stąd wydostać. Fakt, że ciężarówka się nie zatrzymała, nie oznaczał jeszcze, że nie zatrzyma się w pierwszym lepszym miejscu na drodze, gdy kierowca zobaczy ludzi.

Cofnie się; to właśnie robi. Nie pojedzie za ciężarówką i mężczyzną, który widział tę małą zdzirę. Tak, cofnie się, może się zatrzyma w którejś z tych małych miścin nad Jeziorami Palczastymi, na tyle długo, żeby kupić wybielacz albo inny odplamiacz, który pomoże zmyć krew w bagażniku. I wtedy gliny nie będą mogły

mu nic udowodnić, nawet jeśli go złapią. Przecież wypożyczył samochód w legalny sposób i wybrał się na przejażdżkę. Właśnie wracał do Lakeside, żeby go zwrócić. O co to całe zamieszanie? Nie udowodnią mu, że w bagażniku jechała ta mała zdzira. Skoro nawiała, to nie jego wina.

Zawrócił i pojechał drogą, którą przyjechał. Nie zorientował się, że prawa tylna opona nagle sflaczała.



– Simonie!

Na dźwięk głosu Grega O’Sullivanana Simon gwałtownie się odwrócił i upuścił książki, które właśnie zdejmował z wystawy, żeby mieć jakieś zajęcie.

O’Sullivan wpadł do Zabójczo Dobrych Lektur.

– Widziano ten samochód.

Wilcza Straż spojrzał na Vlada, który pracował za ladą, a potem skupił się na agencie.

– Meg?

Agent pokręcił głową.

– Nie... – Wyjął dzwoniący telefon komórkowy i zerknął na wyświetlacz. – To Burke. Tak, kapitanie? Tak? Gdzie? – Simon podszedł bliżej, próbując coś dosłyszeć. – Będę gotowy. – Agent się rozłączył. – Jakiś kierowca ciężarówki zgłosił, że na poboczu drogi widział kłócących się mężczyznę i kobietę. Rysopis kobiety się zgadza, było to na tej samej drodze, na której zgłoszono samochód po raz pierwszy. Policja już tam jest. Burke po mnie podjedzie. Porucznik Montgomery i Kowalski pojedą za nami w drugim samochodzie. Ruszamy w stronę ostatniego miejsca, w którym widziano pojazd... – Zawahał się. – Kierowca ciężarówki twierdzi, że kobieta uciekła w las. Możemy ściągnąć paru policjantów z psami, jeśli tylko będziecie chcieli pocze...

– Wilcza Straż znajdzie Meg o wiele szybciej niż jakiś pies – warknął Simon.

O’Sullivan spojrzał na niego z taką ulgą, że Simon wybaczył mu uwagę o psach.

Simon pobiegł na górę, rozebrał się, schował ubrania do worka i zamienił się w Wilka. Następnie wystawił worek na schody i popchnął go, tak by sturlał się na półpiętro. Jeszcze jedno pchnięcie i worek wylądował na dole.

O’Sullivan stanął przy tylnych drzwiach ZDL; w rękę trzymał niewielki plecak.

– To woda i jedzenie – oznajmił. – Policja ma już w radiowozach apteczki pierwszej pomocy. – Otworzył drzwi akurat w chwili, w której na parking podjechał czarny sedan Burke’a.

Gdy przeszli przez plac za sklepami i dotarli na tył biura łącznika, Burke

zawracał. Wysiadł z samochodu, otworzył tylne drzwi i bagażnik, a potem podniósł palec, żeby zaczekali, i na chwilę odszedł.

Ostrożnie, żeby nie uderzyć się w łeb o drzwi, Simon wsiadł na tył samochodu. Worek ze swoją odzieżą rzucił na podłogę za siedzeniem Burke'a, a potem wyciągnął się na fotelu.

Simonie? zawołał Blair. *Ja i Nathan jedziemy z tobą, żeby znaleźć Meg. Wsiadamy z Montgomerym i Kowalskim.*

Ja jadę z Burke'm, odparł. *Z tyłu jest dostatecznie dużo miejsca dla mnie i Meg.*

Jego serce waliło jak oszalałe, a ciało trzęsło się ze zniecierpliwienia.

Ludzie znaleźli samochód. Wilcza Straż znajdzie swoją Meg.



– Czyli zamiast jednego Wilka jadą z nami trzy? – rzucił oschle Burke.

Monty pokiwał głową.

– Blair i Nathan zaczęli drapać w drzwi samochodu, gdy tylko Kowalski wjechał na obszar dostaw. Nie wiem, co wiedzą, poza tym, że policja coś znalazła, ale postanowili z nami pojechać.

– Potrafią tropić tak dobrze jak psy – dorzucił O'Sullivan. – A jeśli z jakiegoś powodu będziemy musieli zjechać z drogi, to Wilki mogą być bardzo pomocne, prawda?

– Ile powiedzieliście Simonowi? – spytał Burke.

– Że widziano samochód i że dzięki temu wiemy, gdzie rozpocząć poszukiwania – odparł O'Sullivan. – I że kobieta pobiegła do lasu.

Monty poczuł ucisk w żołądku.

– Nie powiedzieliście mu o tym, że kierowca widział krew na ubraniach kobiety? – Jimmy ciął Meg. Oczywiście, że tak. Z pewnością nie potrafił się oprzeć pokusie usłyszenia proroctwa na temat swej przyszłości czy tego, jak w prosty sposób zdobyć dużo pieniędzy. To przecież właśnie po to ją porwał, prawda? Zmusił ją, żeby pomogła mu uniknąć pościgu. Dlaczego więc ktoś tak szybko zobaczył ten samochód? Czyżby znów było to tylko odwrócenie uwagi?

– Na razie nie ma sensu im o tym wspominać – rzekł Burke – ani mówić Wilkom o wizji narysowanej przez Nadzieję Wilczą Pieśń.

– Ale wtedy Simon może pomyśleć, że nie jesteśmy wobec niego uczciwi – zauważył cicho Monty.

– Gdy po raz ostatni widziano Meg Corbyn, żyła i miała siłę, żeby uciec od Cyrusa – odparł Burke. – I na razie tego się trzymamy. Poza tym z tyłu waszego radiowozu pojedą dwa duże Wilki. Naprawdę chcecie, żeby były jeszcze bardziej zdenerwowane, niż są? – Monty pokręcił głową. Burke poczekał chwilę, a potem dodał: – Poruczniku, mogę wyznaczyć do tego zadania kogoś innego.

– Nie. Ja jestem dowódcą zespołu pracującego na Dziedzińcu. I ja się tym zajmę.

Monty wrócił do radiowozu. Gdy Kowalski zjechał na bok, żeby puścić Burke'a przodem, Monty modlił się do wszystkich bogów, jakich znał, żeby Jimmy nie wyrządził Meg Corbyn żadnej poważniejszej krzywdy. A jeśli już wyrządził, to żeby miał choć odrobinę rozumu, żeby się poddać, tak by nie musiał wладować mu kulki między oczy.



Meg biegła i biegła, skręcając w ścieżki, które były zamazane albo zbyt wyraźne. Cyrus zrobił cięcie przez stare blizny, a nowe rany znajdowały się zbyt blisko siebie, przez co proroctwa były niewyraźne i mieszały się ze sobą. Co gorsza, cały czas widziała nałożone na siebie obrazy i nie potrafiła powiedzieć, co było prawdą, a co jedynie częścią wizji. Mogła spaść z klifu, przekonana, że idzie drogą. Niezależnie jednak od tego, co widziała, musiała biec dalej, musiała znaleźć właściwe miejsce.

Wreszcie zwolniła; lewą dłoń wytarła o bluzkę, żeby usunąć lepłą substancję. Gdy po chwili dłoń lepła się od nowa, Meg wreszcie zobaczyła lejącą się z cięcia krew.

Jak to się stało? Kiedy?

Cały czas szła. Potrzebowała wody. Musiała jakoś odróżnić wizje z przeszłości od tych, które mogły jej teraz pomóc.

Pogrążona w myślach i skupiona na sprawdzaniu, czy ścieżka, którą idzie, jest prawdziwa, nagle straciła równowagę; jej stopa zawisła w powietrzu. Po chwili spadła w dół zbocza i wpadła do niewielkiej kotliny. Zahaczyła stopą o coś znajdującego się pod liśćmi, przez co przewróciła się do przodu. Wyciągnęła ręce przed siebie, dotknęła czegoś, jej palce się po tym ześlizgnęły.

Spojrzała na rękaw kurtki, a potem poczuła białą zimną dłoń. Krzyknęła.



Jimmy zaklął i kopnął samochód. Pieprzona kupa złomu! I co on miał, do cholery, zrobić w środku lasu z przebitą oponą?

Ta zdzira wiedziała. *Wiedziała*. Powinien był ją złamać, nauczyć, kto tu rządzi. Gdyby tak zrobił, mógłby zatrzymać się w tamtej placówce handlowej i kupić trochę jedzenia i wody. Gdyby nie była taką suką, nie stałby teraz na drodze z pustymi rękami.

Nagle przestał przeklinać – i zaczął nasłuchiwać dziwnej ciszy, którą niemal czuł na skórze.

Cios ściał go z nóg, podniósł go tak wysoko, że wyleciał w powietrze. Zobaczył, jak z jego brzucha wypada jakaś dziwna lina. Po chwili spadł na trawę. Gdy spróbował usiąść, dostrzegł fragmenty swego tułowia, pociętego przez pazury

tak ostre, że mogłyby ciąć szkło.

Kiedy tak leżał, nie mogąc się poruszyć, powietrze wokół niego zamigotało i przybrało kształty tak stare, że pamięć o nich wracała tylko w koszmarach.



Z jej kostką było coś nie tak – nie tylko nie mogła iść, nie mogła nawet przenieść na nią ciężaru, żeby stanąć.

Odsunęła się trochę dalej od zimnej białej dłoni. A potem rozejrzała się wokół.

To było to. To był koniec proroctwa. Znalazła grób w lesie, nagrobek ze starych liści.

Pod drzewami było ciemno i zimno, ale ona nie odczuwała chłodu. Zanim temperatura spadnie na tyle, żeby go odczuła, zapadnie zmrok. Była jednak głodna, zmęczona i tak strasznie chciało się jej pić.

I była tu sama.

Ale przecież była członkiem stada Wilczej Straży w Lakeside. Nie zamieni się w jakiegoś mażącego się człowieka, tylko dlatego że jest sama. Ona...

– Arrooo! Arroo! – *Jestem tutaj. Simonie, jestem tutaj. Przyjdź, znajdź mnie!* – Arroo! – *Znajdź mnie, proszę...*

A potem zaczęła się mazać.



Jakiś dziwny odgłos. Niby znajomy, ale jednak obcy. I nic, co zostałyby wydane przez nich. Ich krewny w pobliżu jeziora Etu krzyknął do wszystkich, którzy mogli to usłyszeć: „Znajdźcie słodką krew, wyjącego nie-Wilka, małą samicę, zwaną Dziewczyną Kijem”. Czy ten dźwięk mógł być tym, czego szukali? Gdy szli w stronę jego źródła, ich kroki wypełniły ziemię dziwną ciszą.



O’Sullivan odebrał telefon, przez minutę spokojnie rozmawiał, a potem się rozłączył.

– Miejscowa policja znalazła samochód – oznajmił.

– Czy jesteśmy na właściwej drodze? – spytał obojętnie Burke.

O’Sullivan pokiwał głową. Po chwili niezręcznej ciszy dodał cicho:

– Uważają, że znaleźli Cyrusa Montgomery’ego.

Burke nie pytał, co to oznacza. Wiedział.

Rozdział 27



Czwartek, 23 sierpnia

Meg wyrwała się z niespokojnego snu. Spróbowała potrząsnąć zaspane oczy, ale tak, żeby nie wetrzeć w nie brudu z palców. Czyżby naprawdę słyszała syreny alarmowe? Niby w oddali, ale to oznaczało, że może wcale nie znajduje się tak daleko od drogi, po której jeździły patrole.

Oczywiście fakt, że nie była w stanie chodzić, przekładał się na to, że „wcale nie tak daleko” i tak oznaczało „za daleko”.

Ponownie rozejrzała się wokół. Może gdzieś w pobliżu leży przewrócona gałąź, której mogłaby użyć jak kuli? Albo coś w zasięgu ręki, czym mogłaby owinać zranioną kostkę?

Patrzyła wszędzie – pomijając ziemię kilka metrów dalej, na której leżało ciało.



Burke zjechał na lewo i stanął przed brązowym samochodem, za którym zaparkował radiowóz. Policjant wychylający się z radiowozu miał stopień kapitana

i spojrzenie, które Burke natychmiast rozpoznał – twarde, pełne doświadczenia i świadomości odnośnie do tego, co bez wątpienia obserwoowało ich z lasu; wiedział, w jakim niebezpieczeństwie wszyscy się znajdują.

– Panie Wilcza Straż... – Burke nie powiedział więcej, bo Simon już zaczął wychodzić z samochodu. Zmienił przednie łapy na tyle, żeby mieć palce i móc otworzyć drzwi, ale mu nie wychodziło i warczał ze złości.

Burke otworzył zamki. Gdy tylko Simon znalazł się na zewnątrz, kapitan mruknął cicho do O’Sullivana:

– Rób, co możesz, by Monty został na drodze. – Następnie wysiadł z samochodu i spojrzał na radiowóz z Lakeside.

Kowalski nawet nie zjechał na pobocze. Ponieważ na tylnym siedzeniu jego auta szalały dwa wściekłe wielkie Wilki, po prostu zatrzymał się, wyskoczył na drogę i otworzył im drzwi.

Nathan i Blair podbiegli do Simona, który właśnie obwąchiwał brązowy samochód. Obserwujący ich kapitan miejscowej policji bał się poruszyć, a oni otworzyli wszystkie drzwi i wpakowali się na siedzenia. Obwąchali wszystko, próbując znaleźć zapach, którego szukali.

Simon zaczął drapać w klapę, zeskrobując pazurami lakier, aż wreszcie Kowalski podbiegł do niego i otworzył bagażnik. I nagle wszystkie trzy Wilki wciskały łby i łapy do środka, wachając i wachając. A potem wyskoczyły z bagażnika i puściły się pędem drogą.

Żaden z nich nawet nie spojrzał w stronę tego, co leżało na środku prostokątnego terenu wydzielonego żółtą taśmą policyjną.

Burke podniósł dłoń i ruszył do drugiego kapitana. Gdy minął brązowy samochód, zobaczył innego policjanta, który przeszukiwał trawę między taśmą a drzewami.

– Kapitan Miller?

Funkcjonariusz kiwnął głową.

– Pan Burke?

Burke spojrzał na dwa przedmioty leżące na stosie porozrywanej odzieży.

Wtedy rozległ się głos Montgomery’ego:

– Jimmy?

– Poruczniku! – krzyknął Kowalski.

Nie zawahał się ani chwili. Dосkoczył do Monty’ego i pchnął go do tyłu, podczas gdy Kowalski i O’Sullivan złapali go za ręce.

– Jimmy!

Słyszając cierpienie w głosie Monty’ego, Burke poczuł ogromne współczucie. Monty musiał brać pod uwagę to, że nie znajdzie brata żywego, ale nic nie mogło go przygotować na taki widok.

– Ja się tym zajmę – powiedział Burke. – Ty poczekaj przy samochodzie.

Słyszycie, poruczniku?

Przez chwilę podopieczny patrzył na niego, jakby nic nie rozumiał. A potem westchnął głęboko i odparł:

– Tak, sir.

Burke spojrział znacząco na O’Sullivana. Ten kiwnął głową i rzekł:

– Chodź, Monty.

Kapitan zerknął na Kowalskiego, obserwującego Wilki i marszczącego czoło, a potem odwrócił się w stronę kapitana Millera.

– Czy pański porucznik znał tego człowieka? – spytał Miller.

– To jego brat.

Miller pobladł.

– Na bogów na górze i na dole... Przykro mi, że to zobaczył.

– Mnie też. – Burke wszedł w trawę i stanął przed taśmą policyjną, by zobaczyć, co pozostawili po sobie niewidzialni mieszkańcy dzikich terenów.

Wcześniej widział to już kilka razy, zanim został wysłany do ludzkich osad na dzikich terenach, ale w takich sytuacjach zostawiano dostatecznie dużo ciała dla policyjnego lekarza, żeby można było przeprowadzić sekcję zwłok i jakieś badania. Nawet najtwardsi i najbardziej doświadczeni gliniarze wymiotowali, kiedy poznawali szczegóły zemsty Innych.

Pamiętał też, jakie ludzkie działania doprowadzały do okrucieństwa tego stopnia.

– Jakie macie procedury w takich przypadkach? – zwrócił się do Millera.

– Nie mamy żadnych. Tutaj albo znajdujemy kogoś żywego, albo nie znajdujemy go wcale. Chyba że dana osoba została zabita przez innego człowieka. W ciągu wielu lat wzdłuż tej drogi znajdowaliśmy porzucone ciała. Głównie były to skutki domowych konfliktów. Gdy działo się coś takiego, z reguły znajdowaliśmy kobietę – i samochód. Rzadko udawało się znaleźć mężczyznę. Nawet w takiej wersji jak ten tutaj.

– To nie był domowy konflikt. – Burke potwierdził to, co Miller słyszał na temat poszukiwań. – To było porwanie. – Wskazał jeden z leżących na podartych ubraniach przedmiotów i poczuł narastającą panikę, że być może jest już za późno. – Ta srebrna składana brzytwa należała właśnie do tej młodej kobiety.

– Czy ona jest jedną z *tych* dziewcząt?

Pokiwał głową.

Miller spojrział w stronę drogi i Wilków – wróciły do brązowego samochodu, jeszcze raz go obwąchały i przeszukały, a potem puściły się pędem w drugą stronę.

– Była ich przyjaciółką? – spytał Miller.

Burke ponownie pokiwał głową.

– Nie znaleźliśmy nic, co wskazywałoby na obecność drugiej osoby. – W oczach Millera pojawiła się świadomość, zbyt duża świadomość. – To miejsce

znajduje się kilka kilometrów na zachód od punktu, z którego kierowca ciężarówki zadzwonił z informacją, że widział młodą kobietę i ten samochód. Może miała szczęście i udało się jej uciec od porywcy, lecz do ucieczki przed *nimi* potrzeba czegoś więcej niż szczęścia.

Doskonale o tym wiedział. Ale Meg Corbyn miała o wiele większe szanse na przetrwanie na dzikich terenach niż którykolwiek znany mu człowiek – gdyby nie problemy psychiczne wynikające z faktu, że pocałował ją Cyrus Montgomery.

– Czy ktokolwiek przeszukał teren, na którym widział ją kierowca ciężarówki? – spytał Burke.

– Nie wiem. Ten obszar znajduje się poza moimi kompetencjami. Zadzwoniłem do kapitana zajmującego się tamtą częścią drogi. Możliwe, że jest tam już ekipa poszukiwawcza...

– A może nadal czeka na pozwolenie by wysłać ludzi na dzikie tereny. – Nie zawsze było łatwo je otrzymać – i nigdy nie było gwarancji, że ludzie, którzy wypuszczają się tak daleko, będą bezpieczni. Doskonale więc rozumiał ostrożność dowódcy. Wiedział również, że wszedłby na ten teren i bez pozwolenia, korzystając z każdej zaproponowanej mu pomocy.

Dostrzegł Kowalskiego, powoli idącego w ich stronę.

– Może mi pan podać dokładną pozycję? – zwrócił się do Millera.

Kierowca ciężarówki, który zadzwonił na policję, podał numer najbliższego słupka drogowego. Burke mógłby zacząć własne poszukiwania w pobliżu miejsca, w którym ostatnio widziano Meg, a Wilki mogłyby podjąć trop.

– Czy wy nie...? – Miller też zauważył Kowalskiego i kiwnął głową ze zrozumieniem. – Dobrze – rzucił i odszedł.

Kowalski podszedł do Burke'a; zaczął się wpatrywać w drugi przedmiot ułożony na stosie podartych ubrań. Była to dolna szczęka Cyrusa Montgomery'ego.

– Wilki nie mogą wyczuć zapachu Meg – powiedział Kowalski. – Z pewnością nie wysiadła z samochodu w najbliższej okolicy. Nikt nie zmienił postaci na ludzką, żeby ze mną o tym porozmawiać, jednak mam wrażenie, że nie znaleźli jej zapachu w samochodzie, tylko w bagażniku... – Zawahał się. – Kapitanie, w bagażniku jest krew. Wydaje mi się, że jest jej za mało, żeby jej utrata zagrażała życiu, ale chyba więcej niż podczas zwykłego cięcia Meg.

Było to niepokojące, ale wcale go nie zaskoczyło. Niewiele osób wiedziało o tym, jak we właściwy sposób nacinać skórę *cassandra sangue*, żeby uniknąć wystąpienia u niej problemów psychicznych bądź fizycznych, a Cyrus Montgomery z pewnością do nich nie należał. Nawet gdyby wiedział, jak to zrobić, to pewnie i tak miałby to w głębokim poważaniu.

– Wilki mogą nie mieć świadomości, że znajdujemy się wiele kilometrów od miejsca, w którym Meg uciekła Cyrusowi. Idź do nich i im to powiedz, tak by zrozumiały, dlaczego nie mogą podjąć żadnego tropu. Gdy tylko kapitan Miller

potwierdzi lokalizację, ty i porucznik spakujecie Wilki i pojedziecie tam, żeby rozpocząć poszukiwania.

– Tak, sir. – Kowalski ani drgnął, tylko wpatrywał się w szczękę.

– Nie zadawaj pytań, jeśli nie chcesz znać odpowiedzi – szepnął Burke.

Monty miał wrodzoną grzeczność i odwagę, które otwierały drzwi do łatwiejszego komunikowania się z *terra indigena*. Karl Kowalski natomiast miał odwagę, by dostrzec prawdę znajdującą się po drugiej stronie tych drzwi – i mimo wszystko przez nie przejść.

Ale czy tym razem wystarczy mu tej odwagi?

– Czy był martwy, gdy wyrwano mu szczękę?

Burke nabrał głęboko powietrza i powoli je wypuścił.

– Nie.



Tak strasznie chciało się jej pić. I tak bardzo się bała, że Simon jej nie znajdzie. *Terra indigena* nie były tu jedynymi dzikimi stworzeniami. A w przeciwieństwie do tych *terra indigena*, które wiedziały, że Meg nie jest zwierzyną, inne dzikie istoty mogły stwierdzić, że wygląda i pachnie całkiem smakowicie.

Nie mogła uciekać. Nawet gdyby miała sprawne obie nogi, nigdy nie dałaby rady uciec drapieżnikom, przyzwyczajonym do ganiań swoich kolacji.

Nie miała już siły ani odwagi. Ale rodził się w niej bunt.

– Arrooo! – zawyła. – Arrooo!

Jestem tutaj. Jestem tutaj.

I wtedy się zorientowała, że dookoła niej zapanowała dziwna cisza.



Okrążyli niewielką kotlinę, próbując zrozumieć, na co patrzą.

Wyglądało jak człowiek, ale nie pachniało człowiekiem. Nie pachniało też jak zwierzyzna. Zapach tego czegoś był... intrygujący.

– Arrooo! – zawyło. – Arrooo!

Cienki głos. Jakby wycie szczeniaka. Ale jednocześnie jakiś nadęty i wyzywający. I zraniony. Jedna z tylnych łap była uszkodzona.

– Arrooo! – zawyło ponownie. – Arrooo!

Cienki głos. Jakby wycie szczeniaka. Ale na tyle odważny, by ich wyzwać, by próbować ich odstraszyć. Czyżby to był wyjący nie-Wilk?

Okrążyli niewielką kotlinę i zaczęli analizować wiadomości, tętniące pod skórą świata – zapach w powietrzu i smak w wodzie. To nie był Wilk, to nie była zwierzyzna, a mimo to wyło.

Wrony mówiły, że na ich terytorium Wilki szukają czegoś wzdłuż drogi. Czy ten nie-Wilk wył, wzywając swego samca? Cienkie wycie. Nikt go nie usłyszy.

Jeden z nich został, żeby obserwować nie-Wilka. Reszta ruszyła wzdłuż ścieżek; poszła na tyle daleko, by się upewnić, że zostaną usłyszani. A potem jeden z nich zawył.



Simon wypadł na środek drogi i zmarł.

Meg nie było? Naprawdę jej nie było?

Przecież miał ją znaleźć. Miał być jakiś trop, za którym mógłby podążać.

Ale na drodze ani na trawie nie było jej zapachu – nie było go nigdzie poza bagażnikiem. A bez jej zapachu nie wiedział, gdzie porzucił ją ten Cyrus.

Nie było sposobu na znalezienie jej.

Podniósł pysk i zawył Pieśń Smutku; po chwili dołączyli do niego Blair i Nathan.

Nagle przestał wyc, bo do głowy przyszedł mu pewien pomysł. Nic, co widziała Meg w swoich wizjach, nie wskazywałoby na to, że utraci ją na zawsze. Uciekła od Cyrusa i pobięła na dzikie tereny, żaden człowiek nie mógł tam za nią podążyć. Będzie biegła tak długo, aż znajdzie miejsce w lesie, w którym znajdowały się nagrobek i zimna dłoń – miejsce, które widziała w proroczym śnie. Dotrze tam i zaczeka na niego. Tak więc jego Meg nie zniknęła, po prostu zaginęła do czasu, aż ją znajdzie.

Skoro ludzie nie mogli pomóc mu w znalezieniu Meg, uczynią to żyjący w pobliżu *terra indigena*.

Kolejne wycie było już Pieśnią Bitwy. I ktoś na nią odpowiedział.



Monty oparł się o radiowóz; mrugał, żeby odpędzić łzy, które napływały mu do oczu, gdy słuchał wycia Simona.

To Jimmy uczynił to Simonowi, uczynił to im wszystkim. To była kolejna intryga, która mogła mieć konsekwencje dla wszystkich poza nim samym. Ale tym razem się przeliczył i słono za to zapłacił. Czy jego żona i dzieci będą nosić żałobę czy może odczuwają ulgę, wiedząc, że on już nie wróci?

Na bogów, jak to dziwnie myśleć w ten sposób o własnym bracie...

Otarł łzy. To nie była dobra pora na podobne domysły. Meg Corbyn wciąż przebywała gdzieś tam, na dzikich terenach.

Odsunął się od radiowozu i zauważył, że O'Sullivan nagle odwrócił się w jego stronę. Agent Biura Śledczego nie musiał się martwić i nie miał zamiaru oglądać tego, co pozostawiono na obszarze otoczonym policyjną taśmą.

Kowalski podszedł do niego szybkim krokiem.

– Co robimy? – spytał Monty, odgadując mowę ciała Wilków, gdy Nathan i Blair stanęli obok Simona i zaczęli wyc.

– Kapitan Miller podał mi dokładne położenie miejsca, w którym Meg

uciekła od Cyrusa – rzekł Kowalski. – Kilku ludzi rozpoczęło poszukiwania parę kilometrów w obu kierunkach stamtąd. Jak na razie jednak ani śladu Meg.

– Jak daleko mogła dotrzeć?

Kowalski prychnął.

– Nigdy nie ganiałeś się z Wilkami. Wydaje mi się, że jeśli nie jest ranna, to mogła już przebyć naprawdę spory dystans.

A jeśli po przebyciu tego dystansu weszła jeszcze głębiej na dzikie tereny, nie mieli szans na znalezienie jej. Na tych obszarach nie było litości, a w mroku nikt nie był bezpieczny – nawet jeśli mrokiem były tylko cienie lasu. Ludzie, którzy patrolowali te drogi, doskonale zdawali sobie z tego sprawę; dowódca mógł zaryzykować zdrowie swoich podwładnych, jeśli otrzymał konkretną lokalizację i wiedział, gdzie się znajduje poszukiwana osoba, ale nikt nie wysłałby tam ludzi na poszukiwanie ciała.

Simon zawył po raz kolejny, tym razem jakby inaczej.

– Poruczniku, muszę powiedzieć Wilkom...

– ARROOOOO!

Wilki zamarły. Burke i policjanci z miejscowego komisariatu wypadli na drogę.

– ARROOOOO! – ponownie rozległ się głęboki głos. Cokolwiek tam siedziało, musiało być olbrzymie.

– Arrooo! – odpowiedział Simon. – Arrrrrrroooooooooo! – Odwrócił się na wschód i przebiegł obok nich w stronę miejsca, z którego dobiegało wycie. Blair popędził za nim.

– Nathanie, poczekaj! – zawołał Monty, gdy kolejny kontroler miał ruszyć za Simonem. – Co się stało?

Wilk był bardzo zniecierpliwiony, ale prawie mu się udało zamienić w człowieka.

– Starsi coś znaleźli.

– Meg?

– Nie są pewni. To może być nie-Wilk. – I z powrotem zmienił postać.

– Poczekaj. – Monty podniósł dłoń. – Pozwólcie nam iść z wami tak daleko, jak zdołamy.

Nathan warknął. Nie był to zbyt zachęcający dźwięk.

– Mamy wodę – dodał Kowalski. – I jedzenie. I apteczkę pierwszej pomocy. Gdy znajdziecie Meg, może tego wszystkiego potrzebować. Łatwiej będzie zawieźć te rzeczy samochodem.

Nathan przestał warczeć. Monty stwierdził, że oznaczało to zgodę. Kowalski najwyraźniej uznał tak samo, ponieważ już po kilku sekundach siedział za kierownicą radiowozu.

Monty otworzył drzwi od strony pasażera, ale przystanął i spojrzał na

Burke'a.

– Jedźcie – powiedział kapitan. – Ja i O'Sullivan załatwimy wszystko tutaj. Powodzenia, poruczniku.

Kowalski ruszył, jeszcze zanim porucznik Montgomery zdążył zamknąć za sobą drzwi.



Wilki biegły, a radiowóz trzymał się na tyle blisko, żeby je widzieć, ale jednocześnie na tyle daleko, żeby móc ominąć niespodziewane przeszkody.

I wtedy Simon wyczuł zapach – świeży i tak znajomy.

Zatrzymał się i zaczął obwąchiwać drogę. Potem przebiegł przez nią i ruszył w las po drugiej stronie.

Radiowóz się zatrzymał.

– Poczekaj! – krzyknął Montgomery.

Simon się zawahał, ale potrzeba znalezienia jego Meg była silniejsza.

Pomogę im podążać za śladami, Nathan zwrócił się do Simona i Blaira.

Simon poczekał, żeby dołączył do niego Blair. Następnie ruszyli w stronę lasów, podążając za zapachem Meg na ścieżce.

Tędy, zdecydował, gdy dotarli do rozwidlenia. Podniósł nogę i zaznaczył drzewo, żeby Nathan mógł ich znaleźć.

Dlaczego miałyby iść na wschód? spytał Blair, również zaznaczając to samo drzewo.

Meg szła szlakiem ze swoich wizji.

Biegli wzdłuż ścieżki, za zapachem, stałym tempem, tak by Nathan i policjanci nie pozostali za bardzo w tyle.

Krew! ryknął nagle Blair, obwąchując liście.

Tutaj jest jej więcej. To były tylko krople z niewielkiej rany. Choć w przypadku Meg pojęcie „niewielka rana” nie istniało.

Biegli dalej po śladach krwi.

A potem Simon gwałtownie się zatrzymał i nadstawił uszu. Czy to było...?

– Arroo!

Znajdowali się niemal poza zasięgiem tego wycia, a jednak poczuł niesamowitą radość.

– Arroo!

– Arrooo! Arrooo!

Znalazłem cię.

Ruszył w stronę dźwięku.



Dziwna cisza tak naprawdę nie była już ciszą. Meg wcale się to nie podobało – ale nie na tyle, żeby powiedzieć Starszym, że to niegrzecznie

naśmiewać się z czyjegoś wycia, tylko dlatego że ten ktoś nie jest... nieważne.

– Arrooo! – Trening czyni mistrza. Tak mawia pani Twyla. Nie miała, co prawda, na myśli wycia, ale tak właśnie powiedziała. Tak naprawdę gdy Lizzy i reszta dzieci sprawdzały, kto potrafi wyć najgłośniej, powiedziała jeszcze kilka innych rzeczy, ale nie odnosiło się to do Meg.

Zerknęła z ukosa na okolicę. Nie widziała żadnego Starszego, jednak czuła, że na krawędzi kotliny siedzi coś wielkiego. Nie próbowało się z nią porozumieć, ale może jego obecność przyciągnie kogoś z Wroniej Straży i Meg będzie mogła go poprosić o zanieśenie wiadomości do Lakeside.

Na razie była skonana, spragniona i bolała ją kostka. Czuła jednak, że ta obecność, choć nie napawała radością, nie stanowi też dla niej zagrożenia. Przynajmniej nie była sama.

Zamknęła oczy, nabrała powietrza... i zawyla.

– Arrooo!

I chwilę później usłyszała:

– Arrooo!

– Simon... – szepnęła. – Arrooo! Arrooo!

Czekała, wstrzymując oddech. Po krótkim czasie do krawędzi kotliny podbiegł wielki Wilk i ześlizgnął się do środka.

– Simonie! – Objęła go mocno i przytuliła, drżąc na całym ciele. A potem zamiast futra poczuła skórę i silne ramiona. Przycisnął twarz do jej twarzy.

– Meg... – Jego głos drżał. Całe jego ciało drżało. – Meg...

– Wiedziałam, że mnie znajdziesz. – Pisnęła, gdy coś polizało ją po kostce. Coś, co nie było Simonem.

– Blair mówi, że jesteś ranna.

Cofnęła się na tyle, żeby spojrzeć Simonowi w twarz.

– I potrafi to stwierdzić, liżąc mnie po kostce?

Głośne warknięcie obok jej biodra zniechęciło ją do dalszego dopytywania. Pomyślała, żeby powiedzieć Blairowi, że obok znajduje się Starszy, po chwili jednak stwierdziła, że on z pewnością już o tym wie – a i tak pewnie by ją dziabnął.

– Potknęłam się i poczułam ostry ból w kostce... I znalazłam... – Odwróciła się na tyle, żeby wskazać kierunek, ale nie musieć patrzeć na ciało.

Blair odszedł, by mu się przyjrzeć i je obwąchać. A Simon dalej ją przytulał.

– Tutaj jest Starszy – szepnęła mu do ucha.

– Wiem – odparł cicho.

– Śmiał się ze mnie, gdy zaczęłam wyć, a ja chciałam tylko dać ci znać, gdzie jestem.

Poczuła, jak się uśmiecha.

A potem obok nich znalazł się Nathan, tak bardzo skupiony na wączaniu i lizaniu, że prawie na nią nadepnął.

– Możemy zejść na dół? – rozległ się głos.

Meg spojrzała w górę i dostrzegła Montgomery’ego i Kowalskiego.

– Schodźcie – odparł Simon.

Poruszali się o wiele ostrożniej niż Wilki, ślizgali się na liściach, ale w końcu udało się im zejść.

Kowalski uklęknął przed Meg, otworzył plecak i wyjął butelkę wody.

– Mam też trochę jedzenia, ale zaczniemy od wody. Pij powoli, małymi łydkami. Dobrze?

Potwornie chciało się jej pić, ale go posłuchała.

– Ma zranioną kostkę. – Simon pomógł jej poruszyć nogą, tak by Kowalski mógł ją obejrzeć.

Najwyraźniej „obejrzeć” nie oznaczało „dotykać”, bo Simon warknął ostrzegawczo, a jego kły stały się długie jak u Wilka.

– Muszę dotknąć, żeby móc stwierdzić, co jest nie tak – wyjaśnił Kowalski.

Warczenie ucichło, ale nie ustało – i znów stało się głośniejsze i ostrzejsze, gdy pod wpływem dotyku Karla Meg pisnęła z bólu.

Kowalski otworzył apteczkę pierwszej pomocy.

– Jestem niemal pewien, że noga jest zwichnięta, ale nie złamana. Mam tu bandaż elastyczny. Owiniemy kostkę, żeby ją usztywnić, a potem zabierzemy Meg do domu, by ktoś porządnie ją przebadał. – Wyjął z apteczki kilka przedmiotów i podał je Simonowi. – Wyczyść rany na jej ręce, a potem posmaruj je maścią z antybiotykiem i zabandażuj. Musimy sprawdzać, czy nie wdała się infekcja. Podejrzewam, że cięcia nie powstały w najbardziej higienicznych warunkach.

Meg nie chciała, żeby Simon myślał o tym, co się wydarzyło, więc wyciągnęła lewą rękę i powiedziała:

– Gdy biegłam, zaatakował mnie krzak.

Nie potrafiła określić, kiedy powstała ta rana, nie potrafiła też wskazać, który krzak ją podrapał, tak by Simon mógł go pogryźć – choć nie wątpiła, że gdyby chciał, wywęchałby ten właściwy.

Jej słowa trochę go uspokoiły, pewnie dlatego że brzmiały abstrakcyjnie. Simon oczyścił rany, ponarzekał na śmierdzące leki i wykorzystał ogromne ilości gazy na zrobienie opatrunku na ręce i dłoni, podczas gdy Kowalski owijał jej kostkę bandażem elastycznym.

– Meg? – Porucznik Montgomery kucnął obok niej.

To nie twoja wina, pomyślała.

Spojrzał dziwnie na jej zabandażowaną rękę i wyciągnął cienki brązowy portfel.

– Czy podczas biegania po lesie dziwiłaś się, że udało ci się znaleźć lekarza, który opatrzy twoją rękę?

– Nie biegałam cały czas. No dobrze, biegałam, ale... gdy cięcia są zbyt

blisko siebie, moje wizje stają się dziwne – rzekła. – Nie byłam w stanie myśleć o niczym poza tym, co widziałam. Dlaczego pytasz?

Monty przyglądał się jej.

– Zgłoszono zaginięcie niektórych lekarzy z Biura Śledczego. Wygląda na to, że znalazłaś jednego z nich.



Czwartek, 23 sierpnia

Po tym, jak Meg powiedziała, że usłyszała syreny, Nathan wrócił po śladach i zaprowadził Kowalskiego z powrotem do radiowozu. Blair tymczasem zaczął szukać krótszej trasy do ulicy. Simon miał ochotę zamienić się z powrotem w Wilka, zwłaszcza że wyczuł obecność kilku Starszych, wiedział jednak, że gdyby to uczynił, nie mógłby rozmawiać z Meg. Z drugiej strony w ludzkiej postaci nie bardzo potrafił wyrazić swoje uczucia. Nie mógł też wahać tego, co chciał, żeby się dowiedzieć, czy Cyrus skrzywdził jego Meg w inny sposób.

– Będę musiała złożyć zeznania? – Meg zwróciła się do Montgomery’ego.

– Tak, ale nie dzisiaj. – Uśmiechnął się. – Zabierzemy cię do domu. Emily Faire cię przebada i sprawdzi, czy nie pominęliśmy żadnej rany.

Simon podejrzewał, że Montgomery chciał spytać o coś jeszcze, ale zrezygnował.

– Arrooo!

Znalazłem drogę, powiedział Blair. Powiedziałem o tym Nathanowi. Obiecał, że on i Kowalski będą tam, gdy tylko Wronia Straż odda radiowóz.

A co Wrony zrobiły z radiowozem?

Nic. Ale Kowalski zostawił otwarty samochód. Wronia Straż dostała się do środka i stwierdziła, że podjedzie do miejsca, w którym zniknął nie-Wilk. A Kowalski mówi, że nie będzie prowadził z Wroną siedzącą na kierownicy, bo to nie jest zbyt bezpieczne.

– Jakież problemy? – spytał Montgomery.

– Tylko jeśli tutejsze Wrony nauczą się uruchamiać wasze radiowozy... i je prowadzić.

Montgomery wyglądał na przerażonego.

– On tylko się z tobą droczy. – Meg uspokajająco poklepała Montgomery'ego po ręce. – Prawda, Simonie?

Ostatecznie Kowalski i Nathan przyjechali z samochodem pełnym Wron, które posłusznie wyskoczyły na zewnątrz i obsiadły pojazd w miejscach, z których się nie ześlizgiwały. Kilka minut później przyjechali Burke i O'Sullivan oraz kapitan Miller i jego policjant w osobnym radiowozie.

Po krótkiej rozmowie postanowiono, że Burke i Montgomery zabiorą Meg i Simona do domu, a Kowalski i O'Sullivan razem z Blairem i Nathanem pomogą kapitanowi Millerowi i ludziom z gabinetu medycznego w znalezieniu ciała w lesie. Ponieważ Starsi znajdowali się tak blisko, ludzie mogli wejść do lasu tylko w towarzystwie Wilczej Straży.

Gdy Simon zaniósł Meg do sedana Burke'a, nie wspomniała ani słowem o tym, że jest nagi. Jednak kiedy tylko znaleźli się na tylnym siedzeniu, spojrziała na niego i oblała się rumieńcem.

– Simonie, czy mógłbyś...?

Skrzywdził ją kolejny człowiek – w owej chwili nie ufała nikomu w tej postaci. Zamienił się w Wilka i spróbował znaleźć wygodną pozycję. Częściowo usadowił się na kolanach Meg, która mocno go przytuliła.

Powrót do Lakeside trwał dość długo, bo nie wystarczyło dotrzeć do miejsca, w którym znaleziono samochód Cyrusa Montgomery'ego.

Burke nie skomentował radiowozu pełnego Wron, ale za każdym razem, gdy Wronia Straż leciała w stronę drogi, zwalniał, tak by Wrony mogły za nim nadążyć choćby przez minutę lub dwie – żeby widziały słodką krew na tylnym siedzeniu, śpiącą i wtuloną w łeb wielkiego, drzemiącego Wilka.

Potem Wronia Straż odleciała, by przekazać wszystkim informację: „Dziewczyna Kij i jej Wilk wracają do domu”.

Rozdział 29



Sierpień

Wrona zabrała jeden z małych worków i pofrunęła na zachód. Nie była ani pierwszym, ani ostatnim kurierem. Gdy będzie gotowa na powrót do domu, kolejna Wrona będzie czekać, żeby zabrać worek w następną część trasy.

Zajęło to kilka dni, ale wreszcie, tak jak obiecano, worek trafił do Jenni Wroniej Straży. Jenni zabrała go i pofrunęła w odosobnione miejsce na Dziedzińcu w Lakeside, a potem zawołała Starra i Jake'a.

Zwinnymi ruchami dzioba otworzyła worek i wyrzuciła nagrodę. Nie było już tak świeże jak wtedy, gdy – za pozwoleniem Starszych – Wronia Straż zabierała je znad Jezior Piór – ale nie miało to większego znaczenia.

Cała trójka zaczęła rozdzierać miękką tkanę. Z mściwą radością walczyli o jedno z oczu Cyrusa Montgomery'ego.

Rozdział 30



Piątek, 24 sierpnia

Douglas Burke wszedł za Gregiem O’Sullivanem do biura burmistrza i usiadł przy okrągłym stole. Burmistrz Chen i komisarz Alvarez siedzieli na dwóch pozostałych krzesłach.

– Czy nie powinien być z nami też dyrektor komisariatu przy Orzechowej? – spytał Burke. W ostatnim miesiącu tyle razy samodzielnie podejmował decyzje bez konsultacji z szefami, że dziwił się, iż nadal ma tę pracę.

– Później spotkam się ze wszystkimi szefami, żeby omówić dalsze postępowanie – odparł Alvarez. – Najpierw jednak potrzebuję dokładnej oceny tego, czy Lakeside ma przed sobą przyszłość i czy incydent z Cyrusem Montgomerym był wyrokiem śmierci dla nas wszystkich.

Zapadła cisza. W końcu odezwał się O’Sullivan:

– Kopnij kamień, a sprowadzisz lawinę.

Burke kiwnął głową i zaczął wszystko wyjaśniać Chenowi i Alvarezowi:

– Pod pewnymi względami ataki ze strony ruchu Ludzie Przede i Nade

Wszystko były dla *terra indigena* zrozumiałe – dwa wrogie sobie stada walczyły o terytorium, zwycięzca bierze wszystko i wszystko, co żyje na tym obszarze musi się przystosować do narzuconych przez niego reguł. Ale fakt, że jeden człowiek, taki jak Cyrus Montgomery, mógł wywołać zamieszanie w całym stadzie ludzi był dla Innych – a zwłaszcza dla Starszych – nowością. Może martwili się, że takie zachowanie zostanie przejęte przez zmiennokształtnych, którzy mieli z nami zbyt częsty kontakt. Że staną się kimś w rodzaju psychologicznych służących. A może zanim pozwolą nam osiąść na kontrolowanych przez nich terenach, Starsi chcieli sprawdzić, jaki wpływ na niewielką społeczność może mieć jedna zakłócająca spokój osoba. Podejrzewam, że nigdy się tego nie dowiemy.

– Dzisiaj rano kapitan Burke i ja rozmawialiśmy z Henrym Niedźwiedzią Strażą – rzekł O’Sullivan. – Odnieśliśmy wrażenie, że Starsi wzięli na siebie część odpowiedzialności za to, co się wydarzyło, ponieważ nie posłuchali ostrzeżeń Simona Wilczej Straży, że Cyrus może stanowić zagrożenie dla mieszkańców Dziedzińca. Odnieśliśmy również wrażenie, że obserwowanie współpracy policji z Wilkami w celu odnalezienia pani Corbyn udowodniło *terra indigena*, którzy wcześniej mieli z nami słaby kontakt, że my, ludzie, potrafimy dogadać się z innymi stworzeniami. – Przerwał na chwilę. – Wczoraj wieczorem gubernator Hannigan otrzymał wiadomość. Nie wie, w jaki sposób została ona doręczona i przez kogo – ani od kogo pochodzi – ale chodziło o to, że policja, straż pożarna i lekarze mogą wykonywać swoją pracę również po zapadnięciu zmroku, nie muszą już się obawiać ataków ze strony *terra indigena*, i że osoby, wykonujące te zawody mogą bezpiecznie wchodzić na dzikie tereny, żeby szukać zaginionych ludzi.

– To wielkie ustępstwo – przyznał Alvarez.

– Przy odrobinie szczęścia i dalszej ciężkiej pracy nad odzyskaniem zaufania może uda się również odbudować linie telefoniczne na niektórych terenach – rzekł Burke.

– Biuro burmistrza uczyni, co w jego mocy, żeby odzyskać to zaufanie – odparł Chen.

Alvarez zmienił pozycję na krześle.

– A co z wieszczkami krwi? Czy gubernator ma zamiar zastąpić zabitych przez ludzi lekarzy, którzy chcieli znaleźć te dziewczyny?

O’Sullivan pokręcił głową.

– Biuro Śledcze zostało rozwiązane. Są inne sposoby na przekazywanie informacji na temat tych dziewczyn, a najbezpieczniejsze będzie pozostawienie ich w ukryciu.

Chen popatrzył na Alvareza, a potem na Burke’a.

– A co się stanie z Sandee i Clarence’em Montgomery’ami? Czy ich przestępstwa przeciwko Dziedzińcowi były umyślne?

Burke pokręcił głową.

– Cyrus dał synowi dwadzieścia dolarów, żeby wywołał sprzeczkę i odwrócił uwagę od biura łącznika w czasie, w którym planował porwać Meg Corbyn. Chłopak uczynił to bardziej dla przyjemności płynącej ze sprawiania problemów niż dla pieniędzy, ale nie znał zamiarów swego ojca. Nie wiedział też o tym, że Cyrus nie planował po niego wrócić.

– Nie można go oskarżyć tak jak dorosłego – dorzucił Alvarez. – A gdy weźmiemy pod uwagę naturę jego przestępstw i fakt, że doszło do nich na terenie należącym do Dziedzińca, okaże się, że pod tym kątem prawo ludzkie jest raczej elastyczne. W górach Addirondak jest szkoła, w której panują zasady surowego wychowania. Jest powiązana z osadą, do której przyjeżdża bardzo mało gości. Znajduje się ona tak głęboko na dzikich terenach, że poza przedstawicielami prawa mało kto o niej wie. – Burke zastanawiał się, czy ta osada należy do Intuitów. Będzie musiał porozmawiać o tym ze Steve’em Przewoźnikiem. – Złożę rekomendację, żeby Clarence został tam wysłany – ciągnął Alvarez.

– To dobre rozwiązanie – stwierdził Burke. – Będzie miał opiekę i szansę na zdobycie wykształcenia. I może uda mu się zawrócić z drogi, na którą wciągnął go ojciec. Jedno jest pewne: jeśli zostanie w Lakeside, nie przeżyje.

– A co z Sandee Montgomery? – spytał Chen. – Została aresztowana za posiadanie narkotyków, ale znajdowała się wtedy na terenie, na którym nasze prawo nie obowiązuje.

– Więzienie to straszliwe miejsce, ale w tej chwili jedyne, w którym dostanie trochę czasu, żeby dokonać kilku ważnych życiowych wyborów – odparł Burke. – Powiedziano jej, że krem do twarzy, którego używała, odstraszy Sanguinatic – i była to prawda, ponieważ został zrobiony z najbardziej toksycznych wybielaczy i środków czyszczących. Ale to Sandee, a nie Sanguinati, była prawdziwym celem ataku. Wdała się w konflikt z kilkoma prostytutkami, które działały w centrum. Ich opiekunowie wpadli na pomysł podarowania Sandee kremu, żeby oszpecić ją na tyle, by nie stanowiła już dla nikogo konkurencji.

– A co z ludźmi, którzy wyprodukowali ten krem?

Burke zastanawiał się, czy Chen i Alvarez zdają sobie sprawę z zagrożenia, jakie płynie już tylko z zadania takiego pytania.

– Zanim udało się nam ściągnąć tych trzech mężczyzn na przesłuchanie, zginęli w tajemniczych okolicznościach – rzekł Alvarez. – Dwóch z nich dotknęła dziwna zaraza, która choć nawiedziła nasze miasto już kilka razy, nadal stanowi tajemnicę dla medyków. Trzeci wypił mieszankę środków chemicznych, prawdopodobnie myśląc, że będzie to łagodniejsza śmierć.

I pewnie tak właśnie było, pomyślał Burke, jednak gdy Chen i Alvarez popatrzyli na niego wyczekująco, nie odezwał się ani słowem – dla dobra ich wszystkich.

Rozdział 31



Zebrali się na dzikich terenach między dwoma Wielkimi Jeziorami Tala i Etu. Ich kroki wypełniły ziemię straszliwą ciszą.

Podczas gdy reszta Starszych słuchała, dwójka, która powróciła z Lakeside, opowiedziała im historię przebiegłego drapieżnika, który nie stanowił zagrożenia dla świata ani dla kłów i pazurów Namid, ale nadal był groźny dla stada ludzi – i mógł skrzywdzić mniejszych zmiennokształtnych. Opowiedzieli o słodkiej krwi – wyjąłym nie-Wilku i Wilku, który chciał być jej samcem. O migracjach związanych z targami pracy i właściwym sposobie proszenia o smakowite wilcze ciasteczka. I o swoich błędach, polegających na ignorowaniu niechęci odczuwanej przez mniejszych zmiennokształtnych wobec człowieka Cyrusa, i o tym, jak nie-Wilk mógł zginąć, ponieważ nie zwrócili uwagi na ostrzeżenia Wilka przed tym konkretnym człowiekiem.

Swoją historię opowiedziała dwójka, która była w Lakeside. A gdy Starsi ruszyli z powrotem na swoje terytoria, zabrali ze sobą tę opowieść – i płynącą z niej lekcję.

Rozdział 32



Poniedziałek, 27 sierpnia

Vlad wprowadzał na kasę zamówienia książek z osad *terra indigena*. W kilku wspomniano o konkretnej książce lub konkretnym autorze – ludzkim, intuickim albo należącym do Innych. W większości proszono o historie podobne do polowania na Cyrusa Montgomery’ego i uwolnieniu Meg Corbyn, o współpracy policji i *terra indigena*, o rannej, ale zaradnej dziewczynie, o dużej ilości krwi i rzezi, którą urządzili myśliwi porywaczowi, żeby znaleźć dziewczynę, zanim zostanie śmiertelnie ranna.

W każdym zamówieniu znajdowało się sporo fikcji – Vlad podejrzewał, że w ciągu kolejnych miesięcy zostaną dopisane kolejne wersje tej opowieści – mimo wszystko musiał znaleźć coś, co choćby przypominało historię o Meg. I musiał poprosić policję o polecenie literatury faktu na temat radiowozów – to na prośbę Wroniej Straży zamieszkującej tereny Jezior Piór.

Tess przeszła pod łukiem i zatrzymała się przy ladzie. Nie widział jej od czasu porwania Meg. Miała brązowe falujące włosy z kilkoma cienkimi zielonymi

pasemkami, co oznaczało, że jest niemal zrelaksowana.

– W moim barze siedzą jacyś dziwni ludzie – powiedziała. – Nadine powiedziała, że ty mi to wyjaśnisz.

Vlad podszedł do łuku i zajrzał do Czegoś na Ząb, a następnie wrócił za ladę.

– Oficer Daniel Hilborn to nowy partner oficera Debany’ego. Przyjeżdża tu na kilka godzin przed rozpoczęciem swojej zmiany i obserwuje. Uczy się, kto jest kim i kto tu pracuje.

– Nazwał mnie „panią”. Chyba się mnie boi.

I ma rację, pomyślał Vlad.

– Sally Esposito to psycholog z Przystani Przewoźników, która kilka razy w tygodniu na ochotnika przyjeżdża na Dziedziniec, żeby pomóc każdemu, kto potrzebuje pomocy.

– Meg? – Głos Tess był cichy, ale Vlad nie dał się nabrać, nie gdy w jej włosach nagle pojawiły się czarne kręcone pasemka.

– Ma koszmary. I kilka razy widziała coś, czego nie ma. Lekarze ze szpitala w Lakeside są niemal pewni, że jej mózg nie uległ uszkodzeniu wskutek... – Przerwał. Ile Tess wie na temat tego, w jaki sposób Cyrus ciął Meg? Lepiej nie poruszać przy niej tego tematu, przecież nie chciał mieć do czynienia z Tess, która stanowi śmiertelne zagrożenie. – W każdym razie pani Esposito przyjechała tu ze Steve’em Przewoźnikiem, żeby porozmawiać ze Stowarzyszeniem Przedsiębiorców o zapewnieniu mieszkańcom wsparcia psychologicznego. Nie chodzi tylko o Meg, lecz też o Lizzy, Frances i Sarah Denby.

– Dostanie się do środka mózgu wieszczki krwi musi być prawdziwym wyzwaniem.

– Nie było cię tu, gdy podejmowaliśmy tę decyzję – odparł chłodno. – Chociaż z drugiej strony nie byłeś do końca nieobecna, prawda?

– Nie prosiłam Nyx, żeby udała się ze mną na to polowanie – odparła Tess równie chłodno. Odwróciła wzrok. Po krótkiej chwili ciszy spytała: – Jak się czuje Leetha?

– Wyzdrowieje, choć w ludzkiej postaci może mieć blizny wokół ust. – Vlad nagle złagodniał. – W gazecie napisano, że jacyś mężczyźni wypili środki chemiczne w trakcie jakiejś śmiertelnej gry.

– Jeden wypił to, co dodali do tego kremu. – Nie patrzyła w jego stronę. – Żniwiarze z reguły polują w pojedynkę. Rozumiesz, jak rzadko któryś z nas się zaprzyjaźnia? A to, co spotkało Leethę... przecież ona ledwo dotknęła tego... człowieka, wcale nie chciała się nim pożywić. A to mogła być Nyx – albo ty. Albo Wilk, który rzucił się na wroga. – Jednym palcem Tess przesuwiała kartkę z zamówieniami w tę i z powrotem. – Gdy znalazłyśmy tych mężczyzn, jeden z nich posmarował tym kremem swoją rękę i powiedział Nyx, że jeśli go w nią ugryzie, to dadzą jej dwieście dolarów i całą krew, jaką zdoła wypić.

– Pierdolone małpy – mruknął Vlad.

Tess kiwnęła głową.

– Złożyłyśmy więc kontrofertę. To znaczy ja złożyłam.

Urozmaiceniem gry miało być obserwowanie, jak któryś z towarzyszy ginie od jednego spojrzenia na Tess.

– Gdy zobaczyli, jak mózg pierwszego wypływa przez uszy, zaczęli się zaklinać, że chcieli tylko odegrać się na Sandee za to, że stała się konkurencją dla ich dziewczyn. Przysięgali, że nie mieli pojęcia, iż ten krem rzeczywiście może zranić Sanguinatic. Wiedzieliśmy, że kłamią, bo znaliśmy już zeznania Sandee złożone kapitanowi Burke'owi.

Albo Burke nie zauważył dymu ukrywającego się w cieniach podczas przesłuchiwania tej Sandee, albo udawał, że go nie widzi. To w każdym razie wyjaśniało, dlaczego Nyx i Tess pierwsze dopadły tych ludzi.

– Gdy w czasie drugiego zaczął padać deszcz, trzeci złapał płyn i go wypił. – Wzruszyła ramionami. – Może naprawdę wierzył, że uda mu się przeżyć. Na pewno wiedział, że nie przeżyje spotkania ze mną. – Tess zwróciła się w stronę łuku, ale nie odeszła od lady. – Żeby uniknąć zemsty ze strony *terra indigena*, Sandee dogadała się z policją. Więzienie w zamian za informacje. Czy dla Simona jest to akceptowalne?

– O ile ona już nigdy nie wróci do Lakeside.

– No cóż, w takim razie pozwolę ci wrócić do pracy.

Vlad patrzył, jak Tess wchodzi do Czegoś na Ząb, ale nie wrócił do pracy. Kontakt, zażyłość. To obusieczny miecz, który odsłaniał słabe strony Innych oraz sposoby, w jakie ludzie ranili siebie nawzajem. I to mogło doprowadzić do działań tak śmiertelnych jak wojna, mogło zmieść z powierzchni ziemi całe dziedzińce lub miasta. Jeden człowiek, taki jak Cyrus Montgomery, który przeniknął do społeczności mieszanej, mógł wszystko zepsuć, zniszczyć zbudowane zaufanie.

Może Starsi mieli rację i obserwacja Cyrusa i jego stada była przydatną lekcją, którą podzielił się z resztą kłów i pazurów Namid. Ale Vlad zastanawiał się, czy Simon i Meg – albo porucznik Montgomery – też tak uważają.

Do: Jackson Wilcza Straż

Znaleźliśmy Meg. Skręciła kostkę i przez jakiś czas będzie musiała chodzić o kulach. Jej mózg jest teraz trochę dziwny, ale z pewnością jej się poprawi. Powiedz Nadziei, że jej rysunek pomógł policji w znalezieniu samochodu tego złego człowieka, dzięki czemu Meg zaginęła tylko na krótki czas.

Simon

Droga Meg,

Steve Przewoźnik i jakaś Sally Esposito przyszli wczoraj na farmę Ogrodników, żeby się ze mną spotkać. Powiedzieli mi, że zostałaś porwana, ale nie

było cię co najwyżej przez kilka godzin i bezpiecznie wróciłaś na Dziedziniec w Lakeside. Powiedzieli mi, że ten mężczyzna ciął cię w poprzek starych blizn i zrobił nowe cięcia – zbyt blisko siebie i zbyt głębokie, i że rany się otworzyły, gdy cię przetrzymywał. Powiedzieli, że miewasz epizody.

Ja też miewam epizody. Chyba właśnie dlatego chcieli ze mną rozmawiać. Gdy powiedziałam im o tym, co pamiętałam z czasów, gdy kolidowały ze sobą stare i nowe prorocтва – i kolidują ze sobą do dzisiaj, choć nie zrobiłam sobie nowego cięcia – Sally Esposito odparła, że to brzmi, jakby coś wyzwoliło bodziec, który odblokował wspomnienia o dawnych prorocत्वach, a mój umysł bezładnie wypływa z siebie niektóre obrazy niczym we śnie – tak jakbym wykastowała kulkę z włosów, żeby lepiej się poczuć. (Nie powiedziała „wypływa” ani „kulka z włosów”, użyła ładniejszych określeń, ale chodziło o to samo).

Jest jednak coś, czego im nie powiedziałam. Coś, o czym musisz wiedzieć. Podczas tych epizodów widzę straszliwe i przerażające rzeczy. Dziwne – na przykład wielkiego kurczaka z nogami krowy i głową kozy. Obrazy, które połączyły się w jedno, i podczas gdy różne części ciała należą do zwierząt, to całość nie ma sensu. Bezładne, jak to określiła Sally Esposito. Ale odkąd mieszkam na farmie z Ogrodnikami, podczas tych epizodów zawsze pojawia się jeden niezmienny obraz. Widzę kogoś, kto wręcza mi słoik miodu. Widziałam ten obraz jeszcze w kompleksie – Lorna Ogrodnik zrobiła to już pierwszego dnia mojego pobytu u nich.

Sądzę, że ty też masz jakąś stałą rzecz, coś, czemu możesz zaufać, gdy nie jesteś pewna, co jest prawdą, a co tylko wizją. Ty wiesz, co to jest. Wiesz, jak wygląda tego symbol. Trzymaj się swojego talizmanu tak długo, aż wyzdrowiejesz. Jesteś silna, Meg. Nie będziesz mieć tych epizodów do końca życia. Mam nadzieję, że ja też nie.

Twoja przyjaciółka,

Jean

Rozdział 33



Środa, 29 sierpnia

Monty wyszedł z biblioteki na rynku i dostrzegł Simona. Stał w cieniu i obserwował gabinet medyczny po drugiej stronie. Potem spojrział na biuro na drugiej kondygnacji. Na drzwiach nie było żadnej tabliczki – przynajmniej na razie – ale Monty wiedział już, gdzie znajduje się gabinet Sally Esposito.

„Monty, idź po poradę”, powiedział mu Burke. „I weź trochę wolnego, odpocznij”.

To miało sens, zwłaszcza że gdy wieczorem zamykał oczy, widział srebrną brzytwę Meg i dolną szczękę Jimmy’ego – ułożone na stosie podartej odzieży.

Na dzikich terenach nie było litości, ale było swego rodzaju surowe współczucie. Lekarz, znaleziony w lesie, był torturowany przez ludzi, którzy chcieli odnaleźć *cassandra sangue* ukryte w osadach na dzikich terenach. Ale coś innego przysypało ciało liśćmi, dzięki czemu mniejsi padlinożercy nie zjedli tego, co pozostało z mężczyzny.

– Simonie. – Monty podszedł do Wilka.

– Poruczniku Montgomery.

– Przyjaciele mówią do mnie Monty.

Simon przyjrzał mu się, a potem pokiwał głową.

– Monty. – Coś więcej niż tylko imię – wybór, którego dokonanie nie przyszło łatwo, **przynajmniej nie Wilkowi.**

– Czy Meg ma teraz sesję z Sally Esposito?

Simon skinął głową.

– Dużo śpi, cały czas jest zmęczona. Nocą prześladują ją koszmary, a w dzień widzi rzeczy, których nie ma – i nie zawsze widzi to, co jest w rzeczywistości. Boi się... – Zawahał się. – Tak jak ja.

– Martwiłbym się o nią bardziej, gdyby się nie bała, przynajmniej przez jakiś czas. – Monty przyjrzał się Wilkowi. – Czy cięcia dobrze się goją?

Simon wzruszył ramionami.

– Trochę się martwiliśmy, że wdała się infekcja, ale Emily Faire dała Meg lekarstwo do zażywania przez kilka dni, a ja kilka razy dziennie wacham jej rękę i dłoń, żeby się upewnić, że z ran nie wydobywa się brzydki zapach.

Uśmiech, który wypłynął na twarz Monty’ego na myśl o tym, jak Meg reaguje na wachanie, zniknął na dźwięk słowa „rany”.

– Nie powinna nadwyreżać tej skręconej kostki, a nie podoba jej się chodzenie o kulach albo jeżdżenie na wózku. Już nie mówiąc o wnoszeniu po schodach. Warczy na wszystkich – poza panią Twylą.

Monty znów się uśmiechnął.

– Na moją mamę nikt nie warczy.

W pobliżu łuku prowadzącego na rynek zaparkował minivan Dziedzińca. Blair otworzył boczne drzwi i Sam wyskoczył na zewnątrz. Wbiegł po kilku schodach, a potem poczekał, aż Blair wypuści Jedynaka i posadzi go na ziemi.

Uderzenie w łeb nie sprawiło, że Jedynak stał się jeszcze bardziej roztargniony, choć gdy tylko ktoś próbował dotknąć tej części jego głowy, wył wniebogłosy. Złamana przednia łapa byłaby wyrokiem śmierci na dzikich terenach, chyba że stado Wilków miało chodzące ciało, które potrafiło nastawiać kości, ale nawet wtedy taki Wilk nie mógł już pomagać w polowaniach.

– Emily Faire przekonała Jane Wilczą Straż, żeby zaprowadziła Jedynaka do weterynarza w Przystani Przewoźników – rzekł Simon. – Weterynarz nie zrobił nic, czego nie zrobiła dotąd Jane, ale... to było miłe... ze strony Intuitów, że zaproponowali pomoc.

– Owszem. – Monty się zawahał. – Simonie? Co masz zamiar zrobić z Meg?

W bursztynowych oczach pojawiły się ostrzegawcze czerwone ogniki.

– Zrobić z Meg?

– Kochasz ją, a ona kocha ciebie. Simonie, ty jesteś zakochany. Może nie określilibyś swoich uczuć w ten sposób, ale dla ludzi, którzy znają was oboje, to

oczywiste.

Drzwi gabinetu otworzyły się. Meg, wspierana przez Sally Esposito i Theral MacDonald, wykuśtykała na zewnątrz i przy pomocy obu kobiet usiadła na wózku inwalidzkim.

– Meg! – Sam natychmiast do niej podbiegł. Jedynek, z jedną łapą w gipsie, pokuśtykał za chłopcem.

Simon obserwował ich przez chwilę.

– Nie jestem człowiekiem – rzucił w końcu oschle. – I nigdy nim nie będę.

– Czy to aż takie ważne? – Monty dyskretnie wskazał na Meg, Sama i Jedynaka. – Wiesz, co widzę, gdy patrzę na ciebie, Sama i Meg?

– Dwa Wilki i człowieka?

– Nie. Widzę rodzinę. – Porucznik westchnął. – Zazdroszczę ci, Simonie. Ty i Meg reprezentujecie różne gatunki i łączy was niekonwencjonalna więź, ale jesteście o wiele lepszymi partnerami niż ja i Elayne. Oboje jesteśmy ludźmi, jednak nie potrafiliśmy sprawić, by to, co nas różni, działało na naszą korzyść.

– A co, jeśli Meg zapragnie mieć szczeniaki? Nie wiem, czy ludzie i *terra indigena* mogą... to robić...

– Roo-roo!

Jedynek pokuśtykał w stronę Twyli Montgomery, która właśnie wyszła z Lodów i Czekoladek z tacą z czterema miskami lodów. Postawiła tacę na jednym ze stołów pod chmurką i machnęła na Meg i Sama.

– Sam, Meg nie jest zabawką – zastrzegła surowo. – Nie ganiaj się z nią na tym wózku. I nie biegnij na skróty po schodach.

– Ale jeśli pójdziemy powoli, lody się roztopią! – zaprotestował Sam.

– Samuelu Wilcza Straż.

– Tak jest, proszę pani.

Monty pokręcił głową. Czy jakikolwiek chłopiec potrafił chodzić powoli?

Spojrzał ponownie na Simona.

– Może u Wilków jest inaczej, ale wiele ludzkich par nie ma dzieci z tych czy innych względów.

Patrząc, jak jego matka siedzi z Meg i dwoma młodymi Wilkami, pomyślał o swej adoptowanej siostrze. Za dzień lub dwa rozpocznie dyskretnie poszukiwania; może uda się mu ją odnaleźć. Ponieważ Jimmy nie stanowił już zagrożenia, Monty miał nadzieję, że Sissy odnowi kontakt z mamą. Gdyby udało się to jakoś naprawić, wszystkim im żyłoby się o wiele lepiej.

– Nawet jeśli nie będziecie mogli mieć własnych dzieci, zawsze macie Sama.

– Tak – odparł cicho Simon. – Mamy Sama.



Pary nie zawsze zostają razem. Czasami więź zanika. Niekiedy jednak

w przypadku śmierci drugiego partnera, pierwszy się załamuje. Czy to właśnie ludzie nazywają miłością? Radość z bycia razem i zabójcze poczucie straty, gdy jedno z nich ginie?

Gdyby nie znalazł Meg, nie wróciłby do Lakeside. Zostawiłby Sama pod opieką Elliota i... I co? Zniknęłoby? Zginęłoby? Poszukałby sobie na dzikich terenach jakiegoś stada mającego minimalny kontakt z tym, co ludzkie, i żadnego kontaktu z samymi ludźmi?

Czy to była miłość?

A może za bardzo się starał myśleć jak człowiek? Ich mózgi były tak pełne zamętu, że dziwne, iż w ogóle potrafili coś zrobić, nie mówiąc już o ustanowieniu właściwej hierarchii w stadzie.

Simon ruszył na zaplecze biura łącznika; zatrzymał się, usłyszawszy jakiś stłumiony dźwięk.

Nathanie? zawołał do Wilka trzymającego straż.

Nathan stał się wyjątkowo czujny, gdy do biura wchodzili ludzie – nawet tacy, których znał. Żaden z Wilków nie lubił Cyrusa, ale przecież żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy, że mógłby wykraść Meg.

Placze, powiedział Nathan. *Nie wiem dlaczego.*

Simon rozejrzył się po sortowni.

– Meg?

– Nie mogę jej znaleźć! – zapłakała. – Szukałam, wszędzie szukałam i nie ma jej!

– Czego nie ma? – Zobaczył rozłożone na stole karty prorocत्व i podszedł, żeby sprawdzić, co ją tak zdenerwowało. Wszystkie karty były ułożone obrazkami do góry.

– Karty! Nie mogę znaleźć karty!

Czy ta karta jest prawdziwa? Nie mógł o to spytać. Ostatnio słowo „prawdziwy” stało się dość ryzykowne.

– Trzymałaś ją?

– Tak.

– I jesteś pewna, że nie znajduje się pod resztą kart?

Pociągnęła nosem, kiwnęła głową.

– Przeszukałam wszystkie karty trzy razy. Nie ma jej.

– W takim razie się ukrywa i musimy ją znaleźć. – Odwrócił się w stronę zaplecza.

– W jaki sposób? – Znowu się rozszlochała.

– Trzymałaś ją, więc na pewno pachnie tobą.

Poszedł na zaplecze, rozebrał się i zamienił w Wilka. Potem wrócił do sortowni i zaczął węszyć. W bocznych drzwiach była założona markiza, żeby w środku było chłodniej. W powietrzu unosił się zapach kucyków i... krowy?

Poszedł za tą wonią do kieszeni w spodniach Meg i poczuł dodatkowe zapachy – siana i piór.

Położył łapę na kieszeni.

– Arrooo?

Meg przykryła jego łapę swoją dłonią.

– Tutaj nie ma karty – powiedziała. – Dostałam list od Jean.

Aha. Farma. To wyjaśniało zapachy. Jeśli chodziło o inny, o wiele bardziej interesujący zapach, to, no cóż, stała, a jego nos znajdował się na odpowiedniej wysokości... Ponieważ jednak nie chciał jej przestraszyć, tak by musiała obciążyć chorą nogę, wrócił do szukania karty.

W jednym z kątów wyczuł zapach myszy. Porozmawia z Sowią Strażą o częstszych polowaniach na rynku i w biurze łącznika.

Pod szafką wyczuł zapach Meg, a potem dostrzegł coś małego – coś, co nie było drewnem ani podłogą. Zaczął skomleć, warczeć i drapać tak długo, aż to wyciągnął.

– To ona! – zawołała z radością Meg. Pochyliła się i położyła ręce na podłodze. Podniosła kartę, opierając się na krawędzi jednej dłoni. Simon czekał, zastanawiając się, czy pozycji na trzech łapach nauczyła się na zajęciach Spokojnego Umysłu. – Utknęłam – warknęła.

Och.

Wczołgał się między jej ręce i sprawną nogę. A potem wstał i podniósł jej tułów na tyle, żeby mogła złapać się krawędzi stołu i wstać. Usadowił ją na wysokim stołku, który jej sprawili, pośpieszył na zaplecze, zamienił się w człowieka, założył dzinsy i koszulkę, a potem wrócił, żeby zobaczyć tę ważną kartę.

Obrazek przedstawiał mężczyznę i kobietę stojących blisko siebie w ogrodzie. Nad nimi świeciła pełnia księżycyca.

– Dlaczego księżyc ma taki kształt? – spytał.

– To serce – odparła Meg. – Nie widziałeś jeszcze nigdy tego symbolu?

– Pewnie, że widziałem. Ale to nie jest takie bijące, zjadliwe serce.

– To serce romantyczne. – Spojrzała w górę i zmrużyła oczy. – To dlatego ustawileś książki romantyczne razem z kucharskimi? Bo serce to serce?

– Vlad to zrobił – odparł trochę za szybko. Przecież fakt, że Sanguinati nigdy nie zjadłby żadnego serca, nie miał większego znaczenia, prawda?

Spojrzała na niego z powątpiewaniem, jednak po chwili ponownie skupiła się na karcie.

– Dlaczego ta karta ma dla ciebie takie znaczenie?

– Bo to stała rzecz – odparła łagodnie. – Widzę ją podczas każdego epizodu.

Obrazy z proroctw łączą się w całość i tracą sens, ale ta karta się nie zmienia.

– Czyli romantyczność to dla ciebie coś stałego?

Pokręciła głową.

– Miłość. To coś więcej niż romantyczność.

Kochasz ją, a ona kocha ciebie. Simonie, ty jesteś zakochany. Czy Monty miał rację?

– Meg? Czy my jesteśmy parą?

– Ja nie... nie wiem.

– Nie jestem człowiekiem. I nigdy nim nie będę. Ale może mogę być dostatecznie ludzki, żeby być dla ciebie parą.

Spojrzała na niego.

– Nie jestem Wilkiem. Nigdy nim nie będę. Nawet nie będę tak wyglądać. To jak mogłabym być dla ciebie parą?

Przecież ona nie musiała się zmieniać, żeby należeć do jego stada, żeby być jego samicą. Czy to była miłość?

– Według mnie jest w tobie dostatecznie dużo Wilka.

– A w tobie dostatecznie dużo człowieka. Ale nie wiem, co z... – Machnęła ręką w stronę swojej klatki piersiowej.

– Z seksem? – Zgadł, sądząc po rumieńcu na jej twarzy. Ludzka postać była trudniejsza do kontrolowania, ponieważ reagowała, nawet gdy samica nie miała rui. Wzruszył ramionami. – Wilki parzą się raz w roku.

– Raz w roku? – Zamrugła. – Tylko raz?

Czyżby była zawiedziona?

– Ponieważ ludzkie samice mają ruję dużo częściej, możemy spróbować czegoś bardziej ludzkiego. – Chyba nie musiał jej mówić, że wyczuje, kiedy będzie miała ruję, prawda?

Wyglądała na przerażoną i zmieszaną – ale w jej oczach tliła się iskierka... nadziei? Jak mógł ją do tego zachęcić? Gdyby był w wilczej postaci, mógłby ją polizać po nosie i rozśmieszyć. Nie wiedział jednak, co mógłby uczynić w tej postaci, by jej nie przestraszyć ani nie zawstydzić.

Przełknęła ślinę.

– Co się stanie, jeśli oficjalnie zostaniemy parą, tak jak Karl i Ruth czy Merri Lee i Michael?

– Spytaj. – Gdy machnął dłonią w stronę kart prorocत्व, zauważył kępki sierści pomiędzy palcami. To ze zdenerwowania. Zastanawiał się, jak wyglądają jego uszy. I zęby... Hmm. No cóż, już je widziała.

Pomógł jej wstać i złapał ją w talii, żeby mogła utrzymać równowagę, gdy odwracała karty obrazkami do dołu.

– Co się stanie, jeśli ja i Simon zostaniemy parą? – Zamknęła oczy i przejechała palcami nad kartami prorocत्व. Następnie wzięła jedną z nich i odwróciła, nie otwierając oczu.

Simon spojrzał na obrazek i zaśmiał się cicho.

– Aż tak źle? – Otworzyła oczy, przestraszona. A potem zerknęła na kartę. – Och...

Wybrała romantyczną kartę, symbol tego, co było u niej stałe. Symbol miłości.

– Uważam, że zanim powiemy komukolwiek o naszej decyzji, powinniśmy się pocałować – powiedziała nagle. – Żeby sprawdzić, czy nam się to podoba.

Dlaczego miałoby im się to nie podobać? Całowanie było podobne do lizania, a on przecież lubił lizać Meg. Gdy całował ją po ludzku, też mu się to podobało.

Objął ją i dotknął ustami jej ust – raz i drugi. A potem przycisnął swoje wargi do jej na dłuższą chwilę. Gdy się cofnął, ona pochyliła się do przodu i przycisnęła swoje usta do jego ust.

– Chyba nam się podoba... – szepnęła.

– Wydaje mi się, że powinniśmy spróbować jeszcze raz. Tak dla pewności.

Spróbowali jeszcze kilka razy, tak dla pewności. Aż wreszcie stwierdzili, że całowanie im się podoba. I to bardzo.

